

BELVA PLAIN

Płonący raj

Matce Ziemi, jedynej przystani człowieka oraz wszystkim, którzy pragną wybawić ją od zgubnej tyranii faszyzmu i komunizmu.

## OD AUTORKI

Nie istnieje, oczywiście, żadna wyspa St. Felice w strefie Morza Karaibskiego. Można sobie jednak wyobrazić, że jest naprawdę, wkomponowana w archipelag pośród wspaniałego wzburzonego morza. Pomimo iż postaci tej opowieści są całkowicie fikcyjne, jest ona odzwierciedleniem rzeczywistości.

## PROLOG

Pewnego zimowego popołudnia tysiąc sześćset siedemdziesiątego trzeciego roku, piętnastoletni kontraktowy służący o nazwisku Eleuthere Francois, z rodziny, która miała być później znana jako Francoisowie, ujrzał wyspę St. Felice, wynurzającą się spośród chmur i morza. Był porzuconym dzieckiem z chłopskiego domu w zimnej Bretanii i nawet pomimo zasłyszanych od marynarzy opowieści, nie umiałby sobie nigdy wyobrazić tak zachwycającego błękitu wody i nieba, tak łagodnego, ciepłego, wiejącego bez przerwy wiatru. „Biały piasek rozpościera się niczym jedwabna szata” - pomyślał i sam się zdumiał, że przyszło mu do głowy takie porównanie. Nie miał zwyczaju czynić porównań, a właściwie nie miał do tego okazji. Gdy wyspa wciąż rosła w oczach, mruknął do siebie pod nosem: „To lilia wodna na powierzchni stawu. A może drogocenny kamień w pierścieniu biskupa? Ciemnozielony blask, głęboki ciemny blask...”

Nie wiedział nic o wyspie, na której miał pozostać i założyć znakomitą rodzinę. Najpewniej nie wiedział też nic o pierwotnych ruchach gorącej skorupy ziemskiej, które spowodowały powstanie archipelagu wysp pomiędzy dwoma kontynentami. Prawdopodobnie nie miał pojęcia o istnieniu wulkanów, koralu i czerwonoskórych ludzi, zamieszkujących tę wyspę przed nim. Ludzi o wydatnych kościach policzkowych i prostych czarnych niczym końska grzywa włosach, którzy przybyli tu mostem lądowym z Azji wiele tysięcy lat temu, by powędrować w kierunku wschodnim oraz południowym i rozproszyć się na terenie od obecnej Zatoki Hudson aż po Tierra del Fuego.

Eleuthere Francois uważał się niemal za odkrywcę wyspy, choć minął już wiek, odkąd zawitali na nią pierwsi misjonarze, uzbrojeni żołnierze i piraci na swych żaglowcach. Dla złota krzyżowano i palono żywcem ludzi pod spokojnymi koronami drzew. W nędznych tawernach marynarze i ich dziwki pili z kradzionych pucharów wysadzanych szmaragdami, uprawiali hazard i przebijali się nawzajem nożami, chcąc zdobyć upragnione złoto. Czekał u nadburcia, gdy statek zbliżał się do brzegu, nie mógł wiedzieć, że teraz inny rodzaj bogactwa zaczyna wypierać kruszec - czarna siła robocza z Afryki.

Spuszczono kotwicę. Rozległy się nawoływania mężczyzn. Mewy wzbiły się z krzykiem ponad takielunkiem. Niewykształcony, pełen

nadziei, obaw, a jednocześnie odważny Eleuthere Francois zszedł na ląd.

CZEŚĆ PIERWSZA  
BRACIA

## Rozdział 1

Teresa Francis, na którą wołano zdrobniale Tee, miała sześć lat, gdy po raz pierwszy dowiedziała się o istnieniu innego świata poza St. Felice, a piętnaście, gdy uciekła stamtąd przerażona i zawstydzona z powodów, których nie przewidziałby nawet człowiek o niezwykle bujnej wyobraźni.

- Świat jest ogromny, moje dziecko - powiedział Pere. - Przypomina wielką piłkę krążącą wokół Słońca. St. Felice stanowi zaledwie drobny pyłek na jej powierzchni.

Pere był jej dziadkiem i zarazem przyjacielem, zwłaszcza owej zimy 1928 roku, gdy zmarł jej ojciec, a jego syn. Rozumiała smutek Pere'a i wyczuwała, że był znacznie głębszy od smutku jej matki, choć Julia nosiła żałobne suknie i roniła obfite łzy.

- Przyjrzyj się uważnie, widzisz tam w oddali dwa cienie przypominające chmury? To góry na wyspie St. Lucia. A dalej, w tym samym kierunku, leży St. Vincent. I Dominica, i Grenada...

Dziewczynka wyobraziła sobie nagle te wyspy niczym zielone żółwie, nakrapiane i okrągłe, drzemiące nad niewielką rzeczulką, w której Murzynki dotąd jeszcze piorą bieliznę na kamieniach.

- A tam poniżej - tam, gdzie pokazuję ci palcem - znajduje się Covetown ze swoimi dokami. Widzę chyba statek podpływający do redy.

Statek. Ogromny transatlantyk o nazwie „Marina” lub „Southern Star”, z kłębamii dymu wydobywającymi się z kominów. Zawijające do portu statki przywoziły różne wspaniałości: porcelanowe laleczki z prawdziwymi włosami, piękne kapelusze i rękawiczki z koźlecej skóry dla mamy („Nie da się ich nosić w tym klimacie - zwykła mawiać mama - ale dama nie może się bez nich obyć, prawda?”), rozmaite błyskotki, które można było potem kupić w sklepie Da Cunha na Wharf Street, książki dla Pere'a i garnitury dla ojca z Anglii - niestety, jemu nic już więcej nie potrzeba, wszystkie pozostałe po nim ubrania rozdano służbie.

Stała w milczeniu, pełna zdumienia i zachwytu, zastanawiając się nad tym wszystkim w ciszy południa, którą przerwał dopiero głośny kobiecy śmiech dobiegający gdzieś z dala znad rzeki. Pere ocknął się z zadumy.

- „Ojca morskie kryją fale, z kości jego są korale”. Nasz pierwszy znany przodek był piratem. Przybył tu jako kontraktowy służący, po



czym zbiegł od okrutnego pana i przystał do piratów. Czy opowiadałem ci już o tym, Tee?

- Tak, ale mama powiedziała, że to nieprawda.

- Twoja mama po prostu nie chce w to uwierzyć. Nazywał się Eleuthere Francois. Gdy Anglicy zajęli wyspę, zmienił nazwisko na Francis... A mój pradziadek nazwał tę posiadłość Eleuthera, od miasta w starożytnej Grecji. Był człowiekiem wykształconym, pierwszym w naszej rodzinie, który studiował w Cambridge... Kocham ten dom. Twój ojciec też go kochał. Mamy to we krwi od przeszło dwustu lat.

Pere był wysokim mężczyzną. Dziewczynka musiała wyciągnąć szyję, by dojrzeć jego wydatny wąski nos. Nosił laskę ze złotą gałką, nie po to jednak, by się nią podpierać, lecz by nią wymachiwać. Nazywał się Virgil Francis. Należały do niego porośnięte dżunglą oraz trzciną cukrową wzgórza wznoszące się tarasowo aż ku szczytowi Morne Bleue, jak również wszystkie pola ciągnące się aż do brzegu morza. Jego własnością były też inne posiadłości na wyspie: Drummond Hall, Georgina's Fancy, Hope Great House i Florissant.

Tee wiedziała, że jej dziadek cieszy się powszechnym poważaniem właśnie przez wzgląd na posiadany majątek. Później nieraz zastanawiała się, jakim cudem, utrzymywana jako dziecko w absolutnej nieświadomości, która omal nie stała się przyczyną jej zguby, mogła zrozumieć, że to majątek wzbudza w ludziach największy szacunek.

- Ale czemu on tak uparcie trzyma się tego okropnego zapadłego kąta? - skarżyła się mama. - Nie jestem w stanie tego pojąć. - Pokręciła głową, aż zaiskrzyły się kolczyki w jej uszach. Będąc w żałobie, zamiast pereł i złota nosiła gagaty, ale i one rzucały wesołe błyski. - W Drummond Hall jest o wiele ładniej, choć też wszystko się tam wali. Szkoda, że taki marny z niego zarządca.

- Zna łacinę i grekę - stanęła w obronie dziadka Tee.

- Raczej nie na wiele się to zda przy prowadzeniu plantacji trzciny cukrowej! Mama nie ośmieliła się jednak nigdy powiedzieć tego w oczy Pere'owi. Na wszystkich fotografiach, które robiono podczas tych długich leniwych dni, Pere siedzi w ulubionym fotelu na werandzie, a mama oraz inni domownicy i goście otaczają go wianuszkami. Przeglądając stare fotografie (wklejone rządkami do albumu z czarnej imitacji skóry, o wystrzępionych ze starości rogach), Tee, w innym kraju, gdzie w pochmurne popołudnia pada śnieg,

usiłowała przywołać w pamięci tamte twarze oraz tamto miejsce, które po tylu latach stały się tak nierealne, choć czasami ich wspomnienie sprawiało nagły ból.

Oto tutaj ona sama, w ciemnej spódnicy i marynarskiej bluzie, mundurku szkoły klasztornej w Covetown.

- Nie jesteśmy, rzecz jasna, katolikami - tłumaczyła mama - ale zakonnice prowadzą tutaj najlepszą szkołę i dopóki chodzi się w niedziele do kościoła anglikańskiego, nie ma to najmniejszego znaczenia.

Buzia dwunastoletniej dziewczynki jest bardzo poważna, wystraszona i szczerą. Po dziadku odziedziczyła dumnie sterczący nos. Tylko włosy ma piękne, bujne, opadające ciemną falą na ramiona. Później ktoś jej powie, że te włosy działają jak afrodyzjak, ale w tamtych czasach z pewnością nie zrozumiałaby tych słów.

A tu znów zdjęcia ślubne mamy w dniu, gdy powtórnie wyszła za mąż. Ma na głowie ogromny różowy kapelusz. Na przyjęciu podano pieczone prosięta i sałatki z rdzenia palmy. Po to, by je przyrządzić, ścięto całe drzewo palmowe.

- To grzech - powiedział Pere, kładąc dłoń na drzewie, jak gdyby mogło do niego przemówić.

Nowy mąż mamy nazywał się pan Tarbox - Tee miała zwracać się do niego „wujku Herbercie”. Był schludnym mężczyzną i wciąż mówił o Anglii jako o swym domu, choć mieszkał na St. Felice od dwudziestu lat. Służący twierdzili, że jest bogaty. Dawny kupiec komisowy w Covetown miał teraz zostać plantatorem, co znacznie podnosiło jego pozycję. Mógł sporo zainwestować w posiadłości Francisów, a ponieważ cieszył się opinią człowieka bystrego, istniała szansa, że doprowadzi do tego, by przynosiły większy dochód. Ufali, że dogadają się jakoś ze starym panem Francisem. Panna Julia nie była córką Pere'a, lecz jego synową, ale coś ich jednak łączyło - mała Tee. Dogadali się.

Państwo Tarbox mieli zamieszkać w Drummond Hall. Przez pamięć ukochanego syna i chcąc zapewnić dom Tee, Virgil podarował synowej wspaniałą posiadłość. Dla Tee jednak dom był zbyt duży, rozbrzmiewający echem, przytłaczający.

- Nie chcę wyjeżdżać z Eleuthery - powtarzała uparcie. - Nigdy cię już nie zobaczę, Pere.

- Ależ oczywiście, że zobaczysz! Należysz jednak do swojej matki. I nie zapominaj, że pojedzie z tobą Agnes.

Agnes Courzon przybyła pewien czas temu z Martyniki, by pracować dla rodziny Francisów. Jej skóra miała kolor kawy, ściągnięte włosy przylegały gładko do głowy. W uszach nosiła złote obręcze, a w niedzielę wkładała kwiecisty turban i naszyjnik z dużych złotych paciorków. Tee uważała, że jest bardzo ładna. Agnes uwielbiała wytworne rzeczy.

- Kiedyś pracowałam u Maurierów na Martynice - och, co to był za wspaniały dom! Nigdy nie widziałas takich adamaszków, takich sreber! Gdyby nie wybuch wulkanu, nigdy bym stamtąd nie odeszła. Ale ten przeklęty Mount Pelee zniszczył wszystko. Serce mi krwawi, gdy o tym myślę. Poczekaj tylko - dodała - a zobaczysz, jakie cacko twoja mama i pan Tarbox zrobią z Drummond Hall. W niczym nie będzie przypominał tej starej walącej się rudery...

Tee rozejrzała się po pokoju. Rzeczywiście, nigdy nie zwróciła uwagi na tynk odpadający z sufitu. Na krzesłach piętrzyły się sterty książek. Na parapecie okiennym leżał w słoju zwinięty zakonserwowany wąż. Pere pasjonował się węzami.

- Wyjadę stąd z przyjemnością - powiedziała Agnes. - Sądziłam, że ty również. Dziesiątki fotografii Drummond Hall, do którego wiedzie szeroka aleja wysadzana palmami królewskimi. Po obu stronach werandy bliźniacze schody, wkracza się po nich w świat błyszczących parkietów i czarnego mahoni.

Dom stanowił dumę mamy, natomiast myśli wuja Herberta wybiegały znacznie dalej.

- Potrzebujemy nowych walców do prasy. Poza tym myślę o tym, by w rejonie wschodnim zacząć hodować banany.

- Nie wiem - powiedziała mama z powątpiewaniem - czemu banany kojarzą mi się wciąż z uprawami murzyńskich wieśniaków.

- Gdzie ty byłaś przez ostatnie dwadzieścia lat? Czy masz pojęcie ile ton bananów przywozi się do Anglii z samej tylko Jamajki?

- Ale stare rodziny plantatorów trzciny cukrowej tutaj...

- Julio, zapominasz, że ja nie pochodzę z takiej arystokratycznej rodziny. Jestem kupcem należącym do średniej klasy. - Wujek Herbert nie był oburzony, raczej rozbawiony. - Tu, na St. Felice, jesteśmy strasznie zacofani, a ja zamierzam iść z duchem czasu. Z bananami nie ma właściwie zachodu. Sadzi się małe drzewka, które już po roku

przynoszą obfity plon. Nie trzeba nic przerabiać, po prostu zbiera się owoce, sortuje i ładuje na statek.

- Rezygnując z uprawy trzciny cukrowej, odbieram pracę wielu ludziom - powiedział Pere w zaufaniu Tee. - Ale jego to nic nie obchodzi.

- Nie lubisz wujka Herberta?

- Owszem, dość go lubię. To pracowity i uczciwy człowiek. Po prostu jestem już zbyt stary na różne nowinki. Nie pasują do mnie.

Pasowały natomiast do mamy. Tutaj znów Julia Tarbox na kilku migawkowych zdjęciach z wystrzępionymi brzegami, wesółka i czarująca, taka, jaka Tee nigdy nie będzie: cała w koronkach i falbankach wystrojona na bal w pałacu gubernatora lub uśmiechnięta, na werandzie, z dwójką swoich nowych dzieci, Lionelem i maleńką Julią, które urodziły się rok po roku.

Tee wiedziała, oczywiście, że dzieci biorą się z brzucha jej mamy, tak samo jak szczeniaki czy źrebaki z brzucha swoich mam. Pytanie tylko, jakim sposobem się tam dostają? Najgorsze, że nie miała pojęcia, skąd zdobyć te informacje. Nigdzie nic na ten temat nie pisano, nikt nie chciał z nią o tym rozmawiać.

- O takich sprawach się nie mówi - zganiła ją łagodnie, lecz stanowczo mama. - Dowiesz się, kiedy przyjdzie właściwy czas.

W szkole też nikt nic nie wiedział. Dziewczynki domyślały się, że ma z tym coś wspólnego mężczyzna. Ale co? Grupka koleżanek gromadziła się często wokół śmiałej, aroganckiej dziewczynki o imieniu Justine, która opowiadała im szeptem o różnych dziwnych sprawach, jednakże pewnego ranka przyłapały ją zakonnice i rozmowy się skończyły. Tak więc Tee trapiły pytania, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi. Oczywiście, tak jak powiedziała mama, kiedyś sama się dowie, podobnie jak zaczęła kiedyś nosić wysokie obcasy czy zostanie zaproszona do pałacu gubernatora. Na razie musi po prostu spróbować nie myśleć o tym...

Tutaj znów ona sama z mamą i młodszym rodzeństwem. Pere zrobił to zdjęcie swoim aparatem skrzynkowym. W wieku piętnastu lat miała właśnie spędzić lato w Eleutherze.

- Całe lato! - protestowała mama. - Co, u licha, będziesz tam robiła? Mama chciała, by Tee chodziła do klubu, spotykała się z dziewczętami z odpowiednich rodzin, by stała się popularna. Nie

rozumiała lub też nie chciała zrozumieć, że nie da się na siłę zmienić czyjejś natury.

- Ależ ja kocham Eleutherę! - odparła Tee. - Można tam jeździć konno na oklep wśród wzgórz, można pływać w rzece, po prostu pozwolić unosić się prądowi i rozmyślać, można czytać przez całe popołudnie ze świadomością, że nikt ci nie przeszkodzi.

- Dobrze, możesz pojechać, ale pod jednym warunkiem. Będzie ci towarzyszyć Agnes. Jesteś już zbyt duża, by podróżować bez przyzwoitki.

- Książki zaczynają mi butwieć - poskarżył się Pere, gdy przyjechał po Tee. - Najałem stolarza, by zrobił mi na nie szafki.

- Buckleya? - spytał wujek Herbert. - Naprawiał nam kozetkę. Świetnie się spisał.

- Jego uczeń jest jeszcze lepszy od niego. To kolorowy chłopiec, ma chyba z dziewiętnaście lat. Nazywa się Clyde Reed. Pozostanie w Eleutherze przez prawie całe lato.

- Całe lato!

- Tak, chcę też, by porobił mi karnisze i oszklone drzwi dla ochrony przed wilgocią. - Jednak przez całe lato... - wycedziła powoli Julia.

- Czemu nie? - zamieszał kawę Pere. Był to jego sposób ignorowania synowej. - To naprawdę niezwykły chłopak. Przyłapałem go na czytaniu mojej Iliady. Nie sądzę, by ją rozumiał. Szkoda, bo chce się uczyć. Oczywiście, ma sporą domieszkę białej krwi. - Pochylił się do wuja Herberta. - Prawdopodobnie najlepszej krwi na wyspie.

Tee posłyszała szept, zauważyła zmarszczone brwi Julii. Coś się za tym kryje i to coś brzydkiego.

- Reed - zastanawiał się głośno wujek Herbert. - Czy Reedowie nie byli przez krótki czas właścicielami Mirandy? Przegrali ją w karty w Londynie. Ale chyba raczej nie było wśród nich ludzi wykształconych.

- No cóż, a ten Reed mógłby być, gdyby świat mu na to pozwolił. Niestety. Mogę mu przynajmniej pożyczyć trochę książek.

- Z całym szacunkiem, Pere - zaczął ostrożnie wujek Herbert - ale gdybyś zechciał wziąć pod uwagę moją opinię, to mam wrażenie, że tego rodzaju traktowanie jest swego rodzaju drażnieniem się.

Proponujesz równość, z której będziesz zmuszony wycofać się w chwili, gdy propozycja zostanie przyjęta.

- Cóż - powiedział wymijająco Virgil - zobaczymy. - Wstał, gotowy do wyjazdu. - Tak czy owak będziemy mieli z Tee czas dla siebie. Tam u nas, pośród wzgórz, jest znacznie chłodniej niż tutaj.

- Dopilnuj, by zaprosiła jakieś przyjaciółki, proszę cię - nalegała Julia, gdy ruszali już w drogę. - Nie chcę, by spędzała czas wyłącznie wśród koni i psów. Albo czytając na werandzie. Jest taka podobna...

„Do ojca” - pomyślała buntowniczo Tee. „Właśnie, że będę czytała przez cały dzień, jeśli przyjdzie mi na to ochota. Albo spędzę go w towarzystwie psów.” Nie wiedziała nic, absolutnie nic tamtego lata. W błękitnym cieniu późnego popołudnia Pere rozłożył na kolanach wielki notatnik.

- Przerwij wreszcie pracę, Clyde! Stukasz młotkiem od śniadania. Czy chcesz posłuchać, co tu znalazłem?

Clyde podszedł i usiadł na schodkach. Dziwne, że nazywano go „chłopcem”, ponieważ był już z pewnością w pełni dojrzałym mężczyzną. Tee stwierdziła, że to pewnie ze względu na kolor skóry. „Choć trzeba przyznać” - pomyślała - „że jego skóra nie jest zbyt ciemna. Przynajmniej o ton lub dwa jaśniejsza od skóry Agnes”. Był też jak ona czysty. Codziennie rano wkładał świeżo upraną koszulę przyjemnie pachniało od niego drewnem, z którym bez przerwy miał do czynienia Czasami w jego gęste proste włosy zaplątywały się wióry. Włosy i wąskie wargi miał typowe dla białej rasy, tylko oczy murzyńskie. Brązowe oczy u białych ludzi nigdy nie są tak intensywnie ciemne. Przyszło jej na myśl, że oczy Clyde'a mają mądry wyraz. A może kpiący? Jak gdyby nawet wówczas, gdy był pełen szacunku - a zawsze był pełen szacunku, w przeciwnym razie Pere nie pozwoliłby mu zostać - jego oczy mówiły: „Wiem, o czym myślisz”. „To z pewnością bzdura - powiedziała sama do siebie - mama zawsze powtarza, że chodzą mi po głowie głupie myśli”.

- To tłumaczenie, którego dokonałem - wyjaśnił Pere. - Rzecz jasna, z francuskiego. Oryginał znajduje się w moim skarbcu, w mieście. Powinienem oddać go do muzeum, cały się kruszy. Dobra, przeniesmy się w tamte odległe czasy. Oto Dziennik pierwszego Francois.

„Wyłynęliśmy z Havre de Grace angielskim statkiem «Pennington» roku pańskiego tysiąc sześćset siedemdziesiątego

trzeciego. W wieku piętnastu lat zostałem kontraktowym służącym na siedem lat u pana Raoula D'Arcy na wyspie St. Felice w Indiach Zachodnich. Zobowiązał się opłacić moją podróż, wyposażyć mnie w ubrania, a przy końcu służby wynagrodzić trzystoma funtami tytoniu".

Pere przerzucił kilka stron.

- Fascynujące. Posłuchajcie tego: „Pracujemy od wschodu do zachodu słońca. Dzielę kabinę z dwoma czarnymi niewolnikami. Są dość sympatyczni, biedne stworzenia. Mają ciężkie życie, ale ja mam jeszcze cięższe. Mój pan każe pracować białemu służącemu bez wytchnienia, rozstaje się z nim bowiem po siedmiu latach, natomiast Murzyni należą do niego przez całe życie, zależy mu więc, by byli zdrowi.”

- Myślałam - zauważyła Tee - że nasz przodek był piratem.

- Ależ tak! Uciekł, by przyłączyć się do piratów. Trudno go za to winić. I - pomyśl tylko, jak przewrotna jest ludzka natura! - stał się jeszcze okrutniejszy od swego pana. Posłuchaj tego: „Podpłynęliśmy z boku do «Garza Blanca», statku handlowego płynącego do Hiszpanii, tuż przed wschodem księżyca. Dostaliśmy się bezszelestnie na pokład, zaskakując marynarza pełniącego wachtę i wrzucając go do wzburzonego morza. Zakłuliśmy bagnetem kapitana, przechwyciliśmy broń i przybiliśmy do brzegu, by sprzedać okazały ładunek: złoto, tytoń, skóry zwierzęce oraz perły ogromnej wartości.”

- Nie sądzę - wzdrygnęła się Tee - bym chciała wiedzieć coś więcej na temat owego Francois. - Wyciągnęła rękę, by przyjrzeć się błękitnym żyłkom w zgięciu łokcia. - Nie mogę uwierzyć, że jego krew płynie w moich żyłach... Takiego dzikusa!

- Przeszło już tyle pokoleń, moja droga - powiedział spokojnie Pere. - Zresztą wkrótce potem stał się dżentelmenem. - Znowu przerzucił kilka stron. - „Widząc, jak moi chłopcy trwonią roczny zarobek na brandy i... - Pere zakasłał się

- ...na inne rzeczy, postanowiłem stać się oszczędny. To znaczy kupić ziemię i wieść odtąd w mojej posiadłości życie dżentelmena, ożenić się z panną z dobrej rodziny.”

- Zamknął notatnik. - Tak właśnie postąpił. Poślubił Virginie Durand, córkę zamożnego plantatora, który najwyraźniej nie miał skrupułów, by oddać ją nawróconemu piratowi. Zanim dobiegł czterdziestki, przypadkowo zbił fortunę na cukrze. Trzcina cukrowa nie jest miejscową rośliną, wiesz o tym, prawda? - Pere zmarszczył

brwi. - Tee, dają mi się już we znaki dolegliwości związane z wiekiem. Miałem ci opowiedzieć o trzcinie cukrowej i nagle poczułem kompletną pustkę w głowie. Czy uwierzysz, że nie mogę sobie przypomnieć, skąd pochodzi?

- Za pozwoleniem, proszę pana - odezwał się Clyde. - Z Wysp Kanaryjskich. Kolumb przywiózł stamtąd pierwsze sadzonki.

- Och, tak, masz rację. Oczywiście, że masz rację.

- Tak, proszę pana. Czytałem o tym w „National Geographic”. - Czytujesz „Geographic”?

- Mam przyjaciela. Był moim nauczycielem w szkole. Zbiera je dla mnie.

- Rozumiem.

Clyde mówił żarliwie, szybko, jak gdyby bał się, że ktoś mu przerwie, zanim dokończy myśl.

- Dużo czytam. Przeczytałem niemal wszystkie książki w bibliotece w Covetown. No, może nie wszystkie. Najbardziej lubię historię, wie pan, jak doszło do tego, że wszyscy jesteśmy tym, czym jesteśmy... - Przerwał nagle w obawie, że powiedział zbyt dużo.

„Chce nam pokazać, jak dużo wie” - pomyślała Tee, odczuwając w tej chwili nie tylko złośliwą dumę, która była jej pierwszą reakcją, lecz również coś w rodzaju upokorzenia. Zrobiło jej się nieprzyjemnie.

Pere natomiast był wyraźnie zachwycony.

- Och, wiem, że jesteś pożeraczem książek, Clyde! To wspaniale. Wiedzę osiąga się dzięki czytaniu, a nie poprzez samo chodzenie do szkoły... Przez całe życie kolekcjonowałem książki. Mam egzemplarze z czasów, gdy Anglicy odebrali wyspę Francuzom w...

- W tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku, gdy admirał Rodney rozgromił Francuzów w bitwie morskiej.

- Posłuchaj tylko, Tee! Posłuchaj, co wie ten chłopak! Czy nie mówiłem ci, jaki jest bystry?

„Traktuje go jak tresowaną małpkę” - pomyślała Tee. Pere wstał.

- Dobra, Clyde, możesz pożyczyć ode mnie tyle książek, ile zdołasz przeczytać. W każdej chwili. Byleś tylko zawsze miał czyste ręce. Chodź, Tee, pora na nas. Mamy gości na kolacji.

- Pere - powiedziała Tee, gdy weszli do domu. - Takie mówienie mu o czystych rękach było dla niego obraźliwe.



Pere spojrział na nią zdumiony. Nigdy nie odzywała się do niego w taki sposób.

- Nie masz racji - wyjaśnił. - Oni nie zwracają na to uwagi. Nie są tak wrażliwi, jak ty.

Skąd mógł wiedzieć? Jak mógł coś takiego powiedzieć? Przecież Pere był taki życzliwy ludziom. Któż inny zaprosiłby kolorowego robotnika, by usiadł razem z białymi? Mama ani wuj Herbert z pewnością nie.

„Fanatyzm, poza tym że jest głupi i okrutny, kała osobowość” - lubił mawiać Pere. A jednak tkwiła w nim jakaś sprzeczność.

Jeszcze jedna łamigłówka do rozwiązania! Im się jest starszym, tym więcej świat zadaje łamigłówek. Myśli krążyły w jej głowie niczym rój pszczół - myślała o miejscach poza wyspą, o czasach przed wyspą, o tym, w jaki sposób ludzie stali się tym, czym są...

- Jesteś zbyt poważna - skarżyła się dobrotliwie mama. - Chciałabym, żebyś umiała cieszyć się życiem.

Tee zaś myślała w duchu: „Ciebie bawią zupełnie inne rzeczy niż mnie, zresztą nawet gdyby było inaczej, nie jestem dość ładna. A i mając twoją urodę, nie potrafiłabym się nią posłużyć, nie potrafiłabym się śmiać i muskać dłonią policzka wujka Herberta, umizgującego się do ciebie w pokoju pełnym ludzi. Potrzebny mi jest po prostu ktoś, z kim mogłabym porozmawiać bez obawy, że wydam się nudna, dziecinna, że zadaję zbyt wiele pytań.”

Pere starzał się coraz bardziej. Nagle, tego lata, dało się zauważyć, że traci siły i cierpliwość. Często zapominał, o czym mówi. Popołudniami zwykł ucinać sobie drzemkę. Tee zaczęła odczuwać w Eleutherze samotność. Dlatego też po południowym posiłku biegła do chłodnej biblioteki, gdzie unosił się słodki zapach drewna, by poczytać sobie i poprzyglądać się, jak Clyde rzeźbi dłutem na karniszu ornament z kwiatów. Miarowe stukanie małego młotka o dłuto oraz ciche pogwizdywanie Clyde'a miały w sobie coś uspokajającego...

Pewnego dnia przeczytała na głos wyjątek ze starego dziennika:

- „Lipiec tysiąc siedemset trzeciego roku. Czasy wielkiej niedoli. Brat mojej żony oraz czworo jego dzieci zmarli na febrę. Nie ma właściwie rodziny, która nie doświadczyłaby okrutnej straty”. Clyde, co skłaniało ludzi, by wyjeżdżali do takiej dziczy? Nie potrafię sobie wyobrazić, bym mogła tak postąpić.

- Bieda, panienko Tee. W Europie nie było pracy lub była nędznie opłacana. Te wyspy nie zostały zasiedlone przez ludzi bogatych.

Przypomniał w ten sposób, że jej przodkowie nie pochodzili z arystokratycznego rodu. Dostrzegła zabawne strony tego faktu i nie obraziła się.

- Zsyłano tu również wielu skazańców. - Odłożył dłuto. - A żeby zostać skazanym, wcale nie musiało się być przestępcą. Do więzienia szło się za kradzież kilku pensów albo za długi. Mógł tam trafić człowiek naprawdę niewinny. Niewinny biedak - dodał dziwnym tonem.

W ciszy, która nastąpiła, te dwa słowa rozbrzmiały echem w głowie Tee: „Niewinny biedak”.

- Cóż - powiedziała, pragnąc przerwać ten poważny nastrój - przodkowie to fascynujący temat, prawda? Musisz być ciekaw swoich... - Spłonęła nagle rumieńcem, zdając sobie sprawę z niestosowności swych słów. - Och, przepraszam - nie chciałam... - dodała szybko, pogarszając tylko sprawę.

- Nic się nie stało, panienko Tee. - Clyde podniósł dłuto, powracając do pracy. - Oczywiście, że interesują mnie moi przodkowie. Co wcale nie znaczy, że wyjdzie mi to na dobre.

- Mógłbyś być nauczycielem - odezwała się po chwili, chcąc zatrzeć przykre wrażenie poprzednich słów. - Sądzę, że masz więcej wiadomości od moich nauczycieli.

- Zbyt wcześnie zakończyłem edukację szkolną. Zachorowała moja matka, a ponieważ nie mogła pracować, musiałem wziąć się za to rzemiosło. - Odwrócił się, prostując dumnie ramiona. - Nie ma nic uwłaczającego w utrzymywaniu się z pracy rąk, jak zdają się uważać ludzie należący do klasy średniej, a nawet moi pobratymcy.

- Oczywiście, że nie ma. Czy twoja matka czuje się już dobrze?

- Umarła.

- Och! A ojciec?

- Nie mam pojęcia, co się z nim dzieje. Nie widziałem go w życiu.

- Mój ojciec zmarł, gdy miałam sześć lat. Czy uwierzysz, że wciąż o nim myślę? Tęsknię za nim, choć nawet dobrze go nie znałam. Pewnie dzieje się tak dlatego, że nie jesteśmy w zbyt bliskich stosunkach z matką.

Clyde obrzucił ją ciepłym spojrzeniem.

- To wielka strata i dla panienki, i dla niej.

- Ona ma dwójkę nowych dzieci i nowego męża, więc prawdopodobnie niewiele ją to obchodzi. - Własny głos zabrzmiał ponuro w jej uszach.

- Muszą być jeszcze jakieś inne przyczyny, panienko Tee.

- O, tak! Widzisz, bardzo się różnimy. Mamę interesują przede wszystkim stroje, rozrywki, przyjęcia. Wie, które rodziny się liczą, kto zamierza kogo poślubić, kto wyjeżdża za granicę w przyszłym miesiącu. A dla mnie to wszystko nie ma znaczenia.

- A co panienka lubi?

- Och, książki, psy, a właściwie wszystkie zwierzęta, jazdę konną... Oczywiście chciałabym też wyjechać za granicę, nie po to, by podziwiać modę, lecz...

- Zobaczyć, jak żyją inni ludzie. Zobaczyć Rzym i Londyn, tłumy na ulicach i ogromne budynki... Tak, ja również tego pragnę. Zamierzam to uczynić pewnego dnia.

- Ale potem z pewnością zechcesz wrócić, prawda? Wiem, że ja zawsze wracałabym... Tu jest mój dom.

- Ale trudno porównywać naszą sytuację - powiedział spokojnie Clyde. Tak. Rzeczywiście miał rację. Ich życie na tej małej wysepce różniło się zasadniczo. Znów poczuła żal i winę. Cóż za absurd! Za nic przecież nie ponosiła winy!

- Ten zarozumiały chłopak - zauważyła z oburzeniem Agnes - rozmawiał tu z tobą przez godzinę jak równy z równym!

- On wcale nie jest zarozumiały, Agnes. Jest bardzo grzeczny, a w dodatku to jeden z najinteligentniejszych ludzi, jakich znam.

- Phi! - parsknęła Agnes.

Tee pomyślała, że słowa Agnes spowodowane są zazdrością. Nie mając własnych dzieci i będąc z tego powodu przedmiotem pogardy, Agnes zaanektowała sobie prawa do Tee i nie miała zamiaru z nikim się nimi dzielić. Tak, była zazdrosna o Clyde'a.

Jakie to dziwne, że poza Pere'em Clyde został tak łatwo jej przyjacielem! W szkole nie zawarła żadnych większych przyjaźni. Owszem, była kiedyś dziewczynka, z którą zaczytywały się poezją, wyjechała jednak na stałe do Anglii i nikt nie zajął jej miejsca.

Clyde również cenił wysoko poezję.

- Posłuchaj przez chwilę - powiedziała. - Napisała to Elizabeth Barret Browning i myślę, że jest to najpiękniejszy wiersz, jaki kiedykolwiek czytałam.

W pokoju panowała zupełna cisza. Clyde odłożył narzędzia. Tee czuła tę ciszę każdym nerwem, słyszała swój czysty, pełny głos.

- Początkowo nie byłam całkiem pewna, co ona rozumie przez "mur więzienny", dopiero później dotarło do mnie, że mówi o swej samotności.

- Nie miała też całkiem czystego sumienia. Jej majątek rodzinny pochodził z Indii Zachodnich, powstał dzięki pracy niewolników. Ojcu bynajmniej to nie przeszkadzało, ona jednak była wrażliwa.

Twarz Clyde'a miała łagodny wyraz. „On jest całkiem inny, gdy nie ma tu Pere'a” - przyszło nagle na myśl Tee. „Traci swą sztywność, uniżoność. Pewnie po prostu jest sobą.”

- Bardzo ładnie panienska to przeczytała - powiedział.

- Tak, mama zawsze mówi, że czytam z ekspresją. Często myślę, że gdybym lepiej wyglądała, mogłabym zostać aktorką.

- Ależ nie można nic zarzucić wyglądowi panienski! Panienska jest...

- Spójrz na mnie... Nie, nie, lepiej nie patrz. - Clyde obrzucił ją szybkim spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok. - Czy nie widzisz mojego nosa? Odziedziczyłam go po dziadku. Czy to nie rzuca się w oczy?

- Hm, nigdy nie przyglądałem się nosowi dziadka panienski.

- No to następnym razem przypatrz mu się dokładnie. Tylko lepiej, żeby cię Pere na tym nie przyłapał.

Uderzyła ją nagle absurdalność tego ostrzeżenia i wybuchnęła śmiechem. Clyde zagapiony w nos jej dziadka, mierzący go! Niemal w tej samej chwili Clyde, mający bez wątpienia ten sam obrazek przed oczyma, również się roześmiał.

- Wiesz, Clyde, naprawdę będzie mi ciebie brakowało, gdy już skończysz te szafki.

- To miłe ze strony panienski.

- Żadne tam miłe! To prawda! Nigdy nie mówię tego, czego nie myślę. Chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi. Może nam się uda.

Clyde nie odpowiedział. Pochłonięty znów swą pracą, pochylił się, by wyczelować dłutem rozchylające się płatki kwiatu. Pomyślała, że może nie dosłyszał.

- Powiedziała, że chciałabym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.
- Sprawiliby mi to radość, panienko Tee.
- Clyde, naprawdę nie musisz tak mnie nazywać. Nie uważasz, że to głupie? Jesteśmy prawie w tym samym wieku.
- Taki jest zwyczaj - odpowiedział, zdmuchując trociny.
- Zwyczaj też może być głupi, prawda?
- Nie zmieni go panienka nawet przy najlepszych chęciach. Tylko narobi sobie panienka kłopotów.

Powinna była coś odpowiedzieć. Zamiast tego stała nad nim, przyglądając się, jak dłuto wyczarowuje w miękkim drewnie kiście winogron. Rzecz jasna, miał rację.

W tym świecie panował ustalony porządek. Każdy znał swoje miejsce, wiedział, jak się zachowywać, co mówić. Każdy trafiał na to miejsce przy urodzeniu, niezależnie od tego, czy była to mama, Pere czy Agnes. Podstawową rolę odgrywały tu pieniądze. Także kolor skóry. Natomiast - co było bardzo dziwne - rozum, który powinien być najważniejszym czynnikiem, nie miał żadnego znaczenia.

Rozum to rzecz osobliwa. Pere miał książkę, w której znajdował się rysunek mózgu, szarej bryły, pofałdowanej i pomarszczonej. Można by się spodziewać, że mózg będzie raczej kolorowy, przypominający mozaikę, z odwzorowanymi obrazkami z życia poszczególnych ludzi. Wydawało jej się, że mózgi jej i Clyde'a miałyby ten sam wzór i gdyby je położyć jeden obok drugiego, pasowałyby do siebie idealnie.

Różnił ich tylko kolor skóry - a i to w niewielkim stopniu. Jej opalona dłoń, spoczywająca na półce w odległości może trzydziestu centymetrów od jego zajętej pracą dłoni, była niemal równie ciemna.

Clyde skończył rzeźbić kiść winogron, wykończając ją zadartym do góry, wesołym zakrętasem.

- No, jak się to panience podoba?
- Prześliczne. Jesteś artystą, Clyde?
- Niezupełnie. Ale chciałbym być prawdziwym artystą. - Był jednak najwyraźniej zadowolony z siebie. - W Hiszpanii żyje Antonio Gaudi, który rzeźbi w kamieniu. Buduje katedrę w Barcelonie, tworzy

w kamieniu kiście winogron, listki, głowy zwierząt, cały las... Świat jest pełen pięknych rzeczy.

Skąd on wie o takich sprawach? Przecież wciąż mieszka w jakiejś wiejskiej chacie z dala od Covetown, nie mówiąc już o Barcelonie! Wezbrało w niej ciche współczucie.

- To wszystko na dziś - powiedział, odkładając narzędzia.
- A więc do zobaczenia jutro?
- Do zobaczenia.

Mijały w ten sposób tygodnie, a Tee czuła się dziwnie szczęśliwa i wcale już nie osamotniona. Rankami, leżąc jeszcze w łóżku, przyglądała się, jak wrony zlatują się z gór na śniadanie i obsiadają królewskie palmy Pere'a wzdłuż podjazdu. Dni upływały spokojnie. W ciepłe wieczory, po deszczu, stała w oknie w koszulce nocnej i słuchała terkoczącego głosu rzekotek w koronach drzew. Czuła się taka szczęśliwa. Nie wiedziała, dlaczego. Nawet sobie nie zadawała takiego pytania.

Hamak, zawieszony pomiędzy dwoma kauczukowcami, kołysał się łagodnie. Drzewa były tak wysokie, że ich ogromne wierzchołki poruszał lekki wiatr, choć w dole rozpalone powietrze nawet nie drgnęło. Ziewnąwszy, Tee odłożyła książkę na podolek. W domu Pere ucinął sobie właśnie długą niedzielną drzemkę. Cały świat zdawał się drzemać. Obudziła się nagle. Dróżką pomiędzy różanymi rabatami szedł prędkim krokiem Clyde, trzymając w ręku bambusową klatkę.

- Co tam masz? - zawołała.
- Papugę.
- Pokaż mi.

Postawił klatkę obok hamaka. Znajdowała się w niej olbrzymia papuga, królowa ptaków, mierząca przynajmniej sześćdziesiąt centymetrów wysokości, cała ametystowoszmaragdowa.

- To papuga zwana cesarską - powiedział z dumą.
- Gdzie ją znalazłeś?
- Złapałem dziś rano. Mogę cię zapewnić, że nieźle się przy tym napracowałem.
- Co masz zamiar z nią zrobić?
- Mam już na nią kupca. To marynarz z włoskiego statku, który ma przyплыć w tym miesiącu. Obiecałem mu złapać taką papugę, gdy był tu poprzednim razem.

Ptaka uniósł skrzydła, jednakże w klatce było zbyt mało miejsca, by mógł je rozwinąć, opuścił je więc z powrotem, przyjmując wyczekującą postawę. Tymczasem jego okrągłe, czujne i ciekawe oko zdawało się odwzajemniać zainteresowanie Tee, patrząc na nią żałośnie i jak gdyby przekazując jej błagalną prośbę.

- Jest taka spokojna - powiedziała Tee.

- Jeszcze nie oswoiła się z klatką. Paraliżuje ją przerażenie.

- To okropnie smutne, nie uważasz?

- Poniekąd.

- Kiedy się pomyśli, jak szybko potrafią fruwać, jak uwielbiają fruwać... Pere mówił, że papugi żyją nawet do sześćdziesięciu lat.

- To prawda. Ta jest młoda. Ma najwyżej dwa lata.

- A więc... może czeka ją pięćdziesiąt osiem lat w więzieniu!

Clyde spojrział na papugę, potem zaczął błędzić wzrokiem po trawniku.

- Ile obiecał ci za nią marynarz?

- Nie pamiętam dokładnie, ale niezłą sumę.

- Ja ci dam więcej.

- Ale... czy naprawdę chcesz mieć tę papugę?

- Tak. Chcę ją kupić i wypuścić na wolność. Clyde popatrzył na nią z zakłopotaniem.

- Jeśli tak ci na tym zależy, to wypuszczę ją natychmiast, tutaj. Nie chcę żadnych pieniędzy.

- Nie, zapłacę ci. W przeciwnym razie to nie byłoby fair. Poza tym nie możemy jej wypuścić tutaj. Trzeba ją odnieść do jej domu.

- Sama odnajdzie drogę do Morne.

- Chcę zobaczyć, gdzie mają gniazda.

- Wysoko, w starych palmach. Widzisz, jaki ma mocny dziób? Potrafi wydłubać nim otwór w drzewie w ciągu kilku minut.

- Wiem. Ale chcę to zobaczyć na własne oczy.

- To bardzo trudna wspinaczka - powiedział t ociąganiem Clyde.

- Nie chcesz iść? Wobec tego pójdę sama. Daj mi klatkę.

- Nie możesz iść tam sama. Jeszcze zabłądzisz albo spadniesz.

- A więc chodź ze mną.

Wąska droga prowadziła przez gaj bananowy, a następnie wznosiła się stromo wśród palm oraz drzewiastych paproci, które, falując i wyciągając korony ku słońcu, tworzyły podniebne zielone parasole. W mrocznym cieniu ścieżka pod stopami wydawała się

ciemna jak dno oceanu. Tee wspinała się z trudem, co chwila się potykając. Clyde, wyprzedzając ją znacznie, biegł lekko jak kozica, huśtając klatką.

- Muszę chwilę odpocząć! - zawołała. Przystanął, ona zaś oparła się o drzewo.

- Przyjrzyj się temu drzewu - powiedział. - Jest tak bardzo żywiczne, że można z niego zrobić pochodnię na nocny połów ryb.

- Pere mówi, że jesteś świetnym rybakim.

- Po prostu lubię łowić ryby. Lubię także morze.

- Lubisz wiele rzeczy. Chciałabym wiedzieć tyle, co ty, zwłaszcza o miejscu, w którym żyjemy.

- Cóż, w każdym razie znam tę górę jak własną kieszeń. Mógłbym ci tyle pokazać! Założę się, że nigdy nie widziałas słodkowodnego jeziora w kraterze. W samym środku wulkanu. A ja widziałem.

- Masz rację, nie widziałam.

- Niedaleko stąd, w jaskini, znajduje się staw pełen ślepych ryb. Ale to dla ciebie za trudna wspinaczka. Byłem tam z moim nauczycielem. Powierzchnię wody pokrywa cienka warstwa przypominająca lód, ale mój nauczyciel, który był w Kanadzie, wyjaśnił mi, że to wcale nie lód, lecz wapień, wymywany ze sklepienia jaskini. Gdy się rozkruszy tę warstwę, widać pływające ryby. Setki ryb. Są ślepe, ponieważ panuje tam ciemność, a one żyją w takich warunkach od pokoleń. No, chodźmy, odpoczęłaś już trochę?

Wspięli się już wysoko. Powiało chłodem, ziemia była tu wilgotna, głązy pokryte mchem.

- Przyjrzyj się, nawet tutaj można spotkać dziko rosnące pojedyncze pędy trzciny cukrowej.

- Trzcina cukrowa tutaj?

- O tak! W czasach niewolnictwa porastała wszystkie wyspy do połowy stoków górskich. Teraz jednak na miejscu plantacji jest trawa i dżungla. Na małych zewnętrznych wysepkach, takich jak Galatea czy Pyramid, obecnie wypasa się już tylko owce.

- Cóż to była za niegodziwość!

- Niegodziwość?

- Mówię o niewolnictwie! Być właścicielem innej istoty ludzkiej! Nie mogę znieść nawet tego, że uwięziłaś papugę!



- Masz bardzo miękkie serce. Czy nie zdajesz sobie sprawy, że nawet dzisiaj niektórzy ludzie nie kiwnęliby palcem, by znieść niewolnictwo, gdyby jeszcze istniało?

- Nie wierzę! Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł tak myśleć!

- A ja potrafię to sobie wyobrazić - uśmiechnął się lekko Clyde. - Nie ma sensu mówić o tym.

Poczuła się przywołana do porządku. Jak mogła być tak bezmyślna, żeby rozmawiać z nim o niewolnictwie, przypominać mu okropną przeszłość!

Clyde zagwizdał. Zaledwie fragment jakiejś tęsknej melodii. „Nie, nie dostaniesz tego, czego pragniesz” - pomyślała z żalem Tee, jak gdyby przeczucie podsunęło jej odpowiedź na, nieme pytanie Clyde'a. „Interesujesz się muzyką, malarstwem, piękną architekturą, a prawdopodobnie umrzesz na tej wyspie ze swymi narzędziami w rękę. Pere nazwał cię człowiekiem wykształconym. Kto ci jednak pomoże? Zrobiłabym to, gdybym mogła. Tak, tak, zrobiłabym to!”

Ścieżka nagle się urwała. Drogę zagroziły im zwalone konary i splątane gałęzie. Nad głowami kołysały się potężne zwoje lian grubości ludzkiego ramienia. Z ciemnych wgłębień spływały kaskadami paprocie. To był świat taki, jakim stworzył go Bóg przed nastaniem człowieka. Tee czuła, że są tu intruzami, i nie odzywała się nawet słowem.

Wreszcie znaleźli się niespodziewanie na okrągłej polanie wielkości średniego pokoju, którego podłogę tworzyła gruba warstwa porostów, a ściany gęsto rosnące palmy i kauczukowce, wysokie niczym katedra w Coventown. Z najwyższych gałęzi, znajdujących się mniej więcej trzydzieści metrów nad ziemią, zwisały mocne zielone powrozy.

- To korzenie hurmy wschodniej - wyjaśnił Clyde, zerkając w górę. - Czy uwierzysz, że korzenie wyrastają stamtąd, z rozwidlenia gałęzi, a cała roślina zwisa w dół? Dzieje się tak dlatego, że papugi zjadają owoce hurmy i rzucają nasiona na konary drzew.

- Ale wyglądają tak, jakby korzenie miały w ziemi - rzekła z powątpiewaniem Tee.

- Tak, ponieważ na nowo je zapuszczają. Wszystko jest zaplanowane. Można by pomyśleć, że papugi wiedzą, co robią.

- Czy właśnie tu ją złapałeś?

- Dokładnie tutaj. Mam ją wypuścić?

- Jasne! Biedactwo! Otwórz klatkę.

Clyde otworzył drzwiczki. Ptak wpatrywał się przez chwilę w prześwit, jak gdyby nie mogąc uwierzyć w swą wolność. Stał tak składając i rozpościerając lśniące skrzydła, po czym wydał ostry, ohydny skrzek, dosłownie wystrzelił w powietrze jak z katapulty. Zadarłszy głowy, obserwowali jego niemal pionowy wzlot. Poszybował hen w górę i skrył się w koronie najwyższej palmy.

W chwilę później niebo przysłoniło pstre stado papug, dał się słyszeć głośny łopot skrzydeł, a następnie w mgnieniu oka wszystko ucichło i powrócił spokój.

Tee zadrżała z przestachu.

- To miejsce jest... jest zaczarowane. Nie zapomnę go do końca życia, nigdy! Zawsze będę pamiętała, że mnie tu przyprowadziłeś. - Ujęła dłoń Clyde'a. - Czy nie cieszysz się, że wypuściłeś ją na wolność? - szepnęła.

- Jeśli ty się cieszysz.

- Och tak! Czy nie widzisz, jak bardzo jestem szczęśliwa? Spojrzał na nią, mrużąc pod nosem:

- Jesteś niczym statuetka z kości słoniowej. Jak te miniaturki, które twój dziadek trzyma na półkach.

- Ach, te! One są z białego nefrytu. Pochodzą z Chin, sprzed wieków. Wuj mojego dziadka handlował z Chinami.

- Niech więc będzie biały nefryt. Albo mleko - powiedział. - Tak, biała jak mleko! - Ująwszy jej wolną rękę, odwrócił ją i pogłaskał delikatnie, przesuwając palcami od łokcia aż do nadgarstka.

Zaskoczyło ją to do tego stopnia, że nie poczuła się nawet obrażona, lecz po prostu zmieszana. Nikt jej nigdy w ten sposób nie dotykał, z taką czułością... W jej rodzinie nie okazywano uczuć. Ta łagodna pieśczoła podziałała na nią hipnotyzująco. Rumieniec wystąpił jej na policzki, poczuła dziwną słabość. Pragnęła przedłużyć ten moment, a równocześnie chciała wyrwać rękę. Tak bliski kontakt wywoływał w niej uczucie zakłopotania, nie wiedziała, jak zareagować. Niby przypadkiem spróbowała wyswobodzić rękę. Nie udało jej się, Clyde bowiem przytrzymał ją jeszcze mocniej, chwytając w dodatku drugą dłoń.

- Jesteś urocza - powiedział. - Nie znam drugiego równie uroczonego stworzenia. Krew zabarwiła ciemnym rumieńcem policzki Tee, zaczęła żywiej krążyć w jej żyłach.

- No, nie wiem. Nigdy nie uważałam się...

- Nigdy nie uważałaś się za piękność, ponieważ jesteś inna niż wszyscy. „Skąd on może wiedzieć?” - zastanawiała się.

- Nie lubisz trajkotać i wdzięczyć się, nie układasz włosów według najświeższej mody...

Spuściła wzrok, wbijając go w ziemię, gdzie ciemne łodygi traw oraz listowie pieniały się pod ich stopami niczym fale oceanu. Skądś napływał waniliowo - goździkowy słodkawy aromat, od którego kręciło jej się w głowie.

- Ty masz serce, masz duszę...

Przyciągnął ją do siebie, lekko podtrzymując. Siły opuściły ją całkiem. Nigdy, nigdy tak się nie czuła, taka bezradna, bezwolna, dryfująca niczym we śnie. Głowa jej opadła do tyłu.

- Nie zrobię ci krzywdy - usłyszała głos Clyde'a. Spojrzała mu w twarz, która nagle stała się obca, surowa, dziwna. Nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Nie zrobię ci krzywdy - powtórzył łagodnie. - Kocham cię...

W jej głowie rozdzwonił się nagle sygnał alarmowy. Dlaczego, dlaczego? Coś tu było nie tak, coś... Ocknęła się nagle.

- Nie, nie! - wykrzyknęła, lecz okrzyk został stłumiony przez silną dłoń, która zatkała jej usta. Clyde uniósł ją w powietrze, a następnie ułożył wśród pianistej zieleni, przytrzymując ją bez brutalności, z łagodną, lecz stanowczą siłą.

- Nie, nie! - krzyknęła znów, walcząc z dłonią, która więziła jej usta. Druga dłoń poradziła sobie bardzo szybko z cienkim materiałem sukienki, pod którą nie miała na sobie nic oprócz jeszcze cieńszej koronkowej bielizny. Gorączkowe myśli przelatowały jej przez głowę niczym meteoryty. „Tak, tak, to właśnie to! Oczywiście, że tak. Za opowiadanie o tym ukarano w szkole Justine. To było to od samego początku, tylko ja o tym nie wiedziałam! Jak mogłam nie wiedzieć?”

Przygwożdżona do ziemi, przyszpilona, opierająca się z całych sił, z żółtą sukienką zarzuconą na głowę. Krzyk ptaków w koronach drzew. Dojmujący ból, ból i szok. Jej własny głos, stłumiony przez materiał bawełnianej sukienki, protestujący przeciwko naporowi ciężkiego ciała. Strach. Gniew. Niedowierzenie.

W kilka minut później było po wszystkim. Poczwała ulgę. Mogła spojrzeć w górę, na stojącego nad nią mężczyznę, przerażonego, ze wzrokiem wbitym w jej obnażone, wstrząsane łkaniami ciało.

- O mój Boże! - jęknął. - O mój Boże!

Usłyszała, jak zbiega pędem po zboczach, wyczuwała strach, który nim owładnął. Potrącony kamień odbił się ze stukotem od skały, trzasnęły łamane gałęzie, po czym zapadła ponownie przytłaczająca cisza. Podniosła się z ziemi. „Ja... ja...” - pomyślała i przestała płakać. Obciągnęła sukienkę, wygładzając ją starannie, następnie sięgnęła po wstążkę, którą miała związane włosy. „Codziennie rano Agnes wiąże kokardę w moich włosach, przed ósmą słońce wdziera się przez żaluzje do mojego pokoju, odbijając się w prawym górnym rogu lustra”.

Ręce jej drżały, udało jej się jednak zawiązać jakoś kokardę, może tylko nie tak ładną, jak Agnes. Sukienka i kokarda dają poczucie własnej wartości. „Już po wszystkim i nigdy się to nie powtórzy, na Boga, teraz, gdy już wiem to, co wiem. Ale oni mnie za to ukarzą!”

Zaczęła biec, biec, jak gdyby goniły ją demony, potykając się o kłodę i przewracając, pokąsana przez mrówki, których nie zdążyła strząsnąć, pędząc jak szalona w dół, tam, gdzie skończyły się drzewa i ostra trawa zaczęła smagać ją po nogach.

- Całą sukienkę masz poplamioną trawą! Gdzie byłeś? - spytała Agnes. - Co się stało?

- Upadłam. Potknęłam się o kamień na ścieżce.

- Na ścieżce? Jakiej ścieżce?

- Na Morne. Byłam na spacerze.

- Poszłaś sama na Morne? Po co?

- Miałam ochotę. Czy to nie wystarczający powód?

Agnes patrzyła na nią w milczeniu, zdumiona władcym tonem, którego nigdy przedtem u Tee nie słyszała. Oczywiście, ta arogancja wyływała z przerażenia i stanowiła rodzaj samoobrony. „Jeśli pozwolę, żeby dalej mnie wypytywano, wydobędą ze mnie prawdę. Czego jednak się boję, skoro nie była to moja wina? Zresztą ja też trochę zawiniłam. Och, mogłabym go zabić, patrzeć, jak go rozstrzeliwują na moich oczach, rozrywają na strzępy, i sprawiłoby mi to przyjemność! A mimo to czuję się także winna.” Przypomniało jej się, że ilekroć zdarzał się jakiś wypadek, ktoś omal nie utonął lub spadł z konia, dawano mu brandy. Pere trzymał ją w oszklonym barku w kredensie. Miała ohydny smak, ostry, palący, może jednak skutkuje na przebiegające ją dreszcze. Poszła więc do swego pokoju ze szklaneczką brandy. Dobiegały ją odgłosy wieczornej krzątaniny w

kuchni, gdzie szykowano właśnie kolację, gruchanie dzikich gołębi na trawniku, lecz nawet się nie poruszyła. Brandy sprawiła, że przyglądała się sobie jak gdyby z zewnątrz - skulonej w kłębek, samotnej dziewczynie o przebiegłej, tajemniczej twarzy kota...

Musi przestać o tym myśleć. Jeśli więcej o tym nie pomyśli, to znaczy, że nic się nie zdarzyło.

Przez kilka następnych dni w całym domu rozlegał się zrędlawy głos Pere'a, powtarzającego w kółko z wściekłością to samo pytanie:

- Gdzie, u diabła, podziewa się Clyde?

- Zostawił nie dokończony regał i narzędzia porozrzucane na podłodze. Co za nieodpowiedzialność! - powiedział w dwa tygodnie później, gdy Clyde w dalszym ciągu się nie pojawił.

- Zawsze ci mówiłam - mądrzyła się przez telefon Julia - że nie można polegać na żadnym z nich. A ty się upierałeś, że gdyby żył w innych czasach i warunkach, byłby człowiekiem wykształconym.

- Cóż, nadal tak uważam. Co to ma wspólnego z całą tą sprawą?

Do końca miesiąca panowały straszliwe upały. Potem wyspę nawiedziły burze, błyskawice siekły niebo, ziemia drżała od grzmotów, deszcz lał się strumieniami.

- Cóż to za dziwna pogoda, nietypowa dla tej pory roku - zauważył Pere. - Czy to właśnie z powodu pogody jesteś taka przygaszona, Tee?

- Nie - odpowiedziała.

„Chcę tylko czuć się tak, jak wtedy, gdy Clyde i ja byliśmy jeszcze przyjaciółmi. Nienawidzę tkwiącego we mnie gniewu! Czemu to zrobił? Zniszczył wszystko, co było dobre pomiędzy nami. Wiedział, jaka jestem głupia i nieświadomiona, a mimo wszystko zrobił to. Teraz nie mam już z kim rozmawiać o czymkolwiek, a zwłaszcza o tym. A tyle chciałabym zadać pytań! Kogo mogę spytać? Nikogo!”

Wewnątrz domu przytłaczały ją ściany. Na zewnątrz wznosił się ponury masyw Morne. Morze rzucało groźne błyski. Na całym świecie nie było miejsca, gdzie mogłaby się skryć przed swoją samotnością.

Gdy ustały burze, powróciły znów upały, by nękać wyspę przez całe długie, długie lato. Tee budziła się rano z mokrymi włosami, choć spinała je na noc na czubku głowy. Siadała i, czując zawrót głowy,

kładła się z powrotem. W czaszce terkotało jej, brzęczało, jak gdyby zaległy się tam świerszcze albo żaby. W ustach zbierała się ślina.

- Niedobrze mi - powiedziała, gdy do pokoju weszła Agnes.

- Znowu! To ta wieprzowina. Powtarzam im w kółko, żeby nie przyrządzali wieprzowiny w taką pogodę, ale nikt mnie nie raczy słuchać.

Maty leżące na podłodze wydzielały silny zapach.

- Nie, to te maty... Przyprawiają mnie o mdłości.

- Nigdy dotąd ci nie przeszkadzały! Mają taki przyjemny zapach! Tee! - krzyknęła ostro, bowiem koszula nocna zsunęła się dziewczynie z ramion, obnażając znacznie powiększone piersi. Tee zwymiotowała do miednicy i opadła bezsilnie na łóżko. Pod koszulą uwypuklił się jej brzuch.

- Pokaż no mi się! - rozkazała Agnes. - Nie bądź głupia, masz tam to samo, co inne kobiety! O mój Boże! - Otworzyła szeroko usta, następnie zasłoniła je dłonią, przełknęła głośno i po chwili powiedziała bardzo spokojnym, zdecydowanym tonem: - Odpowiedz mi na jedno pytanie: kiedy po raz ostatni miałaś... no wiesz... kiedy to było?

- Nie jestem pewna. Chyba w maju.

- O, mój Boże! Od maja nic?

- Tak mi się wydaje.

- Tak ci się wydaje? I nie wiesz? Nie wiesz, co ci jest? Nie przyjrzałaś się sobie?

- Co mi jest, Agnes? No, mówże!

- Jezusie, Mario i wszyscy święci! Ona pyta, co jej jest! Będiesz miała dziecko! Naprawdę nie wiesz o tym? Kto ci to zrobił? Gdzie byłaś? - wrzeszczała Agnes, potrząsając dziewczyną tak mocno, że aż rozkołysały się złote kolczyki w jej uszach. - Przecież nie ruszałaś się z miejsca, odkąd tu przyjechałyśmy!

Tee odebrało mowę z przerażenia. Nagle oczy Agnes rozszerzyły się.

- Nie, to niemożliwe! To nie mógł być ten diabelski pomiot Clyde! Mów! Mów! Tee wstała, słaniając się.

- O mój Boże, mówiłam ci, Tee, mówiłam... - Wyciągnawszy krzepkie ramiona, przytuliła dziewczynę do miękkich obfitych piersi, próbując ją pocieszyć.

- Musiałaś się domyślać, prawda? Musiałaś! Bałaś się po prostu dopuścić taką myśl. Och, ty głuptasie, biedne maleństwo, biedne dziecko... ten drań... co my z tobą poczniemy?

Tee usłyszała swój zmieniony głos.

- Nie miałam pojęcia... Nikt mi nigdy nie wyjaśnił.

- Co my z tobą poczniemy? - lamentowała nadal Agnes. - Dobry Boże, co tu zrobić?

Jej przerażenie udzieliło się Tee, zęby zaczęły jej szczekać, ramiona pokryły się gęsią skórą.

- Tobie jest zimno, spójrz tylko na siebie! - Agnes otuliła Tee kocem. - Taki upał, a ty się trzęsiesz. - Roztarła jej plecy, wyrzekając wniebogłosy: - Mężczyźni! Mówiłam ci...

- Nic mi nie mówiłaś...

- Masz rację, stanowczo za mało. Mężczyźni! Nie wolno im ufać, nawet najlepszym, po prostu żadnym! Im wcześniej dziewczyna się tego nauczy, tym lepiej dla niej. Och, ten świat to przekłete miejsce dla kobiet, tak, tak...

- Co się ze mną stanie, Agnes?

- Nie mam pojęcia, ale wiem jedno. Zamierzam się tobą zająć, nie martw się ani przez chwilę. Agnes nie opuści cię w biedzie.

Był zwykły ranek, w ukwieconym pokoju pełnym odgłosów codziennej krzątaniny, śpiewu ptaków za oknami, brzęczenia kosiarki one obie płakały rozpaczliwie, dziewczyna z przerażenia, dorosła kobieta z gniewu.

Niczym zwierzątko, lękające się opuścić klatkę, Tee kryła się w swym pokoju przez cały tydzień. Agnes przynosiła jedzenie na tacy, ona jednak nie była w stanie przełknąć ani kęsa.

- Co mówi Pere? - dopytywała się wciąż.

- A co może mówić? Ma złamane serce.

- Czy kiedykolwiek się do mnie odezwie?

- Z pewnością, z pewnością. Musiała się dowiedzieć, jak się mają sprawy, co zamierzają z nią zrobić. Stojąc za

uchylonymi drzwiami, starała się dosłyszeć, o czym rozmawiają Pere i Agnes w gabinecie.

- My przynajmniej uczymy nasze dziewczęta, by uważały - zawodziła Agnes. - Każemy im nosić nożyczki i szpilki do kapeluszy w kieszeniach sukienek. - Roześmiała się. - Czasami nie na wiele się to zda, ale przynajmniej, kiedy coś się dzieje, są tego świadome! A

białe panienki - tak jak to biedactwo! Są głupie jak maleńkie dzieci aż do dnia ślubu!

Potem rozmowa stała się niesłyszalna dla uszu Tee. Wreszcie Pere powiedział:

- Cóż, będzie, co ma być, Agnes, nie ma rady... Kochamy ją i musimy jej pomóc. Gdyby jej matka kiedykolwiek się dowiedziała...

- Niech Bóg broni, zabiłaby ją!

- No, może niezupełnie - odparł z przygnębieniem Pere. - Ale jej życie nie byłoby warte funta kłaków. Przynajmniej tutaj.

„Życie Pere'a również” - pomyślała Tee. Oparła głowę o framugę drzwi. „Gdybym umarła, wszystko miałabym już poza sobą... Ale nie wierzę, naprawdę... To jakaś pomyłka. Coś musi się zdarzyć, żeby wszystko powróciło znów do normy... Coś...”

- Odnaleziono Clyde'a po drugiej stronie wyspy - powiedziała Agnes. - W Lime Rock. Ma tam chyba rodzinę.

- Naprawdę? Chciałbym, żebyś zaniósła mu ode mnie wiadomość, Agnes. Powiedz mu... powiedz, że chcę go widzieć. Jest mi potrzebny, mam ochotę wybrać się na ryby, a on świetnie sobie radzi z moją łódką.

Szóstego wieczora Pere przyszedł w końcu do pokoju Tee. Siedziała właśnie przy oknie, wpatrując się w ciemność, gdy stanął w drzwiach.

- Mogę wejść? - spytał cicho. Wszedł i usiadł w przeciwległym rogu pokoju. - Mam ci coś do powiedzenia, zanim zaczniemy rozmowę na inny temat. Byłem dziś na rybach. Z Clydem. Zdarzył się... wypadek. Ocean był bardzo wzburzony. Clyde wypadł za burtę i nie udało mi się go wyciągnąć... Nigdy nie umiał zbyt dobrze pływać.

Tee nie odezwała się nawet słowem.

- Pomyślałem, że może chciałabyś o tym wiedzieć.

Spojrzała na dziadka, który czekał na jej reakcję. Jego zmęczone oczy były pełne troski. Tee gapiła się nań tępym wzrokiem. Odczuwała ciężar swej apatii. Clyde nie żył i to Pere spowodował jego śmierć. Było to jasne jak słońce, ale jej mózg pracował tak powoli, że minęło kilka minut, zanim wszystko do niej dotarło.

Pere podszedł do niej i pogłaskał po głowie.

- Skomplikowana sprawa. Sprawiedliwość i miłosierdzie. Tak - mruknął sam do siebie. - Trudne. Bardzo trudne.



„A więc Clyde jest martwy. Tak samo, jak Browningowie, papuga cesarska i kamienne kwiaty Gaudiego w Barcelonie. Marzenia. Chłopięce marzenia. Czemu zniszczyłeś to wszystko, nie tylko dla mnie, lecz również dla siebie? Mogłeś żyć dla tylu rzeczy. Nawet jeśli żadne z twoich marzeń miałyby się nie spełnić, tak wiele miałeś w sobie. Dziwne - pomyślała - nie czuję już tego gniewu, co przedtem. Może pozostał jeszcze gdzieś na dnie, ale jest już inny. Pere cieszy się, że Clyde nie żyje, ale mnie jest smutno, wszystko to jest takie straszliwie smutne.”

- Tee, moja mała dziewczynko - powiedział Pere - postanowiłem, że pojedziesz do Francji. Mam starego przyjaciela w Paryżu. To artysta. Zrobi dla mnie wszystko, dla ciebie też. Mam do niego absolutne zaufanie.

- Francja - powtórzyła.

- W przeciwieństwie do nas, Francuzi nie przejmują się zbytnio takimi sprawami. Skandalami - to miał na myśli. Pomimo swej francuskiej krwi zawsze mówił, że są niemoralni.

- A potem?

- Zobaczymy. Wszystko po kolei. Agnes pojedzie z tobą. Oczywiście na statku będzie jadła osobno, ale we Francji może uchodzić za twoją przyjaciółkę. Możecie mieszkać razem i jadać przy wspólnym stole.

- Przy jednym stole z Agnes?

- Tak, we Francji jest to przyjęte. Oni mają inne poglądy na temat koloru skóry. Agnes będzie się tobą opiekować. Wie, co robić. Może pójdziemy teraz razem coś zjeść? Agnes powiedziała, że jesteś głodna.

- Nigdy nie jestem głodna.

- Chodź, chodź, Adela jest jeszcze w kuchni. Poda ci przynajmniej parę herbatników i trochę owoców. No, chodźże! Oni myślą, że byłeś po prostu chora.

- Pere - szepnęła. - Nie wiem, czy starczy mi odwagi.

- Z pewnością starczy. Nasza rodzina jest twarda.

- Ale ja nie jestem. - Tee była nieśmiała, wечно pogrążona w książkach. Czy nie powtarzali jej tego bez przerwy?

- Właśnie, że jesteś. Twarda w środku. Jak wiotkie drzewo, które nie poddaje się huraganowi.

Objął ją ramieniem. W łagodnym półmroku Tee dostrzegła łąki lśniące na jego policzkach.

Miała wypłynąć z Fort de France na Martynice pod koniec miesiąca.

- Ależ ona jest już za duża, by posyłać ją do szkoły! - zaprotestowała Julia, mając na myśli: „Ma już piętnaście lat, powinna zacząć spotykać się z młodymi mężczyznami.” Mówiła to już przedtem dziesiątki razy i powtórzyła teraz, w ostatnią niedzielę przed wyjazdem Tee.

- We Francji zobaczysz śnieg - zauważył Virgil, sprowadzając rozmowę na bezpieczniejsze tory.

- Przypomina nieco piasek - wyjaśnił ochoczo wujek Herbert. - Jeśli potrafisz wyobrazić sobie piasek lecący z nieba, a w dodatku całkiem biały i zimny.

- Ty w ogóle nic nie jesz! - zdenerwowała się Julia.

- Jest podekscytowana - upomniał Julię Pere. - To całkiem naturalne przed taką podróżą, nie sądzisz? - Jednocześnie popatrzył na Tee błagalnym wzrokiem.

Przez wzgląd na niego, przełknęła łyk zupy. „Co ja pocznę bez ciebie, Pere? Tak bardzo boję się wyjechać... ale jeszcze bardziej - zostać.”

Jakoś przeżyła ten obiad, a w dwa dni później znalazła się na pokładzie statku.

Ponieważ pokład znacznie górował nad nabrzeżem, Tee spoglądała z wysoka na znajome twarze, widziała łyzy Julii i nienaturalny uśmiech Pere'a. Od świtu ładowano na statek paliwo - kobiety ciągnęły długim szeregiem od składu do ładowni, niosąc węgiel w koszach na głowach. Wreszcie pracę zakończono i wciągnięto trap. Z boku widniał na nim napis: „Compagnie Generale Transatlantique”. Statek zadygotał i ruszył. Z fortu rozległa się pożegnalna salwa, przerażone mewy i wrony zaczęły wykonywać szalone ewolucje nad portem. Statek zatoczył wielki łuk w kierunku otwartego morza.

- Nigdy tu nie wrócę - powiedziała Tee.

- Ależ wrócisz! Oczywiście, że wrócisz! - wykrzyknęła Agnes.

- Nie, nigdy. Chyba tylko wówczas, gdy będą mnie chować.

- Cóż to za gadanie w twoim wieku? Chodź, zejdziemy na kawę. Mamy też pudełko migdałowych ciasteczek i placek.

- Nie, jeszcze nie teraz.

„Stoję przy nadburciu, wpatrując się w oddalający się ląd. Opuszczam cię, Pere. Opuszczam cię, mamó, i jest mi smutno z tego powodu, ponieważ na swój sposób ty również mnie kochałaś. Mam taki zamęt w głowie! Kto będzie jeździł chłodnymi rankami na Księżniczce i przynosił cukier do stajni? Kto pożegluje na « Lovely Lady» wzdłuż przylądka do Covetown? Czy ktokolwiek zapyta o mnie. gdy rozpocznie się nowy semestr w szkole, czy zastanowi się, czemu wyjechałam? Wszystkie moje książki... pewnie je oddadzą, tak jak książki ojca po jego śmierci. Nic nie zostanie po mnie na St. Felice, absolutnie nic. A więc, żegnajcie. Żegnaj Morne i mała rzeczulko Spratt, żegnaj wietrze i słońce. Nie mam pojęcia, dokąd jadę, wiem jednak, że muszę jechać”.

Około czwartej statek wziął kurs na północny wschód, zostawiając daleko w tyle St. Felice. Była już zaledwie plamką na horyzoncie. „Albo żółwiem - pomyślała Tee tak, jak kiedyś, gdy była jeszcze dzieckiem - okrągłym, śpiącym żółwiem, spoczywającym w morzu.”

## Rozdział 2

Silny podmuch wiatru uderzył w północne okno na poddaszu pracowni.

- To okropne, że witamy cię w Paryżu taką brzydką, ponurą pogodą. Po St. Felice musi to być dla ciebie przygnębiające - powiedział Anatole Da Cunha.

Tee, która stała ze wzrokiem wbitym w czubki swych zakurzonych bucików, podniosła wreszcie oczy i zobaczyła, że jej się przygląda. Jego oczy o łagodnym wyrazie były rudawobrazowego koloru, podobnie jak włosy i czubki poplamionych farbą palców.

- Proszę, możesz przeczytać list - powiedział.

Czarne, pionowe pismo odcinało się wyraźnie od białej kartki, na końcu widniał zamaszysty podpis: Virgil Horace Francis.

- Nie muszę. Znam jego treść.

- Wobec tego pozbadźmy się go. Spójrz.

Strzępki papieru frunęły do kominka, zamieniając się po krótkiej chwili w kupkę szarego popiołu.

- A więc, Tereso, nikt tutaj nic o tobie nie wie, z wyjątkiem twojej służącej, do której masz zaufanie, oraz mnie, któremu ufa bez zastrzeżeń twój dziadek.

- A czemu tak panu ufa?

- Ponieważ jestem jego dłużnikiem i on wie, że nigdy mu pewnych rzeczy nie zapomnę. Gdy miałem osiemnaście lat - teraz mam czterdzieści - przyszedł mi z pomocą. Nie ma sensu wdawać się w szczegóły. Okazał przyjaźń mnie, Żydowi bez żadnej pozycji na wyspie...

- Pan jest Żydem?

- Tak. Moi przodkowie przybyli na wyspy z Portugalii przez Brazylię w tysiąc sześćset którymś tam roku. Prowadzili handel ze wszystkimi wyspami. Teraz są, oczywiście, anglikanami, z wyjątkiem mojej gałęzi. A ja jestem ostatnią gałązeczka na tej cienkiej gałęzi, która ciągle się jakoś trzyma. Nie widziałem twojego dziadka od dwudziestu lat, to znaczy od jego ostatniego pobytu w Europie.

Tee była straszliwie oszołomiona tego dnia, gdy po raz pierwszy przyjechała do wielkiego, przytłaczającego miasta, jakiego nie umiała sobie wyobrazić: nieprawdopodobny ruch, zabudowania ciągnące się kilometrami i ten dom przy ulicy ogrodzony murem tak wysokim, że widać zza niego jedynie dachy. Człowiek czuje się jak

schwyty w pułapkę. Tu, w tym zimnym pokoju, gdziekolwiek rzucić okiem, stały obrazy. Na sztalugach w rogu ustawiony był portret całkiem nagiej kobiety, bezwstydnie nagiej, nic nie ukrywającej. Ale skoro Pere lubi tego dziwnego człowieka, wszystko jest widocznie w porządku.

- Marcelle! - zawołał głośno Anatole. - Możesz już wejść. Tereso, to moja przyjaciółka, moja pani. Mieszka tutaj ze mną.

Teresa wyciągnęła rękę. Ukłuły ją długie, spiczaste paznokcie Marcelle. Kobieta pocałowała ją w policzek. Jej bystra, inteligentna twarz była bez wątpienia twarzą nagiej modelki z obrazu.

- Ach, tak - powiedział Anatole. - Marcelle jest jedyną osobą spoza naszego grona, która wie, dlaczego tu przyjechałaś. Nie obawiaj się jednak. Urządziła wszystko dla ciebie w swoim małym domku na wsi. Będzie ci tam wygodnie, a poza tym nie ma obawy, byś natknęła się na kogoś, kto zna twoją rodzinę. Nikt nie będzie cię o nic pytał. Ludzie na wsi nie naprzykrzają się obcym, najwyżej plotkują za ich plecami, a co to cię obchodzi? Pojedziemy tam jutro.

Domek stał przy końcu jedynej uliczki w wiosce, był ostatni w szeregu starych domów pomiędzy kościołem a merostwem. Składał się ze skromnej kuchni oraz dwóch sypialń.

Agnes prychnęła pogardliwie. Od pierwszej chwili czuła antypatię do Anatole'a i Marcelle.

- Musze panu powiedzieć, monsieur, że panienska Teresa nie jest przyzwyczajona do takich warunków.

- Wiem o tym doskonale - odpowiedział spokojnie Anatole. - Ale w tych okolicznościach pierwszeństwo mają rzeczy najważniejsze. Masz tu zapewnione ciepło i opiekę, Tereso. Za kilka miesięcy - łatwo tak mówić, wiem - ale za kilka miesięcy naprawdę będzie po wszystkim.

Nastała lodowata zima. Mrok rozgościł się w starych drzewach i trzeba było wcześniej zapalać lampy. W domu podają o tej porze herbatę z plackiem czekoladowym, a w Drummond Hall te wspaniałe kruche ciasteczka, które wujek Herbert przywozi z cukierni w mieście. Na płątku purpurowego kwiatu kanny pozostała kropla popołudniowego deszczu, lekki wietrzyk przyjemnie chłodzi kark. W zagrodzie Księżniczka z pewnością pije wodę z koryta, podnosząc co chwila rasowy łeb, by parsknięciem wyrazić swoje zadowolenie, po

czym znów zanurza pysk w wodzie. A mama z małą Julią i Lionelem... Tee zamruwała powiekami.

Od pięciu minut czytała w kółko to samo zdanie. Myślni była pięć tysięcy kilometrów stąd - a może nawet sześć? Westchnąwszy, odłożyła książkę i splótła zimne dłonie.

Agnes czytała gazetę. To było dziwne uczucie przyglądać się jej podczas odpoczynku. Tak się złożyło, że Tee zawsze miała do czynienia z Agnes zajęta jakąś pracą. Nigdy dotychczas nie widziała jej w trakcie posiłku. Jeśli się nad tym zastanowić - a w tym okresie wyczekiwania i izolacji Tee rozmyślała o wielu dziwnych sprawach - rytuał jedzenia jest czymś szalenie osobistym i poważnym. Agnes jadła delikatnie, w zamyśleniu, cichutko. Ciekawe, o czym myślała. Julia zauważyła kiedyś, że Agnes jest zadziwiająco wytworna, *eleve au chapeau* - wychowana odpowiednio, by nosić kapelusz, mieć maniery jak biała kobieta. Teraz, w półmroku, złote paciorki, jej *colliers - choux*, połyskiwały na brązowej szyi.

- Patrzysz na moje paciorki, podobają ci się? Podarował mi je mój kochanek, gdy miałam piętnaście lat, byłam troszkę młodsza od ciebie. Płacił za nie przez trzy lata. - Roześmiała się. - Dobrze, że zdążył je spłacić, zanim mu się znudziłam.

- Mieszkałaś z nim... ze swoim kochankiem?

- Oczywiście! Jasne!

- A mówisz, że Marcelle jest zepsutą kobietą, ponieważ mieszka z Anatolem.

- No cóż, rzeczywiście tak jest. Nie powinnaś obcować z ludźmi w rodzaju Marcelle. Różnisz się bardzo ode mnie, jesteś młodą białą damą z dobrej rodziny. Tak, różnimy się - powtórzyła Agnes z ustami wykrzywionymi może gniewem, a może smutkiem.

"Wcale jej nie znam" - pomyślała nagle Tee, wyczuwając zmieszanie Agnes. „Zawsze widziałam w niej tylko służącą."

Chłód sączył się przez ściany pokoju, sprawiając, że robiło się w nim jeszcze bardziej ponuro. Brzemień pod fałdami jej wełnianej spódnicy stawało się coraz cięższe. Pragnęła popędzić czas, a równocześnie pragnęła go zatrzymać, aby to, co miało się zdarzyć, nigdy się nie zdarzyło. Zegar tykał jednostajnie, potęgując wrażenie ciszy, która przytłaczała ją niczym kamień młyński.

Słyszając głos ptaka w ogołoconym z liści krzaku, Agnes spojrzała w okno.

- Posłuchaj. Siffleur - de - montagne! - Westchnęła. - Mój Boże, nie przypuszczałam, że są tu w ogóle ptaki. To miejsce nie nadaje się do życia nawet dla nich.

- Ależ tak - powiedziała z wysiłkiem Tee. - Anatole mówi, że wiosną zawsze tu powracają, jest ich mnóstwo. Wszystko się wtedy zieleni.

- Zobaczymy. Tak czy owak wiosną twoje kłopoty się skończą. Przynajmniej to dobre.

Skończą się jej kłopoty! Niech wreszcie przestaną jej to powtarzać! Łzy wymknęły się spod jej zaciśniętych powiek i stoczyły ku drżącym wargom, które pozostały nieme. Zaciśnęła pięści, jak gdyby chcąc opanować strach, że te łzy nigdy nie przestaną płynąć, że zawsze będzie siedziała na łóżku w kącie jakiegoś ciemnego pokoju, z brodą opartą o podkurczone kolana albo wyprostowana na krześle, zagapiona w jakiś punkt, z oczyma pełnymi niepotrzebnych łez, tak jak nieszczęsna kuzynka rodziny Berkeley'ów w Belleclaire, o której wspomnianie w rozmowie stanowiło nietakt.

- Przepraszam, przepraszam, Agnes. Nie chcę być nieznośna, tylko... tylko jesteśmy takie samotne tutaj, w tej ciszy, niczym na końcu świata.

- Ach, przestań! Nie musisz ukrywać przede mną swoich mokrych oczu!

- Naprawdę próbuję...

- Wiem, wiem, zawsze taka byłaś. Przychodziłaś do domu z rozbitym kolanem i zagryzałaś wargi, żeby się nie rozplakać, biedne maleństwo! Posłuchaj, czasem dobrze jest się wypłakać, pozbyć się tego kłębka dławiącego w gardle.

Agnes wstała, a jej gazeta zsunęła się na podłogę.

- Co za zwariowany świat! Biedna Tee, moje nieszczęsne maleństwo! Gdybym tak mogła wyjąć to, co masz tam w brzuchu i włożyć do mojego! Mam czterdzieści osiem lat i nic mi z tego nie wyszło! Możesz to sobie wyobrazić? A tak bardzo tego pragnę, podczas gdy ty...

- Chciałabym umrzeć.

- Nie umrzesz. Jesteś młoda i silna. Następnego dnia wstaniesz z łóżka. Tee uderzyła w swój wzdęty brzuch.

- Nienawidzę tego. Jednocześnie przykro mi, że tak jest. Czy jesteś w stanie to zrozumieć?

- Tak. Tak! Mnie także jest przykro.

Agnes rozplakała się. Mały pokój wypełniły jej głośne łkania. Było to wręcz nie do zniesienia. Tee wstała, przeszła do sypialni i położyła się na łóżku. W półmroku majaczył na kredensie nie dokończony obraz Anatole'a.

- Czy zrobisz coś dla mnie? - spytał kiedyś. - Chciałbym cię malować w tym stanie. Nigdy nie pozowała mi brzemienna modelka.

Uległa, obojętna, usiadła, a raczej ułożyła się na wół drzemiać, Anatole zaś pracował, mówiąc coś bez przerwy.

- Płodne ciało. To piękne, wiesz? Nie kręć głową! Pewnego dnia poczujesz to, o czym mówię, będziesz miała upragnione dzieci, będziesz odczuwała dumę. Nie dopuszczasz w tej chwili takiej myśli, ale to pewne.

Przeskakiwał z tematu na temat, wpadając w zadumę, myśląc głośno, jak gdyby było mu obojętne, czy Tee słucha go, czy nie. Do tej pory w jej głowie pozostały echa tej rozmowy.

- ...dziwne rzeczy działy się na naszej cholernej wysepce. Na wszystkich wysepkach. Pewnego razu ukarano grzywną plantatora, który spłodził Mulaciątko. Grzywna wynosiła chyba dwa tysiące funtów cukru. Kobieta z dzieckiem oddano mnichom jako niewolnicę. Było to za panowania Francuzów. Cóż, zawsze brakowało białych kobiet. Gdzieś w osiemnastym wieku przysłano pełen statek kobiet z Paryża. Biedule, pozbierane Bóg wie gdzie, wymagano od nich tylko, by nie były ospowate i dość młode, żeby rodzić dzieci! Te wszystkie gadki o arystokratycznych rodzinach na wyspie! A teraz nadeszły czasy, w których domieszka murzyńskiej krwi stanowi o pewnym stylu. Jak w przypadku Aleksandra Dumasa. Mówi się, że nawet cesarzowa Józefina, choć nie jestem pewien...

Tee przewracała się z boku na bok, nie mogąc znaleźć sobie miejsca na poduszce. Za dużo, za dużo do myślenia. Dwaj Clyde'owie, jeden delikatny, czuły, rozumiejący wszystko... i tamten drugi. I dwóch Pere'ów - wielkoduszny, łagodny... i tamten, który zabił człowieka. Dla niej. A wszystkim tym okropnościom dało początek zaledwie kilka minut, przyczyną całego koszmaru był ptak w klatce, senne popołudnie i... i głupia, nieświadomiona dziewczyna, która nie rozumiała nawet własnych uczuć!

Ukryła w zimnych dłoniach płonąca twarz. Z kuchni dobiegło bicie zegara, dziwnie odległe i ciche, resztkami świadomości zdała



sobie sprawę, że nadciąga sen. Och, dobrodziejstwo snu, długie noce, będące ucieczką! Gdyby tak mogły być dwakroć dłuższe, gdyby wymazały całkiem dni! Przeszłość, terażniejszość i przyszłość - chciała, żeby wszystko zostało wymazane!

Niektórzy ludzie, gdy znajdują się w matni, nie mogą spać, na szczęście Tee mogła i to prawdopodobnie ją uratowało.

Gdy niewiarygodny ból wreszcie minął, dobiegła ją z kuchni przyciszona rozmowa. Po chwili głosy stały się wyraźniejsze.

- ...silny chłopak. Mógłby uchodzić za Syryjczyka lub Greka. - To był głos Marcelle.

Potem usłyszała donośny dźwięk, ni to gruchanie, ni to śpiew. Agnes. Teraz mówił Anatole:

- Owiń go i zanieś do mamki. Niech tam pozostanie, póki Teresa nie wydobrzeje. Za kilka dni wracamy do Paryża.

Rozmawiali coraz głośniejsze, z coraz większym podnieceniem. Uniósłszy głowę, Tee widziała przez uchylone drzwi długie cienie tańczące na ścianach kuchni.

- Słuchaj - powiedział Anatole - ustaliliśmy już wszystko i nie ma o czym mówić. Ona nie może go zobaczyć! To jedyne humanitarne, rozsądne wyjście, tak się postępuje w podobnych przypadkach. Nie może go przecież zatrzymać, po co więc jeszcze rozszarpywać rany? Zabierz go, Agnes. Natychmiast.

- Czy nie powinnam, mimo wszystko? - odezwała się cichutko Tee. - Czy nie mogłabym?

- Co mówisz, kochanie? - spytała Marcelle, podchodząc do łóżka. - Spójrz na...

- Nie! - odparła z przekonaniem Marcelle, zaciskając wargi. - Nie. Rozległ się pierwszy krzyk dziecka - długi, wibrujący, przzerwany na moment dla

nabrania oddechu, po czym rozpląnął się w żalnym kwileniu. Ten dźwięk poruszył jakąś strunę w sercu Tee. Oto jest, po tylu długich miesiącach - nieproszony, nie chciany, i już płacze...

- Chcę go zobaczyć - szepnęła.

- Nie ma mowy. Nic przez to nie zyskasz, a możesz wiele stracić. Leż i odpoczywaj, bądź grzeczną dziewczynką, a resztę pozostaw nam, dobrze?

Poczucie winy, wyrzuty sumienia, ulga - wszystko huczało w zmęczonej głowie Tee. Zaprotestowała jeszcze raz.

- Ale czyż nie jest to potworne ze strony matki... - urwała na słowie „matka”, tak niestosownym, tak niewłaściwym w odniesieniu do niej.

- Potworne! - oburzyła się Marcelle. - Potworne jest to, że taka dziewczyna jak ty, jeszcze dziecko, znalazła się w podobnych tarapatach! Posłuchaj, Tereso, od tej pory musisz na siebie uważać. Instynkt samozachowawczy to sprawa najważniejsza, zapamiętaj sobie na całe życie.

- Posłuchaj jej, Marcelle ma rację - rzekła Agnes wchodząc i pochylając się nad łóżkiem. - Lepiej nie oglądaj tego dziecka. Ono pójdzie swoją drogą, ty swoją. Nigdy nie będzie to droga wspólna. Pozwól, że zbiorę ci włosy z szyi i zwiążę je wstążką.

Żółte wstążki, różowe wstążki, taftowe, aksamitne. Sine cienie rzucane przez Morne, które wpadając przez okno, kładły się na lustrze. Agnes wiążąca kokardę...

- Nie płacz, Tee. Dostyc już łez wylałaś. Teraz nabieraj sił. Jesteś strasznie wyczerpana.

- Przestań torturować samą siebie, przestań się martwić - strofowała ją Marcelle. - Przecież powiedziałam ci, że Anatole o wszystko zadba. Nie musisz zawracać sobie tym głowy. Anatole dostał instrukcje i mnóstwo pieniędzy, a Agnes zatrzyma dziecko. Powiedz jej, Agnes.

- Cóż, znasz mnie, wiesz, czego zawsze pragnęłam. Będę więc teraz to miała, prawda? - Dwie ciepłe, silne dłonie ujęły rękę Tee.

- Nie uważasz, że to świetne rozwiązanie? - spytała radośnie Marcelle. - Agnes poda go za swoje dziecko. Zamieszkają prawdopodobnie w Marsylii. To miasto, gdzie mówi się we wszystkich językach, panuje tam ogromny ruch, jedni wyjeżdżają, inni przyjeżdżają, nie będzie się więc czuć samotna. Przyznajesz, że to dobry pomysł?

- Dobry pomysł - powtórzyła Tee.

Nie musi się więc zastanawiać, co począć, ani podejmować żadnych decyzji. Tak jest chyba lepiej. W jej głowie panował taki zamęt, że nie mogła pozbierać myśli i prawdopodobnie jeszcze przez długi czas jej się to nie uda.

- Masz strasznie popękane wargi. Napij się trochę wody. A więc - powiedziała z ożywieniem Marcelle - wszystkie kłopoty są już za tobą. Skończyły się, Tereso.

Tee spojrzała w jej czujną, stanowczą twarz. Takie twarze mają ludzie, którzy potrafią rozwiązywać problemy, potrafią odnaleźć się w świecie.

- Dokąd ja teraz pojedę? - spytała cichutko. - Co będę robiła?

- A czy chcesz wrócić do domu?

Do domu, Pere'a i wspólnej tajemnicy. Do domu i Julii. Do domu i Morne Bleue. Na wyspie praktycznie nie ma takiego miejsca, z którego nie widać Morne Bleue, chyba żeby wpatrywać się wyłącznie w morze.

- Nie, nie wrócę tam. Nigdy tam już nie wrócę.

- Nigdy to bardzo długi okres. Ale jestem w stanie to zrozumieć. Zostaniesz więc z nami. Anatole coś wymyśli - powiedziała z dumą Marcelle. - Zawsze można na niego liczyć.

Pokój na górnym piętrze domu Anatole'a miał balkon, na którym stały trzy skrzynki z pelargoniami. Można było siedzieć na nim i przyglądać się, jak miasto budzi się ze snu, miasto, o którym tak często opowiadał Pere, miasto kwiatów i uciech. Nie stanowiło jednak dla niej pokusy.

Tee wzdrygnęła się, choć późnowiosenne słońce grzało przyjemnie. Przesunęła dłonią po szczupłej znów talii i płaskim brzuchu.

- To przywilej młodości - uśmiechnęła się Marcelle. - Mięśnie ściągają się z powrotem jak guma.

Tee pomyślała znów: „Powinnam była przynajmniej popatrzeć na nie” - nie była w stanie nawet w myślach użyć słów „on” czy „niego”. A przecież wiedziała, że gdyby „je” przyniesiono, żeby jej pokazać, bałaby się na nie spojrzeć. Z pewnością więc postąpiła słusznie. „Dokąd byś z nim poszła? Co byś zrobiła?” - powtarzali wciąż Marcelle i Anatole.

- Kiedy masz zamiar kupić tej dziewczynie trochę sukienek? - spytał Anatole pewnego dnia.

- Gdy tylko będzie gotowa. Proponowałam ci to już wiele razy, prawda, Tereso? Chcę cię nauczyć, jak się ubierać, żebyś nie wyglądała na prowincjuszkę, gdy zaczniesz bywać tu i tam.

- Gdzie miałabym bywać? Nie mam dokąd pójść.

- Rzeczywiście, jak gdyby nie było całego Paryża. Może spodziewasz się, że sam przyjdzie do ciebie, na twój balkon?

Tee, która zaczynała się przyzwyczajać do ostrego języka Marcelle, uśmiechnęła się leciutko.

- Czy wiesz, że jesteś bardzo ładna, gdy się uśmiechasz? - spytał Anatole.

- Nie jestem ładna.

- Kto ci to powiedział?

- Nikt. Po prostu zawsze to wiedziałam.

- A więc się myliłaś.

- Jestem niezgrabna, zbyt poważna, zbyt nieśmiała. Ja...

- Niezgrabna? Ależ ty masz mnóstwo wdzięku! Owszem, jesteś zbyt poważna i nieśmiała...

- Zostaw ją, Anatole. Czy wybierzesz się jutro ze mną do miasta, Tereso? Po pierwsze, musimy obciąć ci włosy.

- Och nie! - zaprotestował Anatole. - Jej włosy są tak podniecające.

- Dobrze, ale nikt się teraz tak nie czesze. Mamy rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy.

Tak więc zaczęły się wycieczki w dół stromymi schodami przed Sacre Coeur, a dalej zatłoczonymi ulicami. Marcelle troskliwie prowadziła Tee, jak gdyby była ona chora lub ślepa, trajkocząc, trajkocząc przez cały czas, u fryzjera, w sklepie z obuwem, u modystki.

- Spójrz na tę młodą dziewczynę, Tereso.

- Którą, gdzie?

- Tę w niebieskiej sukni z perłami na szyi, wartymi fortunę. Towarzyszący jej starszy pan z pewnością nie jest jej ojcem. Uważaj, kochana Tereso, zawsze śnisz na jawie. O czym myślisz? Byłaś tak daleko stąd.

- Myślałam, że to dziwne uczucie nie widzieć tu ciemnych twarzy.

- Czyżby ci ich brakowało?

- Tęsknię za Agnes, nie mogę o niej zapomnieć.

- Cóż, muszę przyznać, że była dla ciebie bardzo dobra, zresztą otrzymała sowitą zapłatę. Została zabezpieczona i naprawdę ją to usatysfakcjonowało. Teraz musimy zająć się tobą.

Przez krótką chwilę szły w milczeniu, po czym znów odezwała się Marcelle.

- Anatole i ja przedyskutowaliśmy tę sprawę. Musisz wcześniej wyjść za mąż, Tereso. To będzie dla ciebie najlepsze. Zresztą, co może być lepszego dla kobiety? Wiem, że sobie teraz myślisz: „To ona mi mówi o małżeństwie!” Ale ty, to nie ja. Wiesz, skąd pochodzę. Lepiej mi się powodzi z Anatolem niż kiedykolwiek, choćby się nawet ze mną nie ożenił. Owszem, wiele dałabym za to, żeby stać się poważaną zamężną kobietą, ale to niemożliwe i koniec! Z tobą sprawy mają się całkiem inaczej.

- Dziwne. To samo powiedziała Agnes.

- Jasne. Jest realistką. Murzyni muszą być realistami. Wiedzą, jaki jest świat, jak działa cały ten mechanizm.

Obok nich przeszła para młodych ludzi i skryła się w parku. Ojciec niósł na barana małe dziecko. Spoglądając na nich, Tee spytała gorzko:

- Kto się ze mną ożeni? Kto mnie zechce?

Marcelle dosłownie wmurowało w ziemię.

- Dobry Boże, cóż z ciebie za straszliwy głuptas! Nie zamierzasz chyba powiedzieć przyszłemu mężowi o tej nieszczęsnej sprawie? - I dodała znacznie już łagodniej: - Posłuchaj, Tereso, miałaś pecha, przydarzyło ci się nieszczęście i im prędzej o tym zapomnisz, tym lepiej dla ciebie. Ukryj swą tajemnicę w najgłębszym zakamarku serca. Czy sądzisz, że każda kobieta, która poślubia księcia, musi dostarczyć podpisaną przez notariusza historię swego życia? Kobiety muszą być sprytne, Tereso. Niech cię nigdy nie podkusi, by obnażyć przed mężczyzną całą duszę. Gdy pozna prawdę, odrzuci cię jak jednorazową chusteczkę, w którą przedtem wytarł nos. To właśnie przykre strony bycia kobietą. Mężczyzna mówi ci, że kocha twoją duszę, ale naprawdę kocha twoje ciało, świeże i nietknięte, twoje włosy, piersi i wstążki na uroczym kapelusiku. Zapamiętaj to sobie.

- To takie smutne - powiedziała Tee, ale w głębi duszy była przeświadczona, że Julia na miejscu Marcelle zachowałaby się tak samo.

- Być może, ale tak jest i koniec.

- Zaczynasz czuć się lepiej - zauważył Anatole tego wieczora i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Chodź, chciałbym ci coś pokazać. Właśnie skończyłem. Umieściłem cię na tle winorośli.

Na oprawionym już w ramy obrazie, pośród bogactwa listowia i kiści winogron, siedziała dziewczyna, skromna i sztywna postać w

brązowej wełnianej sukni, fala gęstych włosów częściowo przesłaniała jej twarz. Szczupłe, niebieskawobiałe ręce obejmowały wydatny brzuch.

- Winogrona dojrzały już do zerwania. Ładna paralela, prawda?
- Wydaje mi się niemożliwe, bym mogła tak kiedyś wyglądać.
- Może nie powinienem ci tego pokazywać?
- Dlaczego nie? Nie mogę przecież wciąż uciekać przed sobą.

Anatole zmrużył oczy w uśmiechu.

- Nareszcie doroślejesz. Kilka miesięcy temu miałaś szesnaście lat i psychikę dwunastolatki. Teraz jesteś nawet poważniejsza nad swój wiek. Naprawdę się zmieniłaś, Tereso.

„No cóż, w każdym razie na pewno się zmieniam” - pomyślała Tee.

- Myślę, że jesteś już gotowa - mówił dalej Anatole.
- Gotowa do czego?

- Chciałbym, żebyś poznała pewnego młodego mężczyznę. Amerykanina. Jest maklerem i kolekcjonerem dzieł sztuki. Przyjeżdża tu od kilku lat.

- Wiem, czemu to robisz - powiedziała po chwili milczenia.

- Oczywiście. Myślę, że gdyby wszystko poszło po mojej myśli, byłby dla ciebie odpowiednim partnerem.

- Nie o to mi chodziło. Po prostu ty naprawdę nie wierzysz w takie rzeczy. Tee zaskoczyły jej własne słowa. Jeszcze przed kilkoma miesiącami wiedziała zbyt mało, by kogokolwiek oceniać lub wypowiadać się tak otwarcie.

- Są w tobie dwaj ludzie - powiedziała. - Jeden - to artysta, który żyje tak, jak ty i wierzy w to, co ty. Drugi - to człowiek praktyczny, jak reszta świata. Robisz to dla mnie, ponieważ tego właśnie pragnąłby Pere.

- Nieźle - roześmiał się Anatole. - A więc spotkasz się z nim? Jest zdrowy, przyzwoity i ma wystarczająco dużo pieniędzy, by twoje nie były dla niego magnesem. Nazywa się Richard Luther.

Gdy go zobaczyła po raz pierwszy, świetnie ubranego i nie pasującego do pracowni Anatole'a, pomyślała, że malarz popełnił fatalną pomyłkę. Ten jasnowłosy, pewny siebie mężczyzna o swobodnym uśmiechu i minie świadczącej, że zawsze osiąga to, czego pragnie, nie jest partnerem dla niej ani też ona nie jest partnerką dla niego. Świat, a zwłaszcza Paryż, pełne są wesołych, śmiałych kobiet,

które znają swoje miejsce i wiedzą, dokąd zmierzają. Na co mu potrzebna Tee Francis? Podała mu więc rękę, unikając jego wzroku. Jednakże później, w pokoju na górze, Marcelle powiedziała:

- Anatole miał rację. Szczerze mówiąc nie przypuszczałam, że możesz być w jego typie. Tymczasem wyraźnie mu się spodobałaś. Chciałby cię zabrać jutro do teatru...

Poszli więc do teatru, potem zaś do restauracji, gdzie zamówił na kolację ostrygi, maliny i szampana. U kwiaciarki na rogu ulicy kupił jej ogromny bukiet mieczyków.

- Opowiedz mi o St. Felice - nalegał. - Brzmi to dla mnie równie obco, jak Patagonia czy Katmandu. Kto tam mieszka? Czy rośnie tam wyłącznie trzcina cukrowa? Czy macie tam również ananasy? A telefony? Czy w waszych posiadłościach odbywają się wielkie bale? Opowiedz mi o wszystkim.

Roześmiała się, przyjemnie zaskoczona jego ciekawością, zadowolona, że ktoś pragnie słuchać tego, co ma do powiedzenia. Gdy zaczęła opowiadać, zorientowała się, że to St. Felice jest przyczyną jego zainteresowania, że St. Felice i ona są dla Richarda Luthera czymś egzotycznym, czymś nowym. Był człowiekiem, którego pociągały właśnie rzeczy nowe, inne: najświeższa moda, nowo odkryty artysta, mistrz kucharski w małej restauracyjce przy końcu jakiegoś zaułka. Gdy już osiąga, co chce, zwraca się ku czemuś nowszemu. Pomyślała, że podobnie stanie się w jej przypadku.

Na razie jednak Richard dawał jej tego lata to, czego pragnęła nieświadomie. Potrafił ją rozweselić. Życie jest po to, by je brać pełnymi garściami. Był dobry (nosił w kieszeni kostki cukru dla konia pociągowego z końca ulicy, przy której mieszkał Anatole), szczodry (dawał garść franków kwiaciarce, nalegając, by poszła do domu, zamiast stać na deszczu), stale byli w ruchu: piknik na wsi, przejażdżka łodzią, wyścigi, wystawy, aukcje, na których kupował piękne, kosztowne przedmioty, co nie zaskakiwało Tee, ponieważ jej matka również nabywała często przedmioty aż nadto drogie. Towarzyszyła mu wszędzie, oszołomiona i ukojona.

Anatole nie zadawał pytań. Zrobiła to za niego Marcelle.

- Co sądzisz o Richardzie, Tereso?

- Nie wiem.

- Jesteś przedziwną dziewczyną! Co rozumiesz przez „nie wiem”?

Tee zastanawiała się właśnie: „Jest czy nie jest nieco zarozumiała? Czy jego przystojna, o regularnych rysach twarz nie nosi oznak słabej woli?” Zakłopotana odpowiedziała:

- Nie mam przecież porównania, prawda?

- Rzeczywiście - złagodniała Marcelle. - Wciąż zapominam, że jesteś taka młoda. Posłuchaj więc osoby doświadczonej - on jest gotów do małżeństwa, to właściwy czas dla niego. Ma dwadzieścia pięć lat, zakosztował już, czego chciał, a ty jesteś inna od jego dotychczasowych znajomych. Szesnaście lat! W tym też tkwi wabik.

- Sądzę, że jestem inna. - „Jak on ją nazwał? Tajemnicze dziecko, odludek...”

- Twoja rodzina byłaby zachwycona. Richard będzie dobrym mężem.

- Nie poprosił mnie o rękę. - Serce zaczęło jej bić szybciej z trwogi, że mógłby jej nie poprosić (i co wówczas pocnie?), ale również dlatego, że mógłby to uczynić.

Późnym latem, gdy zbliżał się czas jego powrotu do domu, Richard Luther oświadczył się jej. Właśnie odeszli od straganu z książkami, gdzie kupili dwa stare woluminy, gdy nagle Richard przystanął i wyjął z kieszeni płaskie pudełeczko.

- Otwórz je - powiedział.

Na szarym aksamicie leżał potrójny sznurek pereł o mlecznym połysku.

- To dla ciebie, Tereso. Perły dla twojej młodości i niewinności. Brylanty będą później.

- Nie mogę przyjąć od ciebie takiego prezentu.

- Wiem, że nie możesz tego przyjąć od człowieka obcego. W ten właśnie sposób proszę cię o rękę.

- Prawie mnie nie znasz! - wykrzyknęła.

- Znam wystarczająco dobrze. Teresa - to takie subtelne imię. Subtelne jak ty sama. Będę dla ciebie bardzo dobry, wiesz o tym, prawda?

- Tak - wyszeptała.

- Od śmierci ojca mieszkam w Nowym Jorku z moją matką. Z pewnością będzie tobą oczarowana - powiedział z przekonaniem. - Ale, oczywiście, będziemy mieli swój własny dom. Będziemy też mieć domek na wsi. Myślałem o New Jersey. Tamta okolica obfituje w łagodne wzgórza, które przypominałyby ci rodzinne strony.



Wciąż się wahała.

- Chcesz wrócić na St. Felice? O to chodzi? Jej dłonie powędrowały machinalnie ku szyi.

- Nie, nie, nigdy tam nie wrócę!

- Tak, zasmakowałaś już trochę w innym świecie, jestem w stanie to zrozumieć. Co więc będzie z nami? Kocham cię, Tereso.

Stali nad rzeką, którą spinały łuki kamiennych mostów, naznaczonych zębem czasu, pożółkłych, pokrytych zaciekami. Przez chwilę Tee spoglądała w dół. Bardzo dawno temu, w innej epoce, stała, przyglądając się, jak rzeka skręca ku morzu, obserwując jej łagodne falowanie, strzępy piany na powierzchni wody. Być może woda, podobnie jak czas, unosi wszystko ze sobą.

„Och, naprawdę, jakże tego pragnę” - pomyślała, odwracając się ku niemu. To dobry człowiek, wesoły, życzliwy. Jest szczęśliwy i ja sama czuję się przy nim szczęśliwa. Mam wrażenie, że nic złego nie może mnie z nim spotkać. Nigdy już nie będę sama.

Otoczył ją ramieniem, pogładził po włosach, po policzkach. Twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu i Tee poczuła wzbierającą falę nadziei. Może to jednak miłość, prawdziwa, jak z bajki, może będzie trwała wiecznie? Dziesięciokrotnie odwzajemni mu jego dobroć, życzliwość; będzie wszystkim, czego on pragnie, przewyższy jego oczekiwania. Równocześnie jednak myślała: „Nie mamy zbyt wielu wspólnych tematów do rozmowy i nie wiem, czy kiedykolwiek będziemy mieli...”

Skromny ślub miał się odbyć w małym, zaniedbanym ogrodzie Anatole'a. W tygodniach poprzedzających ślub zdarzały jej się chwile zwątpienia.

- Czy ja temu wszystkiemu podołam? - żaliła się do Marcelle. - Powiedz, czy to może się udać?

- Czemu nie? Jakie widzisz przeszkody? Będiesz bardzo dobrą żoną, nie możesz być inną, a on za tobą wręcz szaleje. Miej wiele dzieci, to dla ciebie najlepsze. Jesteś wprost do tego stworzona, poza tym będziecie dzięki temu ciągle zajęci i szczęśliwi. A przede wszystkim - żadnego poczucia winy i spoglądania w przeszłość. Słyszysz?

Tak więc pewnego pięknego jesiennego dnia, dokładnie w rok po przyjeździe do Francji, Teresa Francis poślubiła Richarda Luthera. Nazajutrz odpłynęli wczesnym rankiem do Nowego Jorku.

Matka Richarda była rzeczywiście oczarowana panną młodą.

- Jaka młodziutka! Jaka młodziutka i nieśmiała! - powiedziała.

- Urodzona na wyspie w Indiach Zachodnich, wyobraźcie sobie!  
- zdumiewano się.

- Bogactwa, jakie posiadają ci ludzie, są wręcz niewiarygodne... - szepnął ktoś. W każdym razie przyjęto ją serdecznie i nawet podczas nowojorskiej zimy otaczało ją zewsząd ciepło. Richard chodził codziennie do swego biura maklerskiego, Teresa zaś zajmowała się urządzaniem domu. Świat tutaj różnił się tak bardzo od St. Felice, że można było w ogóle zapomnieć o istnieniu wyspy. Poza tym spodziewała się dziecka... W jedenaście miesięcy od chwili zawarcia małżeństwa urodziła ślicznego, dużego chłopca o jasnych jak u ojca włoskach. Siedząc w pełnym kwiatów szpitalnym pokoju, Tee trzymała w objęciach swoje dziecko, przytulając policzek do jego główki. To była rekompensata za wszystko! Jej własny syn! Kochała go, jak nigdy dotąd nikogo, i tak bardzo pragnęła być przez niego kochana! Będzie dla niego najczulszą matką! Nie pozwoli, by cokolwiek sprawiło mu najmniejszą krzywdę, ani szorstki rękaw ojcowskiej marynarki, ani najmniejszy przeciąg z drzwi wejściowych w holu. Między nimi istnieje jakaś szczególna więź.

Rzeczywiście, więź taka miała się wytworzyć, choć wtedy jeszcze nie mogła o tym wiedzieć.

W dniu chrztu chłopczyk był ubrany w koronkowy kaftanik, znajdujący się w rodzinie Lutherów od pięciu pokoleń. Po ceremonii przyniesiono dziecko do domu, gdzie zrobiono mu zdjęcie z rodzicami na aksamitnej sofie przed kominkiem, po czym ułożono do snu w pokoiku dziecinnym na górze.

Chłopiec otrzymał na chrzcie imiona Francis Virgil Luther.

CZEŚĆ DRUGA  
PRZYJAZD DO DOMU

### Rozdział 3

Wiedział, że urodził się gdzieś daleko za morzem, nie pamiętał jednak zupełnie długiej, trwającej osiemnaście dni podróży z Marsylii na St. Felice.

- Nie podobało mi się tam, Patricku - powiedziała matka. - Zbyt wielu cudzoziemców i zbyt zimno. Przywiozłam cię więc do domu.

Jego matką była Agnes. Jej imię należało wymawiać, jak się później dowiedział, z akcentem na drugiej sylabie, miękko, z francuska. Ta silna, o ostrym języku kobieta wydając mu polecenie żądała bezwzględności posłuszeństwa, ale jej ciemne ręce, o różowych od spodu dłoniach, świadczyły mu też codziennie różne dobrodziejstwa: karmiły, opatrywały poranione kolana, utulały, gdy się czegoś lękał, a czasami bał się bardzo. Czego? Rzeczy nie nazwanych, duchów błędzących wśród skrzypiących drzew, tego, by się nie zgubić i nie stracić jej.

Zawsze był w pobliżu Agnes. Skoro tylko nauczył się chodzić, dreptał za nią wszędzie, od samego rana, gdy tylko się budzili w chacie, potem przez cały dzień w dużym domu, w którym pracowała, i znów w małym pokoiku, w którym dawała mu kolację i układała do snu.

Dom był bardzo przestronny, o wysokich drzwiach, wielu werandach i szerokich przewiewnych holach. W dodatku cały lśnił. Patrickowi pozostało wrażenie licznych sreber i blasku. Nawet ciemne stoły i krzesła miały srebrzysty połysk, gdy mama je wypolerowała. Wydawało mu się, że robi to przez okrągły dzień - czyści wszystko aż do połysku: parkiety, lustra, czajniki.

Od pierwszej chwili zdawał sobie sprawę, że dom nie jest własnością Agnes. Nie była tutaj sobą. "Cśś!" - kładła palec na ustach, gdy zbyt długo się rozbawił. W ich własnym domu nigdy tego nie mówiła. Sama zachowywała się głośno, śpiewała i kołysała go. Gdy odwiedzały ją wieczorami inne kobiety, śmiały się wszystkie wysokimi, piskliwymi głosami, trajkocząc jak najęte i poklepując się po plecach. On zaś stał, słuchając tego śmiechu i choć go nie rozumiał, czerpał z niego jakąś radość.

Powoli poznawał swoje miejsce w świecie. Duży dom należał do pana Kimbrougha, spokojnego białego mężczyzny w białym lnianym garniturze, o pociągłej twarzy. Pani Kimbrough była również biała. Jej włosy przypominały kurze pióra.

W kuchni natomiast wszystkie twarze były ciemne. Przebywający tu ludzie z pewnością nie należeli do najsympatyczniejszych. Tia, kucharka, siadywała na honorowym miejscu przy stole. Loulou, która zajmowała się praniem, oraz Cicero, usługujący przy stole państwa Kimbrough, zajmowali miejsca naprzeciwko Patricka i Agnes.

- Z tą swoją cerą jest zupełnie do ciebie niepodobny - mówiła chytrze Tia. Kręciła głową, a Patrick pochylał twarz nad ryżem z fasolą, unikając jej wzroku.

- Ile razy mam ci powtarzać - odpowiadała Agnes - że jego ojcem jest Francuz? Wiesz równie dobrze jak ja, że Patrick urodził się we Francji.

- Aha, Francuz? I pewnie bogaty?

- Na tyle bogaty, że nie muszę się zbytnio martwić o przyszłość chłopca.

- Czemu więc pracujesz w tym domu? Skoro masz tyle pieniędzy, mogłabyś rzucić pracę.

- Jasne, że mogłabym. Zrobię to, gdy tylko znajdę odpowiednie miejsce, by otworzyć sklep. Na pewno nie w Covetown, tam są zbyt wysokie ceny.

Teraz przychodziła kolej na Loulou.

- Zbytnio się przechwalasz, Agnes. Czemu nie zostałaś we Francji, skoro było ci tam tak dobrze?

- Ponieważ wróciłam do domu, żeby pokazać wam mojego chłopca, moje dziecko, wam, którzy sądziliście, że nie mogę go mieć! - odpowiadała Agnes pogardliwie.

Reakcją był śmiech. Wiele lat później przypominał go sobie, dopiero wówczas pojmując ukryte w nim okrucieństwo, złośliwą przyjemność czerpaną z cudzej słabości, upokorzenia.

- Cóż, szczęście, że go w końcu masz - mówiła Loulou. - Jeśli kobieta nie urodzi dziecka, ma w końcu kłopoty tutaj - i pukała się znacząco w czoło.

Potem odzywała się Tia:

- Policzmy, ile jeszcze dzieci mogłabyś urodzić w twoim wieku. - Tia miała ich dziewięć, ale widywała je rzadko. Zajmowała się nimi jej matka, mieszkająca po drugiej stronie wyspy.

- Nie chcę więcej dzieci - odpowiadała stanowczo Agnes. - Patrick jest dla mnie bezcennym skarbem. Chcę, by doszedł do czegoś

w życiu, a nie mogłabym mu tego zapewnić, gdyby cała gromada czepiała się mojej spódnicy.

Pamiętał to wspaniałe uczucie, które dopiero później potrafił zdefiniować - ufność i poczucie bezpieczeństwa. „Patrick jest dla mnie bezcennym skarbem. Chcę, by coś w życiu osiągnął.”

Pamiętał też różne nie powiązane ze sobą epizody z przeszłości. Prawdopodobnie ich kolejność nie była właściwa, nie były też uszeregowane według ważności, zresztą nie zawsze łatwo ustalić hierarchię tej ważności.

Na wzgórzu, przy końcu długiego podjazdu, stał dom. Dotarli tu po całym dniu podróżowania samochodami, autobusami, po przejściu piechotą wielu kilometrów w poszukiwaniu sklepu do kupienia. Rozbolały go nogi.

- Co to za posiadłość? - chciał koniecznie wiedzieć.

- Nazywa się Eleuthera.

- Co to znaczy?

, - Nie wiem. Po prostu nazwa i koniec.

Eleuthera. Podobało mu się brzmienie tego słowa. Słowa potrafią być ładne. Podczas niedzielnych mszy kaznodzieja mówił zbyt długo i nieciekawie, i Patrick zwykle zasypiał, budził się jednak, słysząc takie słowa, jak: niebiański, wieczność, raj. A teraz: Eleuthera!

Na werandzie stał wysoki mężczyzna.

- Przechodziłam tędy - powiedziała Agnes - i pomyślałam, że może chciałby pan zobaczyć tego chłopca.

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Milczał tak długo, że Patrick obrzucił go badawczym wzrokiem. Po chwili mężczyzna powiedział łagodnie:

- Nie powinnaś była go tu przyprowadzać, Agnes.

- Nie musi się pan obawiać, dobrze pan o tym wie - uspokoiła go Agnes. - Więcej tu nie przyjdziemy.

Mężczyzna położył dłoń na głowie Patricka.

- Zjesz kawałek placka z mlekiem, prawda?

- Nie - odpowiedziała za chłopca Agnes. - On nie ma ochoty.

- Może wobec tego weźmiesz trochę pieniędzy i kupisz mu zabawki po powrocie do miasta.

Zapamiętał ten dzień, kiedy mama kupiła mu zabawki, ale wyleciało mu z pamięci, co to było.

Pewnego dnia Agnes powiedziała:

- Zamierzam wreszcie otworzyć sklep.

- Taki jak Da Cunha?

Zapamiętał bowiem pośród sklepów przy Wharf Street piekarnię, w której sprzedawano słodkie bułeczki, sklep ze słodyczami, gdzie można było kupić gwizdki i baloniki, i wreszcie przy samym końcu ulicy, w pobliżu hotelu, sklep Da Cunha. Gdy się zajrzało przez szybę wystawową, można było dostrzec w chłodnym półmroku, pod obracającymi się powoli skrzydłami wentylatorów, wysokie półki wypełnione flaszkami, zegarami, szkłem oraz porcelaną, różnymi lśniącoymi przedmiotami, które przypominały mu dom państwa Kimbrough. Mama roześmiała się.

- Nie, oczywiście, że nie. To nie dla nas. Zamierzam prowadzić sprzedaż ubrań dla naszych ziomków. Mogę je też bezpłatnie przerabiać. Nauczyłam się tego w młodości. Umiem posługiwać się igłą i nitką.

- Czy otwierasz sklep przy Wharf Street?

- Nie, i w ogóle nie w Covetown. W Sweet Apple. To wioska rybacka. Będziemy mieszkać naprzeciwko plaży, na którą rybacy wciągają łodzie. Spodoba ci się tam.

Agnes kupiła ładny dom, najładniejszy w wiosce. Jego dawny właściciel pracował w Ameryce, wrócił na St. Felice, by wybudować dom, po czym zmarł. Budynek stał na fundamencie, nie na palach, jak inne. Miał dwie sypialnie, własną studnię na podwórzu i bieżącą wodę wewnątrz. W pokoju frontowym Agnes ustawiła ladę i półki. Tu właśnie urządziła sklep, źródło ich utrzymania, gdzie miała spędzić całe lata.

Patrick nabrał już odwagi i zaczął stopniowo poznawać otoczenie. Pewnego dnia zobaczył, jak farmerzy zwożą na rynek z pobliskich wzgórz owoce mango i banany. Kiedy indziej przyglądał się, jak starsi chłopcy grają na łące w krykieta kijami wykonanymi z gałęzi palmy. Na plaży obserwował, w jaki sposób naprawia się sieci, jak łodzie zacieśniają krąg, by schwytać stado homarów. Jedne szkunery przyływały z Grenady i St. Lucii, inne odpływały w tamtym kierunku. Patrick zastanawiał się, jak wyglądają te wyspy, czy rosną tam takie same drzewa, czy niebo wygląda tak samo... Niekiedy spuszczano na wodę nową łódź i przez cały dzień panowało ogromne podniecenie, mężczyźni centymetr po centymetrze przeciągali łódź po wielkich okrągłakach ułożonych na piasku, orkiestra przygrywała na

metalowych bębnach, ktoś rozbijał o burtę butelkę rumu i wszyscy puszczali się w tany.

Czasami, gdy matka dawała mu pensa, lubił chodzić do Ah Singa, Chińczyka, który prowadził sklep spożywczy. Stały tam na półkach rzędy puszek z kolorowymi etykietami oraz słoje pełne cukierków. Bardzo prędko odkrył, że Ah Sing daje mu więcej cukierków, niż się należy za jednego pensa. Chińczyk miał bardzo miły uśmiech i czasami spacerował wzdłuż plaży z Patrickiem, rozmawiając z nim. Z powodu jego szczególnego akcentu chłopiec rozumiał co drugie słowo. Ah Sing nauczył go otwierać ostrożnie muszle, by nie przytrzasnąć sobie palców, wyjmować małże ze środka i czyścić je.

- Zabierz do domu, oddaj mamie i przypomnij, by do duszenia potrawy użyła wody morskiej pół na pół ze słodką.

Poza tym Ah Sing nauczył go pływać i hodować świnie, którą trzymał razem z kurczętami na podwórku za domem.

Przed wszystkim jednak Patrick bawił się jak inne dzieci w jego wieku i dni upływały mu beztrudnie. Mijały pory roku, a on podobny był do rośliny wyciągającej pędy ku słońcu czy motylka fruującego z kwiatka na kwiatek.

Wreszcie pewnego dnia przestał być dzieckiem. Rozpoczął naukę w szkole. Nie wszyscy uczęszczali do szkoły, nie było takiego obowiązku. Jeśli czyjaś matka nie miała pieniędzy na zakup mundurka albo potrzebowano pomocnika przy zbiorach trzciny cukrowej na plantacji, nie posyłano dziecka do szkoły. Patrick jednak został wyposażony w ciemnoniebieskie krótkie spodenki i białe koszule - Agnes chciała, by jej syn się uczył.

- Ucz się - powiedziała, kładąc mu ręce na ramionach. - Ucz się, a gdy dorośniesz, nie będziesz musiał pracować na plantacji. Słuchaj nauczycielki i zachowuj się odpowiednio, dobrze?

Dziwna rzecz, Agnes powtarzała często: „Bogu dzięki, nie będziesz musiał pracować na plantacji trzciny cukrowej.” Nie bardzo rozumiał, co miało być w tym złego. Miejscowi mężczyźni, którzy nie zarabiali na życie łowieniem ryb, pracowali wszyscy na plantacji Sweet Apple, od której wzięła nazwę wioska. Poszedł więc do szkoły z zamętem w głowie i w przekonaniu, że będzie to ciężka katorga, że znienawidzi naukę od pierwszej chwili.

Tymczasem nauka okazała się wielką przyjemnością. Gwizdek nauczycielki, przywołujący klasę do porządku, stał się w tych



pierwszych latach nauki sygnałem nowego rodzaju przyjemności. Na długiej ławce ustawionej pod drzewami posłuszenie wkuwał arytmetykę, pragnąc przebrnąć przez nią jak najszybciej i dotrzeć do dużych ksiąg z historiami o rycerzach walczących na miecze i jeżdżących konno. Wszystko to działo się w miejscowościach o dziwnych nazwach i zdarzyło się bardzo dawno temu, nie wiedział kiedy, prawdopodobnie zanim się jeszcze urodził.

Czasami nauczycielka pokazywała im zdjęcia. Na jednym znajdował się kościół znacznie większy od tego w Covetown.

- To jest opactwo - wyjaśniła. - Opactwo westminsterskie.

- A co to jest opactwo? - spytał Patrick, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Na następnym zdjęciu znajdował się długi pojazd zwany koleją żelazną.

Zrobiono je również w Anglii. Obejrzeliby też fotografię mężczyzny o długiej spiczastej twarzy i bladych wylupiastych oczach. Był to król Jerzy VI i nauczycielka wyjaśniła Patrickowi, że jest jego poddanym, należy do niego.

- To oznacza, że jesteś Anglikiem - powiedziała pani Ogilvie.

- Czy wiesz, że jesteśmy Anglikami? - spytał swą matkę.

- Dlaczego? Kto ci to powiedział?

- Nauczycielka.

- Ach, tak. Jesteśmy niewolnikami Anglików. Czy tego ci nie powiedziała?

- Nie wiem.

- Nie wiedziałeś, że jesteśmy niewolnikami?

- Ktoś mi chyba mówił, ale przecież teraz nie ma już niewolników, prawda?

- Nie ma? To oni ustanawiają prawa, oni mają więzienia! A czym my jesteśmy? Stał, marszcząc brwi i czując się nieswojo w obliczu jej nagłego wybuchu gniewu.

- Ach! - opamiętała się nagle. - Nie powinnam tak mówić! Nie mogę nic na to poradzić i kończy się to tylko bólem głowy!

Mówiła takie dziwne rzeczy, że mógłby ją posądzić o nienawiść wobec właścicieli plantacji. Jednakże, innym razem zachwycała się jakąś białą damą, którą spotkali na ulicy w Covetown.

- Ach, cóż za klasa! Jak elegancko ubrana, co za maniery!

Można się było w tym pogubić. Tak wiele zdawało się zależeć od koloru skóry - to, co ludzie o tobie myśleli i mówili. Wiedział, na

przykład, że we wsi krążą różne pogłoski na temat jego matki i ich domu. Nigdy mu o tym nie mówiła i rozumiał, że nie powie, ale tu i ówdzie zasłyszał wystarczająco dużo, by wyrobić sobie mgliste pojęcie o tym, iż jej pieniądze pochodzą od białego mężczyzny, który dał mu życie.

Nad kredensem w pokoju matki wisiało lustro. Stojąc na krześle, mógł porównać, jak bardzo jasną ma skórę w porównaniu z ludźmi, których znał, oczywiście nie licząc państwa Kimbrough. Żadne z dzieci w szkole nie było tak jasne.

Zastanawiał się nad kolorem skóry i rysami twarzy Ah Singa, który miał takie dziwne, wąskie oczy.

- To dlatego, że jest Chińczykiem - powiedziała Agnes, co nie było dlań żadnym wytłumaczeniem, lecz wprowadziło jeszcze większy zamęt w głowie.

Któregoś wieczora opowiedziała mu pewną historię. Leżał wówczas, nie mogąc zasnąć z powodu upału. Błyskawice rozświetlały niebo, powietrze było ciężkie, czuł przytłaczającą atmosferę zbliżającej się burzy. Przez okno, przy którym stało jego łóżko, widział żółte, rozbłyskujące niebo. „Kolor żółty jest zawsze zły” - pomyślał.

Nie była to myśl, którą mógłby wypowiedzieć na głos - zabrzmiałaby idiotycznie. Uważał jednak, że kolory coś mówią, na przykład pomarańczowy wyraża małe zaskoczenie. To zadziwiające, co można robić ze słowami.

Po ziemi przetoczył się grzmot, deszcz zaczął bębnić po blaszanym dachu straszliwy huk wstrząsnął całym domem. Matka podeszła do łóżka Patricka i usiadła obok chłopca. Przysunął się do niej bliżej; wstydząc się swego strachu.

- Taka burza to drobiazg. Pamiętam wybuch wulkanu na Mount Pelee ósmego maja tysiąc dziewięćset drugiego roku. Huk był potężniejszy od najstraszniejszego grzmotu, jaki kiedykolwiek słyszałeś. Ludzie myśleli, że nadszedł dzień sądu ostatecznego. Wstrząsy odczuwano nawet na St. Felice, możesz to sobie wyobrazić? Z pewnością nie, nikt nie umiałby sobie wyobrazić czegoś podobnego. Nad górą ukazała się chmura, wyglądająca z początku jak dym z płonącego domu, który jednak nie przestawał się rozprzestrzeniać, aż przesłonił całe niebo. - Patrick widział w ciemności, jak pochyła się do przodu, żywo gestykułując. - Całe niebo było szkarłatnoczerwone,

przerazające, ohydne. Człowiek miał wrażenie, że znalazł się w piekle... Potem spadł z nieba popiół, gęsty jak deszcz. Cuchnął zepsutym jajkiem. Mówili, że to siarka. Zamknęliśmy szczelnie okiennice, ale popiół przedostawał się najdrobniejszymi szczelinami i pokrył podłogi. Uciekając przed nim, włączyły do domu wije, niektóre miały ze trzydzieści centymetrów długości. Laliśmy na nie wrzątek. Służyłam wówczas u Maurierów, była to moja pierwsza posada. Choć byłam jeszcze niemal dzieckiem, pracowało mi się tam bardzo dobrze, z całą pewnością lepiej niż porteuse!

- Co to jest porteuse?

- Tak nazywają się dziewczyny, które noszą na głowach kosze z węglem, rumem lub cukrem, ładując towar na statki. Pracują po dwanaście godzin dziennie, a dostają cztery dolary miesięcznie... Tak więc u Maurierów powodziło mi się dobrze. Po kilku dniach dudnienie ustało i sądziliśmy, że popiół przestanie wkrótce opadać. Jednakże ludność wiejska wciąż przybywała do St. Pierre, szukając bezpiecznego schronienia. Mówili, że wyżej w górach wrząca lawa zalewa rzeki, a warstwa popiołu jest tak gruba, że ptaki umierają na drzewach. Nagle zaczęły ginąć również na naszym podwórku.

- Czemu nie wyjechaliście? - zaciekawiony Patrick usiadł na łóżku, zapominając o burzy.

- Pan Maurier zabrał żonę do Fort de France, ale służący musieli zostać, by pilnować domu. Miasto pełne było złodziei, ludzie spali na ulicach, okradali sklepy, wszczynali bijatyki. To było okropne. - Zamilkła. - Potem przyszła la veretta, ospa. Wiele osób zmarło, zabrakło trumien. To śmieszne - zastanawiała się Agnes - jak ludzie są przekonani, że właśnie im nic złego nie może się przydarzyć. Myślę, że to nie odwaga, lecz głupota. Szef służby, Leon, miał w domu Maurierów piękny pokój, którego nie chciał zostawić. Siedział w nim przez cały czas z butelką najlepszego wina z piwnicy. „Nie ma co się stąd ruszać - mówił. - Wszystko minie.” Ale ja nie byłam wcale taka pewna. W całym mieście wybuchały pożary. Leon wysłał mnie po zakupy, sam bał się wyjść z powodu ospy. To mnie uratowało! Spostrzegłam lawę sunącą z boczem góry. Byłam absolutnie pewna, że to koniec St. Pierre. Znalazłam rybaka z łodzią, dałam mu pięć dolarów, które dostałam od Leona na zakupy i kazałam mu płynąć dokądkolwiek, byle dalej od wyspy! Zaledwie zdążyliśmy wypłynąć z portu, gdy potężna masa lawy zwała się na cukrownię. Musiałbyś to

zobaczyć na własne oczy, by uwierzyć, Patricku! Zniknęła pod nią cała cukrownia, a był to naprawdę wielki budynek, i to w ciągu jednej chwili. Pomyśleć, że pracowali tam przecież ludzie! O, Boże! Lawa spływała dalej w stronę portu, wypierając morze. Gdy woda wtargnęła z powrotem, uniosła statki w porcie niczym zapałki i zatopiła je, zatopiła całe miasto, zanim cofnęła się do zatoki. Za miastem płonęły pola trzciny cukrowej i wiedziałam, że spłonął również dom Maurierów wraz z Leonem pijącym wino w swoim pięknym pokoju. Niebo było czarne jak noc. Nigdy więcej nie zobaczyłam St. Pierre - zakończyła bardzo cicho.

- Nigdy cię tam nie ciągnęło?

- Mogłam tam pojechać. Na wyspie zostawiłam kawałek ziemi, który moja rodzina otrzymała po wyzwoleniu niewolników. Mieszka tam moje cioteczne rodzeństwo, ale mam prawo wrócić, kiedy tylko zechcę. Jednak po prostu nie mam ochoty.

- Dlaczego? Czy to niedobre miejsce? - Patrickowi podobała się ta rozmowa, prowadzona jak między dwojgiem dorosłych ludzi i chciał ją kontynuować.

- Och, mówią, że to było grzeszne miasto, teatry, dancingi i tak dalej. Zupełnie jak w Paryżu. Ale to nieprawda. Znam obydwa miasta i dobrze wiem, że tak nie jest. Natomiast życie było tam wytworne. W niedzielę, gdy rodzina składała wizyty, pani Maurier wkładała brylantowe bransolety na rękawiczki z koźlecej skóry i wyruszali na przejażdżkę powozem, zaprzężonym we wspaniałe konie, a stangret miał przy liberii złote guziki.

- Czy ty również jeździłaś powozem?

- Kto? Ja? - Wybuchnęła śmiechem. - Jasne, że nie! Urabiałam sobie ręce po łokcie u Maurierów! Dostałam u nich pracę, ponieważ moja matka była tam pokojówką i kiedy zmarła, przyjęli mnie na służbę. Mama zmarła przy porodzie piątego dziecka, mówiłam ci chyba.

- A ojciec? - Patrick spodziewał się, jaka będzie odpowiedź.

- Odszedł.

Pokiwał głową. Ojcowie zwykle tak robią. Myśli przelatowały mu przez głowę z coraz większą prędkością.

- Opowiedz, co się zdarzyło na łodzi.

- No cóż, wylądowaliśmy tutaj, na St. Felice i okazało się, że wszyscy mówią po angielsku! Stałam na nabrzeżu i niemal płakałam.

Wstyd mi jednak było przed ludźmi, którzy przybyli tłumnie, chcąc dowiedzieć się, co się dzieje na Martynice. Byłam zbyt dumna, by rozplakać się przy nich. Nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić. Nagle podjechał powóz, wychylił się z niego biały mężczyzna i odezwał się do mnie w języku francuskim, który dziwnie brzmiał w moich uszach, ale jak mi później wyjaśnił, tak właśnie mówi się we Francji. Nie wierzyłam, później jednak sama przekonałam się, że to prawda. W każdym razie w taki właśnie sposób trafiłam do rodziny Francisów.

- W Eleutherze?

- Słucham? A cóż ty wiesz o Eleutherze?

- Kiedyś mnie tam zaprowadziłaś.

- Mój Boże, masz teraz dziesięć lat, a wtedy nie mogłeś mieć więcej niż trzy!

- Nie szkodzi - powiedział z dumą. - Pamiętam to doskonale. Pan Virgil Francis zmarł w Eleutherze. Niedawno przeczytałem o tym w twojej gazecie.

- Tak, wiem o tym.

- To był piękny dom, prawda?

- Piękny? To ruina. Nie był remontowany od niepamiętnych czasów.

- Był piękny - upierał się Patrick. - Stał na szczycie wzgórza. Czy oni byli dla ciebie mili?

- O, tak... Młody pan Francis był taki delikatny, potrafił czytać przez cały dzień, aż do bólu oczu. Zachorował wkrótce potem, jak się ożenił. Pomagałam się nim opiekować aż do samej śmierci i wtedy...

- On zmarł? - Interesowały go sprawy śmierci.

- Tak. No, dość już, tak długo mełłam językiem, że aż mnie rozbolał. Posłuchaj, burza minęła.

Rzeczywiście, burza minęła i świerszcze rozpoczęły swój koncert.

- Opowiedz mi o Francji - powiedział nagle.

- Niewiele pamiętam. To było dawno temu.

- Wulkan był jeszcze dawniej! - wykrzyknął.

- Tak czy owak, nie pamiętam.

- Nie chcesz pamiętać! A ja chcę znać prawdę o tym, co się zdarzyło, dobrze wiesz, o co mi chodzi!

Wzburzyła mu włosy.

- Czasami zachowujesz się jak stary facet. - I dodała, nie zwracając się do niego, lecz rzucając słowa gdzieś w przestrzeń. - Mam nadzieję, że wszystko pójdzie ci jak po maśle.

- Że nie zaskoczy mnie wybuch wulkanu?

- Człowiek jest taką drobiną - powiedziała w zamyśleniu, zapatrzona w jakiś odległy punkt. - Można go rozgnieść jak pluskwę.

- Masz na myśli wulkan? - dopytywał się uparcie. Spojrzała na niego.

- Nie. Mam na myśli życie. Kładź się spać. To były lata jego dzieciństwa.

## Rozdział 4

W wieku trzynastu, czternastu lat chłopiec staje się mężczyzną. Może zarobić pierwsze pieniądze, siekając paszę dla bydła na plantacji trzciny. Patrick uświadomił sobie, jakie drogi się przed nim otwierają. Najczęściej uczęszczana prowadziła przez plantację, najpierw były to dorywcze prace w ekipie najmowanej na jeden dzień, sadzenie, pielenie. Jeśli ktoś spisywał się dobrze, miał szansę zostać przyjęty na stałe. Około dwudziestki był już na tyle przyuczony i silny, że radził sobie z trzcina cukrową i stanowiło to jego zajęcie przez większą część życia. Gdy wiek nie pozwalał mu już pracować przy ścinaniu trzciny, wracał pomiędzy młodych chłopców, by doglądać bydła. Oczywiście wszystko zależało od tego, czy został zatrudniony przez którąś z miejscowych plantacji. Jeśli nie, musiał szukać szczęścia na innej wyspie.

Inna droga była bez porównania trudniejsza. Jeśli chłopiec był ambitny i wyróżniał się na lekcjach inteligencją, a rodzina znalazła dość pieniędzy, mógł pójść do męskiej szkoły średniej w Coventown. Po jej ukończeniu otwierała się przed nim możliwość pracy w sklepie, banku, urzędzie celnym czy sądzie. Szkoła średnia mieściła się w kompleksie białych budynków, stojących pośród wypielęgnowanych trawników. Z tyłu znajdowała się kaplica Kościoła anglikańskiego i pole do gry w krykieta. Dyrektor szkoły nosił imponującą czarną togę i białą koloratkę. Nauczyciele byli biali, natomiast białych uczniów widziało się tu niewiele, ponieważ plantatorzy zwykle posyłali swoje dzieci na naukę za granicę. W szkole panowała jednak wyniosła brytyjska atmosfera i mól książkowy ze Sweet Apple miał więcej obaw niż nadziei.

Och, stawianie sobie poprzeczki tak wysoko graniczyłoby z głupotą! Jest przecież nader prawdopodobne, że nie zda egzaminu wstępnego! Jednakże matka nie chciała nawet słyszeć o jego wątpliwościach.

- Zaoszczędziłam w tym celu pieniądze i nie ma o czym mówić - ucięła rozmowę.

Jednakże pierwszego dnia szkoły, czekając z nim na autobus, jasnoróżowy „Jamboree”, przewożący robotników i kobiety, jadące ze swymi wyrobami do miasta, miała łzy w oczach.

Nagle okazało się, jak bardzo człowiek może być niezdecydowany. Pragnęła, a zarazem obawiała się tego kroku, który

miał uczynić, wkraczając w świat, pomiędzy ludzi, którzy mogli go zmienić w takim stopniu, że nie byłby już tym samym chłopcem, którego znała. Nawet tego radosnego poranka musnął ich swym skrzydłem smutek. Był to punkt zwrotny w życiu Patricka.

Zaczął się to jednak bardzo dawno temu. W Patricku zachodziły zmiany, poczynawszy od pierwszego dnia w wiejskiej szkole; już wtedy zaczął się oddalać od matki. Teraz uczynił dalszy krok w kierunku nieznanego.

Trzynastolatek często myśli i dojrzewa wewnątrznie zarówno podczas zajęć szkolnych, jak i w czasie wolnym. Jeśli szkoła potrafi go zachęcić do poświęcenia dodatkowego czasu na naukę, tym lepiej - obie części dnia świetnie się wówczas dopełniają.

Patrick miał szczęście. Nauczyciele rozumieli, jak chłopakowi ze wsi trudno znaleźć się w obcym środowisku, gdzie zwraca się uwagę na formy towarzyskie. A i tak było mu łatwiej niż innym, ponieważ Agnes nauczyła go pewnej ogłady.

Z naukami przyrodniczymi i matematyką radził sobie jako tako, natomiast jeśli idzie o język łaciński, historię i literaturę, królestwo słowa - znajdował się wśród najlepszych. Najbardziej lubił historię, której uczył ojciec Albert Baker - żyjący w celibacie, otyły pastor anglikański o żółtych od tytoniu zębach i przenikliwym spojrzeniu łagodnych oczu.

Właśnie dzięki ojcu Bakerowi zaprzyjaźnili się z Nicholasem Mebane.

- Powinniście się lepiej poznać, chłopcy - powiedział pewnego dnia po zajęciach. - Myślę, że się polubicie.

Patrick stał, zakłopotany. Wiedział, że Nicholas jest synem lekarza i ma grono własnych przyjaciół z Covetown, wywodzących się spośród arystokracji o jaśniejszej skórze. Szkoła - a podejrzewał już, że i cały świat - była ściśle podzielona. Poza grupą, w której znajdował się Nicholas, do szkoły uczęszczali biali, synowie bankierów i pośredników, stojący w hierarchii nieco niżej od synów plantatorów, którzy wyjechali do szkoły za granicę. Zaś w grupie Patricka większość stanowili całkiem czarni, najzdolniejsi chłopcy z wiosek. Tak więc Patrick pod żadnym względem nie pasował do Nicholasa.

Ale Nicholas wyciągnął do niego rękę. Był bardzo bezpośredni.



- Miło mi - powiedział. - Wiem, że nie mieszkasz w Covetown, ale może mógłbyś zostać dłużej któregoś popołudnia?

Tak łatwo wszystko poszło, tak łatwo przewyciężyć dzielące różnice. Z pewnością Patrick nie miał nigdy takiego przyjaciela jak Nicholas, a wkrótce okazało się, że i Nicholas nie miał takiego przyjaciela, jak Patrick. Obaj byli przystojni, osiągalni świetne wyniki w sporcie, pilnie się uczyli - w przeciwnym razie nie zaakceptowano by ich w szkole. Jednak prawdziwym powodem ich zbliżenia były wspólne poglądy na wiele spraw, wzajemny podziw, coś, czego nie da się ująć słowami.

Oczywiście Nicholasa Patrick widział Covetown w zupełnie nowym świetle. Przyjaciel pokazał mu przycumowane przy nabrzeżu jachty, identyfikując kolejno właścicieli.

- Nie ma ich tu teraz zbyt wiele, ale ojciec mówił, że przed wojną bar w hotelu „Cade” po prostu pękał w szwach, tylu go odwiedzało plantatorów i bogatych właścicieli jachtów. No i oczywiście klub „Crocus”. - Uśmiechnął się. - To zabawne, nasz podmiejski klub dysponuje tym wszystkim, co oni, a korty tenisowe mamy chyba nawet lepsze. - Przyjrzał się Patrickowi. - Wiesz co? Założę się, że mógłbyś dostać kartę wstępu do każdego klubu białych. - Przechylił głowę na bok. - No, może nie. Ale czasem mógłbyś ich nabrać.

- Nigdy o tym nie myślałem - oburzył się Patrick.

Stali, spoglądając na port. Na nabrzeżu leżały worki cukru, gotowe do załadowania. Z kolei pełne ryb łodzie stały przycumowane w szeregu, czekając na rozładowanie.

- Podczas wojny widziałem tu niszczyciele - powiedział Nicholas. - Całe pomalowane w zygzaki. Zamaskowane.

Dla Patricka wojna była czymś tak odległym, że wręcz nierealnym, z wyjątkiem chwili, gdy zobaczywszy w gazecie Agnes zdjęcie zniszczonego Londynu, zburzonych domów, wyobraził sobie, co stało się z ludźmi.

- Zabawne - mówił dalej Nicholas. - Można tu było zobaczyć całe najnowocześniejsze wyposażenie - samoloty, bomby, łodzie podwodne, takie jak ta, która przypląnęła na Grenadę. Mój ojciec był tam w owym czasie. Niemiecka łódź podwodna zatopiła kanadyjski statek pasażerski w pobliżu brzegu, po czym spokojnie odpłynęła. Pomyśl tylko, że wciąż najkrótszą drogą z Covetown na drugą stronę wyspy jest droga morska! Niektóre nasze szosy są w tak fatalnym

stanie, że łatwiej podróżować mułem niż samochodem! Niewiele się tutaj zmieniło od dwustu lat.

„Cytuje opinie swego ojca” - pomyślał Patrick, nie tracąc jednak sympatii dla przyjaciela. Skręciwszy z powrotem w Wharf Street, zatrzymali się na moment przed wystawą sklepu Da Cunha.

- Wiesz, ile oni mają tutaj tego wszystkiego? Byłem kiedyś w ich magazynie, w piwnicy. Zapchany od podłogi do sufitu różnymi przedmiotami z całego świata. Wielu kupców - nie mówię tu o rodzinie Da Cunha - zbiło fortunę na szmuglowaniu towarów, zwłaszcza whisky. Wiedziałaś o tym?

- Nawet teraz? Myślałem, że to się skończyło wraz z piratami.

- Zdziwiłbyś się - odpowiedział z mądrą miną Nicholas.

Weszli na wzgórze za budynkami rządowymi. Patrick nigdy przedtem nie zawracał sobie głowy rządem. Rząd kojarzył mu się ze skrzynką pocztową lub policjantem w białym hełmie tropikalnym i z czerwonymi lampasami, stojącym przed gmachem sądu. Kiedyś, gdy król przysłał zza morza nowego gubernatora, Patrick przyglądał się tłumowi zgromadzonemu przed pałacem gubernatora, dygnitarzom w wytwornych ubraniach, przechodzącym przez bramę. To był rząd.

- Mój ojciec często tam bywa. Jest członkiem Rady Ustawodawczej. Na samym szczycie piramidy mamy gubernatora. Jesteśmy kolonią koronną, co oznacza, że odpowiadamy przed parlamentem w Londynie. Nasze ciało ustawodawcze składa się z dwóch izb, podobnie jak parlament. Są to: wybierane Zgromadzenie - mój ojciec zaczynał właśnie tam - i Rada Ustawodawcza, znajdująca się wyżej w hierarchii. Połowę jej członków wybiera gubernator. Mój ojciec został mianowany przez gubernatora.

Sprawy wyboru i mianowania niezbyt interesowały Patricka. Patrząc na flagę brytyjską powiewającą nad ogromnym białym pałacem, odczuwał niemal fizycznie strach, nic ponadto. Rady i zgromadzenia były zbyt skomplikowane, by się mógł w nich połapać i niezbyt go to interesowało.

- Imperium brytyjskie nie przetrwa już długo - oświadczył uroczyście Nicholas.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie będzie już króla?

- To znacznie bardziej skomplikowana sprawa. Mój ojciec twierdzi, że nastąpi coś, co on nazywa „rozluźnieniem”. Oczywiście, nie od razu. Ale ludzie nie zechcą dłużej pracować za nędzne grosze.

Słyszałeś przecież o rozruchach, które wybuchły na Barbados i Jamajce.

Patrick wprawdzie nic o nich nie słyszał, pokiwał jednak potakująco głową.

- Od czasu wojny wydano więcej ustaw dotyczących pracy niż w ciągu całego wieku. W Londynie zdają sobie sprawę, że muszą zrobić coś w sprawie poprawy warunków, w jakich żyją ludzie. Jak sądzisz, po co przysłano królewską komisję lorda Moyne'a? Nie ogłoszono jeszcze raportu, ale założę się - tak mówi mój ojciec - że poprą federację wszystkich wysp. Oczywiście, plantatorzy i ludzie interesu będą z tym walczyć, ale w opinii mego ojca niepodległość jest rzeczą nieuniknioną i Anglicy zdają sobie z tego sprawę. To tylko kwestia czasu. A kiedy już się to stanie, będziemy potrzebowali wykształconych ludzi. Dlatego rodzice mają zamiar wysłać mnie do Anglii, bym studiował prawo.

Ich szkoła przygotowywała do studiów w Cambridge i dość liczna grupa chłopców planowała zdobycie dyplomów za granicą i zrobienie kariery lekarzy lub prawników. Z jednej strony Patricka nęciła taka przyszłość, a z drugiej wcale jej nie pragnął. Cechował go pewien fatalizm, godzenie się z losem.

Mebane'owie mieszkali na Library Hill, blisko szczytu wzgórza, na którym stał pałac gubernatora. Tutaj, w szeregu pokrytych stiukiem domów z werandami, z których rozpościerał się piękny widok na port, mieszkali czołowi przedstawiciele czarnej arystokracji, na przykład doktor Sprague, dentysta, prawnik Malcolm Fort czy bracia Fox, właściciele zakładu pogrzebowego.

Doktor Mebane i jego żona byli przystojni i oboje mieli skórę koloru kawy. Patrick uważał, że skromne ubranie Nicholasa i jego matki oraz urządzenie domu są wytworne, choć jego doświadczenie w tej dziedzinie ograniczało się do pokoiów dyrektora szkoły, do których bywał zapraszany na herbatę, do osobliwie żywego wspomnienia domu państwa Kimbrough i nostalgicznych opowiadań matki. Ale to wszystko były domy białych. Dlatego też zdumiało go to, co zobaczył w domu przyjaciela: mnóstwo obrazów i książek, wspaniała porcelana i kolacja podana przez służącego.

Przyjęto go bardzo serdecznie. Doktor Mebane przemawiał zawsze stanowczym tonem, jak gdyby usiłował przekonać słuchaczy o czymś ważnym.

- Mój ojciec również był lekarzem. Nie wiem, chłopcy, czy zdajecie sobie sprawę z wyjątkowego znaczenia tego faktu w tamtych czasach. Prócz niego na wyspie było dwóch białych lekarzy, przybyłych z Anglii. Obaj byli alkoholikami. Gdy ktoś poważnie zachorował, wzywał mojego ojca, chociaż nie miał on ukończonych studiów. Nigdy nie odmawiał, wyruszał drogą wśród wzgórz na koniu, z latarnią w dłoni. Pracował za dwóch, by zapewnić wykształcenie memu bratu i mnie. Nie mam pojęcia, jak temu podołał. Mój nieżyjący brat Edgar został adwokatem i był jednym z przywódców Kongresu Panafrykańskiego w Paryżu tuż po wojnie w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku. Mieli odważny program, większości z niego nie udało się zrealizować, ale niektóre punkty - tak. Cóż, sprawy posuwają się powoli. Człowiek uczy się cierpliwości. Tak czy owak, to ludzie jego pokroju, wykształceni, wprowadzają zmiany, nigdy o tym nie zapominajcie. - Doktor wytrząsnął popiół z fajki. - Za dużo gadam, pewnie was zanudziłem?

- Ależ skąd, proszę pana - odpowiedział Patrick.

Czuł się zaszczycony, że bierze udział w tak poważnej rozmowie, choć nic z niej nie rozumiał.

- O czym oni rozmawiają? - chciała wiedzieć Agnes. Ilekroć Patricka zapraszano na noc do domu Mebane'ów, była ogromnie zadowolona i ciekawa. Jednakże Patrick zdawał sobie sprawę, że odczuwała jednocześnie pewną niechęć, którą próbowała ukryć.

- Bo ja wiem. O wszystkim. - Naprawdę nie chciał, by w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie. Trudno jednakże wytłumaczyć komuś ze Sweet Apple, czym jest Library Hill. Mógł ku jej zadowoleniu opisać kolor zasłon, ale idee i postawy, to całkiem inna sprawa.

Miał coraz większy mętlik w głowie. Jakże nikłe są jego wiadomości w porównaniu z Nicholasem, który jest przecież w jego wieku. To tak, jak gdyby do tej pory żył w kokonie.

- Słyszałam, że odwiedza białych pacjentów w mieście po godzinach pracy - zauważyła Agnes. - Ludzi, którzy nie chcą rozmawiać o zbyt osobistych sprawach ze swymi lekarzami.

- Nie mam o tym pojęcia.

- Wcale się nie spodziewałam, że będziesz wiedział. To wyniośli ludzie, prawda? Wszyscy z ich sfery są tacy.

- Dla mnie nie są wyniośli.

Istniały jednak pewne rzeczy, których wstydziliby się przed nimi. Nie swego ubóstwa czy prostego domu, lecz czegoś zupełnie innego - ciemnoty.

Agnes na noc zamykała szczelnie okna. Na każdej szybie wymalowała czerwony krzyż. Od najwcześniejszego dzieciństwa wiedział, że służy on odstraszeniu wilkołaków, które wysysają krew z szyi śpiących ludzi.

- Czasem fruują ponad drzewami - ostrzegła go Agnes. - Można je łatwo pomylić z nietoperzami. Są szczególnie niebezpieczne dla małych dzieci.

Gdy Patrick miał około dziewięciu lat, stało się dla niego jasne, że to absolutny nonsens. Pokłócił się o to z matką.

- Wydaje ci się, że zjadłeś wszystkie rozumy, co? - zwymyślała go Agnes. - W głowie ci się przewróciło!

Później, jak zwykle, gdy minęła jej złość po wybuchu, podchodziła i głaskała go po głowie.

- No, dobrze już, dobrze, może to i nieprawda. Ale przypuśćmy, że coś w tym jest? Jak mogę być pewna?

Gdyby Mebane'owie dowiedzieli się o tym, czułby się ogromnie zakłopotany.

Z drugiej strony za nic w świecie nie powtórzyłby Agnes wszystkiego, co usłyszał od doktora Mebane.

- Mój prapradziadek był niewolnikiem u Francisów - powiedział kiedyś chłopcom. - To bardzo stara posiadłość po drugiej stronie wyspy - może ją widzieliście - o nazwie Eleuthera. Cóż, nie znam dokładnie szczegółów, giną one w mgle dziejów, jak mawiają poeci. Wiem tylko, że miał na imię Cupid, a jego ojciec był synem lub siostrzeńcem któregoś z Francisów. Miało to miejsce pod koniec osiemnastego wieku. Matka musiała być piękną dziewczyną. Hm, białe kobiety rzadko zdarzały się na plantacjach, a życie było bardzo nudne. Tak więc biali panowie gonili za niewolnicami i, rzecz jasna, wybierali najładniejsze i najzdrowsze. Czasem zdarzała się pomiędzy nimi długotrwała miłość. Pan kupował swojej kobiecie klejnoty, stroił ją w atłasy i koronki. Jeśli mieli dzieci, ojciec dawał im wolność, wyzwalał je. Byłoby hańbą, gdyby tego nie uczynił. Trafiali się szczerzy ojcowie, którzy zapewniali swym dzieciom bogactwo, ziemię, wykształcenie. Minał wiek, no, może trochę więcej, i co mamy? Brązowych, jaśniejszych i najjaśniejszych... - Doktor

uśmiechnął się ironicznie. - Ci o najjaśniejszym kolorze skóry dostępują nawet zaszczytu tytułowania ich per „pan” i „pani”. W każdym razie tłumaczy to fakt, czemu ludzie pracujący na plantacji trzciny cukrowej są czarni jak węgiel, a czemu ja - dodał drwiącym tonem - jestem zapraszany na herbatki w pałacu gubernatora. Nie na prywatne małe przyjęcia wieczorem, o nie! Ale jako członek rządu jestem tak samo dobry, jak każdy. Tak, jeśli się nad tym zastanowić, wszystko zaczęło się od łóżka.

Patrick milczał. Dorośli nie rozmawiają o „łóżku” przy nieletnich. Przynajmniej Agnes przestrzegwała tej zasady. Wymyłaby mu usta mydłem, gdyby odważył się coś na ten temat powiedzieć. „Brudy” - tak to nazywała.

- Kolor skóry - podsumował doktor. - Myślmy o tym przez cały czas, prawda? Nawet jeśli nie chcemy się do tego przyznać.

- Ja o tym nie myślę - odparł Patrick, niezgodnie z prawdą.

- Nie wierzę.

- Nigdy nie rozmawiamy o tym w domu.

- Ale nie wmawiaj mi, że się nad tym nie zastanawiałeś. Jesteś jaśniejszy od nas wszystkich tutaj.

Pewnie, że o tym myślał, nawet częściej, niż mu się wydawało. Kiedy rozglądał się Po klasie, widział, że jego rysy przypominają rysy białych chłopców, różni ich wyłącznie kolor skóry... „O ile łatwiejsze byłoby życie - pomyślał - gdyby dało się usunąć tę resztkę «inności» ze skóry.” Z drugiej jednak strony pamiętał, jak bardzo był dumny, gdy Nicholas zwyciężył w dyspucie z rudym piegowatym chłopcem z Anglii, który mówił z przesadnym brytyjskim akcentem, przez co trudno go było zrozumieć. Triumf Nicholasa uradował go tak bardzo nie dlatego, że był on jego przyjacielem, lecz z powodu koloru skóry.

- Jesteś jaśniejszy od nas wszystkich - powtórzył doktor Mebane.

- Jak sądzisz, co jest tego przyczyną?

Patrick zaczerwienił się ze wstydu. Za siebie? Z pewnością nie. Cóż on miał z tym wspólnego? Doktor pochylił się do przodu..

- Czujesz się zakłopotany. Niepotrzebnie. O tych sprawach należy rozmawiać otwarcie. Są częścią życia. Zresztą w tym pokoju są sami mężczyźni. Nie powinno cię to krępować - powtórzył dobrodusznie.

Doktor jednak nie mógł znać do końca jego myśli. A on myślał o matce. Ta cała sprawa z białym mężczyzną i jego kochanką... Agnes

była we Francji. Mężczyzna, który go spłodził, opuścił ją. Patrick odczuwał gniew wobec nieznanego ojca.

Matka powinna była nienawidzić białych, istniała w niej jednak jakaś sprzeczność, z której od dawna zdawał sobie sprawę. Była dumna, że robotnicy z plantacji, robiący u niej zakupy, tytułują ją „panną”. Spytał ją kiedyś, czemu jest uprzejmiejsza wobec klientów, którzy tak jak ona mają brązowy kolor skóry niż wobec całkiem czarnych. Nie tylko temu zaprzeczyła, lecz tak mu się od niej dostało, że nigdy więcej nie poruszył tego tematu.

Ale temat nie przestał istnieć. Pewnej nocy, leżąc bezsennie, uświadomił sobie, że nawet doktor Mebane zdradził się, że odczuwa dumę z powodu swej jasnej skóry. Uwidocznili się to w jego uśmiechu i głosie, przecząc słusznemu oburzeniu, na które wskazywały słowa. „Chętni się tym, że go zapraszają do pałacu gubernatora” - pomyślał Patrick, czując dziwne współczucie, które bez wątpienia zdumiałoby doktora, gdyby o nim wiedział.

Zrozumiał też, że ta duma była w istocie hańbą. To tak, jak pogardzanie samym sobą.

Kilka lat nauki minęło jak z bicza strzelił i kiedy w wiele lat później spojrział na nie z perspektywy czasu, dostrzegł bardzo niewiele jasnych punktów w niekiedy spokojnym, niekiedy nudnym, niekiedy wzburzonym bezmiarze codziennych zajęć. Takim z pewnością najjaśniejszym punktem był Nicholas i pogodny dom jego ojca. Drugi - to ojciec Baker, który zawsze znajdował dla chłopca czas po szkole, zadawał mu trudne prace do wykonania, przygotowywał długą listę książek dla „pogimnastykowania umysłu”, jak zwykł mawiać. „Przeczytaj koniecznie Zmierzch cesarstwa rzymskiego Gibbona. Czyta się trudno, ale bez tego nie zrozumiesz, jak znaleźliśmy się w punkcie, w którym jesteśmy obecnie.”

Ojciec Baker dostarczał listę książek, natomiast Nicholas same książki, okazałą paczkę z okazji każdego Bożego Narodzenia. („Patricku, czemu wstydzisz się przyjąć ode mnie prezent? Nie powinniśmy odczuwać wobec siebie żadnego skrepowania. Tak się złożyło, że mam więcej pieniędzy, ale przecież to wcale nie moja zasługa. Naprawdę drobiazg.”)

Tak więc dojrzewanie Patricka przypadło na okres pomiędzy trzynastym a siedemnastym rokiem życia, kiedy to umysł jest najbardziej chłonny. Wędrując po wyspie, zaczął kojarzyć rzeczy,

które oglądały jego oczy z tym, co przeczytał lub czego go uczono, wszystko zaczęło się zazębiać i splatać w coś, co nie miało jeszcze konkretnego kształtu, ale zdawało się ku niemu zmierzać.

Gdy zbliżały się długie wakacje przed ostatnim rokiem nauki, ojciec Baker polecił mu:

- Napisz cokolwiek o St. Felice, może to dotyczyć przeszłości lub teraźniejszości, może być na temat geologii, handlu, obojętne czego. - Ojciec Baker znany był z tego, że zadawał trudne prace.

Z początku Patrick nie miał zielonego pojęcia, jaki temat wybrać. Pewnego dnia przyszedł moment olśnienia. Będąc w domu w Sweet Apple, powędrował wzdłuż plaży i spotkał tam swego starego przyjaciela Ah Singa. Nagle, patrząc w czarne jak węgle, skośne oczy Chińczyka, pomyślał sobie, że Ah Sing mógłby z powodzeniem uchodzić za Karaiba, jednego z tych, którzy mieszkają w rezerwacie na odległym stoku Morne Bleue. „Ale przecież oni zawsze tu byli!” - pomyślał zdumiony. - Ah Sing pochodzi natomiast z innej strony świata! Jak to możliwe?”

Postanowił więcej się uczyć. Ojciec Baker lubił mawiać o „intelektualnym pobudzeniu”. Patrick prawdopodobnie nigdy nie doświadczył tego, o co chodziło nauczycielowi, jednakże teraz, spacerując po mokrym piasku, pomyślał, że chyba to właśnie odczuwa. „To rodzaj ognia”, powiedział ojciec Baker. Tak. Tak. Chcę powiedzieć coś o miejscu, w którym żyję, dziwnym miejscu, jeśli się nad tym zastanowić. Wszyscy ci tak bardzo różni i dziwni ludzie, zamieszkujący tutaj razem, a jednocześnie osobno... Najpierw byli Indianie. To miejsce należało do nich, choć Pozostały ich zaledwie niedobitki. Niewiele się o nich słyszy, chyba że uwagi czarnych na temat ich „dobrych włosów”. Czasem widuje się, jak łowią w nocy ryby przy świetle pochodni. Niekiedy można też ich zobaczyć na drodze z ładunkiem na plecach, ponieważ - tyle wiedział - jest poniżej godności Indianina nosić cokolwiek na głowie. To dobre dla kobiet, nie dla mężczyzn. Przynoszą kosze bananów na rynek, by je sprzedać, rzadziej schodzą z nimi do Covetown. Rzadko też najmują się do pracy, a już prawie nigdy nie pracują na plantacjach. Emanuje od nich spokój i niezależność. Na ich twarzach maluje się ogromna rezerwa.

Kiedyś wybrał się w okolice, gdzie zamieszkiwali. Nie spodziewał się wielkich rewelacji, nie był więc rozczarowany, napotkawszy niemal to samo, co widział w innej wiosce w głębi lądu:



rzędy drewnianych chat z blaszanymi dachami, parę kóz, kilka kur, grzebiących w małym przydomowym ogródku. Zauważył też pewne różnice: kobiety ucierały maniok w tykwach, a mężczyźni drażyli kanoe, używając w charakterze budulca cedrowych pni. Zaobserwował te podobieństwa i różnice w codziennym życiu, ale zaspokoiwszy ciekawość, nie odczuwał dalszego zainteresowania. Tym razem stało się inaczej.

Odwiedził bibliotekę publiczną w Covetown. Było to spore pomieszczenie, pełne kurzu, wirującego w promieniach słońca. Wchodziło się do niego po schodach z urzędu podatkowego. Niegdyś mieścił się tu sąd, który skazywał piratów na szubienicę. Szczęśliwie dla Patricka, w zbiorach znajdowała się encyklopedia oraz trochę książek z zakresu historii. Patrick usiadł po zacienionej stronie pokoju ze stertą książek i zaczął robić notatki.

„Pierwotni mieszkańcy Wysp Podwietrznych i Zawietrznych to Arawakowie, którzy przyплыnęli na czólnach kanoe z obecnej Gujany. Byli to ludzie łagodni - rolnicy i rybacy. Po upływie wielu wieków - nikt nie wie, ilu - wyparli ich Karaibowie, przybyli prawdopodobnie z dzisiejszej Brazylii. Zupełnie różni od swych poprzedników, wojowniczy i dzicy. Uważa się, że słowo «kanibal» pochodzi od nazwy ich plemienia.

Istnieją przekonujące dowody na to, że wiele tysięcy lat temu, gdy istniało połączenie lądowe pomiędzy Azją i Ameryką w regionie Morza Beringa, przodkowie obu tych plemion wędrowali tamtędy, stopniowo się rozpraszając...”

A więc to prawda! Ci ludzie i Chińczyk Ah Sing! Zwrócił na to uwagę sam i okazało się to faktem. Czytał dalej:

„Karaibowie wyrznęli Arawaków i wzięli za żony ich kobiety... Przez wiele pokoleń mężczyźni rozmawiali między sobą w języku Karaibów i choć rozumieli arawacki, którym posługiwały się wciąż kobiety, sami go nie używali. Słowo « hamak » pochodzi z arawackiego. «Huragan»" również.”

Patrick przerwał na chwilę lekturę, czując, jak wszystko rozjaśnia mu się w głowie. Ileż treści kryje się w słowach! Słowo „huragan” nawet na papierze sugeruje gwałtowny pęd i spustoszenie, jakie widział kilka lat temu - całe wioski obrócone w perzynę, ogromne palmy wyrwane z korzeniami niczym chwasty, gdy wichur natarł na

nie od wschodu z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Wrócił do książki, biorąc pióro.

„Za whisky i tanie ozdóbki Europejczycy kupowali od Karaibów wyspę za wyspą. Nie wystarczało im posiadanie samej ziemi, dążyli, by ich własnością stali się również mieszkańcy, jednakże bez rezultatu. Karaibowie nie pozwolili uczynić się niewolnikami. Przeciwwstawiali się zdobywcy, popełniając masowe oraz indywidualne samobójstwa.”

Godna podziwu, pełna dumy odwaga! Patrick odczuwał głębokie młodzieńcze wzruszenie.

Po tygodniu wytrwałej pracy zakończył robienie notatek, wrócił do domu i przystąpił do pisania pracy. Ślęczał nad nią przez cały dzień. Gdy zapadł zmrok, zapalił lampę naftową na ladzie w sklepie i pisał dalej.

- Już trzy noce zarywasz! - uskarżała się Agnes.

- Muszę - odpowiadał cierpliwie.

Wszystko przemyślał wcześniej, toteż pióro sunęło szybko po papierze: historia, codzienne zajęcia...

„Na szczycie palmy znajduje się pióropusz, który przypomina kapustę. Używany jako parasol, chroni nawet przed najbardziej ulewnym deszczem.

...umieją gwizdem zahipnotyzować iguanę po to, by ją pojmać.

...potrafią upolować rybę za pomocą łuku i strzały. Ciężki sporządza z pędów liany, a podczas potyczek wojennych nasycają końcówki strzał trucizną z soku koniszału...

Dawni badacze opisują ich wyczyny pływackie. Podobno są tak szybcy, że potrafią zakłuć nożem rekina pod wodą.

...wyplatają tak świetnie koszyki, że można w nich nosić wodę.”

I na temat ich życia wewnętrznego:

„Na długo przed nastaniem chrześcijaństwa wierzyli w dobrego ducha, rządzącego wszechświatem. Istniało u nich również pojęcie zła, podobnie jak u chrześcijan wiara w diabła...”

Podsumowując, najbardziej podziwiam ich umiłowanie wolności. Myślę, że dlatego właśnie nawet teraz nie godzą się pracować dla kogo. Nie ma też u nich Pojęcia klas społecznych. Nawet obecnie ich wódz mieszka w domu nie wyróżniającym się niczym spośród innych. Zawsze był im obcy europejski system hierarchii...

Skończył pisać prace w ostatnią noc wakacji. Przepisawszy ją starannie, bez poprawek i skreśleń, położył się spać, zmęczony, rozradowany, ale też i pełen obaw, czy to, co stworzył, ma jakąkolwiek wartość. W dwa dni później ojciec Baker wezwał Patricka do swego gabinetu.

- Kto ci pomagał w pracy? - spytał. - Nikt.

- Na pewno?

- A któż mógłby to zrobić? - odpowiedział pytaniem Patrick. - To praca na bardzo wysokim poziomie - powiedział ojciec Baker. W zamyśleniu przerzucał zapisane starannym pismem strony. - Nie spodziewałem się czegoś równie gruntownego. Musiałeś poświęcić mnóstwo czasu na badania. Co cię do tego skłoniło? Możesz mi wyjaśnić? Patrick zawahał się.

- Wszystko zaczęło się od Ah Singa. Znam go od dzieciństwa - miałem może cztery, najwyżej pięć lat... - Opowiedział o tym, jak po raz pierwszy zaintrygowało go podobieństwo Chińczyka do Indian. - Pomyślałem wówczas o moich przodkach. Wyobraziłem sobie Afrykę i myśl o niej wciąż mnie prześladowała. Wspominałem też katedry i małe angielskie wioski z książek z obrazkami. Wszystko to pozostaje w pamięci człowieka. Podobnie St. Felice. - Wstydział się powiedzieć, że wciąż myśli w kategoriach rasowych, rzekł więc po prostu: - Tacy ludzie, jak Da Cunha, Nicholas nazywa ich Żydami, byli tu pierwsi, biblijni tułacze. Co ich mogło tutaj przywieść? - Nabierał pewności siebie: - Wyspa, na której żyjemy, jest tak mała! Mimo to mieszka tu mnóstwo rozmaitych ludzi, którzy przybyli z różnych stron świata, mieszkają razem, a jednocześnie osobno, nie znając się nawzajem. Zastanawiałem się, czy cały świat wygląda podobnie?

Ojciec Baker wpatrywał się weń tak badawczo, że Patrick przerwał. Czy robi z siebie idiotę? Po chwili ojciec Baker odwrócił głowę. Patrick spojrzał na niebieskawe żyłki na jego skroniach, na poplamioną i wytartą sutannę, a potem również skierował spojrzenie w okno, zza którego dobiegały wesole chłopięce głosy.

„Wkrótce już mnie tu nie będzie” - pomyślał, czując ukłucie żalu. - „Zostawię kolegów, książki, ten przytulny gabinet i siedzącego w nim wspaniałego człowieka.”

Ojciec Baker odwrócił się z powrotem do biurka, wziął do ręki ołówek i zaczął kreślić nim kółka na papierze.

- Co planujesz zrobić ze swym życiem, Patricku?

- No cóż, pójdę do pracy... - Już Agnes wspomniała mu, że mógłby starać się o posadę w Barclay's Bank. Kasjerami byli tam przeważnie Murzyni o jaśniejszej skórze, tacy jak Patrick. - Może do banku - dodał.

- Czy to właśnie chciałbyś robić?

Nagle Patricka olśniło. Ta myśl musiała tkwić w jego podświadomości od dawna po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Tak naprawdę to chciałbym uczyć. Dużo czytać i uczyć. Podobnie jak pan - choć nie myślę o kapłaństwie - zakończył niezręcznie i zawstydził się swego nietaktownego zachowania.

- Rozumiem. Ukończywszy naszą szkołę, nie miałbyś żadnych trudności w uzyskaniu dyplomu uprawniającego do nauczania w szkole podstawowej. Jednakże taki chłopak, jak ty, powinien pojechać do Anglii, kontynuować naukę na uniwersytecie. Byłoby świetnie, gdybyś mógł pojechać ze swoim przyjacielem Nicholasem, prawda?

„Jasne! Ale ojciec Baker chyba nie zdaje sobie sprawy, jak niewiele mają pieniędzy. Może bierze go za drugiego Nicholasa.” Okazało się, że jednak nie.

- Z pewnością udałoby ci się uzyskać częściowe stypendium.

To za mało. Zaczął gorączkowo myśleć, ale po chwili dał spokój. To nie ma sensu. W żaden sposób nie może sobie pozwolić na dalszą naukę.

- Cóż, przemyśl to - powiedział ojciec Baker, gdy Patrick wstał.

Nowy pomysł wbrew samemu Patrickowi coraz bardziej się w nim zakorzeniał. Nie powiedział nic Nicholasowi, po części dlatego, że był dość skryty nawet wobec najlepszego przyjaciela, a również z tego powodu, że był realistą i uważał, że nie ma sensu mówić o rzeczach niemożliwych. Chadzał jednak na nabrzeże, by przyglądać się statkom, nawet szkunerom kursującym między wyspami, czując nieznaną dotąd tęsknotę.

Pewnego wieczora w domu coś go podkusiło, by powiedzieć:

- Nauczyciel bardzo pochwalił moją pracę o Karaibach. Agnes pokiwała głową.

- Świetnie. Bardzo się cieszę...

- Uważa, że powinienem pojechać do Anglii i kontynuować naukę na uniwersytecie.

- Naprawdę? A czy da ci też na to pieniądze?

- Mógłbym uzyskać częściowe stypendium.

- A reszta?

- Nie wiem.

- Ja również nie mam pojęcia, skąd wziąć tyle pieniędzy. Sądzę, że zostaniesz tutaj, znajdziesz sobie dobrą pracę i będziesz zadowolony. Wybij sobie z głowy głupie pomysły.

Patrick zaczerwienił się. Tak, to była fantazja, musi przestać zawracać sobie tym głowę. Nie mógł jednak zapomnieć o całej sprawie. Przypomniał sobie panią Ogilvie, nauczycielkę ze szkoły podstawowej, z ogromnymi brakami w wykształceniu, która uczyła ich mechanicznie o europejskich królach i generałach, a nie wspomniała nawet słowem o wielkim „czarnym kontynencie”, z którego wywodzili się jej uczniowie. Porównawszy ją z nauczycielami ze szkoły średniej, przeżył szok. A jeśli postąpiłby analogicznie, porównując ich z kolei z uczonymi z Cambridge? Co wtedy? Cała wiedza świata przechowywana w kilku małych buteleczkach, dana do picia wybranym! Pomyślał o robotnikach na polach trzciny cukrowej, których wiedza jest niemal równa zeru. Zastanawiał się, czy właściciele wielkich domów, na przykład stary pan Kimbrough lub Tarboxowie w Drummond Hall, nie są również ignorantami, nie znając nic poza ścianami swych wspaniałych rezydencji.

- Chcesz wyjechać, prawda? - spytała nagle Agnes pewnego wieczora.

- Wyjechać? - powtórzył.

- Do Anglii! Na uniwersytet! A o czym rozmawiamy?

- O niczym - rozzłościł się - ponieważ jest to niemożliwe i ja o tym wiem.

- Może masz rację - powiedziała w kilka dni później.

- Rację? W jakiej sprawie? - spytał, podnosząc głowę znad pracy domowej.

- Nie, nic. Po prostu głośno myślałam. Chodziło mi o to, że rzeczywiście miałaś rację, nie chcąc rozmawiać o wyjeździe za granicę.

- Mam rację i nie chcę więcej o tym słyszeć!

- Nie mów do mnie w ten sposób. Nie mam zamiaru wysłuchiwać twoich impertynencji.

Wyszedł z pokoju, nie spojrzawszy na nią.

Jednak po tygodniu lub dwóch Agnes powiedziała:

- Zamykam na pewien czas sklep, muszę wyjechać. Doglądaj domu podczas mojej nieobecności.

W pierwszej chwili przyszło mu na myśl, że musiała zatęsknić za Martyniką.

- Dokąd się wybierasz, mamó?

- Do Nowego Jorku.

- Do Nowego Jorku?! - wykrzyknął zdumiony.

Poznał po jej uśmiechu, że mimo pozornej szorstkości, cieszy ją jego zdumienie.

- Tak, mam tam sprawę do załatwienia.

- Sprawę w Nowym Jorku? Jak się tam dostaniesz?

- Frachtowcem.

- Czy masz zamiar wrócić?

- Oczywiście, że tak! Mam tam do załatwienia małą osobistą sprawę, i tyle! Czy muszę ci o wszystkim mówić? - spytała, po czym pogłaskała go po głowie. - Nie musisz się o nic martwić. Po prostu zostań tutaj i rób, co do ciebie należy - Wrócę do domu za kilka tygodni. A gdy już wrócę, wszystko się zmieni.

## Rozdział 5

Teresa jeszcze przez długi czas pamiętała ten dzień w kolorach; zieleń wzgórz New Jersey, przymgloną przelotnym smętnym deszczem. Miała zwyczaj przypisywać miejscom i osobom określone kolory: męża widziała w pochmurnej szarości, dzieci zaś jako delikatne różowe płatki kwiatów. Eleuthera była niegdyś lśniącem błękitem, ale skończyło się to bardzo dawno.

Stała przy oknie, odwrócona tyłem do pokoju, obok biurka, na którym leżała sterta amatorskich zdjęć o nie najlepszej ostrości. Pod presją spojrzenia Agnes zatrzymała na nich przez chwilę wzrok, po czym cofnęła się, jak gdyby dotknęła dłonią rozpalonego żelaza.

- Nie chcesz nawet dobrze mu się przyjrzeć - powiedziała spokojnie Agnes, a mimo to Teresa wyczuła w jej głosie wyrzut. - Chciałabym wiedzieć, co w tej chwili myślisz. Tak, bardzo bym chciała.

Gdzieś z dołu, zza węgła domu, dobiegło wołanie dziecka. Teresa zadrżała.

- Czuję się... Najchętniej skryłabym się w mysiej norze, gdzie nikt by mnie nie znalazł. Albo wsiadłabym na statek i uciekłabym hen daleko stąd. - Odwróciła się do Agnes. - Jak mnie tu znalazłaś?

- Bez trudu. W książce telefonicznej. Gdy zadzwoniłam, ktoś poinformował mnie, że wyjechałaś na tydzień na wieś.

- Zawsze umiałaś sobie radzić.

Agnes odstawiła cichutko filiżankę na spodek. Siedziała ze skrzyżowanymi skromnie nogami w wypucowanych do połysku bucikach. Zdążyła już dyskretnie przeprowadzić inspekcję pokoju - jasny dywan, nagietki w ciemnoniebieskich wazonach, fotografie podkreślające nastrój intymności w saloniku na piętrze. Najwyraźniej wszystko zyskało jej pełną aprobatę. Eleve au chapeau, przypomniała sobie nagle Teresa.

Agnes spojrzała na nią.

- Nie musisz się mnie obawiać - powiedziała łagodnie.

Obawiać? To, co odczuwała Teresa, było raczej przerażeniem, niczym na sekundę przed upadkiem w przepaść... czy też na dźwięk obcych kroków skradających się nocą po schodach...

- Nie przyjechałam po to, by wyrządzić ci krzywdę. Mogłam zdradzić twoją tajemnicę dawno temu, gdy powróciłam na wyspę, prawda? Ale ja nie jestem okrutna, jestem przyzwoitą kobietą. Poza

tym pragnę chronić mojego syna, mojego Patricka. Chyba nie sądzisz, że chciałabym, by poznał prawdę?

- Patrick - powtórzyła Teresa.

- Cóż, ty nie nadałaś mu imienia, wobec tego ja to zrobiłam. Nazywa się Patrick Courzon.

- Nie wiedziałam, że wróciłaś do domu. Pere nigdy o tym nie wspomniał w swoich listach.

- Raz jeden widział chłopca. Zabrałam go do Eleuthery, gdy miał trzy latka, potem już nigdy... Och, zerwałaś swój naszyjnik.

Teresa wyłamywała lodowate, wilgotne od potu palce. Błękitne koraliki potoczyły się po podłodze. Agnes schyliła się, by je pozbierać.

- Denerwujesz się. Ale ja doprawdy nie zamierzam zmarnować ci życia. Co by mi z tego przyszło? Chciałam cię tylko prosić o pomoc dla niego. On chce się uczyć, chce iść do Cambridge.

Teresa czuła bolesne pulsowanie w skroniach. Niewyraźna postać na zdjęciu. Wysoka, szczupła, białe zęby, biała koszula - wszystko to wzięło się z niej i zostało jej odebrane. Gdyby ktoś ją spytał „Co czujesz?” - mogłaby odpowiedzieć jedynie: „Zbliżającą się katastrofę. Nic mi nie pozostało: nie mam już dzieci, domu, nazwiska. Richard... lepiej nie myśleć, jak postąpi Richard.”

- Siedemnaście lat! - wykrzyknęła. - Przychodzisz z tym do mnie po siedemnastu latach! Mój Boże, czy ty zdajesz sobie sprawę, co robisz?

- Daj mi to, o co proszę, a więcej mnie już nie zobaczysz - odpowiedziała spokojnie Agnes.

Czy można jej wierzyć?

- Chcesz wiedzieć, jak wygląda, prawda? Tylko trudno ci się do tego przyznać? Dobrze, opiszę ci go. Ma nos Francisów, podobny do twojego i twojego dziadka. Jest bardzo jasny. Spotykałam w Covetown włoskich marynarzy o skórze niewiele jaśniejszej. Myślę, że zdradzają go tylko włosy.

Tego dnia Agnes nie natłuściła włosów - skręcały się w drobne loczki. Teresę uderzył jej prymitywizm. Jak dziwne są ścieżki pamięci - patrząc na te włosy, Teresa pomyślała o bębnach. Bębny? Wiele lat temu na plantacjach - tak mówił Pere - słyszało się je w niedzielę przez cały dzień, a będąc jeszcze dzieckiem Tee sama widziała afrykański taniec.



Przetarła dłonią czoło, powracając do terażniejszości.

- Zdobęde dla ciebie pieniądze. Richard prowadził wszystkie sprawy finansowe i sprawował kontrolę nad kontami bankowymi, ale przecież zawsze mogła sprzedać bransoletkę. Miała ich tyle. Kupił jej mnóstwo kosztownych niepotrzebnych przedmiotów.

- Tak, zdobęde je dla ciebie. Czy dasz mi wtedy spokój? Ostatecznie on jest twój, prawda? - „Tylko włosy go zdradzają.” - Mam czwórke własnych dzieci. Trzy dziewczynki. - „Długie popielate włosy opadają jedwabistą falą na ich ramiona.” - I syna, pierworodnego. - „Mój śliczny chłopiec, mój silny i łagodny chłopiec. Nigdy mu tego nie powiedziałam ani nie powiem, ale oboje wiemy, że jest moim najdroższym skarbem.”

- Nie mogę pozwolić, by stała się im krzywda! - wykrzyknęła ochryłym głosem.

- Oczywiście, że nie możesz.

- Gdyby... on... kiedykolwiek odkrył prawdę, wszystko by się skończyło. - Wyciągnęła ręce wymownym gestem. - Rozwaliłby ten dom na kawałki! To nie jest mężczyzna, który potrafiłby cokolwiek zrozumieć... wybaczyć...

- A jaki mężczyzna potrafiłby? - Agnes przyglądała się jej poważnie smutnymi oczyma. - Powiedziałam ci już, żebyś przestała o tym myśleć. Czy zapomniałaś, że byłam ci bliższa niż rodzona matka?

- To prawda. - Teresa nie miała żadnych żywszych wspomnień związanych z Julią. Ani radości, ani konfliktów. „Może dlatego jestem taka, jaka jestem? - pomyślała. - Gdyby mi na tym zależało, mogłabym się poddać psychoanalizie - co jest w dzisiejszych czasach ogromnie modne - i wówczas dowiedziałabym się. Dowiedziałabym się również, dlaczego raz odpycha mnie fakt, iż Agnes jest Murzynką, a w chwilę później znajduję u niej ciepło i pociechę.” - Moja mała córeczka Margaret jest opóźniona w rozwoju - powiedziała nagle, choć wcale nie zamierzała się z tego zwierzać. - Nie jest normalnym dzieckiem. Nigdy się w pełni nie rozwinię.

- Bardzo mi przykro, panienko Tee.

- Wiesz, czasem mam idiotyczne uczucie, że to kara. Agnes pokiwała głową.

- To nic głupiego. Widywałam już takie rzeczy.

To oczywista głupota, po prostu absurd! Tylko wieśniaczka z St. Felice może wierzyć w coś takiego - podyktowane jest to

wielowiekowym atawizmem, który dochodzi do głosu w momentach przygnębienia.

Agnes dotknęła fotografii stojącej na stole.

- Czy to twój mąż? Przystojny mężczyzna.

- Tak. - Gdy była zła, myślała o nim z pogardą. Chodząca reklama szytych na miarę garniturów. Flirciarz, kobieciarz!

Nie miała w tej chwili ochoty narzekać.

- Jesteś dość szczęśliwa? Jest dla ciebie dobry?

Były to raczej stwierdzenia niż pytania. Dla Agnes, która nie miała nic, elegancki pokój, rozległe pola i zachwycające drzewa za oknami stanowiły prawdopodobnie rekompensatę za wszystko.

- Jest dla mnie dobry. Jestem szczęśliwa.

Na swój sposób Richard był do niej przywiązany. Wprawdzie osobliwy powab młodej „innej” dziewczyny z egzotycznej wyspy był już sprawą przeszłości, ale Richard wychował się w środowisku ludzi dobrze wychowanych i rzadko rozwodzących się. Nie miał zresztą powodu - przynajmniej znanego sobie! - by ją porzucić.

W stosunku do dzieci był łagodny, cierpliwy, nawet wobec nieszczęsnej Margaret z jej lepkimi rączkami i głupkowskim uśmiechem. Szczycił się pozostałymi córkami oraz Francisem, rozwiniętym ponad wiek, pełnym życia chłopcem. Jakim cudem spłodzili takie dziecko? W niczym nie przypominał Richarda, może z wyjątkiem jasnych włosów i uśmiechu.

Siedząc naprzeciwko Agnes, poddana badawczym, lecz zarazem łagodnym oględzinom, myślała: „Nigdy nie rozmawialiśmy o niczym szczerze, z wyjątkiem dzieci. Nigdy nie otworzyliśmy przed sobą duszy.” Ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Nie miały nawet znaczenia „inne kobiety”. Poświęciła życie wychowywaniu dzieci, podobnie jak botanik koncentruje się na swych eksperymentach, dogląda temperatury panującej w cieplarni, składu chemicznego ziemi.

Nagle zapragnęła mówić o Francisie.

- Mój syn Francis przypomina mi mego ojca.

- Pamiętasz go?

- Trochę. Pamiętam, jak czytał mi opowiadania. Miał piękny głos.

Długi kształt leżący w białej pościeli w pokoju o wiecznie zamkniętych okiennicach. Cierpienie. Czarny karawan, zaprzężony w dwa mokre od potu konie z czarnymi pióropuszcami na łbach.

- Był naprawdę dzielny. Nigdy się nie uskarżał, choć bardzo cierpiał.

- Pere zawsze mówił, że Francisowie są twardzi. Twierdził, że i ja taka jestem, choć miałam co do tego wątpliwości, i że czyni to życie znośniejszym.

- Twój dziadek z pewnością był twardy - powiedziała Agnes ponuro. - Wiesz, co uczynił z Clydem. Można się było tego spodziewać, kolorowy chłopak...

- Sądysz, że to było przyczyną? Nie uczyniłby tego z każdym? Agnes uśmiechnęła się.

- Nie. On kierował się nienawiścią, panienko Tee. Tylko zdawało mu się, że jej nie odczuwa.

Tee milczała. Clyde, jego życie i śmierć, przede wszystkim jego śmierć, muszą być pogrzebane, okryte na wieki tajemnicą.

- Jednak - mówiła dalej Agnes - nie przeklinam go za ten postępek. W każdym z nas tkwi morderca. Wiem, że mogłabym zabić dla Patricka, gdybym musiała.

Cisza dzwoniła w uszach.

- Panienko Tee, powiedz mi proszę, czy widzisz swoją matkę? Teresa oblizwała wyschnięte wargi.

- Odwiedzili nas tutaj dwa razy.

- Ale ty? Nigdy nie chciałaś tam pojechać?

- Nie, nigdy. - Znow zapadła przytłaczająca cisza. Tee zdawało się, że dzwonienie rozsądzi jej głowę, że nie wytrzyma i za chwilę zacznie krzyczeć. Przycisnąwszy palcami drżące wargi, spojrzała ponad głowę Agnes w lustro, które kilka minut temu odbijało tylko pastelową mozaikę kwiatów i książek, a teraz wyzierała z niego jej przerażona twarz i oczy pełne wstrzymywanych łez.

Podbiegła do Agnes. Znajome ramiona objęły ją w serdecznym uścisku, ciepła dłoń czule pogładziła po plecach.

- Nie wolno mi się roztkliwiać.

- Wiem. Inaczej poradziłabym ci: „Wypłacz się porządnie, od razu poczujesz się lepiej.” Ale tobie nie wolno.

Tee podniosła głowę.

- Skłamałam ci. Nie, właściwie nie skłamałam. Po prostu... sama nie wiem, co czuję. Nigdy nie jestem pewna. Nie znam prawdy o sobie samej. Och, tak, pragnę wiedzieć, jaki jest. Bardzo! Jednocześnie się tego obawiam. Obawiam się z powodu tego, kim jest. Wybacz mi, Agnes.

- Nie musisz nic mówić. Czy sądzisz, że przeżyłam tyle lat, nie wiedząc, jak się sprawy mają? - W jej głosie, głosie starej kobiety, która widziała zbyt wiele, zabrzmiała skarga. - Dobrze. Opowiem ci o nim więcej. Jest spokojnym chłopcem łagodnym, myślącym. Często nie rozumiem, o co mu chodzi. Bardzo ambitny ale to nie na pieniądzech mu zależy. Dumny. Ma bardzo jasny odcień skóry, a chępli się tym, że jest Murzynem. Bardziej niż niektórzy czarni jak węgiel. Dziwne, prawda?

- O, tak. - Dziwne i smutne. - A czy jest szczęśliwy, Agnes?

- Ma przyjaciół. Ludzi mu podobnych. Tak, sądzę, że jest szczęśliwy, w takim samym stopniu, jak inni... Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć. Trudno mi opisać wszystkie te lata w kilku słowach. W każdym razie jest najlepszą rzeczą, jaka mnie w życiu spotkała.

- Pamiętam dzień, gdy go zabrałaś. Chciałam go zobaczyć... i jednocześnie nie chciałam. Wstydziłam się tego...

- Czego tu się wstydzić! Miałaś zaledwie szesnaście lat i byłaś śmiertelnie przerażona. Wykazałaś naprawdę wiele odwagi, niech ci się nie zdaje, że jest inaczej.

- Często myślę, że są dwa rodzaje odwagi. Pierwszy polega na tym, by jakoś wytrzymać, znieść coś, postępować według planu i nie odstępować od niego. To dotyczy właśnie mnie, mojego życia. Ale większą odwagą jest pójście na ryzyko, po prostu wybranie stromej ścieżki ku przeznaczeniu. Tego właśnie nie potrafię.

- Masz na myśli wyjawienie prawdy?

Tee skinęła twierdząco głową. Oddychała ciężko, brakowało jej tchu niczym po długim biegu.

- Zrobiłabyś wielkie głupstwo! Powiedziałabym to samo nawet wówczas, gdybym nie chciała mieć Patricka dla siebie. Musiałabyś oddać za niego to wszystko. - Agnes pokazała ręką pokój.

- Wiesz, że przedmioty niewiele dla mnie znaczą. Dałabym sobie radę, mając znacznie mniej, Agnes!

- A czwórka dzieci? Mąż?

- Dzieci... - wyszeptała Tee.

- Rozumiem. O to chodzi! Powinnaś mieć ich więcej, powinnaś mieć mężczyznę, którego kochałabyś przez całe życie.

- Ty również - uśmiechnęła się lekko Tee.

- Nie potrzebuję tego tak bardzo, jak ty. Nigdy nie potrzebowałam. Masz w sobie tyle miłości od chwili, gdy zaczęłaś chodzić. Taka się już urodziłaś.

- Kochałam cię bardzo, Agnes. Ciebie i Pere'a. A teraz mam Francisa. Chciałabym, żebyś go zobaczyła. Wszystko, co powiedziałaś o... Patricku... ja mogę powiedzieć o nim. Jest spokojny, miły, interesuje go wiele rzeczy...

Z dołu dobiegł stuk zatraskiwanych drzwi i odgłos kroków na schodach. Agnes wstała i włożyła kapelusz.

- Lepiej pójdę sobie, zanim ktoś się zjawi i zacznie ci zadawać pytania. Ale zajmiesz się tą sprawą?

- Zajmę. I mam nadzieję... życzę mu wszystkiego najlepszego. Będę pamiętała, że gdzieś toruje sobie drogę w świecie chłopiec, który... - przerwała.

Agnes ujęła dłoń Tee w obie ręce. Był to stary, dawno zapomniany gest, teraz odkryty na nowo.

- Agnes! Gdy odejdziesz, będę myślała o wszystkim, co powinnam ci była powiedzieć. O tym, co dla mnie zrobiłaś, jaka jesteś i jak bardzo cię kocham.

- Nie musisz mi o tym mówić. Wiem.

Zeszły na dół do drzwi frontowych. Na progu Agnes odwróciła się i omijając wzrokiem Teresę, wpatrzyła się w przedwieczorny półmrok zalegający hol.

- Mam widzenie. Pamiętasz, że zawsze potrafiłam przewidzieć przyszłość?

- Co masz na myśli?

- Patrick powróci do twojego życia. Nie za moją sprawą, o nie, nigdy! Może zresztą nie do twojego, nie jestem pewna. Ale jego los splecie się z losami twoich dzieci. Tak. Widzę to wyraźnie.

Teresa nie odpowiedziała. „Znów ten prymitywizm” - pomyślała, próbując uspokoić rozedrgane nerwy. Zabobony, rodem z Afryki. To też część natury Agnes. Ręce trzęsły jej się jednak tak, że z trudem zamknęła drzwi na zasuwkę.

- Kim była ta kolorowa kobieta, która rozmawiała z tobą po południu - spytał później Francis. - Widziałem ją, przechodząc obok twojego pokoju.

- Moja stara niania. Przypuszczam, że tak właśnie byś ją nazwał.

- Z St. Felice? Co ona tu robiła?

- Chyba odwiedzała kuzynkę, która pracuje gdzieś w pobliżu.

- Czy mówiłem ci, że piszę o St. Felice na zajęcia z ekonomii? O cenach cukru i konkurencji europejskiego cukru z buraków. Wszyscy ludzie, również mój nauczyciel, są ogromnie zaintrygowani, gdy dowiadują się, że moja matka pochodzi z St. Felice.

- Nie ma w tym nic dziwnego - powiedziała cierpliwie Teresa.

- Cóż, im się to pewnie kojarzy wyłącznie z piratami i wulkanami. Ale, istotnie, gdy czytałem pamiętnik pierwszego Francois, ciarki chodziły mi po plecach.

„Istotnie” było w tej chwili szalenie modnym słowem w szkole. Ta zabawna cecha młodości, niewinne chełpienie się odznaką za osiągnięcia w koszykówce, przypiętą do swetra, a także dwie zmarszczki, przecinające czoło zaledwie szesnastoletniego młodzieńca, wzruszyły ją głęboko. Zapragnęła odwzajemnić jego entuzjazm.

- Zapewne uważają nas również za cukrowych potentatów?

- Oczywiście! I - dodał z pewnym zażenowaniem Francis - mają różne wyobrażenia na temat mieszania ras. Ale ja ich uświadamiam - roześmiał się - że my wszyscy jesteśmy biali, że w naszej rodzinie nie ma nikogo takiego.

Jej dłonie, spoczywające na podolku, splotły się kurczowo, po czym zaczęły nerwowo błądzić pośród grzebieni i puderniczek na komódce.

- Chciałbym tam pojechać pewnego dnia, nawet jeśli ty nie pojedziesz.

- Wcale nie jest tam tak romantycznie, jak przypuszczasz. Rozczarujesz się. Poza tym skoncentruj się lepiej na przygotowaniu do egzaminów do Amherst za dwa lata, ponieważ to tam właśnie chcesz pojechać.

- Och, z pewnością się dostanę, nie martw się - odpowiedział Francis z upartym, czarującym uśmiechem swego ojca.

Oczywiście, że się dostanie. Jest bardzo zdolny. W głowie zadźwięczały jej słowa Agnes: „Bardzo zdolny. Nawet przez chwilę nie sprawia kłopotu...”

- Marszczysz brwi - rzekł Francis.
- Naprawdę? Nie chciałam.
- Były kłopoty z Margaret?
- Nie większe niż zwykle.

Francis wepchnął ręce do kieszeni, brzęcząc monetami. „Typowo męski gest - pomyślała - tak jak poprawianie ramiączek u dziewcząt.”

- Chcesz, żebym ci pomógł ją położyć?
- To ładnie z twojej strony. Rzeczywiście jestem dziś trochę zmęczona. Zresztą przy tobie zachowuje się najlepiej.

Francis spojrzał w zamyśleniu na matkę.

- Ludzie mówią, że męczysz się ponad siły.
- Kto tak mówi?
- Przyjaciele, rodzina taty, a nawet służące. Prawie wszyscy...
- Uważają, że powinnam gdzieś oddać Margaret?
- Do specjalnej szkoły - powiedział cicho, spuszczać wzrok.
- Niech mi dadzą święty spokój! - wykrzyknęła. Francis był wyraźnie zmartwiony.

- Niektórzy mówią, że sprawiasz wrażenie, jakbyś chciała się za coś ukarać.

- Ukarać? Za co?
- Nie wiem, mamó.

„Kara” - to właśnie powiedziała do Agnes.

- Tata prosił, bym jeszcze raz porozmawiał z tobą na ten temat, ponieważ jego nie chcesz słuchać. - Francis podniósł oczy. Bystre, piękne, szczere, jedyne w całym świecie, które do niej przemawiały. - Obiecałem mu, że to zrobię, ale żeby się za wiele nie spodziewał. Powiedziałem mu, że nie mogłabyś zostawić upośledzonego dziecka. To nie jej wina, że się taka urodziła.

- Ty myślisz tak samo - wyszeptwała.
- Myślę, że byłoby ci łatwiej, gdybyś ją tam oddała. Większość ludzi z pewnością postąpiłaby w ten właśnie sposób, ale nie ty. Nie zrobiłabyś tego własnemu dziecku.

Teresa przeżywała w tej chwili piekielne męki. Odwróciła się, by syn nie spostrzegł wyrazu jej twarzy.

- Czy przyprowadzić Margaret na górę?

- Tak, zrób to, proszę.

Rozejrzała się rozpaczliwie po pokoju, pokoju, który urządziła z miłością,

podobnie jak cały dom, umieszczając w nim drogie pamiątki: stary pluszowy miś Francisa na komodzie, zdjęcie dziewczynek w wyjściowych sukienkach, oprawiona w ramki fotografia pierwszego ukochanego psa, rząddek książek ogrodniczych. Dziś jednak nic nie przynosiło jej ukojenia. Pokój wydawał jej się obcy, ciemny, ściany cofały się, niknęły, wpuszczając doń cały chłód świata...

Za drzwiami rozległo się szuranie stóp Margaret.

- Mamo?

- Tak, kochanie?

- Nie chcę iść spać. - Obwisłe, bezradne wargi wygięły się w podkówkę.

- Najpierw ci trochę poczytam. Może Kubusia Puchatka?

- Nie, Francis poczyta! - Duża dziewczynka, sięgająca bratu powyżej ramienia, tupnęła nogą.

Ogromnym wysiłkiem woli Tee zebrała siły. Dziś wieczorem, dzięki pomocy Francisa, wszystko pójdzie łatwiej.

- Chodź, Margaret, kochanie. - Wziąwszy dziewczynkę za rękę, uśmiechnęła się z wdzięcznością do syna. - Czasami nie wyobrażam sobie, co zrobiłabym bez ciebie.

Gdy w domu wszystko wreszcie ucichło, Tee położyła się. Richard miał wrócić tego dnia późno i bardzo jej to było na rękę - cieszyła ją samotność. Często spędzała czas samotnie, gdy jej mąż prowadził niezależne życie w biurze maklerskim i galeriach. Gorzki uśmiech zagościł na jej wargach. Richard uważał się za fascynującego mężczyznę, finansowego rekina i konesera sztuki. Chcąc być wobec niego fair, musiała przyznać, że rzeczywiście znał się na obrazach.

- Anatole Da Cunha to jeden z najwybitniejszych malarzy - powiedział jej. - Zobaczysz, że kiedy umrze, jego obrazy będą osiągać zawrotne ceny. - Wychodząc z tego założenia, kupił cztery krajobrazy Da Cunhy. - Jego najlepsze prace powstały z inspiracji Indiami Zachodnimi. Powinnaś to najlepiej ocenić, Tereso Czy według ciebie oddają atmosferę twoich rodzinnych stron?

Tak! Tak! Teraz na ścianie pomiędzy oknami, w smudze światła padającego z lampy, wisiał obraz Morne Bleue. Na pierwszym planie, pod szarym od upału niebem, ciągnął się pas falującej trzciny



cukrowej, dwukrotnie przekraczającej wzrost człowieka, a pośród niej uwijali się czarni robotnicy. Ich ramiona zastygły w rozkołysanym geście, niczym u tancerzy na kamiennym fryzie.

Richard powiesił ten obraz tutaj, by sprawić jej przyjemność, ale Teresa nie chciała go, jak zresztą nic z St. Felice, nawet książek Pere'a po jego śmierci. Mimo to przesłano je.

Nad wzgórzami New Jersey również zaczął padać deszcz, bębniąc równomiernie o dach; zanosilo się, że potrwa przez całą noc. W St. Felice gwałtowne ulewy zaczynały się nagle i równie nagle się kończyły, pozostawiając po sobie parującą ziemię.

Wzdłuż nabrzeża, przy którym stał przycumowany statek przewożący banany, szły rzędem bosa kobiety z koszami pełnymi owoców na głowach, brodząc w parującej wilgoci.

- Spójrz - mówi mama - z jakim wdziękiem się poruszają! Dlatego właśnie zakonnice uczą cię w szkole chodzić z książką na głowie.

To jednak zupełnie nie to samo! Mała Tee wyraźnie widzi różnicę. Intryguje ją, czemu pewne rzeczy wyglądają tak, a nie inaczej, czemu ciężkie prace wykonują zawsze Murzyni, czemu żyją w okropnych warunkach. Idzie z Agnes do miasteczka, by zanieść lekarstwo chorej ciotce kucharki. Rozgrzana ulica cuchnie, rynsztoki są przepełnione. Całe umeblowanie domu stanowi łóżko i stół. Dlaczego? Nikt jej tego nie mówi. Nie może powiedzieć?

Pere opowiada z dumą o Cambridge, o łodziach na spokojnej rzece, o chórach i gotyckich łukach, o dżentelmenach. Jak to wszystko ma się do Covetown?

- Ten chłopak musi mieć wszystko, co najlepsze. Zasługuje na to - mówi Agnes.

- Od trzech pokoleń członkowie naszej rodziny studiują w Cambridge - mówi Pere.

Teraz rozpocznie studia przedstawiciel czwartego, choć wcale o tym nie wie.

Teresa rzucała się niespokojnie, nie mogąc ułożyć głowy na poduszce. „Och, Francis, Francis, mój synku, czy to jest prawdziwy powód mojej bezgranicznej miłości do ciebie? Może zbyt wielkiej? Czy dlatego pragnę, byś miał wszystko? Czyżbym chciała całkiem wymazać tamtego drugiego, wymazać cały ból, by móc powiedzieć:

Jesteś moim synem, moim jedynym synem. Nie mam i nigdy nie miałam innego. Czy dlatego?"

Och, cóż za piekielne męczarnie!

Przycisnęła pięści do boków. Zagryzła wargi. „Posłuchaj, Tereso, jest jak jest. Po prostu rób, co do ciebie należy, słyszysz? Zapomnij! Robiłaś to przez długi, długi czas.”

Mocne słowa, mocne postanowienie. Wiesz jednak - o, jakże dobrze to wiesz! - że nadejdą znowu dni, lata, kiedy podczas szarych popołudni ogarnie cię trwoga, poczujesz suchość w ustach, zamkniesz książkę i zaczniesz nerwowo przechadzać się po pokoju.

Agnes spytała: „Czy jesteś dość szczęśliwa?” Czy była to świadoma przenikliwość, czy też użyła tego słowa dla zaakcentowania różnicy pomiędzy „szczęśliwa” a „dość szczęśliwa”?

„Och, jakże łatwo poznać, kiedy inni są szczęśliwi! Moja matka jest szczęśliwa, ponieważ nic nie może jej dotknąć, złamać. Kiedy zmarł ojciec, uroniła parę łez, lecz rany szybko się zagoiły. Richard? Tak, z pewnością Richard jest szczęśliwy. Ma wszystko, czego się spodziewał po naszym małżeństwie. Nie sądzę, by umiał sobie nawet wyobrazić, co to znaczy prawdziwa samotność.

A ja? Gdy spaceruję w deszczu, odczuwam zadowolenie. Dobrze się czuję w towarzystwie moich książek. Mój dom jest ciepły i bezpieczny podczas wietrznych nocy. Mam garstkę drogich mi przyjaciół. Dzięki Bogu, mogę pomagać chorym i ubogim. A Francis - och, Francis to moja największa radość! Gdyby nie on, nie miałabym tu do kogo ust otworzyć. Biedna, upośledzona Margaret! Dwie pozostałe córki, podobne do Richarda, są niczym gładka powierzchnia wody - dobre dziewczynki, bardzo różne ode mnie.

Pamiętam, jak pragnęłam kiedyś umrzeć. Podobno zdarza się to niemal każdemu. Inni sobie z tym radzą, ja też sobie poradziłam. Człowiek miewa chwile upadku, ale zawsze stara się jakoś pozbierać. Przynajmniej, jeśli nie je chleba za darmo.”

Poza tym Pere powiedział: „Rodzina Francisów jest twarda. Pamiętaj o tym.”

Francis również leżał bezsennie, wsłuchując się w deszcz. Była to jedna z jego niespokojnych nocy, kiedy miał kłopoty z zaśnięciem. Często mówiono mu, że jest nadwrażliwy i chyba rzeczywiście tak było - reagował niczym barometr na nastroje innych ludzi.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Mama najwyraźniej czymś się zadreczęła. Oczywiście, zawsze istniał problem Margaret, tym razem był jednak pewny, że to nie z jej powodu. Normalnie spytałby mamę o przyczynę, bowiem stosunki między nimi zawsze cechowała szczerść, poważna i zarazem z przymrużeniem oka. Zdarzały się jednak chwile, że coś go powstrzymywało, tak jak właśnie teraz. Nagle spowijał ją mrok, niczym chmura przesłaniająca pogodne niebo. Nachodziło ją to całkiem niespodziewanie. Stała wraz z innymi matkami na jakiejś uroczystości szkolnej, gdzie mógł być tak bardzo z niej dumny, uśmiechając się spokojnie do trajkoczących elegantek - i raptem pochmurniała. Wiedział, że w takich chwilach jej myśli błądzą gdzieś daleko.

Dawno temu, gdy był jeszcze małym dzieckiem, podsłuchiwał rozmowę dwóch służących. Mówiły o jego matce, że jest trochę dziwna, ale raczej sympatyczna.

- Dlaczego dziwna? - spytał je.

- Och - odpowiedziały - chodziło nam po prostu o to, że znalazła się tak daleko od domu. Z pewnością musi tęsknić.

- Dlaczego nie pojedziemy na St. Felice? Czemu nie możemy odwiedzić rodziny? - zasypał ją natychmiast pytaniami.

- Zbyt daleka podróż... twoje siostry są jeszcze za małe... cierpię na chorobę morską... może kiedyś.

Nie opowiedziała mu nigdy nic istotnego o wyspie, mówiła wyłącznie o jakichś ciekawostkach, na przykład „górskich kurczakach”, które w istocie są ogromnymi żabami, przyrządzanymi tam jak kurczaki. Nie był pewien, co właściwie chciałby wiedzieć o jej rodzinnych stronach, ale z pewnością więcej, niż do tej pory usłyszał. Dziwiła go jej powściągliwość, ponieważ ojciec chętnie wracał wspomnieniami do okresu dzieciństwa.

Dwukrotnie odwiedziła ich babka Julia. Dużo mówiła, przybierając ważną minę, narzekała na chłody, mimo iż był to czerwiec. Mały Francis nie przepadał za nią, choć pachniała kwiatami i przywoziła wspaniałe prezenty.

- Twoja matka pogardza nami - poskarżyła mu się. - Także naszą małą, zacofaną wysepką.

Była to oczywista nieprawda. Francis zdawał sobie z tego sprawę nawet jako małe dziecko, ponieważ jego matka nie potrafiła nikim

gardzić. Przeciwnie, zawsze miała coś na usprawiedliwienie ludzi, nawet jeśli nie byli w porządku.

W ubiegłym tygodniu ogrodnik rozbił furgonetkę.

- Nie ma dla niego żadnej wymówki - powiedział Richard. - Zagapił się, nie uważał na drodze.

- Łatwo jest kogoś potępiać - odparła Teresa. - Nigdy nie wiadomo, co się z kimś dzieje. - Nie mówiła tego na pokaz, by zademonstrować, jaka jest bogobojna, ale Richard się na nią rozłościł. A Francisowi zrobiło się jej żal.

Zastanawiał się, czy matka wiedziała o „eskapadach” ojca, pomimo iż je skrzętnie ukrywał. Był wystarczająco dorosły, by zdawać sobie sprawę, że w życiu Richarda muszą istnieć inne kobiety, podobne tej, która wzbudziła w nim taki wstręt, gdy miał piętnaście lat. Będąc w restauracji na obiedzie z przyjacielem i jego rodzicami, natknął się na swego ojca siedzącego przy sąsiednim stoliku z kobietą, pospolitą, krzykliwą i młodą.

Po co ludzie zawierają te idiotyczne małżeństwa? Czy nie potrafią przewidzieć, że nie mają one przyszłości? Wystarczy pobyć przez kilka minut w towarzystwie Richarda i Teresy Lutherów, by zorientować się, jak bardzo są różni.

Richard - ekstrawagancki i zapatrzony w siebie. Paczki z zakupami wciąż wędrowały przez drzwi, choć szafy dosłownie pękały w szwach od ubrań. Pieniądze płynęły.

- Niczym francuskie wino - zauważyła Teresa, która miała skłonność do oszczędzania. - Bezsensowne marnotrawstwo.

Richard lubił polowania i związane z nimi przyjęcia.

- Bezsensowne morderstwo - powiedziała ze złością Teresa, gdy wrócił do domu z okrwawionym jeleniem, zwisającym bezwładnie z samochodu. - Nie mogę na to patrzeć. - Sama opiekowała się zabłąkanymi zwierzętami.

Francis usłyszał o wielu sprawach przypadkowo, ponieważ między rodzicami nie doszło nigdy do otwartej kłótni. Dzieci mają jednak szósty zmysł. W domach, w których małżeństwa nie należą do udanych, panuje chłód.

Odczuwał niejasną potrzebę, by jakoś to wszystko matce wynagrodzić. Chyba to właśnie była prawdziwa przyczyna jego szczególnej cierpliwości wobec nieszczęsnej Margaret. W

przeciwieństwie do swych sióstr, nie pozwalał sobie nawet na irytację, gdy się zmoczyła czy przewróciła talerz.

Matka odczuwała wobec niego głęboką wdzięczność.

- Jesteś dla niej taki dobry, Francisie - mówiła ze zdziwieniem.

- Masz prezbiteriańskie sumienie - powiedział ojciec nie bez życzliwości. - I duszę poety. Dziwaczna kombinacja.

Czasami czuł się odsunięty od innych. Sprawiała to pewna nieśmiałość, którą odziedziczył z pewnością po Teresie. Wiedział, że ta nieśmiałość pozbawiłaby go aprobaty rówieśników, gdyby - na swoje szczęście - nie był silny, wysoki i nie osiągał świetnych wyników w sporcie. Jakże los potrafi z nami igrzać!

Ostatnio coraz częściej zastanawiał się, co też ten los może mu przynieść. Mając siedemnaście lat człowiek musi spoglądać w przyszłość! Richard zakładał, oczywiście, że kiedy przyjdzie czas, syn rozpocznie pracę w jego firmie. Była to jedna z firm na Wall Street o największym prestiżu. Młody mężczyzna mógł się uważać za szczęściarza, startując w niej i to od razu na wysokim stanowisku. Ta perspektywa bynajmniej jednak nie cieszyła Francisa, nie chciał spędzić życia w świetle lamp elektrycznych, w zamkniętym pudełku, licząc pieniądze - ponieważ sprowadzało się to przede wszystkim do liczenia pieniędzy! Bez powietrza, bez słońca!

Nie przychodziło mu na razie do głowy nic innego, czym mógłby się zająć. Jakże proste staje się wszystko, gdy ktoś jest, na przykład, obdarzony talentem muzycznym lub ma zamiłowanie do medycyny - czy czegokolwiek! Perspektywa zostania wyłącznie „zdolnym studentem”, osiągającym we wszystkich dziedzinach świetne wyniki, ale bez konkretnego ukierunkowania, była dla poważnego chłopca przytłaczająca, wręcz ponura.

Czasem przychodziło mu do głowy, by wyjechać i założyć ranczo na zachodzie - spędził tam kiedyś wakacje - lub zostać strażnikiem leśnym czy hodowcą mlecznych krów, ewentualnie zająć się po prostu pisaniem książki w jakimś zacisznym, pełnym zieleni miejscu, choć nie miał pomysłu, na jaki temat. Może historyczną? Przeszłość miała dla niego szczególnie powab. Przedtem jednak chciałby zwiedzić kawałek świat, miejsca o dziwnych nazwach: Bora - Bora, Patagonia. Także St. Felice. Tak, koniecznie St. Felice, przemknęło mu przez myśl na sekundę przed zaśnięciem. Odwrócił się na drugi bok, znajdując wygodne zagłębienie w poduszce. Niech spłynie nań

spokojny sen. W końcu na podjęcie decyzji pozostało mu jeszcze kilka lat!

Deszcz ucichł, zerwał się natomiast wiatr. Wiatr z całego świata! Wieje w różnych kierunkach, nasila się, gna, dokąd zechce.

## Rozdział 6

Cztery lata. Jak zawsze, bywają okresy, gdy czas pędzi jak szalony, to znów wlecze się jak ślimak. Patrick nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu. Wiele lat później lubił mawiać, że to zimna angielska mgła wykurzyła go z powrotem na St. Felice, i być może w tym żarcie tkwiło ziarno prawdy. Statek to wznosił się, to opadał, kołysany na falach wzburzonego morza. Stojąc przy nadburciu i czując pył wodny na twarzy, uświadomił sobie, że nie pamięta już, jak łagodne może być powietrze. Nad jego głową migotały błękitne gwiazdy. Zdawało się, że są tak ciepłe, iż można by je trzymać w dłoni. Na północy świeciły ostrym blaskiem, wprost trudno było uwierzyć, że znajdują się miliony kilometrów stąd.

Stojący obok niego biały mężczyzna, urzędnik państwowy wracający po urlopie na Jamajkę, zagaił rozmowę:

- Czuje się pan szczęśliwy, wracając do domu?

- Tak. Równie szczęśliwy, jak cztery lata temu, gdy opuszczałem dom.

- Zatem nie czuł się pan zbyt dobrze w Anglii?

Mężczyzna ten, Anglik, przedstawiciel średnio zamożnej burżuazji, był powściągliwy i uprzejmy. Gdyby spotkali się gdziekolwiek indziej, nie na pokładzie statku, nie pozwoliby sobie na taką ciekawość. Później, na lądzie, z pewnością nie zamieniliby nawet słowa.

- Ależ nie, czułem się tam całkiem nieźle. To był dla mnie nowy, inny świat. Można wiele czytać o jakimś mieście, ale gdy się człowiek w nim znajdzie, wszystko wygląda inaczej.

Jak opisać bogactwo, przepych, zakłopotanie, obcość i rozczarowania czterech lat, jeśli samemu nie uporządkowało się jeszcze wrażeń?

- Spotkałem Murzynów z Afryki Południowej, Hindusów, Arabów, Japończyków...

Mężczyzna roześmiał się lekko.

- Także Anglików?

- Tak, tak, oczywiście. Mój pierwszy przyjaciel był synem górnik z Yorkshire. Mieszkał w sąsiednim pokoju. - Teraz Patrick wybuchnął śmiechem. - Podczas mojej pierwszej zimy w Anglii panowały tam największe od trzydziestu lat mrozy i spadła rekordowa

ilość śniegu. Istny koszmar! Nie wychodziłem z domu przez dwa tygodnie. Mój przyjaciel przynosił mi kanapki i gorącą kawę.

Alfie Jones, niewysoki rumiany chłopak, zadziorny jak kogut.

- Okazało się, że mamy wiele wspólnego. Obaj wracamy do domu, by uczyć w najuboższej dzielnicy, jaką uda nam się znaleźć. Na St. Felice nie powinno to sprawić trudności.

- Sądziłem, że większość takich ludzi jak pan... studiuje za granicą medycynę lub prawo.

- Rzeczywiście tak jest. Mój najlepszy przyjaciel, Nicholas Mebane, studiuje w Londynie prawo. Planuje zająć się polityką. Myślę, że jeszcze będzie o nim głośno w Indiach Zachodnich.

Mężczyzna nie odpowiedział. Prawdopodobnie potraktował to jako wyzwanie, choć Patrick wcale nie chciał spowodować takiej reakcji. Każdy jednak, a zwłaszcza urzędnik państwowy, orientował się, jak drastyczne zmiany się szykują.

Napłynęły chmury, przesłaniając w ciągu paru chwil gwiazdy. Niebo przybrało ołowiową barwę. Błyszczała wzburzona woda. Przed rankiem przyjdzie szkwał. „Kontrast pomiędzy walką i przepychankami ludzi a potężnym rytmem obojętnej przyrody stawia ludzi w dość śmiesznym położeniu” - pomyślał Patrick. Natychmiast przyszła jednak następna myśl: „Najśmieszniejsze jest jednak to, że niektóre rzeczy można osiągnąć wyłącznie walcząc o nie.”

- Mnie natomiast polityka zupełnie nie pociąga - usłyszał swój głos.

- Może pan zająć wysoko. Na Jamajce jest wiele dobrych stanowisk dla... - Mężczyzna umilkł, bez wątpienia przestraszywszy się nagle, że jego uwagi mogą mieć zbyt osobisty charakter, a nawet być odebrane jako afront.

- Miał pan na myśli to, że jestem prawie biały, tak?

- Cóż, tak, proszę się nie obrażać, takie po prostu są realia. Sprawiedliwe czy też nie.

W Anglii brano go za Syryjczyka, Greka lub Hindusa. Tylko tu, w jego rodzinnych stronach było zupełnie jasne, kim jest i gdzie jest jego miejsce.

- W rządzie, jaki niedługo nastanie, którego już nam nie narzucicie, nie będzie to miało znaczenia - powiedział spokojnie.



To zamknęło usta mężczyźnie, który sięgnął do kieszeni po papierosa i bezskutecznie usiłował go zapalić, osłaniając stulonymi dłońmi przed wiatrem.

W Patricku walczyły dwa sprzeczne uczucia: zadowolenie, że przeciwstawił się kołtuńskiemu podejściu, i przykrość, że wprawił w zakłopotanie kogoś, kto nie zamierzał go urazić.

Ta dwoistość uczuć nie była niczym nowym. Wolały się jej pozbyć, ponieważ psuło mu to wiele przyjemnych chwil. Na przykład został kiedyś zaproszony wraz z Nicholasem na wystawne przyjęcie weselne przez kolegę, który zdał z odznaczeniem egzamin. Panna młoda mieszkała we wspaniałym domu - trzy tysiące akrów lasów i pól, przestronne hole, przepiękne tarasy - wybudowanym przez jej osiemnastowiecznych przodków, których fortuna miała swe początki na plantacjach trzciny cukrowej w Indiach Zachodnich. Stojąc na trawniku obok Nicholasa, pomyślał o swej matce, którą poraziło bogactwo domu Maurierów, gdy przyszła tam na służbę.

- Czuję się tam taki czarny - powiedział do Nicholasa.

- Czarny? - Nicholas nie potrafił ukryć rozbawienia. - Ty? Wobec tego, jak ja mam się czuć? Nie, to wcale nie kwestia rasy stanowi dla ciebie problem, lecz sprawy ekonomiczne. Pomyśl, jak czułby się tutaj Alfie Jones czy innych dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu białych! Jesteś zbyt nieśmiały, Patricku. Musisz to w sobie zwalczyć.

Stojący obok mężczyzna wrzucił niedopałek do wody.

- No, idę spać. Gdybyśmy się nie zobaczyli jutro... mówił pan, że schodzi pan na łód na Martynice, tak?

- Owszem, przesiadam się na szkuner.

- Cóż, w takim razie życzę powodzenia. Jest pan już prawie w domu. - Tak, dziękuję. Prawie w domu.

- Niech ci się przyjrzę! - płakała z radości Agnes. - Niech ci się przyjrzę! Była znacznie starsza niż ją pamiętał. Włosy gęsto poprzetykane pasmami siwizny. Skurczyła się jakoś. Patrick przyglądał się jej badawczo. Nie mogli się na siebie napatrzeć przez cały dzień, najpierw przy stole, podczas posiłku, potem na ganku, gdzie siedziała w bujanym wiklinowym fotelu, spoglądając dumnym wzrokiem na przechodzących ludzi w niedzielnych ubraniach, z książeczkami do nabożeństwa pod pachą. Rozmawiali bez końca.

- Możesz być zadowolona - mój wyjazd nie poszedł na marne. Pracowałem ciężko. Moje poglądy skonkretyzowały się. Jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że kluczem do wszystkiego jest wykształcenie. Musimy stworzyć generację z nowym systemem wartości. Zrezygnować z idiotycznego uczenia się na pamięć i pociągu do wszystkiego, co europejskie lub angielskie. Potrzeba nam zdolnych nauczycieli z wyobraźnią. Gdy sobie 'pomyślę o mojej biednej, niedokształconej pani Ogilvie...

- Chcesz przez to powiedzieć, że zamierzasz niańczyć przez cały dzień kupkę usmarkanych bachorów, podobnie jak ona? - spytała pogardliwie Agnes.

- Mój zamiar zostania nauczycielem nie powinien być dla ciebie niczym nowym, mammo.

- Owszem, ale myślałam, na przykład, o Jamajce. Otworzyli tam uniwersytet. Z pewnością nie powinieneś zostać tutaj, na St. Felice!

Patrick uśmiechnął się.

- Żałujesz więc, że wróciłem?

- Nie opowiadaj głupstw! Chodzi mi o ciebie. Jesteś za mądry, by siedzieć w tej zabitej deskami dziurze. Przygotowywałam cię, byś pofrunął w świat, nie sądziłam, że tu wrócisz.

- Ty też tu wróciłaś, prawda?

- Ja, to co innego. Jestem prostą, niewykształconą kobietą.

- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się o mnie, mammo.

Rankiem złapał autobus jadący do Covetown. Usiadł pomiędzy brzemienną kobietą z dwójką maluchów na kolanach a drugą kobietą, wiozącą dwie kury w klatce. Rozklekotany autobus przechylał się niebezpiecznie na fatalnej drodze, mijając pola trzciny cukrowej i gliniane, kryte strzechą chaty, z ustępami na tyłach grządek ignamu i nagimi dzieciakami, raczkującymi pośród uwiązanych kóz. Patrick przyglądał się temu ze zdumieniem, jak gdyby był tu po raz pierwszy w życiu.

Autobus zatrzymał się na placu targowym. Patrick wysiadł i ruszył wzdłuż Wharf Street, mijając banki, handlarzy cukrem oraz sklep Da Cunha, przed którym stali turyści, oglądający przez szybę aparaty fotograficzne i zegarki. Właściciel zakładu pogrzebowego wciąż reklamował trumny robione na miarę. Idąc pod górę, w kierunku rezydencji gubernatora, minał bibliotekę, uśmiechając się na wspomnienie tamtego chłopca, który pisał pracę o Karaibach. Tuż za

biblioteką mieściła się szkoła średnia. Gabinet ojca Bakera znajdował się w lewym skrzydle. Poszedł ścieżką pod górę i niemal zderzył się z pastorem.

- Patrick! Już wróciłeś? Niemożliwe! Jak się masz? Chodź do mnie, pogadamy. Przedstawię cię mojemu staremu przyjacielowi, Clarence'owi Porterowi. Oczywiście wiesz, kto to jest, każdy go zna.

Patrick spojrział na krzepkiego Murzyna w średnim wieku.

- Najmocniej przepraszam, ale obawiam się... - zaczął się tłumaczyć.

- Nie ma za co przepraszać, młody człowieku. Prawdopodobnie chodziłeś wówczas do szkoły i nie interesowałeś się takimi sprawami!

- Porter ujął dłoń Patricka i potrząsnął nią po męsku.

Imbryk do herbaty stał na elektrycznej kuchence w gabinecie. Filiżanki były te same, z których Patrick pił cztery lata temu: białe - niebieskie, z nalotem taniny od wewnątrz, sutanna ojca Bakera była tak samo poplamiona, a przez otwarte okna dolatywały okrzyki z boiska. Jak gdyby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

Podczas gdy Patrick zdawał sprawozdanie z pobytu na studiach, potężny mężczyzna - o skórze o kilka tonów ciemniejszej od orzecha włoskiego - siedział w milczeniu. Miał na sobie ubranie robocze. Spod siwej czupryny czujnie spoglądały bystre oczy. Gdy wreszcie ucichł grad pytań i odpowiedzi, odezwał się:

- Byłem w Anglii wiele lat temu. Mogłem tam pozostać, ale wybrałem powrót. Cieszę się, że pan również tak postąpił.

- Clarence nie opowie ci wiele o sobie - zaczął ojciec Baker.

- Niby dlaczego? Fałszywa skromność wcale nie jest cnotą. Zrobiłem, co do mnie należało i nie wstydę się tego!

- Nie masz czego. Ale pozwól, że ja mu opowiem o tobie. Clarence zjeździł cały świat, Patricku. Był pomocnikiem mistrza kucharskiego w Europie, urzędnikiem w biurze podróży w Nowym Jorku, stolarzem na Jamajce...

- I więźniem pięciu różnych zakładów karnych - przerwał mu Clarence. - Nie zapomnij wspomnieć o tym.

- Nie zapomnę - powiedział cicho ojciec Baker. Odwrócił się do Patricka. - To przynosi mu zaszczyt. Clarence był więziony za przewożenie strajkom w których protestowano przeciwko nieludzkim warunkom pracy. Zorganizował pierwszy związek,

obejmujący zasięgiem całą wyspę, tutaj, na St. Felice, czterdzieści lat temu.

- Jakim cudem mogłem o tym nic nie słyszeć? - zdumiał się Patrick.

- Przyznaję ze wstydem - odrzekł ojciec Baker - że nigdy ich o tym nie nauczyliśmy ani nie uczymy w szkołach. Nawet w naszej, która podobno jest pierwszorzędna.

- Cóż - powiedział Porter - to już niemal historia starożytna. Teraz się już nie przemęczam. Trochę zajmuję się stolarką, kiedy mi przyjdzie na to ochota, chodzę na zebrania związkowe, ale ciężką pracę pozostawiam młodym. - Przechylił się z krzesłem do tyłu. - Och, gdybym miał talent pisarski, mógłbym wiele opowiedzieć, ale trzeba być naprawdę bardzo zdolnym, by przelać na papier całą odwagę, strach i krwawą brutalność tamtych pierwszych lat. Pamiętam deportacje i wszystkich tych członków straży obywatelskiej. Pamiętam, jak sprowadzili z Anglii Royal Wessex Regiment, by zaprowadzili spokój... Ale dość tego. Powiedz nam raczej, jakie ty masz plany - zakończył.

Czujne, inteligentne oczy, teraz utkwione w Patricku, onieśmieliły go. Odpowiedział jednak po prostu:

- Szukam posady nauczyciela w jakimś wiejskim okręgu. Gdzieś z tamtej strony Morne Bleue, w małej miejscowości, powiedzmy w Gully, Hog Run czy Delicia.

Porter był wyraźnie zdziwiony.

- Naprawdę chcesz znosić takie niewygody? Mieszkałem po tamtej stronie do dwunastego roku życia, kiedy opuściłem dom. W tamtych latach łowiono tam jeszcze wieloryby. Na wzgórzach zakładano punkty obserwacyjne. Gdy spostrzeżono wieloryba, dawano znak łodziom i harpunnicy ruszali za nim w pościg. Teraz wszystko się zmieniło. Przypuszczam, że masz kłopot ze znalezieniem pracy?

- Wiem, że trudno tu o nią. Ja mam jednak wysokie kwalifikacje i jestem pewien, że mogę zrobić wiele dobrego. Właśnie dlatego tak bardzo pragnę pracować.

- Wobec tego jesteś idealistą - powiedział Porter. Patrick pominął milczeniem tę uwagę.

- Myślę, że w zdobyciu pracy pomoże mi ojciec mojego najlepszego przyjaciela, doktor Mebane. On zna mnóstwo osób.

- O tak, zna mnóstwo osób! Właściwych osób! - wycedził Porter z nie ukrywaną ironią. Mimo to uściśnął dłoń Patricka, gdy ten wstał, szykując się do wyjścia. - A gdybyś uważał, że mogę ci być w czymś pomocny, albo gdybyś chciał po prostu porozmawiać, mieszkam w Pine Hill, po drugiej stronie portu, w dzielnicy robotniczej. Na bramie jest tabliczka z napisem: "Clarence Porter, stolarstwo".

- Sądziłem - zauważył doktor Mebane - że ojciec Baker lub jakiś inny nauczyciel zatrudnią cię jako asystenta. Albo coś w tym rodzaju. Nauczanie w wiejskiej szkole to dla ciebie chyba krok wstecz.

- Ja widzę to zupełnie inaczej. „Dajcie mi dziecko, zanim skończy sześć lat”, czy to nie dewiza jezuitów?

- Znacznie więcej dla kształtowania umysłów zrobiłbyś w szkole średniej.

- Ile naszych dzieciaków dostaje się do szkoły średniej?

Doktor Mebane powędrował wzrokiem w stronę portu, gdzie błyszcząc w słońcu płynęły dwa białe jachty.

- Wynagrodzenie jest tam znacznie niższe - powiedział.

- Nie potrzeba mi wiele, by przeżyć.

- Jesteś idealistą! Patrick roześmiał się.

- Dokładnie to samo powiedział wczoraj Clarence Porter.

- Skąd go znasz?

- Był u ojca Bakera, gdy złożyłem mu wizytę.

- Zaczny ojczulek jest ich sympatykiem.

- Sympatykiem?

- Świata pracy.

- Czy to niedobrze?

- Ależ owszem! Tylko istnieją różne sposoby działania. Porter zawsze okazywał zbyt wiele gniewu.

- Jest wiele spraw, które mogą budzić gniew, nie uważa pan? Albo smutek. Wie pan co, doktorze? Kiedy rozmyślam o naszej historii, naszej długiej historii na tej wyspie, ogarnia mnie smutek...

- Mam nadzieję, że nie będziesz się zbyt często poddawał takim uczuciom. Jesteś bardzo młody. Jeśli nie potrafisz teraz cieszyć się niefrasobliwie życiem, to kiedy przyjdzie na to czas? Zbyt emocjonalnie podchodzisz do wszystkiego, Patricku.

Zegar wybił godzinę. Delikatny dźwięk pasował do przeładowanego ozdobami pokoju, obszytych frędzlami poduszek i farbowanych piór w szklanym wazonie na biblioteczce. Kiedyś

uważał ten dom za szczyt elegancji. Teraz miał już bardziej wyrobiony gust.

- Poza tym - podsumował z przekonaniem doktor Mebane - jest też inna historia tej wyspy. Angielska, francuska lub obie naraz. Ich krew również płynie w naszych żyłach. I to dumna krew: badaczy, arystokratów, hugonotów zbiegłych przed rzezią.

Patrick milczał.

- Zawsze o tym pamiętam, gdy zasiadam w Radzie czy pełnię inne funkcje urzędowe.

„To pompatyczność właściwa starszym ludziom” - pomyślał Patrick. Nawet Nicholas zauważył to kiedyś u swego ojca.

- Nasze sprawy wyglądają coraz lepiej, lepiej nawet niż można się było spodziewać. Federacja jest sprawą najbliższej przyszłości. Byłem oddelegowany do Stowarzyszenia Przedstawicieli Rządowych w Roseau na Dominice w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, gdy wszystko, co mogliśmy osiągnąć, sprowadzało się do przedstawicielstwa w ciałach ustawodawczych, do rozszerzenia prawa głosowania. Od tego czasu zaangażowałem się w ten ruch. Trzy lata temu, w lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, na zaproszenie Londynu byłem w Montego Bay w celu przedyskutowania raportu komisji Moyne'a i przygotowania projektu konstytucji federalnej. Tak daleko zaszliśmy przez te kilka lat! Jestem optymistą, Patricku, to jedyny sposób na przetrwanie... Nie chcesz się zająć polityką wspólnie z Nicholasem? Stworzylibyście świetny tandem.

- Polityka mnie nie interesuje. Jestem nauczycielem.

- No cóż, wobec tego trzeba ci znaleźć pracę. Ale będzie ci też potrzebny odpoczynek. Czy chciałbyś, żebym wprowadził cię do klubu „Crocus”? Kupiliśmy właśnie łódź do połowów dalekomorskich i...

- Obawiam się, że jest tam dla mnie za drogo - mruknął Patrick.

- Wcale nie. Zdziwisz się. Oczywiście imprezy towarzyskie możesz sobie darować. Mnie ciągnie tam przede wszystkim tenis. Spotyka się tam również interesujących ludzi. Inicjatorów i ludzi czynu.

- Dziękuję bardzo, ale gdybym mógł najpierw znaleźć pracę...

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Patricku.

- Brakuje mi mego syna - mógłbyś zająć jego miejsce. Gdy wróci - będę miał was obu.

„Jestem wobec niego zbyt krytyczny” - myślał Patrick, wracając do domu. Powinienem być wdzięczny za przyjaźń, jaką mnie darzy Mebane. Ma swoje dziwactwa, ale któż ich nie ma? Patrick zauważył już, że doktor przywiązuje przesadną wagę do pochodzenia. Jest jednak człowiekiem małego formatu. Również jego dom zdawał się maleć w miarę, jak Patrick dorastał. We wspomnieniach zarówno dom, jak i jego właściciel pozostawili imponujące wrażenie. Teraz wszystko się zmieniło.

Uczył już od trzech miesięcy, mieszkając w Gully, wiosce położonej w połowie drogi pomiędzy szczytem góry a morzem, w niewielkim jednoizbowym domku na palach, w warunkach nie lepszych niż jego uczniowie. Czasami, gdy przygotowywał się do lekcji przy świetle lampy naftowej, wzbierało w nim poczucie własnej wartości, które natychmiast tłumił, uważając, że jest to niczym nie usprawiedliwiona zarozumiałość. Przeważnie jednak rozsadała go radość. Umysły jego małych uczniów były czystymi kartkami, na których dopiero on miał dokonać pierwszych zapisów, czuł się niczym wielki eksperymentator.

Pewnej soboty wybrał się do Covetown na zakupy, wstąpił na piwo, zajrzał do ojca Bakera, którego zresztą nie zastał. Myśląc wciąż, jak dobrze byłoby, gdyby wrócił już Nicholas, powłóczył się trochę po ulicach i znalazł się nagle po drugiej stronie portu, w dzielnicy zwanej Pine Hill.

Niegdyś zbocze wzgórza zapewne porośnięte było sosnami, teraz stały na nim parterowe domki o płaskich dachach, każdy z ogrodzonym placikiem, mającym uchodzić za podwórko, kilkoma pnączami bugenwilli i jakimś pojazdem w garażu - fordem, lekką ciężarówką lub hondą. Była to dzielnica ludzi pracy, w której miarą zamożności właściciela jest wygląd zewnętrzny jego posesji i świeżość farby.

Nagle Patrick przypomniał sobie Clarence'a Portera. Szedł powoli, spoglądając na tabliczki umieszczone na bramach. Dom Portera nie wyróżniał się spośród domów sąsiadów, miał trawiaste podwórko, jasnoniebieskie okiennice i skrzynki z kwiatami na frontowym ganku.

- Pamięta mnie pan? - spytał Patrick. - Zaprosił mnie pan kiedyś na pogawędkę.

- Ależ oczywiście! Proszę wejść i wziąć sobie krzesło. Chcesz porozmawiać o czymś konkretnym?

- Prawdę mówiąc, nie. Czuję się chyba po prostu trochę samotny. Miałem ochotę na rozmowę z dorosłym człowiekiem.

- Prawda, przebywałeś przez cały czas z dziećmi. Poczęstuj się piwem.

- Dziękuję, piłem już w śródmieściu.

- Może jednak?

Porter podał mu piwo. Patrick zagaił rozmowę w konwencjonalny sposób.

- Ma pan ładny dom.

- Sam go zbudowałem. Właściwie dwa. Ten żółty przy końcu ulicy również należy do mnie. Wynajmuję go. Roztacza się stąd ładny widok i jest tu dobre powietrze, nie gorsze niż w Library Hill, natomiast koszty są o połowę niższe.

Patrick stwierdził, że istotnie to prawda. Znacznie niżej widział łodzie w porcie, które stąd wydawały się małymi punkcikami, a dzielnica handlowa Covetown stanowiła skupisko białych dachów. Nie zdawał sobie sprawy, że zawędrował tak daleko.

- Mojej żonie podobało się bardzo, że mieszka tak wysoko. Nie żyje już. Mieszkam tutaj z moją córką Dezzy. Naprawdę ma na imię Desiree, ale ja mówię do niej Dezzy, czego zresztą nienawidzi. - Porter zachichotał. - Pracuje w sklepie Da Cunha, sprzedając przedmioty, na których kupno jej nie stać. Może ją widziałeś - bardzo wysoka, prawie twojego wzrostu, długie włosy.

- Nie bywam w tym sklepie. Mnie również nie stać na robienie w nim zakupów

- Tak też myślałem! - Porter znów się roześmiał. Zapalił fajkę i rozsiadł się wygodnie. - Więc doktor Mebane załatwił ci posadę, o której marzyłeś.

- Tak. Jestem mu za to wdzięczny.

- Abstrahując od tego, co o nim sądzisz? Postawione bez ogródek pytanie zbiło Patricka z tropu.

- Hm, poznałem go, kiedy miałem trzynaście lat. Zawsze byłem mile widziany w ich domu. Wie pan, że pochodzę ze Sweet Apple.



Moja matka prowadziła tam nieduży sklep, wciąż go prowadzi. Doktor Mebane był dla mnie bardzo dobry...

- Jasne, że tak! Spójrz na siebie! Mam na myśli kolor twojej skóry. Czy zaproponował ci wstąpienie do klubu?

- Owszem. Jednak nie zamierzam tego robić.

- Moja córka nie miałaby tam wstępu. Jest zbyt ciemna.

Zapadło milczenie. Patrick niemal namacalnie wyczuwał, że Porter cierpi z tego powodu.

- Może wcale jej na tym nie zależy - powiedział łagodnie.

- Otóż to, że właśnie zależy. Tak samo, jak uwielbiałyby robić zakupy u braci Da Cunha. Ale to normalne. Kobiety zawsze pragną mieć różne ładne przedmioty. Mnie na tym zupełnie nie zależy. - Przechylił się i postukał fajką o balustradę ganku. - Wszystko zaczęło się od białego człowieka i jego konkubin! Ci ludzie o jasnobrązowej skórze lubią myśleć, że są potomkami europejskiej arystokracji. Nie chcą pamiętać o Afryce. Stołek w Radzie Ustawodawczej, kołnierzyk i krawat, zaproszenia na przyjęcia w pałacu gubernatora - to wszystko wystarczy, by ich kupić. To właśnie uczyniło brytyjskie ministerstwo do spraw kolonii!

- Z pewnością... - zaczął Patrick, ale Porter nie dał się powstrzymać.

- Czy wiesz, ilu tych tak zwanych brązowych arystokratów miało własnych niewolników? Większość z nich była równie okrutnymi panami, jak biali. Pojętni uczniowie. Dlaczego nawet w latach dwudziestych naszego wieku... Posłuchaj. Pamiętam Anglika, który przyjechał tu z firmą, zakładającą w śródmieściu oświetlenie uliczne. Był to socjalista, poważny rudowłosy facet. Wszędzie było go pełno, przyjaźnił się z murzyńskimi robotnikami. Wygłosił kilka przemówień, zresztą raczej niewinnych. Pewnej nocy napadnięto go i pobito. Po tym incydencie pozbyto się go i odesłano do Anglii. Jak sądzisz, kto za tym stał?

- Plantatorzy?

- Oczywiście, że plantatorzy, najpotężniejsze rodziny, takie jak starego Virgila Francisa. Czy wydaje ci się, że Mebane'owie i ludzie ich pokroju nie mieszały w tym palców? Oni też mają swoje kapitały w przedsiębiorstwach i im niższe są płace, tym więcej zostaje w ich kieszeniach.

- Ale mamy teraz tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty rok - wtrącił z powątpiewaniem Patrick. - Ludzie myślą teraz inaczej. Wiem, że Nicholas Mebane jest inny niż jego ojciec, o ile ojciec jest rzeczywiście taki, jak pan mówi.

Porter wpatrywał się w niego przez chwilę.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Nie wiem. Zbyt się rozgorączkowałem. Nie grzeszę taktem, prawda?

- Nie bardzo - roześmiał się Patrick. W każdym razie porywczosć Portera była interesująca.

- Za dużo gadania. Jestem samoukiem. Czytam dosłownie wszystko. Pomaga mi ojciec Baker. To prawdziwy człowiek.

- Mimo iż jest biały?

- Mimo iż jest biały. A skoro już o nim mowa, dużo o tobie myśli. Powiedział mi...

- Wolałbym raczej posłuchać czegoś o panu. O powstawaniu związków. Prawie nic o nich nie wiem.

Porter odchrząknął z wyraźnym zadowoleniem.

- To długa historia. Ale w dużym skrócie wyglądało to następująco. Mieliśmy nieduże związki już pod koniec ubiegłego wieku, przede wszystkim w budownictwie. Niewiele wtedy osiągnięto, ponieważ pikietowanie było niezgodne z prawem. Związek mógł być też zaskarżony do sądu o odszkodowanie za straty spowodowane strajkiem. Potem przyszła pierwsza wojna światowa i kryzys, niechęć do zmian. Jesteś zbyt młody, by pamiętać rozlew krwi w latach trzydziestych. Strajki i rozruchy objęły wszystkich, od Trynidadu po St. Lucię, od tragarzy węgla po robotników na plantacjach trzciny. Powolny, bardzo powolny postęp. Ale zapamiętaj, że tylko dzięki ruchowi robotniczemu będziemy mieli co włożyć do garnka.

Słowa Clarence'a poruszyły Patricka, ożywiły wspomnienia. Sweet Apple przed laty, ośmioletnie dzieci pracujące na plantacji trzciny. I Gully obecnie, dzieci brodzące po deszczu bez butów, przynoszące do szkoły chleb ze smalcem na drugie śniadanie.

- Ale gdy już będziemy mieli federację - powiedział - wraz z nią nastąpi rozwój ekonomiczny. Pogardza pan doktorem Mebanem - i naprawdę rozumiem pańskie pobudki - ale to właśnie ludzie jego pokroju dokonują tej wielkiej przemiany. Wraz z końcem

kolonializmu nadejdą czasy większej sprawiedliwości społecznej. To nieuniknione.

- Być może, być może. Nie chcę, byś myślał, że jestem zgorzkniałym facetem uprzedzonym do ludzi, ponieważ mają więcej pieniędzy ode mnie lub jaśniejszy odcień skóry. Gdyby tak było, nie rozmawiałbym z tobą w ten sposób, nie sądzisz<sup>9</sup> Obawiam się jednak, że zdobędziemy niezależność polityczną tylko po to, by nowa klasa zajęła miejsce Anglików, a sytuacja robotników nie poprawi się ani trochę. Albo bardzo niewiele.

Skrzypnęła furтка. Patrick, który patrzył pod słońce, dostrzegł tylko wysoką szczupłą sylwetkę kobiecą, zbliżającą się ku nim ścieżką.

- Wszedłeś znów na mównicę, tato? Słyszać cię hen, za rogiem.

- Podejdź bliżej, nie widzę cię, bo słońce razi mnie w oczy. To Patrick Courzon, przyjaciel ojca Bakera. Moja córka Dezzy. Mówiłem ci, że nienawidzi, gdy ją tak nazywam. Lubi, gdy się do niej mówi Desiree.

- Czemu nie? Tak mam przecież na imię. Dziewczyna położyła przyniesione przez siebie pączki na stole.

- Co tam masz?

- Zastawę stołową Spode'a.

- Dobry Boże! Oddajesz im za te bzdury wszystkie zarobione pieniądze! - powiedział Porter z czułą wymówką.

- Zastawa była nam bardzo potrzebna. Wstyd patrzeć na to, co mieliśmy. A to jest drugi gatunek. Co prawda, nigdy nie zauważyłbyś różnicy.

- Z pewnością nie zauważyłbym. Wyjęła z paczki filiżankę.

- Spójrz! Czy to nie śliczny wzór?

Patrick patrzył nie na filiżankę, lecz na rozradowaną twarz Desiree, najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział. Klasyczną, o wąskich rzeźbionych wargach, wielkich okrągłych oczach i cienkim patrycjuszowskim nosie - a wszystko to w kolorze hebanu. Miała na sobie czerwoną bluzkę i białą spódnicę. Na przegubie ręki połyskiwał srebrny łańcuszek. W piersi Patricka wezbrało coś głębokiego i potężnego. Później pomyślał, że musiała to być trwoga, że dziewczyna zniknie równie niespodziewanie, jak się zjawiała.

W ciągu tych kilku sekund coś się w nim zmieniło.

- Czy mój ojciec zagadał pana na śmierć? - zwróciła się do niego.

- Ależ skąd! Bardzo miło spędziłem czas. - Nienaturalna, głupia odpowiedź, mógł się znaleźć znacznie lepiej! Uroda dziewczyny stępiła jego dowcip, stłumiła fantazję.

- Czemu nie zaprosisz pana Courzona na kolację? - spytał Porter.

- Po prostu Patricka. Tak mam na imię.

- A więc, Patricku, możesz czuć się zaproszony - powiedziała z uśmiechem Desiree. - Kolacja będzie gotowa za pół godziny.

Na stole w końcu frontowego pokoju ustawiono nowy serwis. Kwiaty hibiskusa, wiśniowe i żółte, pływały w kryształowej wazie. Patrick zwrócił uwagę, że waza jest naprawdę piękna.

Clarence Porter podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Jeszcze jeden zbytkowny drobiazg ze sklepu Da Cunha. Zupełnie nie na miejscu w tym domu.

- Piękno jest zawsze na miejscu - odgryzła się Desiree.

Patrick jadł w milczeniu, tymczasem ojciec z córką przekomarzali się sympatycznie.

Dziewczyna wstała, by przynieść kolejne danie. Ze swojego miejsca mógł obserwować, jak krząta się w dużej schludnej kuchni. Niczym zahipnotyzowany patrzył, jak unosi włosy i robi z nich na czubku głowy duży węzeł. Proste, grube włosy - po kim może mieć takie? Po arabskich kupcach wędrujących na wschód i zachód do Afryki dwa wieki temu? Albo po jakimś hiszpańskim piracie, który zawędrował do chaty niewolników na tej wyspie?

- Strasznie grzały mnie w szyję - poskarżyła się, uśmiechając do Patricka.

- W żyłach Desiree płynie indiańska krew - powiedział Clarence Porter, jak gdyby czytając w myślach Patricka. - Prababka mojej żony była czystej krwi Karaibką z rezerwatu.

Tym razem ojciec nazwał ją imieniem, które lubiła. Niezależnie od swego znaczenia, jej imię miało pieszczotliwe brzmienie. Gdyby nawet nie wiedział, co oznacza słowo „desiree”, powiedziałyby mu to dźwięczne sylaby.

- A co sądzisz o umowie dotyczącej własności ziemskiej, którą chcą przeforsować na St. Vincent?

- Papo, przestań! - Desiree odwróciła się do Patricka. - Mój ojciec jest zbyt poważny. Czasami muszę po prostu zatykać uszy.

- Dobrze, dobrze, już nic nie mówię - powiedział z rozbawieniem Porter.

- Dość na dziś poważnych rozmów - dodała. - Spróbujcie lepiej tych pysznych lodów. Spójrzcie, jaki piękny wieczór!

Zatoczyła ręką szeroki łuk. Słońce zawisło ogromną pomarańczową kulą tuż nad linią horyzontu, gdzie niebo stykało się z morzem. Covetown leżało w kobaltowym cieniu.

- Co za piękny widok! - powiedziała cichutko. Jej perfumy miały zapach cukru. Cukru i kwiatów.

- Trzeba umieć cieszyć się chwilą - powiedziała jak gdyby do siebie. Patrick spojrzał na nią.

- Wiesz? Masz rację.

Zbyt dużo poważnych rozmów. Zbyt dużo poważnych spraw. Gdy miał sześć lat i matka posłała go do szkoły, już wówczas wszystko polegało na współzawodnictwie. Uczyć się. Starać się. Traktować wszystko poważnie. Gdzie jest miejsce na śmiech? Tak, to prawda. Trzeba umieć cieszyć się chwilą.

Zaloty nie trwały długo. Potrzebował zaledwie kilku tygodni, by dowiedzieć się o niej wszystkiego, czego chciał.

Zabrał ją na kolację do restauracji, na którą nie było go stać, do hotelu „Cade”. przy końcu Wharf Street. Był to okazały budynek z ciosanego kamienia, z ogrodem otoczonym wysokim murem. Jeśli nie liczyć pensjonatów, było to jedyne miejsce na wyspie, gdzie mogli zatrzymać się podróżni. W spokojnej sali, w której dominował wysoki, głośno tykający zegar oraz portrety rodziny królewskiej w złotych ramach, mieli za sąsiadów angielskich turystów i komiwojażerów. Miejscowi, zarówno biali, jak i prawie biali, zaglądali tu z rzadka, tylko wówczas, kiedy chcieli jakiejś odmiany, zamiast jak zwykle iść do klubu.

Desiree nie знаła w ogóle tej restauracji. Jej radość była zaraźliwa.

- Spójrz na to, Patricku!

„To” było kolorową reprodukcją, przedstawiającą królową Wiktorię na tle zamku w Balmoral. Na obrazku dominowała szkocka krata, mnóstwo małych kudłatych piesków, a w oddali majaczyły spowite mgłą góry.

- Szkocja - wyjaśnił Patrick. - Byłem tam. Spojrzała nań szeroko otwartymi oczyma.

- Och, jakżebym chciała to zobaczyć! Chciałabym zobaczyć wszystko, choćby jakiś kawałek świata! Nigdy nigdzie nie wyjeżdżałam, tylko raz byłam na Martynice i raz na Barbadosie.

Gdy sączyli drinki, opowiedział jej, jak potrafił najlepiej, o latach spędzonych w Anglii, obrazowo, dramatycznie, czerpiąc przyjemność z jej zainteresowania. Z miną znawcy zamówił na kolację zupę calalu i faszerowane kraby.

- Nigdy nie jadłam przyrządzanych w ten sposób krabów - powiedziała Desiree.

- To kuchnia francuska. Kraby są hodowane na lądzie i karmione liśćmi pieprzu. Potem się je przyprawia i piecze.

- Skąd znasz się tak dobrze na kuchni?

- Wcale się nie znam. Po prostu wiem coś niecoś na temat dań francuskich, ponieważ moja matka pochodzi z Martyniki i jest znakomitą kucharką.

Desiree milczała przez chwilę, po czym spytała z wahaniem:

- Twoja matka przyjechała na Martynikę z Francji?

- Nie, urodziła się tam, zresztą podobnie jak jej najbliżsi. - Zdając sobie sprawę, że nie jest to odpowiedź, na którą czekała dziewczyna, rzekł spokojnie: - Tak naprawdę chcesz wiedzieć, czy moja matka jest kolorowa, czy biała.

- Przepraszam! Nie zamierzałam...

- W porządku. Moja matka jest czarna, całkiem czarna.

- Tak czarna, jak ja?

- Nie, ale też i nie tak piękna.

Zdawało mu się, że zmarszczyła brwi. Nie mógł być jednak pewien, ponieważ spuściła głowę.

- Czy coś się stało, Desiree?

Spojrzała mu w oczy.

- Rozumiesz, ja... my... nie chodzimy do takich lokali. Bez ciebie nie wpuszczono by mnie tutaj. Nie wyproszono by nas stąd, ale dołożono by wszelkich starań, byśmy się czuli nieproszonymi gośćmi i nie mieli ochoty tu wrócić.

- Oczywiście, rozumiem.

Mrówka, wspinająca się po ścianie wazy z wodą, w której była umieszczona cukiernica, wpadła do wody.

- Spójrz - powiedział ze śmiechem - wcale nie jest tu tak luksusowo, nie musisz czuć się onieśmielona. Mnie, na przykład, mrówki kojarzą się z domem.

Desiree również się roześmiała.

- Potrafisz sprawić, że przy tobie czuję się dobrze.

- Nie sądzę, by ci był ktoś potrzebny do dobrego samopoczucia.

Cały świat się zmienia, kiedy jestem z tobą.

- Naprawdę? Bardzo się cieszę.

- Jesteś tak zadowolona z życia.

- Przeważnie. W każdym razie staram się. Cały kłopot, że okropnie chciałabym mieć różne rzeczy.

- Na przykład, jakie?

- Och, nie wiem. To takie nieokreślone pragnienie tutaj, w środku. - Przycisnęła do gardła zwiniętą w piastkę dłoń. - Gdy widzę coś pięknego... Bracia Da Cunha mają w swych domach obrazy. Jest wśród nich jeden, który strasznie mi się podoba, ruiny jakiejś budowli i białe kolumny w blasku księżyca. Ma się takie uczucie, jakby się tam było. Pan Da Cunha powiedział mi, że to Rzym. Dostałam od niego reprodukcję tego obrazu na Gwiazdkę. Wisi u mnie w pokoju.

Patricka wzruszyła ta prosta dziecinna opowieść, przypomniał sobie siebie samego w wieku może czternastu lat i te „czyste arkusze”, na których od poniedziałku do piątku starał się napisać coś, co mogłoby przetrwać i być inspiracją.

- Desiree - powiedział miękko. - Zawsze cię będę tak nazywał. - Uświadomiwszy sobie implikacje słowa „zawsze”, dodał: - Mam zamiar kontynuować znajomość z tobą bardzo, bardzo długo.

Wieczorem wybrali się na spacer wzdłuż plaży, zdjęwszy uprzednio buty. Pomiedzy oceanem a wzgórzami porośniętymi sosnowym lasem widniało słone jezioro, intensywnie różowe w zapadającym powoli zmierzchu.

- Jest tutaj od czasów Karaibów - zauważył Patrick.

- A co sprawia, że jest różowe?

- Algi. Czerwone algi.

- Jesteś taki mądry. Wiesz wszystko.

Spojrzał na nią. Przemknęła mu przez głowę myśl, że może to kobieca sztuczka, pochlebstwo obliczone na usidlenie mężczyzny, ale sam się za nią skarcił. Jej uczciwość była poza wszelką wątpliwością. Ta dziewczyna o rozwianych włosach, wyrzucająca z siebie słowa z

szybkością karabinu maszynowego, która podbiła go od pierwszej chwili, była w gruncie rzeczy naiwnym, wrażliwym dzieckiem. Zdawał sobie też sprawę, że całkiem ją zawojował.

Para szczudłaków o czarnych szyjach brodziła po płytkiej wodzie.

- Cśś - szepnęła. - Spójrz na nie.

On jednak wolał patrzeć na nią. W spokojnym, stojącym powietrzu poczuł znów intensywny zapach jej perfum - cukier i kwiaty. Dotknął jej ramienia.

- Chodź - powiedział.

Ułożył ją na ziemi w ciemnym, doskonale osłoniętym zakątku u stóp sosen i zdjął jej białą bluzkę i spódniczkę. Ile znał przedtem kobiet? Tyle, ile normalny mężczyzna w jego wieku, i to bardzo różne: namiętne i zmysłowe, godzące się na wszystko, i takie, które musiał nakłaniać, albo takie, które udawały, że trzeba je nakłaniać. Desiree była inna. Była dziewczyną. Poczuł przyływ ogromnej czułości, nie miał jednak wyrzutów sumienia, ponieważ znał siebie dobrze. Odgarniając ciężkie włosy z jej ramion, gładząc jędrne piersi i szczupłe długie uda, wiedział, że nigdy jej nie opuści. Gdy tak leżeli obok siebie, oboje zbyt wyczerpani, a może zbyt nieśmiali, by wyrazić swe uczucia słowami, był pewien, że ona wie o tym również.

Gdy wreszcie się podnieśli, było już całkiem ciemno.

- Czy przyjdziemy tutaj jutro? - spytał.

- Przecież jutro jest normalny dzień pracy. Musisz jechać z tak daleka.

Patrick zadrżał.

- Czemu? Czy nie chcesz, żebym przyjechał? Boisz się? Położyła mu głowę na ramieniu.

- Nie. Chodziło mi tylko o ciebie.

A więc połączyli się, by stworzyć całość. Odtąd zawsze już będzie starał się sprawiać jej radość, będzie dla niej czuły, ona zaś, chwytająca życie pełnymi garściami, również go tego nauczy.

Agnes była wściekła, kiedy Patrick przyprowadził Desiree do domu pewnego niedzielного popołudnia.

- Chyba nie masz zamiaru ożenić się z tą dziewczyną?

- Nie poprosiłem jej jeszcze o rękę, ale jestem pewien, że mnie przyjmie.

- Mój Boże, im jesteś starszy, tym głupszy!

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.



- Naprawdę nie rozumiesz? Przyjrzyj jej się! Czarna jak węgiel! Mądry mężczyzna wybiera sobie żonę jaśniejszą, żeby poprawić rasę dzieci, nawet tego nie wiesz?

- Nie rozumiem cię, mamó - odparł, usiłując się opanować. - Po tym wszystkim, co mi mówiłaś o latach niewolnictwa, przeszło ci przez gardło coś takiego?

- A cóż to ma wspólnego z tą sprawą? Masz zwyczaj przekreślać moje słowa, zawsze to robisz!

- To ty wszystko przekreślasz, wszystko ci się miesza...

Ale Agnes już wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Wziął kartkę papieru i napisał coś, co kiedyś wyczytał w książce do historii na temat epoki niewolnictwa.

„Biały plus Murzyn równa się Mulat.

Mulat plus Murzyn równa się zambos.

Mulat plus biały równa się kwateron.

Kwateron plus biały równa się mustee.

Mustee plus biały równa się mustafina."

- Kim, do diabła, jestem? - wykrzyknął z gniewem.

Spojrzał w lustro. Kwateron? Mustee? Niech to diabli! Kim był mężczyzna, który go spłodził? Od epoki niewolnictwa minęły już trzy pokolenia, a w Agnes wciąż walczyły mieszane uczucia, duma i wstyd, poprzeplatane wzajemnie niczym gniazdo węży. Taka uparta, nic mu nie chce powiedzieć.

A zresztą, co to zmieni, jeśli nawet mu powie?

W przypiływie wściekłości cisnął szczotką przez całą długość pokoju. Rączka pękła na dwie części, pozostawiając na drzwiach wklęsły ślad.

Agnes otworzyła drzwi.

- Przepraszam - powiedziała.

Stała, oddychając ciężko i przytrzymując się ściany. Po raz pierwszy zauważył jej guzowate, artretyczne palce. Samotna stara kobieta, dobiegająca kresu swej egzystencji. Co mogła wiedzieć? Jego gniew ulotnił się.

- Nie miałam racji - dodała. - Rób, co chcesz, jeśli cię to uszczęśliwi. Wiedział, że to tylko częściowo prawda. Ale musi i to mu wystarczyć.

- Żenisz się z córką Clarence'a Portera? Piękna dziewczyna - powiedział doktor Mebane. - Mam nadzieję, że nie jest taką radykalistką, jak jej ojciec?

- Nie interesuje się polityką.

- Bardzo dobrze. To kobieta w sam raz dla mężczyzny. Kiedy ślub?

- Gdy tylko ona zechce. - Musiał ją mieć. Na myśl, że ktoś inny mógłby przychodzić do niej, podczas gdy on siedziałby w Gully, przebiegł go zimny dreszcz.

- Czemu się trochę nie wstrzymasz? Nicholas za rok będzie już w domu i moglibyście się trochę zabawić. Spędzić tydzień na Barbadosie, może nawet na Jamajce. Używaj życia. Powinieneś wykorzystać czas, zanim dasz się całkiem uwiązać.

- To nie jest tak, jak pan myśli - powiedział cicho Patrick.

- Po prostu mam nadzieję, że jesteś całkiem pewny swego wyboru. Tyle jest dziewcząt dookoła.

W podtekście Patrick wyczuł: „Mógłbyś wybrać lepiej”.

- Jestem pewny - odpowiedział stanowczo. Clarence Porter był uszczęśliwiony.

- Wiedziałem o tym od pierwszej chwili, gdy tylko spojrzaleś na nią, a ona na ciebie. Mieli zamieszkać w drugim domu Clarence'a. Obecni lokatorzy dostali wypowiedzenie, a Clarence zamierzał wszystko dla nich odnowić.

- Tak mi ulżyło, że będziemy mieszkać w mieście - powiedziała Desiree. - Nigdy nie lubiłam wsi.

- Tak czy owak nie mogłabyś zamieszkać w moim obecnym domu. Po prostu będę wstawał godzinę wcześniej i dojeżdżał do szkoły. - Kupił sobie rozklekotany samochód, z trzeciej lub czwartej ręki. - Musimy kupić ci pierścionek u Da Cunha.

- U Da Cunha? Patricku! Skąd zdobędziesz na to pieniądze?

- Nie przejmuj się, nie będzie specjalnie duży! Moja matka sprzedała kawałek swojej ziemi na Martynice i dała mi trochę pieniędzy kilka lat temu. Wystarczyło na studia i jeszcze coś tam zostało.

- Może kiedyś kupimy sobie lepszy dom.

- Nie wiem. Nauczyciele nie zarabiają zbyt dużo.

- Przecież nie zawsze musisz być nauczycielem.

Wzięli ślub w kościele anglikańskim pod wezwaniem Niebiańskiego Spokoju, wzniesionym w St. Felice od strony oceanu. Był to nieduży budynek w stylu gotyckim, który równie dobrze mógłby stać na wzgórzach Cotswolds w Anglii, gdyby nie palmy kokosowe rosnące na obrzeżach cmentarza oraz przybrzeżne fale rozbijające się o brzeg dwieście stóp poniżej skalnej ściany. Został niegdyś wybudowany przez plantatorskie rodziny, które pięćdziesiąt lat temu, wraz z nastaniem ery samochodów, prawie całkiem z niego zrezygnowały, woląc korzystać z posług katedry w Covetown.

- Ale ja chciałbym wziąć ślub właśnie tam - powiedział Patrick ojcu Bakerowi. - Podoba mi się, że jest taki wiekowy, zapuścił tam korzenie niczym drzewo.

Państwo młodzi oraz Clarence Porter i Agnes zjawili się w kościele przed ojcem Bakerem. Promienie światła, przedzierające się przez kolorowe witraże, bursztynowe, różowe, lawendowe, padały na stare tablice pamiątkowe, na ozdobne napisy wykute w kamieniu.

Tu spoczywa świętej pamięci Eliza Walker Loomis, oddana matka i żona, przykład miłosierdzia i pobożności dla swej rodziny.

Aleksander Walker Francis, urodzony w parafii Charlotte w roku pańskim tysiąc siedemset pięćdziesiątym drugim. Oddał życie służąc Jego Królewskiej Mości Jerzemu III w roku pańskim tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym. Mężny i prawy w wypełnianiu świętych obowiązków wobec Boga, króla i ojczyzny.

Wilgoć panująca w nie wykorzystywanym budynku spowodowała, że rozpleniły się porosty, zacierając stare napisy.

Zrodzeni pod skrzydłami anioła. Tutaj spoczywają pogrzebane doczesne szczątki Pierre'a i Eleuthere'a Francois, synów Eleuthere'a i Angelique Francois, którzy zmarli i wstąpili do raju czwartego sierpnia roku pańskiego tysiąc siedemset drugiego, przeżywszy osiem miesięcy. Nasze łzy będą zraszać ich grób.

- Francis - zadumała się Desiree - I Francois. Czy sądzisz, że to ta sama rodzina?

- To jest ta sama rodzina - powiedziała Agnes.

Nadszedł ojciec Baker. Patrick ujął dłoń Desiree i podeszli do ołtarza. Podał się poezji ceremonii ślubnej, a jednocześnie przemykały mu przez głowę oderwane myśli: „Chciałbym, żeby był tu dziś z nami Nicholas... Nie jest to czysty gotyk, te pilastry są korynckie... Chcę dobrze zapamiętać, co on mówi.”

Pamiętał, że pocałował Desiree i uścisnął dłoń ojca Bakera. Pamiętał też skrzyp starych drzwi, gdy wyszli z półmroku na światło dzienne i wsiedli do samochodu.

Objechali dookoła wyspę, robiąc sobie małą wycieczkę w drodze powrotnej do Covetown. Na wzgórzu, gdzie rzeka skręcała ku morzu, zatrzymał samochód, by podziwiać krajobraz.

- Spójrz tam - powiedziała Desiree.

Na stoku wzgórza stał samotny dom z kolumnadą. Był nieduży, ale emanowało z niego skromne dostojeństwo.

- Wyobraź sobie widok z tych okien.

- Bez wątpienia cudowny.

- Ta posiadłość nosi nazwę Eleuthera. Obecnie jest nie zamieszkana. Nie wiem, czemu.

- Eleuthera! Chyba tam kiedyś byłem.

- A co mogłeś tam robić? - spytała go ciekawie.

- Nie wiem. Może mi się tylko tak wydaje?

- Och, jakżebym chciała zamieszkać w takim domu. A ty? Roześmiał się.

- Zapewniam cię, że nawet mi to przez myśl nie przeszło, kochanie.

- Gdybyś mnie nie poślubił, być może zamieszkałbyś kiedyś w podobnym domu.

- Dlaczego? O co ci, na miły Bóg, chodzi?

- Kto wie, jak daleko mógłbyś zajść? Beze mnie, na przykład, mógłbyś zostać członkiem klubu „Crocus”.

Pochylił się i pocałował ją czule.

- Naprawdę absolutnie mi na tym nie zależy. Co to zresztą za rozmowy w dzień ślubu?

Za spuszczoneymi żaluzjami hotelowego pokoju zapadła pełna rozkoszy noc. Desiree obudziła się z półsnu.

- Czy miałeś kiedykolwiek białą dziewczynę? - spytała.

- Nie - odparł zaskoczony.

- Czemu nie?

- Nigdy nie chciałem. - Mógł je mieć, prostytutki, różne puszczalskie, nawet siostrę kolegi z Cambridge, powodowaną najwyraźniej ciekawością. Był dla niej czymś nowym.

- Zabawne - powiedziała Desiree.

- Wcale nie zabawne. Poza tym nie chcę, żebyś mówiła o takich rzeczach. Przyciągnął ją do siebie. Wspaniała czarna piękność! Ciepła woń zwichrzanej wiatrem trawy, aromat nocy, kobiety i ziemi! Miał to wszystko, wszystko, czego pragnął, tę jedną, jedyną. Kwiaty, nieoczekiwanie wilgotne na występie skalnym na skraju pustyni. Błękitne oczko jeziora wśród wyniosłych gór. Przybicie do brzegu po długiej, długiej podróży.

## Rozdział 7

Gdy ludzi dotyka ruina, nie jest to bardziej zaskakujące niż choroba. Rozkład spowodowany przez raka nie zaczyna się w chwili postawienia diagnozy. Powoli, nie rozpoznany lub tylko nie przyjęty do wiadomości, przez długi czas potajemnie toruje sobie drogę. Tak samo bywa ze skrywanym rozczarowaniem w małżeństwie lub z krachem finansowym.

Od pewnego czasu Francis zaczął zdawać sobie sprawę z kłopotów za zamkniętymi drzwiami biura. Ojciec dawał do zrozumienia za pomocą aluzji, znaczących spojrzeń, pytań, długich chwil milczenia, że coś niedobrego dzieje się w firmie. Miało to związek z ogromną pożyczką, imponującym projektem i niesolidnymi ludźmi - jednym słowem z ryzykownym przedsięwzięciem. Chodziło tu o fabryki konserw i przetwórstwo żywności. Gdy informacje zaczęły przedostawać się do publicznej wiadomości, a wezwani pilnie rewidenci księgowi biegali z pokoju do pokoju, wyciągając dokumenty z kartoteki, niektórzy złośliwi podwładni zaczęli przebąkiwać (uważając, by nie usłyszał ich Francis, który bądź co bądź był synem wspólnika) o „pomidorowym skandalu”.

W końcu rewelacje o tym ukazały się na pierwszych stronach gazet porannych. W swym świeżo umeblowanym pokoju jadalnym z widokiem na Central Park Francis przeczytał: „Szanowana firma plajtuje, ujawnia Komisja do spraw Giełdy i Papierów Wartościowych”.

Mój Boże! Jak ojciec mógł dopuścić do tego? Czy rzeczywiście zasługiwało to na tak wielki nagłówek? W tym samym momencie zdał sobie sprawę, jak jest naiwny nie rozumiejąc, że bankructwo takiej firmy, jak „Luther, Baines and Company” to rzeczywiście rewelacja na pierwsze strony gazet. Oblał go zimny pot.

- Co się stało, Francisie? Wyglądasz, jak gdyby piorun w ciebie strzelił - powiedziała Marjorie.

- Bo strzelił - odrzekł, podając żonie gazetę.

Obserwował ją, gdy czytała. Byli małżeństwem zaledwie od ośmiu miesięcy, a wciąż się dziwił, jakim cudem udało mu się ją zdobyć, taką spokojną i pewną siebie, tak bardzo różną od niego. Nadal nie mógł się przyzwyczać do jej widoku, świeżej i ożywionej nawet rankiem. Miała na sobie jedwabny szlafrok, a krótkie ciemne włosy były gładko przyczesane. Poruszała wargami w trakcie czytania

- zawsze droczył się z nią z tego powodu - i Francis zastanawiał się, co też może myśleć o bankructwie rodziny, do której tak niedawno weszła. Pojęcia obowiązku, honoru i statusu znaczyły dla niej wiele. Jej własna rodzina nie była bogata, lecz dystyngowana, czym jego żona ogromnie się szczyliła. Poznał ją na przyjęciu u kuzyna. Zabawne, ale w ogóle nie miał ochoty pójść na to przyjęcie. Ojciec był jednak tak zmartwiony, gdy mu o tym wspomniał, że w końcu się zdecydował. Tam właśnie spotkał Marjorie.

Ojciec martwił się nim również ze znacznie poważniejszych powodów. Francis miał już trzydzieści lat, a wciąż nie robił tego, czego się po nim spodziewano. Zamiast pracować w firmie ojca, pojechał do Ameryki Południowej z Korpusami Pokoju. Nauczał w szkole w indiańskim rezerwacie w Nowym Meksyku. Pracował jako nadzorca na farmie mlecznej w północnej części stanu Nowy Jork. Rozpoczął studia magisterskie na wydziale historii. Właśnie tym się zajmował, gdy spotkał Marjorie.

Była to wysoka dziewczyna o przepięknych ciemnych oczach i chłodnym, spokojnym stylu bycia. O takich kobietach zwykle się mówi, że mają „klasę”, ale Francis zafascynował jej głos. Zabawne, że człowieka może do tego stopnia poruszyć coś tak zwyczajnego, jak głos, że może mieć taką nieodpartą siłę przyciągania. To jak wsłuchiwanie się w szum morza lub wpatrywanie w płonący ogień. Nawet jej śmiech miał na niego kojący wpływ, niczym dźwięk harfy, niosąc obietnice czułych i subtelnych rozkoszy.

Z jej powodu omal nie doszło do rękoczynów z kuzynem.

- To zimna ryba, Francisie. Zupełnie do ciebie nie pasuje. Czy naprawdę tego nie widzisz?

Kuzyn nic nie rozumiał! Miał pospolity gust. Klasyczny chłód Marjorie, jej klasyczna rezerwa zbijały go z tropu. Natomiast Francis był nią zachwycony. Nie znał dotychczas podobnej do niej dziewczyny.

Gdy się z nią ożenił, rozsądek nakazał mu wejść jednak do firmy ojca. Miał już za sobą lata spędzone na odludziu i w egzotycznych stronach. Teraz musiał zarobić na utrzymanie żony. Zdawał sobie doskonale sprawę ze swego szczęścia, tak łatwo udało mu się rozpocząć nowe życie, miał tę piękną jadalnię z widokiem na park, w którym jeździli w niedzielę na rowerach lub na wrotkach, i sypialnię, w której spędzali rozkoszne noce. Marjorie odłożyła gazetę.

- Powinniśmy tam pójść - powiedziała.

- Dokąd?

- Do twoich rodziców. Powinniśmy być teraz razem z nimi. Tak, oczywiście Marjorie miała rację.

Pokój jadalny rodziców wyglądał podobnie, jak ich własny. Filizanki z kawą odsunięto na bok, by zrobić miejsce dla rozłożonych gazet. Matka je właśnie czytała. Z podnoszonej do ust łyżeczki Margaret skapywało mleko. Gdy weszli z Marjorie do pokoju, stojący przy oknie ojciec odwrócił się do nich.

- Czemu nie powiedziałaś mi, że jest aż tak źle? - spytał cicho Francis.

- I tak nic nie mógłbyś poradzić.

Była to niestety prawda. Zastanawiał się, co mógłby teraz zrobić. Usiadł obok matki i położył jej rękę na ramieniu. Richard popatrzył na nich.

- Żal mi przede wszystkim twojej matki - powiedział. - Myślałem, że uda nam się z tego powolutku wygrzebać. Ale ta cholerna prasa...

Teresa podniosła oczy znad gazety. Na jej policzku pulsowała żyłka, wargi miała zaciśnięte, jak gdyby nie chciała dopuścić do wybuchu gotującej się w niej wściekłości. Francis zaobserwował to już nieraz. Nie było to dla niego niczym nowym.

Po chwili opanowała się i powiedziała:

- Richardzie, szczerze mówiąc nic mnie nie obchodzą gazety. Dzisiejszy skandal w przyszłym tygodniu będzie zapomniany. Obchodzi mnie wyłącznie to, by moje dzieci nie ucierpiały z tego powodu.

- Powinienem chyba - wymówił Richard drżącym głosem - popełnić samobójstwo. Tak jak Wayne Chapman. Pamiętasz, jak dwanaście lat temu zbankrutowała firma „Chapman, Searls and Fitler” i Wayne wyskoczył przez okno?

- I co by to dało? - spytała Teresa.

„Bzdury - pomyślał Francis. - Melodramatyczna farsa!” Jego umysł pracował na wysokich obrotach.

- Jest przecież majątek na St. Felice. Ponieważ stanowi własność mamy, nie ma powodów do obaw.

Gdy Teresa znów się odezwała, jej głos był zupełnie beznamiętny i ta beznamiętność wzmocniła jeszcze siłę oskarżenia.



- Od dłuższego czasu nie mam już majątku na St. Felice, z wyjątkiem zrujnowanego domu mojego dziadka na północy. Dowiedziałam się o tym dziś rano.

- Jak to nie masz? - zdumiał się Francis. - Nie rozumiem. - Spoglądał to na jedno, to na drugie z rodziców.

- Powiedz im, Richard.

- Cóż, widzisz, wydatki były duże, a pieniądze zamrożone w papierach wartościowych... - Richard zająknął się.

„Głupiec!” - pomyślał Francis.

- Od czasu do czasu potrzebowałem gotówki. Rozporządziłem się więc majątkiem matki. Dostałem za wszystko dobrą cenę! Posiadłości kupił Herbert Tarbox dla swego syna Lionela. Zawsze potrafię się wytargować, mogę wam pokazać wszystkie dokumenty.

Francis kompletnie go zignorował.

- A więc twój brat, twój przyrodni brat ma wszystko? - spytał matkę.

- Nie wszystko - poprawił Richard. - Została posiadłość, o której wspomniała twoja matka...

- Eleuthera - powiedziała z westchnieniem Teresa.

- Czemu jej też nie kupił? - spytał pogardliwie Francis.

- Nie chciał.

- Zrobiłeś to wszystko bez wiedzy matki? Tak po prostu?

- Nie od razu. To trwało latami. Miałem pełnomocnictwa. Matka nigdy nie znała się na interesach.

Richard odwrócił się z powrotem do okna. Francis również zapatrzył się na spóźniony mokry śnieg sypiący na grządki, na których za miesiąc powinny zakwitnąć kolorowe tulipany.

Nagle pełne niedowierzania oburzenie Francisa przerodziło się w litość. Ojciec tak jakoś nagle poszarzał - szare były włosy, twarz, flanelowy garnitur. Jego ręce zwisały bezwładnie niczym ręce nieboszczyka. Na przegubie miał piękny zegarek - Richard chełpił się, że to najdroższy zegarek na świecie. Biedny, wyniosły głupiec. Świat, a zwłaszcza jego specyficzny światek, osądzi go z pogardą, nie ma tu bowiem tolerancji dla niepowodzeń. Współczuł mu chyba bardziej niż matce, która jak zawsze przetrwa wszelkie burze.

Ktoś musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

- A więc pozostała Eleuthera - powiedział. - Sprzedamy ją i złożymy pieniądze w depozycie dla matki. Zastanówmy się, ile możemy za nią dostać.

Richard podchwycił ten pomysł.

- Tak, tak, mogę napisać do Lionela, by oddał sprawę w ręce miejscowego agenta Francis podjął błyskawiczną decyzję.

- Nie ma mowy o Lionelu. Ani o miejscowym agencie. Sam się tym zajmę. Teresa wyraźnie drgnęła na te słowa.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Zamierzasz jechać tam osobiście? Na St. Felice?

- Czemu nie? To jedyny sposób, żeby wszystko załatwić. Dopilnować samemu.

- Śmieszne! Nie wiesz nic o tamtych stronach. Stracisz tylko czas i energię. Co wiesz na temat tamtejszych cen posiadłości? To doprawdy śmieszne!

- Wcale nie! - odparł Francis. Narastało w nim podniecenie, nęciła go podróż, przygoda, możliwość działania. - Czy Lionel zajmie się twoimi interesami dość energicznie? Może tak, a może nie. Po prostu muszę pojechać.

- Powiedziałam już, że nie podoba mi się ten pomysł! - Widać było przyspieszone pulsowanie tętna na jej szyi, krew napłynęła do policzków. - Taka długa podróż... to nie doprowadzi do niczego...

- Nie rozumiem twoich obiekcji - wtrącił nieśmiało Richard. - Chyba że wolisz, bym to ja pojechał.

- Masz mnóstwo spraw do załatwienia tutaj - odpowiedział Francis.

- Nikt mnie nie słucha! - krzyknęła ostro. Prysnął nagle spokój, który pomagał jej znieść napięcie. Francis miał jednak dziwne uczucie, że bardziej rozstroiła ją perspektywa jego podróży niż roztrwonienie fortuny. Dlaczego?

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Zostaw to mnie, mamę, proszę cię - poprosił ją łagodnie. - Załatwię wszystko jak należy. Marjorie i ja pojedziemy w przyszłym tygodniu do St. Felice. Ty masz się nie martwić, słyszysz?

Światło chlusnęło z nieba niczym fontanna, porażając zmysły.

- Mój Boże, jak przepięknie! - wykrzyknęła Marjorie.

Stali od świtu na pokładzie szkunera pośród tobołów i kur w klatkach, patrząc, jak krajobraz wynurza się z morza w szarej mgiełce,

gdy dzień zaczyna wypierać noc. „Niczym na obrazie Turnera”, pomyślał Francis, który podobnie jak jego ojciec częstokroć wyobrażał sobie rzeczywistość przeniesioną na płótno. Teraz, dosłownie w jednej sekundzie, ta nagła powódź światła wydobyła wszystko z całą ostrością: kępy korzeni, linię przybrzeżnych fal, wyniosłą wieżę.

Stojący obok nich niedbale ubrany człowiek w nieokreślonym wieku gadał jak najęty przez ostatnie pół godziny. Sprzedawał „tekstylię, obuwie, kombinezony, towary dla czarnuchów”. Francis wzdrygnął się na dźwięk tego szkaradnego określenia.

- Zacząłem tu przyjeżdżać jeszcze przed kryzysem. Rzecz jasna, w czasie wojny zaprzestałem, ale teraz znów jestem na starym szlaku. Nic się nie zmieniło. Czarnuch pozostał czarnuchem. Leniwe zwierzę. Daj mu rum i kobietę, a wystarczy mu to do szczęścia.

Na pokładzie było mało miejsca i Francis nie miał się gdzie przesunąć.

- Pewnie zatrzymacie się w hotelu „Cade”? To jedyny hotel w mieście poza kilkoma brudnymi pensjonatami. Spotkacie tam trochę śmiesznych typów. Oczywiście komiwojażerów takich jak ja, ale przede wszystkim angielskich turystów. Wojskowych w stanie spoczynku i profesorów. Przyjeżdżają tu, by chodzić na wycieczki i obserwować ptaki. Zatrzymacie się w hotelu „Cade”? - powtórzył.

- Nie. Mamy tu krewnych. Przyjechaliśmy z wizytą.

- Aha, założę się, że przyjechaliście na ślub!

- Ślub?

- Córki jednego z plantatorów. Wielkiego potentata. nazywa się Tarbox. Wychodzi za syna gubernatora.

Francis żałował, że nie jest bardziej biegły w kłamstwach i wykrętach.

- Jesteśmy spokrewnieni z Tarboxami. Rzeczywiście ma się odbyć ślub, ale dopiero w przyszłym miesiącu.

- Tak czy owak czytałem o tym w gazecie. A więc to wasza rodzina? - powiedział mężczyzna z nagłym szacunkiem.

„No cóż, biedny chłop - pomyślał Francis, przechodząc nagle od dezaprobaty do wyrozumiałości, co było dla niego bardzo typowe. - Teraz staliśmy się dla niego ważnymi personami.”

- Planujecie długo tu zostać?

- Niezbyt.

- Szybko wam się znudzi. Nie ma tu co robić. Nic się nie zmieniło od trzystu lat. Są regiony, gdzie w ogóle nie ma dróg, tylko górskie ścieżki! Rzadko tu ktoś przyjeżdża, chyba że milionerzy na swych jachtach. Oni lubią takie ustronne miejsca. Spuszczają kotwicę w porcie, schodzą na brzeg, by wypić drinka z plantatorami w podmiejskim klubie. Żadnych kobiet. Niektórzy plantatorzy, typki we frakowych koszulach, są warci tyle złota, ile sami ważą, ale niektórzy z nich to biedacy, po uszy w długach. Nie chciałbym mieć tej całej wyspy nawet za darmo.

Wpłynęli do zatoki. Po jednej stronie znajdowały się pozostałości fortu z górującym działem, wymierzonym nawet teraz w zbliżający się szkuner.

Strzelano z niego do pirackich okrętów - wyjaśnił komiwojazer Marjorie. - Takie działa wyglądają niepozornie, ale mogą wyrządzić wiele szkód. Niektórzy plantatorzy trzymali je na dachach dla obrony przed czarnuchami podczas rozruchów. Może się to zdarzyć i dzisiaj, proszę mi wierzyć, wcale nie przesadzam. Kiedy do tego dojdzie, poleje się krew. Lepiej wtedy być jak najdalej stąd.

Jego słowa okryły cieniem pogodny poranek.

- Tak, te wyspy widziały wiele krwi.

Francis przysłonił oczy. Ulice były strome, ponieważ miasto zbudowano na zboczach wzgórza. Centrum stanowiło czworobok, z jednej strony ograniczony ulicą biegnącą wzdłuż nabrzeża. Widział z pokładu arkady i balkony z kutego żelaza. Francuzi pozostawili tutaj swoje piętno.

Ktoś wrzucił monety do wody. Dwóch czarnych chłopców dało nurka z nabrzeża w ich poszukiwaniu. Komiwojazer ze śmiechem zaczął grzebać w kieszeni.

- Małe czarnuchy świetnie pływają. No cóż, muszę się pożegnać. Życzę udanego pobytu. Z pewnością będziecie musieli przywyknąć do tutejszego klimatu. Zawsze wieje. Do czerwca nie spadnie kropla deszczu, ale was już tu przecież nie będzie.

- Odmalował niezbyt przyjemny obrazek - powiedziała Marjorie.

Na nabrzeżu, obok pomostu, stał kolorowy mężczyzna, który uchylił słomkowego kapelusza.

- Pan Luther? Pan Herbert przysłał po państwa samochód. Wita serdecznie w St. Felice i przeprasza, że nie przybył osobiście, ale dziś jest dzień zbioru bananów. Lunch czeka na państwa w domu.

Francisa uderzył w nozdrza słodkawy, ostry aromat. Był to zapach kwitnących kwiatów, zmieszany z wonią soli morskiej i dziegciu. Serce zaczęło mu bić szybciej.

Ile pokoleń od pierwszego Francois postawiło stopę na tej ziemi? „W roku pańskim tysiąc sześćset siedemdziesiątym trzecim...”

Zdumiało go własne wzruszenie.

- Ależ z pewnością - powtórzyła po raz trzeci od ich przyjazdu Julia Tarbox - musieliście wiedzieć, że dziś jest ślub Julii.

- Byliśmy przekonani, że w przyszłym miesiącu - odrzekła Marjorie. Straciła głowę, co było do niej zupełnie niepodobne.

- Niemożliwe, bym nie zawiadomiła Tee o przyspieszeniu daty ślubu. Ale to bez znaczenia, skoro i tak nie zamierzała przyjechać. Cudownie, że wy tu jesteście. - Odsunęła krzesło, dając tym znak do wstania od stołu. - Drinki wypijemy na werandzie. Tam jest przewiewniej.

Długa weranda wychodziła na tak jasnozielony trawnik, że wydawał się nieprawdziwy. Za rabatami kwiatów i długim białym płotem pasło się na trawie pięć czy sześć koni.

- Och, jak prześlicznie - zachwyciła się Marjorie.

- Prawda? Posiadłość Lionela też jest piękna, ale w zupełnie innym stylu. Mają widok na morze. Bardzo im było przykro z Kate, że nie mogli pojechać na wasz ślub, ale podróż byłaby dla niej zbyt ciężka po poronieniu. - Głos Julii zabrzmiał nagle płaczliwie. - Nigdy nie zrozumieć, jak Tee mogła się tak od nas oddalić! Nie przyjechać nawet na ślub siostry! Kiedy ona brała ślub mnie też przy niej nie było. Nie wiem... dziadek wysłał ją za granicę, a potem nagle dowiedziałam się, że wyszła za męża. Była jeszcze taka młoda. Doprawdy nie wiem... - Nikt nie odezwał się nawet słowem. Julia rozpogodziła się, klaszcząc we wciąż młode dłonie. - Przynajmniej dziś będzie wesoło. Tutaj, na łonie rodziny, mogę przyznać, że to wszystko przypomina sen. Julia poślubia lorda Frame'a! - Westchnęła, po czym rzekła nagle, zwracając się do Francisa: - A więc twojemu ojcu udało się roztrwonić cały majątek! Prawdę mówiąc, jestem zdziwiona, że nie stało się to dużo wcześniej.

Herbert Tarbox zakasłał znacząco.

- Czy nie stawiasz sprawy zbyt ostro, Julio?

- Prawda jest prawdą.

- Prawda nie zawsze bywa łatwa do przyjęcia. - Stanowczy ton Herberta zdumiał Francisa. Przez cały lunch ustępował Julii. - Poznałem w życiu smak walki. Kobiety tego nie rozumieją. To nie tylko zdobywanie pieniędzy, lecz również ich utrzymanie. Trzeba mieć sporo szczęścia. - Jego duża czerwona dłoń, spoczywająca na oparciu krzesła, ścisnęła kurczowo kieliszek rumu. Duże czerwone kolana sterczały z szortów koloru khaki. - Chcę ci coś powiedzieć, Francisie. Musiałeś z pewnością wiele myśleć o sprzedaży całego majątku. Chciałbym, żebyś rzucił okiem na dokumenty, by się przekonać, że zapłaciłem twojemu ojcu najwyższą cenę.

- Nie miałem co do tego wątpliwości, wujku Herbercie.

- Nie rozumiem, czemu nic o tym nie wiedziałam - powiedziała z wyrzutem Julia.

- Ponieważ Richard prosił mnie, by zachować transakcje w tajemnicy. Nie pytałem go nigdy o przyczyny. - Herbert zwrócił się znów do Francisa. - Kupiłem to wszystko dla mojego syna, Lionela. Chcę przejść na zasłużony wypoczynek. Hodowałem trzcinę cukrową i banany przez ćwierć wieku i myślę, że to naprawdę wystarczy. Teraz niech one mnie utrzymują. W przyszłym roku o tej porze, a może nawet wcześniej, Julia i ja staniemy się właścicielami niewielkiego domu w Surrey. Będziemy hodować róże, mieszkać w Londynie w pobliżu Julii, a zimę spędzać, na przykład, w Cannes. Kto wie?

- Pracował wuj ciężko i zasługuje na to - powiedział Francis. Takiego stwierdzenia chyba po nim oczekiwano.

- Nie masz pojęcia, jak ciężko. Kryzys światowy zaczął się w Indiach Zachodnich bardzo wcześnie. W tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku cukier przynosił ponad dwadzieścia trzy funty za tonę. W tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym już tylko pięć funtów. Panował głód, szerzyły się rozruchy. Pożary i rozlew krwi. Potem powstały związki. Było to nieuniknione. Robotnicy zaczęli się stawać zbyt silni, włązili nam na kark, zaciskali szpony. Ostatnie dziesięć lat... - Pokręcił głową. - Ale człowiek z natury jest stworzony do walki. Powodzie. Huragany. - Odliczał na palcach. - Wilgoć. Psucie się owoców. Cała sztuka polega na zróżnicowaniu zbiorów z myślą o eksporcie. Ja zainwestowałem w kakao. Lionel w bawełnę i marantę trzcinową. Jest lepszym biznesmenem ode mnie, a ja byłem całkiem niezły, mogę to powiedzieć bez fałszywej

skromności. Tak więc zostawiam wszystko synowi. Urodził się tutaj i zna życie na wyspie od podszewki. Jego żona również.

- Kate jest jak mężczyzna - powiedziała oschłym tonem Julia. Herbert wybuchnął śmiechem.

- Raczej nie. Po prostu zna się na uprawie ziemi. Świetnie sobie daje radę z robotnikami, co jest dla Lionela ogromną pomocą.

- Dobrze, że trzyma ją w cuglach - powiedziała Julia - bo w przeciwnym razie rozdałaby wszystko robotnikom.

- Wiesz, ona trochę mi przypomina twoją Tee.

- Tee? Bzdura! Tee była zawsze spokojna, a Kate chce mieć we wszystkim ostatnie słowo.

Herbert milczał przez chwilę.

- Chodziło mi o jej stosunek do zwierząt i roślin. Pamiętam, że Tee była taka sama.

- Co ty wiesz o Tee? Nic, kompletnie nic! Gdy się nad tym zastanowić, ja sama prawie jej nie znam.

Marjorie i Francis wymienili spojrzenia. Herbert dyplomatycznie zmienił temat.

- A więc, Francisie, chcesz sprzedać Eleutherę?

- Moi rodzice potrzebują pieniędzy.

- Można by sądzić - zauważyła Julia - że twój ojciec zbije fortunę, inwestując pieniądze ze sprzedaży tych majątkości w rozwijające się gałęzie przemysłu.

- Widocznie - odparł sucho Francis - zainwestował w gałęzie, które się nie rozwijały.

Biedny ojciec! Miał szczęście, że nie stanął twarzą w twarz z Julią.

- Niełatwo będzie sprzedać tę posiadłość - powiedział Herbert. - Leży po złej stronie wyspy, trzeba objeżdżać dookoła Morne Bleue. Jako wykonawca testamentu po śmierci starego Virgila miałem cholerny kłopot. Na krótki czas wynająłem ją facetowi, któremu wydawało się, że potrafi uzyskać z niej dochód, zrezygnował jednak i wrócił do Anglii. Od tamtej pory leży odłogiem. - Wstał i przeszedł w drugi koniec werandy. - Podejź tutaj na chwilę. Spójrz tam. Trzydzieści trzy tony trzciny cukrowej z akra corocznie. Maszyny - to wszystko dzięki nim. Za czasów Virgila stosowano w prasach koła zębate z drzewa gwajakowego. Staruszek nigdy nie włożył nawet centa w modernizację. Dlatego trudno będzie sprzedać Eleutherę.

Francis westchnął.

- Trudno, wezmę, ile się da, cóż mogę na to poradzić. Chciałbym odłożyć coś dla mojej matki i Margaret. Widziałeś moją siostrę, zdajesz więc sobie sprawę, że to konieczne.

Herbert położył dłoń na ramieniu Francisa.

- Jesteś dobrym synem. Porozmawiaj po ślubie z Lionelem. On ma świetną głowę do interesów.

- Jeśli nie przywiozłaś sobie odpowiedniego stroju, Marjorie, znajdę coś dla ciebie - powiedziała Julia. - Mamy prawie identyczne figury.

- Dziękuję, ale mam chyba odpowiednią suknię.

- Tak też myślałam. Potrafię poznać się na człowieku od pierwszego rzutu oka. Podoba mi się twoja żona, Francisie. Jest ulepiona z tej samej gliny, co my. Życie na wyspie okropnie się zmieniło od czasów wojny. Przedtem nikt nie ośmieliłby się wybrać wieczorem do rezydencji gubernatora bez czarnego krawata. Zresztą na prośzoną kolację w innych domach również. Ale moja babka uczyła mnie, co to jest prawdziwa elegancja! Dlaczego londyńczycy woleli cieplice na Nevis od innych atrakcji w Europie! Spędzali całą zimę w hotelu „Bath”. Było to sto lat temu, oczywiście. Cóż, wszystko się zmienia i my też musimy się zmieniać. Jednakże dzisiaj wieczorem poznacie niektóre najstarsze rodziny na wyspie. Chciałabym, żeby Julia wróciła już do domu, jest godzina czwarta, będzie konać ze zmęczenia podczas ślubu...

Marjorie i Francis, zamykając drzwi od swego pokoju, wciąż słyszeli jej głos w holu na górze.

- No, no! - powiedziała Marjorie. - Twoja babka ma niezły charakterek!

- Czy to wszystko, co masz o niej do powiedzenia?

- Natomiast Herbert jest przemiły, prawda?

- Jest przyzwoitym facetem. Nie wiem, jak może z nią wytrzymać, ale nie wygląda na niezadowolonego.

- Jestem strasznie ciekawa synowej. Najwyraźniej nie należy do pupilek Julii.

- Jeśli przypomina moją matkę, co sugerował Herbert, to już wiem, dlaczego. Ogień i woda.

Marjorie usiadła, by zdjąć buty.



- Że też twoja matka nigdy nic o tym wszystkim nie opowiadała, choć to takie ciekawe! Naprawdę ciekawe, nie sądzisz? Choćby ta służba! Nie liczyłam, ale podczas lunchu obsługiwało nas chyba pięcioro służących. Strasznie mi się podoba sposób, w jaki pokojówka chodzi na bosaka. Twoja babka pokazała mi starą kuchnię, zbudowaną całkiem osobno. Boazeria na dole jest przepiękna, jakby zaprojektował ją sam Adam. Nie znalazłbyś piękniejszej w Anglii. - Przejechała szczotką po krótkich włosach. Twarz jej jaśniała. - Ten dom był ślubnym prezentem dla panny młodej w tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym roku, wiesz o tym? Jej ojciec sprowadził marmur na posadzki z Włoch, a całe srebro i porcelana pochodzą z...

- Chciałabyś mieć taki dom, prawda?

- Tak, jeśli mógłbyś go przenieść, na przykład, do Connecticut. Ten jest zbyt daleko. Znienawidziłabym go. - Wyjęła suknię z szafy i podniosła do góry. - Kochanie, czy ona jest odpowiednia na ślub? Dzięki Bogu wrzuciłam ją w ostatniej chwili do walizki. Czy będę dobrze wyglądała?

Spojrzał na żonę. Doskonała w każdym calu. Trudno uwierzyć, że należy do niego.

- Och, będziesz, z pewnością będziesz - powiedział ochryłym nagle głosem. - Zdejmij narzutę z łóżka, dobrze?

- Francis! Nie mamy czasu! Spojrzał na zegarek.

- Mamy półtorej godziny. Zdejmij narzutę.

## Rozdział 8

W wysokich pokojach pałacu gubernatora, nad głowami młodej pary, lorda Dereka Frame'a i lady Julii, wisiały surowe portrety królowej Wiktorii w diademie, Elżbiety II, młodej i uroczystej, generałów, admirałów oraz sędziów w białych perukach. Orkiestra grała Opowieści Lasku Wiedeńskiego. Serwowano szampana w wysokich kryształowych kieliszkach na srebrnych tacach.

- Wreszcie odpowiednio podany szampan! - wykrzyknęła Julia. - Nie cierpię tych płytkich kieliszków. Nadają się wyłącznie do sorbetów.

- Fantastyczne! - szepnęła Marjorie. - Czy umiałbyś wyobrazić sobie podobne miejsce, Francisie?

- To zapewne Francis i Marjorie? - usłyszeli czyjś głos. - Jestem Kate. Francis spojrzał w dół na filigranową dziewczynę o piegowatej twarzy.

Rudobrazowe włosy opadały jej na ramiona. Było ich stanowczo zbyt dużo jak na tak drobną osobkę. Ogromne oczy o bardzo czystych białkach spoglądały czujnie, lecz zarazem wesoło. Towarzyszył jej Lionel.

- Od dawna na was poluję w tym tłoku. Ty jesteś Marjorie. Zawsze wiedziałem, że znajdziesz sobie wspaniałą żonę, Francisie. - Obrzucił wzrokiem Marjorie od czubków pantofelków aż po kolczyki w uszach.

- To samo mogę powiedzieć o tobie - odrzekł Francis z galanterią.

- Trudno uwierzyć, że przyplłynęliśmy tu zaledwie dziś rano. To niesamowite! Inny świat.

- Moja żona uwielbia taką atmosferę - zauważył czule Francis.

- Żałuję, że nie mam sześciu par oczu. - Jej własne błyszczały jak gwiazdy. - Ta suknia ślubna! Wydawało mi się, że moja była piękna... ale ta!

- Należała do mnie - powiedziała Kate. - Matka, to znaczy teściowa przerobiła ją dla Julii. Przywiozła mi ją z Paryża, ponieważ mój ojciec nie miał pieniędzy. Waży z tonę, w dodatku atlas lepi się do pleców. Na szczęście dla Julii dzisiejsza noc jest chłodna.

- Ja natomiast jestem cały mokry - oznajmił Lionel. Był potężnym mężczyzną, wyglądał niewiele młodziej od swego ojca,

zbyt wcześnie zaczął tyć. - Może znajdziemy sobie stolik na zewnątrz, dopóki jeszcze nie są wszystkie zajęte?

Kaskady kwiatów spływały z kamiennych mis po obu stronach schodów prowadzących do ogrodu. Pierścienie z kwiatów otaczały srebrne kandelabry na stołach. Lionel zaprowadził ich do stolika, przy którym siedziało już kilka osób, i dokonał prezentacji.

- Pani Lawrence i panna Lawrence, państwo Prentice z Londynu. Ojciec Baker. Mój siostrzeniec Francis Luther z małżonką Marjorie Luther.

Angielskie damy zaszcebiotały coś szybko, zaś ojciec Baker zauważył:

- Wyglądacie raczej na braci, niż na wuja i siostrzeńca, choć nie jesteście do siebie podobni.

- Różnica wieku pomiędzy nami wynosi zaledwie cztery lata.

- A więc przybyliście na ślub z tak daleka - powiedziała jedna z kobiet, by jakoś nawiązać rozmowę.

- Tak naprawdę, to nie wiedzieliśmy, że ślub jest już dzisiaj. Francis przyjechał w interesach - wyjaśniła Marjorie.

Szczerłość Marjorie z jakichś powodów rozdrażniła Francisa. Nie był w nastroju do wyjaśniania wszystkiego na forum publicznym. Lionel pochylił się ku niemu.

- Ojciec mówił mi, że chcesz sprzedać Eleutherę.

- Tak. Czyżbyś przypadkiem chciał ją kupić?

- Ja? Nie, nie! Mam już tyle swoich gruntów! Jeśli jednak ustalisz przystępną cenę, z pewnością znajdziesz nabywcę. Na twoim miejscu nie zniechęcałbym się - dodał grzecznie.

- Nie zniechęcam się. Przynajmniej na razie - odpowiedział Francis nie całkiem zgodnie z prawdą.

- Virgil stosował metody sprzed pięćdziesięciu lat. W Eleutherze przede wszystkim należało zrezygnować z uprawy trzciny cukrowej. Nie mogę zrozumieć, czemu nasz antenat wybrał właśnie ją. Plantacje zwykle były usytuowane w pobliżu portu albo przynajmniej miały z nim dobre połączenie drogą lądową. Widocznie jednak musiało to mieć jakieś znaczenie dla starego pirata - powiedział niemal czule. - A z pewnością miało dla Virgila. Kochał to miejsce.

- Jest piękne - powiedziała Kate. - Prawdziwy poemat. Marzenie.

- Marzenie! - wykrzyknął Lionel. - Dobry Boże!

- Istnieje sztych Eleuthery z osiemnastego wieku - mówiła dalej Kate, nie zwracając na niego uwagi. - Dom widać w tle, natomiast na pierwszym planie widnieje wóz z trzcina cukrową, ciągnięty przez szesnaście wołów, osiem z przodu i osiem z tyłu, by utrzymać ciężar podczas schodzenia ze wzgórza.

- Kate jest miłośniczką historii - wyjaśnił Lionel. - Ja również, do pewnego stopnia.

- Wobec tego powinieneś obejrzeć te sztychy - powiedziała Kate. - Jest też drugi, przedstawiający sprowadzone tu specjalnie jelenie za fantastycznym ogrodzeniem. Dawniej pędzono tu bardzo rozrzutne życie.

- Dużo się piło, jadło, nie mówiąc o innych sprawach - dodał Lionel. Kate uśmiechnęła się. Szparka pomiędzy przednimi zębami dodawała jej wdzięku. „Nie klasyczna piękność - pomyślał Francis - ale...”

- Kate przepada również za muzyką - powiedział Lionel. - Gra na fortepianie. Ale to nie wszystko. Pędzi na koniu niczym wiatr, potrafi pływać żaglówką, a na dodatek odgrywa dobrodziejkę wobec Murzynów.

Uśmiech zniknął z twarzy Kate, jak gdyby starła go brutalna ręka.

Dlaczego on jej to robi? Francis spojrzał na zawsze taktowną w niezręcznych sytuacjach Marjorie. (Na przykład wiedziała, jak „okiełznać” Margaret w trudnych chwilach.) Niestety, była całkiem pochłonięta rozmową z angielską damą oraz starszym dżentelmenem, który przyłączył się do towarzystwa.

- Kate ma szacunek dla pracy. Jest mi pomocna w wielu sprawach - rzekł ojciec Baker.

- Z całym szacunkiem, wielobny ojcie - powiedział pryskając śliną Lionel - ale mogę się z tym zgodzić jedynie częściowo. Słyszałem, że w siedemdziesiątych latach dziewiętnastego wieku mój dziadek przepowiedział wszystkie nasze obecne kłopoty. Zawsze mówił - Lionel rozejrzał się i zniżył głos - że zaczynają się one od mieszańców, którzy mają inteligencję białego człowieka, a temperament Murzyna. Przy najmniejszej zachęcie ze strony pewnych osób podburzą spójność i wywłaszczą nas.

- Chyba pan jednak przesadza - wtrącił ojciec Baker.

- Wcale nie. Och, nie sądzę, by groził nam komunizm, przynajmniej jeszcze nie teraz. Są zbyt zajęci nawoływaniem do niego

w ważniejszych miejscach, takich jak Jamajka czy Trynidad. Ale teraz marzy im się zasada równości w prawie wyborczym i popełnimy największy błąd, pozwalając, by ludzie nie posiadający majątku mieli głos w sprawie publicznych pieniędzy. Bez wątpienia nas to czeka i jest się czym martwić. Spędza to sen z powiek nawet średnio zamożnej burżuazji, wykształconym Murzynom o jasnej skórze. Nie przekona mnie pan, że tak nie jest, choć się do tego nie przyznają. Niech pan weźmie takiego doktora Mebane'a, to dość zamożny człowiek... O wilku mowa, schodzi właśnie po schodach.

Francis zobaczył pełnego godności mężczyznę o dość jasnym odcieniu skóry, schodzącego po schodach z taką samą kobietą w eleganckiej sukni.

- Ma pan rację - zauważył sucho ojciec Baker. - Nie musi się pan obawiać wywłaszczenia ze strony doktora Mebane'a.

- Nie, na szczęście nie. Jego syn - powiedział Lionel do Francisza - świetnie się zapowiada.

- On już jest świetny - sprostował ojciec Baker. - To mój uczeń.

- Ukończył prawo i będzie się ubiegał o urząd państwowy. Bóg wie, co się jeszcze zdarzy. Może wszystko się dobrze skończy. Trudno się w tym połapać.

- Jesteś zwolennikiem kolonializmu - powiedziała spokojnie Kate. - Żyjesz w nieodpowiedniej epoce. Byłbyś znacznie szczęśliwszy w osiemnastym wieku.

Lionel roześmiał się i poklepał żonę po policzku, podniósł się od stołu.

- Bardzo przepraszam, ale muszę porozmawiać z paroma osobami. Troszkę popolitykować. Do zobaczenia. - Pochylił się, szepcząc na ucho Francisowi: - Nie bierz pastora zbyt poważnie. To demagog.

- Obawiam się - zauważył ojciec Baker, gdy Lionel już się oddalił - że zanudzamy pana naszymi sprawami, panie Luther. My, wyspiarze, mamy tendencję do uważania się za pepek świata, podczas gdy w istocie nic nie znaczymy.

- Nieprawda - sprzeciwiła się Kate - właśnie, że znaczymy. Jesteśmy miniaturką świata. - Nagle powiedziała zupełnie innym tonem: - Jeśli jednak w tak romantyczną noc wolicie posłuchać romantycznej opowieści, mogę wam powtórzyć historie zasłyszane od mojej prababki, która umarła, gdy miałam dziesięć lat. Uwielbiała

opowiadać mi o czasach swojej młodości, o kadrylach, mazurkach i trupach teatralnych, przybywających z Francji. W tamtych czasach wiele starszych rodzin mówiło po francusku. Do tej pory zachowały się w niektórych posiadłościach schody tak szerokie, że mogły nimi schodzić obok siebie trzy damy w krynolinach.

Francisa zaintrygował jej sarkazm i pasja, z jaką to mówiła. Nie mógł się zdecydować, czy ją lubi, czy też jest mu jej żal.

Marjorie uwolniła się wreszcie od pary starszych Anglików.

- Och, to zachwycające, Kate! Czy ty również mieszkasz w starym domu?

- Bardzo starym. Posiadłość nosi nazwę Georgina's Fancy.

- Z taką nazwą bez wątpienia musi wiązać się jakaś historia.

- O tak. Jej pierwszy właściciel był bogatym człowiekiem. Wysłał synów do Anglii, by ich wykształcić, tak jak to było w zwyczaju. Jeden z synów przywiózł sobie stamtąd narzeczoną. Miała na imię Georgina. Była bardzo młoda i podobno nie chciała przyjeżdżać tu, na to odludzie. Bała się niewolników i, jak się później okazało, słusznie, ponieważ została zgwałcona i zamordowana podczas rozruchów. Zanim bunt został zdławiony, tamtej nocy poszło z dymem dziesięć domów, a ich właściciele zostali zaszlachtowani.

- O Boże! - wykrzyknęła Marjorie drżącym głosem.

- W naszym domu wisi obraz, naśladownictwo Gainsborougha. Młoda dziewczyna w długiej do kostek sukni i sznurowanych bucikach trzyma małego pieska. Podejrzewamy, że to jej portret.

- Dostałam przez ciebie gęsiej skórki.

- Tak, możesz to sobie wyobrazić? Duszna ciemność, wszyscy śpią, Georgina w ogromnym łożu z baldachimem, a tu nagle niewolnicy z maczetami wdzierają się przez okna. Z pewnością mieli też pochodnie, by podpalić dom.

- Dzikusy! - szepnęła Marjorie.

- Tak. Ona musiała być twoją antenatką, Francisie. Oczywiście! Posiadłość Georgina's Fancy należała do rodziny Francisów. To pewnie twoja prapra... nie wiem, ile tych przedrostków powinnam postawić ...babka. Albo ciotka.

Zapadła już prawie całkowita, fioletowa ciemność. Gdzieś od pobliskiego jeziora dolatywało kumkanie i rechotanie żab. Dwóch chłopców przysiadło się do ojca Bakera, by pomówić o krykiecie. Młoda kobieta siedząca naprzeciwko Marjorie zaczęła rozmowę o

licytacji wyposażenia francuskiej rezydencji. Francis popatrzył na zegarek. Było jeszcze za wcześnie, by opuścić przyjęcie, a tu nagle dało mu się we znaki zmęczenie po tym bardzo długim dniu. Marjorie i jej sąsiadka z naprzeciwka rozmawiały teraz o samochodach, a może cygarach, ale dźwięki orkiestry zagłuszały słowa.

Kate Tarbox zapaliła papierosa. Powinien chyba zabawiać ją rozmową, ponieważ mężczyzna siedzący po jej drugiej stronie był zajęty kim innym.

- Czy macie dzieci? - spytał i natychmiast sam się za to zgañił, przypominając sobie, że przecież Kate nie przyjechała na jego własny ślub z powodu poronienia.

- Nie - odpowiedziała spokojnie.

- Pewnie bardzo was absorbują sprawy publiczne? - O Boże, chyba upadł na głowę! Brnie coraz gorzej.

- A ty czym się zajmujesz? - spytała Kate prosto z mostu.

- Działalem na rynku papierów wartościowych wraz z moim ojcem.

- Och tak, rzeczywiście, pamiętam. Czy lubisz swoją pracę?

- Nie bardzo. - Francis zaskoczyła jego własna odpowiedź, ponieważ wydawało mu się do tej pory, że raczej dość lubił swoje zajęcie.

- Czemu więc nie zajmiesz się czymś innym?

- Nie wiem. Dałem się w to wciągnąć. Myślę, że jest to najbliższe prawdy.

- Przynajmniej szczerą odpowiedź. Francis spróbował zmienić temat rozmowy.

- Jak się nazywa drzewo, pod którym siedzimy? Ma niesamowite korzenie, nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

- To indyjskie drzewo figowe. Praktycznie każda rzecz na tej wyspie pochodzi z innej strony świata. Papugi, trzcina cukrowa, kawa, banany...

- Banany też?

- Też. Aleksander Wielki natknął się na nie po raz pierwszy w Indiach. Europejczycy przywieźli je ze sobą do Nowego Świata. Wędrowały, wędrowały, aż wreszcie zapuściły tu korzenie. Tak jak ja i my wszyscy.

- Co za poetyckie porównanie - powiedział Francis. Ponieważ wydało mu się, że widzi małą zmarszczkę pomiędzy brwiami Kate,

dodał szybko: - Nie chciałem przez to powiedzieć, że jesteś afektowana. Miałem na myśli obrazowość twojej opowieści. Może nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- Och tak, Lionel zawsze mówi, że ponosi mnie wyobraźnia.

- Co tam o mnie mówisz? - spytał Lionel, wracając do stołu.

- Cóż, zawsze powtarzasz, że brak mi realistycznego podejścia do wielu spraw, czyż nie tak?

- O Boże, tak, nie masz o nich zielonego pojęcia. Ale to stanowi wdzięk kobiecości, prawda, Francisie?

- Odpowiem ci, gdy będę już cztery lata po ślubie, tak jak ty - odpowiedział Francis, uśmiechając się zdawkowo do Lionela. Pochwyciwszy spojrzenie Marjorie, uśmiechnął się tym razem szczerze. Krępowała go atmosfera przesycona wzajemną wrogością i czując nagłą radość z powodu harmonii we własnym małżeństwie, uściśnął czule dłoń żony.

- Mała komplikacja - oznajmił Lionel. - Facet, z którym rozmawiałem, wyjeżdża jutro po południu, muszę więc spędzić z nim rano na omawianiu interesów, a planowałem zawieźć was do Eleuthery. Wiem, że chciałbyś jak najszybciej załatwić sprawy i wyjechać do domu.

- Nic nie szkodzi - odrzekł szybko Francis. - Jeśli zdobędziesz dla nas samochód i dasz nam wskazówki, sami się tam wybierzemy.

- Nie uda wam się obejrzeć całej posiadłości, nawet jeśli jakoś tam dojedziecie. Dwa tysiące akrów zarośniętych niczym dżungla.

- Ja was zawiozę - zaofiarowała się Kate.

- Ależ zmarnujesz na to cały dzień! - zaprotestowała Marjorie.

- Nie szkodzi. Podjadę po was o wpół do ósmej.

Zajechała po nich dżipem z brezentowym dachem.

- To jedyny pojazd nadający się na nasze drogi. - Spojrzała na białe sandały Marjorie. - Zniszczysz je całkiem albo skrećisz nogę. Nie masz nic innego?

- Tylko tenisówki. Ale będą głupio wyglądały do tej sukienki.

- Włóż je. Nikt cię nie będzie tam oglądał. - Uświadomiwszy sobie szorstkość swych słów, dodała szczerze: - Co nie znaczy, byś nie zasługiwała na to, by na ciebie patrzeć.

Przez pierwsze kilka kilometrów droga biegła tuż nad morzem. Rybacy wciągali sieci. Na skałach przy zatoczkach, gdzie słona woda mieszała się ze słodką, suszyło się pranie. Na wpół ubrane dzieciaki



bawiły się przed starymi walącymi się chatami. Potem droga skręciła w głąb wyspy, pnąc się w górę, zaś pola trzciny cukrowej zostały wyparte przez gaje bananowe. Przez strzępiaste listowie przeblyskiwało w dole morze, spokojne i złociste w promieniach porannego słońca. Obładowane osły z trudem dźwigały w dół swój bagaż. Kobiety ustępowały na bok z drogi, gdy mijał je samochód, ich twarze pod niesionymi na głowie koszami pełnymi owoców były kompletnie pozbawione wyrazu.

- Ach, jakie to zachwycające! Jakie oryginalne! - wykrzyknęła Marjorie.

- Tak sądzisz? - spytała sucho Kate.

Pośród wzgórz wiała się ścieżka prowadząca do wspaniałej białej rezydencji.

- To Anne - wyjaśniła Kate. - Posiadłość przyjaciół Herberta i Julii. Urządzają wyścigi konne. To raczej jego domena, ona gra w brydża. Nie mam nic przeciwko brydżowi, sama gram nieźle, ale wydaje mi się, że oprócz tego powinno się coś jeszcze w życiu robić.

Z tylnego siedzenia Francis widział tylko fragment twarzy Kate. Jej wyraz nieustannie się zmieniał. Nie było w niej odrobiny fałszu. W tej chwili nachmurzyła się nieco, jak gdyby właśnie skarcono ją lub jakby przypomniawszy sobie coś przykrego, i przez moment sprawiała wrażenie bardzo samotnej.

Następnie, jak gdyby przypominając sobie obowiązki przewodnika, powiedziała:

- Spójrzcie na te palmy, tam wysoko, gładkie pnie z wiechą na czubku. Czy nie przypominają wam kapelusza z czasów fin de siecle'u! Piór i Lily Langtry o długiej szyi? A tam są wąwozy, w których można napotkać skamieliny i skorupy z raf koralowych. Wszystko to kiedyś znajdowało się pod powierzchnią oceanu.

Drzewa mahoniowe i bambus tworzyły tunel nad wąską drogą. Na listowiu wielkich paproci, w gęstwinie, gdzie nie docierało światło, lśniły krople wilgoci. Kate wypowiedziała na głos to, co myślał w tej chwili Francis.

- To miejsce tętni życiem.

- Nie przypuszczałabym, że cokolwiek może się tędy prześlizgnąć - wstrząsnęła się Marjorie. - W każdym razie nic, co chciałabym zobaczyć. Niesamowita okolica.

- Wydeptano tu wiele ścieżek. Kwitnie kłusownictwo, ponieważ łatwo napotkać łęgowiska przepięknych papug. Mimo iż łowienie ich jest zabronione, kłusownicy grasują bezkarnie. Wywożą je z kraju w walizkach, przez co większość zdycha w drodze. To okrutne. Wściekłość mnie ogarnia, gdy o tym pomyślę - powiedziała z przejęciem Kate.

Zaczęli zjeżdżać ze szczytu krętą drogą. Minęli wioskę, garstkę chat, spłachetek ziemi, na którym rosły palmy kokosowe i banany, a potem pola na stoku wzgórza - z owcami i bydłem, pasącymi się w wysokiej trawie.

- Co to takiego? - wykrzyknęła Marjorie, rozglądając się dookoła. Wypatrzyła z odległości białe ptaki na grzbietach krów.

- To czapelki. Żywią się owadami zbieranymi ze skóry bydła.

- Hm, „coraz to nadzwyczaj i nadzwyczaj”, jakby powiedziała Alicja. Nagle Kate zatrzymała samochód.

- Jesteśmy na miejscu. Eleuthera.

U ich stóp, na rozległym płaskowyzu, stał długi biały budynek. Za nim wznosiła się wysoka góra, od frontu rozpościerało się migotliwe morze.

- Koniec świata - powiedziała cicho Kate. - Miejsce zapomniane przez Boga i ludzi.

Zwolniła hamulec i samochód potoczył się w dół. Rozwarte skrzydła zardzewiałej bramy zwisały na kamiennych słupach. Długą aleję pomiędzy palmami królewskimi, jak również wszystkie ścieżki zarosły wysokie po kolana chwasty. Wspaniały łuk nad drzwiami popękał, okiennice były zamknięte na głucho. Ruina zaatakowała wszystko niczym wyniszczająca choroba.

Stali przez chwilę, przyglądając się temu w milczeniu.

- To jest dom, w którym spędziła dzieciństwo twoja matka? - spytała wreszcie Marjorie.

Francis skinął twierdząco głową, wciąż nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Nie spodziewał się, że będzie tak głęboko wzruszony, że odczuje taki ból. Na tej werandzie siadywali niegdyś ludzie, rozmawiając i popijając kawę. Podjeżdżali aleją wśród rabat pełnych kwiatów, witani ujadaniem psa. Wszystko tu tętniło życiem.

Oczy mu nagle zwilgotniały, wysiadł szybko z samochodu i przymrużył je, patrząc w słońce, by nikt tego nie zauważył.

Weszli do środka. W ogromnym holu wszystkie drewniane powierzchnie były ozdobnie rzeźbione. Poręcze schodów tworzyły wymyślne spirale, podpierające słupy miały kształt ananasów. Ściany pokrywała boazeria i płaskorzeźby. Przez otwarte drzwi wpadały promienie słoneczne, wydobywając z cienia wirujące w ciepłym powietrzu drobinki kurzu.

- Przypomina Drummond Hall, tylko w nieco mniejszej skali - zauważyła Marjorie.

- Duże domy na wyspie mają bardzo podobną architekturę - odpowiedziała Kate. - Tutaj mieści się biblioteka. Cała w mahoniu. To ulubiony surowiec stolarzy meblowych i bardzo drogi. Po wypolerowaniu wygląda przepięknie.

- Po tej stronie nie ma półek! - zauważyła Marjorie. - Praca nie została skończona! Czy to nie dziwne?

Francis czuł, że jako mężczyzna powinien dokonać praktycznej oceny.

- Spójrzcie, dach przecieka. - Po czym dodał niepewnie: - Nie mam pojęcia, czy powinienem go naprawić przed wystawieniem domu na sprzedaż?

- Nie sądzę, by warto było wkładać w to choćby jednego centa - oznajmiła Marjorie. - Po pierwsze, nie mamy pieniędzy, prawda? Po prostu sprzedaj w takim stanie, i koniec.

- Dziwne, że nic tu nie rozkradziono i nie zdewastowano - powiedział Francis.

- Tutejsi ludzie mówią, że tu straszy - wyjaśniła Kate. - Wieśniacy wierzą w duchy i czarownice. Znacie stare baśnie afrykańskie?

- Tak - odrzekł Francis. - Ja znam.

- Niewiarygodna ignorancja w dwudziestym wieku! - skomentowała Marjorie.

- Wcale nie taka niewiarygodna, zważywszy warunki ich życia i obyczaje - odparła Kate. W jej głosie słychać było wyraźnie nutki zniecierpliwienia.

„Naprawdę brak jej opanowania - pomyślał Francis. - Jeśli to wszystko prawda, życie w tych wioskach jest nie do pozazdroszczenia. Cóż ci ludzie wiedzą?”

- Może się trochę przejdziemy? - spytała Kate. - Kiedyś można było jeździć po tych drogach samochodem, teraz jednak strasznie wszystko zarosło.

- Skąd znasz te okolice? - spytała Marjorie.

- Bywałam tu czasem z wizytą jako dziecko. Mój dziadek znał Virgila Francisa.

- Znałaś mojego pradziadka? - zdumiał się Francis.

- Raczej słabo. Ale na St. Felice właściwie wszyscy się znają. Wiesz, chyba jesteś do niego podobny. Z tego, co pamiętam, był wysoki i szczupły niczym trzcina i miał haczykowaty nos, zupełnie jak ty - powiedziała, przyglądając się Francisowi. - To dziwne, że czasem człowiek zapamiętuje takie nic nie znaczące drobiazgi.

Marjorie odkryła prasę do miażdżenia trzciny cukrowej, a raczej to, co z niej pozostało. Połamane dachówki leżały w wysokiej trawie, a pośród nich ogromny zardzewiały kocioł.

- Prażono w nim mąkę maniokową, by wyżywić niewolników - powiedziała Kate. - Spójrzcie, tutaj jest napis na kamieniu. „T.F.” - „F” to z pewnością Francis, nie wiem, co oznacza „T”... Jest i data - 1727 rok.

Marjorie poszła przodem, zaledwie prześlizgując się myślą po wszystkim, jak to było w jej zwyczaju. Francis natomiast lubił przetrwać i smakować powoli to, co zobaczył czy usłyszał. „Mąka dla niewolników.” Teraz panowała tu cisza i spokój, ale wyobraził sobie to miejsce tak, jak musiało wyglądać niegdyś - tupot nóg, gwar głosów, napięcie i ożywiony ruch w lejącym się z nieba żarze.

- Tu stał jakiś dom - zawołała Marjorie. - Widzę fundament.

- To dom nadzorcy - odkrzyknęła Kate. - Mieszkał tutaj razem z buchalterami. Dalej stały baraki dla niewolników. Na placu tej wielkości było ich około pięćdziesięciu. Tuż obok znajdował się cały blok fabryczny z kotłownią i prasą.

Nagle dostrzegli jakiś ruch w wysokiej trawie. Wynurzyło się z niej małe stadko kóz, które gapiły się przez chwilę na przybyszów, po czym wróciły do jedzenia.

- Zdziczały - zauważyła Kate.

- Na miłość boską, przecież to, co jedzą, przypomina kaktus - powiedziała Marjorie.

- Bo to jest rodzaj kaktusa. Nazywa się melokaktus i tylko kozy mogą się nim żywić.

Francis stał nieporuszony i milczący. „Pozwólcie mi to poczuć” - myślał. „Brzęczenie pszczoł. Powiew wiatru. Kozy szczypiące trawę.”

Spłynęło nań łagodne rozmarzenie i tęsknota, spokój o nieco melancholijnym zabarwieniu. Wymówił na głos:

- Smutne. Smutne.

- Bzdura. Wszystko było oparte na pracy niewolników - powiedziała żywo Marjorie.

- Nie to miałem na myśli. Chodziło mi... - Umilkł.

- Zasłużyli na to, co ich spotkało - mówiła dalej Marjorie. - Nie dość, że mieli na własność inne istoty ludzkie, to w dodatku byli kompromitująco nieudolni. Wyjałowili glebę, roztrwonili pieniądze i pozwolili, żeby wszystko popadło w ruinę. Wracamy do domu?

Usiedli na stopniach werandy. W<sup>7</sup> oddali skrzyła się srebrzyście rzeka. Na skalistym brzegu zatoki rosły drzewa, pochylone w kierunku lądu przez wiatr wiejący od oceanu.

- Tutaj właśnie Atlantyk łączy się z Morzem Karaibskim. Jeśli cierpicie na chorobę morską, nie radziłabym wam wypuszczać się w tym miejscu na żagle.

Marjorie zerwała się z krzykiem ze schodów. Mały wąż prześlizgnął się przez ogrodową ścieżkę, a właściwie to, co z niej pozostało, i skrył się w trawie.

- Nic ci nie zrobi - uspokoiła ją Kate. - Jest nieszkodliwy.

- Nie ma na tej wyspie jadowitych węży? Słyszałam o takich, których jad zabija w ciągu minuty.

- Trimeresurus atrox. Rodzaj grzechotnika bez grzechotki. Ma około półtora metra długości. Kryje się wśród listowia bananów. Człowiek umiera w parę minut po ukąszeniu. Trafiały się jeszcze tutaj, gdy byłam mała, ale teraz już ich nie ma.

- Mimo wszystko skóra mi cierpnie - powiedziała Marjorie. - Chodźmy już stąd, dobrze? Chyba że chcesz się jeszcze czegoś dowiedzieć, Francisie.

- Muszę jeszcze wiedzieć - rzekł po chwili zastanowienia - jakich argumentów mam użyć, by sprzedać tę posiadłość. Jakie są jej atuty?

Kate zamaszystym gestem wskazała na okolicę.

- Czyż nie są to główne atuty?

Spojrzał na nią. Była śmiertelnie poważna.

- Tak - powiedział cicho - piękno. Piękno tego całego wzgórze.

- Nie będziesz sprzedawał piękna - przerwała im Marjorie. - Mam w torebce notatnik i ołówek, zapiszmy najważniejsze rzeczy. Ty, Kate, znasz się na prowadzeniu plantacji. Co zrobiłabyś z tą posiadłością, gdyby należała do ciebie?

- Zaczęłabym od sadzenia drzew - odpowiedziała bez zastanowienia Kate. - Wyżej stoki wzgórza są kompletnie ogołoczone. Rzeczywiście, jest to skutek niegospodarności na całej wyspie. Stąd bierze się erozja gleby, susze i powodzie. Prawdę powiedziawszy, próbowaliśmy podszkolić tutejszych drobnych farmerów...

- Założę się, że bez większych sukcesów - wtrąciła Marjorie.

- Nauka wymaga czasu - odpowiedziała Kate.

Francis czuł się jak pomiędzy młotem a kowadłem. Z niewiadomych przyczyn obie kobiety nie pałały do siebie sympatią. Nie miał pojęcia, co na to poradzić.

- Poza tym założyłabym hodowlę bananów. Z trzciny cukrowej zrezygnowałabym niemal całkowicie, ponieważ trzeba by zakupić zbyt dużo nowych urządzeń. Zróżnicowałabym gospodarkę - obok owoców wprowadziłabym hodowlę krów owiec. Nie tylko na eksport. Tutaj, na miejscu, jest ogromne zapotrzebowanie na żywność. Czy wiecie, że ta żyzna wyspa nie jest w stanie się wykarmić? To hańba! Dzieci, jeśli w ogóle piją mleko, to z puszki, importowane. Ludzie są straszliwie niedożywieni. Hańba! - Kate uderzyła pięścią w otwartą dłoń.

Marjorie obserwowała ją chłodno.

- Mów dalej. Wszystko zapisuję.

- Uprawiałabym również kakaowce. Po tej stronie wyspy opady deszczu są obfitsze, co odgrywa ważną rolę. Wykorzystałabym bananowce jako tymczasowe zacielenie dla małych sadzonek drzew kakaowych. I palmy kokosowe. Mamy w mieście urządzenie do przemiału kopry. Kobiety wyrabiają olej spożywczy z mleczka kokosowego, a odtłuszczona kora jest wykorzystywana jako pasza dla bydła. Poza tym są jeszcze muszkatołowce, z nasion których możesz produkować gałkę muszkatołową na eksport. Spójrz, tam rośnie ich kilka. Czy podrzuciłam wam parę pomysłów?

Ołówek Marjorie sunął szybko po papierze.

- Tak, dzięki. Choć wydaje mi się, że ktoś, kto brałby w ogóle pod uwagę kupno takiej posiadłości, musiałby mieć jakieś plany co do

jej zagospodarowania, prawda? Więc te zapiski są z pewnością bezużyteczne.

- Nigdy nie można przewidzieć. Francis wstał.

- Jesteś bardzo przekonująca, Kate. Powinienem zlecić ci skaptowanie ewentualnego nabywcy. A propos, czy nie przychodzi ci do głowy, gdzie mógłbym go znaleźć?

- Niestety, nie będzie to łatwe. Spróbuj może w firmie „Atterbury and Shaw” w Coventown. Zajmują się sprzedażą nieruchomości. Idziemy?

Francis stał przez chwilę obok samochodu z ręką na klamce. Ogromne cumulusy spowiły szczyt Morne Bleue, rzucając na dom perłowoszary cień. Kate przyjrzała mu się ciekawie.

- Robi wrażenie, co?

- To poemat, jak powiedziałaś.

Uśmiechnęła się bez słów, demonstrując szparkę pomiędzy przednimi zębami. „Nie przypuszczałem, że taki drobiazg może być tak uroczy” - pomyślał.

- Spodobała ci się - stwierdziła Marjorie, gdy znaleźli się już w swym pokoju w Drummond Hall.

- Kto mi się spodobał?

- Nie udawaj głupiego - powiedziała łagodnie. - Oczywiście, Kate, a któż by inny.

- Rzeczywiście jest bardzo miła. Zostawiła swoje sprawy, by nam pomóc.

- Nie o to mi chodzi. Ona naprawdę ci się podoba. Pociąga cię. Pragniesz jej.

- Chyba na głowę upadłaś - odparł czule.

- Ona jest w twoim typie. Pełna sił witalnych, zmysłowa - utrzymywała nadal Marjorie, rozpinając stanik. Opalenizna odcinała się wyraźnie od jej białych piersi.

- Zmysłowa? Nie jest nawet ładna. No, niezbyt ładna.

- Jest starsza od ciebie.

- Załedwie o pół roku!

- Nie są szczęśliwym małżeństwem, czyżbyś tego nie widział?

- Wiem. Przykro mi z tego powodu.

- Tak, ona jest w twoim typie. Świeże powietrze. Zwierzęta. Sprawy ducha również. Poza tym rozbierała cię oczyma.

- Co takiego?! - wykrzyknął.

- Tak, wtedy, gdy mówiła, że jesteś podobny do swego dziadka.
- Nie pamiętam.
- Owszem, pamiętasz! Powiedziała, że masz taki sam nos.
- Pradziadka, a nie dziadka.
- A widzisz, że pamiętasz!
- Przestań, Marjorie!
- To prawda, pożądasz jej.

Włożyła świeży stanik, dwie koronkowe miseczki na czarnych wstążkach. - Dziewczyno - powiedział - zaczekaj tylko, aż się skończy ta cholerna kolacja, a pokażę ci, co to znaczy pożądać kogoś.

W lustrze widać było odbicie gibkiej kobiety o ruchliwych ustach i inteligentnych oczach. Mężczyzna, stojący obok niej, choć był dokładnie w jej wieku, wyglądał na chłopca, który bardzo pragnie się jej przypodobać.

- Cóż, skoro już widziałeś upadek Eleuthery, pozwól teraz oprowadzić się po świetnie prosperującej posiadłości - zaproponował Lionel w tydzień później. - Georgina's Fancy zajmuje w tej chwili dwukrotnie większy obszar, niż w chwili gdy ją przejąłem.

Ciągnik ładował trzcinę cukrową na furmanki. Kilku czarnych chłopców, w wieku najwyżej ośmiu, dziewięciu lat, podmiatało spadające resztki.

- Czy nie powinni być teraz w szkole? - spytał Francis.

- W czasie zbiorów opuszczają lekcje, by tutaj pomagać. Potrzebują pieniędzy. - Francis nic się na to nie odezwał i Lionel dodał: - Kłopot w tym, że ci ludzie mają zbyt dużo dzieci. Brakuje im pieniędzy na ich utrzymanie. Mamy teraz centralną cukrownię w mieście. To ogromna zmiana od czasów, gdy każdy plantator używał własnej prasy. Gdyby wyspa była większa i istniały na niej linie kolejowe, znacznie przyspieszyłoby to dowóz surowca. Nie można zostawiać trzciny na słońcu zbyt długo, ponieważ sok fermentuje i nie nadaje się do niczego.

W najodleglejszym krańcu posiadłości leżała wioska podobna do wszystkich innych, które Francis już widział. Pozostało mu wrażenie butwiejącego drewna, brudu, biegających wszędzie kur oraz kóz.

- Mam pierwszorzędnego zarządcę, a jednak to zupełnie co innego, gdy człowiek sam czuwa nad wszystkim. Mógłbym sobie kupić dom w mieście albo nad morzem i przyjeżdżać tu co kilka dni,



ale wolę sam trzymać rękę na pulsie. Nauczyłem się tego od ojca. To dlatego my przetrwaliśmy, podczas gdy tyłu innych poszło na dno.

„Zupełnie go nie widzę jako męża Kate” - pomyślał Francis, zdumiony, że taka nieproszona myśl mogła mu przyjść do głowy, i jednocześnie słuchał z autentycznym zainteresowaniem tego, co mówił Lionel, a co było dla niego zupełnie nowe i tak różne od znanych mu rzeczy.

Ruszyli w dalszą drogę.

- Dlatego należy mieć przynajmniej dwie uprawy eksportowe. Najlepsze są banany. Niewiele przy nich roboty, trzeba je tylko przycinać. Oczywiście nie ma róży bez kolców! Jest takie cholerne małe zwierzątko, podobne do szczura, które objada korzenie. Poza tym atakuje je rodzaj grzyba, ale przynajmniej raz rząd zadziałał błyskawicznie i udało się go zwalczyć za pomocą wapnowania.

Minęli pola trzciny cukrowej, kierując się ku Great House. Dwa bułane konie rżały cicho za ogrodzeniem.

- Ulubieńcy Kate. Jest doświadczoną amazonką, ale te dwa traktuje jak pieski salonowe. Wyływa to stąd, że nie mamy dzieci.

Francis milczał.

- Doktor powiedział, że nie będzie ich już mogła mieć. Po ostatnim poronieniu wycięto jej jajniki.

- Bardzo mi przykro - powiedział Francis.

- Tak. No, cóż, wracając do bananów, wszystko wygląda na łatwiejsze niż jest w rzeczywistości, możesz mi wierzyć. Jesteś zdany na łaskę i niełaskę światowych rynków, kryzysów, wojen. Oczywiście, w czasie wojny eksport odpada. Teraz natomiast bywa, że statek jest przeładowany i nie przyjmuje twojego ładunku. Możesz najwyżej nakarmić tylko kozy. Zdarza się też, że inspektorzy odrzucają twój towar, nawet jeśli wszystko jest w porządku, po prostu dlatego, że mają go za dużo, a chcą utrzymać wysoką cenę. Tak, tak, czasami jest naprawdę ciężko. Teraz cała ta gadanina o niepodległości. Można dostać kręcka. To przecież jest mój dom i wszystko to działa mi na nerwy. Nie wyjadę stąd. Przynajmniej nie sądzę, bym kiedykolwiek wyjechał.

- Będiesz zarządzał Drummond Hall po wyjeździe ojca?

- Tak, pomoże mi w tym Kate. Będzie prowadziła księgi, objeżdżała majątek konno i doglądała wszystkiego. Druga para oczu. - Weszli na schody. - Odwiozę cię z powrotem do ojca. Chętnie

zaprosiłbym cię, byś został na lunchu, ale Kate jest w mieście. Mam się z nią spotkać o wpół do pierwszej.

Francis poczuł nagle ukłucie rozczarowania. Śmieszne!

- Ależ oczywiście. Poświęciliście nam tyle cennego czasu. To było doprawdy ogromnie miłe ze strony Kate, że zabrała nas do Eleuthery.

- Zrobiła to z przyjemnością. Uwielbia takie eskapady i oprowadzanie gości. To dobra dziewczyna. Wiesz - powiedział z zakłopotaniem Lionel - tamtej nocy podczas przyjęcia weselnego mogłeś sobie pomyśleć, że jestem dla niej zbyt szorstki... Nie, nie musisz potwierdzać ani zaprzeczać. Jest nam ze sobą całkiem dobrze, problem polega wyłącznie na tym, że Kate ma zbyt miękkie serce, co ją kiedyś wpędzi w kłopoty. Takie są fakty i doprowadza mnie to do wściekłości.

Francis nie chciał słuchać o sprawach osobistych Kate, powtórzył więc z zakłopotaniem:

- Byliście dla nas naprawdę ogromnie mili.

- Jeśli będziemy mogli jeszcze w czymś pomóc, po prostu powiedz. Gdybyś miał jakikolwiek kłopot, zwróć się do nas.

- Nie mamy żadnych kłopotów, ale jesteście wszyscy tak gościnni, że Marjorie się obawia, iż nie przywiozła wystarczająco dużo strojów.

- To żaden problem. Wybierzcie się do Da Cunha. Mają tam suknie z Francji i wszystko, co może interesować kobiety. Marjorie mogłaby się u nich obkupić na dwa lata.

- Nie sądzę, byśmy zabawili tu tak długo.

- Będziecie dłużej, niż planowaliście. Chyba że po prostu wyjedziecie, zostawiając wszystko w rękach Atterbury'ego i Shawa.

- Może będę zmuszony tak postąpić, ale bardzo chciałbym coś już mieć przed wyjazdem. Chociaż graniczyłoby to z cudem, mam jednak nadzieję, że coś z tego wyjdzie. Trafia się nam Portorykańczyk, który spekuluje ziemią czy coś w tym rodzaju. Zainteresował się pewnie dlatego, że maksymalnie obniżyliśmy cenę.

- To jedyny sposób - pokiwał głową Lionel.

Atterbury odprowadził Francis'a do drzwi.

- Mój człowiek spodziewa się, że wkrótce dostanie wiadomość od swoich prawników w Puerto Rico. Myślę, że ubiliśmy interes, panie Luther.

Francis odpukał w nie malowane drewno i podziękował pośrednikowi. Zaparkował pożyczony samochód na tyłach budynku, ale z jakiegoś powodu nie chciało mu się jeszcze wracać do Drummond Hall, jego lunchów, tenisa, ruszył więc w kierunku placu, mijając fasadę Banku Barclaysa.

Był to dzień targowy i miasto pulsowało autentycznym życiem. Odróżniał już „autentyczne” życie wyspy od cukierkowych przyjemności w domach jego krewnych. Autobusy przywoziły wciąż wieśniaków, bosa kobiety w wyplatanych ręcznie kapeluszach i bawełnianych różnokolorowych sukniach. Dzieci w najróżniejszym wieku kręciły się pomiędzy stosami bananów, owoców drzewa chlebowego, ryb i orzechów kokosowych. Żółte psy - wszystkie łączyło tak duże podobieństwo, że choć były kundlami, stworzyły niemal odrębną rasę - polowały na jedzenie.

Francis stał, przyglądając się temu wszystkiemu, po czym skręcił za róg. Zatrzymał się przed sierocińcem, przysłuchując się próbie chóru dziecięcego. Słyszał go poprzedniej niedzieli w katedrze. Naprzeciwko sierocińca znajdował się cmentarz. Francis przeszedł na drugą stronę ulicy i oparłszy się o balustradę, pomyślał, że to całkiem niezłe miejsce na wieczny spoczynek! Na skraju cmentarza rosły palmy daktylowe i karłowate. Groby były starannie ozdobione muszlami. W rześkim, pachnącym powietrzu poranka rozbrzmiewały czyste dziecięce głosy, śpiewające Now Thank We All Our God. Odczuwając błogi spokój, zaczekał do końca hymnu.

Zaznajomiony już z planem miasta, skręcił w podcienie. Pochylone domy o wąskich oknach i balustradach z kutego żelaza mogłyby stać na Place des Vosges w Paryżu, gdyby nie drzewa figowe, ocieniające podwórka. Przystanął na kolejnym małym placyku przed płytą pamiątkową z brązu, wkomponowaną w kamienną powierzchnię. Nie zatarł się jeszcze na niej napis: „W tym miejscu 11 lipca 1802 roku został stracony przez powieszenie Samuel Vernon, były członek Rady Jego Królewskiej Mości, za zamordowanie swego murzyńskiego niewolnika o imieniu Platon.”

- Straszne, prawda?

Kate Tarbox uśmiechała się do niego spod dużego słomkowego kapelusza.

- Ten posunął się już za daleko. Bawiło go przyglądanie się katowaniu ludzi na śmierć. Nawet inni parowie mieli go dosyć. Osądzili go więc i powiesili.

Francis pokręcił głową.

- Co za skomplikowane społeczeństwo!

- O tak! W dalszym ciągu takie pozostało. Co porabiasz w mieście?

- Tak się włóczę bez celu. A ty?

- Mam tu małe biuro. Poradnia rodzinna. Choć zdaję sobie sprawę z tego, że przypomina to czerpanie wody z oceanu łyżką do zupy. Czemu unosisz brwi?

- Unoszę brwi? Naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

Dotarli do punktu rozmowy, w którym albo mówi się kilka miłych słów, by zakończyć spotkanie, albo szuka się pretekstu, by je przedłużyć.

- Pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, mógłbym wybrać kilka prezentów dla domowników. Może poleciałabyś mi jakiś sklep?

- Chyba Da Cunha. Nie wiem zresztą, co chciałabyś kupić.

- Powiedzmy, że różne drobiazgi. Jakies szpilki, korale czy coś w tym rodzaju.

- Wobec tego idziemy do Da Cunha.

Przeszli z powrotem przez plac targowy. Francis czuł się przy Kate strasznie wysoki. Przywykł do chodzenia obok Marjorie, która była niemal jego wzrostu. Uważano ich za przystojną parę.

Francis odczuwał nieprzepartą potrzebę mówienia czegokolwiek.

- Nie znam połowy tych jarzyn i owoców. Tu widzę buraki i kapustę, ale co to jest, u licha?

- Maniok. A tam, obok melonów, leżą granaty.

- Granaty? Jak w Biblii?

- Tak. Tu znów mamy owoce powidlnika indyjskiego, a tam flaszowca peruwiańskiego. Te przypominają w smaku banany, ale podajemy je na gorąco. Tu zaś masz owoce drzewa chlebowego.

- Jak w Buncie na Bounty?

- Właśnie. Kapitan Bligh przywiózł je z Tahiti. Tania żywność dla niewolników. Można praktycznie żyć tylko nimi. No, jesteśmy na miejscu. Oto sklep Da Cunha.

Wyszła im na spotkanie dziewczyna o egzotycznej urodzie, z włosami sięgającymi do pasa.

- Desiree - powiedziała Kate - to mój przyjaciel, a właściwie mój siostrzeniec.

Stałam się jego ciotką przez małżeństwo z Lionelem, czy to nie zabawne? Chciałby kupić prezenty dla rodziny.

Grube mury o łukowych sklepieniach pochodziły z osiemnastego wieku Powoli obracające się skrzydła podsufitowych wentylatorów - z dziewiętnastego. Trunki i kryształy, porcelana i srebro rzucały zewsząd błyski W oszklonych gablotkach znajdowała się okazała kolekcja brylantowych zegarków.

Nie zastanawiał się długo. Dokonawszy błyskawicznie zakupów - lalka dla Margaret (która miała obecnie dwadzieścia cztery lata), trzy srebrne szpilki dla matki i dwóch pozostałych sióstr, cygara dla ojca - wyszli ze sklepu.

- Czy to nie piękna dziewczyna? - spytała Kate. - Zawsze czuję się przy niej jak Kopciuszek. Afrykańska księżniczka.

- Rzeczywiście piękna, ale ty nie musisz przy nikim czuć się jak Kopciuszek - odpowiedział szarmancko.

- To żona nauczyciela, a jej ojciec jest przywódcą związkowym, nazywa się Clarence Porter. To mój przyjaciel.

- Twój i Lionela? - spytał ostrożnie Francis. Kate roześmiała się niewesoło.

- O nie, z pewnością nie Lionela.

- Co powiedziałałyś na lunch? - spytał.

- Z największą przyjemnością.

- Gdzie więc pójdziemy?

- Poza podmiejskim klubem, mamy do wyboru jedynie restaurację w hotelu „Cade” po drugiej stronie portu.

Z pełnego słońca weszli do mahoniowego półmroku. Kilku mężczyzn siedziało przy stolikach pod ponurymi portretami. Kate i Francis wyszli do ogródka i zajęli stolik w cieniu.

Kate zdjęła kapelusz. Jasne włosy rozsypały się puszystą falą wokół piegowatych policzków, muskając jej brodę. Nagle przypomniały mu się słowa Marjorie, wypowiedziane w sypialni: „Och, tak, rozbierała cię oczyma.” Zaczerwienił się z zakłopotania na tę myśl.

Oczy Kate spoczywały jednak w tej chwili na jadłospisie.

- Ryba jest tu zawsze bardzo dobra. Przeważnie z połowów dalekomorskich. Abrecca, ballahou, łosoś...

- Zamówię łososia. To jedyna znana mi ryba.

Usadowili się znów wygodnie. Kate oparła dłoń na stole i Francis zauważył nagle coś, co przedtem uszło jego uwagi - pierścionek z dużym prostokątnym szmaragdem na jej palcu. Był w bardzo dobrym guście - co Francis, szczególnie wrażliwy na takie sprawy z powodu zamiłowania Richarda do przesadnych ozdób, naprawdę potrafił docenić - choć dziwnie nie pasował do tej właśnie kobiety, jej prostych sukienek i sandałków, jej prostego stylu. Byłby odpowiedni raczej dla Marjorie, umiałaby go nosić z szykiem. Niestety, chyba nigdy nie będzie go stać na coś takiego.

- Naprawdę pozbyłeś się Eleuthery? Szybciej niż się spodziewaliśmy.

- Tak sądzę. Oczywiście, prawnicy muszą jeszcze przekopać się przez całą masę dokumentów.

- A więc wyjeżdżasz.

- Powinienem już wracać do domu, ale jeśli jest to kwestia najbliższych paru tygodni, postąpię mądrzej zostając i podpisując wszystko na miejscu.

- Wrócisz tu.

- W najbliższej przyszłości nie zanosi się na to. Czemu tak uważasz? Uśmiechnęła się.

- Przywiodą cię tu fale przyływu. Także wiatr i chmury spowijające Morne Bleue.

- Chmury spowijające Morne Bleue! Czy nie mówiłem, że jesteś poetką?

- Mówiąc serio, jest tyle rzeczy, których tu nie widziałeś. Boże Narodzenie i noc noworoczna, którą wy nazywacie sylwestrem. Czy lubisz calypso i nasze regionalne zespoły, grające na bębnach?

Skinał głową.

- Powinieneś ich posłuchać w czasie karnawału, a nie tego, co grają dla turystów w hotelach na dużych wyspach. Wszyscy chodzą w maskach. Kostiumy są wspaniałe, a śpiewacy układają na poczekaniu pieśni. Na ulicach panuje nieopisany tłok. To cyrk, maskarada. Trzeba to zobaczyć na własne oczy, by uwierzyć. Wszystko kończy się z nadejściem Popielca.

- Cóż, być może kiedyś to zobaczę.

- Jakie to dziwne, że twoja matka, która spędziła tutaj dzieciństwo, nigdy ci o tym nie opowiadała. Może - zastanowiła się na

głos - miała jakieś przykre wspomnienia? Nie była w najlepszych stosunkach z trudną w pożyciu matką...

- Już to kiedyś słyszałem - przerwał jej Francis. - Słyszałem dziesiątki razy: „Jakie to dziwne, że twoja matka nigdy nie wspomina o St. Felice!”

- Przepraszam - powiedziała ze zdziwieniem Kate. - Naprawdę nie chciałam być wścibska.

Zrobiło mu się wstyd z powodu własnej drażliwości.

- Nie, to ja przepraszam...

Pokręciła głową.

- Wiem, że dotykam czasem spraw zbyt osobistych. To okropny nietakt. Powinnam sobie odgryźć język za to, co powiedziałam o twojej babce.

- Nie rób tego. Ja też nie darzyłem jej specjalnie ciepłymi uczuciami, gdy udało nam się kilka razy w życiu przebywać razem. Podejrzewam, że niełatwo jest być jej synową.

- Zaledwie mnie toleruje. Zawdzięczam to moim wspaniałym przodkom. - Zachichotała.

- Opowiedz mi.

- Pochodzę z rodziny plantatorów, która straciła wszystko, gdy zniesiono niewolnictwo. Kiedy się urodziłam, nie mieliśmy już nic. Mój ojciec otrzymał staranne wykształcenie, oczywiście w Anglii. Był pastorem, bliskim przyjacielem ojca Bakera, który po śmierci rodziców roztaczał nade mną opiekę. To cudowny człowiek, nie z tych duchownych, którzy mają usta pełne frazesów. Wierzy w dobre uczynki.

Cisnęło mu się na usta pytanie: „Jak to się stało, że wyszłaś za Lionela?”, lecz, oczywiście, ugryzł się w język.

Kate, jak gdyby czytając w jego myślach, powiedziała nagle:

- Lionel chciał poślubić dziewczynę z domieszką krwi murzyńskiej. Wciąż ją kocha. Naturalnie, było to niemożliwe, ożenił się więc ze mną.

- Rozumiem!

- Ona sama nigdy nie przyznałaby się do tego, wstydząc się takiej koligacji.

- Skąd więc ludzie o tym wiedzą?

- Wszyscy tu wiedzą nawzajem wszystko o swoich przodkach. Jeśli się cofnąć daleko w czasie, to właściwie wszyscy są ze sobą

spokrewnieni. Na przykład, moje związki z rodziną Da Cunha wywodzą się sprzed około sześciu pokoleń. Jeden Żyd, a potem sami Szkoci i Francuzi.

Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale Kate rzekła tylko:

- Gdy byłam młoda, interesowałam się dość głęboko genealogią. Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Kiedy byłaś młoda! - przedrzeźnił ją Francis.

- Mam trzydzieści lat. Mówiłam ci.

- Ja mam tyle samo.

- Wyglądasz poważniej. Pewnie zawsze tak wyglądałeś. Czujesz się odpowiedzialny za sprawy, za ludzi.

- Rzeczywiście tak jest - odrzekł Francis z zadumą.

W niewielkim ogródku panował w tej chwili absolutny bezruch. Było południe.

Gdy siadali do stołu, dookoła uwijało się mnóstwo różnych ptaszków, teraz jednak skryły się gdzieś i ciszę zakłócał jedynie plusk wody kapiącej z ust kamiennego cherubina, płaskorzeźby wkomponowanej w mur ogrodowy.

„...Ale, naturalnie, było to niemożliwe, ożenił się więc ze mną.” Jej słowa wciąż dźwięczały mu w głowie.

- Czy całkiem cię zanudziłam moją gadaniną? Francis drgnął.

- Zanudziłaś? Ależ skąd, mów dalej, bardzo proszę.

- Lionel zarzuca mi, że jestem chodzącą kopalnią beużytecznych informacji.

- Nie są beużyteczne dla mnie - powiedział z wdzięcznością. - Powiedz mi, co to za drzewa po drugiej stronie muru?

- Hura crepitans. Ich owoce strzelają z trzaskiem nasionami na dużą odległość.

- A teraz następne pytanie: kim jest właściwie Kreol?

- To ktoś urodzony tutaj, ktoś, kto jest czystym Europejczykiem, białym. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

- Mnóstwo rzeczy, ale na razie delektuję się rybą.

„...Było to niemożliwe, ożenił się więc ze mną.”

- Przypuszczam, że podróżujesz od czasu do czasu?

- Pojechaliśmy za granicę w podróż poślubną. Lionel podchodzi jednak bardzo serio do swojej pracy, nie wypuszczamy się więc często poza dom.



- Czy nie odczuwasz jakiejś nieokreślonej tęsknoty, nie czujesz się jak zamknięta w klatce na tej wyspie?

- Właściwie nie. Mieszkańcy wielkich miast lubią dużo mówić o wszystkim, co tam mają - o sześciu orkiestrach, o czterech zespołach baletowych, o dwunastu teatrach - ale kiedy się ich przyciśnie, okazuje się, że większość z nich prawie z tych dobrodziejstw nie korzysta. Mam kolekcję płyt - to mój główny bzik - i dobry fortepian. Problem stanowią książki. Nasza księgarnia jest niewielka i książki trzeba zamawiać. Zajmuje to nieprawdopodobnie dużo czasu.

- Po powrocie do domu bardzo chętnie przyślę ci, co zechcesz. Albo - poprawił się - zrobi to Marjorie, jeśli dostarczysz jej listę zamówień.

- To naprawdę miło z twojej strony.

- Powiedz mi, co robisz poza czytaniem, graniem na fortepianie i jazdą konną, aha, jeszcze... poradnią rodzinną, tak?

- Wyśmiewasz się ze mnie?

- Dlaczego miałbym się wyśmiewać?

- Niektórzy to robią. Uważają mnie za ekscentryczkę. Osobę niepraktyczną. - Oparła brodę na złożonych dłoniach. Paznokcie miała nie pomalowane, tylko szmaragd rzucał błyski. - Ja natomiast uważam, że jestem bardzo praktyczna. Widziałeś sam, w jakich warunkach żyją tutaj ludzie. Pomijając względy moralne, nie jest zbyt mądrą rzeczą pozwalać, by tak było dalej, ponieważ nadejdzie dzień, gdy przestaną godzić się na te warunki. Lionel i jemu podobni pragną, by wszystko pozostało w obecnym kształcie, ale nawet dziecko widzi, że to musi się zmienić.

- Co proponujesz?

- Przeprowadzenie zmian spokojnie i sprawiedliwie. Potrzebny jest nam system kształcenia. Przemysł lekki i miejsca pracy. Rozwiązanie kwestii mieszkaniowej. Przyzwoity szpital. Próbowałam przekonać Lionela, by stanął na czele takiej kampanii. Ma dość pieniędzy, udziały w hotelach na Jamajce i Barbados. Mógłby się tym zająć.

- Ale się nie zajmie?

- Składa wymuszone obietnice i dalej nic nie robi. Podobnie jak rząd.

- A więc czujesz się zawiedziona?

- Tak. Dlatego zaangażowałam się w opiekę społeczną nad rodziną. Przynajmniej wiem, że coś robię. Uczę ludzi jak karmić dzieci. Zajmuję się dziećmi trudnymi. Mówi się o nich, że są „złe”, ale one po prostu nie mają ojców, którzy pokierowałyby nimi.

Jej oczy zmieniały barwę zależnie od oświetlenia. Gdy słońce przedzierało się przez listowie drzew, kolor fiołkowy przechodził w brąz, to znów stawał się ciemnoniebieski.

- Uczymy ich również - powiedziała, patrząc Francisowi w oczy - co robić, by nie mieć więcej dzieci.

- Kontrola urodzin?

- Tak. Nie pochwalasz tego?

- Jeśli ludzie nie chcą mieć dzieci, to nie powinni ich mieć. Przede wszystkim dla dobra samych dzieci.

- Niektórzy są oburzeni i to zarówno czarni, jak biali. Mówią, że robię to, ponieważ sama nie mogę mieć dzieci.

- To nie tylko złośliwość, lecz głupota.

- To naprawdę okropne pragnąć dziecka i nie móc mieć - powiedziała cicho - ale jeszcze gorsze mieć sześciorko i nie móc ich ubrać i wyżywić. - Wstała od stołu. - Skończyłeś? Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, ty z pewnością również.

Podeszli razem do samochodu Francisca.

- Wiesz - powiedział, ujmując za kłamkę - że przez cały czas mam takie uczucie, jak gdybym już tu kiedyś był.

- To się często zdarza.

- Zawsze odznaczałem się dużą wrażliwością na fluidy wydzielane przez różne miejsca: pokoje, domy, ulice. Nie miało to związku z ich urodą czy znaczeniem. Odwiedzałem bardzo piękne miejsca, które odbierałem jako zimne i wiedziałem, że czułbym się tam fatalnie. A zdarzało się, że szedłem ulicą w zwykłym małym miasteczku i myślałem, że tu z pewnością byłbym szczęśliwy.

- Czy to właśnie odczuwasz tutaj? Że byłbyś szczęśliwy?

- Tak. Zupełny absurd, zważywszy, że nic o tej wyspie nie wiem.

- Ten nasz szczególny świat cechuje ignorancja i okrucieństwo. Trzeba go kochać, by się z tym pogodzić.

- Nic o tym nie wspomniałaś, mówiąc o karnawale i reszcie atrakcji.

- Każdy medal ma dwie strony - odparła. „Tak, gadam głupstwa” - pomyślał.

- Nie sędzę, by Marjorie mogła dobrze się tu czuć - powiedziała Kate. - Pasuje mi bardziej do wielkiego miasta.

- Oczywiście - oprzytomniał Francis. - Tak tylko puściłem wodze fantazji. Dziękuję, że poszłaś ze mną na lunch.

Nie powiedział: „Pozdrów ode mnie Lionela”. Pomachała mu ręką na pożegnanie. „Było to niemożliwe, ożenił się więc ze mną.” Dałby wiele, by się dowiedzieć czegoś więcej.

Minęły dwa tygodnie w oczekiwaniu na wiadomość od ewentualnego nabywcy. Marjorie grała w tenisa i chodziła pływać. Francis, jakkolwiek wcale nie było to konieczne, wrócił do Eleuthery. Usiadł w samotności na stopniach werandy, obserwując zielone jaszczurki, smyrgające po kolumnach. Błądził wzrokiem po polach i wzgórzach. „Banany posadziłabym na wzgórzu” - dźwięczały mu w uszach słowa Kate Tarbox. Sady owocowe. Bydło na nadrzecznych łąkach.

„Stworzyłem własne królestwo” - napisał w swym dzienniku pierwszy Francois, który tak zafascynował Francis, gdy był jeszcze dzieckiem - „z dala od zgiełkliwych miast. Rzeki są w nim czyste, a powietrze zdrowe.”

„Moje własne królestwo!” Wieśniak z dziada pradziada stał się piratem, potem plantatorem, a poza tym miał w sobie żyłkę poetycką.

Oparł głowę o balustradę. Daj sobie spokój z poezją, Francisie. Z poezji nikt się nie wyżywi. Jednakże na myśl o powrocie do miasta, biura, telefonów i rejestrów, liczenia pieniędzy, poczuł znów dawny lęk. Wszystko świetnie, jeśli jest się do tego stworzonym, on natomiast bez wątpienia nie był.

Do czego więc był stworzony?

„Nie mam do czego wracać” - pomyślał. - „Powiniennem zacząć wszystko od nowa. Czemu nie tutaj? Czemu nie?”

Wyprostował się, czując, jak podniecenie kipi w nim niczym szampan. Zająć się czymś! Stworzyć coś! Stojąc przed tą nie wykorzystaną ziemią. Francis czuł się jak malarz kontemplujący czyste płótno lub rzeźbiarz przed kamienną bryłą. Z natury skryty, wstydziłby się wyrazić owe uczucia słowami. Gdyby wypowiedział je na głos, wydałyby się dziecinne, niejasne, bezwartościowe, choć czuł, że wcale takie nie były. Uporządkował więc argumenty za i przeciw. Z pewnością nie może to być aż tak trudne! Jest w stanie nauczyć się wszystkiego, podobnie jak Herbert czy Lionel, doprowadzić plantację

do stanu, w którym znacznie przynosić zyski i pomóc rodzicom, gdyby tego potrzebowali. Zrobi więcej - zapewni lepsze życie ludziom uprawiającym ziemię, wybuduje szpital, pokaże, ile może działać inteligencja w połączeniu z dobrą wolą...

Rozmyślał nad tą sprawą przez całe dwa tygodnie.

- Nie mówisz serio - powiedziała Marjorie. - Nie możesz mówić serio! Kładli się właśnie spać. Marjorie zatonała w miękkich poduszkach.

- Owszem, mówię serio. Z początku wydawało mi się, że to szalony pomysł, ale rozważałem wszystkie za i przeciw przez wiele dni. Dowiadywałem się w banku o możliwość zastawu hipotecznego, by mieć gotówkę na rozkręcenie całego przedsięwzięcia. Uważają, że przy wytężonej pracy poradzę sobie. Skontaktowali mnie ze świetnym administratorem, facetem o nazwisku Osborne, który zarządzał wielkim majątkiem na Jamajce.

Czoło Marjorie pokryło się kropelkami potu.

- Ku mojemu zdziwieniu Julia zgodziła się podpisać weksel, tak że rodzice będą zabezpieczeni, póki ojciec nie stanie na nogi. To świadczy o tym, jak mało wiemy o ludziach.

- Faktycznie - powiedziała ostrym tonem.

- Pozwól mi spróbować, Marjorie. Proszę. Potrafię temu sprostać. Mam głębokie przeświadczenie, że potrafię.

- To Kate cię do tego namówiła! Cała ta gadanina o owocach i krowach! Skoro to takie łatwe, czemu nie udało się to komuś innemu?

- Nie mówiłem, że łatwe. Powiedziałem - możliwe. A Kate nie ma z tym nic wspólnego.

Nie wspomniał Marjorie o wspólnym lunchu w mieście w obawie, by nie przywiązała zbyt dużego znaczenia do tego przypadkowego spotkania. Mogłaby podejrzewać, że wcale nie było dziełem przypadku.

Wybuchnęła płaczem. Zrobiło mu się jej ogromnie żal, objął ją i przytulił do siebie.

- Wiesz - powiedział łagodnie - że nigdy nie lubiłem tego, co robię. Teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Chyba sam sobie tego nie uświadamiałem.

- To śmieszne! Wiesz, ilu młodych ludzi oddałoby wszystko za tę posadę?

- Ale oni nie są mną, a ja nie jestem nimi. - Spojrzał w okno. Zza szyby dobiegał szum liści. - Czułem się jak w więzieniu, wprawdzie ze wszelkimi wygodami i dobrym jedzeniem, ale jednak w więzieniu.

- To śmieszne! - powtórzyła Marjorie.

Znów zalała się łzami. Francis kołysał ją czule w ramionach.

- Zapominasz, że już nie mam pracy.

- Znajdziesz inną. Nie powiesz mi, że to niemożliwe.

- Marjorie, kochanie, znalazłem coś, co potrafię robić dobrze, przynajmniej tak mi się zdaje. Możesz to nazwać emocjonalną decyzją, ale jeśli się dobrze zastanowić, czy ważne decyzje nie są właśnie takie? Tak ważne, jak, na przykład, małżeństwo z tobą? Posłuchaj, Marjorie, posłuchaj, to wyzwanie, przygoda. Jesteśmy jeszcze dość młodzi, by podjąć próbę. Jeśli nam się nie spodoba, zawsze możemy sprzedać posiadłość. Co za różnica, czy sprzedamy ją teraz, czy za rok?

Spór trwał prawie przez całą noc i kolejne dwa dni. W końcu, po wielu obietnicach, że to tylko eksperyment bez żadnych zobowiązań, Marjorie poddała się z bólem serca.

## Rozdział 9

Surowe drewno wydzielało w rozgrzanym powietrzu mocny, przyjemny zapach. Upał panujący w składzie drewna był wprost nie do wytrzymania.

- Chyba za chwilę lunie - powiedział Francis.

Towarzyszący mu mężczyzna spojrział w górę. Chmury mknęły nad wzburzoną zatoką, ciemnoszare, ze srebrzystą strzępiastą otoczką.

- Październik. Zanim rok dobiegnie końca, spadnie tu jak zwykle sześćdziesiąt metrów wody. W każdym razie nie zapowiadają na razie huraganów.

- Dostarczy mi pan materiał do końca tygodnia? Chciałbym przede wszystkim skończyć ogrodzenie, by móc wypuścić konie.

- Może pan na mnie liczyć. Wszyscy nie mogą wyjść z podziwu, panie Luther, jaka tu nastąpiła zmiana! Przejął pan tę posiadłość niewiele ponad rok temu.

- Prawie dwa lata.

- Hm, gdyby ktoś mnie o to pytał, powiedziałbym, że nie da się tu niczego dokonać. Francis wyjeżdżał z miasta w świetnym humorze. Nikt nie wierzył, nawet Lionel, a przede wszystkim sam Francis, że uda mu się tak szybko zapanować nad chaosem i zaprowadzić tu porządek.

Dla rodziny była to istna bomba. Ojciec przyjął nowy cios w odrętwieniu, ale matka była wstrząśnięta. Gdy oboje z Marjorie wrócili do Nowego Jorku, by zorganizować przeprowadzkę, Teresa zaczęła go błagać: „Czemu z własnej woli schodzisz na boczny tor, skoro przyszłość dopiero przed tobą? Czy to fair wobec Marjorie? Czy chcesz zakładać rodzinę na tym skrawku ziemi?” Tak, doprawdy tego pragnął. Czyż ona sama nie pochodziła z tej wyspy? W końcu użył tego samego argumentu, co podczas rozmowy z żoną - przecież nikt nie mówi, że muszą tam pozostać na zawsze. Różnie w życiu bywa i jest bardzo prawdopodobne, że powrócą do domu.

Ostatecznie sprawy ojca przybrały pomyślny obrót. Przyjaciele znaleźli dla niego miejsce w innej firmie maklerskiej i, jak to przewidywała Teresa, nowe skandale przyćmiły dawniejszy i zajęły jego miejsce na pierwszych stronach gazet.

Rodzice sprzedali wiejską posiadłość i, ku wielkiej radości Marjorie, wysłali jego umeblowanie do Eleuthery.

- Nigdy nie mielibyśmy wystarczająco dużo pieniędzy ani czasu, by stworzyć taką kolekcję - powiedziała, otwierając paki, które nadeszły drogą morską. Znajdowały się w nich rzeźbione łóżka, orientalne dywaniki, krzesła Hepplewhite'a i osiemnastowieczne srebra.

Richard sprzeciwiał się włączeniu do przesyłki obrazów Anatole'a Da Cunha przedstawiających wyspę, ale Teresa nalegała, że najlepiej pasują do Eleuthery i musiał w końcu ustąpić. Teraz Francis, siedząc przy stole w jadalni, miał za sobą obraz Morne Bleue w złożonych ramach, a przed sobą oryginał obramowany framugami okiennymi.

Ponieważ Eleuthera była dużym domem, Marjorie uważała za konieczne dodać to i owo do jej urządzenia. Była zbyt rozrzutna. Porcelanowe lampy, zamówione przez sklep Da Cunha, musiały być najwytworniejsze, podobnie jak draperie i stare weneckie lustra.

- Nie można dokupić byle czego do tego, co już mamy - argumentowała. Jeśli chodzi o estetykę, miała bez wątpienia rację, ale były to jednak rzeczy ogromnie drogie. Francis przekonywał ją, że wciąż ślizgają się po bardzo kruchym lodzie, są zadłużeni w banku, a na razie udało im się zaledwie sprzedać z zyskiem trochę rocznego bydła i radzą sobie jakoś ze zbiorami bananów. Nic ponadto.

Ogólnie jednak biorąc, przyjęła z dużą godnością zmianę, której nigdy nie byłaby w stanie przewidzieć.

Lubiła powtarzać, że ludzie z prawdziwą klasą nigdy nie narzekają.

- Pani Luther ma głowę do interesów - powiedział Osborne, który sam był człowiekiem zdolnym, uczciwym, pełnym szacunku i zimnym.

Francis pragnął od razu zająć się stworzeniem przyzwoitych warunków życia dla stałych pracowników, wybudować kilka solidnych domków, wyposażonych w urządzenia sanitarne. Gdy udał się z Osbornem do pobliskich wiosek, by zwerbować pracowników, przeraziło go to, co tam zobaczył. Najubożsi mieszkali w budach zbudowanych z beczek po nafcie. Rodzice spali w jednym łóżku z dziećmi, a czasami wprost na podłodze.

- Oni nie znają lepszych warunków. Nie podchodzą do tego tak jak pan, panie Luther - powiedział Osborne.

- Jeśli rzeczywiście nie znają lepszych warunków, w co wątpię, trzeba ich tego nauczyć. Kiedy już będą mogli sobie na to pozwolić, będą żyć lepiej.

- Nie stać cię w tej chwili na to - spierała się z nim Marjorie, gdy zapoznali się dokładnie z liczbami, które podał Osborne, będący podobnego zdania.

- Gdy już staniesz finansowo na nogi, będziesz mógł myśleć o zaspokojeniu potrzeb innych ludzi. Na razie niech pozostaną w swoich wioskach.

Pomyślał, że może to ma sens, ale tylko na krótko. Sporządził sobie w myśli listę rzeczy, które chciałby zrobić, na pierwszym miejscu stawiając kwestię mieszkaniową.

Przejeżdżał teraz obok podmiejskiego klubu, w tej chwili pustego, ponieważ z nieba lały się potoki deszczu. Francis dostrzegł turkusowy basen otoczony białymi parasolkami. Marjorie spędzała w tym klubie sporo czasu, podobnie jak większość żon plantatorów. Zaraz po śniadaniu wsiadała do samochodu i jechała prawie godzinę, by grać przez cały dzień w golfa lub tenisa. Na szczęście szybko zyskała wielu przyjaciół, więcej niż Francis, i to nie tylko dlatego, że w przeciwieństwie do niego dysponowała czasem.

Po prostu miała cechy, których Francisowi brakowało. Wyczuwało się w niej niezależność, przyciągającą ludzi i budzącą ogólny szacunek. Zawsze wiedziała, kiedy i co powiedzieć. Nawet jej milczenie było pewne siebie. Skręcił samochodem w drogę wijącą się pośród gór i pozwolił swobodnie błądzić myślom. Nieczęsto się ostatnio zdarzało, by miał dla siebie wolną chwilę i mógł to robić.

„Byłoby lepiej, gdybyśmy mieli dziecko - pomyślał. - Dzieci. Z pewnością wkrótce nas to czeka.” A po chwili: „Co to znaczy lepiej? Przecież nic złego się nie dzieje! Och, Marjorie! Urocza, lojalna Marjorie.”

Powinien spędzać z nią więcej czasu. Wychodził z domu o świcie, gdy widział ciężko idących ścieżką robotników. Razem z nimi robił obchód zagród dla bydła, potem kurników, następnie szedł pod górę do nowo zasadzonych gajów bananowych i z powrotem na dół, by sprawdzić, co z nowym ogrodzeniem pól obsianych kukurydzą na paszę. Później musiał zająć się księgami. Był w ciągłym kieracie.

Nagle pomyślał, że bardzo rzadko widują się z Lionelem i Kate. „Lionel to niezły chłop, przynajmniej w stosunku do mnie. Zawsze



serdeczny i gotów służyć radą." Czasami wpadał wieczorem sam, pokonując samochodem fatalną górską drogę. „Kate jest zajęta” - mówił, choć nikt o nią nie pytał. Gdy wychodził, Marjorie zaczynała rozmowę na temat Kate.

- Wszyscy wiedzą, że wyszła za niego dla pieniędzy. Nie miała nawet centa. Pamiętasz, mówiła, że Tarboxowie kupili jej nawet suknię ślubną.

- To obrzydliwa plotka!

- Nie bądź taki święty, Francisie.

Zastanawiał się, co spowodowało tak silną wzajemną antypatię obydwu kobiet. Marjorie zwykle była bezstronna. A jednak okazuje się, że nawet tak błaha rzecz, jak głos innego człowieka, może ją rozdrażnić. Zazdrość też nie była cechą jej charakteru. Zawsze mówiła, że nie zniżyłaby się do tego.

- Ona jest naprawdę bardzo dziwna. We wszystkim przesadza. Nic dziwnego, że Lionel nie ma do niej cierpliwości.

Francis nie chciał rozmawiać o Kate. „Cóż, rzeczywiście jest troszkę dziwna - pomyślał - ulepiona z innej gliny i pewnie dlatego kobiety czepiają się jej.” Nie rozmawiał z nią na osobności od czasu wspólnego lunchu. Spotkali się na rodzinnym przyjęciu podczas świąt Bożego Narodzenia, na pożegnaniu Julii i Herberta, gdy wyjeżdżali do Anglii i na czterech, no może sześciu - policzył na palcach - innych przyjęciach. Wszystkiego osiem razy. Chętnie widywałby się z nią częściej właśnie dlatego, że była inna. Stała mu w pamięci jak żywa - w słomkowym kapeluszu, ze szmaragdem na palcu, rozprawiająca o muzyce, ciągnikach i szpitalach. Na zewnątrz - pełna życia, dzielna, a w środku - smutna. Był pewien, że opowiedziała mu zaledwie małą część swojej historii.

Nie powtórzył nigdy tego, co usłyszał od niej o innej kobiecie Lionela, choć Kate nie robiła z tego tajemnicy. Nie była to jednak jego sprawa. Zastanawiał się, czy istniał w jej życiu inny mężczyzna. Ale i to przecież nie jego sprawa.

Deszcz padał już tak rześisty, że wycieraczka nie nadążała zmiatać wody z przedniej szyby i Francis pochylał się do przodu, by cokolwiek widzieć. Po obu stronach drogi znajdowały się głębokie rowy, nie mógł więc zawrócić i pojechać z powrotem do miasta. Nigdy nie miał do czynienia z taką potworną ulewą. Strumienie

deszczu atakowały samochód. Francis był przerażony, a jednocześnie wstydził się tego.

Po chwili zdał sobie sprawę, że skręcił w niewłaściwym kierunku. Droga była obca, pięła się bardziej stromo w górę, niż droga prowadząca do domu, pośrodku leżały wielkie głazy narzutowe. To pewnie jedno z odgałęzień, kończących się ślepo w jakiejś górskiej wiosce.

Deszcz lał jak z cebra, rozszalał się silny, porywisty wiatr.

Nagle dostrzegł przez boczną szybę samochodu ślady życia. Był to punkt, w którym składowano banany, zabierane później przez ciężarówki, rodzaj szopy krytej liśćmi palmowymi. Kręciło się tam dwóch mężczyzn.

Francis zatrzymał samochód i wychyliwszy się przez okno, zawołał, przekrzykując szum deszczu i wiatru:

- Czy możecie mi powiedzieć, gdzie jestem?

Jeden z mężczyzn coś odpowiedział, ale Francis nie zrozumiał go.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem! Nie mam pojęcia, gdzie się znalazłem! Czy jest tu jakaś wioska.

Mężczyzna znów coś odkrzyknął, niestety, w jakimś niezrozumiałym języku.

- Mówi pan po angielsku? - spytał Francis.

Odpowiedzią był przeczący ruch głowy. Francis podniósł szybę i ruszył przed siebie, manewrując samochodem w potokach rudego błota. W kilka minut później dotarł do niewielkiej wioski, którą stanowił krótki podwójny rząd chat. Na końcu widać było szkołę - zwykły dom z desek, stojący na palach. Szeroki dach miał nisko schodzący okap, dzięki któremu deszcz nie dostawał się do środka przez nie oszklone okna. Z ogromną ulgą Francis zatrzymał samochód i pobiegł w górę ścieżką.

Zrobiło się już późne popołudnie i ławki były puste. Przy biurku siedział nauczyciel, a przed nim piętrzyła się sęta papierów,

- Czy mogę wejść? - zawołał Francis. - Zabłądziłem. - Brakowało mu tchu, był przemoczony do suchej nitki. - Nie mam pojęcia, gdzie jestem.

- Ależ proszę wejść, oczywiście. Niech pan powiesi mokrą marynarkę na wieszaku. - Nauczyciel był Murzynem o zadziwiająco jasnej skórze i szczupłej orlej twarzy. - Proszę mi wybaczyć, mam jeszcze trochę prac do poprawienia.

Francis, szczególnie wrażliwy na głosy, zauważył jego staranny akcent. Usiadł na krześle, obserwując dyskretnie nauczyciela (myślące oczy, piękne ręce) i rozszalały na zewnątrz żywioł, (drzewa przygięte do ziemi, błyskawice siekające niebo).

Nauczyciel wstał i podszedłszy blisko do Francisa, powiedział głośno, by przekrzyczeć wycie wiatru.

- Jestem Patrick Courzon. Znalazł się pan w wiosce Gully. Francis podał mu rękę.

- Francis Luther. Mieszkam w pobliżu Point Angelique. Chyba zabłądziłem.

- Musi pan wrócić drogą, którą pan tu przyjechał i skrócić na następnym rozwidleniu, około trzech kilometrów stąd. Droga sama zaprowadzi pana prosto do Eleuthery.

- Och, skąd pan wie?

- Że jest pan właścicielem Eleuthery? Na tej wyspie wszyscy wiedzą o sobie wszystko. No nie, to niezupełnie prawda. Ludzie jednak interesują się odrodzeniem takich starych zaniedbanych posiadłości. Jest w tym coś romantycznego, nie uważa pan?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Dla mnie to przede wszystkim kopanie i karczowanie ziemi lub czytanie poradników, jak należy to robić.

Nauczyciel odłożył kilka książek na półkę.

- Czy odrywam pana od pracy? - spytał Francis. - Posiedzę tu sobie po prostu, dopóki burza nie minie, jeśli w ogóle to kiedyś nastąpi.

- Z pewnością, za godzinę lub dwie. - Courzon usiadł. Wyraźnie miał ochotę porozmawiać. - Dla pana, który przyjechał z wielkiego miasta, musi być niełatwe rozpoczynanie życia w całkiem nowych warunkach

- Na szczęście udało mi się pozyskać bardzo dobrego zarządcę, który uczy mnie wszystkiego na temat bananów, ogrodzeń, owiec i najmowania ludzi do pracy.

- Nie przypuszczam, by miał pan jakiegokolwiek trudności z tym ostatnim. Mamy tu sporo bezrobotnych. - Twarz Patricka miała szyderczy wyraz.

- Wiem. Bardzo nad tym boleję, nad zarobkami również. Płacę o trzydzieści centów dziennie więcej niż jest to przyjęte, co nie

przysparza mi sympatii innych plantatorów. - Dodał pośpiesznie: - Nie próbuję udawać świętoszka. Po prostu...

- To znacznie więcej niż inni, biorąc pod uwagę, że przeciętny zarobek w porze upraw wynosi osiemdziesiąt centów dziennie.

Francis nie mógł rozszyfrować, czy nauczyciel kpi z niego, czy mówi szczerze.

- Jeśli wolno spytać, co pan planuje zrobić ze swoją nie zagospodarowaną ziemią? Przepraszam za natręctwo, ale, podobnie jak inni, jestem zwyczajnie ciekawy.

Francis doszedł do wniosku, że Courzon jest jednak szczerzy.

- Rozumiem, do czego pan zmierza. Właściciele posiadłości zostawiają całe połacie ziemi nie uprawione, by nie płacić od nich podatków. Ten przepis z pewnością należy zmienić. Nie, zamierzam uprawiać ziemię i sadzić od nowa trzcinę cukrową wszędzie tam, gdzie zdziczała. Powinno to być sprawą sumienia przy tak ogromnym zapotrzebowaniu na żywność.

- Zdziwiał mnie pan, panie Luther. Zapadło milczenie.

- Po drodze pytałem kilku ludzi, jak mam dalej jechać - odezwał się po chwili Francis. - Zaskoczyło mnie, że nie mówią po angielsku.

- Używają regionalnego narzecza. Mieszanki karaibskich i afrykańskich słów wtrąconych do francuskiego.

- Przecież ta wyspa nie jest w rękach Francuzów już od stu pięćdziesięciu lat!

- Dłużej. Ale te wioski są tak oddalone od świata. Wielu z moich uczniów posługuje się tym narzeczem. Angielski usłyszeli po raz pierwszy na moich lekcjach.

- Brytyjski angielski? - spytał Francis z uśmiechem.

- Cóż, w Covetown uczyli mnie Anglicy, potem zaś studiowałem w Cambridge, przypuszczam więc, że pozostał mi akcent.

- Urodził się pan więc na St. Felice.

- Nie, o dziwo, urodziłem się we Francji. Przywieziono mnie tutaj, gdy miałem dwa lata.

„Ojciec Francuz?” - zastanawiał się Francis. Prawdopodobnie tak. Bóg jeden wie, jakie namiętności, strapienia i wstyd dały początek tej subtelnej, bez wątpienia wrażliwej istocie ludzkiej! W jakiś sposób można to prawdopodobnie odnieść do każdego człowieka.

- Moja matka urodziła się na tej wyspie - powiedział Francis - ale wyjechała stąd, a ja wróciłem. Czasami zastanawiam się, co mnie do

tego popchnęło. Chęć ucieczki przed czymś? Siła przyciągania przeszłości? Jestem typem człowieka, który zostaje antykwariuszem, którego bawi restaurowanie starych domów. Jestem zakochany w przeszłości. Zacząłem nawet pisać o St. Felice, o ludziach, którzy tu przybyli.

Courzon skinął głową.

- Jeśli interesuje się pan historią, to tutaj znajdzie pan mnóstwo ciekawych rzeczy. Nawet pańska Morne Bleue - ileż to bitew stoczyli Francuzi z Anglikami o tę górę! Przechodziła z rąk do rąk podczas najkrwawszych potyczek w osiemnastym wieku. Były tam jeszcze do niedawna ruiny fortu, bawiłem się w nich jako dziecko. Teraz nie zostało już nic. Ludzie rozdrapali kamień i cegły. Czy wie pan, że Francuzi używali do budowy kamienia, a Anglicy cegły?

- Nie, nie miałem pojęcia.

Courzon przerwał nagle.

- Przepraszam bardzo. Dotarło do mnie, że robię panu wykład jak nauczyciel.

- Cóż, jest pan nim przecież.

W tej chwili drzwi otworzyły się pod naporem wichru i uderzyły z hukiem o ścianę. Courzon wstał i zamknął je starannie.

- Czy to przypadkiem nie huragan? - zaniepokoił się Francis. - Podczas mojego pobytu nie przeżyłem tu jeszcze żadnego.

- Kiedy nadejdzie, nie będzie pan miał żadnych wątpliwości. Gdy miałem czternaście lat, nad St. Felice rozszalał się huragan. W oknach nie pozostała nam ani jedna szyba, zwalone drzewo uszkodziło nam dach, w domu woda sięgała po kostki. Straciliśmy wówczas cały zbiór kakao.

- Ta zależność od pogody niesie ze sobą wielkie ryzyko - powiedział Francis, kręcąc głową. - Mój wuj, Lionel Tarbox, mówił mi, że te wszystkie powodzie i susze wielokrotnie omal nie doprowadziły go do bankructwa.

Jego rozmówca nic na to nie odrzekł i Francis zaczerwienił się jak burak, uświadamiając sobie powód jego milczenia.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że dotyka to znacznie bardziej ludzi biednych. Rozejrzał się po klasie. Sfatygowane ławki, na niewielkiej półce trochę zniszczonych książek, w kącie mała tablica - to było całe wyposażenie.

- A jednak pan też tu wrócił - wypowiedział na głos swą myśl.

- Słucham?

- Chodzi mi o to, że wrócił pan, mimo iż życie tutaj nie należy do łatwych. Mógł pan z pewnością zostać w Anglii.

- Przed chwilą wspominał pan o sumieniu. Musiałem wrócić do domu. Większość dzieci na tej wyspie kończy swą edukację po pięciu latach, a większość dorosłych to analfabeci.

- A pan chce temu zaradzić?

Courzon wyjrzał na dwór, gdzie deszcz zaczynał powoli słabnąć.

- Ostatnio miewam wątpliwości. Jaki ma sens uczenie tych dzieci poezji Roberta Browninga? - W jego głosie zabrzmiało szyderstwo.

„A przecież szyderstwo - pomyślał Francis z rosnącym zainteresowaniem - nie pasuje do tego człowieka. Emanuje z niego szczerłość i prostolinijność.”

- Próbuję przekazać im jak najwięcej z ich własnej historii, historii Afryki i Indii Zachodnich. Przynajmniej ma to związek z ich życiem.

Dziwne, że nie miał oporów, by rozmawiać w ten sposób z Francisem, z pewnością nie byłby tak swobodny i otwarty wobec Lionela czy kogokolwiek ze znajomych Francisa.

- Czy nie myśli pan o działalności politycznej?

- Raczej nie. Rzecz w tym, że nie należę do ludzi czynu. Mam jednak przyjaciela, Nicholasa Mebane'a, który również wrócił z Anglii i zakłada nową partię. Pracuje nad programami, by wejść z nimi, gdy wywalczymy wreszcie niepodległość i chce wciągnąć mnie do pracy. Zastanawiam się nad tym. Na razie tylko się zastanawiam.

- Słyszałem już gdzieś to nazwisko. Była jakaś wzmianka w gazecie, prawda? Poza tym mówił o nim chyba pastor podczas mojej pierwszej nocy na wyspie.

- Musiał to być ojciec Baker.

- Być może. Nie mam pamięci do nazwisk, upłynęło zresztą od tamtej pory trochę czasu, ale to jakoś pozostało mi w głowie. Jeśli dobrze pamiętam, pastor mówił o nim, że jest wybitnie zdolny.

- Bo rzeczywiście jest. To myśliciel i mówca. Te dwie rzeczy rzadko idą w parze ale jeśli już się tak zdarzy, taka kombinacja może okazać się nie do pokonania. Nicholas osiągnie bardzo wiele, a jego osiągnięcia rozejdą się na zewnątrz z naszej wyspy niczym fale na jeziorze.

Wcisnąwszy ręce do kieszeni, Courzon zaczął spacerować po klasie.

- Uzyskanie niepodległości wyzwoli inicjatywę. Wraz z inicjatywą charakter narodowy, który pomoże zbudować demokrację. Na początek potrzebny jest jednak silny przywódca, który wskaże drogę. A Nicholas jest silny - silny i o szerokich horyzontach. Podejmie walkę. - Courzon mówił z wielkim ożywieniem. - Przyjechał pan tutaj w czasie, gdy szykują się ogromne zmiany, panie Luther.

- To samo powiedział mi wujek Herbert. - rzekł Francis, myśląc jednocześnie: „A raczej ostrzegł.”

- Sądzę, że przedstawił tę sprawę z zupełnie innego punktu widzenia - uśmiechnął się Courzon. - Czy nie obraziłem pana? Mam nadzieję, że nie.

- Nie - odparł spokojnie Francis. - Jeśli mam tu mieszkać, powinienem poznać różne punkty widzenia, prawda?

- Bardzo rozsądnie. Nieobecność właścicieli wielkich majątków lub, co gorsza, oddanie ziemi w ręce zagranicznych firm zawsze było tu problemem. O niczym nie wiedzą, nic ich więc nie obchodzi, co się tutaj dzieje.

- Mnie obchodzi, i to bardzo. Mam głowę pełną projektów i... - zająknął się Francis, przypominając sobie mnóstwo pomysłów Kate. - Przede wszystkim chcę zbudować na moim terenie przyzwoite domy dla stałych pracowników.

- Słyszałem o tym.

- Słyszał pan?

- Mówiłem już panu, że wiadomości szybko się rozchodzą na St. Felice. Jeśli rzeczywiście może pan to zrobić, choćby cokolwiek zapoczątkować, i jeśli inni podchwycą pańską inicjatywę - co, przykro mi powiedzieć, jest nader wątpliwe - będzie to duża sprawa. Fatalne warunki mieszkaniowe są z pewnością jedną z przyczyn takiej a nie innej struktury rodzinnej. No, moglibyśmy tak rozmawiać przez cały dzień - Courzon podniósł ręce - ale skończy się na tym, że zniechęcę pana tą moją gadaniną! Jutro spakuje pan manatki i wyjedzie do domu.

Francis pokręcił głową.

- Nie. Tutaj jest mój dom.

Zżerała go ciekawość, chciał dowiedzieć się więcej o tym mężczyźnie. Skończył Cambridge, jest niemal biały, a identyfikuje się całkowicie z murzyńskimi wieśniakami. Zaryzykował i wypalił bez ogródek:

- Proszę opowiedzieć mi coś o sobie, ale całkiem szczerze.

- Szczerze?

- Tak - rzekł śmiało Francis. - Jak się pan czuje, mieszkając tutaj?

- Chodzi panu o to, że nie jestem biały?

- Może częściowo i to miałem na myśli. Czego najbardziej pan pragnie?

- Najpierw chciałbym znieść ograniczenia w prawie wyborczym. Powinna obowiązywać zasada równości - jednemu wyborcy przysługuje jeden głos. Nie mam własności, jestem dzierżawcą, a więc nie mogę głosować. Panie Luther, na tej wyspie, zresztą w całym archipelagu, dziewięćdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu ośmiu procent społeczeństwa stanowią kolorowi. Bardzo niewielu posiada majątek, nie mają zatem nic do powiedzenia na temat tego, jak się nimi rządzi. Absolutnie nic.

- Rzeczywiście, jest to oburzające. Słyszałem jednak, że mają nastąpić zmiany. Nawet jeszcze w tym roku. Ale ja miałem na myśli pańskie życie osobiste. Jest pan żonaty?

- Mam żonę o imieniu Desiree. Mieszkamy w mieście.

- Desiree? Czy ona może pracuje w sklepie Da Cunha?

- Tak. Zna ją pan?

- Obsługiwała mnie, gdy kupowałem prezenty świąteczne, a potem na urodziny mojej żony. Nie widziałem jej od pewnego czasu, zresztą rzadko robię zakupy.

- Przerwała pracę. Mamy dwójkę dzieci, które jej potrzebują.

Deszcz ustał zupełnie. Ciężkie krople skapywały z dachu i drzew. Ziemia parowała, przez unoszącą się mgłę prześwitywało słońce. Obaj mężczyźni podeszli do drzwi.

- Lubię myśleć, że świat będzie lepszy dla moich dwojga dzieci oraz dla wszystkich innych - powiedział Courzon. - Jako optymista muszę w to wierzyć. Kiedy się spojrzy wstecz, w historii widzi się mimo wszystko pozytywne tendencje.

- Mam nadzieję - powiedział cicho Francis. Zaczął się żegnać, gdy coś przyciągnęło jego uwagę.



- Wspaniałe drzewo - powiedział, wskazując na okazały zielony baldachim, pod którym zaparkował samochód.

- Delonix regia. W czerwcu ma piękne czerwone kwiaty. Musiał się pan przecież natknąć na nie w Eleutherze.

- Owszem, nie są jednak tak okazałe. W czasie kwitnienia przypominają mi flamingi.

- Skoro już wspomniał pan o flamingach, było ich niegdyś mnóstwo na tej wyspie. Wcale nie tak dawno, za czasów mojego dzieciństwa. W drodze do domu będzie pan przejeżdżał obok Flamingo Pond, gdzie się gromadziły. Żywiły się tam krewetkami. Stado liczyło pięćdziesiąt, sześćdziesiąt sztuk, naprawdę przepiękny widok. Obecnie można je zobaczyć wyłącznie na Bonaire. Wyrzebiono je całkowicie.

- Zmiany nie zawsze prowadzą ku lepszemu, prawda?

- Ano, nie zawsze. Cały świat mógłby być rajem, gdyby wyeliminować marnotrawstwo i pasję niszczycielską.

Francis przewiesił przez ramię mokrą marynarkę.

- Muszę przyznać, że dzisiejszego popołudnia dowiedziałem się od pana więcej o tej wyspie niż od kogokolwiek przedtem. - Nie miał zielonego pojęcia, co go podkusiło, by dodać: - No, może z wyjątkiem mojej krewnej, Kate Tarbox.

- Ona ma serce - powiedział po prostu Courzon.

- Zapomniałem, że pan ją zna. A może i pańska żona?

- Znamy ją oboje. Poznałem ją przez mojego teścia, Clarence'a Portera. Realizują wspólnie różne pożyteczne przedsięwzięcia, głównie poprzez Poradnię Rodzinną. Clarence pomaga z ramienia związków zbierać fundusze na budowę przyzwoitego szpitala, a Kate, rzecz jasna, zna liczące się rodziny. Mimo wszystko jest to trudne. Ludzie, którzy mają pieniądze, nie chcą ich wyasygnować, najwyżej symboliczne sumy. Ale Kate to niezwykła kobieta, prawda?

- Jestem o tym przekonany, choć nie widuję jej często. Podali sobie ręce.

- Miło mi było pana poznać, panie Luther. Życzę powodzenia w realizacji projektów.

- Coś panu powiem - rzekł nagle Francis - coś panu powiem... musi mnie pan odwiedzić.

- Czy rzeczywiście panu na tym zależy? Czy jest to tylko grzecznościowe: „Proszę kiedyś wpaść”, z którego nigdy nie skorzystam?

- Nie mówię nigdy tego, czego nie myślę. - Marjorie nie będzie specjalnie zachwycona, ale trudno. Bardzo mu przypadł do gustu ten człowiek.

Po raz pierwszy tego popołudnia Courzon uśmiechnął się szeroko, bez ironii czy melancholii.

- Zadzwoń do pana. Jest pan w książce telefonicznej w Covetown? Patrick Courzon?

- Tak.

Wciąż stał z ręką uniesioną do góry w geście pożegnania, gdy Francis zniknął z pola widzenia, skręcając w dół.

CZEŚĆ TRZECIA  
KOCHANKOWIE I PRZYJACIELE

## Rozdział 10

Czy ci to pokazywałem? Z pewnością tak - powiedział Francis Luther, biorąc oprawny w skórę tom. - To dziennik mojego pierwszego przodka na St. Felice.

- Ja go widziałem, ale Nicholas nie. - Patrick rzucił okiem na jedną stronę, zanim podał książkę przyjacielowi. - „Postanowiłem kupić ziemię i wieść odtąd w mojej posiadłości życie dżentelmena, ożenić się z panną z dobrej rodziny.” To autentyczne wydarzenia.

- Fascynujące - powiedział półgłosem Nicholas.

Siedział na parapecie okiennym z osobliwym wdziękiem, ze skrzyżowanymi nogami w angielskim obuwiu. Jego patrycjuszowska głowa, podświetlona promieniami chylącego się ku zachodowi słońca, wyglądała jak rzeźba. Patrick odczuwał dumę, że to on przyprowadził go po raz pierwszy do tego domu, choć zasugerowała to Kate Tarbox. Widział siebie jako ogniwo łączące światłego plantatora, do którego należał ten dom, oraz zdolnego czarnego polityka, który najwyraźniej zaczynał się wybijać.

- Książki - powiedział Francis - to moja jedyna namiętność. - Machnął ręką w kierunku sterty zupełnie nowych tomów w kolorowych obwolutach. - Przysyłają mi je z Nowego Jorku. Jeśli chcielibyście jakieś pożyczyć, chętnie służę.

- Naprawdę fascynujące - powtórzył Nicholas, odkładając dziennik.

- Jeśli chce pan go pożyczyć, panie Mebane, bardzo proszę. Mam jeszcze kilka kopii. Ciekawe, prawda?

- Bardzo chętnie, dziękuję. Proszę do mnie mówić Nicholas.

- Świetnie. A więc, Nicholasie, może napijemy się czegoś przed obiadem? Raczej przed kolacją, ponieważ niedługo już wieczór.

Z niemal fizyczną przyjemnością Patrick przyglądał się rytuałowi nalewania drinków - migotliwy trunek, stuk kostek lodu, pieniąca strużka wody sodowej. Podczas kilkunastu wieczorów, które spędził w tej bibliotece w ostatnim roku, pokonał swoją początkową nieufność. Poczł sympatię do Francisa Luthera, który należał do zupełnie innego świata, a mimo to był tak bardzo mu bliski pod względem psychiki, zamiłowań i tej nieokreślonej cechy zwanej „sercem”.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z Marjorie Luther. „Jestem intruzem w jej domu - pomyślał - ona gardzi kolorem mojej skóry,

choć wstydziłyby się do tego przyznać nawet przed samą sobą." Malowało się to na jej twarzy, jakkolwiek zachowywała się poprawnie. Takie rzeczy się wyczuwa. Nie szkodzi, Desiree też ma swoje uprzedzenia.

Przez wysokie okno widział małą grupkę na trawniku, kobiety oraz ojca Bakera, który wolał pozostać na powietrzu. Była to scenka godna pędzla impresjonisty. Pod zielonym baldachimem zwiewnych gałązek wierzby płaczącej siedziały kobiety w sukniach koloru petunii. Dziesięcioletnia Laurine, córka Patricka, siedziała wprost na trawie u stóp matki. Kate Tarbox trzymała na kolanach Maisie, która była już prawie jej wzrostu, a Marjorie Luther małego białego pieska. „Impresjonizm, wyjąwszy kolor skóry” - pomyślał, krzywiąc się.

- Jakiż to piękny pokój! - powiedział z zachwytem Nicholas.

- Zabawne, ale gdy się tu wprowadziłem, nie był jeszcze wykończony. Uzupełniłem wszystko sam, co kosztowało mnóstwo pieniędzy, ale było tego warte. Faktycznie mieszkam tutaj. - Francis wskazał ruchem głowy na duże biurko całe założone papierami.

- Francis pisze historię świata karaibskiego - wyjaśnił Patrick Nicholasowi. - To ogromna praca, począwszy od Arawaków.

- Sądząc po postępach, jakie robię, nigdy jej nie skończę.

- Co pana zainspirowało? Historia rodziny? - spytał Nicholas.

- Chyba tak. Dowiedziałem się o niej wielu interesujących rzeczy, odkąd tu przyjechałem. Jeden z moich przodków dostał się do niewoli w bitwie pod Worcester i przybył tutaj z zesłańcami Cromwella. Inny siedział w więzieniu za długi. Jeszcze inny był gubernatorem. Niezła mieszanka - roześmiał się Francis.

- Więc naprawdę wrócił pan, by tutaj pozostać?

- Tak. Odwiedzałem kilkakrotnie moich rodziców w Nowym Jorku i za każdym razem miasto mnie przytłaczało. Eleuthera! Świetna nazwa. To moja wolność.

- Mam nadzieję, że jednak uda się panu doprowadzić to interesujące zamierzenie do końca, panie Luther - powiedział Nicholas.

- Francis, jeśli chcesz, bym nazywał cię Nicholasem.

Nicholas skłonił głowę.

- Wobec tego niech będzie Francis. Opowiadałeś nam o swoich planach co do posiadłości. Z pewnością wiesz, że dużo się mówi o twojej wzorcowej wiosce.

- Proszę cię! - przerwał mu Francis. - Zbudowałem dziesięć domów dla moich stałych pracowników, to wszystko. Nie uczyniłem nic dla sezonowych. Nie warto nawet o tym wspominać.

- Czemu pomniejszasz swoje zasługi? To świetny początek, przykład dla innych.

- Nie jestem pewien, czy inni zechcą skorzystać z tego przykładu. Obawiam się, że podczas mego krótkiego jeszcze pobytu na wyspie zyskałem sobie opinię kłopotliwego burzyciela ustalonego porządku. - Francis bębnił w zamyśleniu palcami po stole. - Przecież to moje pieniądze i w dodatku wcale nieduże! Na szczęście nie pożądam bogactw. Po prostu chciałbym móc kiedyś spłacić zastaw hipoteczny.

- Widzisz teraz, Nicholasie - powiedział Patrick - dlaczego pragnąłem, byście się spotkali. Takie podejście, ludzie dobrej woli... - Zaplątał się czując, że jest naiwny, a jego emocje zbyt widoczne.

Nicholas pochylił się ku Francisowi.

- Nasi dobrzy przyjaciele, Patrick i Kate Tarbox, przyprowadzili mnie tutaj z dobroci serca. Pozwól, że powiem krótko, o co mi chodzi. Teraz, gdy uzyskaliśmy już powszechne prawo głosowania, niepodległość jest kwestią najbliższych kilku lat. Oczekują nas wielkie zadania. Wraz z autonomią polityczną musi przyjść stabilizacja ekonomiczna. Wielkie zadania. Moja partia chce być partią rządzącą na tej wyspie. To partia demokratyczna, New Day Progressives, młodzi ludzie z głowami pełnymi planów. Ale - postawmy sprawę jasno - nie jesteśmy radykałami. Nie pragniemy konfiskaty. Przeciwnie, zależy nam na poparciu plantatorów, tych światłych, którzy będą z nami współpracować dla lepszego jutra nas wszystkich. Szczerze mówiąc, potrzebuję twojej pomocy.

- Całym sercem jestem za reformą, ale żaden ze mnie polityk - odparł Francis.

- A właśnie że tak! Człowiek, który zauważa potrzeby i podejmuje kroki, by je zaspokoić, jest politykiem. Jak przed chwilą zauważył Patrick, jest to właściwe podejście. Podejście bez uprzedzeń. Och, nie, nie obawiaj się, nie proszę cię o składanie natychmiastowych publicznych deklaracji, które mogłyby być dla ciebie kłopotliwe! Doskonale rozumiem twoją sytuację - powiedział chytrze Nicholas. - Chcę tylko poznać cię bliżej i mieć pewność, że mogę liczyć na twoje rady. Czy zechcesz od czasu do czasu mnie wysłuchać?

- Ależ oczywiście! Jestem zawsze wdzięcznym słuchaczem. Wieczorni goście są mile widziani, Patrick może to potwierdzić. Ale zdaje mi się, że gong wzywa nas na kolację.

Cała swoboda i luz Patricka ulotniły się w pokoju jadalnym. Czuł się okropnie skrępowany przy oficjalnym stole, do którego murzyńscy służący podawali dania na srebrnych tacach. Zastanawiał się, co też sobie myślą i o czym później będą mówili w kuchni.

Rozejrzał się po zgromadzonych przy stole gościach. Świat oceniłby ich jako niezbyt dobrane towarzystwo - biali w swym patrycjuszowskim domu; dwie czarne dziewczuszki z ciasno splecionymi warkoczykami - ciche i grzeczne, inaczej nie przyprawiono by ich tutaj; Desiree, dumnie milcząca i tak barwna, że dwie pozostałe kobiety wydawały się przy niej mdłe i wyblakłe. „Marjorie Luther jest zimna” - pomyślał. - Zimna kobieta o pięknej skórze, białej jak papier. Ubrana była w blade jedwabie, na jej szyi połyskiwały mleczone perły. Wyobraził ją sobie przez chwilę w łóżku z Francisem i sam się tej myśli zawstydził. „Pewnie jest oziębła, w przeciwieństwie do mojej Desiree. Nigdy jednak nie wiadomo. A Francis to człowiek o wielkim sercu! Nie był jeszcze przygotowany do małżeństwa. Dopiero teraz oczy mu się otwierają.” Takie myśli przebiegały mu przez głowę, gdy rozkładał serwetkę i podnosił łyżkę do ust.

Przy stole panowało niezręczne milczenie. Pragnąc je przerwać, Patrick zwrócił się do gospodyni:

- Idę o zakład, że pani kucharka pochodzi z Martyniki.

- Skąd pan wie? Czy zupa jest zbyt mocno przyprawiona?

- Ależ nie, jest doskonała. Moja matka pochodzi stamtąd i wspaniale gotuje. Musi pani poprosić swoją kucharkę, by przygotowała coś według tamtych przepisów. Indyk w curry - och, to coś, co się długo pamięta!

- Proszę, niech pan wymieni kilka ciekawych potraw, bym wiedziała, o co ją poprosić - udała zainteresowanie Marjorie.

- Hm, na przykład palourdes gotowane na parze. To rodzaj mięczaków. - Szukał w pamięci czegoś egzotycznego, by ożywić rozmowę. Naprawdę nie przykładął zbyt dużej wagi do jedzenia. - Acra de morue, czyli dorsz smażony w cieście z zieloną papryką. Typowe danie.

- Z pewnością wypróbuję - powiedziała uprzejmie Marjorie Luther. Srebrne sztuce pobrzękiwały o porcelanę. Ojciec Baker jadł z zachłannością charakterystyczną dla podeszłego wieku, całą uwagę koncentrując na talerzu, Desiree zajmowała się młodszą dziewczynką, inni natomiast byli wyraźnie zahipnotyzowani ciemnym kształtem Morne Bleue, wypełniającym wysokie okna w końcu pokoju. Tym razem Nicholas postanowił ratować konwersację.

- Czy dobrze słyszałem, że twoja matka myśli o powrocie na Martynikę? - spytał Patricka.

- Przebąkuje o tym. Nie chcę, by wyjechała, robi się jednak coraz starsza i tęskni do rodzinnej ziemi. Ale czy coś tam z niej pozostało?

- Czy wszyscy znacie pojęcie „ziemi rodzinnej”? - spytał Nicholas. - To zwyczaj wywodzący się z Afryki. Człowiek może wyjechać na całe lata, nawet na całe życie, ale jeśli ziemia należała kiedyś do jego przodków, ma prawo wrócić, mieszkać na niej i jeść owoce, które rodzi.

- I być tam pochowanym - dodała Kate, odwracając wzrok od osnutej ciemnością Morne Bleue.

- Wiesz o tym? - zdumiał się Nicholas.

- Nauczyłam się w życiu wielu rzeczy - odpowiedziała z uśmiechem.

- W Indiach Zachodnich - mówił dalej Nicholas - niemal zawsze przyznawano taki kawałek ziemi wyzwolonym niewolnikom.

- Powinienem robić notatki do mojej pracy historycznej - powiedział Francis.

- Której nigdy nie napiszesz - dodała Marjorie.

- Mąż pani ima się wielu spraw naraz - rzekł z miłym uśmiechem Nicholas. - Dzień musi być dla niego za krótki.

- Mam nadzieję, że nie nazbyt wielu - odparła sucho Marjorie.

- Moja żona obawia się, że pracuję zbyt ciężko - powiedział Francis przepraszającym tonem, nie chcąc psuć atmosfery tego łagodnego, przyjemnego wieczoru.

Kate puściła mimo uszu tę uwagę.

- A skoro już mowa o mnogości spraw - powiedziała - to co słyhać z nową partią? Wysłaliście nas, panowie, do ogrodu, by o niej rozmawiać, a mnie to właśnie bardzo interesuje.

- Och - uśmiechnął się Nicholas - to była tylko zwykła pogawędka. Nie podejmowaliśmy żadnych decyzji.



- Przykro mi to słyszeć - rzekła na to Kate - ponieważ właśnie z tego powodu Patrick i ja postanowiliśmy was zapoznać. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że jestem w gorącej wodzie kąpana.

Marjorie upiła łyk wody i odstawiła szklankę z głośnym stuknięciem. Kate mówiła dalej bardzo szybko i cicho.

- Nie osiągniemy na tej wyspie nic pozytywnego bez rządu. Wszyscy dobrze o tym wiemy. Amatorskie poczynania nic nie załatwią. Nie mogę w tej sprawie znaleźć zrozumienia u mojego męża. Nie tylko nie współpracowałby z wami, lecz nawet nie usiadłby dzisiaj przy wspólnym stole z kolorowymi, świetnie zdajecie sobie z tego sprawę.

Marjorie znów podniosła szklankę i odstawiła ją tak energicznie, że woda chlapnęła na politurę stołu. Zabrzmiało to jak głośny wyrzut.

- Nie bądź taka zgorszona, Marjorie - powiedziała Kate. - To moi przyjaciele. Znają fakty. Rozmawiam z nimi szczerze.

- Rzeczywiście - potwierdził ojciec Baker. - Odkąd tylko nauczyłaś się mówić, nie owijałaś niczego w bawełnę. - Obrzucił wzrokiem zebranych z dumną miną. - Znałem Kate, zanim jeszcze się urodziła. Przy wszystkich jej wadach bardzo ją kocham i zwykle się z nią zgadzam, choć mamy też pewne punkty sporne.

- Sprawa regulacji urodzin - powiedziała szybko Kate. - A właściwie, planowania rodziny. Brzmi to lepiej i dokładniej oddaje sedno sprawy.

- Dziwna rzecz - zauważył Nicholas - jak sprawy demograficzne stały się ważne w Ameryce Środkowej. Nie zawsze tak było. Większość ludzi raczej nie wie, że w okresie niewolnictwa więcej było zgonów niż urodzin. Tę lukę wypełniał import niewolników z Afryki. - Jego ładnie modulowany głos przykuwał uwagę słuchaczy. - Podejrzewam, że częstą przyczyną zgonów było niedożywienie i przepracowanie, ale przede wszystkim choroby. Dzisiejsza medycyna uwolniła nas od framboezji, cholery, żółtej febry i tyfusu. Skutkiem tego jest nas coraz więcej na tej wyspie. Zresztą na całej planecie.

- Czy chcesz włączyć ten problem do swego programu politycznego? - spytała Kate poważnie.

Nicholas uśmiechnął się.

- Chyba że za argument użyłbym kija - odrzekł szczerze. - Poza tym, żeby cokolwiek zdziałać, trzeba najpierw zostać wybranym. Prawda, pani Luther?

- Och, oczywiście - przyznała Marjorie.

„Wytrawny taktyk” - pomyślał Patrick. A tymczasem Nicholas mówił dalej:

- Zawsze powtarzam, że można mówić o szczęściu, jeśli społeczeństwo ma takich obywateli, jak panie. Aktywne, wykształcone kobiety... Kobiety zawsze przejawiają tyle troski w sprawach zasadniczych. Mąż mówił, zdaje się, że ukończyła pani Pembroke, pani Luther? Moja narzeczona studiuje w Smith. Doris Lester z Ohio. Będę zaszczycony, jeśli zechce ją pani poznać, gdy się pobierzemy.

- A kiedy to nastąpi, panie Mebane? - zainteresowała się Marjorie.

- Ślub odbędzie się podczas świąt Bożego Narodzenia. - I dodał, żeby nie było nieporozumień: - Jej ojciec jest pastorem Afrykańskiego Kościoła Metodystycznego.

Dzięki Nicholasowi atmosfera zrobiła się lżejsza.

- Czy znalazł tu pan dużo zmian po tak długim pobycie za granicą? - spytała go Marjorie, pomijając Patricka, który przecież również wrócił z zagranicy.

„To zasługa jego wdzięku” - pomyślał Patrick bez zawiści.

- Raczej nie. Byliśmy pogrążeni w letargu od wieków. Ale - Nicholas podniósł rękę, jak gdyby w geście ostrzeżenia - zmiany są kwestią najbliższych miesięcy i lat. Mamy już codzienne połączenia lotnicze z głównymi miastami w obszarze Morza Karaibskiego. W końcu będziemy też mieć własny port lotniczy dla odrzutowców, łączący nas z Europą. Wszystko to wpłynie na nasz styl życia i sposób rządzenia.

- Można dostać zawrotu głowy - powiedziała słodkim głosem Marjorie. - Niestety, zupełnie nie interesuję się polityką.

- To samo powiedziałem godzinę temu.

- Każdy, jeśli nawet nie interesuje się polityką w danej chwili, po pewnym czasie zaczyna się nią interesować - stwierdziła Kate.

- Głęboka obserwacja - zauważył grzecznie Nicholas, gdy wstawali od stołu.

W samochodzie Desiree zasypała Patricka gradem wymówek.

- Ciągłe te poważne rozmowy! Jestem wykończona, jakbym dźwigała ciężkie toboły pod górę! Może zauważyłeś, że nie odezwałam się nawet słowem?

- To była inteligentna rozmowa - zaprotestował Patrick. - Twojemu ojcu spodobałaby się z pewnością.

- Och, ty i tata! Przyznaj się, czy nie czułeś się tam skrepowany?

- Może trochę, wyłącznie z jej powodu. Francis jest uczciwym człowiekiem, niezależnym. Nie musiał nas zapraszać. Po prostu chciał. Z pewnością nasza obecność w jego domu nie przyniesie mu żadnych korzyści.

- Naprawdę? Nie sądzisz, że liczy na to, iż Nicholas dojdzie do władzy? Może jest sprytniejszy od całej reszty? Bardziej przewidujący.

- Nawet jeśli coś w tym jest - powiedział lojalnie Patrick - to tylko mała część prawdy. Francis Luther lubi mnie, a ja jego.

- Dziwna przyjaźń. Twoja matka też tak uważa. Wciąż mnie o to pyta. Zamartwia się.

- Prawdopodobnie - zasugerował taktownie Nicholas - jest podenerwowana swoim wyjazdem.

- Całkiem niepotrzebnie - odrzekł Patrick.

Nie zdradził się, że prosił Agnes, by zamieszkała z nimi, skoro jest już za stara, by prowadzić sklep. Odmówiła mu, twierdząc, że w jednym domu nie ma miejsca dla dwóch kobiet. A przecież na Martynice miała zamieszkać z kuzynką. Wiedział też, że ani czas, ani dwie wnuczki nie złagodziły jej urazy do Desiree. Przyłapał ją kiedyś, jak porównywała odcień swej skóry na ręce ze skórą wnuczek, które były znacznie od niej ciemniejsze. Tu leżało sedno i przyczyna jej gniewu! To dziwne, ale potrafił ją zrozumieć i przebaczyć jej. Jak wielu innych, padła ofiarą powszechnych uprzedzeń. Ogarnął go smutek na myśl, że ją utraci. Pamiętał jej dawną opowieść o Mount Pelee i o tym, gdy jeszcze jako dziecko przypląnęła na St. Felice.

- Francis Luther zmusił żonę, by nas dziś gościła - nie dawała za wygraną Desiree. - Możesz być pewien, że ona nie dopuści, by ktokolwiek z jej przyjaciół dowiedział się, że siedzieliśmy przy jej stole. Ja, Patricku, czuję się w tym domu upokorzona.

- Zapomnij o niej - powiedział z niecierpliwością Patrick. - A co z ojcem Bakerem? Twój ojciec mógłby ci o nim wiele opowiedzieć. A co z Kate Tarbox? Dzięki niej możemy korzystać choć w pewnym stopniu z opieki szpitalnej i z paru innych spraw. O to też możesz spytać ojca.

- Dobrze, co do Kate Tarbox - zgoda. Ale ona jest jedna na sto tysięcy. - Roześmiała się. - Czy widzieliście twarz Marjorie Luther, gdy Kate wypaliła, że jej mąż nie usiadłby z nami do stołu? Myślałam, że zapadnie się pod ziemię, wcale nie dlatego, by się z nim nie zgadzała.

- Ta Kate wali wszystko prosto z mostu. Ciekawy charakter. Sądzę, że można jej również zaufać.

- Zaufać Kate? - powtórzył Patrick. - Ręczę za nią moim słowem.

- Trzeba jednak przyznać, że jeśli idzie o wygląd, żona Luthera ma nad nią przewagę. Po pierwsze, jest wysoka - powiedziała Desiree z wyraźną dumą z powodu własnego wzrostu. - Poza tym potrafi się ubrać. Jej suknia musiała kosztować majątek.

- Nie wiesz, co mówisz! - zaprotestował Patrick. - Kate jest pełna życia! Pełna wewnętrznego ognia! Przyjrzyj się jej dobrze następnym razem.

- Posłuchajcie no tylko tego faceta! Można by pomyśleć, że jesteś w niej zakochany! - powiedziała dobrodusznie Desiree.

Ale Patrick się uparł. Z jakiegoś powodu obrona Kate Tarbox była dla niego rzeczą ważną.

- Ona jest autentyczna! Większość ludzi nosi na co dzień maski. Ona - nie!

- Hm, jeśli nie nosi maski, to niech lepiej ją włoży, w przeciwnym razie cały świat się dowie, że jest zakochana we Francisie Lutherze.

- To śmieszne! Och te kobiety! - Patrick pokręcił głową, spoglądając na Nicholasa.

- Marjorie Luther również o tym wie. Dlatego jej nienawidzi.

- Och, te kobiety! - powtórzył Patrick szyderczo.

- Wiesz, że Desiree ma rację - powiedział spokojnie Nicholas. - Ja też to wyczułem. Dlatego próbowałem odwrócić uwagę pani Luther. Sztuka dyplomacji przyjaciela. Musisz mieć oczy szeroko otwarte, bo inaczej zginiesz.

- Ja tak nie potrafię - odrzekł Patrick ze smutkiem.

- Jesteś zbyt skromny - skarcił go łagodnie Nicholas.

Pokonali ostatnie wzniesienie przed Covetown. Ogromna czerwona kula zaczęła pogrążyć się w morzu, rzucając złotaworóżowe odbłaski na dachy domów.

- Eleuthera - powiedział cicho Nicholas. - Wolność. Piękna nazwa.

- Tak - przyznała Desiree. - W takim miejscu można czuć się z pewnością wolnym, prawda?

- Wolność jest pojęciem względnym - zauważył Patrick. - Możesz mieszkać w pałacu i mieć tak ograniczony umysł, że równie dobrze mogłabyś przebywać w więzieniu.

- Nie zmieniłeś się od czasów szkolnych, przyjacielu - dociął mu Nicholas. - Mówiłem ci wówczas i powtarzam teraz, że powinieneś zostać filozofem.

- Nigdy nie wiem, co on naprawdę myśli - powiedziała czule Desiree, a gdy samochód zatrzymał się przed ich małym domem, dodała: - Wiem natomiast z całą pewnością, że mogłabym siedzieć bez końca na tamtym trawniku i patrzeć na ocean. Czy sądzisz, że ludzie tacy jak oni zdają sobie choć w najmniejszym stopniu sprawę ze swego szczęścia?

Morze rozbłyskiwało różnymi odcieniami złota, srebra i różu, gdy horyzont podnosił się, by połknąć słońce. Cztery osoby, które pozostały po odjeździe gości, siedziały na trawniku, z twarzami zwróconymi ku temu wspaniałemu widowisku.

Marjorie pierwsza przerwała milczenie.

- Nie wiem, jak wy, ale ja jestem kompletnie wypompowana! Tak się starałam, żeby podtrzymywać konwersację, zwłaszcza z tą kobietą. Jaki, do licha, mogłam wymyślić wspólny temat? Da się znieść tego Nicholasa, to przynajmniej dżentelmen. Najbardziej do nas pasuje, choć oczywiście to nie to samo.

- To zupełnie do ciebie niepodobne - skarcił ją lekko Francis. Nieco zmieszany, zaczął ją tłumaczyć: - Marjorie z pewnością miała co innego na myśli, tylko zabrzmiało to tak niezręcznie.

- Właśnie że nie! - upierała się Marjorie. - Powiedziałam to, co myślę. Nie życzę sobie, by mój dom stał się miejscem zebrania politycznych. Dla mnie powód spotkania był fałszywy. Sztuczny. Co wspólnego mamy z tymi ludźmi, a oni z nami?

- Może okoliczności nas do tego zmuszą? - odparł spokojnie ojciec Baker. - Pomijając względy moralne, może będziemy zmuszeni mieć z nimi wiele wspólnego. Zamierzają stworzyć własny rząd szybciej, niż się pani spodziewa. Imperium brytyjskie się rozpada.

Indie już się oderwały, reszta też to zrobi, bez wątpienia. Marjorie najwyraźniej była w bojowym nastroju.

- Nie rozumiem, czemu chcecie tak łatwo się poddać, ustąpić tym agitatorom! Ci ludzie wcale nie mają takich złych warunków życia. Klimat nie mógłby już być łagodniejszy. Na targowiskach widzi się mnóstwo wspaniałych jarzyn, ryb...

- Będąc tutaj już tyle czasu - przerwał jej ojciec Baker - z pewnością musi pani wiedzieć, że brakuje żywności, a jeśli nawet jest, ludzie nie mają pieniędzy na jej zakup.

- Cóż - z uporem brnęła dalej Marjorie - sami są sobie winni! Te monstrualnie wielkie rodziny! To doprawdy obrzydliwe. Kobiety bez mężów z gromadą dzieci. No, ale w Afryce nie istniała instytucja małżeństwa, przypuszczam więc...

- Nie ma pracy dla mężczyzn, czyżbyś o tym nie słyszała? - wtrąciła Kate. - Dlatego tylu z nich wyjeżdża.

„Kobiety ostrzą swoje noże” - pomyślał Francis.

- Ci ludzie mają mentalność dzieci - zmieniła temat Marjorie. - Jedna ze służących przeraziła mnie śmiertelnie w ubiegłym tygodniu. Zaczęła wrzeszczeć, że duchy sprowadziły chorobę na jej dziecko i przewracały meble w jej domu. Myślałam, że traci rozum, na szczęście Osborne wyjaśnił mi, że to ich zwyczaj odczyniania czarów. Co można zrobić z takimi ludźmi? I oni chcą stworzyć rząd!

- Mówisz jak Lionel - wycodziła Kate przez zaciśnięte zęby. Pogardzały sobą nawzajem. Francis poprawił się niespokojnie na fotelu ogrodowym, modląc się w duchu, by goście poszli już sobie do domu. Było dopiero wpół do ósmej. Za godzinę będą musieli się pożegnać. Irytowała go Marjorie, a zarazem było mu jej żal.

- Czy to takie naganne mieć podobne poglądy jak twój mąż? - spytała Marjorie. Słowa „twój mąż” zabrzmiały oskarżycielsko. - Tak się składa, że go szczerze podziwiam.

- Och, jest godny podziwu z wielu powodów - odrzekła Kate.

- Ja go podziwiam za to, że potrafi cieszyć się życiem. Pracuje ciężko i wydaje zarobione pieniądze bez tego okropnego poczucia, że je posiada, co jest takie nieznośne u innych.

Temperatura rozmowy to podnosiła się, to opadała. Kolejne wypowiedzi przypominały fale morskie, uderzające z impetem o brzeg, potem znów cofające się w głąb morza, by zebrać siły do kolejnego ataku. Francis jeszcze raz pomyślał, że goście mogliby już

pójść sobie do domu, a Marjorie do łóżka, pozostawiając go samemu sobie. Wytrącili go z równowagi, popsuli naprawdę przyjemne i ciekawe popołudnie.

- Patrick i Nicholas chodzili do mojej klasy - powiedział ojciec Baker. - Zainteresowałem się ich przyszłością, ponieważ zawsze zwracam szczególną uwagę na zdolnych chłopców ich rasy. Częściowo powoduje mną współczucie, a częściowo, obawiam się, czysta ciekawość.

- Od razu widać, że Nicholas jest bystry - zauważyła Marjorie. Stary pastor był nieco odmiennego zdania.

- Bystry - owszem. Zdolny - tak. Patrick jest natomiast myślicielem. Powolniejszy, znacznie mniej ambitny, właściwie prawie bez ambicji, ale... Cóż, czas pokaże.

- Jest w nim coś bardzo subtelnego - wtrącił Francis. - Głębokiego. Można się tego domyślać. Ma coś w oczach... - spojrzawszy przez ramię, napotkał spojrzenie Kate.

- Tak - powiedziała, odwracając wzrok.

- Czy miałaś jakieś wiadomości od Julii i Herberta? - spytała Marjorie, przypominając sobie o obowiązkach gospodyni. - My dostaliśmy list jakieś dwa, trzy miesiące temu.

- Tak, Julia pisze, że dobrze się stało, iż Herbert zdecydował się na przenosiny do Anglii, w przeciwnym razie byłiby wyłącznie jednymi z wielu mieszkańców kolonii, a ci nigdy nie należą do śmietanki. To doprawdy idiotyczne, jak ludzie lubią przyklepać sobie etykiety: „Ja jestem lepszy od ciebie; on jest lepszy od niej.” Zupełnie jak te kobiety w miejskim klubie, zwłaszcza cudzoziemki - prowadzące wielkopańską działalność charytatywną. Są jeszcze gorsze od tych, którzy się tu urodzili.

- Wcale tak nie uważam - odparła z zawziętością Marjorie. - Mam tam wielu przyjaciół. Żałuję, że nie mieszkamy bliżej miasta. Chciałabym, żeby Francis kupił dom w Covetown, jeden z tych ślicznych starych domów z ogrodem.

- Wiesz, że muszę być tutaj - powiedział Francis.

- Masz przecież Osborne'a. Zawsze twierdzisz, że jest godny zaufania.

- Tak, ale mnie nie zastąpi.

Marjorie westchnęła i Francis pomyślał znowu: „Powinna mieć dziecko.” Prześladowała go ta myśl i był pewien, że żonę również. Jej

nerwy nie były w najlepszym stanie. Podczas wizyty w Nowym Jorku oboje przeszli wszystkie testy i lekarze nie znaleźli żadnego powodu, dla którego Marjorie nie może zająć w ciążę. Wszyscy ich znajomi mieli dzieci, silne dzieciaki o spłowiałych od słońca włosach i opalonych twarzach. Każda rozmowa dorosłych nieuchronnie schodziła na radości i smutki ich pociech. Czasami myślał, choć prawdopodobnie krzywdził tym Marjorie, że bardziej od braku dzieci boli ją sam fakt, iż nie jest zdolna urodzić.

- Robi się wilgotno. Może wypijemy kawę w domu? - zaproponowała gospodyni.

- Zagrasz dla nas, Kate? - spytał ojciec Baker. - Pamiętam, jak ćwiczyłaś walce Liebeslieder jako mała dziewczynka.

- Nie gram zbyt dobrze.

- Może jednak?

Usiadła przy fortepianie. Ze swojego fotela pod oknem Francis widział z ukosa jej policzek i puszyste kręcone włosy, falujące niczym firanka przy każdym jej ruchu. Wydawało mu się, że gra bardzo dobrze, ale nie należał do wytrawnych znawców muzyki, Brahms jednak zawsze na niego działał. Pomimo iż była to niedziela i tego dnia przecież nie pracował, odczuwał wielkie zmęczenie. Odstawiwszy filiżankę z kawą, odchylił głowę na oparcie fotela i zamknął oczy. Muzyka perliła się, opowiadając o prostych rzeczach, o maju na wsi, strumieniach, ogrodach i pierwszej miłości. O słodkim zapachu jaśminu i wilgotnej trawy.

Nagle muzyka całkiem się zmieniła. Przeszła w tonację minorową. Jak gdyby smutek legł cieniem na duszy pianistki. Zdarzyło się już kilkakrotnie w przeszłości, że zauważył wyraz smutku na twarzy Kate.

„...Ożenił się więc ze mną.” Te słowa wciąż rozbrzmiewały mu w uszach, zapamiętał jak Kate nagle spoważniała, a potem stanowczo potrząsnęła głową, jak gdyby chcąc się pozbyć nurtujących ją trosk. Zabawna, dzielna kobieta. Czupurna, nie obawiająca się niczego, a jednak...

Od tamtej pory wciąż o niej myślał. Nie, „myślał” to złe określenie, ona tkwiła jak cień w jego podświadomości. Gdy załatwiał sprawunki w mieście, przemykało mu przez myśl, że może znów ją spotka przypadkiem na ulicy. Nigdy się to jednak nie zdarzyło. Wchodząc do pokoju pełnego ludzi podczas jednego z tych



spędów, gdzie się stoi przez cały wieczór z drinkiem w dłoni, wypatrywał jej z nadzieją w tłumie. Niestety.

Wszystko to, oczywiście, nie miało znaczenia - chwilami zdarza się to każdemu mężczyźnie, a potem przemija. Otwierając oczy, napotkał badawcze spojrzenie Marjorie. Muzyka urwała się nagle, Kate zamknęła z trzaskiem wieko fortepianu.

- Już późno - rzekła. - Czas na nas, wielbny ojcze.

Zapadł niemal całkowity zmrok. Kate zatrzymała się przy samochodzie i spojrzawszy w niebo, na którym nie było księżyca, tylko miriady migocących gwiazd, powiedziała:

- Nawet najłżejszego powiewu. Zupełna cisza. Jakie to dziwne. Miliony gwiazd krążących w absolutnej ciszy.

Wydało mu się, że widzi łzy w jej oczach, a może był to tylko ich naturalny blask?

- Nic o nich nie wiemy, prawda? - powiedziała, wsiadając do samochodu. Wrócił do domu, gdzie czekała na niego Marjorie. Oparta o framugę drzwi, również wpatrywała się w niebo.

- Przygnębiający wieczór - powiedziała.

- Przygnębiający?

- Tak. Tak. Powiedz mi, czy naprawdę sądzisz, że będziemy mieli kiedykolwiek dziecko?

Otoczył ją ramieniem, wyczuwając pod cienkim jedwabiem napięte mięśnie. - Nie wiem - zaczął. - Przecież...

- Cóż za głupota z mojej strony pytać cię o to! Skąd możesz wiedzieć? - Rozpłakała się. - Czuję wstręt do samej siebie, Francisie! Co to za kobieta, której macica nie może wydać dziecka! Co mam począć z moim życiem? Robić dobrą minę do złej gry wobec przyjaciół? Biegać tu i tam jak kot z pęcherzem na podobieństwo Kate Tarbox?

Cofnął palce, którymi gładził bezwiednie jej drżące ramiona.

- Co masz przeciwko Kate? Nie wyrządziła ci nigdy nic złego.

- Nie ufam jej.

- Czy kobiety nie potrafią sobie współczuć? - spytał spokojnie. - Wiesz, że nie jest szczęśliwa w domu.

- To jej nie upoważnia do polowania na cudzych mężów!

- Ależ, Marjorie! To kompletny nonsens!

Czy rzeczywiście? Z wahaniem i oporami, to wychodząc naprzeciw, to znów się cofając, bez słowa, tylko oczami porozumiewali się on i tamta kobieta. Tak, to prawda.

Ogromnie zakłopotany, pełen obaw, wyciągnął znów ramiona ku swej żonie, ona jednak cofnęła się o krok, przyciskając się do drzwi.

- Skrzywdziłem cię - powiedział - przywożąc cię tutaj. - Nie zaprzeczyła, mówił więc dalej: - Powinniśmy chyba rzucić to wszystko i wrócić do domu.

- Wiesz dobrze, że tego nie zrobisz, zbyt głęboko zapuściłeś tu korzenie.

To prawda. Zastanawiał się, czy gdyby to ona znalazła wreszcie pracę i odpowiedni dla siebie sposób na życie, dające jej satysfakcję, pojechałby z nią chętnie. Próbował znaleźć odpowiedź na to pytanie i doszedł do wniosku, że byłaby twierdząca. Czy więc wymagał od niej zbyt wiele? Chyba nie.

Jak gdyby zdając sobie sprawę, że niewiele jest już do powiedzenia, Marjorie znowu westchnęła.

- Kładę się spać. Idziesz ze mną?

- Za chwilę - odpowiedział.

Zrozumiał, że miała dziś ochotę na seks. Nie tylko z powodu szaleńczego pragnienia, by zająć w ciążę. Chciała dostać to, co się jej należało, potwierdzić, że wciąż jest godna pożądania, a jej małżeństwo jest udane. Nie potrafiłby udowodnić, że ma rację, ale gdy się położył obok niej, jego ciało wyczuło, że to prawda.

Coś się stało, coś się zmieniło - i to wcale nie dlatego, że mieszkali tutaj. Tu czy tam, gdziekolwiek, można się zaaklimatyzować, jeśli wszystko poza tym jest w porządku. Nie było to również żądło zazdrości. Przysiągł, że nie da jej powodu. Był świadkiem zbyt wielu takich historii z ojcem. Czy stało się tak, ponieważ po prostu nie mieli dzieci?

Nierówne bicie serca rozsadzało mu klatkę piersiową. Czuł dziwny niepokój.

W dole morze prześwitywało srebrzyście przez gęstwinę liści. Pnące róże oplatały się wokół potężnych kauczukowców. Szum wiatru przywiódł mu nagle na myśl obraz Marjorie, trzymającej go pod rękę, roześmianej, szamocącej się ze ślubnym welonem, którym porywisty wiatr przesłaniał jej usta.

Kiedy się to zmieniło i dlaczego? Nie wiedział, nie potrafił powiedzieć, po prostu stało się. Przyszło mu na myśl, że taki żal odczuwa się, gdy się jest już starym. Ogarnął go dojmujący smutek i poczucie samotności. Stał cichy, nieporuszony, czekając, aż minie.

Ach, tylko głupiec ma nadzieję, że pierwsze tajemnicze uniesienia będą trwały wiecznie!

Bezradnym gestem wyciągnął ramiona ku tchnącej życiem nocy. Wszystko było błękitne: odległe blade gwiazdy na niebie, cień rzucany na trawę przez drzewa. Ptak, który jeszcze nie pogrążył się we śnie, zaśpiewał jeden jedyny czysty, wesoły trel i ucichł. Serce zabiło mocno w piersi Francisa.

Westchnąwszy, jak przedtem Marjorie, wszedł do domu i zamknął drzwi.

## Rozdział 11

Tyle jest do zrobienia - powiedział z wyrzutem Nicholas, odsuwając się od ogromnego biurka, na którym leżały w idealnym porządku sterty dokumentów - a ty zaszyłeś się w wiejskiej szkole i marnujesz swoje możliwości.

Wzdłuż ścian gabinetu ustawione były regały wypełnione książkami z dziedziny prawa, pomiędzy nimi wisiały oprawne w ramy dyplomy. Nad oknami zawieszono długi zielono - żółty transparent, głoszący z optymizmem: NEW DAY PROGRES - SIVES DLA LEPSZEGO JUTRA.

Nicholas podążył wzrokiem za spojrzeniem Patricka.

- Podoba ci się?
- Z pewnością przykuwa uwagę.
- Czy przemyślałeś naszą ostatnią rozmowę?

Teraz Patrick musiał odegrać rolę obrońcy niesłusznej sprawy.

- Żadna uczciwa praca nie idzie na marne. Wiesz dobrze, że zawsze chciałem uczyć.

- Świetnie rozumiesz, co mam na myśli. Ileż to razy mówiłeś, że to daremny trud uczyć dzieci rzeczy, z których nigdy nie zrobią użytku.

- Mimo to, jeśli uda się wykrzesać choć jedną iskrę...

- Wiem, wiem. Pobożne życzenia. Przecież może się tym zająć kto inny. To, o co cię proszę, jest znacznie pilniejsze. Chcesz poprawić warunki? Pomyśl więc, jaką potęgą jest prasa! Masz świetne pióro, a naszej partii potrzebna jest gazeta, prezentująca jej poglądy. Prawdę mówiąc, brakuje tu porządnej gazety. Posłuchaj tylko. - Nicholas podniósł z biurka egzemplarz „Clariona”. - Oto strona tytułowa: „Panna Emmy Lou Grace zaszczyciła swą obecnością przyjęcie wydane w ubiegłą środę z okazji jej osiemdziesiątej piątej rocznicy urodzin przez panią Klarę Pitt.” A oto artykuł wstępny: „Ubolewamy nad oplakany stanem placu w dni targowe... rybie głowy przyciągają bezpańskie koty!” - Odrzucił ze śmiechem gazetę. - Wiele temu podobnych bzdur! Nic natomiast o szkołach, kwestii mieszkaniowej, ani nawet o niepodległości, od której dzielą nas najwyżej dwa lata! Mdła papka! Patricku, mam wystarczająco dużo pieniędzy, by założyć gazetę i dopłacać do niej, póki nie będzie w stanie sama na siebie zarobić. Gdy w ubiegłym roku zmarł mój ojciec, zostawił mi znacznie więcej pieniędzy, niż się spodziewałem.

Posłuchaj, utrzymuję całe to biuro, zarezerwowałem dodatkową powierzchnię na potrzeby partii. Chciałbym powierzyć ci redagowanie mojej gazety. Chcę zyskać wyborców, zanim zrobią to inne partie.

- One prochu nie wynajdą. Nie mają prawdziwych przywódców ani programów, wyrażają tylko ogólne niezadowolenie.

- Właśnie. Ale nie można liczyć na to, że zawsze tak będzie. Kiedy nastanie niepodległość, a właściwie zanim jeszcze nastanie, chcemy znaleźć się na pierwszym miejscu. Jesteś idealistą, ale co warte są ideały, jeśli wyłącznie się o nich gada? Tutaj będziesz miał szansę zrealizować niektóre z nich.

Patrick wyjrzał przez okno, uciekając przed badawczym wzrokiem przyjaciela. Po zatoce płynęła motorówka, zostawiając pianisty ślad na gładkiej powierzchni wody. Dzwony katedralne rozdzwoniły się na krótko, po czym ucichły. Niedzielny ocieślał spokój legł nad miastem, dając Patrickowi chwilę wytchnienia od niespożytej energii Nicholasa i pozwalając odwlec decyzję, którą kazano mu podjąć.

„Nie jestem człowiekiem czynu” - pomyślał raz jeszcze.

- Czy rozmawiałeś o mnie ze swoim teściem?

- O tak - Patrick uśmiechnął się figlarnie. - Powiedział, że nie czuje do ciebie urazy za to, że nosisz wytworne garnitury i mówisz z angielskim akcentem.

Nicholas roześmiał się.

- Więc mnie akceptuje?

- Hm, wiesz dobrze, że chodzi mu o rząd, który będzie reprezentował interesy świata pracy. Jeśli spełnisz ten warunek, z pewnością cię poprze.

- Świetnie. A co z gazetą?

- Dostęp do prasy jest, oczywiście, rzeczą ogromnej wagi. Plantatorzy bez wątpienia będą walczyć przez cały czas. Z wyjątkiem Francisa Luthera i może paru innych niezależnych ludzi.

- Clarence nie jest nawet pewny, czy ma zaufanie do Francisa - rzekł powoli Patrick. - Nie muszę dodawać, że się z nim absolutnie nie zgadzam!

- Nie ufa Francisowi! - wykrzyknął Nicholas.

- Cóż, Clarence robi się coraz starszy, poza tym zbyt wiele widział w życiu. Przyznaje, że prawdopodobnie jest cyniczny.

- Z pewnością jest. Posłuchaj, do nas należy określenie warunków, które są nie do przyjęcia, które nie przejdą. Musimy przekonać ludzi. To głupie uważać kogoś za wroga wyłącznie dlatego, że jest plantatorem lub ma biały kolor skóry. Nie powiedziałem ci jeszcze o czymś. Dowiedziałem się o tym wczoraj. Kate Tarbox chce się do nas przyłączyć.

- Jak to?

- Odeszła od męża. Definitywnie. Powinna to była zrobić dawno temu, przynajmniej tak głosi plotka. - Nicholas wzruszył ramionami. - W każdym razie przeprowadziła się do domu, który odziedziczyła po ojcu. Jest bardzo skromny, znajduje się przy końcu uliczki u stóp Library Hill. Kate musi zacząć zarabiać pieniądze i chciałaby pracować dla naszej gazety, może nawet pisać coś pod pseudonimem.

Patrick zagwizdał cicho. Czy ta przeprowadzka nie ma nic wspólnego z Francisem? Chyba jednak nie.

- Co o tym myślisz? Praca z nią mogłaby chyba być przyjemna. - Nicholas spojrział na zegarek.

Patrick natychmiast się podniósł.

- Daj mi trochę czasu na zastanowienie.

Zbiegł po schodach i wsiadł do samochodu, czując presję propozycji Nicholasa. Owszem, pochlebiała mu, poza tym stanowiła pewną pokusę - przede wszystkim finansową. Desiree byłaby zachwycona. Zmarszczył brwi, natychmiast jednak się rozpogodził. Nie ma powodu, by się denerwować! Zawsze ciągnęło ją do luksusu, a ta skłonność pogłębiła się od czasu, gdy Doris została żoną Nicholasa i zamieszkała w Covetown. Według Desiree, a może i innych, Doris to osoba bywała, znająca się na tym, co dobre. Doris i Nicholas mieszkali w domu, który należał niegdyś do jego ojca, ale Desiree doniosła mu z lekką zazdrością, że młodzi budują dom nad morzem, około trzech kilometrów od miasta. Bardzo nowoczesny, cały przeszklony, obfitujący w otwarte przestrzenie. „W stylu Le Corbusiera”, wyjaśniła. Prawdopodobnie nigdy dotąd nie słyszała o Le Corbusierze, była jednak Pojętną uczennicą.

Jego myśli powędrowały znów ku gazecie i Kate Tarbox, która porzuciła przepych tak imponujący Desiree... Następnie pomyślał o Agnes. Sprzedała sklep i była gotowa do wyjazdu. „Co to za dom, w którym ma zamiar zamieszkać?”, myślał z niepokojem.

- Z plecionki pokrytej tynkiem - wyjaśniła. - Zbudował go mąż jednej z moich kuzynek.

- Ale tutaj masz bieżącą wodę, przywykłaś do wygód - zaprotestował.

- Nie przesadzaj - powiedziała kręcąc głową, aż zakołysały się kolczyki w jej uszach. - Urodziłam się w takim domu. Sodówka nie uderzyła mi do głowy, mogę mieszkać w nim i teraz.

To zabawne, jak niektórzy ludzie pragną koniecznie coś mieć, innym zaś zupełnie na tym nie zależy!

Co do niego, mieszkał wygodnie i czysto, jadał smacznie. Przeważnie robił to, co lubił. Pomyślał z bólem o „swoich” dzieciach, przypominając sobie ich twarze w takiej kolejności, jak siedzieli w ławkach. Rafael - niesforny i sprytny jak małpka. Dopiero ostatnio nieco się uspokoił. Za nim siedział Tabitha, jąkała, który bez wątplenia był bity od wczesnego dzieciństwa. Następnie Charlotta, z niesamowitą pamięcią do liczb. Nie, nie robi tego! Nie może ich zostawić! Stanowili dla niego wyzwanie, budzili jego współczucie. Doprowadzali go do wściekłości, wystawiali na próbę cierpliwość, a poza tym kochali go. No cóż, przynajmniej niektórzy!

To, czego żądał od niego Nicholas, było krokiem w nieznanie. Gdyby się nie udało, straciłby posadę w szkolnictwie...

Gdyby się zaś udało, nie miał złudzeń, do czego by to wszystko doprowadziło. Zaangażowałby się w bezwzględną walkę polityczną. Niezbyt mu się to uśmiechało. A może zaangażowanie jest obowiązkiem dojrzałego mężczyzny? „Muszę koniecznie z kimś porozmawiać”, pomyślał. W tej samej chwili, niemal automatycznie, jego samochód skręcił z nadbrzeżnej drogi, kierując się pomiędzy wzgórzami ku Eleutherze. Francis z pewnością nie będzie miał nic przeciwko jego wizycie, raczej ucieszy się, że ktoś pragnie zasięgnąć jego rady.

Patrick był tak podekscytowany, tak zajęty sobą, że zakrawało na cud, iż w ogóle zauważył cokolwiek, kilka metrów od szosy. Ściślej mówiąc, przejechał już spory kawałek, gdy uświadomił sobie, co tam zobaczył. Zatrzymał samochód, wycofał go wąską krętą drogą aż do tamtego miejsca, wmawiając sobie, że to halucynacja.

Nie. To wcale nie była halucynacja. Kilka metrów od szosy stał przywiązany do drzewa dziewięcio - lub dziesięcioletni chłopiec.

Patrick przetarł oczy i potrząsnął głową. Następnie wyskoczył z samochodu.

- Co się stało? - zawołał.

Chłopiec dawno już chyba przestał płakać. Oczy miał suche. Wargi mu krwawiły. Chyba próbował przegryźć gruby wystrzępiony sznur.

Patrick ukląkł i rozciął scyzorykiem więzy. Pochwycił dziecko w ramiona. Chłopczyk zmoczył spodnie, gęste czarne loki miał wilgotne od potu. Patrick przytulił go mocniej do siebie.

- Kim jesteś? Gdzie mieszkasz? Kto to zrobił? Chłopiec wyrywał się z jego objęć, może po prostu ze strachu, Patrick puścił go.

- Powiedz mi, proszę - wyszeptał. - Jak masz na imię?

- Will. Chce mi się pić i jeść. - W dalszym ciągu oczy miał suche.

- Wskakuj do samochodu, Will. Zatrzymamy się po drodze i kupimy ci coś do jedzenia.

Chłopiec wdrapał się na siedzenie obok Patricka. Usiadł wyprostowany i cichutki, zaciskając dłonie na kolanach. „Byłoby to zachowanie naturalne, gdyby chłopak wpadł w histerię”, pomyślał Patrick, ale w końcu nie był psychologiem.

- Kto ci to zrobił, Will? - spytał, starając się, by jego głos brzmiał bardzo spokojnie.

- Bert.

- Kto to jest Bert?

- Tam, gdzie mieszkam. Bert. - Z matką i... - zawahał się - ojcem? - Nie mam matki ani ojca. - Może babcię?

- Nie. Umarła.

- Może masz braci? Siostry? Jakaś rodzinę?

- Miałem wujka, ale odszedł. Zabrał wszystkie moje rzeczy.

- Tak? To znaczy co?

- Garnki i dwa osły, które dostałem od babci. Ukradł je. Sprzedał, a potem poszedł sobie.

- Rozumiem - powiedział Patrick. Opowieść porzuconego dziecka nie była niczym nowym, stanowiła po prostu okrutniejszą wersję znanej już historii.

- Chce mi się jeść, proszę pana.

- Mów do mnie „panie Courzon”. Albo nie - powiedział, spoglądając na brudne, zaciśnięte kurczowo pięści. - Mów do mnie



„wujku Patricku". Będę twoim wujkiem, twoim dobrym wujkiem. O, tutaj jest sklep. Zobaczymy, czy znajdziemy coś do jedzenia.

W sklepie, a właściwie frontowym pokoju pochylonego domu, stało kilka półek wypełnionych konserwami, torebkami ryżu, mąki i różnościami. Patrick kupił tabliczkę czekolady, banany i butelkę wody sodowej.

- Nie jest to może najwspanialszy lunch na świecie - powiedział wesoło, choć wcale nie było mu do śmiechu - ale musi ci wystarczyć, póki nie kupimy czegoś lepszego.

Will łączywie pochłaniał jedzenie. Gdy skończył, Patrick spytał go ponownie:

- Powiedz mi teraz, gdzie mieszkasz, Will. Pójdziemy tam. Chciałbym zadać parę pytań.

- Delicia. Ta wioska nazywa się Delicia.

- Delicia! Że też nie przyszło mi do głowy, by zapytać wcześniej!

Jechali w złym kierunku. Nie uda mu się dzisiaj odwiedzić Eleuthery. Trudno! Pierwszeństwo mają sprawy najważniejsze. Zawrócił samochód i zjechał na pełną kolein drogę niedaleko od miejsca, w którym znalazł Willa. „Powinienem był się domyślić”, pomyślał, zły na siebie.

- Trzeba natrzeć maścią twoje ręce i nogi - powiedział. - Czy bardzo boli?

- Trochę - odrzekł Will.

Albo był wciąż bardzo przerażony, albo zmęczony. „Mój Boże!", pomyślał Patrick, przelatykając ślinę. Oburzenie i współczucie dosłownie go dusiły.

Przypomniał sobie, że był kiedyś w Delicii. Zabłądziwszy, znalazł się w położonej na odludziu, pośród gajów bananowych, małej wiosce. „Mógłbym napisać jej historię", myślał, zatrzymując się w miejscu, które wskazał Will. Rdzeń wioski stanowiły silne i oddane kobiety, które pozostały, by się tu zestarzeć, zajmując się rozbieganymi dziećmi młodych, którzy opuścili wyspę w poszukiwaniu pracy i rzadko po nie wracali. Zjawiali się tu czasem i mężczyźni, na krótko, zaledwie po to, by dać życie potomstwu, po czym znów wioskę opuszczali; byli też tacy, którzy, pozostając, traktowali z okrucieństwem lub w najlepszym razie z pogardą spłodzone przez siebie lub przez innych mężczyzn dzieci. Nędzna wioszczyna, o niebo gorsza od Sweet Apple. Ubóstwo bowiem,

podobnie jak bogactwo, ma swoje stopnie i etykiety: biedny, biedniejszy, najbiedniejszy. Delicia należała do tej trzeciej kategorii.

Dzieci, półnagie, w samych tylko koszulkach do pępka, bawiły się na wspólnym brudnym podwórku pośród psów i spętanych kóz. Kilka kobiet siedziało na ziemi wokół obłożonego kamieniami ogniska, jedząc owoce drzewa chlebowego i soloną wieprzowinę prosto z garnka. Usłyszawszy odgłos gniewnych kroków Patricka, odwróciły się ku niemu.

- Czyj to dzieciak? - spytał.

Will wysiadł i przyłgął do zderzaka samochodu, jak gdyby szukając ochrony.

- Jego matka nie żyje - odparła wymijająco jedna z kobiet. - Miała na imię Estelle. Umarła, wydając go na świat.

- Kto się nim teraz opiekuje?

- Miał wuja, który wyjechał stąd. Chyba do Nowego Jorku.

- Nie, do Londynu - poprawiła ją druga. - Już tu nie wróci.

- Nic mnie to nie obchodzi. Pytam, pod czyją jest opieką?

- Wszystkich. Karmię go czasem razem z moimi dzieciakami - powiedziała jeszcze inna.

- Kto go przywiązał do drzewa? Nie było odpowiedzi.

- Przecież ci mówiłem. Bert - odezwał się Will.

- Kto to jest Bert? - spytał Patrick podniesionym głosem. - Gdzie go mogę znaleźć?

- Nie ma go tutaj.

- Widzę. A gdzie jest?

- Wyszedł na cały dzień.

Kobiecie musiała zaświtać w głowie niejasna myśl o grożącej im karze, zaczęła bowiem głośno wykrzykiwać:

- Ten chłopak wykopał bulwy ignamu! Trzy bulwy! Za to dostał lanie i został przywiązany!

Wszystkie niemal poderwał do góry histeryczny wrzask Willa:

- Byłem głodny! Niech was diabli porwą, byłem głodny!

Patrick miałby ochotę wykrzyknąć razem z nim swe oburzenie, zamiast tego jednak położył dłoń na ramieniu chłopca. Młoda kobieta w ciąży podeszła do Patricka.

- Chce pan zabrać tego chłopca? Jeśli będzie niegrzeczny, Bert znowu go zbije i zwiąże. Bert albo ktokolwiek inny.

Podpowiadała mu, prosiła, by zabrał dziecko. Sama znajdowała się w skrajnej nędzy i trudno by ją nawet winić, gdyby odwróciła się obojętnie i odeszła. Ona jednak zachowała wrażliwość, odczuwała współczucie i troskę na tyle, by wstawić się za tym nieszczęsnym, niechcianym chłopcem.

Gdyby zostawił sobie więcej czasu do namysłu, rozważyłby sprawę własnej rodziny, odpowiedzialności i problemów, jakie mogą się z tym wiązać. Doszedłby wówczas do wniosku, że rozsądniej byłoby odmówić, odjechać z ciężkim sercem, a po pewnym czasie zapomnieć Willa Jakmutam! Nie zastanawiał się jednak ani chwili.

- Czy on ma jakieś ubrania? Cokolwiek? Kobieta skinęła twierdząco głową.

- Pokażę panu.

Weszli do domu. We frontowej izbie, na gołym klepisku, siedziały kurczęta, a na blaszanym piecyku gotował się olej kokosowy - Patrick pomyślał, że z pewnością z kradzionych orzechów. W drugiej izbie znajdowało się łóżko oraz sterta przykryć leżących na ziemi.

- To jego przykrycie - powiedziała kobieta. - Czasami sypia w tym domu, a czasem tam, gdzie akurat jest wolne miejsce. Może pan wziąć dla niego te spodenki i dwie koszule. Jedna należy do moich synków, ale może ją sobie zatrzymać.

- Wezmę tylko spodenki. Zmoczył te, które ma na sobie.

Wyszli na zewnątrz. Nagle Patrickowi przemknęło przez myśl, że być może był zanadto pewny siebie.

- Powiedz, Will, czy chcesz jechać ze mną?

- A dokąd mnie zabierasz?

- Do mojego domu.

Will podniósł na niego czarne oczy, z których trudno było cokolwiek wyczytać i wbił świdrujący wzrok w Patricka.

- Czy bijesz swoich synów?

- Nie mam synów, lecz dwie małe córeczki. Nie, nie biję ich. Nie uznaję bicia dzieci ani wiązania ich.

- Wobec tego pojedę z tobą.

Tak więc sprawa została załatwiona. Kobiety wróciły do swego posiłku, zanim samochód zdążył zawrócić i ruszył podskakując na wyboistej drodze pośród cienistych gajów bananowych, po czym wydostał się na główną drogę. Pozostawili za sobą niesamowity

surrealistyczny krajobraz - garstkę chat pośród bezmiaru wilgotnej dżungli, kobiety przykucnięte nad żelaznym garnkiem - i powrócili do normalnego słonecznego świata. Patrick potrząsnął głową, jak gdyby chciał się upewnić, że nie śni.

- Może Bert też był głodny - powiedział nagle Will.

- O co ci chodzi?

- Pewnie sam chciał zjeść te bulwy. Dlatego wściekł się i mnie związał.

- Chcesz powiedzieć, że nie jesteś na niego zły?

- Nienawidzę go! Chciałbym go zabić!

Patrick pokiwał głową. To już lepiej, słuszna wściekłość. Mimo to, cóż za dziwna wnikliwość u dziecka! „Może Bert też był głodny.”

- Oprzyj głowę o fotel - powiedział łagodnie - albo zwiń się w kłębek na siedzeniu i zdrzemnij się trochę. Obudzę cię, gdy dojedziemy na miejsce.

„Och, zrobiłem cholerne głupstwo!”, pomyślał. „Desiree zapewne dostanie szału.” Ale czemu nie? Rozważając w myślach wszystkie za i przeciw znalazł w końcu usprawiedliwienie: „Chciałem mieć syna, a Desiree nie zgodziła się na więcej dzieci. Pewnie ze względu na figurę. Dziewczynki są urocze, czarujące, ale każdy mężczyzna pragnie mieć syna. Ojciec i syn. Czy dlatego tak bardzo tego pragnę, że nigdy nie miałem ojca? W każdym razie chłopiec...” Spojrzał na śpiące dziecko, silnego chłopaka, wysokiego na swój wiek i ciemnego jak Desiree. Miał regularne rysy, był naprawdę ładny. Widok otarł i pręg na chudziutkich rękach rozwiął jego ostatnie wątpliwości. Był gotów stoczyć każdą walkę po powrocie do domu.

W kilka godzin później siedział w bujanym fotelu na frontowym ganku, wpatrując się w półmrok. Clarence wykapał Willa i położył go spać w wolnym pokoju. Gdyby nie teść, który zjawił się akurat w chwili ich przyjazdu, Patrick musiałby stoczyć znacznie cięższą batalię. Czuł ogromną wdzięczność do starego człowieka.

Drzwi się otworzyły i na ganek wyszła Desiree.

- Czy jesteś na mnie wściekła? - spytał.

- Byłam, ale już mi przeszło. Nic by to nie dało. Tak czy owak postawiłbyś na swoim.

- Czyżbym był aż takim tyranem?

- Niezupełnie. Mam jednak nadzieję, że tym razem wiesz, co robisz.

- Wiem.  
- To na mnie spadną wszystkie obowiązki - powiedziała cicho.  
- Jakie? Przecież on nie jest niemowlęciem. Dojdzie dodatkowy talerz na stole i trochę prania. To wszystko. - Przyciągnął ją do siebie.  
- Bardzo pragnąłem mieć syna. Gdybym był pobożny, powiedziałbym, że to Bóg mi go zesłał. Prawdę mówiąc wtedy i teraz odczułem bliskość religii. Pewnie to sprawa wieku.  
- Jesteś okropny.  
- Czemu? Dlatego, że mówię o religijności czy też jej braku?  
- Tak, i o wieku. Przecież masz zaledwie trzydzieści cztery lata. Zupełnie nie widzę u ciebie oznak starości. Zwłaszcza w łóżku - dodała.

Wiedział już, że mu wybaczone.

- To samo odnosi się do ciebie. Będiesz młoda nawet gdy ci stuknie sześćdziesiątka. - Pocałował ją w rękę. - Chciałbym ci podziękować za to, że byłaś teka wspaniałomyślna.

- A co miałam począć?

- Bałem się, że zrobisz mi dziką awanturę i nawet nie mógłbym mieć do ciebie pretensji. Przyprowadzić bez uprzedzenia do domu obce dziecko! Cóż, większość mężczyzn z pewnością by tak nie postąpiła. Ale gdybyś zobaczyła go tam, przywiązanego do drzewa... przysięgam, że nie wahałabyś się nawet przez chwilę!

- Nie odzywa się do mnie.

- Do mnie też niewiele mówi. Czego się spodziewałaś? Musi być wewnątrznie rozdarty.

- Poczul sympatię do taty. Powiedział mu, że dom jest piękny. Że wygląda jak pałac królewski.

- Co to biedactwo mogło słyszeć o pałacu królewskim? - Patricku, powiedz, co z nim zrobimy?

- Jak to, co z nim zrobimy? Będziemy go kochać, wychowywać. Co więcej? Poszedł na górę do małego pokoju przy końcu holu, nie zaglądając do córek, które spały spokojnie pod różowymi koczkami. Ciągnęło go do biednego, nie chcianego chłopca. Świeżo wykapany i suto nakarmiony, Will wreszcie zasnął. Jego ręce poruszały się, zaciskały nerwowo, jak gdyby coś mu się śniło. Stojący nad nim Patrick mógł tylko mieć nadzieję, że jego sny pełne są spokoju i ufności.

Nagle przypomniał sobie poranne spotkanie. „Tak”, pomyślał teraz. „Nicholas ma rację. Jeśli człowiek rzeczywiście pragnie zmienić świat, a stając przed choćby nikłą szansą, zwyczajnie ją odrzuca - jakie może być dla niego wytłumaczenie? Nicholas ma rację i on przyłączy się do niego w miarę swych możliwości. Zadzwoń do niego i powie mu o tym.”

Gdy jednak podniósł słuchawkę, ręka sama wykręciła inny numer. - Prawie złożyłem ci dzisiaj wizytę - powiedział do Francisca.

- Prawie? Co cię powstrzymało?

- Mam chłopca, a raczej mamy chłopca w naszej rodzinie. - Zaczął radośnie opowiadać o Willu.

- Podziwiam cię! - wykrzyknął Francis.

- Poza tym chciałbym ci jeszcze o czymś powiedzieć. Rzucam pracę w szkole i przyłączam się do Nicholasa. Zamierza wydawać gazetę i chce, bym się tym zajął.

- Wspaniale! Potrzebna jest nam tutaj gazeta z prawdziwego zdarzenia. - Kate Tarbox będzie pracowała ze mną - powiedział Patrick po chwili wahania.

- Doprawdy?

- Przeniosła się do miasta. Nie wiedziałeś o tym?

- Kiedy?

- W tym tygodniu. Opuściła chyba męża.

- No tak - powiedział Francis. - Dzisiejszy dzień obfituje w same rewelacje.

- Do zobaczenia wkrótce - powiedział Patrick, wyczuwając, że przyjaciel pragnie zakończyć rozmowę. - Dobranoc, Francisie.

- Tak, tak, zobaczymy się niedługo. Powodzenia, Patricku, we wszystkim czego się tylko tkniesz.

## Rozdział 12

Już prawie dziewiąta - powiedział wesoło Francis. - Nie masz zamiaru wstać?

Rozsunął story. Cytrynowożółte światło padło na poduszkę, w której kryła twarz Marjorie. Ponieważ żona nie zareagowała, spytał jeszcze raz, pilnując się, by jego głos zabrzmiał pogodnie:

- Nie masz zamiaru wstać? Zdażyłem już zrobić obchód, zjadłem śniadanie i jestem gotów do wyjścia.

- To idź - powiedziała, nie drgnąwszy nawet.

Poprzedniego dnia, gdy wrócił do domu późnym wieczorem po zebraniu Stowarzyszenia Rolników, Marjorie już kładła się spać i nie zamienili nawet słowa. To mu wystarczyło, by zorientować się, że żona znów ma te swoje humorki. Ponieważ jednak był pewny, że jak zwykle przejdzie jej do rana, zgasił lampę i zasnął.

Najwyraźniej jednak nie przeszło. Westchnął cicho i postanowiwszy zachowywać się jak gdyby nigdy nic, mówił dalej:

- Mam egzemplarz „Trumpeta”. Chcesz przejrzeć podczas śniadania w łóżku?

- „Trumpet” to szmatławiec.

- Och, ale artykuły wstępne są po prostu świetne. Dzisiejszy - chyba poznaję po piórze Kate, ale mógł go napisać również Patrick - traktuje o opodatkowaniu leżących odłogiem gruntów i co do joty się z nim zgadzam. Dlaczego ktoś ma mieć przywilej nieuprawiania ziemi, gdy tak bardzo brakuje żywności i niepłacenia podatku gruntowego? To kompletna bzdura i wielokrotnie sam o tym mówiłem.

Marjorie usiadła nagle na łóżku.

- Tak, rzeczywiście mówiłeś, nikt nie ma co do tego wątpliwości.

- O co ci chodzi?

- O nic, absolutnie o nic. Tylko o to, że powszechnie uchodzisz za podżegacza w całej tej sprawie. Nawet kobiety rozmawiały o tobie kilka dni temu w klubie skończywszy grać w tenisa. Gdy mnie zobaczyły, przerwały natychmiast.

- Nic nie poradzę na to, że garstka głupich kobiet nie ma nic lepszego do roboty.

- To nie tylko „głupie kobiety”, jak je określiłeś. Wiesz dobrze, że cytują opinie swoich mężów.

- Można by sądzić, że jestem jakimś awanturnikiem. A mnie chodzi wyłącznie o elementarną przyzwoitość, o strukturę podatków, która pomoże uporządkować bałagan, jaki tu panuje. - Postukał palcem w gazetę. - Ci ludzie mają stuprocentową rację.

- Ci ludzie! - przedrzeźniła go Marjorie. - Kate Tarbox i twój przyjaciel Patrick Courzon. Wspaniała para! Nie zdziwiłabym się, gdyby...

- Gdyby co? - spytał zimno Francis.

- ...spali ze sobą.

- To obrzydliwe!

- Dlaczego? Czy dlatego, że należą do różnych ras? Nie spodziewałam się, że mógłbyś mieć coś przeciwko temu, masz takie szerokie horyzonty!

- Można mieć „szerokie horyzonty” nie uprawiając seksu na boku. Patrick ma piękną żonę, poza tym jest uczciwym człowiekiem i nie masz prawa...

- Tak, a Kate Tarbox mieszka sama w nędznym domu w mieście, opuściła męża, który zawsze traktował ją dobrze i przyjąłby ją z powrotem z otwartymi ramionami. I ty mi mówisz, że nie ma w tym nic podejrzanego?

- Potrafisz wspaniale wykręcić kota ogonem! Zaczynasz od artykułu wstępnego, a kończysz na sprawach osobistych Kate! Jeśli cię tak interesuje jej życie prywatne, czemu sama jej nie zapytasz?

- A czemu ty tego nie zrobisz?

- Nie widziałem jej od tamtego wieczora, gdy prawie rok temu była tu z Patrickiem i jego rodziną. Poza tym nic mnie to nie obchodzi.

Marjorie położyła się z powrotem.

- Mnie również. Niby dlaczego miałoby mnie obchodzić?

Zasłoniła dłonią oczy od światła, mruczając pod nosem coś, co zabrzmiało, jak: „W ostatecznym rozrachunku człowiek zawsze jest sam.”

- Co powiedziałaś?

- Czy to ważne?

- Co się z tobą, u diabła, dzieje, Marjorie? Czy mogłabyś mi wyjaśnić, o co jesteś zła w tej chwili?

- O nic. O nic. Czy mam jakiś powód?



- Nienawidzę, gdy rozmawiasz ze mną w taki sposób. Dajesz mi wyraźnie do zrozumienia, że powinienem czuć się winny! Nie, nie sądzę, byś miała powód. Czemu więc jesteś zła? Nie spieszyła się z odpowiedzią. Zmierzyli się twardym wzrokiem.

- Powiedzmy, że jestem zmęczona - odezwała się w końcu Marjorie.

- Czym? W domu pełnym służących? - Francis, który zawsze unikał kłótni do tego stopnia, że oskarżał się czasem o tchórzostwo, tym razem został doprowadzony do wściekłości. - Niedobrze mi już od tej szermierki słownej! Jeśli masz do mnie jakiś żal, to powiedz mi prosto w oczy albo się zamknij. Nie zamierzam tracić dnia na szarpanie się z tobą, Marjorie. - Spojrzał na zegarek. - Pośpiesz się, jeśli chcemy obejrzeć paradę, powinniśmy dostać się do miasta, zanim tłumy zablokują ulicę.

- Wcale nie mam ochoty jej oglądać.

- W zeszłym roku podczas ostatnich bawiłaś się świetnie!

- To było w zeszłym roku. Poza tym guzik cię obchodzi, czy pójdę, czy też nie, przestań więc udawać.

Poczuł nieprzepartą ochotę, by wymierzyć jej policzek - idiotyczny pomysł, rzecz jasna. Z irytacji ścisnęło go w dołku, robił się coraz bardziej zły. Ostatnio takie rzeczy zdarzały się zbyt często! - Wobec tego idę sam. - Idź. Baw się dobrze.

Zszedł na dół i wsiadł do samochodu. Opony zapiszczały, gdy wziął ostro zakręt, rozładowując dławiące go napięcie, odgrywając się za niesprawiedliwość, która go spotkała. Po chwili zwolnił, karcąc się w myślach za niepoważne zachowanie. „Bądź rozsądny! Nie ma się czym przejmować, nie jest aż tak źle - mniej więcej jedna sprzeczka miesięcznie. Może wiąże się to ze zwykłymi kobiecymi przypadłościami? A może zbyt dużo wymagam? Chciałbym, żeby wszystko było niemal idealne. Z tego, co wiem, w innych małżeństwach, w innych domach jest podobnie. Tyle tylko, że są w nich dzieci...”

Pamiętał przecież z własnego dzieciństwa, które spędził w domu pełnym dzieci, że obok radosnej serdeczności zdarzały się w nim długie okresy napiętego milczenia. Być może zatem jest to normalne, gdy się żyje razem, niezależnie od tego, czy w domu są dzieci, czy też nie...

Jazda samochodem uspokoiła go. Wiatr chłodził mu głowę, wpadając przez otwarty dach. Gdy pokonał grzbiet Morne Bleue i zaczął zjeżdżać w kierunku Covetown, gniew mu całkiem minął, ustępując miejsca lekkiemu smutkowi „Świadectwem dojrzałości jest godzenie się z pewnymi rzeczami - przekonywał sam siebie. - Nim nadejdzie wieczór, wszystko wróci do normy.”

Przypomniał sobie Lionela i Kate. Dziwne małżeństwo, od początku niedobre. Czy ludzie postrzegają w ten sam sposób jego i Marjorie? Zastanawiał się nad tym przez chwilę i doszedł do wniosku, że jednak nie. Z pewnością nie przypominali Lionela i Kate! „Nie wyszło nam” - to był jedyny komentarz Lionela. Trudno powiedzieć, czy krył się w tym ból, czy też nie, ponieważ - jak pomyślał ironicznie Francis - dżentelmenowi nie wypada okazywać uczuć. No i chwała Bogu! Do diabła z tym!

Covetown lśniło feerią barw. Orkiestry przygrywały na placach, inne maszerowały na czele długich radosnych pochodów, wijących się ulicami. Indianie w pióropuszech, kościotrupy, chińskie smoki, królewskie pary w koronach sunęły na platformach lub szły piechotą w tanecznych płasach. Wszyscy byli pijani muzyką, a niektórzy zapewne spróbowali wcześniej czegoś mocniejszego. Ubrani w maski, piszczeli, brykali, chwyтали w objęcia nieznanomych i całowali ich. Była to autentyczna szalona wesołość. Przycupnąwszy na balustradzie, Francis przyglądał się przez długi czas barwnemu widowisku. Czuł się jak dziecko przed świąteczną choinką i stertą prezentów. Nagle zdał sobie sprawę, że bardzo mu brakowało tej bez troskłej wesołości.

Po pewnym czasie wstał i kupił sobie drinka z rumem, zadowolony, że może wypić go w samotności, po prostu siedząc w cieniu sam na sam ze swoimi myślami. Zastanawiał się, czy jest typem samotnika. Chyba jednak nie, ponieważ znał sporo osób, w których towarzystwie czuł się miło i na luzie. Byli to jednak ludzie wybrani, nie zaś „towarzyski” tłum. Nie chciał uchodzić za lepszego, jednakże nużyła go po prostu monotonia ich zainteresowań i poglądów, odpychał wrodzony egoizm. No, może nie wszystkich, w każdym razie wielu z nich. Na palcach jednej ręki mógł policzyć tych, z którymi dało się rozmawiać otwarcie, nie wywołując zgorszenia. Lionel wykazywał wobec niego cierpliwość nie tylko z poczucia rodzinnej lojalności, lecz również dlatego, że na swój sposób był

porządnym facetem. A jednak nawet on uważał Francisa za dziwaka i oryginała. Troska o całe społeczeństwo jest sprawą, o której głośno się nie mówi. Nie należy wywoływać wilka z lasu.

Ogarnęło go poczucie samotności równie silne, jak poprzednia wesołość. Nie miał dokąd pójść. Chętnie zobaczyłby się z Patrickiem. Tak, posiedzieliby sobie, gawędząc o tym, co przeczytali, przedyskutowaliby różne sprawy i pospieraliby się trochę... Właściwie nie znał nikogo innego, z kim czułby się tak dobrze. Szedł w górę, w kierunku pałacu gubernatora i biblioteki, pięknych starych budynków pośród pięknych starych drzew. U podnóża Library Hill skręcił w wąską uliczkę, po obu stronach której stały dwa rzędy domów, prawdopodobnie zbudowanych w osiemnastym wieku dla urzędników przybyłych z Anglii. Nie był tu już od dawna. Przypomniał sobie, że w jednym z nich mieszkała Kate. Patrick opisał mu dom przy samym końcu uliczki, jedyny z widokiem na morze. „Cóż, to nie moja sprawa” - powiedział sobie.

Rzeczywiście, w miejscu, gdzie wzgórze urywając się nagle tworzyło naturalną ścianę zieleni, stał nieduży domek bokiem do ulicy, tak że nie widać z niej było tylnego wejścia ani podwórka. Francis przystanął.

Kate karmiła ptaki, rzucając im na bruk okruchy. Niewątpliwie czekały na nią w swoich kryjówkach i teraz zleciały się do jedzenia, zupełnie się jej nie obawiając. Miała na głowie ten sam słomkowy kapelusz, który Francis tak dobrze zapamiętał. Zdjęła kapelusz, a jej rudawozłote włosy zaśniły w słońcu.

Wtedy go zobaczyła.

- Podglądasz mnie!

- Tylko przez chwilę. Czy mogę wejść?

- Oczywiście, ale przez drzwi frontowe. Nie możesz przejść przez płot, te pnącza mają kolce.

Na schodkach omal nie potknął się o miskę z wodą.

- Dla bezpańskich kotów - wyjaśniła Kate, otwierając drzwi. - Pełno ich w sąsiedztwie. Biedactwa.

Wszedł do małego, ciasnego przedpokoju. Był tak skrepowany, że zachował się niezręcznie.

- Prowadzisz własne Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami? - zapytał, czując potrzebę powiedzenia czegokolwiek.

- Jestem nie spełnioną matką. Lubię karmić.

Bezdzietna kobieta, która potrafi powiedzieć coś takiego bez goryczy! Jak gdyby po prostu pogodziła się z losem i postanowiła żyć dalej z tą świadomością.

- Poza tym jestem obrzydliwie oszczędna - powiedziała. - Nie znoszę, gdy się coś marnuje. Przypuszczam, że to dlatego, iż brakowało mi wielu rzeczy za młodu.

- Ja też jestem oszczędny, ponieważ za młodu miałem zbyt wiele rzeczy, na które nie było nas stać. Tyle, że odkryłem to znacznie później.

- Jest akurat pora lunchu, może zjesz coś ze mną?

- Piłem tylko herbatę rano, a potem rum z coca - colą, chętnie więc coś przekąszę.

- No to chodźmy do kuchni.

- Mm, pachnie apetycznie - pochwalił, idąc za nią.

- Tourtirre de la familie, czyli, mówiąc prościej, zapiekanka mięsna. Wkłada się do niej wszystkie resztki. Jest tu szynka, mięso z kurczęcia, skrawki cielęciny i różne jarzyny. Zjemy na powietrzu?

W cieniu oleandrów, w pobliżu kuchennych 'drzwi, stał stolik oraz dwa krzesła. Obok niego leżały w komitywie duży pospolity kundel i dumny biały pudel.

- Zabawna kombinacja, prawda? Tego kundla znalazłam na drodze ledwie żywego. Pudła, gdy był jeszcze szczeniakiem, podarował mi Lionel. Kocham go, oczywiście, choć pudle nie są moją ulubioną rasą z racji swego kapryśnego charakteru. Nie mogłabym go jednak zostawić, złamałoby mu to serce. Zaczekaj, przyniosę ser i owoce.

„Co za kontrast z Georgina's Fancy!" - pomyślał Francis, wspominając ogromną jadalnię w domu Lionela. - Zupełnie też inaczej niż u mnie. Przypomina domek dla lalek."

- Czytuję regularnie twoje artykuły wstępne - zaczął - i uważam, że to naprawdę świetna robota. Wszyscy kupują „Trumpeta". Większość ludzi, których znam, pismo to irytuje, ale przynajmniej czytają je!

- To zasługa Patricka Courzona. Wcale nie przemawia przeze mnie skromność, naprawdę tak jest. Chciałabym - powiedziała Kate poważnie - doczekać, by nie tylko tą wyspą, lecz całą Ameryką Środkową rządili ludzie podobni do niego oraz Nicholasa. Potrafiliby

naprostować wiele spraw - albo przynajmniej próbowaliby - i zapobiec wielu kłopotom.

- Żałuję, że nie mogę widywać Patricka częściej. Zawsze ogromnie się cieszę, gdy wpada do mnie na wieczorną pogawędkę.

- Jest teraz strasznie zajęty. Odkąd mają Willa, Patrick czuje się w obowiązku poświęcać mu sporo czasu. Desiree nie radzi sobie z nim najlepiej. To przemiła kobieta, może tylko niezbyt bystra dla Patricka, w przeciwieństwie do żony Nicholasa. Jest trochę dziecinna, w każdym razie lepiej wychodzi jej matkowanie dziewczynkom. Poza tym chłopiec jest trudny.

- Patrick opowiadał mi o warunkach, w jakich się wychowywał.

- Dlatego właśnie zajmuje się nim jak prawdziwy ojciec. To dziwne, zbyt poważne dziecko. Trudno go sprowokować do śmiechu.

- Ty też niezbyt często się śmiejesz. - Francis umilkł, zaskoczony. Nie zamierzał nic podobnego mówić.

- To prawda, przez wiele lat się nie śmiałam. Ale teraz to robię. W redakcji.

Możesz spytać Patricka. Jest tam całkiem wesoło, uwielbiam swoją pracę. Mamy świetnych młodych reporterów, jedną czarną dziewczynę, dwóch moich kuzynów oraz Robby'ego Welcha, syna dyrektora banku, który przyjechał z Anglii na wakacje. Jego rodzina była początkowo wściekła, że pracuje w redakcji z kolorowymi, ale jakoś się z tym pogodzili. To świetny zespół i uwielbiam moją pracę - powtórzyła. - To najlepszy wybór, jakiego dokonałam w życiu.

- Bardzo się cieszę, Kate.

Chciał spytać o jej stosunki z Lionelem, ale jednak nie uczynił tego. Każde z nich czekało, aż drugie zacznie rozmowę o sprawach osobistych.

Czując nagle zakłopotanie, unikał spojrzenia jej w oczy. Powędrował wzrokiem ku dłoniom Kate. Na palcu brakowało pierścionka ze szmaragdem. Następnie przeniósł wzrok na zieloną jaszczurkę, która wślizgnęła się na wolny fotel i stała, wpatrując się w niego oczyma jak paciorki.

- Gekon - powiedziała w zamyśleniu. - Pasuje do niej ta nazwa. Jak myślisz, czy człowiek dopasowuje się do imienia, czy odwrotnie?

- No cóż, zastanówmy się nad tym. Na przykład, Kate. - Zmusił się, by na nią spojrzeć. - Tak, Kate to jedyne imię odpowiednie dla

ciebie. Kojarzy się z piegami i jasnymi włosami. Oznacza kogoś filigranowego, pełnego życia, ciekawego i poważnego.

- Kto zbyt dużo mówi i ma zdanie na każdy temat. Tymczasem Francis, pomyślmy chwilę, Francis musi być wysoki i raczej spokojny. Kieruje się sumieniem. Jest również bardzo, bardzo życzliwy.

- To wizerunek świętego, nie mój - powiedział z niefrasobliwością, której nie odczuwał. - Pozwól, że pomogę ci zanieść to wszystko do domu.

Gdy tak stał obok niej, wkładając naczynia do zlewu, znów wyrwały mu się słowa, których wcale nie zamierzał wypowiedzieć.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że od dnia, gdy jedliśmy razem lunch w mieście, od dnia, gdy sprawiłaś, że zdecydowałem się pozostać w Eleutherze - tak, to naprawdę twoja sprawka! - nie rozmawialiśmy ze sobą w cztery oczy? Za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, unikaliśmy się nawzajem. Co takiego usiłujemy ukryć?

- Co? - wykrzyknęła. - Coś ty powiedział?

Wpatrywali się w siebie rozszerzonymi oczyma. Kate wyglądała tak, jak gdyby miała za chwilę upaść.

- Powiedziałeś, że coś ukrywam? - wyszeptwała.

- Powiedziałem, że... - Zająknął się, mamrocząc coś niewyraźnie pod nosem. Wtedy Kate naprawdę upadła, a właściwie upadłaby, gdyby jej nie pochwycił w ramiona.

Żadne z nich nie potrafiłoby powiedzieć, jak długo stali w kuchni przytuleni spleceni w uścisku. Gdy wreszcie się od siebie oderwali, nie pozostał w nich nawet ślad początkowego zdumienia, zastąpiło je poczucie scalenia, jedności... Żadne z nich nie wymówiło słowa. Kate ujęła dłoń Francis'a i poprowadziła go przez hol, a następnie wąskimi schodami na górę. Miał uczucie, że płynie, unoszony przez potężną falę.

Pomimo iż przez okna zaglądało słońce, pokój Kate był chłodny, cały w szarości i bieli. Zaciągnęła story, w półmroku jaśniały ich ciała. Jego wzrok zarejestrował piękne stare łożo, zbyt duże jak na ten mały pokój. Padając na kołdrę, zauważył czerwone cynie wazonie stojącym na komodzie, a w zawieszonym nad nią lustrze łuki jej bioder, szczupłe uda i własne zaborcze ramiona. Potem nie widział już nic - zamknął oczy.

Wsparci na poduszkach, palili papierosy. Dwie smużki dymu unosił lekki powiew. Na usta cisnęły im się tysiące słów, tysiące pytań tak długo tajonych, wstrzymywanych.

Kiedy po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę? Czy to prawda, że czuła coś od samego początku, od pierwszego dnia w Eleutherze? Czy rzeczywiście nie znał prawdy aż do dzisiejszego popołudnia?

- Czemu zdecydowałaś się w końcu opuścić Lionela? - chciał wiedzieć Francis.

- Lepiej zapytaj najpierw, czemu go poślubiłam.

- No więc, czemu? Położyła mu głowę na ramieniu.

- To niezbyt sympatyczna historia. Wciąż jeszcze sprawia mi ból. Powiedziałam ci kiedyś, że nasza rodzina była bardzo biedna. Stare nazwisko i aż za wiele cholernej godności! Och, musiałeś poznać niektóre z tych świetnych rodzin, posiadających ziemie, ale za to bez grosza. Farba obłaząca ze ścian, lodówka stojąca w salonie, ponieważ dach w kuchni przecieka. Potrafili tylko siedzieć na werandzie, popijając wieczorami drinki. Wciąż jest wielu takich, ale znacznie więcej było jeszcze kilka lat temu, zanim korporacje zaczęły ich wykupywać. - Kate westchnęła. - To tak, jak wówczas, kiedy w ostatniej parze pończoch leci oczko, a ty mimo to nosisz je dalej i robisz dobrą minę do złej gry, udając, że stało się to dosłownie przed chwilą i po prostu zabrakło czasu, by pobiec na górę i je zmienić. Niedobrze mi się od tego robiło! Lionel był wówczas szczupły i przystojny. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyłam się nawet zastanowić. Zabrał mnie do Da Cunha i kupił pierścioneł wart więcej niż dom mego ojca, ten, w którym znajdujemy się w tej chwili i który tak bardzo kocham. W tamtych czasach jednak nim gardziłam. Cóż, byłam bardzo młoda, jeśli można przyjąć to jako usprawiedliwienie.

Wiatr przybierał na sile. Słońce skrzyło się za rogiem domu. Kate zadrżała. Francis przyciągnął ją bliżej, okrywając kołdrą, tworząc ciepłe, przytulne gniazdko.

- Jego rodzice byli cudowni, nawet moja teściowa, czyli twoja babka. Potrafi być koszmarna, ale wówczas przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Nie miałam pojęcia, co jest tego powodem, póki nie dowiedziałam się znacznie później o dziewczynie, w której był zakochany Lionel. Pamiętasz? Oczywiście, nie poślubiłby jej, ponieważ miała domieszkę krwi murzyńskiej, ale oni się tego obawiali. Jest bardzo piękna. Mieszka teraz na Barbados, w

Bridgetown. Lionel jeździ tam do niej. Postąpił źle, żeniąc się ze mną, ale nie mam do niego pretensji. Ja również ponoszę winę. Nigdy się nie kochaliśmy.

- Więc to skończone? Na dobre? - Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że tak było, ale chciał usłyszeć potwierdzenie.

- O, tak, i to z mojego powodu. Lionel ciągnąłby to dalej. Było mu z tym wygodnie, ja jednak dojrzałam. Nie potrzebuję jego pieniędzy, nie odpowiada mi taki styl życia. - Roześmiała się. - Jedyna rzecz, której mi brakuje, to moje konie! Nie mogę przecież ich tu zabrać. Utrzymuję się sama. Lionel chce mnie zabezpieczyć finansowo. Jest bardzo dobry - to typowa cecha twojej rodziny, prawda? Ale Nicholas płaci mi naprawdę nieźle, poza tym mam ten dom i nie potrzebuję niczego. O tej porze w przyszłym roku będę już rozwiedziona.

- Jesteś dzielna. Jesteś śliczna. Najbardziej urocza pod słońcem, Kate.

- Czy wypada, bym zapytała o Marjorie? Może jednak wolisz o niej nie rozmawiać?

- Wolałbym nie - odparł cicho. - Nie teraz.

Pomyślał znowu - co ostatnio zdarzało mu się zbyt często - jak się wszystko zmieniło. Tylko że tak naprawdę, to nie Marjorie się zmieniła. Urodziwa, niezawodna, inteligentna i pełna wdzięku - tak jak kiedyś, jak zawsze. A on? Czy również był taki, jak zawsze? Przemięło jedynie wzajemne oczarowanie, oczarowanie i namiętność. Czas zmienił nie ich, lecz samo małżeństwo, stosunki pomiędzy nimi, czas płynący nieubłaganie, przypominający morze, które buduje wydmy i podmywa urwiste brzegi.

- O Boże! - jęknął.

- Francisie, najdroższy, co ci jest?

- Kocham cię. Kocham cię i nie wiem, co z tym począć. Położyła mu dłoń na ustach.

- Posłuchaj. Sprawy rozwiązują się same. Po pierwszych kilku miesiącach małżeństwa z Lionelem leżałam czasem bezsennie, wpatrując się w szary sufit i myśląc, że zmarnowałam własne życie. Nie miałam dokąd pójść. Spójrz tylko, jak się wszystko potoczyło! Zestarzejemy się razem, Francisie. Nie wiem, co nas jeszcze czeka, ale wiem, że tak będzie...



Czuł bicie jej serca przy swoim. Zamknęła oczy. Długie, ciemne rzęsy miały złotawe zakończenia. Urocze, doprawdy urocze! Ta drobniutka kobieta, tak śmiała i energiczna, a jednocześnie tak łagodna i delikatna! Naiwna w swym przeświadczeniu, że świat może i musi stać się lepszy, że ludzie przestaną być obojętni na sprawy innych, że nikt nie będzie cierpiał głodu i nikt nie kopnie psa!

„Ja również odczuwam podobne oburzenie. Również chciałbym dawać. Tak, to wszystko jest we mnie. Ale jestem równocześnie facetem strzegącym swego zamkniętego dla innych świata. Stoisz o szczebel wyżej od tych mężczyzn w klubowym barze, Francisie, ze swym zamiłowaniem do poezji i historii? Tak, tak, wiesz, że czujesz się od nich lepszy, choć ogromnie ci wstyd z powodu tego poczucia wyższości. Wybrałaś tę właśnie żonę, pociągała cię, ponieważ ona też jest dumna...”

Poczuł na czole lekkie muśnięcie palców Kate.

- Marszczysz brwi - szepnęła.

- Myślę.

- O czym?

- Och, o wielu różnych sprawach. O tobie, grającej Brahmsa pewnego cichego wieczora w Eleutherze. O nas w łóżku. O tym, że chciałbym się w nim budzić każdego ranka. - Ale naprawdę myślał o czymś zupełnie innym, wyobrażał sobie, jak przychodzi do domu i mówi: „Posłuchaj, Marjorie, nic dobrego już nas nie czeka.”

Będzie z pewnością protestowała, niemal usłyszał jej płacz i zapewnienia, że wszystko jeszcze się ułoży. Prawdę mówiąc, gdyby nie Kate, wciąż karmiłby się złudną nadzieją, że to prawda.

Leżeli spokojnie, przytuleni do siebie, na wpół pogrążeni we śnie. Powoli skradał się wieczór, wypełniając pokój błękitną szarością. Kate obudziła się pierwsza.

- Muszę wstawać. Patrick obiecał, że przyniesie mi o siódmej pewne materiały.

- Patrick. Sól ziemi, jak powiedziałaś mój ojciec.

- Tak, to wyjątkowy człowiek.

Na szafce nocnej leżał zbiór poezji. Francis przerzucił kartki.

- Emily Dickinson. To twoja ulubiona poetka?

- Tak, ostatnio. Wróciłam do jej poezji. Kobieta, która żyła samotnie. Myślałam, że nauczę się od niej, jak się z tym pogodzić.

Coś ścisnęło go w gardle.

- Nie możesz żyć sama. Czy nie powtarzasz zawsze, że marnotrawstwo jest grzechem?

Uśmiechnęła się, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. Rozejrzał się po pokoju, starając się utrwalić go w pamięci: tapety o arabskim wzorze, pod oknem mata, na której zapewne sypia jeden z psów, niebieskie pantofelki Kate z pomponikami z piór.

Wyszli na dwór. Na dole było już niemal ciemno, chociaż tuż nad szczytem wzgórza świeciła wciąż na niebie ogromna ognista kula.

- Spójrz - powiedziała Kate - bóg słońce. Inkascy kapłani zwykli przysyłać mu pocałunki o świcie.

Stali na stopniu schodków, objęci ramionami.

- Jak mogę cię opuścić? - spytał.

- Przecież mnie nie opuszczasz. Nigdy nie opuścisz. Czuł w sobie taki ból! Nie usłyszeli skrzypnięcia furtki ani odgłosu kroków

Patricka na ścieżce.

- Przepraszam, że przyszedłem wcześniej - rzekł Patrick, nie patrząc na nich. Wyciągnął rękę z plikiem papierów. - Strasznie się spieszę, zostawiam tylko to.

- Właśnie wychodziłem - powiedział szybko Francis.

Szli obaj ulicą, nie odzywając się do siebie, póki Francis nie przerwał milczenia.

- Widziałeś nas. No cóż, teraz już wiesz.

- Nie wiem o niczym, o czym nie chcielibyście, żebym wiedział. Mam wyjątkowo słabą pamięć.

- Dziękuję ci.

Szli dalej. Zabawa się skończyła, ulice opustoszały. Francisem owładnęło znowu uczucie osamotnienia, które dręczyło go rankiem. Pragnął z kimś porozmawiać, usłyszeć czyjś głos.

- Powiesz, że to nie twoja sprawa, ale chciałbym cię zapewnić, że dziś zdarzyło się to po raz pierwszy. To całkiem świeża historia.

- Nieprawda - powiedział łagodnie Patrick. - Myślę, że trwa to już od bardzo dawna.

- Masz rację, choć nie wiedziałem o tym, a może nie chciałem się po prostu przed sobą przyznać... Problem polega na tym, co teraz będzie?

- Kate jest wyjątkową osobą, wspaniałym człowiekiem - powiedział Patrick, a Francis doskonale zrozumiał, o co mu chodzi. -

Bądź dla niej dobry, opiekuj się nią. Myślę, że nie ma na świecie mężczyzny, który pasowałby do niej tak świetnie, jak ty.

- Gardzę kłamstwem - rzekł nagle Francis, wspominając niespodziewanie, jak natknął się w restauracji na ojca z pospolitą, krzykliwie ubraną dziewczyną. Ponieważ Patrick nic się na to nie odezwał, mówił dalej: - Przyjechałem tu i zakochałem się bez pamięci w tej wyspie. Nie chciałbym mieszkać nigdzie indziej Teraz jest Kate i... nie wiem, jak ci to wyjaśnić... Kate i ta wyspa zapadły mi głęboko w serce. Moja żona... - zamilkł. Patrick położył mu rękę na ramieniu.

- Usiądź. Cały się trzęsiesz. Usiedli obaj na kamiennym murze.

- Dziwne - powiedział Francis - że nikt nie potępia przygody bez znaczenia, przypadkowej kobiety, ale za coś takiego gotowi cię ukamienować.

- Przejmujesz się tym?

- Ja nie, ale chodzi mi o Marjorie. Ty jej nie lubisz, prawda?

- To ona mnie nie aprobuje - odrzekł spokojnie Patrick.

- Masz rację. Ale chyba nie może nic na to poradzić. Tak została wychowana. Kształtowanie osobowości rozpoczyna się w kołysce.

- Ty jednak zostałeś ukształtowany zupełnie inaczej.

- Trudno powiedzieć. Poza tym jesteś jedynym przedstawicielem twojej rasy, którego tak dobrze znam. Co mogę więc powiedzieć na ten temat?

- Przynajmniej jesteś prawdomówny.

- Staram się. W każdym razie tak właśnie to widzę. Ale straszny ze mnie tchórz, drzę na myśl o tym, że będę musiał patrzeć na cierpienie Marjorie.

- Posłuchaj - rzekł łagodnie Patrick - nie musisz przecież układać dziś wieczór planu na całe życie. Idź do domu i spróbuj zasnąć. Rano weź się do roboty i przemyśl wszystko na spokojnie.

Francis spojrział na niego.

- Uważasz, że wygłaszam banały? Rzeczywiście, masz rację. To dlatego, że nie potrafię wymyślić nic lepszego.

Francis ujął dłoń Patricka.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę cieszę się, że wiesz o nas. Czułbym się strasznie, tłamsząc w sobie coś tak potężnego. Poza tym nie mam nikogo, komu ufałbym bardziej. - Podniósł się z muru. - Teraz pojedę do domu.

Gdy wrócił, Marjorie siedziała w sypialni, czasopismo zsunęło się z jej kolan na podłogę. Widać było, że płakała, oczy miała zapuchnięte, wyglądała brzydko. Zawstydził się, że zamiast jej współczuć, w pierwszym rzędzie pomyślał o jej brzydkim wyglądzie.

- Gdzie byłeś przez cały dzień?

- Wiesz przecież, że wybrałem się, by obejrzeć pochod kończący karnawał.

- Zajęło ci to cały dzień?

- Spotkałem parę osób. Zjedliśmy razem lunch i wypiliśmy parę drinków. - W tym momencie zdał sobie sprawę, że Marjorie ma wciąż na sobie ten sam szlafrok, co rano. - A ty co robiłaś?

- Siedziałam tutaj, zastanawiając się, czemu nie spytałeś mnie, co się zdarzyło wczoraj w mieście.

- Nie rozumiem.

- Wiedziałeś przecież, że wybieram się do lekarza.

- Tak, ale... dlaczego, czy coś się stało?

- Och - odrzekła z udawanym spokojem. - Chyba raczej tak. Poinformował mnie, że jestem w ciąży, ot i wszystko.

Francis poczuł, że krew krzepnie mu w żyłach.

- Na miłość boską, czemu nie powiedziałaś mi o tym wczoraj?

- A dlaczego mnie nie spytałeś? Wróciłeś do domu, opowiadając o bliźniaczych żrebakach i nawet... - Znowu zaczęła płakać.

- Wiedziałaś o tym dzisiejszego ranka i wczorajszego wieczora...

- Tak, właśnie dlatego byłam „zła”, jak to określiłeś. Nie zła, lecz zraniona... o, mój Boże, czekaliśmy tyle lat, a ty nawet nie raczyłeś spytać, co powiedział doktor.

Ukląkł na podłodze obok krzesła i otoczył ją ramionami.

- Marjorie, Marjorie, wiesz przecież, jak bardzo mnie to obchodzi! Ale tyle razy byłaś u lekarza... Skąd mogłem wiedzieć, że tym razem będzie inaczej? Myślałem, że to jeszcze jedna zwykła wizyta. Przebacz mi.

W tej samej chwili błysnęła mu myśl: „Kate!”

- Nie mogę w to uwierzyć. Boję się, że to tylko sen, z którego zaraz się obudzę. Ludzie zawsze tak mówią, ale to idealnie odzwierciedla stan mojego ducha.

- Jestem pewien, że to prawda. Cudowna prawda!

- Wolałbyś, żeby to był chłopiec czy dziewczynka?

Od tak dawna marzył o synu. Odpowiedź jednak była rozsądna i wyważona.

- To nie ma znaczenia. Najważniejsze, żeby wszystko było w porządku.

- Pewnie wolałbyś chłopca. Pomyślisz, że to głupie, ale jestem głęboko przekonana, że to chłopiec. - Teraz ona była rozgadana i wylewna, czuła się podniesiona na duchu. - Jak mu damy na imię? Junior absolutnie mi się nie podoba. Jeśli to będzie dziewczynka, chciałabym, żeby miała na imię Megan, a może Anna - tak jak moja ukochana babcia...

Wezbrało w nim współczucie, nie tyle dla Marjorie, co dla tej mikroskopijnej, tak bardzo upragnionej istoty w jej ciele.

„Och, Kate, co ja mam począć?” Był kompletnie oszołomiony, odrętwiały. Zeszli na dół i zjedli późną kolację. Potem Marjorie chciała wyjść na dwór i popatrzeć na morze. Cała była w ekstazie. Nie widział jej takiej od dnia ślubu. Nie była to sprawa hormonów, na to jeszcze za wcześnie, to prawdziwe szczęście wprawiło ją w taki podniosły nastrój. Rzecz jasna, nastrój ten nie będzie trwał długo. Zwykła radość nie należała do przymiotów Marjorie, w przeciwieństwie do Kate...

Nie mógł zasnąć. Marjorie, wyplakawszy się, poczuła wreszcie ulgę i zasnęła głęboko, podłożywszy dłoń pod policzek. Twarz miała spokojną. Jakże ją kiedyś kochał, a w każdym razie wierzył, że kocha! Gdyby tak można cofnąć czas i unieważnić wszystko! Albo po prostu wybiec naprzód! A on był osaczony. Za późno. Za późno.

Przez całą noc ptaki wywodziły trele w koronach drzew, przyroda tętniła życiem. Nieświadome, szczęśliwe stworzenia, które nie miały nic innego do roboty, jak tylko rosnąć, rozwijać się i rozmnażać.

- Och, mój najdroższy - powiedziała Kate. - Tak bardzo pragnęłam dziecka.

- To prawda.

- Myślisz, że gdyby to było nasze dziecko...

- Tak, tak.

- Ale ja już nigdy nie będę mogła mieć dziecka, Francisie.

- Tak mi przykro. Przykro mi z powodu nas wszystkich.

- Nie cieszysz się ani trochę?

Leżał na kanapie w saloniku Kate, oparłszy głowę na jej kolanach.

- Nie wiem. Czuję się, jak gdyby jedną ręką mi coś dawano, a drugą odbierano.

- Nie pozwolimy sobie nic odebrać. Znajdziemy sposób, by zachować wszystko.

- Jaki?

- Zawsze będę tutaj. Zawsze możemy tu mieć swój azyl.

- Kradzione chwile nie są tym, czego pragnąłbym dla ciebie.

- Ale to znacznie lepsze niż nic, mój kochany.

Przypomniawszy sobie, jak w ustronnym miejscu, pomiędzy skrzynką na cygara a modelem statku, ojciec przywołał go skinieniem palca: „Nie mów nic swojej matce, synu. Wiesz, że za żadne skarby nie chciałbym jej zranić”.

Ale przecież to całkiem co innego. Nie miał nic obrzydliwego do ukrycia. Chciałby krzyczeć na cały świat o swej miłości.

- Chyba jednak zdawałem sobie sprawę - powiedział, głośno myśląc.

- Z czego?

- Że nie ma odwrotu, od chwili, gdy cię poznałem. Myślę, że wiedziałem już tamtego dnia, gdy jedliśmy lunch w hotelu „Cade”. Chciałem ci jednak tego oszczędzić.

- Także Marjorie?

- Tak, Marjorie również. Naprawdę wcale nie jestem szlachetny! Po prostu coś we mnie żąda, by stawiać sprawy otwarcie, wprost. Nienawidzę oszustwa.

- Ja również. Czasem jednak nie ma innego wyjścia.

- Patrick powiedział, że nie muszę decydować o całej przyszłości w ciągu jednej sekundy, że powinienem wszystko spokojnie przemyśleć. Ale on nie wiedział o dziecku.

- Mimo to miał rację. Nie musisz podejmować żadnych decyzji. To, że się kochamy, nie czyni nikomu krzywdy.

Pochyliła się, całując go w czoło, on zaś otoczył ją ramionami. Tak, tutaj był jego azyl, przedmiot jego pożądanego. Poczuł, jak całą jego istotę zalewa fala ciepła, ogarnął go błogi spokój.

## Rozdział 13

Na godzinę przed wschodem słońca morze lśniło fosforyzującym blaskiem. Czółno przechyliło się i światło pochodni znajdującej się w dłoni Willa zamigotało, gdy Clarence wciągnął sieć, kładąc ją na dnie u ich stóp.

- Nieźle jak na amatorów. Całkiem pokaźny połów! Część ryb sprzedamy, część rozdamy przyjaciołom, a resztę zjemy na kolację. - Ujął wiosła. - Ciężka praca, jeśli trzeba robić to codziennie, zarabiać w ten sposób na życie, ale tak, dla przyjemności, to zupełnie co innego, prawda, chłopcze?

Clarence rzadko czekał na odpowiedź, ale Willowi wcale to nie przeszkadzało, ponieważ należał raczej do milczków. Ten stary człowiek był mu bliższy niż ktokolwiek do tej pory, w całym jego życiu. Usiadł na rufie, obserwując pierwsze nieśmiałe promienie jutrzeńki na horyzoncie i ptaki szybujące w powietrzu.

- Takie łodzie z ostro zakończonym dziobem są typowe dla Karaibów. Drzewo na nie zazwyczaj ścinano podczas nowiu księżyca, co miało zapobiec butwieniu. Dawne wierzenia.

Rozwidniało się coraz bardziej i pochodnie przestały być potrzebne. Gromada małych łódek zawróciła ku Covetown, rybacy spieszyli do domów. Wszyscy przebyli długą drogę, okrążając wyspę. Ząbkowana linia wierzchołków drzew stawała się coraz wyraźniejsza w miarę jak niebo się rozjaśniało. Na stokach wzgórz poruszały się kropeczki - było na pastwiskach. Pierwsze promienie słońca wydobywały z mroku dachy domów. Z cienia wynurzył się wspaniały dom otoczony dookoła trawnikiem.

- Chris - Craft - powiedział Clarence, machnąwszy ręką w kierunku prywatnego doku portowego. - Spójrz na to cudo. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Niżej, na urwistym cyplu, stał typowy dom zachodnioindyjskiego plantatora - z portykiem i rzędami kolumn. Okiennice były zamknięte na głucho. Dom spał.

- Florissant - objaśniał dalej Willowi Clarence. - Własność rodziny Francisów. Tuż za ich posiadłością znajduje się Margaretta. Należała do Drydenów. Jeden z nich ożenił się z Francisówną, gdy byłem jeszcze chłopcem, w ramach łączenia majątków. Pułkownik Dryden był moim dowódcą w czasie pierwszej wojny światowej.

Will wyprostował się. Była to pierwsza naprawdę interesująca informacja od początku wycieczki.

- Brałeś udział w pierwszej wojnie światowej! Nigdy mi o tym nie wspominałeś!

- Bo nie lubię. Wolałbym zapomnieć o tamtych czasach.

- Czy zabiłeś kogoś?

- Nigdy nie zadawaj nikomu takich pytań - rzekł poważnym tonem Clarence. - Jeśli komuś się to zdarzyło, nie była to jego wina i nie należy mu o tym przypominać. Co do mnie, to udało mi się. Nie zabiłem nikogo, pracowałem w kasynie.

- Cóż więc było w tym tak okropnego?

- Och - odpowiedział Clarence po chwili namysłu - po prostu wszystko, całe nasze życie. Na przykład, czarny nie mógł nawet marzyć o tym, by zostać oficerem w armii brytyjskiej, awanse kończyły się na stopniu sierżanta, niezależnie od wykształcenia. W Taranto - gdy odbywałem służbę we Włoszech - nie wolno nam było chodzić do kina ani kantyn. Takie rzeczy doprowadzają ludzi do wściekłości, niektórzy nie potrafili tego znieść. W Taranto wybuchł bunt. To straszne, gdy ludzie wpadają w szał. - Ostatnie zdanie wymówił szeptem.

- Nie słyszę - powiedział niecierpliwie Will, ciekawy dalszej opowieści.

- Powiedziałem, że to straszne widzieć, jak ludzie wpadają w szał. Robią wtedy potworne rzeczy i sami na tym cierpią. Straciłem wtedy młodszego brata.

- Nie żyje?

- Nie żyje. Został zastrzelony podczas rozruchów. Wróciłem wówczas do domu. Pracowałem na transportowcu „Oriana”, który przywiózł tu z powrotem buntowników, by odbyli karę.

- I to był już koniec?

- Niezupełnie. Nic się naprawdę nigdy nie kończy. Każdy koniec jest jednocześnie początkiem czegoś nowego. Cóż, w 1919 roku było więcej zamieszek w Hondurasie i na Trynidadzie. Zdemobilizowane oddziały zaczęły palić domy i fabryki białych.

- I co się zdarzyło później?

- Bunt został zdławiony, zresztą jak zwykle. Dlatego przemoc nie rozwiązuje niczego. Wszystkie nadzieje i rozmowy spełzły na niczym pod koniec wojny. Wiesz - powiedział z zadumą Clarence - brytyjska



Labour Party zaaprobowała pomysł Du Bois dotyczący utworzenia państwa afrykańskiego w dawnych koloniach niemieckich, które pomogliśmy zdobyć dla Anglii. Miało to być jakby odszkodowanie za wieki niewolnictwa, zwracające nam ziemię w Afryce. Niektórzy ludzie na Barbados mieli nawet plan repatriacji Murzynów z Indii Zachodnich...

- Co to jest repatriacja?

- Powrót do ojczyzny. Ale - powiedział z naciskiem Clarence - nie żałuję, że nie doszło to do skutku. To jest moja ojczyzna. Moi przodkowie zamieszkują tu od szczęściu - zmarszczył brwi, licząc na palcach - siedmiu lub ośmiu pokoleń. Myślę, że twój również. Czy ktoś ci kiedyś o tym wspominał?

- Nie - odpowiedział Will. Głupie pytanie! Kto miał mu o tym powiedzieć?

- Nieważne, i tak jesteś za młody, by przywiązywać do tego wagę. Może zgłodniałeś? Desiree przygotowała kanapki i upiekła ciasto.

Clarence otworzył pudełko.

- Twoje ulubione ciasto kokosowe. Ona bardzo cię lubi, Will. Wiesz o tym, prawda?

Will skinął twierdząco głową, czując ukłucie bólu zabarwionego gniewem. Desiree wcale go nie lubiła. Była dla niego dobra, ponieważ tego chciał Patrick i ponieważ wypadało być miłym dla sieroty. Desiree jest w pewnym sensie leniwa. Nie lubi być zmuszana do myślenia, pragnie po prostu mieć spokój, być kochaną i kochać Patricka i dziewczynki. Wydaje zbyt wiele na stroje i luksusowe drobiazgi do domu. Patrick narzeka, ale nie robi nic, by to zmienić. Pewnie nie może.

- Spójrz - powiedział Clarence. - Pamiętasz, pokazywałem ci przed chwilą Margaretę? Widać stąd dach domu. Plantatorzy często nadawali posiadłościom imiona swych żon lub córek, ofiarowując je w prezencie ślubnym. Tak, pędzili kiedyś wystawne życie. Armia służących podawała najlepsze potrawy i napoje na srebrnych tacach, ogrodnicy hodowali kwiaty i dekorowali nimi dom, czarne pokojówki wystrojone były w złote koronki. - Roześmiał się cicho. - Nieźle, całkiem nieźle, ale skończyło się. Jednej rzeczy uczy nas historia - nic nie trwa wiecznie, nie przetrwało nawet Imperium Rzymskie. Czy

przeczytałeś już ten materiał o Wilberforce'ie, człowieku, który doprowadził do zniesienia niewolnictwa w Imperium Brytyjskim?

- Jeszcze nie. Nie przerabialiśmy tego w szkole.

- I nigdy nie będziecie przerabiać. Przeczytaj sam.

Starszy pan miał bzika na punkcie historii. Will znów poczuł zniecierpliwienie, ale nie okazał tego, ponieważ lubił Clarence'a.

- Tak. potem przyszły ciężkie czasy dla właścicieli majątków ziemskich. Długi, wierzytelności hipoteczne, bankructwa.

- Dobrze im tak - przerwał mu Will.

- Mój dziadek opowiadał mi, że gdyby się wybrać na wycieczkę konną po tym terenie, można by napotkać wielkie domy, które wchłonęła z powrotem dżungla i teraz drzewa wyrastają z butwiejących dachów. - Clarence przerwał nagle. - Nudzi cię to wszystko, prawda?

Zamiast odpowiedzi, Will wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Masz zaledwie jedenaście lat, ale nigdy nie jest za wcześnie na to, by zacząć rozumieć przeszłość.

- Czemu?

- Ponieważ jedynie w ten sposób można sprawić, by przyszłość była lepsza.

- Czy ty to robiłeś? Clarence zmierzył go surowym spojrzeniem.

- Owszem. Posłuchaj, mój dziadek pracował pełny rok na plantacji trzciny cukrowej za marne pięć funtów. Mieszkał na terenie plantacji i płacił czynsz za swój dom - a właściwie ruderę - z którego mógł być wyrzucony według widzimisię właściciela. I ty pytasz, czy teraz jest lepiej? Tak, mam swój udział w ruchu związkowym, który przyczynił się do poprawy warunków, aczkolwiek nie są jeszcze wystarczająco dobre. Teraz jestem już za stary. Zajmują się tym ludzie w rodzaju Nicholasa Mebane'a i twojego ojca. Cieszę się, że twój ojciec rzucił nauczanie. Może wykorzystać pełniej swoje zdolności.

- On nie jest moim ojcem! - wybuchnął nagle Will. - Dlaczego zawsze tak go nazywasz?

- Właśnie że jest! Bardziej zasługuje na to miano niż ktokolwiek inny! Czasami stanowisz dla mnie zagadkę, Willu. Wydajesz się taki krytyczny, taki ponury. Ponieważ jednak jesteś rozwinięty ponad wiek, myślę, że wkrótce przejrzysz na oczy i zobaczysz otaczających cię ludzi we właściwym świetle. - Clarence odłożył wiosła i położył

dłoń na kolanie Willa. - Bardzo mnie boli, gdy słyszę, jak wykrzykujesz: „On nie jest moim ojcem!”

- Dobra, przepraszam - powiedział Will.

- Czemu więc to robisz?

- Spójrz na niego! A potem na mnie!

- Chodzi ci o kolor skóry? To cię gnębi? Dlaczego? Czy sądzisz, że jesteś czystym Afrykańczykiem? Albo ja? To wyłącznie kwestia stopnia domieszki. Niechęć pomiędzy beżowymi a czarnymi datuje się od wielu lat. Tamci zajmowali lepsze posady, mieli pieniądze, prawo głosowania. Wiesz kiedy zaczęli się jednoczyć? Gdy czarni zdołali dzięki ciężkiej pracy wykupić skrawek ziemi i uzyskali również prawo głosowania, beżowi chcieli zdobyć ich głosy, by mieć szansę wejścia do ciała ustawodawczego. Wiedząc o tym, czarni - Clarence wybuchnął śmiechem, odchylając się do tyłu i pozwalając, by łódź dryfowała w stronę brzegu - po prostu nie płacili podatków. Ponieważ nie mogliby wówczas głosować, beżowa arystokracja płaciła za nich, w zamian za głosy! Sprytnie, prawda? - spytał ze swawolną miną.

Wili wcale nie był ubawiony.

- Sztuczki! Wszędzie sztuczki zamiast autentycznych praw. On i Mebane kręcą się wokół Luthera w tym luksusowym domu. „Eleuthera znaczy wolność” - powtarza mi za każdym razem, gdy tam jedziemy. Wolność dla kogo? Nie dla takich ludzi, jak my. Częstuje cię zimnym napojem i kawałkiem ciasta, myśląc o sobie, jaki to jest wspaniały.

- Kto? Francis Luther? Czepiasz się jednego z najprzyzwoitszych ludzi na tej wyspie!

- Słyszałem kiedyś, jak mówiłeś, że mu nie ufasz.

- Źle mnie zrozumiałeś. Byłem po prostu ostrożny. Chodziło mi o danie mu szansy, by udowodnił, że rzeczywiście myśli tak, jak mówi. Jak do tej pory w pełni to udowadnia. Wybudował domy, otworzył przychodnię z pielęgniarką na miejscu i lekarzem, przyjeżdżającym raz w miesiącu na kontrolę. Nikt poza nim nie kiwnąłby nawet palcem. Bardzo przyzwoity człowiek - powtórzył stanowczo Clarence.

Will prychnął, przypominając coś sobie.

- Sypia z panią Tarbox.

- Co takiego?! Cóż to za gadanie? Od kogo słyszałeś podobne bzdury?

- Słyszałem jak Desiree rozmawiała w kuchni z Pa... z ojcem. Powiedział, że to nieprawda, ale ona twierdziła, że ludzie widują go u niej w domu.

- Niedobrze mi się robi, gdy tego słucham! Że też ludzie nie mają nic lepszego do roboty, jak rozsiewanie obrzydliwych plotek i kłamstw! Dziwi mnie zachowanie Desiree. I nie powtarzaj tego, słyszysz?

- No. dobrze. - Widział po Clarence'ie, że jest naprawdę zły. - Dobrze, wszystko, co powiedziałaś, wujku, to prawda, zatrudnił pielęgniarkę i tak dalej, ale wciąż...

- Co wciąż?

- Wciąż są to tylko okruchy, prawda? Zupełnie jak w przypadku dzieci nurkujących po monety rzucające przez turystów. Uważają, że są tacy łaskawi! Któregoś dnia zaczęła mnie w mieście para Amerykanów, częstując cukierkami. Rzuciłem je na ziemię i powiedziałem im, co mogą z nimi zrobić.

- Willu, Willu, zachowałeś się paskudnie! Nie powinieneś był tego robić. Ci ludzie mieli dobre zamiary, chcieli być sympatyczni. Czy ty tego nie rozumiesz?

Na pokrytej zmarszczkami twarzy Clarence'a malowało się strapienie. „On jest już stary - pomyślał Will. - Za stary.”

- Nie, nie pojmuję cię, Willu. Nie pamiętam zbyt dobrze, jaki byłem w twoim wieku, ale nie wierzę, żebym mógł być podobny do ciebie. Nie, z pewnością nie. Jesteś bardzo bystrym chłopcem, znacznie bystrzejszym niż ja w twoim wieku. Ale nie uczysz się zbyt pilnie. Wielokrotnie - powiedział chytrze Clarence - przyłapywałem cię, jak siedziałeś nad książkami, gapiąc się bezmyślnie nie wiadomo na co. O czym myślałeś?

- O tym, że wy, dorośli, nic nie robicie. Gadacie o komitetach, wyborach, zbliżającej się niepodległości, o tym, jak trudno związać koniec z końcem i że buty są takie drogie. Ale w sklepie Da Cunha sprzedaje się wino z Francji i brylanty warte więcej niż cały wasz dom. Gadacie, tylko gadacie!

- A co, twoim zdaniem, powinniśmy robić?

- Wyjdźcie na ulice! Wyjdźcie i zacznijcie strzelać! Spalcie ich domy i zabierzcie to, czego wam potrzeba. Oto co powinniście robić.

- To nie prowadzi do niczego! Tak mogą postępować niecywilizowane dzikusy. Trzeba osiągnąć wszystko poprzez rząd,

poprzez związki zawodowe! Ach, jesteś jeszcze dzieckiem. Chodź, jesteśmy na miejscu, pozbędziemy się ryb i wracamy do domu.

Mały tłumek oczekiwał na plaży na rybaków na zaimprovizowanym targu, gdzie można było kupić lub wymienić towary. Miotły i koszyki własnej roboty, wypieki i kwieciste bawełniane fartuszki były rozłożone na skleconych na poczekaniu stołach oraz na odwróconych dnem do góry pudłach. Will wyjął sieć pełną lśniących ryb i położył na pudle, tymczasem Clarence cumował łódź.

- Lepiej, żeby nikt nie usłyszał, jak pleciesz o paleniu domów, synu - ostrzegł go.

Will stał, przyglądając się, jak Clarence mocuje się z liną. Tak upływa życie. Poczul dziwną czułość dla starego człowieka. Miał przez chwilę ochotę wyciągnąć rękę i pogłaskać go po ramieniu, ale poczul nowy przyływ gniewu i zrezygnował.

## Rozdział 14

Pewnego dnia Teresa Luther wróciła na St. Felice. Tee Francis długo stawiała opór, w końcu jednak Teresa Luther zwyciężyła.

- Jak możesz odmawiać? - nalegał Richard. - Prosił nas już tyle razy, a teraz, gdy ma się urodzić nasz wnuk...

- Mam obowiązki... - zaczęła.

- Nonsens! Masz dorosłe córki, które zaopiekują się Margaret. Doskonale poradzą sobie bez ciebie przez kilka tygodni - powiedział cicho.

Przeciwności losu sprawiły, że zmienił się, złagodniał. „O dziwo - myślała często - dodały mu też godności.”

- Spójrz - powiedział. - Znalazłem ten stary album. Proszę.

Na zdjęciach była ona sama, poważna i blada, z falą ciemnych włosów opadających na ramiona oraz pozostali członkowie rodziny. Pere wsparty na swej lasce ze złotą gałką, na trawniku w Eleutherze, Julia, cała w falbankach, stojąca z Tee u stóp bliźniaczych schodów w Drummond Hall.

- To zdjęcie musiało być zrobione najwyżej rok przed naszym ślubem - zauważył Richard.

- Chyba tak.

- Francis ucieszyłby się bardzo na twój widok! Wyobrażam sobie jego minę! - powiedział Richard.

- Na twój także.

Album leżał na parapecie okiennym. Przez szyby zaglądał szary, ponury dzień, na wietrze wirowały martwe liście.

„To okropne, że witamy cię w Paryżu taką brzydką pogodą”, powiedział Anatole Da Cunha tamtego dnia.

„Jesteś silna, znacznie silniejsza, niż przypuszczasz.” To słowa Marcelle, która uczyła ją, jak przetrwać. „Dziwne, nie myślałam o niej przez całe lata. Właściwie wcale nie dziwne, robiłam przecież wszystko, by o niej zapomnieć.” „Jesteś w stanie wytrzymać wszystko, jeśli będziesz musiała” - mówiła jej Marcelle. „To prawda. Małżeństwo bez miłości, tajemnica niczym skrzynka dynamitu ukryta w szafie; można znieść wszystko, jeśli się musi. Teraz znów wzywają mnie do powrotu. Tym razem nie znajdę wymówki, wyczerpałam już wszystkie.”

- Pojedziesz więc? - spytał Richard. - Czy mogę zacząć załatwiać formalności?

- Tak, pojedę - odrzekła Teresa Luther.

Miasto niewiele się zmieniło. Rynek, tuż obok katedra, kioski z napojami chłodzącymi i szarozielone tamaryndowce były wciąż te same. Nowości stanowiły ochryple wrzaski odbiorników radiowych, klaksony aut, których znacznie przybyło, reklama filmu kowbojskiego w witrynie sklepu.

No i zmienił oblicze sam dom. Dobudowano nowe skrzydło z pokojami gościnnymi i pokojem dziecięcym dla mającego przyjść na świat maleństwa. Marjorie odnowiła cały dom z patrycjuszowskim wdziękiem, przypominał teraz w pewnym sensie ją samą. „To nie ten dom, w którym kiedyś mieszkałam” - pomyślała Tee, wspominając odpadający tynk.

- Jest podobny do ciebie - powiedziała do synowej. Marjorie była wyraźnie zadowolona z tego porównania.

- Mam nadzieję, że nie w tej chwili - uśmiechnęła się, poklepując się po ogromnym brzuchu.

Francis chciał ich koniecznie oprowadzić po swoim królestwie. Szedł przodem z Richardem w kierunku gajów bananowych rosnących na zboczach, za nimi dreptała Tee.

- To główne źródło dochodów - wyjaśnił. - Zielone złoto, ojcze. Richard był zafascynowany. Wszystko zachwycało go tutaj swoją egzotyką, nie znał do tej pory takiej części świata.

Obaj mężczyźni przystanęli na ścieżce w cieniu gęstego listowia. Jeden miał wciąż na sobie swój ciemny miejski garnitur, drugi strój roboczy koloru khaki. Włosy Francis spłowiały na słońcu, był mocno opalony. Tee zastanawiała się, co też Pere pomyślałby o tym młodym mężczyźnie, w którego żyłach płynęła jego krew. Z niesłychaną spostrzegawczością, jak zawsze, gdy chodziło o syna, wyczuła w nim coś nowego, wibrującego i ekscytującego.

Richard, zainteresowany finansami, chciał wiedzieć, jak sprzedają się zbiory.

- No, muszę ci powiedzieć tato, że jestem bardzo dumny z pewnej rzeczy, którą udało mi się przeprowadzić. Do tej pory każdy plantator pracował na własny rachunek, teraz założyliśmy spółdzielnię. Kosztowało mnie sporo wysiłku, by przekonać ludzi, że to naprawdę dobry pomysł, ale teraz sami musieli przyznać mi rację, ponieważ jako spółdzielnia możemy negocjować znacznie korzystniejsze warunki sprzedaży.

Tee przystanąła, pozwalając, by mężczyźni poszli dalej sami pod górę. Zatonęła we wspomnieniach, błędząc wzrokiem po okolicy. '

Richard i Francis wyrwali ją z zamyślenia. Wrócili razem do domu. Smętne krowy, pasące się za drewnianym ogrodzeniem, na dźwięk głosów odwróciły ku nim kremowe mordy, spoglądając ciemnymi, łzawymi oczyma.

- Pierwsza nagroda na wystawie rolniczej - powiedział z dumą Francis. - Dzięki bananom jestem wypłacalny. Natomiast cała reszta naprawdę mnie pasjonuje. Usiłuję zrobić coś dla tej wyspy, podnieść jej rangę. Lionel uważa, że jestem głupi, podejmując ryzyko i przejmując się tak bardzo. Prawdopodobnie sam wam to powie.

- Czy wasze stosunki z Lionelem nie układają się dobrze? - spytała Tee.

- Ależ nie, całkiem nie najgorzej. Ale Marjorie lubi go chyba bardziej niż ja. Mają podobny sposób myślenia. Zresztą Lionel będzie dziś na kolacji.

- Marjorie pisała mi w swym ostatnim liście o jego rozwodzie. Nie wspominała o żadnych przyczynach, stwierdziła tylko, że był „cywilizowany”. Jaka jest żona Lionela? To znaczy, nie orientujesz się przypadkiem, co było powodem rozpadu małżeństwa?

Francis odwrócił wzrok.

- Doprawdy nie mam pojęcia. Bywa, że małżeństwo po prostu się rozpada. Nieważne, czy jest po temu jedna przyczyna, czy też tysiąc, prawda? Nie wyszło im, i koniec. - Przerwał nagle, po czym dodał: - Martwię się o Marjorie. Lekarz ostrzega, że ma zbyt wysokie ciśnienie. Może trzeba będzie zastosować cesarskie cięcie. - Zwrócił ku rodzicom zmartwioną twarz. - Cieszę się, że jesteście przy mnie.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, wiesz o tym - zapewnił go Richard.

- Poza tym pechowo się złożyło, że przyjeżdżając do nas z pierwszą wizytą musieliście akurat trafić na taki cholerny bałagan. Mówi się o strajku generalnym. Mógłby on sparaliżować życie na wyspie, grozić przykrymi konsekwencjami. - Zmrużył oczy, zezując w zamyśleniu ku słońcu. - Oby nic takiego się nie zdarzyło. Poza tym naprawdę sędzę, a właściwie jestem pewien, że mnie dadzą spokój. Wiedzą przecież, ile zrobiłem. Jestem po stronie robotników od chwili przyjazdu.



W jadalni Richard siedział naprzeciwko obrazu Anatole'a Da Cunha, przedstawiającego Morne Bleue.

- Muszę przyznać, że przykro mi było rozstawać się z nim - powiedział - ale tutaj pasuje znacznie bardziej. Od razu widać mistrzowskie pociągnięcie pędzla. Wspaniały, wspaniały! Czuje się pieczętę słońca na skórze! Mam dość bzdur, które wypisują dzisiejsi krytycy sztuki. Na przykład, w zeszłym tygodniu przeczytałem: „Twarz wyobrażająca cywilizację chylącą się ku upadkowi.” Co, u diabła, ma to znaczyć? Czyjeś niejasne wrażenia udające analizę! A wszystko sprowadza się przecież do tego, czy czujemy dotyk promieni słonecznych na skórze.

- Ten obraz musi być wart majątek teraz, gdy Da Cunha jest już taki stary - powiedziała trzeźwo Marjorie.

- Oczywiście. Po jego śmierci wartość obrazów jeszcze podskoczy. Wiesz, Tereso, powinienem był go poprosić, by cię namalował wtedy w Paryżu. Nie przyszło mi to do głowy.

Lustro nad kredensem odbijało twarz Tee, bardzo bladą w świetle świec i zapadającym zmroku, twarz wciąż bez zmarszczek, o ładnym rysunku, a mimo to już niemłodą.

- Kiedy stąd wyjechałaś - zauważył Lionel - miałaś piętnaście lat, prawda? Ja wtedy nie mogłem mieć jeszcze trzech. Zawsze jednak wydawało mi się, że cię pamiętam, ponieważ matka dużo o tobie opowiadała. - Roześmiał się. - Zawsze mówiła, że byłaś małą dzikuską.

- Ja? Dzikuską?

- Och, miała po prostu na myśli jazdę konno na oklep i to, że wszędzie biegałaś ze zwierzętami: psami, źrebakami, papugami, czego ja zapewne nigdy nie robiłem.

- Papugi! - Richard jak zwykle zareagował żywiołowo i entuzjastycznie. - Żyją tu na wolności?

- Mają gniazda wysoko na Morne Bleue i nie zawsze udaje się je zobaczyć, ale przy łucie szczęścia... Widziałem nawet papugę zwaną cesarską. Przepiękny ptak, cały ametystowoszmaragdowy. Jeśli masz ochotę na górską wycieczkę, możemy wybrać się tam jutro - zaproponował Francis.

- O tak, mam wielką ochotę! - wykrzyknął Richard.

„Nie powinnam była tu przyjeżdżać” - pomyślała Tee. Zabrakło jej nagle tchu, odłożyła widelec, po czym znów go podniosła. Jedzenie wydało jej się kompletnie bez smaku.

„Przecież chyba go tu nie ma. Patrick Courzon?” To nazwisko dźwięczało przez cały czas w jej uszach. Nawet gdyby mieszkał na wyspie, i tak nigdy go nie spotka. St. Felice jest mała, to prawda, ale przecież nie aż tak. W dodatku istnieją tu silne podziały na rasy i kasty. Zresztą, pewnie został w Anglii lub wyjechał gdzieś, by spożytkować swoje wykształcenie.

Przypuśćmy jednak, że powrócił na wyspę? Spróbowała wyobrazić go sobie: o rok starszy od Francisa, w jego żyłach też płynie jej krew. Muszą być bardzo podobni, a zarazem bardzo różni.

Służąca nachyliła się nad Francisem, by nalać mu wina. Jej szczupła, ładna ręka, rdzawobrazowa, ciemna, zbliżyła się na moment do jasnej ręki gospodarza. Tee pomyślała, że podobny kontrast tworzyłyby zapewne dłonie obu chłopców, gdyby... Niemożliwe! Jednak do obawy, która tysiące razy przejmowała ją dreszczem, dołączyło się również inne uczucie: żalu, głębokiego żalu.

Młoda służąca okrążała stół, nalewając wszystkim wina. Poruszała się lekko, trzymając głowę z dumnym wdziękiem. Gdyby zamiast niebieskiego bawełnianego uniformu włożyła suknię balową, można by ją wziąć za księżniczkę, czarną księżniczkę. Napotkawszy spojrzenie Tee, dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

„Zwariowany świat, ze swymi zastrzeżeniami i podziałami! Cała ta gradacja ludzi w zależności od koloru skóry i pieniędzy, od pochodzenia i klasy. A tak naprawdę, to czym jesteśmy? Trochę białka, minerałów oraz woda, dużo wody. Wszystko to bzdura, a ja wciąż nie mam odwagi, by stawić temu czoło. Gdybym mogła wiedzieć, jaki on jest, po cichutku, w tajemnicy przed innymi, bez rujnowania całego życia, narażania się na gniew. Czasami myślę, że może byłam nie dość odważna. Czasami wydaje mi się, że umarłam tu, w tym domu, gdy miałam piętnaście lat, a wszystko, co się potem wydarzyło, jest snem.”

Owładnęło nią takie poczucie nierzeczywistości, skrócenia perspektywy czasu, że odległa przeszłość wydała jej się zaledwie dniem wczorajszym, a mimo to czymś tak nierealnym, jakby się nigdy nie wydarzyła. Uchwyciła się krawędzi stołu.

- Czy coś się stało? - spytała ją Marjorie. - Dobrze się czujesz?

- Ja? Jestem po prostu zmęczona podróżą. - Tee uśmiechnęła się, odpędzając od siebie cienie przeszłości, które towarzyszyły jej stale od chwili, gdy skończyła piętnaście lat.

- Wypoczniesz sobie w nocy. Twój pokój znajduje się w nowym skrzydle, daleko od innych, jest bardzo cichy.

- A jutro zapraszam was na lunch - powiedział Lionel. - Gwarantuję, że będzie smaczny, choć nie ma gospodyni. Teraz, gdy żona odeszła, muszę sam dbać o rozrywki. Ale Kate nigdy nie była zbyt towarzyska.

- Co ona teraz porabia? - spytał Richard, widząc, że temat rozwodu nie stanowi tabu. Bardzo lubił plotki.

- Och, pracuje jak wariatka. Zawsze była i nadal jest w przeróżnych piekielnych komitetach, stawiających sobie za zadanie poprawę tego, tamtego i owego. Wierzy w to, co robi i należy to doceniać. Innymi słowy, nie rzuca słów na wiatr.

- Kate nigdy nie lubiła ludzi - zauważyła Marjorie.

- Nie powiedziałbym - zaprotestował Lionel. - Niektórych lubi nawet za bardzo. Zależy, o kim mówisz.

- Oczywiście, mam na myśli naszych przyjaciół, ludzi, których wszyscy znamy - wyjaśniła Marjorie swojej teściowej. - Zawarłam tu wiele wspaniałych przyjaźni. To dla mnie zbawienie w sytuacji, gdy Francis jest bez przerwy zajęty swoimi bananami, krowami i tak dalej.

Tee odniosła wrażenie, że słowa Marjorie mają żądła.

- Czy w zimie miewacie dużo gości ze Stanów? - spytał Richard.

- O, tak, zawsze stoi kilka jachtów w porcie. W ubiegłym roku Crowesowie, przyjaciele mojej matki, wiesz ci od Standard Steel Crowes, zarzucili kotwicę i spędzili z nami trochę czasu. Moi kuzyni przyjeżdżają co roku i wspaniale się bawimy. Nie mogą wprost ochłonąć ze zdumienia, ile ziemi posiadamy, ile służby! Opowiadają mi w kółko, że w Stanach trudno znaleźć przyzwoitą sprzątaczkę. Ciągle jestem zajęta, mam mnóstwo rozrywek.

„O czym może z nią rozmawiać Francis? - zastanawiała się Tee. - Małżeństwo to trwający przez całe życie dialog, w przeciwnym razie nie jest małżeństwem.” Była ciekawa, czy Richard również to zauważył. Nie, nie zauważył.

- Rozwiązanie jest kwestią najbliższych dni, prawda? - spytał Lionel Marjorie.

- Obawiam się, że już przenosiłam ciążę. Jeśli dziecko nie urodzi się samo jutro lub pojutrze, trzeba będzie zrobić cesarskie cięcie.

Lionel zmarszczył brwi.

- Gdybym był na twoim miejscu, Francisie, nie czekałbym tak długo i zawiózłbym ją do miasta. Nie wiadomo, co się może wydarzyć. Jeśli podejmą decyzję o strajku, zablokują drogi.

- Naprawdę tak uważasz? - spytał z powątpiewaniem Francis. - Ja raczej myślę, że wszystko będzie miało spokojny przebieg. Nie przewiduję przemocy nawet w wypadku strajku.

- Mówiłeś nam dzisiaj po południu - przypomniał mu Richard - że sytuacja może zrobić się nieprzyjemna.

- Miałem na myśli przykre słowa, nie zaś realne niebezpieczeństwo. Lionel pokręcił głową.

- Czułbym się znacznie pewniej, gdyby Nicholas Mebane był w kraju. Jest jedynym Murzynem, którego cechuje zdrowy rozsądek białego. Nie darzę ani jego, ani też żadnego z nich specjalną sympatią, muszę jednak przyznać, że wygląda mi na człowieka, któremu dobro kraju leży na sercu. Teraz jednak uczestniczy w jakiejś naradzie na Jamajce w sprawie federacji, niepodległości czy czegoś w tym rodzaju. Podczas jego nieobecności mogą nam grozić kłopoty.

- Ci ludzie nie zastosują przemocy - zaoponował Francis. - Chodzi im tylko o zarobki, sprawy związkowe.

- Nie? A to, co się zdarzyło w ubiegłym miesiącu? - natarła ostro Marjorie.

- Mieliśmy mały problem, bez żadnego związku z tym, o czym mówimy w tej chwili. Cóż - wyjaśnił Francis rodzicom - gdy człowiek zarządza taką posiadłością, jest czymś w rodzaju głowy rodziny. Robotnicy przychodzą do mnie ze swoimi kłopotami, kiedy chcą pożyczyć pieniądze albo w przypadku kłótni z innym robotnikiem. Zdarzyło się, że jeden z mężczyzn wpadł we wściekłość i ciął drugiego maczetą, odrabując mu palec. Musiałem załagodzić spór. Jest to, oczywiście, wstrząsające, ale nie ma żadnego związku ze strajkiem.

- A ja uważam, że ma - powiedział Lionel. - Tych ludzi dzieli od brutalności tylko jeden krok.

Richard chciał się dowiedzieć, czego żądają związki zawodowe.

- Więcej pieniędzy, rzecz jasna - odrzekł Lionel. - Mają długą listę żalów, chcą otrzymywać wynagrodzenie raz na tydzień, a nie raz na dwa tygodnie...

- To wydaje się dość rozsądne - przerwał mu Richard. - A może się mylę?

- To bardzo niewygodne i znacznie bardziej kosztowne, ponieważ wymaga większej księgowości.

- Osobiście uważam, że na ogół należy im się to, o co występują - powiedział Francis.

Lionel westchnął z irytacją.

- Czy jesteś gotów podnieść im płace?

- Pójdę na kompromis. Mam dobrych pracowników i jeśli będę musiał zapłacić więcej po to, by panował wśród nich spokój, zrobię to.

- Lepiej pomyślalbyś o zaoszczędzeniu pieniędzy dla własnej rodziny - powiedziała cicho Marjorie.

- Mojej rodzinie niczego nie brakuje. Nie ma powodu do zmartwienia - odparł równie cicho Francis.

„Nic ich nie łączy, oprócz tego dziecka w jej brzuchu” - olśniło nagle Tee. Nic! Prawdopodobnie żadne z nich nawet nie zdawało sobie z tego sprawy i może nigdy nie zda. Straszne. Gdyby spytać Richarda o jego małżeństwo, odpowiedziałby z pewnością, że jest udane. Szczerze w to wierzył.

„Za dużo, stanowczo za dużo tego wszystkiego! - pomyślała, czując ogromne znużenie. - Małżeństwo mojego syna nie powinno mnie obchodzić, mimo to jednak obchodzi. Wrócę do domu z nowym ciężarem na sercu.”

- Czy zawieziesz mnie do Covetown jutro rano, jak radzi Lionel? - naciskała Marjorie.

- Owszem, choć w dalszym ciągu nie podzielam jego zdania, jakoby groziło nam jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

- Gdy będziesz mieszkał tutaj tak długo, jak ja - powiedział Lionel - zmienisz zdanie. Dobry Boże, pamiętam z bardzo dawnych czasów, gdy byłem jeszcze dzieckiem, awanturę u fryzjera - zaznaczmy, że był biały - podczas której kilku Murzynów pocięto go na kawałki jego własnymi brzytwami. Nikt ich nigdy nie złapał. Mogą pracować, na przykład, u ciebie w Eleutherze. - Lionel roześmiał się. - No, ale mówiąc, serio, wszędzie panuje ogromne podniecenie i nie sądzicie, że podpalenia skończyły się wraz z niewolnictwem. Za

czasów mego dziadka spalono połowę posiadłości na St. Croix, a wcale nie było to tak dawno! Powodem było niezadowolenie z umów o pracę. A sytuacja dzisiaj jest znacznie bardziej napięta niż wtedy.

Richard odstawił ze stukiem filiżankę z kawą.

- Przestraszymy śmiertelnie nasze panie. A już szczególnie nie wypada straszyć Marjorie.

- Bardzo przepraszam. Masz absolutną rację - usprawiedliwiał się Lionel. - A więc, jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się u mnie na lunchu w piątek? Tee, czy pamiętasz drogę? Nie zabłądzisz?

- Nie, nie zabłądzę, pamiętam drogę. Doskonale ją pamiętam.

Gdy Francis otworzył oczy w piątek rano, wokół panowała nienaturalna cisza. Ostrożnie, by nie zbudzić Marjorie, wyślizgnął się z łóżka i ubrał. Ona jednak usłyszała go.

- Co się stało, Francisie?

- Nic, śpij. Dobrze się czujesz? Jej oczy pod obrzmiałymi powiekami lśniły niezdrowym blaskiem.

- Kręci mi się w głowie. Sama nie wiem, jak się czuję, doprawdy. W głowie Francisza rozbrzęczał się dzwonek alarmowy.

- Zostań tutaj, za chwilę wrócę. Zadzwonię do doktora Stranda i odwiezę cię do Covetown.

Zbiegł po schodach i wypadł na dwór. Przed wpół do siódmej mleczne krowy powinny być już na pastwisku. W odróżnieniu od innych właścicieli, trzymał swoje bydło nocą w zagrodzie, chroniąc przed wilgocią. O wpół do siódmej robotnicy powinni być już w gajach bananowych i zbierać owoce. Ruszył pośpiesznie brzegiem rzeki - nigdzie nie widział znaku życia, tylko ptaki świergotały wśród drzew. Banany, grube niczym świece na ołtarzu, czekały na zerwanie. Po drugiej stronie wyspy stał w porcie, gotów do załadowania, potężny statek - chłodnia.

A więc strajk stał się faktem dokonanym i uczestniczyli w nim również jego robotnicy! Zawiedli wzajemne zaufanie, które, zdaniem Francisza, istniało pomiędzy nimi! Poza tym opuścili go w krytycznym momencie. Całe zbiory pójdą na marne, tyle miesięcy kwitnienia i dojrzewania! Gniew wzbierał w nim wraz z niepokojem o Marjorie. Dręczyła go też inna obawa - potrzebował pieniędzy, i to bardzo pilnie, miał do spłacenia dług w banku, kilka domków dla stałych pracowników czekało na wykończenie...

Zobaczył Osborne'a biegnącego od strony stajni.

- Zaczęło się - powiedział Francis. - Nasi ludzie także biorą w tym udział.

- Obawiam się, że tak. Proszę się nie martwić o inwentarz. Moi synowie poszli wydoić bydło i nakarmić je. Żona dogląda kur. Powoli zrobimy wszystko, co trzeba.

- A co ze zbiorami? Osborne podniósł ręce do góry.

- Co pan przez to rozumie? Po prostu zapomnieć o nich? Spisać na straty?

- A co innego możemy zrobić?

No cóż, takiemu Osborne'owi łatwo zachować spokój. To nie jego pieniądze. Niezależnie od wszystkiego ma swój dom, swoje wynagrodzenie.

- Czy nie traktowałem przyzwoicie moich pracowników?

- Jasne że tak, ale...

- Ale co? Żona mojego brygadzysty chciała mieć nowy piec. Proszę bardzo, dostała go. Dziecko Mertona miało infekcję ucha. Co robię? Wsiadam do samochodu i sam je odwożę do szpitala. Nie zależy mi na podziękowaniach, chcę tylko... Posłuchaj, Osborne, muszę z kimś porozmawiać. Gdzie się wszyscy podzieli?

- Wielu mężczyzn udało się na wiec do miasta. Za bramą stoi pikietujący tłum z transparentami. Widać ich z okien domu.

- Pójdę tam. Chcę im wyłożyć wszystko czarno na białym. Gryzą rękę, która ich karmi lepiej niż ktokolwiek na wyspie. To przecież kompletnie nie ma sensu i mam zamiar im to wytłumaczyć.

- Na pana miejscu nie robiłbym tego. Są zdeterminowani. Nie dostanie się pan nigdzie. Przyjechali do nich wyżsi działacze związkowi. Nie znają pana nawet i mogą się nieźle wściec. Strajk ogarnął całą wyspę. Proszę tam nie iść, panie Luther.

Ależ ten Osborne! Zimny jak ryba, ze swoimi spokojnymi radami, z których wynikało, że doskonale wiedział, co się wydarzy dzisiejszego ranka! W takiej chwili można podejrzewać każdego. On jednak musi zachować zimną krew i uratować, co się da. Zachować zimną krew! Ze względu na stan, w jakim znajduje się Marjorie i... - Odwrócił się nagle na pięcie.

- Idę do telefonu. Dotrę do kogoś, kto będzie w stanie cokolwiek poradzić. Niech mnie diabli, jeśli będę tu siedział bezczynnie i przyglądał się, jak owoce gniją na drzewach.

„Patrick - pomyślał. - Patrick jest tą osobą." Nie rozmawiali ze sobą tydzień czy dwa. Francis miał głowę zajętą Marjorie, przyjazdem rodziców, a Patrick poprzez swoją gazetę był zaangażowany w sprawy strajku, nawoływał obie strony do prowadzenia negocjacji, cierpliwości i pohamowania namiętności.

Zadzwońiwszy do lekarza, który poradził mu, by przywiózł żonę do szpitala jeszcze przed południem, wykręcił numer Patricka. Spytał go, czy mógłby przyjechać pilnie do Eleuthery. Sprawa jest ważna i nie cierpiąca zwłoki, czy mógłby więc wpaść do biura, tuż obok domu Osborne'a? Patrick obiecał mu, że natychmiast przyjedzie.

Francis okręcił się na obrotowym krześle i zaczął bębnić palcami po biurku. Nerwy miał rozdygotane. Przypomniawszy sobie słowa swego dawnego nauczyciela, który twierdził, że wszystko jest ze sobą wzajemnie powiązane, nic nie dzieje się w oderwaniu od innych spraw. Wówczas tego nie rozumiał, nudziły go potwornie takie suche abstrakcyjne wywody, teraz jednak zrozumiał nagle, jak wiele jest w tym racji. Miało się urodzić jego dziecko - modlił się, by wszystko poszło dobrze - i musiał zapewnić mu bezpieczeństwo, ale robotnicy również pragnęli własnego bezpieczeństwa!

- Wiele przemawia za nimi, wiesz o tym - mówiła często Kate i była to prawda. Kate zawsze widziała sprawy we właściwym świetle. Kate...

Przetarł dłonią oczy. Wszystko wirowało wokół niego: Kate, Marjorie, dziecko, pieniądze i sprawiedliwość, wszystko obracało się w przyspieszonym tempie, zderzając się ze sobą. Tak, po stronie strajkujących jest wiele racji, ich żądania nie są ani wygórowane, ani oburzające. Jeśli plantatorzy mają choć odrobinę rozsądku, przystaną na nie i wybiorą pokój. W końcu i tak będą zmuszeni ustąpić, czyżby tego nie rozumieli?

To właśnie powiedział Patrickowi, gdy wszedł on szybkim krokiem do biura.

- Cieszę się, że tak to widzisz, Francisie.

- Tak właśnie jest. Chyba każdy o tym wie. Dlaczego więc mnie również ukarali?

- To nie jest kwestia kary. Nie dotyczy też ciebie osobiście. Po prostu kiedy już coś takiego się zacznie, działa jak lawina. Zbierało się przez długi czas. Teraz nie ma siły, która by ich powstrzymała.



- To nie jest odpowiedź na moje pytanie! Czy nie byłem wobec nich w porządku, czy miałem węża w kieszeni? Włożyłem mnóstwo pieniędzy w różne ulepszenia, gdy nie starcza mi na spłacenie długu. Otworzyłem na miejscu sklep spożywczy i dochód z niego przeznaczyłem na fundusz opieki społecznej... Dlaczego oni mi to robią? - Usłyszał w swym głosie błagalne nuty.

- Co mogę ci powiedzieć? - rzekł cicho Patrick. - Oczywiście, to niesprawiedliwe. Oni jednak nie czynią żadnych wyjątków. Tak się sprawy przedstawiają.

- Chcesz powiedzieć, że nie ustąpią?

- Nawet jeśli niektórzy z nich chcieliby przerwać strajk dla ciebie, nie mogą tego zrobić, z pewnością to rozumiesz. Związek, to związek. Rozkazy przychodzą z góry.

- Wobec tego porozmawiajmy z tymi na górze! Patrick pokręcił głową.

- Francisie, to naprawdę niemożliwe.

Zachowanie Patricka zirytowało Francisca. Przypominał ojca, który cierpliwie, z uporem zabrania czegoś swemu dziecku, nie podając przyczyn odmowy. Francis uderzył pięścią w blat biurka.

- Muszę załadować banany na statek! To oburzająca, niczym nie usprawiedliwiona strata dla całej wyspy! Statki, mogące zabrać tysiące ton, mają odpłynąć bez ładunku!

- Wiem, wiem - westchnął Patrick.

- Zapłacę im, ile zażądają. Niech inni plantatorzy robią, co chcą, i mówią o mnie, co im się żywnie podoba. Guzik mnie to obchodzi.

- Jesteś odważny i masz zasady. Zrozum jednak, to nie tylko kwestia pieniędzy. Nie mogą ustąpić, muszą tworzyć zwarty mur.

- Jeśli to nie sprawa pieniędzy, to czego? O co im chodzi?

- Przypuszczam - rzekł powoli, z namysłem Patrick - że pragną kierować własnym życiem. To dążenie staje się coraz silniejsze na naszych wyspach. Ludzie dojrzeli. Wyjeżdżają za granicę i przysyłają stamtąd relacje. Widzą, jak wygląda życie w innych krajach. Obrzydło im to, że zależą od obcych firm...

- Wiem o tym wszystkim - przerwał mu Francis. - Ale ja nie jestem obcą firmą. Mają mnie tu na co dzień, pracuję, widzą mnie.

Patrick milczał. Wyglądał na zmęczonego.

- Powiedziałeś przed chwilą, że mam zasady. Przyznałeś, że jestem w porządku. Idź więc przed moją bramę i poproś tych ludzi, by wrócili i zebrali moje banany.

- Francisie, oni mnie nie posłuchają! Nie jestem nawet działaczem związkowym. Pracuję tylko w gazecie.

- Poproś więc swego teścia. Clarence'a Portera posłuchają z pewnością.

- Clarence jest stary. Od lat nie działa w związkach.

- Nie opowiadaj mi, że nie ma żadnych wpływów.

- Jeśli nawet ma, nie zechce być łamistrajką, możesz być tego pewny. Zmyłby mi głowę, gdybym ośmielił się coś takiego zasugerować.

Rozmowa przypominała grę w szachy, w której Francis robił ruch, a Patrick go blokował, Francis robił kolejny ruch i znów Patrick go blokował. Kiedyś w dzieciństwie, gdy przegrał w warcaby, wpadł w okropną złość i zrzucił szachownicę na podłogę. Teraz czuł się podobnie, miał wrażenie, że wszystko się w nim gotuje.

- Cóż - powiedział, starając się zachować spokój - może zaproponujesz jakieś inne rozwiązanie?

- Naprawdę go nie widzę.

- Więc - rzekł lodowatym tonem Francis - wszystko sprowadza się do faktu, że wcale nie masz ochoty mi pomóc.

- To nieprawda! Prosisz mnie jednak o rzecz niemożliwą. Wszystko wróci do normy, jeśli Stowarzyszenie Plantatorów zawrze porozumienie z decydentami związku, a oni z poszczególnymi związkami... To cały ruch, Francisie, nie rozumiesz?

Krzeseł Patricka skrzypnęło. Trzasnęły drzwi na ganku domu Osborne'a. Oba dźwięki sprawiły, że Francis poczuł dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie. Zacisnął zęby.

- Co zatem mam robić? Co mi radzisz w takiej sytuacji?

Patrick milczał przez chwilę, utkwivszy wzrok we własnych dłoniach. Wreszcie rzekł, wzdychając ciężko:

- Nie mam żadnej zbawiennej rady. Możesz tylko siedzieć i czekać.

- Pogodzić się ze stratami?

- Czy jest jakieś inne wyjście? Francis miał ochotę go uderzyć.

- Inne wyjście! - przedrzeźnił go. - Ty i Osborne z waszą spokojną rezygnacją! Dobrze wam mówić, ponieważ nie macie nic do

stracenia! Masz pojęcie, ile zainwestowałem w to wszystko? - Zgasił ze złością papierosa. Zerwał się z krzesła. - . Tak, siedzieć tutaj beczynnie, podczas gdy cała ta horda której przecież płacę, chce sparaliżować moją plantację i decydować o moim życiu! Patrick uśmiechnął się ze smutkiem.

- Widzisz, oni uważają, że ludzie tacy jak ty czują się uprawnieni do decydowania o ich życiu.

Czarna wskazówka zegara ściennego posuwała się naprzód z głośnym tykaniem. Wpół do dziesiątej. Marjorie! Musi zawieźć ją do miasta przed południem. Zostawić cały ten bałagan. „Wszystko się rozlatuje. Znikąd pomocy. Wszystko znów spada na mnie.”

Nagle przyszło olśnienie. Klasnął w dłonie.

- Wiem! - wykrzyknął. - Mam pomysł! Rezerwat Karaibów! Oni to zrobią! Zwerbuję grupę do kilkudniowej pracy i zapłacę im, ile tylko zechcą za zebranie owoców. Oplaca mi się to.

Patrick gwizdnął cicho.

- Zatrudnisz łamistrajków?

- Możesz to nazwać, jak chcesz.

- Niezależnie od tego, czy jest to słuszne, czy też nie, musisz wziąć pod uwagę sprawy bezpieczeństwa. W jaki sposób przetransportują zbiory? Drogi będą zablokowane - nigdy nie dostaną się do portu.

- Zaryzykujemy.

- Sprowokujesz walkę.

- Jeśli chodzi im o walkę, to ją będą mieli.

Patrick podniósł się. Dwaj mężczyźni, równi sobie wzrostem, stali mierząc się wzrokiem.

- Francisie, popełniasz błąd. Wiem, że w twoim odczuciu potraktowano cię niesprawiedliwie, nie doceniono cię, i może naprawdę tak jest, ale, jak to się często mówi w ruchu związkowym, gdzie drwa rąbiają, tam wióry lecą.

- Wobec tego polecą wióry! - Doprowadzony do ostateczności, powiedział coś, co normalnie nie przeszłoby mu przez usta. - Tym razem posunęli się za daleko. To moja ziemia. Traktowałem ich dobrze, a skoro nie chcą uznać, że to ja jestem tu panem, do diabła z nimi! Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Patrick spochmurniał. Francis nigdy nie widział u niego takiego wyrazu twarzy.

- Nie lubię słowa „pan”, Francisie. Jest brzydkie i dawno już straciło swoje znaczenie.

- Posłuchaj no, zostało mi trzydzieści sześć godzin na załadowanie tych bananów na statek. Nie mam czasu na roztrząsanie znaczenia słów.

- Zaskoczyłeś mnie dzisiejszego ranka. Nie spodziewałem się tego po tobie. Francis poruszył się niecierpliwie.

- Przykro mi, że nie spełniam twoich oczekiwań, ale powiesz mi o tym kiedy indziej, dobrze?

- Mogę ci powiedzieć teraz, jednym zdaniem. Zachowujesz się zbyt wielkopańsko, zbyt feudalnie, jak na nasze czasy.

Gniew Francisca przerodził się w furję. Ten... ten nieznajomy, którego obdarzył przyjaźnią, lubił i traktował z takim szacunkiem, obrócił się teraz przeciwko niemu, strofował go niczym nauczyciel dziecko!

- Wielkopańsko! Feudalnie! - krzyknął. - Po tym wszystkim, co zrobiłem! Ty niewdzięczny... - Zmełł w ustach brzydkie słowo.

- Chciałeś powiedzieć, „skurwysynu”?

- Tak, skurwysynu!

- Nawzajem! - Patrick odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami. Przez kilka chwil Francis stał nieporuszony. W uszach dźwięczały mu wciąż

jeszcze ich podniesione, gniewne głosy, przeraźliwy huk. Drzwi zostały zatrzaśnięte na zawsze, i to nie te drewniane, od jego gabinetu, lecz te niewidzialne, które aż do tego ranka stały otworem dla serdecznej łączności duchowej obu mężczyzn. Nigdy nie odczuwał takiego gniewu. „Cóż, trudno, tak to wygląda - pomyślał. - Zobaczyłem go wreszcie we właściwych barwach.” Po chwili dodał ironicznie: „Właściwa barwa. Nie, nie, to obrzydliwe, nie miałem tego na myśli.”

Wbiegł przez werandę domu Osborne'a do nie posprzątanego salonu, w którym na podłodze walały się zabawki i gazety. „Należałoby się chyba spodziewać, że przy tak wysokich zarobkach, jakie osiąga u mnie, jego mieszkanie będzie miało przyzwoity wygląd” - pomyślał.

- Osborne! - zawołał.

- Słucham, panie Luther. - Gospodarz wyszedł z kuchni. - Udało się?

- Nie. Rozmawiałem z moim przyjacielem i do niczego nie doszliśmy. - W jego głosie zabrzmiała gorycz. - Chcę, żeby najął pan Karaibów do zbierania bananów. Zna pan wodza. On mnie również zna. Zapłaci pan, ile zażądata, i do diabła z konsekwencjami. Mamy trzydzieści sześć godzin na załadowanie bananów na statek.

Twarz Osborne'a była pozbawiona wyrazu. „On nie jest po mojej stronie - pomyślał Francis - ale zrobi, co mu każę, zależy mu na pracy.”

- Mogą zejść z góry boczną drogą - powiedział Francis. - Zostawiam wszystko na pańskiej głowie. Muszę zawieźć żonę do miasta. Być może trzeba będzie zrobić cesarskie cięcie. Wszystko się dzisiaj na mnie wali.

Osborne skinął głową.

- Tak, proszę pana. Przykro mi - powiedział z należnym współczuciem. Jego twarz w dalszym ciągu nie wyrażała żadnych uczuć.

- Nie powinniście byli tu przyjeżdżać. Próbowałem się do was dodzwonić, ale już was nie zastałem - powiedział Lionel, dodając z niezadowoloną miną: - Nie rozumiem, jak Francis mógł was puścić.

- Wyjechał z Marjorie do szpitala, zanim wstaliśmy - wyjaśniła Tee. - Jestem pewna, że lada chwila zadzwoni do domu albo tutaj...

- Może powinniśmy wrócić jak najszybciej do Eleuthery? - przerwał jej Richard. - Nie chciałbym trafić w sam środek rozruchów.

- Coś się działo w Covetown - powiedział Lionel - ale na wsi panuje spokój. Na razie. Być może ten stan się utrzyma, ale mimo wszystko na waszym miejscu dokończyłbym lunch i wrócił jak najszybciej do domu.

Zadzwonił na służącą, która wniosła kawę oraz deser. Przerwali rozmowę. W ciszy słyhać było tylko szelest jej kapci na miękkich podszwach. Stół był jak wyspa w ogromnym przewiewnym pokoju. Jedną ścianę stanowiły oszklone drzwi wychodzące na taras i kawałek pustego trawnika. Dom również był jak wyspa, bez żadnego zabezpieczenia, odgradzony tylko rzędem oszklonych drzwi.

Tee poderwała się nagle.

- Jestem gotowa - powiedziała.

Ruszyli w drogę.

- Wydaje się, że panuje tu spokój - zauważył Richard.

Nie mógł, oczywiście, widzieć różnicy. Na polach i drogach nie było żywej duszy. Ten spokój wręcz przytłaczał, niczym złowieszczą parną cisza tuż przed zbliżającą się burzą, kiedy wiatr zamiera, a ptaki chowają się w swych kryjówkach. Otrząsając się z przykrego wrażenia, Tee pomyślała: „To wina moich nerwów jak zwykle przesadzam.” W rozległej dolinie pomiędzy wzgórzami ciągnącymi się falistą linią ku Morne Bleue, zaledwie kilka kilometrów od Eleuthery, natknęli się nagle na tłum. Na skoszonym polu, wokół zaimprovizowanej trybuny, skupiła się gromada mężczyzn, kobiet i dzieci - pieszych, na grzbietach mułów, w sfatygowanych samochodach, na furmankach - słuchających przemawiającego mężczyzny.

- Ciekawe, co tam się dzieje - powiedział Richard. - Zobaczymy.

- Nie uważam tego za dobry pomysł. Może im się to nie spodobać.

- Zostaniemy w samochodzie i w razie czego szybko odjedziemy - nalegał, ciekawy jak zwykle.

Pod słońce nie było dobrze widać mówcy, ale jego głos dobiegał do nich wyraźnie, ponieważ w tłumie panował zupełny spokój.

- Od stuleci wielkość Anglii przytłaczała nasze wyspy. - Mówił z ledwie zauważalnym brytyjskim akcentem, swobodnie, jak gdyby z kimś rozmawiał. - Ogromne bogactwa uzyskane z uprawy trzciny cukrowej w większości wywędrowały za granicę. Widziałem w Anglii tak wielkie domy, przy których nasze największe rezydencje wyglądają jak skromne wille. Zostały wybudowane za te właśnie pieniądze. Ludzie, którzy nie widzieli na oczy St. Felice, żyją z bogactw, które wydała jej ziemia. Co z tego wraca na wyspę? Nic. Po prostu nic. Co macie z tego wy, którzy produkujecie te bogactwa? Znacnie odpowiedź. Niewiele. To prawda, że sytuacja jest lepsza niż kiedyś, nawet kilka lat temu. Niektórzy z was, ci starsi, pamiętają zapewne czasy, gdy robotnicy zarabiali na plantacji dwadzieścia centów dziennie. Od tamtego czasu przeszliśmy długą drogę i niektórzy plantatorzy, aczkolwiek bardzo nieliczni, wychodzą wam naprzeciw. Jednakże mimo wszystko jesteście ofiarami systemu, w którym dwie trzecie z was pozostaje bez pracy od stycznia do czerwca, gdy kończy się sezon zbiorów trzciny. Tak więc poza sezonem musicie żebrać o pracę. Wasze kobiety tłuką kamienie na

drogach. Wasi mężczyźni opuszczają wyspę, by szukać pracy gdzie indziej, a oni wam zarzucają brak struktur rodzinnych!

Mimo iż mężczyzna nie zmienił natężenia głosu, wyczuwało się w nim taką żarliwą siłę, że Richard wyszeptał:

- Mój Boże, cóż za wspaniały mówca z tego faceta!

- Gdy byłem nauczycielem, słuchałem, co mówią dzieci. Dowiedziałem się od nich więcej, niż kiedykolwiek od was, o pijanych mężach, sfrustrowanej młodzieży i małych dzieciach, które płaczą przez cały czas, ponieważ domy są przepełnione i tak hałaśliwe, że nie da się w nich spać. Tak wygląda codzienna rzeczywistość. Czego więc żądacie? Chcecie mieć wyższe płace - naprawdę nietrudno zrozumieć, dlaczego. Plantatorzy tłumaczą się, że nie stać ich, by płacić więcej. Cóż, przy takim gospodarowaniu jest to nawet prawdopodobne. Na wyspie wyraźnie odczuwa się brak rozsądnego planowania i inwestowania. Weźmy choćby kawę! Uprawiamy ją tutaj, po czym wysyłamy ziarno do Anglii do obróbki, a następnie importujemy własną kawę. Czy widział kto większy absurd? A cukier? Czemu nie możemy rafinować własnego cukru, produkować melasy, rumu, nawet butelek do rumu? Ludności jest coraz więcej, ludzie szukają pracy. Przy pewnej dozie inteligencji i woli możemy zmienić sytuację. Teraz, gdy wreszcie każdy dorosły ma prawo głosu, powinien mądrze go wykorzystać. - Mówca rozłożył ręce. - To zabawne, poproszono mnie, bym przyszedł tutaj porozmawiać o strajku i tak też uczyniłem, nie mogłem się jednak powstrzymać, by nie powiedzieć o rzeczy znacznie ważniejszej - o rządzie, który będzie tak czuły na wasze potrzeby, iż strajki przestaną być konieczne. Nie miałem zamiaru wygłaszać politycznego przemówienia. Nie jestem politykiem ani też przywódcą związkowym. Jestem zwyczajnym obywatelem, który pragnie poprawy sytuacji. Dlatego właśnie zachęcam was do poparcia Nicholasa Mebane'a, który nie mógł tu dzisiaj przyjechać. Proszono mnie, bym go poparł, co niniejszym czynię. Nicholas Mebane - znacie go - i jego New Day Party!

W tłumie rozległy się okrzyki poparcia.

- To przecież biały! - wykrzyknął Richard. - Przyjrzyj się, Tereso! Myślę... nie, to jednak nie biały. Ale prawie. Ciekawe, kto to?

Mówca podniósł rękę, uciszając tłum.

- Występujemy o dwudziestoprocentowe podwyżki. Będziecie odmawiać pracy i nie ustąpicie, dopóki nie spełnią waszych warunków. Jasne?

Zeskoczył z trybuny i zniknął w tłumie, który zafalował i otoczył go zwartym kręgiem. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem.

Cofając samochód, Richard wychylił się przez okno i zawołał do przechodzącego Murzyna:

- Kim jest mówca? Kto to jest?

Mężczyzna w kombinezonie obrzucił podejrzliwym wzrokiem Richarda w jego lnianej marynarce i Tee w liliowej letniej sukni. „Po co chcecie wiedzieć?” - zdawało się pytać jego milczenie. Po chwili jednak odpowiedział:

- Pisz do „Trumpeta”. I wie, o czym mówi. Nazywa się Courzon. Patrick Courzon.

Dla Willa długa noc zaczęła się przy stole podczas kolacji.

- Nie podoba mi się to - powiedział ze zmartwioną miną Patrick.

- Wracając po skończonym wiecu, przejeżdżałem obok dwóch zdemolowanych posterunków policji. Zdaje się, że dochodzą do głosu ludzie pozbawieni skrupułów.

Desiree zmieniła temat w chwili, gdy rozmowa zaczynała być naprawdę interesująca. Ten jej zwyczaj ogromnie denerwował Willa. Zawsze unikała nieprzyjemnych tematów. Strach był nieprzyjemny, bieda i brud również.

- Bardzo żałuję, że cię nie słyszałam - powiedziała uspokajająco.

- Nie uprzedziłeś mnie, że będziesz przemawiał.

- Sam o tym nie wiedziałem. Wracalem po przykrej wymianie zdań z Francisem Lutherem, gdy dostałem wiadomość, że chcą, bym objechał wyspę, nawołując do poparcia strajku. „New Day Party popiera was na całej linii” - coś w tym rodzaju. Szkoda, że Nicholas wyjechał właśnie teraz - dodał ponuro.

- Bardziej cię gnębi Francis Luther niż cokolwiek innego - powiedziała Desiree. - Cała sprawa nie jest tego warta, Patricku.

Patrick nic na to nie odpowiedział.

- Co się stało? - spytał czujnie Will. - Pokłóciłeś się z panem Lutherem?

- Willu, to nie twoja... - zaczęła Desiree, ale mąż przerwał jej.



- Wszystko w porządku, chłopiec ma prawo pytać. Jestem w tej chwili zbyt zmęczony, by o tym rozmawiać, Willu, ale gdy się to wszystko już skończy, opowiem ci.

- Dziadek mi mówił - wtrąciła Laurine - że na całej Wharf Street aż się roi od policji. Muszą się spodziewać jakichś rozruchów.

- Mam nadzieję, że jednak będzie spokój - powiedział Patrick. - Strajk został zaplanowany dla uzyskania w sposób uporządkowany tego, co się robotnikom należy, a nie jako święto chuliganów. - Wstał od stołu. - W każdym razie lepiej nie wychodzić dziś wieczorem z domu. Dokąd się wybierasz, Willu?

- Muszę czegoś poszukać w szopie.

Z szopy można się wymknąć ukradkiem obok garażu i zbiec na dół, nie będąc widzianym. Jeśli coś się dzieje w mieście, jego przyjaciele z pewnością już tam są. Większość z nich nie ma ojców tak surowych, jak Patrick, i mogą spędzać wieczory, wałęsając się po okolicy.

Na rogu wpadł na dwóch z nich. Szli właśnie do miasta. Zanim dotarli do podnóża wzgórza, u zbiegu kilku ulic, zobaczyli idących ławą w kierunku centrum chłopców w różnym wieku - od lat dwunastu do dwudziestu. Było ich coraz to więcej i więcej.

- Co się dzieje? - spytał Will sąsiada.

- Nie mam pojęcia. Ktoś powiedział, że są jakieś przepychanki w śródmieściu. Chłopcy puścili się biegiem, ich buty stuknęły o nawierzchnię. Wieczór stopniowo

przechodził w noc. Zapalały się światła, domy ożywały. Przez otwarte drzwi słychać było nawet na ulicy odgłosy rozmów. Podniecenie wibrowało w powietrzu niczym fale radiowe. Pulsowało w żyłach Willa, mrowiło w klatce piersiowej. Miał ochotę się śmiać. Nie wiedział, czemu, po prostu odczuwał radość, biegnąc tak pośród tłumu, zjednoczony z nim.

Gdy dobiegli do Wharf Street, zagroził im drogę kordon policji.

- Droga zamknięta! Droga zamknięta!

- Dlaczego? O co chodzi?

- Rozkaz gubernatora.

Z oddali dolatywały wzburzone okrzyki, klaksony samochodów i przenikliwy sygnał karetki pogotowia.

- Da Cunha! - zawołał ktoś. - O rany, dobrali się do brylantów starego! To Da Cunha, no nie?

Czarne twarze pod dumnymi białymi hełmami nie zmieniały wyrazu. Policjanci ignorowali wszelkie pytania.

- Przepuście nas! Chcemy zobaczyć! W odpowiedzi policjanci zwarli swe szeregi.

- Wycofajcie się, chłopcy! Nikogo nie przepuszczamy. Willowi wpadł do głowy pewien pomysł.

- Okrążmy plac! Dostaniemy się z drugiej strony!

Skęcili całą grupą, przebiegli obok Nelsona stojącego za ogrodzeniem z kutego żelaza, wrzeszcząc i ciskając parę kamieni w okna sklepu Baty i agencji turystycznej World Travel, wreszcie dotarłszy do przeciwnego końca Wharf Street, ponownie zostali zatrzymani.

- O, kurczę! - zaklął Will.

Znowu rozległ się jękliwy sygnał karetki pogotowia. Zawyły wozy strażackie. Światła uliczne Wharf Street mrugały nad przepychającą się gawiedzią. Przez parę minut stali niezdecydowani, po czym grupa zaczęła się rozpraszać, mamrocząc i klnąc pod nosem. Will z kilkoma kolegami wrócił na plac. Promienie światła padające z latarni ulicznej wydobywały z gęstniejącego mroku sylwetkę Nelsona. Stał wyniośle na swym piedestale, z mieczem w jednej dłoni i brodą uniesioną dumnie, jak gdyby cały plac i wszystko dookoła należało do niego!

- Sukinsyn! - wymówił Will.

- Kto taki? - wytrzeszczył na niego zdumione oczy jego towarzysz.

- Nelson. Nelson to sukinsyn.

Chłopiec wzruszył ramionami, nic nie rozumiejąc.

- Dokąd teraz idziesz, Will?

Will nie miał żadnych planów, ale nie chciało mu się wracać do domu. Nie dziś. Nie potrafiłby zasnąć, gdy tyle rzeczy się wydarzyło i mogło się jeszcze wydarzyć.

Na plac wjechała z rykiem silnika ciężarówka. Kierowca wychylił się przez okno i zawołał:

- Podwieźć was, chłopcy?

Will i Tom Folsom podbiegli do niego.

- A dokąd pan jedzie?

- Do domu. St. Elizabeth. Mieszkacie gdzieś po drodze?

- Tak - odpowiedział Will.

- No, to wskakujcie do tyłu. Na przednim siedzeniu mam klatkę z kurczętami. Zawołajcie, gdy będziecie chcieli wysiąść.

- Jakim sposobem wrócimy? - spytał Tom, gdy wyjechali z miasta.

- Nie wiem. Może znów nas ktoś podwiezie, albo piechotą. Nie spieszy mi się do domu - powiedział beztrząsko Will. Tom popatrzył na niego z szacunkiem.

Ciężarówka, a właściwie odkryta półciężarówka, toczyła się wiejskimi drogami, pod tunelami drzew. Reflektory, niczym dwa szperacze, przecinały mrok. Za nimi była tylko ciemność, ciemne niebo nad jeszcze ciemniejszą ziemią. Wiatr rozwiewał włosy Willa, wydawało mu się, że za chwilę frunie, że jest wszechpotężny, może iść, dokąd zechce, robić, co mu się żywnie podoba.

Na skrzyżowaniu kierowca zwolnił i rozejrzał się dookoła.

- Spójrzcie tutaj! Jezu, oni naprawdę to rozwalili.

Posterunek policji był kompletnie zdemolowany. Wyrwane z zawiasów drzwi leżały na trawie obok stosu połamanych biurek i krzeseł. Z tyłu za nim, tam gdzie po obu stronach drogi ciągnęły się rzędy chat, widać było światła i zgromadzonych ludzi. O tej porze wioski zwykle już spały. Will całkowicie oprzytomniał.

- Co się tutaj stało? - spytał kierowcę.

- Ludzie wpadli w szal, to wszystko. Zobaczysz po drodze jeszcze kilka takich posterunków. Także wypaloną trzcinę, choć tego zapewne nie będzie widać, jest zbyt ciemno.

Tom chciał się koniecznie dowiedzieć, jak daleko jeszcze pojadą. „Boi się” - pomyślał Will z pogardą. Nagle samochód zahamował.

- Spójrzcie tam!

Na poboczu, częściowo w głębokim rowie, leżała przewrócona ciężarówka, banany wysypały się na drogę.

- Słyszałem o tym - powiedział kierowca. - Dzisiaj rano jeden facet z Eleuthery, niedaleko stąd, wynajął Karaibów z rezerwatu, by zebrali banany i dostarczyli je na statek. - Roześmiał się. - Przywołano ich do porządku!

Eleuthera. Trawniki, kwiaty i duma.

- Skręcam tutaj, chłopcy, w kierunku Myrtle. Nie powiedzieliście mi, dokąd jedziecie.

Jakiś wewnętrzny głos kazał Willowi podjąć decyzję.

- Wysiądę teraz. Mam przyjaciela, który mieszka w pobliżu.

- Jedźmy do Myrtle - nalegał Tom. - Może ktoś będzie wracał do Covetown i podrzuci nas. Jedź ze mną, Willu. Jest późno. Chcę wrócić do domu.

Ale Will zeskoczył już na ziemię, Tomowi nie pozostało więc zrobić nic innego. Kiedy ciężarówka zniknęła z pola widzenia, Will skręcił w kierunku Eleuthery. Posuwając się z trudem wśród bezbrzeżnej ciemności, bił się z myślami. Coś zaszło dzisiaj pomiędzy Patrickiem i panem Lutherem. Zastanawiał się, czy przewrócona ciężarówka z bananami ma z tym coś wspólnego. Kłótnię musiał wywołać Luther, przecież Patrick to taki wyrozumiały głupiec. Jakkolwiek zresztą było, to nie jego sprawa.

- Gdzie cię, do diabła, niesie, Willu? - narzekał Tom. - Jestem zmęczony.

- Nikt cię nie prosił, żebyś szedł ze mną, prawda? Zamknij się więc.

Noc była bardzo spokojna. Miało się wrażenie, że rozruchy w Covetown to zupełnie jakiś inny świat. Will potracił kamień, który potoczył się drogą z głośnym stukiem. Za ogrodzeniem z drutu mógł rozróżnić sylwetki odpoczywającego bydła. Powietrze pachniało słodko wanilią i sianem. Przystanąwszy, odetchnął głęboko. Następnie ruszył dalej z Tomem wlokącym się bez słowa za nim. Wciąż nie wiedział, dokąd idzie, po co tu przyjechał.

W kilka minut później droga skręciła. Tak, to tutaj. Po jego prawej ręce, na niewielkim pagórku, stał dom. Księżyc przedarł się przez ciemne groźne chmury, w jego promieniach rozbłysły na krótką chwilę białe kolumny. Kiedyś był tu z Patrickiem, poczęstowano go lemoniadą na werandzie. Zapamiętał dobrze tamtą kobietę - miała koronkowy kołnierzyk i była uprzejma, ale z miejsca ją znienawidził.

Zerwał się nagle wiatr, zaszumiał w liściach drzew. Poniżej, po lewej stronie, połyskiwało stalowoszare wzburzone morze. W świetle księżyca Will zobaczył, jak fala roztrzaskuje się o dalekie skały. Był to tak piękny widok, że aż mu dech zaparło w piersiach. Wszystko było piękne: woda, wiatr, aromat nocy, spokój. Piękno, które aż boli, sprawia, że człowiek robi się wściekły na siebie za to, że potrafi tak odczuwać. Wściekły! Wściekły!

Chmury z powrotem przesłoniły srebrną tarczę. „Zbiera się na burzę” - pomyślał Will. W domu pogaszone były światła. Nie, paliło

się jedno w oknie na górze. Sukinsyny kładą się spać. Stał, wpatrując się w okno. Potem ruszył wolno ścieżką.

Rozległo się szczekanie psa, po chwili przyłączył się do niego drugi. Poznał po szczekaniu, że to małe pieski.

- Spokój! - usłyszał męski głos.

Will czekał. W oknie pojawiła się na chwilę kobieca sylwetka, nie mógł jej rozpoznać z tej odległości, nawet gdyby ją znał.

Stał, oparty o drzewo, z rękami w kieszeniach, gapiąc się w okno, nawet wówczas, gdy kobieca postać zniknęła. W jednej kieszeni namacał złamanego papierosa, którego palił ukradkiem w szopie, oraz pudełko zapalek. Wyjął je, obracając czule w palcach. Przyszła mu do głowy dziwna myśl, którą natychmiast odpędził. Myśl jednak powracała, uparta, natrętna, mąciła mu w głowie. Poczul znów mrowienie w całym ciele, tak jak w Covetown, gdy usłyszał sygnał karetki i brzęk szkła. Rozsadzało go podniecenie - dzikie, radosne, wściekłe. Czemu nie? Och, czemu nie?

Śmiejąc się bezgłośnie z całej duszy, zaczął skradać się ku domowi, kierując się smugą światła, padającego z okna sypialni. Poczul zapach świeżej farby. Pod uchylonym oknem na parterze leżało na trawie ubranie robocze pozostawione przez malarzy. Podniósł je i powąchał. Tak, terpentyna i farba.

To takie proste! Czasami najważniejsze rzeczy, których zamierzasz dokonać, są śmiesznie proste. Zwyczajnie trzeba wrzucić ubranie przez okno, by dotykało firanek, następnie zapalić zapalniczkę - i to wszystko.

Tom przyglądał mu się przerażony i zafascynowany.

- Co robisz, Willu? Dlaczego?

- Bo chcę, głupcze! Jeśli kiedykolwiek piśniesz komuś choćby słówko, powiem, że zaplanowaliśmy to wspólnie i wsadzą cię...

- Willu, Willu! Możesz mi zaufać! Za kogo ty mnie uważasz? Przysięgam, że nigdy...

Płomień ogarnął brzeg firanki. Szkoda, że nie mogli zostać, by obejrzeć całe widowisko. Popędzili w kierunku szosy. Może uda im się zatrzymać jakiś samochód. W razie czego powiedzą, że byli w Moorhead. Ostatnią rzeczą, którą usłyszeli, dobiegając do końca podjazdu, było ujadanie psów.

- Te pekińczyki są beznadziejnie głupie. Mam nadzieję, że przestaną wreszcie czekać - mówi Richard, czekając na jej komentarz. - Pewnie tęsknią za Marjorie - odpowiada Tee.

Położyła się wcześniej z powodu bólu głowy. Richard proponuje jej aspirynę, Tee bierze ją z podziękowaniem. Ale aspiryna nie uśmierzy tego bólu, a ból jest straszny, naprawdę straszny. Nie poznaje sama siebie w chaosie cierpienia.

Jest zdruzgotana wstydem. Dlatego, że go urodziła, czy dlatego, że się go wyparła? Sama już nie wie. W gardle zaschło jej z przerażenia. Chce się opanować, ale nic nie pomaga.

„On powróci do twego życia” - powiedziała kiedyś Agnes. Mądra, dobra kobieta. Uczciwa i silna. Agnes, która ją uratowała.

„Jestem przeklęta! - myśli. - Och, jestem przeklęta, jak ta wyspa, którą kochałam tak bardzo!”

Dziwne, niczego nie da się zapomnieć na zawsze. Człowiek próbuje coś pogrzebać w pamięci, ale w końcu okazuje się, że nie miało to sensu. Są takie tajemnicze komórki w mózgu, które pamiętają, nawet wbrew człowiekowi. Potem nagle, całkiem nieoczekiwanie, przychodzi nań olśnienie...

Gwałt? Przemoc? Tak i nie. Szczęśliwy okres tamtego lata! Słońce, wiatr i poezja. Zdumienie z powodu odkrycia, że ktoś myśli tak samo jak ona. Jakże była nieświadomiona, jak spragniona, śmiała i młoda!

Ujęła wówczas jego dłoń. Papuga, rozłożywszy błękitnoszmaragdowe skrzydła, frunęła w górę, w ciszę południa. „Nigdy ci tego nie zapomnę” - powiedziała. Ujęła jego dłoń, czule spojrzała w twarz.

Mówisz, że to była przemoc?

Stało się to, gdy miała piętnaście lat, nie wiedziała nic, czuła natomiast wszystko, ale te uczucia były dla niej czymś zupełnie nowym.

Richard wchodzi z łazienki do pokoju, by jeszcze raz zapytać ją o samopoczucie.

- Trochę mi lepiej - kłamie. Głowę ma rozpaloną, wstrząsają nią dreszcze. Odwraca się, kryjąc twarz w poduszce, ociera się policzkiem o rozsypane na niej włosy.

- Bardzo interesujący pokój - mówi Richard.

- Czerwono - biały. Wesoly - odpowiada, ponieważ wie, że Richard tego oczekuje. To całkiem niezły pomysł - rozmawiać o zwykłych, banalnych sprawach. Dobry sposób, żeby trzymać się rzeczywistości.

- Nie czerwono - biały - poprawia ją Richard. Ma takie świetne, krytyczne oko! - To są kolory znacznie subtelniejsze. Purpurowo - kremowy, a ten wzór na zasłonach to chińskie piwonie, wiesz?

Podnosi słuchawkę telefonu i potrząsa nią. Nie słysząc nawet szumu ani brzęczenia.

- Nie działa. Próbowałem na dole przez pół godziny. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego ze strajkiem.

- Pewnie tak.

- Chciałem się dowiedzieć, co się dzieje w szpitalu. To nasz pierwszy wnuk - mówi z zachwytem w głosie.

„W średnim wieku stał się domatorem - myśli Tee bez złośliwości. - Cały animusz gdzieś się ulotnił. Nigdy go tak naprawdę nie znałam. Może niewiele było do poznania. Gdy próbowałam z nim rozmawiać, zawsze myślał o czymś innym. Tylko sztuka go porusza. Mnie nigdy się nie udało. Może to moja wina, ale, być może, nie udało się to również nikomu innemu.”

- Francis mówił, że doktor jest świetny, kształcił się w Londynie. Z pierwszym dzieckiem zawsze jest trudno. Chociaż ty sprawiłaś się z tym błyskawicznie. No, ale byłaś bardzo młoda.

Przeżyli całe życie jak para obcych ludzi i mieli czwórkę dzieci. Para życzliwych sobie obcych, żyjących obok, lecz każde osobno. „Tak, przez długi czas próbowałam zbudować nasz związek, stworzyć coś trwałego i pełnego ciepła. Pragnęłam tego. Potrzebowałam. Niestety, tak się nie stało. A teraz rozmawiamy o zwykłych codziennych sprawach.”

A gdyby się tak dowiedział, kim jestem?

„Trzeba to przeżyć” - mówiła Marcelle. Takiej udzieliła jej lekcji przebiegłości i odwagi. Wyszło jej to na dobre. Istnieje jednak inny rodzaj odwagi, który idzie w parze ze szczerością, nie przebiegłością.

„Richardzie - powiem - Richardzie, posłuchaj, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego...”

Richard zdejmuje buty. W świetle lampy pokój zrobił się różowy. „Gdybym wypowiedziała te słowa, płatki piwonii opadłyby na podłogę, lampy rozprysnęłyby się w drobny mak.”

- Myślałem o tym przemówieniu dziś po południu - mówi Richard. - Ten facet był bardzo elokwentny, prawda? Musiał odebrać staranne wykształcenie. Sądząc po akcencie, studiował w Anglii. Właściwie jest białym. Musi to być trudne dla takiego człowieka.

„Chyba rzeczywiście ma nos Pere'a, jak powiedziała Agnes - zastanawia się Tee. - Czy nie jest nieco podobny do Francisa?"

- Nie uważasz, że z wyglądu przypomina naszą rodzinę? Moją rodzinę?

- Na Boga, nie! Cóż to za pomysł?

- A mnie się tak wydaje. - Było to niczym rosyjska ruletka. Czy powie mu teraz? Czy zaczeka do rana? Może nigdy tego nie zrobi?

- Powinnaś pójść do okulisty. - Richard ziewa. - Na co znów szczekają te dwa komiczne pieski?

- Pewnie na koty polujące w stodole.

Richard woła psy na górę. Głaszcze je i uspokaja, po czym kładzie się do łóżka.

- Ten wiatr! - skarży się. - Nie sądziłem, że może być tutaj taki silny.

- To północno - wschodni pasat. Przymknę trochę okna.

Wstaje i patrzy przez chwilę na północ, w kierunku Wielkiej Niedźwiedzicy.

- Niesamowite - myśli na głos.

- Co powiedziałaś? Niesamowite?

- Tak, sposób, w jaki zapada noc.

Wraca do łóżka. Tee po oddechu poznaje, że Richard zasnął, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki. Przykro jej z powodu tego, co musi - może? - mu rano zrobić. Jemu i wszystkim. Gdybyż tylko miała pewność, co jest słuszne! To wina wyspy - trudno tu rozsądnie myśleć!

Wiatr ponuro zawodzi w koronach drzew. Pamięta te noce, odgłosy leśnego życia - krakanie, ćwierkanie, nagły przerażony pisk małego zwierzątka schwytanego przez większe. Wszystko to zostało w jej pamięci, z wyjątkiem posepnego nawoływania wiatru. Zapomniała, jak wieje przez całą noc od Morne.

Czuje, że spędzi tę noc bezsennie. Nie próbuje nawet z tym walczyć. Gdy rano promienie słońca zaczną igrać na suficie, będzie wciąż zupełnie przytomna. Może do tego czasu znajdzie odpowiedź



na dręczące ją pytanie. Modli się o litość dla wszystkich, którzy nie mogą zasnąć, próbując rozwiązać jakiś problem.

A może jednak mimo wszystko drzemie albo tak pogrążyła się w swym zmartwieniu, że przypomina to rodzaj sennego odrętwienia. Nagle podrywa się. Poprzez wycie wiatru dobiega ją jakiś szelest. Przypomina odgłos kroków w wysokiej trawie albo szelest bibułki wyjmowanej z pudełka. Spogląda na Richarda, myśląc, że to może on jest sprawcą tego dźwięku, on jednak leży spokojnie na boku w drugim łóżku. Chyba zbiera się na burzę. Pogrąża się z powrotem w myślach.

Po chwili słyszy huk fal przybrzeżnych. To dziwne, dom znajduje się zbyt daleko od plaży, by je słyszeć. Zastanawia ją to, ale po chwili przestaje o tym myśleć. Jest zbyt zmęczona. Wraca do dręczących ją wątpliwości.

Nagle wyraźnie czuje słonawy zapach dymu. Słyszy nowy dźwięk, trzask i skwierczenie, jak gdyby mięso smażyło się na patelni. Wyskakuje z łóżka i staje niepewna, drżąca, pośrodku pokoju, próbując się zorientować. Coś się gdzieś pali. Nagle już rozumie. Dygocząc z przerażenia, podbiega do drzwi sypialni i otwiera je szeroko. Podmuch nieprawdopodobnego żaru, niczym wybuch na słońcu, wciska ją z powrotem do pokoju. Cały hol i schody stoją w płomieniach! Dym wdziera się do jej płuc. Z siłą, której dodało jej przerażenie, próbuje zatrzaskać drzwi, ale rozszalały żywioł naciera z siłą setki mężczyzn. Nie może złapać tchu. Płomienie wdzierają się do pokoju. Są wyższe od człowieka. Obejmują lekkie firanki i dywan, sięgają cienkiego materiału koszuli nocnej i długich włosów Tee. Płucom brak powietrza.

- Richard! - krzyczy.

Wyrwany ze snu, biegnie, potykając się, ku oknu, wybija szybę i wypycha Tee na zewnątrz. W jej uszach mieszają się dwa straszliwe krzyki - Richarda, gdy ogarniają go płomienie, i jej własny, gdy, uniknąwszy ich, spada tracąc przytomność w gęstwinę starych bukszpanów rosnących pod oknem.

## Rozdział 15

Prywatna klinika doktora Stranda była położona na przedmieściach Covetown, powyżej rezydencji gubernatora. Francis spędził już w niej czternaście godzin. Przemierzał hol tam i z powrotem, próbował czytać trochę podrzemywał. Teraz, o północy, stał przy oknie, spoglądając w kierunku portu i obserwując wędrujące światła samochodów. Podszedł do niego lekarz z kolejnym komunikatem.

- Przez cały czas kontrolujemy ciśnienie, panie Luther. Utrzymuje się na stałym poziomie. Ona czuje się teraz zupełnie dobrze. Lekarstwa poskutkowały.

Francis skinął głową, zastanawiając się, czy słusznie robi, ufając temu lekarzowi. Miał dobrą reputację oraz siwe włosy, co zawsze budzi większe zaufanie.

- Mamy jeszcze czas na podjęcie decyzji. Naturalnie, nie zrobimy cesarskiego cięcia, jeśli tylko da się go uniknąć.

Widuje się setki rysunków i dowcipów na temat młodych mężów, czekających pod salami porodowymi. Z jakichś przyczyn ludzie widzą zabawną stronę takiej sytuacji, Bóg jeden wie dlaczego, skoro w rzeczywistości przyszłemu ojcu głowa pęka od wątpliwości i pytań. Niektórzy mężczyźni muszą czuć się rozdarci pomiędzy miłością do swych żon a obawą o nie, inni zaś modlą się o to, by dziecko urodziło się szczęśliwie, choć przychodzi na świat całkiem nie w porę...

- Bardzo dobra pacjentka, bardzo dzielna - powiedział doktor Strand. - Pragnie tego dziecka ponad wszystko. Nie skarży się, nawet nie jęknie. Dumna kobieta.

- Tak, bardzo dumna.

Przypuśćmy jednak, że byłoby to dziecko Kate? Poczucie winy sprawiło, że lodowaty dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Miał uczucie, że jest nagi, zdemaskowany.

Nie widywał się z Kate często, zaledwie kilkanaście razy od chwili, gdy dowiedział się, że Marjorie jest w poważnym stanie, nie licząc podróży na Barbados i czasu, który spędzili razem w hotelu. Przez całą noc wiatr buszował w koronach palm. Podarował jej bukiet gardenii - rosły tam wszędzie prawie dziko - których piżmowy zapach nie dawał mu spać. Kojarzył mu się z ojcem. Tak, tak. („Nie mów nic matce, synu. Za nic w świecie nie chciałbym jej zranić.”) I nie zranił jej. Nie opuścił też swoich dzieci, ale tamta kobieta to nie Kate.

„Co ludzie wiedzą o Sobie nawzajem - zastanawiał się. Nie wierzyłem już, że matka przyjedzie kiedykolwiek na St. Felice. Nigdy nie dowiedziałem się, z jakiego powodu przez tak długi czas trzymała się z dala od wyspy. Może sama nie wie, dlaczego.” Myśli wirowały mu w głowie, przeskakiwały od Marjorie do Kate, potem do jego rodziców i dziecka walczącego o to, by się urodzić. „Och, niech urodzi się bezpiecznie i zdrowo, niech to będzie syn, który stanie się dla mnie tym, czym nigdy nie byliśmy dla siebie z ojcem.”

Nie zdawał sobie sprawy, że obejmuje głowę rękami, dopóki doktor nie poklepał go po ramieniu.

- Przydałby się panu jeden głębszy. Gdyby nie to, że muszę tu czuwać, przyniósłbym panu sam.

Serce zaczęło mu walić w piersi.

- Co się dzieje? Czy słyszał pan o czymś?

- Rozruchy i demonstracje na całej wyspie. W okręgu Princess Mary protestowano przeciwko podatkom. Ktoś strzelił do policjantów, którzy odpowiedzieli ogniem. Trzy osoby zostały zabite, kilka raniono. Chyba jeszcze gorzej jest na południu. Lord Frame spodziewał się tego od tygodnia. Z Bermudów płynie krążownik z oddziałem wojska na pokładzie. Opanują sytuację - zakończył doktor ponuro - jeśli przybędą na czas. Czemu nie położy się pan na kanapie? Zawiadomię pana, jeśli coś się będzie działo.

Francis położył się. Był ogromnie zmęczony. O ileż łatwiej pracować na polu! „To będzie koszmar na noc” - pomyślał, przypominając sobie stare opowieści o rebelii. Przekonywał sam siebie, że tego rodzaju rzeczy nie pasują do dwudziestego wieku, i natychmiast uświadomił sobie niedorzeczność swego rozumowania. Nie pasują do wieku Hitlera i Stalina?

Obudził go jakiś szelest. W świetle lampy, w drugim kącie pokoju, Lionel czytał gazetę. Poruszał wargami jak człowiek, który nie przywykł do czytania.

- Cześć. Dawno tu jesteś? - spytał Francis.

- Kilka minut. Przedostałem się pomiędzy walczącymi. Gubernator wprowadził stan wyjątkowy. W mieście pełno jest pijanych rozrabiaczy i plantatorów, którzy przyjechali do Covetown z prowincji, bojąc się tam pozostać. Hotel „Cade” pęka w szwach. Jak tam Marjorie?

- Jeszcze nie wiemy. Prawdopodobnie będą ją operować. Strasznie miło z twojej strony, Lionelu, że przyszedłeś.

- Nic w tym nadzwyczajnego. Jesteśmy przecież rodziną. Poza tym lubię Marjorie. - Ona cię również bardzo lubi.

"Potrafię udawać lepiej, niż przypuszczałem" - pomyślał Francis. Czuł się bardzo przebiegły w obecności tego prostodusznego waśniaka, będąc zmuszonym ukrywać niekiedy wściekłą zazdrość, że mieszkał on z Kate i „miał” ją. „Miał”. Przeszarżałe, lecz mimo to wciąż pełne ekspresji znaczenie tego słowa. Miał. Posiadał. Jej kochane ciało.

Uświadomił sobie, że Lionel patrzy nań z filuterną miną. - Niech cię licho, Francisie. Czy mogę ci coś szczerze powiedzieć? - Oczywiście. - Wiem o tobie i Kate. Nie pytaj, skąd. Po prostu o takich sprawach się wie.

- Nie będę pytał.

- To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że musi być ci ciężko.

- Tak. - Słyszając swoje lakoniczne odpowiedzi, Francis pomyślał, że po prostu nie wie, jak na to zareagować.

- Gdybyś spotkał ją pierwszą, zamiast... - zaczął Lionel i umilkł. Zamiast Marjorie? Och, gdybyż tak było! Ale nic pewnego, że zmieniliby to cokolwiek. Zbyt młody, niedoświadczony, przepełniony nabożną czcią dla piękna, nawet w połowie nie był tym człowiekiem, co teraz. Krótkie oczarowanie minęłoby chyba niedostrzegalnie jak zmiana pór roku w ich kraju na północy.

- Ona pasowałaby do ciebie - podsumował Lionel bez złośliwości. - Co masz zamiar zrobić?

- O Boże! - jęknął Francis. - Teraz mamy dziecko. Lionel skinął głową.

- Oczywiście. Poza tym nie chcesz zrujnować świata Marjorie. Cóż, przecież możesz mieć jedno i drugie, prawda? Rodzinę w Eleutherze i przytulny kącik w mieście.

Kate już to proponowała. „Lepsze to niż nic” - powiedziała. Ale przecież należy jej się coś więcej.

- Kate zasługuje na coś więcej - wypowiedział na głos swoje myśli. - Zresztą Marjorie również.

Lionel uśmiechnął się. Obok życzliwości, w jego uśmiechu przebijało pewne rozbawienie.

- Znalazłeś się w moralnej kropce, co, stary? Współczuję ci. Wiesz, zawsze ci współczułem. Traktujesz wszystko zbyt poważnie, robisz z igły widły. Przypuszczam, że nie możesz nic na to poradzić.

- Chyba nie.

- Obaj wiemy, że jestem o wiele mniej subtelny od ciebie. Ja inaczej traktuję życie. Ty cierpisz. Uważam, że jesteś zbyt miękki. Mimo to lubię cię. Myślę tylko, że byłoby o wiele lepiej, gdybyś przestał tak bardzo martwić się o innych, a pomyślał wreszcie o sobie.

- Może masz rację.

Słowa! Słowa! Jest się tym, kim się jest i Francis nie może być Lionelem ani Lionel Francisem. Jednak rano postąpił jak Lionel, wydając prowokacyjne polecenie zbioru owoców. Może stało się tak dlatego, że był zaprzątnięty myślą o dziecku i zabezpieczeniu jego przyszłości.

Lionel powrócił do czytania gazety. Francis usiadł, nasłuchując odgłosów z holu, były to jednak tylko czyjeś kroki, które nic nie zwiastowały. Przyglądał się „artystycznym” fotografiom wiszącym w szeregu na ścianie: konie w wysokiej po kolana trawie, które skojarzyły mu się z Kate. Kolumny rzucające cień na werandę, tak jak w Eleutherze. Murzyńskie dzieci w szkole, tak jak w Gully, gdzie po raz pierwszy spotkał Patricka...

Zgasło światło.

- Musieli zaatakować elektrownię - powiedział Lionel. - Telefony nie działają już od pewnego czasu, wiesz o tym.

Weszła pielęgniarka, niosąc dwie lampy naftowe.

- Wszędzie dookoła szerzą się pożary - poinformowała ich. - Wrócił właśnie nasz majster do wszystkiego z wiadomością, że obrzucono radiostację kamieniami i butelkami, powybijano okna i zniszczono wszystkie urządzenia.

„Nie zaatakują Eleuthery! - pomyślał Francis. - Nie zależy im na prywatnych domach. Poza tym to tak daleko.”

- Okropnie się dziś rano pokłóciłem. - Opowiedział Lionelowi, co zaszło tego ranka. - Żałuję, że nie działają telefony. Chciałbym wiedzieć, jak im poszło, czy udało się wywieźć chociaż część zbiorów.

Lionel pokręcił głową.

- Podjąłeś spore ryzyko. Zresztą wcale nie mam ci tego za złe. Przekłęte radykalne dranie! Twój wspaniały przyjaciel Patrick nie stanął na wysokości zadania, co?

- Nie wiem. Byłem wściekły na niego, ale już trochę ochłonąłem. Możliwe, że naprawdę nie był w stanie nic zaradzić, choć w dalszym ciągu uważam, że powinien zadać sobie dla mnie trochę trudu.

- To cały ty! Dla każdego znajdziesz usprawiedliwienie! Jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, ktoś mi doniósł, że Courzon wygłosił dziś na drodze przemówienie, podżegające tłum do grabieży i podpaień.

Francis pokręcił głową.

- Nie, to niemożliwe. Nigdy w to nie uwierzę. Lionel wzruszył ramionami.

- Nie musisz czekać tu ze mną - powiedział delikatnie Francis.

- Tu jest bezpieczniej. Nie ośmieliłbym się teraz wyjść na ulicę. Poza tym, dokąd mam iść? Hotel jest przepelniony, klub również.

Pozostali więc tutaj obaj, jeden spał z głową odchyloną na oparcie krzesła, drugi, całkiem przytomny, liczył upływające powoli godziny. To była najdłuższa noc w życiu Francisa. Lampa naftowa mrugała niepewnie. W powietrzu zawisło oczekiwanie - jeden obawiał się strzelaniny, otwartych z hukiem drzwi, drugi wyobrażał sobie okropne rzeczy, które dzieją się za drzwiami po drugiej stronie holu.

Gdy noc dobiegała końca wrócił doktor. Wyglądał na ogromnie zmęczonego, lecz równocześnie zadowolonego, że mógł przynieść dobrą nowinę.

- Poród naturalny. Ciężki, ale dzięki Bogu obeszło się bez interwencji chirurga.

Chodźmy, matka i dziecko czekają na pana.

Marjorie leżała z wyrazem spokoju na twarzy i, mimo cierpienia, przez które musiała przejść, uśmiechała się. Włosy wiły się na jej skroniach, jak zawsze, gdy były wilgotne. Musiała być mokra od potu po tych ciężkich zmaganiach.

- Bardzo pragnęła tego dziecka - powiedział doktor Strand. - I walczyła o nie.

Francis czuł, jak łzy zbierają mu się pod powiekami.

- Tak się cieszę - wymamrotał z głupią miną. Uśmiechnął się, przynajmniej raz nie wstydząc się swych łez przed drugim mężczyzną. Wyciągnął rękę i dotknął bezwładnej dłoni Marjorie. Będzie dobrą matką, kapryśną, ale dobrą.

- Tak się cieszę.  
- Czy nie chce pan zobaczyć córki? Proszę pójść tamtędy.  
- Córki? Zdawało mi się, że powiedział pan...  
- Nic nie mówiłem. Zdawało się panu. Czy spodziewał się pan chłopca?

- Cóż, myślałem... - Umilkł. Był rozczarowany jak dziecko, które zamiast wymarzonego roweru dostaje na urodziny książkę.

- Przykro mi, ale to córka. Śliczna, z dołeczkiem w brodzie. Duża, dlatego też było tak trudno ją urodzić. Tutaj, proszę spojrzeć.

Dziecko miało na główce masę ciemnych włosów, zupełnie jak matka.

- Można zawiązać kokardę - powiedziała pielęgniarka.

- Czy noworodki nie są łyse? - wymamrotał zdumiony Francis.

- Zwykle tak - roześmiał się doktor. - Mówiłem panu, że jest śliczna. Będzie się pan miał z pyszna, gdy skończy szesnaście lat.

- Dziewczynka - powiedział Francis.

- Będzie znaczyła dla pana więcej niż dziesięciu synów. Ma pan na to moje słowo. Wróci pan tutaj, by mi to przyznać.

„No cóż, tak czy owak, to nie jej wina” - pomyślał. Dotknął rączki dziecka, tak jak przedtem dłoni Marjorie. Ciepłe paluszki zamknęły się wokół jego palca. Minęło zaledwie kilka minut, odkąd ta mała istotka opuściła macicę, w której pływała głową to w górę, to w dół, a już się czegoś domagała. Paluszki zacisnęły się mocno. Francis poczuł, że coś go dławi w gardle. Nie zabrałby palca, gdyby nie to, że pielęgniarka położyła dziecko z powrotem do łóżeczka...

W poczekalni podszedł do niego Lionel, zasypując go pytaniami.

- Dziewczynka - powiedział Francis. - Obie mają się dobrze.

- Naprawdę? No cóż, życzę ci szczęścia, stary! Chodź, popatrz, to dobry omen dla ciebie.

W rzedniejącej ciemności wpływał dumnie do portu oświetlony na całej długości kładźnik.

- Będziemy więc - powiedział Lionel - mieli spokój. To była długa noc dla obu stron.

- Tak, dla matki i dla dziecka - przytaknął doktor Strand, który wszystko przyjmował dosłownie.

- Miałem na myśli - poprawił go Lionel - narodziny i nasz mały bunt. Dzięki Bogu, oddziały wojska zaprowadzą tu z powrotem porządek w ciągu kilku godzin.

- Nie, mój przyjacielu, jest pan zbyt optymistą, szybko się to z pewnością nie skończy.

- Tak pan myśli?

- To była tylko mała utarczka, a ja wybiegam myślą daleko naprzód. Lionelowi jednak chodziło o najbliższe chwile.

- Nie jedziesz jeszcze do domu, Francisie? Sytuacja nie uspokoi się chyba tak szybko.

- Chcę wrócić do domu i porządnie się wyspać. Mógłbym spać przez tydzień.

- Bądź ostrożny. To była naprawdę długa noc.

Ranek był spokojny. Łagodny powiew wzbijał w górę małe chmurki popiołu z ogromnego popieliska w miejscu, gdzie niegdyś znajdowało się nowe skrzydło.

Tylko obfitemu deszczowi można było zawdzięczać, że ogień nie przerzucił się na centralną część domu.

- Gdyby zaczęło padać wcześniej! - biadał Osborne. - Usiłowaliśmy czerpać wodę ze studni, ale pompa jest zbyt słaba. Nie starczyło węża, by pobierać wodę z rzeki. Nosiliśmy ją wiadrami, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, panie Luther. Pomagała moja żona, służący, wszyscy. O mało nie padliśmy ze zmęczenia.

- Wiem, że się staraliście - powiedział cicho Francis.

- Ogień rozszalał się straszliwie! Nie uwierzyłbym, gdybym nie widział tego na własne oczy. Wiatr również działał na naszą niekorzyść. Wiatr i świeża farba. Bogu dzięki, że zaczął padać deszcz, w przeciwnym razie spłonąłby cały dom.

Nic, absolutnie nic nie pozostało z nowego skrzydła poza kawałkami poskręcane metalu - może były to fragmenty kraty kominkowej albo świecznika.

- Straszne! Straszne! - powiedział ze zgrozą Osborne.

Tego ranka i przez cały dzień ludzie zasypywali Francisę gradem słów. Gadali i gadali, myśląc, że przynoszą mu tym ulgę.

- Mój Boże, chciałbym wiedzieć, jak to się stało, panie Luther! To jedyny dom na wyspie, który został podpalony! Spłonęło tylko trochę trzciny cukrowej, ale tego można się było spodziewać podczas takich rozruchów. Nie widzieliśmy tu spalonego domu za mojego życia, a przypuszczam, że i na długo przedtem.

- Nie - powiedział Francis. Odczuwał ból w klatce piersiowej. Zastanawiał się, czy w jego wieku można dostać zawału serca. Nie



wolno mu do tego dopuścić, nie może zostawić Marjorie z maleństwem w tym chaosie.

- Szczerze mówiąc - powiedział przyciszonym głosem Osborne - wciąż zadaję sobie pytanie, czy nie miało to związku z bananami. Udało nam się wywieźć jeden ładunek za bramę, zanim tłum nas zatrzymał. Byli doprowadzeni do białej gorączki. Mógłbym jednak przysiąc, że nie było wśród nich naszych ludzi. Przewrócili ciężarówkę, to fakt, ale nie posunęliby się do czegoś tak drastycznego. W mieście grasowało wiele gangów podpalaczy. To najwyżej czternastoletnie dzieciaki, zwinne jak węgorze. Nigdy ich nie złapią.

Po raz pierwszy od wielu godzin oziębiały mózg Francisa zaczął pracować.

- To z pewnością nie dzieciaki z miasta. Po co miałyby jechać taki szmat drogi, by podpalić mój dom? To nie trzyma się kupy! Nie, nie, musieli to być uczestnicy strajku, Osborne, może nie z Eleuthery, lecz z innych wiosek. Mój wuj powiedział mi, że podjudzano ich do grabieży i podpaleń. W tym okręgu odbył się wiec, zaledwie parę mil od naszej posiadłości! Nie wierzyłem mu, gdy o tym opowiadał, teraz jednak wierzę, ponieważ... to właśnie jest rezultat.

Osborne powstrzymał się od komentarza. Wystawił rękę pod krople rześistego deszczu, który spadł nagle z pogodnego nieba.

Na trawie leżał kawałek szmatki. Opalona po brzegach, zachowała pośrodku kwiecisty wzór. Poznając materiał, który Marjorie przywiozła z Nowego Jorku, Francis pochylił się i podniósł go. Ileż serca włożyła w odpowiedni dobór wszystkiego! Urządzenie tych nowych pokoiów było jej największą radością.

Zacisnął szmatkę w dłoni. Jego ojciec umarł w chwili, gdy płonął ten materiał. Żywa pochodnia wśród czerwonych i białych chińskich piwonii. Odszedł wraz ze swą wesołością i uprzejmością, rozrzutnością i słabym charakterem. Nikt już nie będzie musiał denerwować się ani martwić z jego powodu. Jego matka, cała w bandażach, leżała jak ogłuszona, pogrążona w milczeniu, jak gdyby jeszcze nie pojęła w pełni, co się stało, albo rozpamiętywała własną niechęć do powrotu na wyspę. „Przyjechała wyłącznie ze względu na mnie” - wyrzucał sobie Francis.

Przez długi czas stał płacząc na ciepłym, spokojnym deszczu.

## Rozdział 16

W późniejszych latach wydarzenia te zostaną opisane przez kogoś obdarzonego wyobraźnią, jak na przykład Kate Tarbox jako fala wstrząsów, które nawiedziły wyspę i po paru dniach minęły. Pierwszy wstrząs, to śmierć niewinnego człowieka w Eleutherze oraz ofiary starć policji z mieszkańcami, wliczając w to jednego jedyne go żołnierza z krążownika, którego trafiła zabłąkana kula podczas podróży z Anglii. Największy jednak wstrząs spowodowało uświadomienie sobie ogromu gniewu i szybkości, z jaką może się szerzyć.

Na wszelki wypadek krążownik pozostał na straży w porcie. Przywrócono porządek. Uprzątnięto rozbite szkło i ludzie wrócili do pracy. Mijając się na szosach i ulicach pozdrawiali się jak przedtem. Niejeden musiał się zastanawiać, jakie złości i urazy kryją się pod tymi pozdrowieniami.

Wszystko działo się jakby poza Francisem. Z uroczystości pogrzebowej, podczas której pochowano trumnę bez ciała, udał się do kliniki, gdzie Marjorie dostawała hysterii z przerażenia, płakała, a jednocześnie nie mogła się nacieszyć swym maleństwem. Jego matka, leżąca w innym pokoju, dochodziła do siebie po oparzeniach i szoku, pogodziwszy się z losem po mężnej walce. Większość czasu Francis spędzał w domu, w zaciszu swej biblioteki, utkwivszy wzrok w oknie, przez które zdawał się zaglądać smutek, niczym przerażający derwisz bez twarzy, kręcący się w kółko i czekający tylko, by go pochwycić w swoje szpony.

Siedział tam właśnie, gdy weszła Kate.

- Och, mój kochany - powiedziała.

Przytulił głowę do jej piersi. Kate łagodnie głaskała palcami jego włosy.

- Najdroższy, co mogę dla ciebie zrobić?

- Po prostu zostań tutaj. Bądź ze mną.

- Tak, tak, zostanę.

Otworzywszy oczy, natrafił spojrzeniem na wzgórek jej piersi. Skórę na szyi i ramionach miała mocno zaczerwienioną.

- Opaliłaś się - powiedział cicho.

- Pieliałam chwasty. Powinnam była włożyć bluzkę z długimi rękawami. Podniósł głowę.

- Jesteś taka zmęczona - powiedział z wyrzutem. - Zupełnie o siebie nie dbasz.

- To dlatego, że nie mogłam spać. Jak mam spać, gdy spotkało cię takie nieszczęście?

Jej oczy miały zatroskany wyraz. Pociemniałe, nabrały niemal fioletowej barwy, kojarzącej się z chorobą, cierpieniem.

- Ty mnie kochasz - powiedział, jak gdyby odkrył coś nowego. - Kochasz mnie. Z trudem przełknęła ślinę. Widział, jak poruszyła się jej grdyka.

Nigdy nie odczuwał takiej bliskości drugiej osoby, odnosił wrażenie, że w ich żyłach płynie ta sama krew. Ogarnęło go nagłe pożądanie, które tak kłóciło się z nastrojem ostatnich godzin.

Wstał i zaciągnął zasłony. Pokój pogrążył się w cieniście chłodzie.

- Połóż się - zażądał. - Zdejmij suknię.

- Teraz? Tutaj?

- Tak. Zamknę drzwi na klucz.

Nie potrafiłby się z nią kochać w żadnym innym miejscu w tym domu. Wrodzona subtelność nie pozwoliłaby mu na to w pokoju urządzonego przez Marjorie, w którym czuło się niemal jej obecność. Nie mógłby zrobić tego ani Marjorie, ani Kate... ani sobie samemu. Ale biblioteka należała wyłącznie do niego i nie było tu nikogo poza nim i Kate.

Znalazł w niej ukojenie i pocieszenie.

Leżeli później spokojnie, w milczeniu. Powoli sufit zmieniał barwę z białej na jasnoszarą.

- Robi się późno - powiedziała. Usiadła i włożyła sukienkę, potem zaś rozsunała zasłony, pozwalając, by światło wśliznęło się do pokoju.

Francis wyjrzał przez okno. Kręcący się wokół domu upiór zniknął. Nie czuło się już zagrożenia, popołudnie emanowało spokojem.

- Czy wiedziałaś, jak bardzo cię potrzebowałem? - spytał.

Kąci jej ust zaczęły już unosić się w uśmiechu, gdy nagle spoważniała i popatrzyła na niego ze smutkiem.

- Co się stało - wykrzyknął.

- Nagle poczułam się winna - wymówiła tak cichutko, że ledwie ją zrozumiał. - Nie wiem, czemu. Nigdy przedtem tak się nie czułam. To dlatego, że jestem z tobą w jej domu.

Rozzłościło go, że tak łatwo zepsuła cudowny nastrój. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Czy... czy rozumiesz, o co mi chodzi, Francisie?

- Nie wiem. Pewnie powinienem. Nie wiem.

Otworzył drzwi i podszedłszy do barku, napełnił sobie kieliszek.

- Napijesz się? To cię uspokoi.

- Nie, dziękuję. Opowiedz mi, proszę, o dziecku. - Powoli odzyskiwała równowagę.

Francis natychmiast się rozpogodził.

- Jest śliczna. To śmieszne, że tak bardzo pragnąłem mieć syna. Może to typowe dla mężczyzn? Teraz całkiem mi to przeszło. Ma na imię Megan. To walijskie imię. Rodzina jej matki pochodzi z Walii.

- Chciałabym dać jej piękny prezent. Czy mogę?

- Ależ oczywiście! Dlaczego pytasz?

- Nie wiem. Myślałam, że może w tych okolicznościach nie byłoby to... Ochota do śmiechu już go opuściła.

- Och, Kate, Kate, moje kochanie, dlaczego życie nie może być zawsze jasne i proste? Wszystko jest tak cholernie pogmatwane!

- Ale jakoś sobie poradzimy, prawda?

- To moja wina. Skomplikowałem ci życie.

- Nie. Sprawileś, iż poczułam wreszcie, że żyję! Przykro mi, że cię zasmuciłam. To się już więcej nie zdarzy. - Dzwoniąc kluczykami od samochodu dodała: - Pierwszą rzeczą, jaką zamierzam zrobić, jest kupienie prezentu dla Megan. Aha, mam jeszcze jeden problem. Nie chciałam o nim wspominać, ale nie mam do kogo się z nim zwrócić, przynajmniej przed powrotem Nicholasa Mebane'a. On, niestety, wraca dopiero jutro wieczorem. Wstyd byłoby czekać tak długo...

- O czym ty mówisz? Kate usiadła z powrotem.

- Dziś rano aresztowali Patricka. Serce Francisa zaczęło walić jak oszalałe.

- Czy możesz sobie wyobrazić coś równie idiotycznego, równie zbrodniczego? Jakiś skończony osioł musiał podjąć decyzję, by zastawić sieci na wszystkich, którzy kiedykolwiek otworzyli usta, by wyrazić swoje zdanie! „Podburzanie do buntu!” Oskarżyć Patricka o coś takiego!

Francis oblizał wargi.

- Czego spodziewasz się po mnie?

- Że zapłacisz za niego kaucję. Jestem kompletnie bez forsy i nigdy nie zawracałabym ci głowy, wiedząc, ile się na ciebie zważyło, ale po prostu nienawidzę myśli, że taki człowiek, jak Patrick, może spędzić noc w więzieniu!

Francis wprost nie wierzył własnym uszom. Spróbował jednak pohamować gniew, starając się, by jego słowa zabrzmiały spokojnie.

- Jeśli o mnie idzie, mogą go powiesić nawet dziś. Kate zamrugnęła powiekami ze zdumienia.

- To niemożliwe, żebyś tak naprawdę myślał!

- Mój ojciec spłonął żywcem w tym domu, matka cudem uniknęła śmierci, a ty mi mówisz, że nie mogę tak myśleć.

- Przecież to nie wina Patricka, Francisie! Na miłość boską, chyba nie sądzisz, że podkradł się tamtej nocy do twego domu i wrzucił do niego płonąca pochodnię?

- Nie, ale czyjeś ręce zrealizowały jego plan. Nie przekonasz mnie, że jest inaczej.

- Jak może ci coś takiego przejść przez gardło? Patrick nie miał z tym nic wspólnego! - W głosie Kate brzmiało niekłamane oburzenie.

- Nie jest tym człowiekiem, za którego go uważałem. Otwórz oczy...

- Może nie jest człowiekiem, za jakiego ty go miałeś, ale...

- Mógł mi pomóc uratować moje zbiory! Przynajmniej mógł spróbować. Odmówił jednak. Potem zaś wygłosił podżegającą mowę niemal tuż przed moją bramą. Znał nastroje panujące wśród ludności, a mimo to, zamiast ochraniać mnie, swojego przyjaciela, podburzył ich...

- Patrick i podżeganie! Nie potrafiłby tego zrobić, nawet gdyby chciał. Nie umiałby nikogo podburzyć, przemawia do ludzi jak nauczyciel. Jeśli kiedykolwiek zechce zająć się polityką, musi się jeszcze wiele nauczyć.

- Radzi sobie zupełnie dobrze. Lionel powiedział mi...

- Lionel? - wykrzyknęła Kate ze zjadliwą pogardą. - Teraz już wszystko jasne! A więc to Lionel doniósł w Coventown na Patricka! Nigdy nie myślałam, że upadnie aż tak nisko! - Wstała, otwierając i zamykając z trzaskiem zamek torebki. - Francisie, posłuchaj mnie. Posłuchaj mnie! Mnie, nie Lionela!

Nie słyszał jej. Słyszał zimny głos Patricka Courzona: „Jesteś zbyt feudalny na nasze czasy.” I biadolenie Osborne'a: „Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, panie Luther.”

- Drań! - wykrzyknął. - Podły, arogancki, niewdzięczny drań! A ty przyszedłeś tu prosić o kaucję dla niego! Tylko po to? Nie, żeby być ze mną, ale dlatego, że myślałeś o nim?

Kate patrzyła nań z przerażeniem.

- To niemożliwe, żebyś tak myślał! Wiesz, że przyszedłam tu z twojego powodu! Pomyślałam jednak, że mogę przy okazji poprosić, byś pomógł jednemu z najlepszych ludzi, jakich oboje znamy. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby ci wpaść do głowy taki pomyłony pomysł.

- Pomyłony? Można być wyrozumiałym, Kate, współczującym...  
- zająknął się z wściekłości - ...liberalnym, ale posuwasz się za daleko. Gotowa jesteś wybaczyć wszystko swoim upośledzonym pupilom. Podpalenie. Morderstwo. Wszystko!

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Francisie, proszę cię. Mówisz głupstwa. Nie walcz ze mną.

- Nie, Kate. Nie możesz traktować mnie w ten sposób. Dostałem cios pomiędzy oczy. Życie nieczęsto obchodzi się z kimś tak okrutnie, jak ze mną w tym tygodniu - powiedział z goryczą.

- Przecież dobrze o tym wiem, ale mówimy o dwóch różnych sprawach.

- Wcale nie. Chodzi o jedno. Robisz bohatera z kogoś, kto jest częściowo odpowiedzialny za moje cierpienia. To boli, Kate. Nie potrafię przebaczyć.

Cofnęła rękę. Żadne z nich nie odzywało się przez kilka chwil. Trzasnęły drzwi w skrzydle kuchennym, dobiegły ich głosy krzątającej się służby, znak, że jest już późne popołudnie, czas ucieka.

- Chciałabym porozmawiać z tobą rozsądnie - odezwała się wreszcie Kate. - Porozmawiamy rozsądnie, ale najpierw musisz być wobec mnie lojalna - powiedział spokojnie.

- Nawet jeśli będzie to oznaczało wbicie noża w plecy przyjacielowi? Niewinnemu przyjacielowi?

- On nie jest niewinny. O to właśnie chodzi.

- A jeśli ja uważam, że jest? - powiedziała z uporem, unosząc dumnie głowę i prostując ramiona.

- Budujesz mur pomiędzy nami. - Machnął ze znużeniem ręką. - Nie mogę przedostać się do ciebie.

- W tym murze znajduje się duża furtka. To tylko twoje ciasne poglądy i uprzedzenia nie pozwalają ci przez nią przejść.

- Uprzedzenia! O czym ty, do diabła, mówisz? Wiesz bardzo dobrze, że nie mam żadnych uprzedzeń.

- Tak ci się tylko wydaje, Francisie. Nagle zobaczyłam to jak na dłoni. Wściekłeś się, że Patrick Courzon, zwykły tubylec, odmówił ci, zamiast być ci wdzięcznym za twoje względy i wypruć dla ciebie flaki. To prawdziwy powód twoich oskarżeń.

Francis czuł się wyczerpany, zraniony i zawiedziony. Jak ona mogła tak na niego napadać! Jak mogła nie rozumieć tak prostych rzeczy! Rozwścieczony, przeszedł do ataku.

- Jesteś ślepa i głupia, Kate! W dodatku fanatyczka. Przykro mi to mówić, ale być może jednak Lionel widzi cię we właściwym świetle. Z pewnością zna cię dłużej i lepiej niż ja.

- To obrzydliwe, co powiedziałaś, Francisie! Niech cię diabli! - Oczy Kate pałały oburzeniem. - Jeśli mogłeś tak mnie obrazić, nie mamy ze sobą nic wspólnego. Nie chcę się do tego zniżać, ale powinieneś dostać po twarzy za te słowa.

- Może byś sobie już poszła? - powiedział. - Nie jesteśmy po tej samej stronie, prawda?

Podeszła do drzwi.

- Bóg mi świadkiem, że nie jestem po twojej stronie! Nigdy nie będę! Usłyszał wściekłe stukanie jej obcasów w holu, trzaśnięcie drzwi i warkot samochodu odjeżdżającego palmową aleją. Ułożył porządnie porozrzucone na kanapie poduszki. Wszystko stało się tak szybko, że po słodkim oczarowaniu, zachwycie, pozostało tylko nieprzyjemne ściskanie w dołku.

W jego życiu nastąpił kryzys i tak bardzo potrzebował jej oddania, tymczasem Kate wycofała się, biorąc stronę człowieka, który był wszystkiemu winien! Nie znał jej zatem ani ona jego.

Poszedł do łazienki, by wziąć prysznic, a ponieważ wciąż czuł się brudny, opłukał się jeszcze raz. Podano mu kolację, nie był jednak w stanie nic przełknąć. Lepiej poszło mu z brandy. Nigdy nie pił zbyt dużo, tym razem jednak zabrał ze sobą butelkę do sypialni, pragnąc się znieczulić, zapomnieć. Kręciło mu się w głowie. Strzelały wysokie płomienie, wylatywało z brzękiem szkło. Czarni mężczyźni ciskali

śmiercionośnymi kamieniami, Patrick Courzon szydził. Usta Kate wykrzywił grymas pogardy. Marjorie umierała na łóżku szpitalnym. Jego rodzice błagali o pomoc. Oczy matki spoglądały smutno z posiniaczonej twarzy. Wszystko wirowało wokół niego wraz ze ścianami, aż wreszcie zwymiotował i, wyczerpany, zasnął.

Patrick Courzon został, oczywiście, uwolniony wraz z przywódcami związkowymi. Skazani zostali wyłącznie ci, którzy dopuścili się aktów przemocy. Sędzia, Anglik w białej peruce, siedzący twarzą do czarnych obrońców, również w białych perukach, wygłosił krótkie zręczne przemówienie na temat wolności słowa i prawa do strajku.

Strajk nie poszedł na marne. W jakieś dwa tygodnie później plantatorzy spotkali się i uzgodnili, że podniosą płace o piętnaście procent, spełniając w ten sposób - choć nie w całości - zasadnicze żądania robotników.

Jak na ironię losu, ludźmi, którzy najbardziej podzielali uczucia Francisca, byli Lionel i Marjorie. Nawet ojca Bakera stać było wyłącznie na komunały, które ujął w formie życzliwej rady.

- Wiem, że to dla ciebie niewymownie trudne, Francisie. Ale nienawiść niszczy duszę. Musisz spróbować ją zwalczyć dla własnego dobra. Zwłaszcza, że nie wiemy, kto tu naprawdę ponosi winę.

Zawołowane wstawiennictwo za Courzonem!

- Wiem doskonale, kto za tym stoi, ojciec - powiedział zimno Francis. Nicholas Mebane niemal natychmiast po powrocie na St. Felice przyjechał do

Eleuthery, by złożyć Francisowi kondolencje i usprawiedliwić się oraz wręczyć mu prezent dla Megan - piękną srebrną wazę z wygrawerowanym jej imieniem, z kolekcji braci Da Cunha.

- Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo żałuję, że nie było mnie na wyspie, gdy zdarzyła się ta tragedia. Może nie powinienem tego mówić, ale cóż, wierzę, że gdybym był na miejscu, potrafiłbym temu zapobiec.

- Więc zgadzasz się ze mną? Winisz tych, których i ja winię?

- Trudno mi... Znalazłem się pomiędzy młotem a kowadłem, jak zwykł mawiać mój ojciec. Może udałoby mi się wywieźć twoje owoce, nie krzyżując nikomu planów. - Uśmiechnął się. - A może i nie udałoby się. Wszystko zależy od umiejętności postępowania z



ludźmi. Prawdziwa sztuka polityki polega na tym, by wiedzieć, kiedy ustępować, a kiedy wymagać. To nigdy nie jest łatwe.

Prawdziwa sztuka polityki polega również na dwuznacznej rozmowie i wykrętach. Francis poczuł, że ogarnia go lekkie zniecierpliwienie.

- Wiem o tym - powiedział.

- Osobiście nie sędzę, bym dopuścił do wygłoszenia mowy tak blisko twojej posiadłości. Bardzo ci współczuję i myślę, że na twoim miejscu czułbym się tak samo. Mam jednak nadzieję, że rozumiesz, iż muszę brać pod uwagę również inne sprawy. Patrick i ja jesteśmy blisko związani. Rozmawiałem z nim i jeszcze pomówię...

- Nie trzeba - przerwał mu Francis. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie rezygnuj dla mnie ze swoich planów.

- Sztuka polityki - powtórzył Mebane - jest sztuką kompromisu. Rozsądek, najważniejszy jest rozsądek! Obawiam się, że mój przyjaciel Patrick wiele jeszcze będzie musiał się nauczyć. - Westchnął. - Czasami mam wrażenie, jak gdybym chodził po linie. Założyłem partię i mam na względzie dobro publiczne. Muszę więc jakoś wszystko wyśrodkować, ale za nic w świecie nie chciałbym stracić z tego powodu twojej przyjaźni.

- Wszystko w porządku - odrzekł Francis. - Moja opinia o panu Courzonie, jak również twoja opinia o nim nie powinny wpływać na naszą opinię o sobie nawzajem.

- Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło. - Mebane wstał. - Może pewnego dnia wszystko znów się ułoży. Kto wie? - Dodał szybko: - Ale najważniejsze, że jesteśmy w pewnym sensie sprzymierzeńcami. Obu nam chodzi o przyszłość wyspy, tobie jako producentowi i mnie - mam nadzieję - jako członkowi rządu. Sędzę, że się rozumiemy.

Francis skinął twierdząco głową.

- Będziesz miał moje poparcie, gdy przyjdzie na to czas.

- Jeśli będziesz potrzebował czegokolwiek, co mógłbym dla ciebie uczynić, wiesz, gdzie mnie znaleźć - powiedział cicho Mebane. Uścisnął dłoń Francis'a. - Miło mi słyszeć, że twoja matka ma się coraz lepiej.

- Dzięki Bogu. Jutro odwożę ją na lotnisko. Wraca do domu.

- Dzielna dama. Kłaniaj się jej ode mnie nisko. Przekaż również ukłony żonie oraz najmłodszej kobiecie w tej rodzinie - dodał, wychodząc.

- To był Nicholas Mebane. Zobacz, co przyniósł dla Megan. - Francis postawił wazę na łóżku. Marjorie siedziała wsparta na koronkowych poduszkach.

- Och, istne чудо! To ręczna robota, Francisie! Duńskie srebro. - Palce Marjorie ześliznęły się po powierzchni wazy, dotykając lekko wzoru. Odwróciła ją spodem do góry. - Tak, oczywiście, spójrz na znak firmowy.

- Bardzo drogi prezent. Zbyt drogi. - Nie lubił kosztownych prezentów. Pozostało mu to prawdopodobnie z czasów, gdy się napatrzył na rozrzutność ojca.

- Co z tego? Wszyscy wiedzą, że Mebane jest nieprzyzwoicie bogaty. W każdym razie naprawdę go lubię. Zawsze lubiłam. Doris również. Szkoda, że ta inteligentna i przystojna kobieta ma tak bardzo utrudnioną sytuację. Mam na myśli kolor skóry. Widzisz więc, że nie jestem obrzydliwą fanatyczką, za jaką mnie uważałeś, Francisie. Po prostu nigdy nie lubiłam Patricka. Od początku uważałam go za podstępного rozrabiacza. Okazało się, że miałam rację! - zakończyła triumfującym tonem.

Francis nic na to nie odpowiedział. Nie czuł absolutnie żadnej satysfakcji. Przeżył rozczarowanie w stosunku do przyjaciela i kochanki i nie miał powodów do radości. Tak bardzo się pomylił! Wszystko także potoczyło się tak błyskawicznie!

Przepełniło go nagle tak ogromne poczucie straty, że oczy wezbrały mu łzami. Chcąc ukryć swój smutek, pochylił się, by poprawić puchate poduszki.

- Wyglądasz na kompletnie wykończonego. To wszystko było dla ciebie takie straszne - powiedziała czule Marjorie. - Tylko jedna gorsza rzecz może przytrafić się człowiekowi - utrata dziecka.

Czuł w tej chwili ogromną wdzięczność za każdy ludzki odruch Marjorie, każde miłe słowo. Musiał przyznać, że była przy nim właśnie teraz, gdy jej potrzebował. Niezawodna i rozsądna, zrozumiała jego determinację, by pozostać na wyspie, po pierwszej historycznej reakcji dała się w końcu przekonać. Niech to będzie poczucie obowiązku czy przyzwoitości, obojętnie jak to nazwać, ale był jej za to wdzięczny.

Teraz on musi się jakoś pozbierać.

- Tak ... pamiętasz, co powiedział kiedyś mój ojciec? „Trzeba określić, co jest dla człowieka najważniejsze. To pierwsze

przykazanie." W moim przypadku najważniejsza jest nasza trzyosobowa rodzina.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

- No cóż, kochanie, zaczynam wobec tego od poniedziałku. Mam wiele do odrobienia w związku ze stratami, jakie ponieśliśmy przez ten strajk. Panna Megan potrzebuje nowych bucików.

Marjorie roześmiała się.

- Czy ona nie jest prześliczna, kochanie?

- Myślę, że ma nos Francisów.

- Nie widzę w tym nic złego. - Marjorie ziewnęła i przeciągnęła się.

Już dawno nie była tak szczęśliwa, tak wylewna, tak czuła. Może wszystko się teraz zmieni? Może jakimś cudem powróci świeżość odczuć i młodość? Tamta sprawa, tamta kobieta, była prawdopodobnie zwykłym „skokiem w bok”.

- Ależ jestem śpiąca - wymruczała Marjorie.

- Zdrzemnij się. Chcesz się napić czegoś zimnego?

- Może później, dziękuję. Trochę lemoniady, za jakąś godzinę. Jesteś dla mnie bardzo dobry, Francisie.

- Kobieta, która urodziła tak wspaniałe dziecko, zasługuje na wszystko, co najlepsze - odpowiedział lekko.

Czując miłą falę zadowolenia, wyszedł, zamykając cichutko drzwi. Będąc w połowie schodów, przypomniał sobie nagle, że odkąd przywiózł Marjorie do domu, ani razu się nie pocałowali i zrobiło mu się trochę nieswojo.

Megan leżała w kołysce na werandzie. Francis pilnował jej podczas nieobecności pielęgniarki, która poszła po coś do domu, gdy nagle na zwirowanym podjeździe zatrzymał się samochód i wysiadł z niego Patrick Courzon.

- Kate opowiedziała mi o wszystkim. Muszę z tobą porozmawiać - powiedział wchodząc na werandę.

Francis nie zaprosił go, by usiadł. Wstał sam i oparł się o kolumnę.

- Nie mamy o czym rozmawiać - powiedział.

- Francisie, byłem straszliwie przybity, gdy usłyszałem, co się stało. „Jak on śmie przychodzić tutaj ze swymi mdłymi kondolencjami?”

- Doprawdy? - spytał sucho Francis.

- Kate powiedziała, że obarczysz mnie odpowiedzialnością za wszystko. Że potępiasz ją za to, że mnie broni. Że...

- Nie mam ochoty słuchać, co mówi Kate.

- To nie fair, że nie dajesz mi szansy porozmawiania z tobą.

- Jesteś ostatnią osobą, która ma prawo decydować, co jest fair, a co nie. Na zatroskaną, bladą twarz Patricka wypłynął rumieniec. Francisowi niemal

zrobiło się go żal. Ale nie, nie ma mowy, nędzny sukinsynu! Spojrzał na dziecko gaworzące w kołysce. Gdyby przyszło na świat o tydzień wcześniej, ono również zginęłoby w płomieniach. Poczuł znów straszliwy gniew, przykre ściskanie w dołku.

- Nie można po prostu zerwać stosunków... - zaczął Courzon.

- Przestań pouczać mnie, co można, a czego nie!

- Proszę tylko, byś dał mi szansę rozjaśnienia tego zamętu, który panuje w twoich myślach.

Arogancja tego człowieka przekraczała wszelkie granice! Jak ta szumowina śmie mówić o „zamięcie” w jego głowie!

- Powiedziałem ci już, że nie mamy o czym rozmawiać. Masz szczęście, że potrafię zapanować nad sobą. Radzę ci, byś zostawił mnie w spokoju.

- Przykro mi to słyszeć, Francisie.

- Tak, lepiej idź już sobie. Nie jesteś mile widziany w tym domu.

Przez długi czas siedział wpatrując się w kurz, który wzbił się za samochodem Patricka. Potem przeniósł spojrzenie na pola, gdzie pasły się jego białe krowy. Dużo niżej, po lewej stronie, połyskiwał pas plaży. Za domem wznosiło się zielone wzgórze, porośnięte tarasowało gajami bananowymi, palmami oraz innymi drzewami, aż do szczytu Morne spowitego w białe obłoki. Jego królestwo, jego małe królestwo! Niech ryczą sobie sztormy, niech współzawodniczą ze sobą nędzne kreatury, niech zabiegają o popularność politycy. Tu, w jego królestwie, będzie panował spokój i niczego nie zabraknie, jeśli to będzie zależało od niego.

Nieświadomie wyciągnął prawą rękę, napinając mięśnie. Spojrzał na śpiącą córeczkę. Nie, nikt, absolutnie nikt nie zakłóci jej spokoju!

- Sukinsyn! Nędzny sukinsyn! - wykrzyknął tak głośno, że dziecku zadrżały powieki.

Pochylił się ze skrucą i czule poprawił biały miękki kocyk.

## Rozdział 17

Mając kilka miesięcy, Megan była ładnym dzieckiem o przepięknych ciemnobłękitnych oczach. Zarówno Francis, jak i Marjorie mieli na jej punkcie lekkiego fioła. Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że nie ma się czemu dziwić - czekali na to dziecko tak długo i przeżyli wiele rozczarowań, zanim się narodziło.

Francis powtarzał z uporem, że mała odziedziczyła nos po jego rodzinie. Znajdował w tym wielką przyjemność. Trzeba zresztą przyznać, że była to cecha pozytywna, nadająca twarzy dorosłego człowieka wyraz dumy.

Poprzez sklep Da Cunha Marjorie zamówiła dla Megan sukienki z Francji. Z bardzo drogiego sklepu w Nowym Jorku nadszedł wspaniały łaciaty koń na biegunach wielkości małego kucyka, huśtawka do postawienia na trawniku, domek dla lalek i masa książek, które wystarczą jej zapewne do dziesięciu lat. Tak, zwariowali na jej punkcie, dobrze o tym wiedzieli i czerpali z tego radość.

Miała prawie dwa lata, gdy dowiedzieli się już z całą pewnością, a właściwie byli zmuszeni przyjąć do wiadomości fakt, że Megan jest dzieckiem opóźnionym w rozwoju.

Oczywiście długo nie chcieli się z tym pogodzić. Gdy do twoich drzwi puka niepożądany gość, po prostu mu nie otwierasz. Jeśli jednak pukanie nie ustaje i gość w dalszym ciągu stoi pod drzwiami, przychodzi moment, że w końcu otwierasz. Tak właśnie było w przypadku Marjorie i Francisca.

Mając pół roku, Megan nie potrafiła sama odwrócić się z brzuszka na plecy. Mając dziewięć miesięcy, nie siadała i nie próbowała raczkować, nie mówiła „mama”, nie śmiała się głośno. Gdy skończyła rok, nie próbowała stawać.

Pewnego dnia, gdy dzieci bawiły się w brodziku w klubie, pewna kobieta powiedziała tak głośno, że dotarło to do uszu Marjorie:

- Nie rozumiem, czy oni naprawdę nie mają zamiaru zająć się tym dzieckiem? Spójrz na nią. Leży tam jak klocek.

Megan leżała w spacerowym wózku, zadowolona, że nic nie musi robić. Jej śliczne włosy poskręcały się od upału w loczki wokół zaróżowionej buzi. Zatrwożona i zła Marjorie opowiedziała Francisowi o tym, co usłyszała.

- Niektóre dzieci rozwijają się wolniej od innych - odrzekł. - To nic nie znaczy. Czy nie czytałaś, że Einstein nie mówił w wieku trzech

lat? - Ale na myśl o Margaret włosy zjeżyły mu się na głowie. Uświadomił sobie, że ta obawa dręczyła go już od kilku miesięcy.

- Maggie ma siedmioro dzieci i z pewnością zauważyłaby, gdyby coś było nie w porządku, prawda? - Maggie była pokojówką, która czasami zajmowała się Megan.

- Tak sędzę. No i z pewnością lekarz zwróciłby nam na to uwagę.  
- Próbował rozproszyć swoje wątpliwości.

Lekarz jednak nic im nie powiedział, zanim go nie spytali.

- Od pewnego czasu mam pewne podejrzenia co do tego dziecka  
- przyznał.

- Co pan przez to rozumie? - napadł na niego z furią Francis. - Jakie podejrzenia? Dlaczego więc trzyma je pan w tajemnicy?

- Chciałem się upewnić. Nie wszystkie dzieci rozwijają się zgodnie z podręcznikiem. Nie chciałem państwa niepokoić, dopóki nie było to konieczne. - Stary, zmęczony lekarz odchylił się na oparcie krzesła, aż skrzypnęło głośno. - Prawdę mówiąc, zamierzałem wspomnieć o tym przy następnej wizycie.

- O tym? To znaczy o czym? - denerwował się Francis.

- O stopniu opóźnienia, ale nie wiem, jaki to stopień.

Marjorie jęknęła. Francis, wspomniawszy znów Margaret, bał się spojrzeć na żonę.

- Nie ma na to lekarstwa - powiedział ze współczuciem doktor. - Trzeba obserwować postępy. Otoczyć ją miłością, uzbroić się w cierpliwość, co zresztą państwo przez cały czas robicie.

Tak więc owego przekłętego dnia dowiedzieli się prawdy o Megan, wciąż jednak usiłowali nie przyjmować jej do wiadomości. Zanim wrócili z powrotem do domu, podjęli decyzję dającą im pewną nadzieję.

- On jest już stary - powiedziała Marjorie, ocierając łzy. - Prawdopodobnie jego wiedza zatrzymała się na poziomie, jaki wyniósł z akademii medycznej. Musimy zabrać Megan do lekarza u nas.

„U nas” oznaczało Boston, Baltimore, Filadelfię i Nowy Jork. Niestety, diagnoza wszędzie się powtarzała.

- Nie mów im nic o swojej siostrze - powiedziała Marjorie - żeby z góry nie nabrali uprzedzeń. Niech oceniają Megan bezstronnie.

Pierwszy raz wspomniała o Margaret.

- IQ, jak wszyscy wiemy - powiedzieli im specjaliści - z pewnością nie jest doskonałym miernikiem. Jednak możemy w przybliżeniu określić, że pomiędzy pięćdziesięcioma i siedemdziesięcioma pięcioma punktami zamyka się umiarkowane opóźnienie. Tacy ludzie są w stanie nauczyć się wykonywania prostych powtarzających się zadań i zarabiać na życie. Pomędzy trzydziestoma pięcioma i pięćdziesięcioma punktami znajdują się ludzie, którzy potrafią dbać o swoje prymitywne potrzeby i...

- Zawsze czytałam, że większość opóźnionych to dzieci nie chciane - przerwała Marjorie. - Nikt ich nie uczy czytać ani z nimi nie rozmawia, nie mają żadnej zachęty. Z pewnością nie można tego odnieść do nas - dodała gorzko.

- Wszystko to prawda. Niestety, istnieje wiele innych czynników uwarunkowanych genetycznie. Zaburzenia metabolizmu białka, anomalie chromosomowe... Nie jest to proste.

- Co mamy zatem robić, panie doktorze?

- Zabierzcie ją do domu. Otoczcie czułością, dodawajcie odwagi. Musicie spędzać z nią wiele czasu, jak najwięcej uczyć. Później zorientujecie się, jakie będzie robiła postępy w szkole lub czy będzie się w ogóle nadawała do normalnej szkoły. Jest jeszcze za wcześnie, by cokolwiek powiedzieć.

Tak więc od uznanych specjalistów dowiedzieli się niewiele więcej niż od starego lekarza w Covetown.

Przed powrotem złożyli ostatnią wizytę matce Francisa, która mieszkała teraz z Margaret. Była u niej również jego siostra Louise z dwójką swoich maluchów, bardzo żywych i dobrze rozwiniętych.

- Cieszę się, że przyszlście - powiedziała Margaret z miłym, głupkowskim uśmiechem. Była silna i tęga. Pończochy marszczyły jej się na nogach, kapało jej z nosa. Francis wytarł jej nos chusteczką.

- Trudno zauważyć każdy drobiazg - powiedziała szeptem zawstydzona Teresa. - Oczywiście, mamo.

Kiedy Teresa wyszła na chwilę z pokoju, Louise powiedziała:

- Zajęcia przy Margaret wypełniają mamie cały dzień. To naprawdę ponad jej siły.

- Margaret poszła do kuchni. - Na pewno po pudełko z ciasteczkami! Doktor przestrzega, że nie powinna tyle jeść, w przeciwnym razie za kilka lat będzie monstrualnie gruba. Jeśli jej jednak zabraniać, płacze i krzyczy gorzej od moich dzieci. Im jest

starsza, tym bardziej nieznośna. Nie wiem, jak mama może to wytrzymać.

- Marjorie wpatrywała się ponuro w ścianę, Francis milczał. - Oczywiście, jedynym rozwiązaniem byłoby oddanie jej do specjalnego domu, ale mama nadal nie chce o tym słyszeć. Mówi, że matki nie porzucają swoich dzieci. Nie da się jej przekonać, wiesz, jaka jest.

- Tak - odrzekł Francis - wiem, jaka jest.

Opuścili dom Teresy, widząc wreszcie wyraźnie swoją przyszłość. Przez całą drogę powrotną na St. Felice towarzyszyła im w podróży ta groźba, powodując skurcz serca i drżenie głosu. Chmury zawisły nad główką ich dziecka.

Nie wolno podporządkowywać całkowicie swego życia drugiej osobie. Oboje wiedzieli o tym dobrze, ale mimo to właśnie tak postępowali, ponieważ teoria i praktyka to dwie różne rzeczy. Uczucia - to jeszcze coś zupełnie innego.

Dzięki Bogu oboje byli w tej sprawie jednomyślni.

- Jak tam dzisiaj? - pytał, wchodząc do domu.

Nie musiał zresztą wcale pytać, bowiem Marjorie czekała nań w holu.

- Sama podniosła dzisiaj swój kubeczek.

Francis biegł, by na własne oczy zobaczyć postępy, jakie uczyniła Megan.

Nie kłócili się tak często, jak przedtem. Nie mieli chyba po prostu na to siły a może rzeczy, które ich kiedyś irytowały, teraz wydawały się bez znaczenia.

Francisowi było ogromnie żal Marjorie. To jego wina. Przyszło mu to na myśl w związku z Margaret. Gdyby Marjorie wyszła za kogoś innego, nie spotkałoby jej takie nieszczęście.

Czasami jednak odczuwał dziwną apatię, jak gdyby był zwierzęciem pociągowym, dźwigającym cierpliwie, uparcie swoje brzemie. Tym brzemieniem była Megan, środki utrzymania, które musiał jej zapewnić, wszystko to, co na niego czekało, gdy otwierał rano oczy i co odkładał na bok, gdy zmęczony kładł się spać.

Konie pociągowe noszą klapki na oczach. Nie interesowało go nic, co się działo na świecie poza jego brzemieniem. Czytając w gazetach o nie kończących się konfliktach zarówno na wyspie, jak i na całym świecie, stwierdzał, że nic go to nie obchodzi. Miał



wszystkiego po uszy. Był zadowolony, że nie jest zdolny do odczuwania gniewu.

Dobrze było nie odczuwać również namiętnej miłości z jej wszystkimi udrami i niepewnością. Można się doskonale bez niej obejść. Można po prostu uprawiać seks, kiedy ma się na to ochotę. Megan budziła się często w nocy, płacząc, i Marjorie przeniosła się do innego pokoju, żeby być blisko niej. Mógł jednak zawsze do niej pójść, choć zdarzało się to znacznie rzadziej niż kiedyś.

Sam nie wiedział czemu, przypomniał mu się nagle okres babiego lata na północy. Cudowny aromat powietrza, spokojne niebo i mieniące się kolorami drzewa. Był to jednak również czas obumierania.

Nie przyszło mu jednak do głowy, że jest zbyt młody na babie lato.

CZEŚĆ CZWARTA  
WROGOWIE I PRZYJACIELE

## Rozdział 18

Zażądaliśmy pełnej i ostatecznej niepodległości - powiedział Nicholas Mebane, podsumowując swoje uwagi - i kiedy wrócę z nadzwyczajnej konferencji konstytucyjnej w Londynie, już ją będę miał, a raczej - poprawił się z uśmiechem - będziemy ją mieli.

Zerwała się burza oklasków, po której rozgorzała gorąca dyskusja. Patrick rozejrzał się po biurze, które znacznie się rozrosło. Na ścianie pięknego gabinetu Nicholasa w dalszym ciągu wisiał transparent, ale teraz po przeciwnej stronie holu znajdowało się szereg mniejszych pokojów, z których dobiegał stukot maszyn do pisania. Wszystko zapowiadało tu szybkie sukcesy. Przywódcy związkowi, starzy i młodzi, stawili się dziś w komplecie, z wyjątkiem Clarence'a, który stanowczo stwierdził, że skończył już z tym na dobre. Przyszli też trzej biali biznesmeni, jak również bogaci i wykształceni przedstawiciele ludności murzyńskiej, lekarze, prawnicy i urzędnicy.

Był wśród nich młody Franklin Parrish, który właśnie wrócił z Londynu po ukończeniu studiów prawniczych. Rysy jego ciemnej żywej twarzy świadczyły chyba o lekkiej domieszce krwi indiańskiej. Mężczyzna, jakiego każdy ojciec mógłby sobie życzyć dla swej córki.

- Jesteśmy gotowi do przejęcia władzy - powiedział Nicholas. - Muszę przyznać, że wiele nauczyliśmy się od Brytyjczyków.

Wstała Kate Tarbox.

- Chciałabym o czymś wam przypomnieć. Jesteśmy bardzo małą społecznością i mam nadzieję, że uzyskanie niepodległości nie spowoduje tendencji do zamykania się w obrębie wyspy. Musimy utrzymywać kontakt ze światem. Mamy połączenia lotnicze, radio. Karaiby przechodzą okres renesansu w muzyce, literaturze i sztuce. Prowadzimy wymianę studentów i wspólne badania nad rolnictwem tropikalnym.

Nie możemy dopuścić, by wszystko to umarło śmiercią naturalną, gdy uzyskamy niepodległość. Powiedziawszy to usiadła nieco zażenowana, z uroczym rumieńcem na twarzy. Nicholas skwitował brawami jej małe wystąpienie.

- Oto, co znaczy prasa, „Trumpet” może czuwać nad tymi sprawami tak, jak ty w tej chwili, Kate. Potęga prasy! - powtórzył. - Oraz kobiecości! - I uśmiechając się, udzielił głosu następnej osobie.

- Nie dojdziecie do niczego, jeśli nie zlikwidujecie bezrobocia - powiedział przedstawiciel związku. - Odkąd w sześćdziesiątym

pierwszym roku wprowadzono mechaniczne ładowarki, straciliśmy czterysta miejsc pracy na samych tylko plantacjach trzciny.

- Znam tę sprawę - przytaknął mu Nicholas. - Zamierzam się nią zająć. Zawsze uważałem, że należy zmniejszyć naszą zależność od upraw eksportowych i podnieść poziom rolnictwa. Powinni się tym zająć nasi instruktorzy. - Zwrócił się do Patricka. - Gdy zostanę wybrany, a jest to pewne jak w banku, zamierzam mianować cię ministrem oświaty. Konieczne będzie ściśle powiązanie problemów oświaty i zatrudnienia. Trzeba to starannie opracować i, rzecz jasna, nie mogę jeszcze nic konkretnego powiedzieć na ten temat.

Z kolei zabrał głos biały bankier Elliot Bates.

- Widzę tutaj wzajemną zależność wszystkich elementów. W modernizację rolnictwa trzeba zainwestować spory kapitał. Nie radziłbym zniechęcać do tego. To tylko taka przestroga - zakończył z uśmiechem.

- Z pewnością nie zamierzamy zniechęcać nikogo, kto może nam pomóc w budowaniu lepszego życia, panie Bates - odpowiedział natychmiast Nicholas. - Myślę, że to już dość, jak na jedno przedpołudnie. Dziękuję wszystkim za przybycie.

Patrick i Nicholas zeszli razem na dół.

- To był istny majstersztyk - powiedział Patrick z podziwem. - Udało ci się pogodzić tak różne sprawy.

- Uwielbiam kiedy rzuca mi się wyzwanie - odrzekł szczerze Nicholas. - Ale nie pójdzie nam tak łatwo, jeśli nie zdobędziemy pieniędzy. Nie tylko na kampanię, lecz na sfinansowanie projektów, o które wszystkim chodzi. - Szli po Wharf Street. - Nie wiem, czy cię to interesuje, ale byłem podczas weekendu w Eleutherze i rozmawiałem z Francisem.

- Wpuścił cię?

Nicholas roześmiał się.

- Tak, zawsze mnie wpuszcza, wiesz o tym. Jesteśmy w bardzo serdecznych stosunkach..

Patrick nic na to nie odpowiedział.

- Naprawdę potrzebne mi jest jego poparcie - rzekł Nicholas.

- Wszyscy plantatorzy mają klapki na oczach. - Zły na siebie za ton rozgoryczenia, spróbował zmusić się do rzeczowego dialogu. - Wolą wierzyć, że nie uzyskamy niepodległości. Wydaje im się, że coś, co ignorują, nigdy nie nastąpi.

- Nie, nie są tacy głupi. W każdym razie Francis jest inny. Nie zapominaj, że jest ogniwem łączącym nas z jego klasą. Chcę, by pomógł namówić ich do głosowania na nas.

„To, co czuję w tej chwili - pomyślał Patrick - to najzwyczajniejsza zazdrość. Nie poznaliby się, gdybym ja ich nie zetknął.”

- Będą głosowali na nas - powiedział. - Nasi przeciwnicy są podzieleni, nieskuteczni, i wszyscy o tym wiedzą.

- Zgadza się, ale mimo wszystko nie powinniśmy być zanadto pewni siebie. Francis powiedział, że nie zamierza się mieszać do polityki, chociaż wręczył mi pokąźną kwotę. Może chciał się mnie w ten sposób pozbyć. - Nicholas znów się roześmiał, z pewnością człowieka, który jest świadom, że wszystko idzie po jego myśli. - Mówiąc poważnie, Patricku, cała ta sprawa pomiędzy wami to po prostu wstyd. Zwykle nieporozumienie. To samo powiedziałem jemu. Ciągle mu to powtarzam.

- I co?

- Bezskutecznie! Uważa cię za demagoga. Zresztą Kate również.

Patrick chciał z jednej strony, by Nicholas przestał mówić na ten temat, a z drugiej - pragnął usłyszeć coś więcej. Przemknęło mu przez myśl, że przypomina gapia, który krzywi się, widząc wypadek, ale równocześnie coś przyciąga jego wzrok.

- Żal mi też ich obojga. Och, nie mów, że o tym nie wiedziałeś! Patrick zacisnął wargi.

- Lojalny pomimo zdrady? - Nicholas klepnął Patricka po ramieniu. - Przepraszam, wcale się z ciebie nie wyśmiewam. Nie obrażaj się. Wiesz, że szanuję twoje zasady. Szanowałem je już wówczas, gdy mieliśmy po dwanaście lat. Wiesz jednak, że plotki rozchodzą się w tym mieście lotem błyskawicy i mnóstwo ludzi oprócz ciebie wie o Kate i Francisie lub wiedziało. Aczkolwiek Marjorie Luther zdaje się w niczym nie orientować.

- To całe szczęście!

- Rzeczywiście! Nie lubię tej kobiety, choć muszę przyznać, że jest dla mnie bardzo miła. Poza tym, chyba ma dobre serce. To musi być straszne urodzić takie dziecko i żyć z nim na co dzień. O, jest już moja żona!

Przy krawężniku zatrzymał się europejski sportowy samochód. Za kierownicą siedziała Doris Mebane. Zabrzęczały bransoletki, gdy uniosła rękę w pozdrowieniu.

- Patricku! Mam nadzieję, że zmieniłeś zdanie?

Zatopiony we wspomnieniach, przez chwilę nie mógł zebrać myśli. Wreszcie zrozumiał.

- Masz na myśli Europę?

- Ona marzy o tej podróży, Patricku. Oddałaby za nią wszystko!

- Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę - powiedział Nicholas. - Jak wiesz, będę miał mnóstwo pracy na konferencji w Londynie, a obiecałem Doris dwa tygodnie we Francji. Nie mam ochoty puszczać jej tam samej. Desiree dotrzymałaby jej towarzystwa. Nie kosztowałoby cię to ani centa - dodał cicho.

- Wiem i doceniam tę propozycję, możesz mi wierzyć. Rzadko zdarzają się tacy przyjaciele, jak ty. Och, to trudno wytłumaczyć - brnął dalej, nie chcąc się wydać niewdzięcznym. - Po prostu nie wyobrażam sobie tego w tej chwili. Może innym razem i lepiej nie poruszajcie więcej tego tematu w rozmowie z Desiree.

- Cóż, jak chcesz - powiedziała chłodno Doris. Patrick widział, że była urażona. - Więc, jak powiedziałeś, innym razem. Podwieźć cię?

- Dziękuję bardzo, przejdę się trochę. Potrzebuję ruchu.

W drodze do domu myślał, że postąpił egoistycznie, ale instynkt - któremu zawsze ufał - podpowiadał mu, że popełniłby błąd, pozwalając żonie jechać. Zbyt pociągało ją piękno kosztownych przedmiotów, a Doris będzie dokonywała mnóstwa zakupów podczas całej podróży. Nie byłoby mądre narażać Desiree na pokusy, skoro nigdy nie będzie jej stać na kupno takich rzeczy. Był to jedyny mankament w przyjaźni łączącej obie żony, przyjaźni, z której poza tym ogromnie się cieszył.

Minał witrynę sklepu Da Cunha, w której od kilku tygodni stał piękny pięcioramienny świecznik ze srebra. Desiree wielokrotnie się nim zachwycała. Chciałby go jej ofiarować. Pożądanie luksusowych przedmiotów było u Desiree tak silne, jak jego umiłowanie książek, jak u innych pociąg do kobiet czy alkoholu.

Urocza Desiree! Znowu zastanawiał się, w czym tkwi zagadka wzajemnego przyciągania się ludzi. Czy podzielał tak na niego bardzo ciemny kolor jej skóry? Czy był to rodzaj pokuty za podświadome ciążenie ku białym? „Ach, zbyt analizujesz, Patricku!” Kto mu już o tym mówił? Francis? Kate? Zabawne, jak czasami mieszała się ona w jego pamięci, nawet wówczas gdy jedno z nich zniknęło z jego życia.

Minął bibliotekę i budynek rządu. Tuż za nimi znajdowała się jego dawna szkoła.

Przystanął, by złapać oddech po szybkim marszu pod górę. Pod stopy upadł mu owoc mango, rozpryskując żółty sok, co przypomniało mu mangowce na małym podwórku w Sweet Apple. Pomyślał o Agnes. Odwiedził ją na Martynice kilka miesięcy temu, niedługo powinien znów tam pojechać, w każdym razie przed Bożym Narodzeniem. Wyraźnie podupadła na zdrowiu. Zastanawiał się, czy jest to spowodowane jej wiekiem, czy też może trawi ją jakaś choroba. Umysł jednak miała jasny, spojrzenie bystre, a język ostry jak zawsze.

- Gdzie błędzisz myślami? - spytała Kate, doganiając go.

- Myślałem, że wreszcie jesteśmy na dobrej drodze - skłamał. Minęli rezydencję gubernatora. - Nicholas jest wspaniałym mówcą. Słuchałem jego wystąpienia w Radzie Ustawodawczej. Wszystkich poruszył.

- Och, Nicholas jest złotousty! Potrafi zaskarbić sobie sympatię wyborców. Będzie im się podobało, że ubiera się jak biały, mówi jak biały i jest równie bogaty. Uosabia ich marzenia, jest kimś, kim sami chcieliby być.

Patrick spojrział na tę drobną, pełną życia kobietę idącą obok niego.

- Zabrzmiało to bardzo cynicznie. Nie wiem, czy taka właśnie była twoja intencja?

- Nie jestem cyniczna. Przynajmniej nie chcę być. Myślę, że raczej można mnie nazwać realistką.

- Nie wierzysz w naszą partię?

- Oczywiście, że wierzę. Nasi przeciwnicy to prostacy, którzy nie mają pojęcia o rządzeniu. Na szczęście ludzie kierują się zdrowym rozsądkiem i doskonale to widzą. A co do Nicholasa, to jest bardzo sprytny, ale również ogromnie utalentowany. Nie pracowałabym dla niego, gdybym nie była o tym przekonana.

- Cieszę się. Byłoby mi przykro, gdybyś nie wierzyła w niego bez zastrzeżeń.

- Bez zastrzeżeń? Kto tak powiedział? Wierzę w to, co widzę dzisiaj. Nie wybiegam daleko naprzód. Zbyt wiele przeżyłam rozczarowań.

„Chodzi jej o Francisa” - pomyślał Patrick, wyczuwając jej rozgoryczenie.

- Chciałabym tylko, żeby miał twoje serce - powiedziała po chwili Kate.

- Kto, Nicholas?

- Tak. Jest szalenie inteligentny, ale mam wątpliwości co do jego serca.

- Ależ, Kate, mylisz się! On jest niezawodny! Kate spojrzała na niego.

- To ty jesteś niezawodny, Patricku. Powiedz mi, jak tam Will? - spytała nagle.

- Bez zmian - odrzekł z kamienną twarzą.

Wbrew własnej woli zwracał uwagę na negatywne cechy chłopca, który zbliżał się coraz bardziej do wieku męskiego. Will miał lotny umysł i fenomenalną pamięć. Potrafił przyłapać Patricka na pomyłce dotyczącej jakiegoś faktu czy daty. „Muszę przyznać, że wyleciało mi to z głowy” - mówił w takich razach Patrick, śmiejąc się z samego siebie. Naprawdę jednak skręcał się wtedy ze wstydu pod zuchwałym spojrzeniem chłopca.

- Will przypomina mi puste naczynie - . powiedziała Kate łagodnie. - Bardzo długo był wysuszony i spragniony, dopóki nie zjawiał się, by go napoić.

- W każdym razie próbuję.

- Nikt z nas nie jest w stanie zrobić nic więcej. Możemy tylko próbować. Cóż, do zobaczenia. Skręcam tutaj.

Przez kilka minut Patrick patrzył za nią. Doskonale znał zwykły tok jej zajęć po przyjściu do domu. Najpierw wypuści psy, by sobie pobiały, następnie napełni ponownie karmniki dla ptaków. Wejdzie do domu i przygotowuje sobie kolację, którą jada czasami przy stole na podwórku, z książką opartą o talerz. Wiezorami pisze artykuł do „Trumpeta” albo wykonuje jakieś prace dla partii. Od czasu do czasu wybiera się na kolację i dancino z mężczyznami przybyłymi z Barbados lub Skandynawii, których poznała przez rodzinę lub w czasie trwania małżeństwa z Lionelem. Nie wiedział, co robiła z nimi, gdy ją odprowadzali do domu, nie była to jego sprawa. Nie miał też pojęcia, czy któryś z nich pragnął się z nią ożenić i czy przyjęłaby go, gdyby się oświadczył. Miał też nadzieję, że przeboleła w końcu Francisa. Nigdy o tym nie mówiła. Ale co do jednego Patrick miał pewność

- marnowała życie!



Nie można tego powiedzieć o jego Desiree. Dzięki Bogu, jej życie się nie marnuje. Wciąż go pociąga, seks z nią zachował świeżość doznań. Czasami złością go różne drobiazgi, ale w sumie nie ma to znaczenia.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Lubił dokuczać jej, że tak się troszczy o dom, lecz w gruncie rzeczy powoli przywykł do zwykłych życiowych wygód - czystej bielizny, ładnie zastawionego stołu ze smakowitą kolacją. Jeszcze bardziej przywykł do niej samej, do jej nieszkodliwej gadatliwości, cieszenia się każdym dniem, wyrozumiałości. Bez niej byłby niczym uschnięte drzewo.

Patrick przeszedł przez główny plac, na którym stał pomnik Nelsona, zapaćkany odchodami gołębi. Na werandzie hotelu „Cade” dwóch Anglików w białych garniturach popijało whisky z lodem. Pewnie emerytowani urzędnicy, którzy uciekli przed angielską zimą. Pomyślał, że ktoś, kto nie był w Covetown od pięćdziesięciu lat, zauważyłby prawdopodobnie niewiele zmian - te same łodzie, te same konie i zimowi goście.

Były to jednak tylko pozory, gdyż w istocie zmieniło się wiele, i świadczyły o tym nie tylko spotkania podobne do dzisiejszego.

Z miejsca, w którym stał, widać było wśród drzew dach hotelu „Lunabelle”. Długi, betonowy budynek w sposób rażący kontrastował z naturalnymi krzywiznami wzgórz oraz zatok wrzynających się w urwiste brzegi. Stanowił kwintesencję złego smaku i zapowiedział to, co może nastąpić, jeśli nie weźmie się pewnych spraw pod ścisłą kontrolę. Patrick pomyślał, że musi poważnie porozmawiać o tym z Nicholasem. Na tyłach „Lunabelle” wyrosła dzielnica ruder, zamieszkała przez ludzi pracujących w hotelu, którzy przybyli tu z wiosek w poszukiwaniu lepszego zajęcia i wpadli z deszczu pod rynnę. Nie było tam odrobiny cienia ani przydomowych ogródków. Nieoficjalnie dzielnica nosiła nazwę Trenches.

Will miał tam swoich przyjaciół. Ten chłopak był taki skryty! Trudno do niego dotrzeć. Patrick tak bardzo chciał go kochać i kochał go, niestety, bez wzajemności. Will nie żywił do niego nienawiści, po prostu go lekcewał.

Laurine i Maisie siedziały na podwórzu pośród swych przyjaciółek, rozmawiając, zapewne o ciuchach... Córki sprawiały mu wiele radości. Kochały go, a to jest największą nagrodą dla rodziców.

Pocałował je.

- Gdzie jest Will? - spytał. - W szopie.

Nie musiał pytać. Will wraz ze swym zespołem ćwiczył znów z tyłu domu za garażem. Sporządzili instrumenty z różnych zardzewiałych blach. Will grał na najważniejszym instrumencie, zwanym tock - tock. Wykonał go sam z puszek po nafcie. Inny chłopiec grał na tam - tamie z beczki po rumie obciągniętej koźlą skórą. Inny znów zrobił sobie grzechotki z łodygi bambusa wypełnionej kamykami.

Patrick usiadł na odwróconej dnem do góry beczce i przyglądał się. Było nie tylko czego słuchać, lecz i na co popatrzeć, ponieważ chłopców roznosił temperament, gdy kołysali się w rytm granych przez siebie melodii.

- To było świetne! - wykrzyknął Patrick, gdy muzyka się urwała.  
- Wznieciłeś prawdziwy pożar swoją grą.

Tom Folsom klepnął Willa po ramieniu.

- Jeśli idzie o wzniecanie pożarów, Will świetnie wie, jak się to robi! Zawsze wiedział. Największe i najlepsze pożary! - Zgiął się w pół ze śmiechu.

Pięść Willa trafiła Toma z całej siły w plecy.

- Cholerny głupiec! Zamknij jadaczkę, ty głupi skurwysynu!

Tom zeszywniał, w oczach błysnął mu strach. Podczas gdy Patrick stał zdumiony, obaj chłopcy mierzyli się przez chwilę wzrokiem, aż wreszcie Will chwycił swoje rzeczy i wyszedł z szopy.

- O co, u diabła, mu chodziło? - spytał później Patrick.

- O nic ważnego.

- Więc wściekłeś się tak z powodu głupstwa?

Will nie odpowiedział, porządkując nuty. Patrick zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie słowa Toma.

- Pożar. Powiedział coś o tobie w związku z pożarem.

- Sam nie wie, co mówi. To idiota.

- Myślałem, że jest jednym z twoich najlepszych przyjaciół.

- Co z tego?

Zapadło milczenie. Chłopak ukrywał coś bardzo poważnego. Nawet tak ufny człowiek, jak Patrick, zaczął nagle coś podejrzewać.

- Czy podłożyłeś gdzieś ogień? Powiedz mi, Willu.

- Jasne. Chłopaki zawsze palą ogniska, no nie?

- Nie udawaj głupiego. Wiesz dobrze, o czym mówię. - Myśl, która nagle zaświtała mu w głowie, była zbyt odrażająca, zbyt niedorzeczna, by brać ją w ogóle pod uwagę.

- Nie, nie wiem. O czym? - Will patrzył na niego bez mrugnięcia okiem.

- „Największy pożar” - czy tak powiedział Tom? Może taki, jak ten w Eleutherze?

- Cholera!

- Pytam cię, Willu - czy masz z tym coś wspólnego?

- Nie!

- Czy to prawda, Willu? Gdybyś maczał w tym palce, musiałbym nie tylko oddać cię w ręce prawa, ale rozstać się z tobą, a to złamałoby mi serce. - Powiedziałem już, że nie. Czego jeszcze chcesz?

„Chciałbym ci wierzyć - pomyślał Patrick. - Modłę się do Boga, żebyś mówił prawdę. Zawsze unikasz mojego wzroku. Jak mogę wiedzieć, kim jesteś?”

Wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, wytarł spocone ręce i przełknął ślinę, by pozbyć się dławiącego uczucia w gardle. Postanowił przyjąć słowa Willa za dobrą monetę i zmienił temat.

- Dziś rano mieliśmy bardzo owocne spotkanie. Myślałem, że może cię to zainteresuje. - Chciał nawiązać z chłopcem kontakt, podzielić się z nim swymi sprawami, odsunąć od siebie dręczącą obawę. - Nicholas wyjeżdża na konferencję do Londynu, a gdy wróci, niepodległość będzie faktem dokonany. - Uśmiechnął się z dumą, radośnie, czekając, aż Will pójdzie za jego przykładem, chłopak miał jednak kamienną twarz. Spytał tylko:

- Co wtedy?

- Oczywiście, wybory. New Day ma wygraną w kieszeni, chyba żeby utworzyła się jakaś niespodziewana koalicja wszystkich podzielonych partii. Nie, to bardzo mało prawdopodobne, z pewnością przejdziemy. Wtedy dopiero zacznie się dla nas praca.

- Czym ty się będziesz zajmował?

- Nicholas powiedział dziś rano, że chce mi zaproponować tekę ministra oświaty, co bardzo mi odpowiada.

Will nawet się nie odezwał. Patrick jednak nie dał za wygraną.

- Czy nie masz mi nic do powiedzenia?

- Owszem. Mam gdzieś wasze głupie wybory!

- Co takiego?

- Nie mają one najmniejszego znaczenia. To stara kolonialna farsa, tyle że z nowymi aktorami. Biały człowiek wciąż będzie miał pieniądze, a wy będziecie jego sługusami. Poczytaj sobie Fanona. Może się czegoś nauczysz.

- Czytałem Fanona. Są tam rzeczy prawdziwe i nieprawdziwe. Jest dla mnie zbyt gwałtowny, zbyt hołduje przemocy. - Patrick umilkł na chwilę. - Szczerze mówiąc, uważam, że jesteś jeszcze tak młody i niedoświadczony, że nie powinieneś się wypowiadać na temat Fanona.

Tym razem Will spojrzął mu prosto w oczy. Jego wzrok był zimny, nieustępliwy. Patrick poczuł się nieswojo, wstyd mu się zrobiło, że pozwolił się onieśmielić dwa razy młodszemu od siebie chłopcu.

- Chciałem tylko przez to powiedzieć, że za mało jeszcze wiesz, by móc wyrobić sobie własne zdanie. Ci ludzie to fanatycy, Willu. Mogą doprowadzić do upadku całe narody.

- Upadku? Czy możemy upaść jeszcze niżej?

- Znacznie niżej. Możemy doczekać się tyranii i rozlewu krwi, niewolnictwa gorszego, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. Owszem, wiele jest jeszcze nieprawidłowości i zła, ale można by się z tym uporać. Przemyśl to, Willu. Przeanalizuj swoją sytuację - masz ładny dom, uczysz się...

Will zerwał się, zaciskając pięści.

- A ile dzieci, nie ma „ładnego domu”? Uważasz, że powinienem być szczęśliwy, ponieważ mieszkam tutaj? Otóż nie, wstydzę się tego!

Patrick poczuł nagły przyływ litości. Przypomniawszy sobie dawnego Willa - pobitego, przywiązanego do drzewa, przerażonego chłopca.

- Czy musisz traktować to tak poważnie, Willu? - spytał łagodnie. - Masz jeszcze tyle lat przed sobą, przyglądaj się, jak świat staje się lepszy, i przyczyniaj się do tego w miarę sił i ochoty. Ciesz się życiem...

- Ty możesz sobie tak mówić! Przepustka do białych! Trochę jaśniejsza skóra i już ją masz! Jaką szansę ma ktoś taki, jak ja? „Ciesz się życiem!”

- Głupio gadasz! Przesadzasz...

- To dlatego kręciłeś się wokół Francisca Luthera, dopóki nie pozbył się ciebie natychmiast, gdy nie zrobiłeś tego, co chciał?

- To niesprawiedliwe, Willu. Skąd wiesz, co się dzieje w mojej głowie? Albo czyjejkolwiek? Ja nie oceniam ludzi według koloru skóry. Dziś rano byłem z Kate Tarbox na...

- Frajerka! Nie może mieć własnych dzieci...

- To okrutne, co mówisz.

- ...i nie chce, by inni je mieli. „Przeludnienie” - mówi. Jasne, ale uważa, że za dużo jest ludzi naszej rasy! Ludobójstwo i tyle!

Patrick poczuł nagłe zmęczenie. Racjonalne spory zawsze go ożywiały, stanowiły miłe wyzwanie, natomiast takie zaślepienie, krwiożercze podejście do rzeczy sprawiało, że kłótnia nie miała sensu. Była wyczerpująca i mogła doprowadzić człowieka do białej gorączki.

- Mam na dzisiaj dosyć, Willu. Idę do domu.

Wszedł do holu. Przez otwarte drzwi sypialni Willa widać było nie tylko zwykły bałagan, sterty trampek, książek i różnych drobiazgów, lecz również duże zdjęcie Che Guevary nad łóżkiem. To coś nowego.

Otworzył drzwi do swego pokoju. Desiree stała przed lustrem w nowej cytrynowożółtej sukni, która opinała jej smukłe ciało jak pończocha lub rękawiczka. Umiała się poruszać jak modelka, lekko i z wdziękiem.

- Podoba ci się, Patricku?

- Tak - odrzekł, myśląc o czym innym.

- Dostałam ją od Doris. Jest całkiem nowa, ale źle na niej leży. Po takie ciuchy jeździ się do Nowego Jorku, jeśli oczywiście - dodała ze smutkiem - kogoś na to stać.

- Ładna - zapewnił ją ze zniecierpliwieniem.

Clarence czytał gazetę we frontowym pokoju. Odłożył ją, gdy wszedł Patrick.

- Pokłóciłeś się z Willem? Przechodziłem obok szopy i niechcący usłyszałem.

- Wykrzykuje o rewolucji i walce klasowej. Martwi mnie to jak diabli. Do czego to doprowadzi?

- Ja jestem już stary, Patricku, ty jesteś młody, ale on jest przecież dopiero chłopcem i mówi innym językiem. To tylko kwestia języka, nic więcej.

- Obyś się nie mylił.

- Czy dobrze słyszałem, że mówił coś o Francisie Lutherze?

- Tak.

- Wiem, jak bardzo czujesz się zraniony - powiedział cicho Clarence po chwili milczenia. - Życie nie uczyniło cię twardym i nigdy nie uczyni. Pamiętasz, jak cię ostrzegałem dawno temu, byś nie pokładał w Lutherze zbyt wielkich nadziei? Później poznałem go lepiej i zmieniłem zdanie na jego temat, okazało się jednak, że moje pierwsze wrażenie było słuszne. To się ma we krwi. Zew krwi i pieniądze - zawsze to samo. Podczas kryzysu, na rozstajach - człowiek kieruje się własnym interesem. Will ma chyba rację, przynajmniej w tej sprawie.

Desiree, wciąż w żółtej sukience, weszła do pokoju.

- Rozmawiacie o Willu? Czy znowu coś nabroił?

Patrick nie miał ochoty wciągać jej do dyskusji, Desiree bowiem zawsze występowała przeciw Willowi.

- Nie - odpowiedział. - Po prostu jest w nie najlepszym humorze. Nie oszukał jej jednak.

- Dałabym w skórę temu chłopakowi!

Biedny Patrick, tak bardzo pragnął syna. Nie wystarczyły mu dwie zdrowe dziewczynki.

- Tylko bez „a nie mówiłam?”, Desiree - wtrącił się Clarence.

- Nie to miałam na myśli, tato. Patrick dobrze o tym wie. Tylko, że z Willem trudno było wytrzymać od samego początku.

- Bywają chwile, że jest łagodny - sprzeciwił się Patrick.

- Tak. Jak szerszeń, który odpoczywa przed kolejnym lotem.

- Został ciężko doświadczony przez los. Miałem nadzieję, że miłość stworzy go na nowo.

- Hm, niewykluczone, że się tak stanie - pocieszył go Clarence. - Być może popycha go do tego wszystkiego idealizm właściwy młodości. Zapamiętaj, że bez idealizmu nie istniałby w świecie postęp.

Desiree bardzo się jednak przejęła złym nastrojem Patricka.

- Połóż się w hamaku i poczytaj sobie, a ja przyrządzę coś dobrego na lunch. Nigdy nie masz dla siebie czasu.

- Myślę, że to dobry pomysł.

Położył się w cieniu z zamkniętą książką na kolanach i oddał się dręczącym go myślom. Nie chciało mu się czytać, a sen nie przychodził.

Na trawniku przed domem dziewczęta wciąż prowadziły ożywioną rozmowę. Usłyszał, jak jedna z nich mówi: „On nawet nie

potrafi tańczyć!" i uśmiechnął się sam do siebie. Małe kobietki! Przypomniał sobie nagle o Francisie, który mignął mu kilka tygodni temu w mieście ze swoją córeczką, uroczym maleństwem w pięknej różowej sukieneczce. Francis, tak jak on, pragnął syna, przyjaciela, krew z własnej krwi, zdrowego chłopaka. Przewrotny los zesłał mu jednak chorą córkę. Jakże niesprawiedliwe bywa życie!

Rozzłościł się na siebie za ciągłe powracanie myślami do Francisia! „Człowiek kieruje się własnym interesem" - powiedział Clarence kilka minut temu. Czy taka jest właśnie ludzka natura? Ciągła walka na kły i pazury? Czy ludzie myślą wyłącznie o sobie? Rozbolała go głowa.

Obudził się, czując łagodny dotyk dłoni na czole.

- Potrzebny był ci sen - powiedziała Desiree. - Chodź, zrobiłam chłodnik ogórkowy.

Zmieniła sukienkę od Doris na bluzkę i spódnicę. Długie włosy podpięła do góry, pachniała kwiatami. Poczul, jak wzbiera w nim pożądanie, teraz, w samym środku dnia! Och, gdyby miał choć odrobinę rozumu, zastosowałby się do własnej rady, której udzielił Willowi, i cieszyłby się młodością, czy raczej tym, co z niej pozostało, a świat razem z Francisem Lutherem niech się sam zmienia na lepsze. Zeskoczywszy z hamaka, podążył do domu za Desiree.

## Rozdział 19

Z wysokich ścian rezydencji gubernatora wciąż spoglądały te same portrety. Książęta, królowe, generałowie i sędziowie w aksamitach i gronostajach przyglądali się kłębiącemu się tłumowi tak spokojnie, jak gdyby cały świat nie został przewrócony do góry nogami. Przez cały dzień uszy Francisa bombardowane były entuzjastycznymi słowami przemówień, biciem dzwonów kościelnych, salwami z dział na okrętach wojennych przycumowanych w porcie.

Dzisiejszego dnia narodziło się państwo, niepodległe państwo, mające własną flagę - pomarańczowo - zieloną z grupą gwiazd. Powiewała dumnie na maszcie, gdy ściągnięto banderę brytyjską. Przemawiał książę i z tuzin miejscowych dygnitarzy. Czysty głos Nicholasa Mebane'a był tak władczy, że nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, kto zostanie po wyborach premierem.

Francis nie zwracał uwagi na ten potok słów, ponieważ przy takich okazjach nie mówi się nigdy nic nowego, tylko zwykle napuszone komunały. Problemy przyjdą później, we właściwym czasie. Poza tym każdy je zna: niedożywienie, bezrobocie, elektryfikacja, import, eksport - słyszało się o nich i czytało przedtem i będą wałkowane jeszcze setki razy. Błądząc wzrokiem po okolicy, natrafił na sylwetkę hotelu „Cade” i zamarzył mu się zimny drink w cienistym ogródku.

Pomyślał o Kate. Wszystko zaczęło się właśnie w tym sennym ogródku, choć nie zdawał sobie wówczas z tego sprawy. Ona zapewne również. Wspomnienie było niezwykle żywe, pamiętał doskonale pierścionek ze szmaragdem, niemal każde jej słowo. Wzburzyło go to bardzo. W latach młodości miał przecież na swoim koncie jak każdy młody chłopak, różne spotkania, romanse - kolacje w zacisznych włoskich knajpkach, drinki w pobliskich barach lub drogich hotelach, „miłość” w samochodach i na statkach, w łóżku i na plaży. Czy pamiętał je wszystkie? Chyba nie. Czemu więc to wspomnienie powraca uparcie i dręczy go właśnie wtedy, gdy chciałby o wszystkim zapomnieć?

Na szczęście nigdy jej nie spotkał. Patricka także. Widywał zresztą niewielu ludzi. Rzadko bywał w mieście, z wyjątkiem dni, kiedy musiał załatwić coś w banku. Parkował samochód na tyłach budynku, dokonywał transakcji i odjeżdżał. Od czasu do czasu chodził



z Marjorie do klubu, by sprawić jej przyjemność, a trochę dlatego, by nie żyć w całkowitym odosobnieniu. Prawdopodobieństwo natknięcia się w klubie na Kate czy Patricka było niemal równe zeru.

W ciągu czterech lat od tamtych wydarzeń, pożaru i narodzin Megan, zbudował wokół siebie niewidzialny mur i ukrył się za nim. Nauczył się świetnie zarządzać swym majątkiem. Jego bydło zdobywało nagrodę za nagrodą i zaczęto je eksportować na Florydę w celach rozplodowych. Jeszcze kilka lat i powinien spłacić zadłużenie hipoteczne. Gdy się to wreszcie stanie, będzie mógł odkładać każdy zaoszczędzony grosz dla Megan, która przeżyje go o wiele lat i będzie potrzebować tego, co uda mu się dla niej zgromadzić.

Jego myśli krążyły nieustannie wokół Megan, jej było podporządkowane jego życie. Mijały dni. Wieczory upływały dość spokojnie. Wszyscy wiedzieli, że Lutherowie zwykle są w domu, toteż sąsiedzi z pobliskich posiadłości wpadali, by posiedzieć na werandzie i popatrzeć, jak morze lśni różowozłotą poświatą zachodzącego słońca.

Marjorie lubiła podejmować gości kolacją. Była to okazja do pochwalenia się domem, zaprezentowania wspaniałej srebrnej zastawy oraz kryształów.

Co do Francisa, najbardziej lubił, gdy zapraszała Whittakerów, ponieważ przyprawiali ze sobą bratanka, który przyjechał z Chicago. Ten młodzieniec przez całą noc mógł grać na fortepianie. Czasami, gdy inni przechodzili do drugiego pokoju na brydża, grał wyłącznie dla Francisa Divertimento Mozarta, Capriccio Haydna, muzykę tak czystą i spokojną, że choć na chwilę uciszała niepokój dręczący gospodarza, przynosiła mu ukojenie. Nikt na tej wyspie nie potrafił tak grać - z wyjątkiem Kate. O Boże, znowu Kate!

- Znakomity fortepian - powiedział gość, muskając palcami klawisze.

- Tak. To Pleyel. Mój ojciec kupił go wiele lat temu w Paryżu.

- Wiesz, oczywiście, kim on jest? - spytała Marjorie pewnego wieczora po wyjściu Whittakerów.

- Kim jest? Nauczycielem muzyki.

- Nie, nie. Coś jest z nim nie tak. Myślę, że to homoseksualista. Nie sądzisz?

- Naprawdę się nad tym nie zastanawiałem.

- Ależ, Francisie! Nigdy niczego nie zauważasz! Sposób poruszania rękami! Poza tym ma co najmniej trzydzieści pięć lat i nie jest żonaty. Obrzydliwe, prawda?

- Nie - odparł Francis. Marjorie spiorunowała go wzrokiem.

- Czasami doprawdy cię nie rozumiem. Zawsze musisz twierdzić coś wręcz przeciwnego niż ja. - Westchnęła z rezygnacją, on zaś powrócił do swego biurka w bibliotece, by pracować nad historią St. Felice.

W ciągu ostatnich lat sam siebie zadziwił pracowitością. U kolekcjonerów białych kruków i handlarzy starych książek w Nowym Jorku znalazł sterty materiału źródłowego i praca szybko posuwała się naprzód. Sięgając do myśli osób dawno nieżyjących i patrząc ich oczyma, poznał wojowników i kupców, architektów i poetów, antropologów, gubernatorów i niewolników, florę i faunę, całe bogate życie tego niewielkiego spłachetka ziemi. Czasami wydawało mu się, że jego praca nigdy nie będzie miała końca i podświadomie pragnął, by tak właśnie było. Praca bowiem była jego ucieczką i przyjacielem. Tylko gdy się w niej pogrążał, odczuwał tak bardzo rzadkie zadowolenie.

Czasami myślał o chwili, gdy ją ostatecznie zakończy. Planował wówczas rozpoczęcie nowego dzieła, czegoś, co mógłby zatytułować: Człowiek przy pracy w swoim środowisku. Być może wówczas znalazłby czas na podróżowanie po całym świecie w celu robienia zdjęć. Pod wpływem tej myśli kupił któregoś dnia w sklepie Da Cunha świetny aparat fotograficzny, nie wierząc jednak zbyt, że jego marzenie kiedyś się spełni. Mimo to chętnie spoglądał na leżący na półce aparat, czekający na wykorzystanie.

- Bardzo się wszystko zmieniło od czasu, gdy przyjechaliśmy - zauważyła Marjorie, przywracając go do rzeczywistości.

Tak. Ludzi było z dziesięć razy więcej niż na pamiętnym ślubie Julii Tarbox z lordem Derekiem Framem. A przede wszystkim panowała tu zupełnie inna atmosfera, na twarzach czarnych wieśniaków w odświętnych ubraniach malowało się radosne uniesienie, stali z godnością, nie bardzo wiedząc, co robić z rękami. Naprawdę jednak był to triumf klasy średniej. Kobiety, wystrojone w zielone, brzoskwiniowe i żółte suknie, w odpowiednio dobranych butach i kapeluszach, rozmawiały z ożywieniem, popijając szampana,

pozdrawiały się i śmiały. „Przedstawienie w sam raz dla Balzaka” - pomyślał Francis.

- Czy zauważyłeś kolię na szyi żony Nicholasa? - spytała szeptem Marjorie. - Ktoś mi mówił, że Da Cunha sprowadził ją z Francji.

Brylanty, turkusy i złoto połyskiwały na kawowej szyi Doris. Była piękną kobietą. Tutejszy klimat służył miejscowym kobietom, wprost rozkwitały. Skóra białych zbyt wysuszała się na słońcu.

Marjorie pociągnęła go w stronę tarasu.

- Chodź, zajęli dla nas stolik.

- Kto?

- Lionel i Whittakerowie. Nie wiem, kto tam jeszcze będzie. O, zaprosili też ojca Bakera. Zawsze musimy się na niego natknąć. - Skrzywiła się. - Denerwuje mnie, jest taki przesadnie życzliwy.

- Być może my denerwujemy jego. - Francis miał przeciwne zdanie. Nie wiedział czemu, ale najczęściej nie zgadzał się z Marjorie. To nieładnie z jego strony. Musi się opanować.

Lionel przywitał ich z uśmiechem.

- Ale zabawa, co? Przynajmniej na razie nie spalili jeszcze więzienia. Marjorie spytała, co chciał przez to powiedzieć.

- Że, po prostu, jest to całkiem możliwe. Na wszystkich wyspach w dniu ogłoszenia niepodległości palono więzienia i wypuszczano morderców na wolność.

Marjorie wzdrygnęła się.

- Znowu podpalenia! Wydaje mi się, że przez cały czas żyję tutaj na kredyt. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie jest tak źle - zapewnił ją Francis.

- Ja nie jestem takim optymistą. - Lionel pokręcił ponuro głową. - Postanowiłem w końcu stąd wyjechać. Naprawdę. Im prędzej, tym lepiej.

- Wyjechać! - wykrzyknęła Marjorie.

- Tak, podjąłem ostateczną decyzję dziś rano, gdy zobaczyłem, jak podnoszą flagę. Kłopot w tym, że wiele osób myśli o tym samym, kto więc zechce kupić moje posiadłości? Chyba że ty, Francisie, skoro zamierzasz tutaj pozostać. Ułatwię ci to, sprzedając wszystko po bardzo niskiej cenie.

- Nie - odparł stanowczo Francis. - Wystarczy mi to, co mam. Marjorie była wyraźnie poruszona.

- Dokąd pojedziesz, Lionelu? Zawsze powtarzałeś, że nigdy nie opuścisz wyspy!

- Wiem, ale wszystko się zmienia. Jestem zmęczony niepewnością. Myślę więc o ładnej posiadłości w Surrey, niedaleko mojej siostry. - Uderzył pięścią w drugą dłoń. - Do licha! Muszę się pospieszyć ze sprzedażą, zanim nas nie wywłaszczą!

- Daj spokój! - zaprotestował ojciec Baker. - Jakie tam wywłaszczenie! Kto ma to zrobić? Mebane? Przecież on reprezentuje rozwijającą się klasę średnią. Oni nie będą nikogo wywłaszczać. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

Na twarzy pani Whittaker malowała się dezaprobata.

- Rozwijającą się? - spytała, sznurując wargi. - Raczej nieźle rozwiniętą. Proszę spojrzeć na ich biżuterię i samochody! Dzielnica, w której mieszkał ojciec Mebane'a jest już trzykrotnie większa. Czy widzieliście niektóre z budowanych obecnie domów?

- Jasne - odrzekł Lionel. - Klasa średnia czy nie średnia, zobaczycie, jaki nastąpi wzrost podatków. Muszą dotrzymać obietnic, złożonych robotnikom, nawet jeśli godzi to w nich samych, a są to kosztowne obietnice.

- Nie jestem specjalnie zaniepokojony - powiedział Francis. - Spokój oraz porządek - tylko o to proszę. Nawet jeśli wprowadzą parę nowych podatków, nie będzie to dla nas wielkim uszczerbkiem. Podatek gruntowy wzrósł trzykrotnie, odkąd tu przyjechałem, a przecież rządzą nami Brytyjczycy.

- No właśnie - poparł go ojciec Baker. - Nawet tamten rząd zdawał sobie sprawę, że są one konieczne. Świat stał się teraz mniejszy. Wszyscy znają stan posiadania innych i ci, którzy nie mają nic, oczekują czegoś, za co trudno ich przecież winić. Tu właśnie leży sedno sprawy.

- Ale skąd brać na to pieniądze? - spytała pani Whittaker. - Z całym szacunkiem, wielebny ojcze, ale gdyby zabrać nam, zgromadzonym przy tym stole, po jednym cencie, oznaczałoby to zaledwie pięć centów w kieszeni biedoty.

- Rozwiązaniem jest, rzecz jasna, zwiększenie produkcji. Mechanizacja - odpowiedział natychmiast Francis. - Na wyprodukowanie tony cukru potrzeba tutaj dwadzieścia dni roboczych. Na Hawajach zajmuje to dwa i pół dnia. Oto odpowiedź na pani pytanie.

- Ale związki protestują przeciwko tym nowym maszynom - powiedział Lionel.

- To prawda, dlatego potrzebna jest oświata - zaczął ojciec Baker, ale mu przerwano.

- To zbyt radosna okazja na takie poważne rozmowy! - Podeszedł do nich Nicholas Mebane w towarzystwie mocno starszego białego mężczyzny w staromodnym ubraniu i dostawił dwa krzesła. - Za to wszystko weźmiemy się od poniedziałku! Chciałbym przedstawić wam pana Anatole'a Da Cunha. Ktoś wspomniał twoje nazwisko, Francisie, i pan Anatole koniecznie chciał cię poznać. Znał twoich rodziców.

Da Cunha uściśnął dłoń Francisca.

- Jest pan podobny do matki. Pamiętam ją bardzo dobrze. Poznaliśmy się w Paryżu. Była nieśmiałą, młodą dziewczyną, naprawdę uroczą.

- Ojciec opowiadał o panu. Przedstawił go pan mojej matce - odpowiedział Francis.

- Pan Da Cunha odbył tę podróż, żeby być z nami w dniu ogłoszenia niepodległości - rzekł z dumą Nicholas. - To dla nas wielki zaszczyt.

- Mam osiemdziesiątkę na karku - powiedział Da Cunha - i nie czuję się najlepiej. Chciałem jeszcze raz zobaczyć moją rodzinną wyspę, a czy mógłbym znaleźć lepszy pretekst?

- Pan Da Cunha zamierza ofiarować w darze dla nowego państwa kolekcję obrazów, które przyśle, jeśli obiecamy otworzyć tu niewielkie muzeum.

- Również po to, by zachęcić do uprawiania sztuki - dodał Da Cunha. - Wszędzie marnuje się tyle talentów.

- Pozostawię to mojej żonie. Zapewniam, że sprawa trafią w dobre ręce - powiedział Nicholas. - Oczywiście, jeśli zostaną wybrani.

Zebrani przy stole roześmieli się uprzejmie i przy pochlebnie.

- Mamy w domu kilka pańskich obrazów! - wykrzyknęła Marjorie. - Podarował je nam ojciec Francisca. Może zechciałby pan spędzić kilka dni u nas i przypomnieć je sobie? Cieszylibyśmy się ogromnie!

- Dziękuję, ale jestem gościem Mebane'ów, poza tym wyjeżdżam za dwa dni. - Zwrócił się dość obcesowo do Francisa: - Słyszałem, że jest pan pisarzem.

- Przesada. Pracuję nad historią wyspy, zresztą w kontekście całych Indii Zachodnich, od hiszpańskich galeonów poczynając, aż po Arawaków. Nie uważam się jednak za pisarza.

- Nie wiedziałem, że mieszka pan tutaj. Straciłem kontakt z pańskimi rodzicami wiele lat temu.

- Tak, stałem się tubylcem.

Starszy pan uśmiechnął się uprzejmie. Francisa uderzyło, że w jego uprzejmości kryło się coś więcej niż zwykła ciekawość. Ale jaki mógł być jej powód?

- Jest pan tutaj sam? Wiem, oczywiście, że jest pan z żoną, miałem na myśli pańskich braci i siostry.

- Nie mam braci, a siostry mieszkają w Nowym Jorku.

- Aha.

Tak, bardzo był ciekawski. Cóż, to już mocno starszy człowiek i prawdopodobnie dość ekscentryczny.

Nicholas wyraźnie chciał go odciągnąć do innego stolika, Da Cunha jednak przedłużał rozmowę.

- Kupiłem w Nowym Jorku gazetę. Wysoko oceniają tutejszych nowych przywódców. Bardzo mnie to wszystko interesuje. Wspominają o Franklinie Parrishu i Patricku Courzonie. Ale przypuszczam, że ich pan zna.

- Patrick Courzon to wielki umysł - powiedział ojciec Baker.

- Zna ich pan? Zna pan Courzona? - dopytywał się Da Cunha.

- Owszem, znam ich obu.

- Niestety - powiedział ojciec Baker - Francis i Patrick poróżnili się nieco. Muszę przyznać, że bardzo mi z tego powodu przykro, ponieważ dla dobra wyspy konieczna jest współpraca jej najzdolniejszych mieszkańców. - Popatrzył z wyrzutem na Francisa, który zaczerwienił się z gniewu.

Ojciec Baker potrafi zachować się jak stary głupiec, który wtyka nos w nie swoje sprawy.

Kiedy Nicholas zabrał szacownego gościa do innego stolika, wszyscy nagle zaczęli mówić o Mebane.

- On jest naprawdę sympatyczny - zauważyła pani Whittaker. - Człowiek zaczyna wierzyć, że przy nim jakoś wszystko się ułoży

- Nie jestem pewny - powiedział ojciec Baker raczej ze zniechęceniem.

- Dlaczego? - wykrzyknął Lionel. - Przecież stało się dzisiaj właśnie to, czego ojciec tak pragnął!

- Byłbym szczęśliwy, gdyby na miejscu Nicholasa znajdował się Patrick.

- Bzdura! Jakże on ma doświadczenie? Dobry Boże, Mebane to adwokat, pracował nad konstytucją, był członkiem Rady Ustawodawczej, pracował w Banku Rozwoju! To człowiek praktyczny. Ja zamierzam się stąd wynieść do diabła, ale dla was właśnie Mebane stwarza szansę na przetrwanie. Jest realistą i potrafi iść na kompromis. Courzon to marzyciel. Nawet w klubie, wśród kolorowych polityków, tak jest właśnie postrzegany.

- Świat jest spragniony marzycieli - powiedział ojciec Baker.

Francis odwrócił się. Za dużo dzisiaj gadania, i to głupiego gadania. Czuł się fatalnie w tłumie i marzył, by już wrócić do domu, ale z kolei Marjorie czuła się tu jak ryba w wodzie i zupełnie jej się nie śpieszyło.

Śmiała się. Zdarzało się to jej tak rzadko, zwłaszcza w ostatnich latach. Czasami jej śmiech był naturalny i szczery, przede wszystkim gdy bawiła się z Megan, natomiast jej „towarzyski” śmiech był wysoki i afektowany, napinający mięśnie twarzy. Bolały go własne policzki, gdy się jej wówczas przyglądał. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego żona wkłada tyle wysiłku w stwarzanie pozorów, że się dobrze bawi lub stara się być zabawna, żeby mieć dobrą opinię u ludzi, na których jej specjalnie nie zależy. Chociaż zachowuje się tak większość ludzi, może więc to on jest dziwakiem?

Nagle go olśniło - w przeciwieństwie do niego Marjorie potrzebne było do życia liczne towarzystwo i ludzka aprobata. Kiedy byli w domu sami, cisza spowijała niczym kirem nie tylko ich, lecz również pokój, w którym się znajdowali. Musiały dręczyć ją wówczas ponure myśli.

Jego myśli natomiast przypominały żywe srebro. Poprzedniej nocy czytał o Krecie i motywie rozety na freskach w pałacu w Knossos. Chciał koniecznie o tym porozmawiać, podzielić się z kimś swoimi obserwacjami.

- To musiało coś oznaczać, nie uważasz? Może służyło wyłącznie dla ozdoby?

- Nie mam zamiaru spędzać z tego powodu bezsennych nocy, zapewniam cię - odpowiedziała z ironią i znużeniem.

Ziewnęła, on zaś poczuł głęboki smutek i osamotnienie.

Wypił kawę, odsuwając na bok deser. Jutro jest niedziela i spędzi cały ranek z Megan, podczas gdy Marjorie będzie spała do południa. Może popłyną na Spark Island. Mógłby zabrać czteroletniego wnuczka Osborne'a dla towarzystwa Megan. Czy jednak nie oszukuje samego siebie? Roy wyprzedzał ją znacznie pod względem rozwoju. Unosił się na falach niczym delfin, wszystko zauważał i o wszystkim miał własne zdanie, umiał znaleźć podobieństwo pomiędzy tysiącfuntowym żółwiem z fotografii a świeżo wylęgłym maleństwem, które wypełzło z dołka w piasku, gdzie zostały złożone jaja. Ten mały chłopczyk towarzyszył wszędzie swemu dziadkowi, tak że został ochrzczony na plantacji „cieniem Osborne'a”.

Tak, trudno było nie poddawać się rozgoryczeniu, nie zazdrościć Osborne'owi!

Jeśli ktoś patrzył na Megan, nie słysząc, jak po dziecinnemu powtarza sylaby, nie wiedząc, jak trudno było odzwyczaić ją od pieluszek - nigdy nie poznałby, że nie jest „normalna”. Z jasnymi, miękkimi włosami odcinającymi się od opalonej na brąz szyi, równiutkimi pięknymi ząbkami, kobaltowobłękitnymi oczami... Francis poczuł, jak pod powiekami zbierają mu się palące łzy.

Jakże był związany z tą okruszyną! A oboje byli związani z tym skrawkiem ziemi, na którym mieszkali. Nie potrafił nigdy bez zbędnego patosu wyjaśnić, jak silnie odczuwał to podwójne zespolenie.

- Błędzisz gdzieś we mgle - powiedziała Marjorie z lekkim zniecierpliwieniem. - Można wiedzieć, gdzie byłeś, Francisie?

- Mniej więcej w środku jutrzejszego przedpołudnia - odrzekł, a ona spojrzała na niego zdziwiona.

Niepokoilo go coś innego. Czy dlatego tak bardzo kochał to dziecko, że w jego życiu nie istniało inne głębokie uczucie? Że nie było nikogo, za kogo mógłby umrzeć? Za Megan dałby się pokrajać na kawałki. Marjorie zresztą również. Często obserwował je razem, matkę i córkę spacerujące o zmierzchu po trawniku. W jasnych sukienkach przypominały kwiaty lub motyle. Megan na szczęście nie miała pojęcia, że to dzięki niej istniało jeszcze ich małżeństwo. Dzięki niej i litości Marjorie, która wiedziała, że Francis nie zniósłby utraty



córeczki. Trzeba przyznać, że Marjorie stosowała wobec siebie te same żelazne, nieugięte normy, co i wobec innych. Przynajmniej pod tym względem nie pomylił się dawno temu, dostrzegając w niej klasę i godność.

Szturchnęła go w bok.

- Och, spójrz! Tam, tam!

- Gdzie?

Zorientował się natychmiast, o co jej chodziło. Ku dużemu, ustawionemu centralnie stołowi ze specjalną rezerwacją przeciskał się Patrick z żoną oraz grupą białych mężczyzn i kobiet, przyjaciół i krewnych Kate, oraz kilkoma czarnymi politykami. Była też sama Kate.

- Muszę przyznać, że wykazała się dobrym smakiem, wkładając różową suknię doskonale dobraną do koloru włosów - powiedziała Marjorie. - Dziwne, nigdy nie przykładała wagi do strojów.

Lionel przyglądał się Kate zupełnie otwarcie, jak gdyby nie miało dla niego znaczenia, czy to zauważyła, czy też nie.

- Po prostu nie musiała tego robić. Cokolwiek na siebie włoży, zawsze wygląda wdzięcznie. - Była to uwaga zaskakująco subtelna w ustach Lionela.

- Nigdy jej nie wspominasz - powiedziała Marjorie.

- Czemu miałbym wspominać? Jesteśmy rozwiedzeni. Poza tym nie byłoby to zbyt taktowne w waszym domu, prawda?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że kiedyś paliła się do Francisca? - roześmiała się Marjorie.

Francis poczuł, jak czerwieni się aż po korzonki włosów.

- Nie bądź śmieszna, Marjorie. - Spojrzał na Lionela, który wyglądał na szczerze ubawionego.

- Wiesz dobrze, że tak było! - powtarzała z uporem Marjorie. - Nie twierdzą, że trwało to długo, ale...

- Nie wspominam jej, Marjorie - powiedział Lionel - z powodu tragedii, która dotknęła nas wszystkich. Wiesz dobrze, że to jest prawdziwa przyczyna. Również dlatego, że jest związana z Courzonem.

- Związana? Nie zdziwiłabym się wcale, gdybym się dowiedziała, że mają romans. Francis czuł łomot krwi w uszach. Gdy się jednak odezwał, głos miał chłodny i opanowany.

- Nienawidzisz jej, prawda, Marjorie? Dlaczego?

Lionel obserwował tę małą potyczkę z widocznym rozbawieniem.

- Nie wygłupiaj się, Francisie! Dlaczego miałabym jej nienawidzić? To tylko taka nieszkodliwa plotka, wszystko zostaje w rodzinie - powiedziała lekko, jak gdyby uświadomiwszy sobie nagle, że posunęła się za daleko. - Nie mam uprzedzeń i kompletnie nie jestem zazdrosna. Dobrze wiesz, że zawsze taka byłam. Czy w przeciwnym razie zwróciłabym twoją uwagę na to, jak jest atrakcyjna? Te kolczyki są fantastyczne.

Widział teraz tylko odsłonięte plecy Kate, rudawą aureolę kędzierzawych włosów i rzucające błyski kolczyki.

- Należały do jej babki. Znalazłem je niedawno w skrytce. Widocznie o nich zapomniała, odesłałem je więc. Nie są zbyt wiele warte. Ładne, ale kamienie mają skazy. - Lionel zapalił papierosa i mówił dalej, jak gdyby temat ten był dla niego szczególnie interesujący. - Kate nigdy nie zależało na biżuterii, lubiła wyłącznie zabawne staromodne drobiazgi. Pamiętam, jak zwróciła mi kiedyś pierścionek ze szmaragdem. Naprawdę chciałem, żeby go zatrzymała. Wszedłem do jej sypialni, gdy się pakowała przed odejściem ode mnie. Siedziała naga na łóżku. To był niezły obrazek - kompletnie naga, tylko szmaragd na palcu. Cisnęła nim we mnie przez cały pokój. Tak, myślę, że Da Cunha chętnie namalowałby ją wtedy. Zrobiłby z tego wielką sensację. Nazwałby obraz Naga rudowłosa ze szmaragdem albo coś w tym rodzaju.

Francis zacisnął szczęki, czując znów gniew - choć nie powinien był już się tym przejmować - na myśl o Lionelu i Kate. Czuł, że Lionel szydzi z niego.

„Lionel znał ją. Miał ją. Ale nie w taki sposób, w jaki ja ją znałem i miałem. Kremową i śliską pod prysznicem. Pieprzyk na lewej piersi. Mała przerwa pomiędzy zębami. Łzy z powodu skrzywdzonego kotka. Radosny śmiech w łóżku, wspaniałym łóżku. Koidra z wyhaftowanymi ptaszkami, w każdym rogu inny...”

Cóż, przeszłość to przeszłość. Kate wykreśliła go ze swego życia. Zawiodła go, wobec tego on też ją wykreślił. Jego życie bardzo się zmieniło. Głowę i serce miał teraz zaprzątnięte czym innym.

Lionel i Marjorie poszli tańczyć. Francis obserwował przez chwilę twarz Marjorie ponad ramieniem jej partnera, twarz wciąż gładką, o nieskażonych rysach, pomimo nieszczęścia, które ich

dotknęło. Patrzył za nimi, póki nie zniknęli w tłumie tancerzy. Wtedy przeniósł wzrok na odwróconą do niego tyłem Kate. Rozmawiała, gestykulując z ożywieniem, jej ręce fruwały w powietrzu - zapomniał już, że tak się zachowuje. Uparta, fanatyczna, nie odstępująca od wytyczonego celu, skora do gniewu! Do diabła z nią! Tylko niech się jej nic złego nie przytrafi. Niech mieszka bezpiecznie w swoim małym domku. Jest taka krucha! Uważa się za odważną a w gruncie rzeczy jest bezbronna i całkiem samotna.

„Wydarzyło się między nami coś nieodwołalnego, Kate. Już się nie odstanie, prawda?”

Ręce miał zimne jak dwa kawałki lodu. Poprosił o drugą filiżankę kawy nie tyle po to, by ją wypić, lecz by ogrzać dłonie. W głowie waliły mu dziesiątki niewidzialnych młoteczków, dźwięki rozbrzmiewającej muzyki sprawiały mu ból.

- Coś się wydarzyło - powiedział na głos. Wróciła Marjorie i oznajmiła, że czas wracać do domu.

- Widzę, że jesteś w nieszczęśliwym nastroju. - Był to wyrzut pod płaszczykiem troskliwości. Pomiął jej uwagę milczeniem.

Zerwał się wiatr i Lionel otulił ramiona Marjorie szalem, który trzymał w ręku.

- Jeśli mam być szczerą - Francis usłyszał jej słowa, wypowiedziane zniżonym tonem - cieszę się, że Francis nie chce odkupić twego majątku. Bardzo cię proszę, byś nie składał mi ponownie oferty, dobrze? Wciąż czekam, aż wreszcie będzie miał dość i zdecyduje się na powrót do Ameryki.

- Czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilki zjedzą - odrzekł Lionel. - Moim zdaniem nigdy stąd nie wyjedzie.

- Nigdy - to mnóstwo czasu - odpowiedziała.

Lionel miał rację. Francis nie zamierzał dać się wypędzić z powodu polityki. Poniósł już dość strat, jak na jedno życie ludzkie - ojciec zginął w płomieniach, ukochana matka została sama. Potem zjawiała się Kate niczym spełnione marzenie senne, które prysło jak bańka mydlana. Byli z Patrickiem niczym biblijni przyjaciele, Jonatan i Daniel, a przynajmniej tak mu się wydawało, i co? Wreszcie upośledzone dziecko. Tak, to za dużo jak na jednego człowieka. Ziemia była wszystkim, co mu pozostało. Pokochał ją bezgranicznie niczym człowieka z krwi i kości. Gdyby musiał ją opuścić, cierpiałby

niewymownie do końca życia. Nie, Eleuthera należała do niego, a on do niej. Cóż więcej można powiedzieć?

## Rozdział 20

Gdy trzeba wreszcie przyjąć do wiadomości szokującą zmianę, że oto przymilne dziecko staje się wrogim nam dorosłym człowiekiem, że powszednie czarujący kochanek, a zaufany przyjaciel sprzeniewierza się i oszukuje, spoglądając wstecz, człowiek widzi nagle wszystko z ogromną wyrazistością. Tak, oczywiście, tamtego dnia, gdy powiedział on coś lub zrobił, był to pierwszy zwiastun dalszych wydarzeń!

Nicholas Mebane wszedł do biura, witany wręcz z euforią. Czyniono entuzjastyczne porównania do Roosevelta podczas jego pierwszych stu dni.

- Nie obiecujemy cudów - powiedział szczerze - ale zaczynamy działać natychmiast. Zmiany będą widoczne i odczuwalne, obiecuję to wam.

Serce Patricka przepęłniała duma.

Nie minęły dwa miesiące od objęcia rządów, a zaczęto już roboty ziemne pod budowę wspaniałego obiektu rekreacyjnego, z boiskiem do piłki nożnej, basenem, boiskami do koszykówki itd. Pierwszej łopacie ziemi towarzyszyły radosne okrzyki. Wreszcie mają coś, co można zobaczyć i dotknąć!

Następnym krokiem było otwarcie muzeum St. Felice w dużym, zbudowanym z kamiennych płyt magazynie z osiemnastego wieku, na tyłach Wharf Street. Doris Mebane nadzorowała prace adaptacyjno - renowacyjne według własnego projektu. Z wyrafinowanym smakiem zaplanowała wzdłuż ścian budynku suchą fosę wypełnioną zielenią, natomiast w przestronnym wnętrzu otwarto ekspozycję dzieł Anatole'a Da Cunha - daru artysty dla młodego państwa. Znajdowało się tam kilkadziesiąt olejnych obrazów oraz dwie marmurowe rzeźby. Nad frontowym portalem Nicholas kazał wyryć w kamieniu ogromny napis: Pro publico bono. W oficjalnej broszurze wyjaśniono, że oznacza to „Dla dobra publicznego”. Uroczystego otwarcia dokonano z kwartetem smyczkowym i szampanem podawanym w papierowych kubkach. Przedstawiciele klasy średniej przybyli w komplecie.

Patrick miał własne pomysły do zaoferowania. Pod koniec uroczystości odciągnął Nicholasa na bok.

- Wczoraj w nocy wpadł mi do głowy pewien pomysł. Dotyczy on szkoły dla dzieci. Myślałem o rozdawaniu sadzonek drzewek owocowych lub jarzyn, a może jednego i drugiego. Prowadzilibyśmy

instruktaż, a za najlepsze wyniki przewidziane byłyby nagrody. Osiągnęlibyśmy podwójny cel - z jednej strony dzieci miałyby świetne zajęcia, a z drugiej podkreślałoby to potrzebę samowystarczalności, jeśli idzie o żywność. Co o tym sądzisz?

- Świetnie! Przygotuj projekt i przedstaw go na następnym posiedzeniu rządu. - Nicholas poklepał Patricka po ramieniu. - Czy w najśmielszych marzeniach przewidywałeś kiedykolwiek, że zajdziemy tak daleko? Boże, pamiętam, jak wkuwaliśmy razem słowa łacińskie! Chyba nam to nawet wyszło na dobre! - Roześmiał się radośnie.

- Czy możemy zatem wziąć się do pracy nad moim projektem?

- Nie widzę przeszkód. Dobrze, że nie jest to kosztowna impreza. Mamy okropnie mało pieniędzy. Okropnie! - Nicholas zaczął zbierać się do wyjścia.

- Poświęć mi jeszcze chwilę - powiedział szybko Patrick. - Wiem, jak jesteś zavalony robotą, ale przez wszystkie te dni nie miałem okazji z tobą pogadać. Chciałem spytać cię, co byś powiedział na rozdanie rolnikom sadzonek drzew, skoro już jesteśmy przy tym? Może mahoń? Ostatni huragan zniszczył niemal dwa tysiące akrów lasów państwowych i nie prowadzono żadnej rekultywacji. Przyszło mi na myśl, że moglibyśmy połączyć obydwaj projekty. Koszty byłyby niewielkie.

- Pamiętaj, że ty jesteś ministrem oświaty. Ta sprawa należy do ministra rolnictwa.

- Wiem, ale wszystko się ze sobą wiąże.

- Muszę już lecieć. Naprawdę. Porozmawiamy o tym innym razem. - Nicholas poklepał go jeszcze raz po ramieniu. - Nie od razu Rzym zbudowano. Ale podoba mi się twój entuzjazm!

Zapał do pracy musował w Patricku niczym młode wino. Tyle jest do zrobienia! Zbyt dobrze wiedział, jak niskie kwalifikacje mają niektórzy nauczyciele. Można temu zaradzić podwyższając wynagrodzenie i poprawiając warunki. Przejeżdżając pewnego dnia przez Gully, zauważył, że dach przecieka jak niegdyś, gdy musiał podstawiać wiadra; do tej pory nie został zreperowany. Podręczniki, pomoce wizualne - tu widział pole do działania.

Na posiedzeniu prezydium rządu przedstawił swoją listę.

- Zaraz, zaraz, nie tak prędko! - przyhamował go Nicholas. - Dojdziemy w końcu i do tego.

- Tak, ale kiedy? - naciskał Patrick.

- Wszystko rozbija się o brak pieniędzy, - odrzekł Nicholas.

- Mamy przecież pożyczkę z Banku Światowego. Poza tym dopiero co podniosłeś podatki. Nie bardzo rozumiem, dlaczego musimy tak zaciskać pasa.

Nicholas mrugnął do zebranych. Wszyscy tu znali się jak łyse konie, byli ze sobą w bliskich stosunkach, mogli więc sobie pozwolić na wzajemne złośliwe uwagi.

- Gospodarowanie pieniędzmi nie jest, zdaje się, twoją najmocniejszą stroną, Patricku.

Zewsząd rozległy się śmiechy i chichoty, Patrickowi nie pozostało więc nic innego, jak również się uśmiechnąć. Stanowiło bowiem tajemnicę poliszynela, że domowymi finansami zarządzała Desiree, pod pozorem, że Patrick jest zbyt roztrzepany i nie pamięta o płaceniu rachunków. Czasami myślał jednak, że powód jest zupełnie inny - wydawała pieniądze tak szybko, że musiała spłacać długi, zaciągając nowe.

Nicholas przeszedł do następnej sprawy. Chodziło o wzmocnienia patroli policyjnych na ulicach Covetown.

Patrick wahał się przez chwilę. Wciąż nie przywykł jeszcze do zabierania głosu.

- Wydaje mi się - powiedział w końcu - że w mieście i tak jest już pełno policjantów.

- Są nam potrzebni, nie sądzisz? Mamy zbyt wielu kieszonkowców. Odstraszają turystów i nasze miasto zyskuje przez to złą reputację.

- Dzieci nie mają z tym nic wspólnego. Pamiętasz, mówiliśmy o placach gier i zabaw...

- Przecież urządziliśmy już kilka.

- Tylko trzy, w dodatku ostatni wciąż czeka na wyposażenie. - Zamyślił się. - Tak czy owak, place gier i zabaw to nie najważniejsza sprawa, prawda? Wszystko sprowadza się do gospodarki. To już nie lata sześćdziesiąte.

- Właśnie. Dlatego musimy popierać rozwój turystyki oraz imigrację, a do tego potrzebne jest prawo i porządek.

- Turystyka i imigracja to nie wszystko. Prawdę mówiąc, chciałem już o tym porozmawiać. Ci wszyscy ustawiający się w kolejce po tanią ziemię! Spekulują i śrubują ceny. Nie powinniśmy

sprzedawać ziemi spekulantom, lecz wyłącznie ludziom, którzy zamierzają tu pozostać i zrobić coś dla naszego kraju.

Zauważył, że zebrani wymieniają między sobą spojrzenia i spuszczają wzrok. Odczuł nagłą zmianę atmosfery.

- Budowa hotelu daje nam miejsca pracy - powiedział łagodnie Nicholas.

- Tylko na pewien czas. Poza tym, na co nam takie maskary jak „Lunabelle” i jemu podobne? Nie ma mowy. Takie inwestycje nie są nam potrzebne. Wybieranie piachu niszczy zatokę! Inwestorzy dewastują środowisko naturalne, zakładając wytworne plaże, niszczą rafy chroniące nasze wybrzeże przed erozją. Co ich to jednak obchodzi! Szybki zarobek i do diabła z przyszłymi pokoleniami! Odprowadzają ścieki wprost do zatoki! Gdy wiatr wieje od strony morza, cuchnie stamtąd na milę. - Obrzucił zebranych wzrokiem, czekając na jakiś znak potwierdzenia, odnosił jednak wrażenie, że mówi do ściany. - Posłuchajcie - rzekł błagalnym tonem - przecież pamiętacie wszyscy czasy, gdy w zatoce pełno było krabów i rozmaitych ryb. Teraz trzeba wypływać daleko w morze, żeby coś złapać. Spowodowane jest to zanieczyszczeniami oraz połowami za pomocą harpuna. To zagłada morza. Widziałem, co się dzieje gdzie indziej, czytałem Cousteau. Podejdźcie, proszę, do okna i powiedzcie mi, że nie jesteśmy na najlepszej drodze do zmarnowania przepięknych morskich pejzaży, jakich nie znajdzie się nigdzie na świecie! Pamiętajcie, co zrobili z przylądkiem Diamond Head w Honolulu? Widzieliście zdjęcia...

- Przeskakujesz od ryb i raf do hoteli - przerwał mu Nicholas. - Nie nadążamy za tobą.

- Nie przeskakuję. To wszystko elementy jednego obrazu. Zapadła cisza, którą przerwał Nicholas.

- Czy ktoś stawia wniosek, by wziąć pod rozwagę to, co powiedział Patrick? - Nastąpiło małe poruszenie, po czym Nicholas dodał: - Powołam komisję do zbadania zagospodarowania gruntów ze szczególnym uwzględnieniem ekologii i zachowania charakteru St. Felice...

W trzy miesiące później znów sprzedano grunt pod kolejny hotel nad zatoką. Patrick udał się natychmiast do Nicholasa.



- Czegoś tu nie rozumiem. Podobno miało nie być nowych inwestycji wokół zatoki, przynajmniej bez przedyskutowania wszystkich za i przeciw.

- Wałkowaliśmy tę sprawę przez kilka godzin na ostatnim posiedzeniu prezydium, tym, które opuściłeś.

- Opuściłem?

- Tak, zwołałem nagłe posiedzenie akurat wtedy, gdy byłeś z wizytą u matki na Martynice. Poleciałem, by przesłano ci protokół.

- Nie otrzymałem żadnego protokołu, a poza tym od miesiąca nie byłem na Martynice.

- Dziwne! Cóż, z pewnością ktoś został źle poinformowany. Przykro mi, doprawdy bardzo przykro. Rozumiem też twoje zastrzeżenia. Jednak bardzo potrzebne są nam pieniądze. Mogę ci obiecać, że więcej już się to nie powtórzy.

Upokorzony i oburzony, Patrick zdołał się mimo wszystko opanować. Nie należy wyciągać pochopnych wniosków! Nicholas nie oszukałby go! To paranoja podejrzewać go o coś takiego!

Pozostało mu jednak dziwne uczucie, że zamydlono mu oczy, tak jak odwraca się uwagę domagającego się czegoś dziecka.

Desiree mieszała coś w garnku na kuchence. Od razu poznał, że jest czymś zdenerwowana.

- Dziś po południu byłam u Doris. Nicholas miał jakieś spotkanie u siebie w domu. Wychodzili właśnie, gdy podjechałyśmy.

Patrick drgnął.

- Spotkanie? Masz na myśli posiedzenie rządu?

- Nie, oczywiście, że nie, chociaż widziałam też Rodneya Spurra i Harrisona Amesę. Reszty nie znam. Byli wśród nich nawet biali, między innymi ten niski grubas, który zbudował dom nad urwiskiem, cały ze szkła.

- Jurgen. Słyszałem, że dużo tu inwestuje. Desiree odwróciła się do niego.

- Doris wymusiła na mnie obietnicę, że nic ci nie powiem, ale Nicholas twierdzi, że nie chcesz z nim współpracować.

Patrick spojrzał na nią osłupiały.

- Nie chcę współpracować! Co, u diabła, przez to rozumie?

- Że zadajesz zbyt dużo niepotrzebnych pytań.

- Co takiego?

- Mam nadzieję, że nie sprawiasz mu kłopotów, Patricku. Przyjaźnicie się od dziecka.

- A jakie kłopoty mógłbym sprawiać? Czy w ogóle kiedykolwiek sprawiam?

- Nie wiem. Potrafisz być bardzo uparty, kiedy jakiś pomysł zalegnie się w twojej głowie. Nigdy nie rezygnujesz.

- Czy chodzi ci o to, że bronię moich przekonań? Niech padnę trupem, jeśli kiedykolwiek przestanę!

- Nie podniecaj się tak! Właśnie że jesteś uparty i dobrze o tym wiesz. - Desiree odęła wargi. - Na przykład, czemu nie pozwoliłeś mi wtedy pojechać z Doris do Europy? Szczerze mówiąc, ona uważa, że postąpiłeś egoistycznie. Ja też! Nigdy nigdzie nie byłam...

- Nie stać nas na taką podróż, to jedyny powód!

- Myślałam, że gdy znajdziesz się w rządzie, będzie nam lżej. Nic się jednak nie zmieniło od czasów, gdy byłeś nauczycielem czy pracowałeś w redakcji „Trumpeta”.

- Nie wszedłem do rządu po to, by się wzbogacić.

- Ale mogłeś przynajmniej pozwolić mi jechać z Doris!

- Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek przyjmę jałmużnę!

- Jałmużnę! Mówisz o swoim przyjacielu! Byłaby to także przysługa dla Doris. Bardzo chciała, bym jej towarzyszyła. Przecież mają mnóstwo pieniędzy. To dla nich drobiazg.

- Mnóstwo pieniędzy - powtórzył Patrick w zamyśleniu. - Naprawdę nie rozumiem. Doktor Mebane wcale nie był taki znów bogaty, a przecież podzielił majątek pomiędzy czworo dzieci. Nie rozumiem.

- Nicholas sam robi pieniądze! Inwestuje w hotele i zagospodarowanie plaży na całej wyspie. Jest w połowie właścicielem nowego klubu „Circe”, który otwarto przy przecznicy Wharf Street. Nie wiedziałeś o tym? Nowy hotel, o którym się mówi, też należy do niego!

Patrick usiadł. Nie odzywał się. Desiree mówiła dalej wysokim, poirytowanym tonem, zapożyczonym od Doris Mebane.

- Czemu nie możemy mieć jakiejś przyjemności z życia? Przecież mógłbyś pójść w ślady Nicholasa.

- Kiedy wreszcie zmądrzejesz? - spytał gniewnie. - Może nigdy? Oczy Desiree napełniły się łzami i Patrickowi zrobiło się przykro. Nie zasługiwała

na takie traktowanie. Po raz pierwszy na coś się poskarżyła. Choć w porównaniu z wieloma jej przyjaciółmi nie byli zbyt dobrze sytuowani, Desiree powściągała swoje pragnienia i umiała się cieszyć tym, co mógł jej ofiarować. Teraz, w nowej sytuacji, musiała czuć się trochę zawiedziona. Mąż Doris był w stanie spełniać wszystkie zachcianki żony, natomiast jej mężowi zupełnie na tym nie zależało. Chciałby umieć jej to wytłumaczyć, ale sam przeżył wstrząs i musiał się z tym uporać.

Leżał długo, w łóżku, nie mogąc zasnąć. Więc wyszło szydło z worka! Nicholas robi interesy i prawdopodobnie cała reszta również, dlatego nabrali wody w usta, gdy przemawiał. Wiedzieli, że nie jest po ich stronie. Został sam! Z kim ma porozmawiać, do kogo się zwrócić? Czuł się zdradzony. Poczulby ulgę, mogąc zwierzyć się Desiree, obawiał się jednak jej zbyt długiego języka. Jediną istotą, z którą mógł porozmawiać na ten temat, była Kate Tarbox.

Po drodze z centrum do domu musiał przejść obok budynku, w którym mieściła się redakcja „Trumpeta”. Czasami tam wpadał. Brakowało mu tego miejsca. Tętniło życiem, nadchodziły wiadomości z całego świata, terkotały maszyny do pisania, dzwoniły telefony. Przy biurku redaktora zaś siedziała zawsze Kate. Gdy jeszcze pracował z nią razem, łapał się często na tym, że się jej przygląda. Miała bardzo ruchliwą twarz, z której łatwo było wyczytać, w jakim jest nastroju.

Czasami, wracając do domu, odprowadzał ją do rogu ulicy.

- Masz okropnie ponurą minę - zauważyła, gdy szli razem następnego dnia po rozmowie z Desiree.

Opowiedział jej o wszystkim, niechętnie zwierając się ze swoich problemów, ale jednocześnie czując ulgę, że może zrzucić z siebie ten ciężar.

- Jestem zaniepokojony - podsumował. - Mam uczucie, że stoję sam pośrodku koła, a wszystko się ode mnie oddala i w żaden sposób nie mogę dotrzeć do Nicholasa. Nie rozumiem, czemu.

- Dlaczego nie powiesz mu, co czujesz?

- Nie mogę. Obiecałem Desiree. Zresztą nie przypuszczam, by to cokolwiek zmieniło. To nie moja sprawa, w co inwestuje swoje pieniądze, prawda?

- Właśnie, że twoja. Nie tylko o to tutaj chodzi. Coś mi to wszystko brzydko pachnie. - Przystanęli i Kate zaczęła wyliczać na

palcach. - Zastanów się. Mamy zelektryfikować wsie i założyć kanalizację. Po stronie północnej każdego ranka nadal spuszczały nieczystości do oceanu. O tym się, rzecz jasna, nie mówi, ale jest to tajemnica poliszynela. Wciąż gromadzimy wodę w cysternach i na dachach. Nicholas tyle razy mówił o urządzeniach odsalających i ogrodnictwie hydroponicznym. Och, zamierzenia były takie dalekosiężne! Nasze drogi są okropne. Mamy coraz więcej wypadków. Żeby zrobiono choć krok naprzód.

- Nie rozumiem Nicholasa - powtórzył Patrick. Jego głos brzmiał głucho i smutno.

Przez chwilę Kate ważyła coś w myślach.

- Chciałabym ci coś pokazać - odezwała się po chwili. - Masz teraz godzinkę czasu?

- Jakoś ją wygospodaruję.

- Musisz wziąć samochód. Czy byłeś kiedyś w Lunabelle Annex?

- Po drugiej stronie grobli? Nie.

- Za tym małym mostkiem, który trzeba przejść, by dostać się do nowego kompleksu budynków willowych.

Zatrzymali samochód na skraju plaży w Lunabelle, jakieś pół mili od głównego budynku. Wysoka trawa rosła pomiędzy koleinami piaszczystej dróżki.

Kładka prowadziła przez wąski kanał. Wpisane w okrąg oryginalne nieduże wille o spadzistych dachach stały tuż przy białej, piaszczystej plaży. Tyłem zwrócone były ku ogromnemu błękitnemu basenowi w kształcie ameby. Na jedwabistym trawniku, pomiędzy kwiatowymi rabatami, stały parasole i eleganckie fotele plażowe. Panował absolutny spokój. Wygrzewająca się na słońcu jedyna para obrzuciła ich szybkim spojrzeniem, po czym powróciła do kontemplowania nieba.

- To nie sezon - zauważył Patrick.

- Tu nigdy nie jest tłoczno. To miejsce nie jest dostępne dla wszystkich.

- Niewiele osób o nim wie.

- Właśnie. Chodźmy, może któreś drzwi są otwarte albo zajrzemy przez szybę. Wprawdzie wszystkie rozsuwane oszklone drzwi były zamknięte na głucho, ale

można było zajrzeć przez nie do środka. Na różowych lastrykowych posadzkach leżały białe aksamitne dywany, łóżka miały

złocene rzeźbienia. W jednym z pokoi leżał przewieszony przez krzesło koronkowy peniuar. „Tak musiał wyglądać, a może wciąż wygląda burdel z dziewiętnastego lub dwudziestego wieku” - pomyślał Patrick, ale nie wypowiedział głośno swojej uwagi.

- Dziwne, prawda? - zauważyła Kate, gdy wracali do samochodu pomiędzy rzędami oleandrów.

- Tak. Kim są ci ludzie?

- Nie domyślasz się?

Miał pewne podejrzenia, ale czekał na jej odpowiedź.

- Mafia. Wytrzeszczył na nią oczy.

- Nie potrafię tego udowodnić, chociaż mam poważne podejrzenia. Właściwie to coś więcej niż podejrzenia. Ci faceci przyjeżdżają tu ze Stanów, przywożą swoje dziewczynki, załatwiają interesy i dokonują rozliczeń, a wszystko to za cichym przyzwoleniem naszego państwa.

- Jakich rozliczeń?

- Przypuszczam, że chodzi o narkotyki - powiedziała bardzo poważnie Kate, a ponieważ Patrick wciąż gapił się na nią z niedowierzaniem, dodała: - Czemu jesteś taki zaskoczony? W Ameryce Środkowej to istna plaga.

Patrick milczał.

- Jesteś zdruzgotany, ponieważ chodzi o Nicholasa. - Dotknęła jego ręki. - Oczywiście, mogę się mylić.

- Z pewnością się mylisz - powiedział. - Musisz się mylić. Przejeżdżając obok dawnej rezydencji gubernatora, minęli oddział policji, stojący w szeregu na szerokim trawniku, w nowych szarych mundurach ze szkarłatnymi lampasami na spodniach i w szkarłatnych czapkach.

- Zatrzymaj się na chwilę - poprosiła Kate. - Co widzisz? Ponieważ Patrick nie zorientował się, o co jej chodzi, spytała:

- Chyba nie powiesz mi, że nie zauważyłeś ich w ciągu ostatnich kilku tygodni?

- Chodzi ci o ten styl? Nicholas lubi robić pewne rzeczy na pokaz - powiedział Patrick trochę nieśmiało.

- Mówię o czym innym. Przyjrzyj się dobrze! Czy było tutaj kiedyś tak dużo policji? Każdy z nich ma powyżej metra osiemdziesięciu! To osiłki, poza tym sami nowi ludzie. Nie widzę ani jednej znajomej twarzy. Nie byłabym zdziwiona... - przerwała.

- Gdyby co?

- Och, nic.

- Kobiety są takie cholernie denerwujące! Czy mogłabyś skończyć zdanie?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czy powinnam ci zaufać.

- Piękne dzięki! Doczekałem się! Jeśli takie są twoje odczucia, nie rozmawiaj ze mną w ogóle.

- Nie bądź taki drażliwy. Wiesz dobrze, że nie chciałam, by tak to zabrzmiało. Po prostu jesteś bardzo lojalny wobec Nicholas, mimo tego, co dziś zobaczyłeś. Skąd mogę wiedzieć, co podpowie ci sumienie, gdy się zbudzisz w środku nocy?

- Kate - powiedział łagodnie Patrick - cokolwiek mi powiedziałaś w czasie naszej znajomości, nigdy nie wyszło dalej. Powinnaś to wiedzieć. - Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu napomknął, choć w zawaolowany sposób, o Francisie Lutherze.

Kate zarumieniła się.

- Dobrze więc. - Rozejrzała się dookoła i zniżyła głos, choć jechali samochodem. - Krążą pogłoski, że tworzone są oddziały gwardii narodowej. Mają już nawet swoją nazwę - Czerwone Oddziały.

- Może będą bardziej skuteczne?

- Nie gadaj głupstw. Mówię o formacji paramilitarnej. Nocne aresztowania, tajemnicze zniknięcia, zwłoki wyrzucane z samochodów na pobocza szosy. Rozumiesz już? To historia dwudziestego wieku, prawda?

Przebiegł go lodowaty dreszcz.

- Chyba nie mówisz tego poważnie! Kto ci powiedział... - Przerwał. - Bardzo cię przepraszam. Oczywiście, nie możesz tego ujawnić.

- Jasne, że nie. Powiedzmy, że wiem o tym z pewnych źródeł.

Oboje milczeli przez kilka minut. Patrick zatrzymał samochód przed domem

Kate, a ona wciąż siedziała bez ruchu.

- Patricku, okropnie się boję.

- Może wcale nie jest tak, jak myślisz - powiedział cicho.

- Gdybym miała odwagę, napisałabym o tym w gazecie. Niestety, boję się, w tym cały kłopot.

- Kate! Zwariowałaś? Nie wolno ci tego robić!

- Sam widzisz, że to prawda, inaczej nie powiedziałbyś tego. W wolnym kraju prasa nie musi się niczego obawiać, prawda?

Nie odpowiedział. Stare, dobrze znane ulice, szare od kurzu liście, obezwładniający upał - wszystko wydało mu się nagle groźne niczym tajemnicza kręta uliczka w obcym mieście, gdzie nikt nie mówi w znanym języku.

Przywołał się do porządku. Zbyt pośpiesznie wyciąga wnioski! Przy całej swej inteligencji, Kate jest jednak kobietą, a kobiety lubią przesadzać. Miał jej właśnie to powiedzieć, gdy odezwała się pierwsza.

- Co do Willa... uważaj na niego. Przestrzeż go, by nie mieszał się teraz do polityki.

- Dlaczego? Co on robi?

- Nieważne. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Po prostu niech będzie ostrożny. - Pozostawiając Patricka z tą zagadką, wysiadła z samochodu.

Odjechał nieco poirytowany z powodu tych tajemnic, jak również własnych obaw. „Uważaj na Willa.” A jakże! Niby jak ma to zrobić? Will to już mężczyzna.

W każdym bądź razie jest bardziej rozwinięty niż jakikolwiek chłopiec w jego wieku.

Nie można go do niczego zmusić!

- Gdzie byłeś? - pytał czasem Willa.

- Z przyjaciółmi - odpowiadał.

- Tak, ale gdzie?

- Spacerowaliśmy po plaży.

Nigdy nie dało się nic więcej z niego wyciągnąć. Gdyby nawet powiedział: „Wiem, że spędzasz czas w Trenches i nie chcę, żebyś tam się włóczył”, nic by to nie pomogło. Zastanawiał się, o czym Will rozmawia z przyjaciółmi, co ich interesuje poza Che Guevarą i Mao. Nie, Mao już nie. Stracił ich łaski, jak wielu lewicowych bohaterów. „Kiedy byłem w wieku Willa - pomyślał Patrick - istniały dla mnie tylko dziewczęta i książki i chciałem się dowiedzieć więcej o świecie. Z całą pewnością nie byłem taki zbuntowany, jak on. Pamiętam, że dużo się śmiałem. Will nigdy się nie śmieje, przynajmniej kiedy jest z nami, w domu. Nie, do niczego nie da się go zmusić.”

Mimo to spytał wieczorem, nie owijając w bawełnę:

- Willu, chciałbym wiedzieć, czy nie wplątałeś się w jakieś polityczne historie? Will obrzucił go przeciągłym spojrzeniem.

- Czemu pytasz?

- Ponieważ się o ciebie martwię. Nie zabraniam ci wierzyć w to, w co wierzysz, mieć własne przekonania. Wiem jednak, jakie one są i nie sądzę, by afiszowanie się nimi było w tej chwili bezpieczne.

- W tej chwili? Podobno miały to być rządy demokratyczne. Wolność słowa, wolność przekonań i tak dalej. - W głosie Willa brzmiało szyderstwo.

Patrick jeszcze raz przeszedł do defensywy.

- Owszem, mamy demokrację! Ale na to, by rozwinęła się prawdziwa, pełna demokracja, trzeba po prostu czasu. - Zająknął się. - Trzeba wiele czasu - powtórzył - a w okresie napięcia...

- Każdy z nas ma tylko jedno życie - powiedział Will. - Jak długo mamy czekać? Zmiany nie następują. - Nie pozwolił, by Patrick mu przerwał. - Weź rodzinę Francisów, Tarboxów. Robotnik dogląda bananów, a zyski idą do wytwornego domu w Anglii czy na Riwierze.

Znowu rodzina Francisów! Zawsze rodzina Francisów! Will wiedział, jak uderzyć w czułe miejsce.

- Powiedz mi - zapytał Will - czy jesteś zadowolony z tego, co się dzieje od chwili, gdy Mebane doszedł do władzy?

- Niezupełnie. Nie, nie jestem. Nie zapominaj jednak, że możemy coś zmienić, jeśli nie jesteśmy zadowoleni. Naszą obroną jest głosowanie. Kiedy się zastanowisz, jak niewielu ludzi na świecie ma prawo do głosowania, docenisz to, co mamy.

- Głosowanie na tego czy na tamtego nie ma znaczenia. Ja wybieram drogę kubańską.

- To duża pokusa, prawda? Jeden człowiek, szybki i skuteczny, załatwia wszystko bez gadania, bez powoływania komisji. Równość i sprawiedliwość ustanowione jednym pociągnięciem pióra wielkiego człowieka! Tylko że to nie jest równość. Posłuchaj - Patrick mówił bardzo poważnie, próbując chłopca przekonać, zmusić, by zrozumiał jego racje - posłuchaj mnie! Czy naprawdę myślisz, że ludzie są równi w takim ustroju? Weźmy, na przykład, Rosję, tam przywódcy mają wszelkie przywileje, żyją w królewskich luksusach, a naród cierpi biedę. Co więcej, decydują o życiu lub śmierci obywateli. Czy to ma być równość?



- O życiu lub śmierci - powtórzył Will. Tym razem nie podniósł głosu.

Wpatrzył się w ścianę ponad głową Patricka, jak gdyby zastanawiał się, czy powiedzieć coś, czy nie. Wreszcie stanął, jak zwykle opierając się łokciem o gzyms kominka, co tak denerwowało Patricka. Ruchy Willa były gwałtowne, nie skoordynowane, a na gzymsie stały ukochane porcelanowe figurynki Desiree, kruche białe - niebieskie pasterki i dojarki, cierpliwie kolekcjonowane u Da Cunha. Nigdy jednak żadnej nie stłukł.

- Wiesz, oczywiście, jak się mają sprawy z Czerwonymi Oddziałami? - spytał w końcu.

- Z Czerwonymi Oddziałami? - powtórzył Patrick.

- Tak.

- Cóż, jest ich zbyt wielu... - zrobił unik.

- Nie chodzi o to, co widzisz - przerwał mu Will - lecz o to, czego nie widzisz. Co robią, gdy zdejmują swoje mundury, a przecież niektórzy z nich w ogóle nie noszą mundurów. Są ich setki. Nawet tego nie wiesz. Mówisz o decydowaniu o czyimś życiu lub śmierci... - Umilkł na chwilę. - Zresztą, nie będziesz chciał tego słuchać, ponieważ Nicholas jest twoim przyjacielem.

- Był mi bratem - rzekł powoli Patrick, jak gdyby do siebie.

- Bracia też potrafią robić dziwne rzeczy.

Tak dużo wie, jest taki cyniczny, a ma zaledwie siedemnaście lat!

- Jesteś członkiem rządu, a nie masz najmniejszego pojęcia, czym ten rząd jest. Czy nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje za twoimi plecami? Na przykład, katastrofa samochodowa sióstr Daniel w zeszłym miesiącu. Myślałeś, że to wypadek?

- Wszyscy tak myśleli.

- Nie, nie wszyscy - sprostował Will. - Samochód wpadł w poślizg i zjechał z drogi. Siostry zostały zastrzelone przez Czerwone Oddziały, a samochód zepchnięty w przepaść. Tak to wyglądało naprawdę.

- Ale dlaczego?

- Prowadziły ekskluzywny burdel, przede wszystkim dla turystów. Zostały zamordowane, ponieważ stały się zbyt pewne siebie i przestały płacić Alfredowi Claire. To kuzyn Mebane'a - chyba go znasz. Czy nie widzisz, że cała rodzina jest skorumpowana? Doją cały kraj.

- Od kogo dowiedziałeś się o takich sprawach, Willu? Jak możesz coś takiego mówić?

- Mówię o tym, bo to prawda. - Will uśmiechnął się połową twarzy, z ociąganiem, niemal smutno. - Moi przyjaciele i ja... mamy swoje sposoby, by o wszystkim wiedzieć.

„Kate i jej źródła” - pomyślał Patrick. Był oszołomiony. Od definicji demokracji do Kuby i komunizmu, a teraz do burdeli i morderstwa, a wszystko to w niespełna pół godziny! Skąd można wiedzieć, kto mówi prawdę?

- Nie wiem, czy mogę w to wszystko uwierzyć - mruknął.

Will znów się uśmiechnął, dziwnie, serdecznie.

- Uwierz - powiedział.

- Mebane'owie zamierzają oblewać nowy dom - oznajmiła Desiree. Nicholas wybudował go na urwistym brzegu przy Cap Molineaux. Desiree niemal codziennie informowała Patricka o postępach budowy, włoskiej glazurze, basenie i dużym pokoju o dziwnym wygiętym kształcie.

- Przypomina dziób statku - powiedziała.

- Nie mam ochoty tam iść.

- Co takiego? Co ty sobie myślisz? Pomijając moją przyjaźń z Doris, jak to będzie wyglądało, jeśli nie przyjdziemy? Jedyne członki rządu, który się nie pojawi na przyjęciu? W dodatku jesteś w prezydium.

- Od kilku miesięcy nie odbyło się żadne posiedzenie prezydium rządu, zresztą jestem tam wyłącznie figurantem. Znajduję się w mniejszości, liczącej jedną osobę. - Słyszał ton rozgoryczenia w swoim głosie.

- Może to twoja wina? Zresztą, co to ma wspólnego z przyjęciem? Oczywiście, miała rację. Byłoby nader dziwne, gdyby nie przyszedł. Niechętnie, z głową nabitą przykrymi myślami, ubrał się więc i poszli.

Było to istne orle gniazdo. Na płaskim wierzchołku góry stało kilka nowych domów z widokiem na bezkresny ocean i dżunglę porastającą stoki góry. Zamieszkali tu przeważnie emerytowani biznesmeni z Ameryki Północnej, Niemiec i Szwecji. Willa Mebane'ów sąsiadowała z Jurgenami, przez lukę w żywopłocie było widać pawie Jurgenów, przechadzające się w świetle reflektorów i pyszniące się swymi ogonami.

Patrick przeszedł na drugi koniec tarasu i usiadł na parapecie. Wewnątrz domu bufet uginał się pod ciężarem kwiatów, jedzenia i srebrnej zastawy. Na tarasie ludzie tańczyli w rytm muzyki płynącej ze stereofonicznej aparatury. Odwrócił głowę, by popatrzeć w dół na spokojne, czarne morze. Z pewnością nie zawsze gardził muzyką, winem i tańcem, ale nie mógł się dobrze czuć w takim miejscu, wśród takich ludzi.

Na tej wysokości było chłodno, prawie zimno.

Czy nikt z zebranych nie widział, co działo się w kraju? Z pewnością musieli widzieć, chociaż nikt nic nie mówił.

Od dnia ogłoszenia niepodległości do miasta napływało coraz więcej ludzi ze wsi w poszukiwaniu zarobku. Uboga dzielnica znana pod nazwą Trenches pękała w szwach. Grupy zbuntowanych bezrobotnych chłopców zaczęły włóczyć się po ulicach, napadając na ludzi i rabując. Czy nikt nie czytał napisów na ścianach? Zacisnął dłonie w kieszeniach, aż paznokcie wbiły mu się w ciało.

W którym momencie Nicholas Mebane, tak spostrzegawczy, tak inteligentny i dalekowzroczny, dał się przekupić i omamić? Czy to wyłącznie żądza władzy spowodowała tę zmianę? Może jednak był taki zawsze, czekał tylko, aż nadejdzie jego godzina, a Patrick zaślepiony przyjaźnią nie poznał się na nim?

Och, ludzie się zmieniają, wszystko się zmienia! Francis Luther... Lepiej o nim nie myśleć. Jest tylko jedna rzecz, której może być pewien. To Desiree i jego miłość do niej. Podniósł oczy i zobaczył żonę. Na pierwszy rzut oka rozpoznał, w jakim jest nastroju. Śmiała się radośnie, parując w nowej sukni, kupionej po wielu wahaniach, jak gdyby od tego zależało jej życie. Urocza, miła i głupiutka Desiree w powiewnej sukience, biedna kobieta - dziecko, której tak imponował cały ten blichtr.

Tak, ludzie się zmieniają. Ale nie w takim stopniu, jak Nicholas.

Ile lat minęło od ich pierwszych wspólnych dni w szkole? „Chodźmy do mnie na lunch” - powiedział Nicholas i Patrick poszedł z nim do mieszczkańskiego, schludnego domu jego ojca na Library Hill, który wydał mu się wtedy pałacem.

Rozległ się przenikliwy, nieprzyjemny krzyk pawia. Patrick wstał, odwracając się od zgiełku rozmów i zabawy, i wpatrzył się znów w morze. Przetarł oczy dłonią. Chciało mu się płakać.

Właściciel tego domu był niebezpiecznym człowiekiem.

Cóż miał począć, musiał przyznać się przed samym sobą, że się boi. Był bezradny. Kilkakrotnie próbował rozmawiać z innymi członkami rządu, zawsze jednak odrzucali nawet najdelikatniejsze aluzje. Może ze strachu, a może dlatego, że sami byli we wszystko wmieszani.

Aż tu nagle rozpętała się burza. Gazety na całym świecie rozpiśały się o St. Felice. O wyspie dowiedziały się miliony ludzi, którzy dotychczas nie mieli pojęcia o jej istnieniu.

Wybitny dziennikarz popularnego zagranicznego czasopisma przyjechał na wyspę i wysłał do kraju artykuł o rodzącej się dyktaturze na St. Felice. W dwa dni później został zamordowany w ogrodzie hotelu „Cade”, jego ciało, z przestreloną skronią, znalazł kelner.

Przechodząc Wharf Street, obok miejsca tego zdarzenia, Patrick poczuł nagły impuls, by wejść do hotelu, co było bardzo dziwne, zważywszy, że zwykle unikał miejsc wypadków. Zbyttno przeżywał ludzkie tragedie.

Hotel „Cade” mocno podupadł. Dwudziesty wiek zawitał w końcu na St. Felice. „Lunabelle” i jemu podobne, całe ze szkła, chromowanej stali i plastyku, migające neonami, stanowiły tego świadectwo. „Cade” pozostał w dziewiętnastym wieku. Cukiernice nadal stały na spodeczkach wypełnionych wodą, co miało chronić przed mrówkami. Stary Anglik w podniszczonym ubraniu, którego pewnie nie było stać na „Lunabelle” albo nie podobało mu się tam, pił poranną herbatę na werandzie. Patrick, rzuciwszy okiem na dużą, rudobrazową plamę, wybiegł po schodkach na ulicę. Obejrzał się jeszcze na stary budynek, gdzie przyprowadził Desiree na ich pierwszą uroczystą kolację i gdzie spędzili noc poślubną. Był głęboko poruszony. Wszystko się ze sobą wiązało, jego wspólne życie z Desiree, zamordowany cudzoziemiec, stary Anglik, wszystko.

Co robić?

Wsiadł do samochodu, nie mając pojęcia, dokąd jechać i po co. Wiedział tylko, że coś go gna, może rozpacz, może strach. Gdy tak pędził szosą, pogłębiła się nagle jego zdolność i ostrość widzenia. Jak gdyby patrzył na świat przez szkło powiększające. Dostrzegł na poboczu przejechanego psa i pomyślał z nadzieją, że może śmierć nastąpiła natychmiast i biedak nie cierpiał. Zbyt często widywał w rowach zwierzęta, dogorywające w palących promieniach słońca. Po

jednej stronie szosy rosła wysoka trzcina, widział robotników posuwających się w równym rytmie, parami. To byli mężczyźni, z którymi spędził dzieciństwo w wiosce. Ogarnęło go uczucie niezwykłego pokrewieństwa ze wszystkimi ludźmi, wszystkimi żywymi istotami.

Zatrzymał samochód przy wiejskim sklepie z rumem, do którego przychodzą mężczyźni, by się napić i pograć w domino. Wszyscy przekrzykiwali ustawioną na pełny regulator szafę grającą, ale nikt nie ruszył się, by ją wyłączyć. Prawdopodobnie hałas ożywiał nieco leniwe popołudnie. Mężczyźni byli wyraźnie bez pracy i rozmawiali na temat kredytu - w jaki sposób mogliby go dostać i jakoś przetrwać, zanim powrócą do pracy. Gdy Patrick usiadł i poprosił o szklaneczkę rumu, ściszyli głosy, a niektórzy w ogóle przestali rozmawiać. Nie rozpoznali go jednak. Nie był aż tak wielką szychą w rządzie, żeby jego twarz była wszystkim znana. To ubranie i jasna skóra podpowiedziały im, do jakiej klasy się zalicza i spowodowały ich reakcję. Nie mieli do niego zaufania. Bali się go. Choć wywodził się spośród nich i myślał jak oni, nie uwierzyliby, gdyby próbował ich o tym przekonać. To jednak prawda, że zostawił ich gdzieś w tyle, że nawet jako dziecko w wiosce różnił się bardzo od swych rówieśników. Jednak należał do tych ludzi. Nigdy nie czuł tego tak wyraźnie, jak w tej chwili.

Szybko dokończył swego drinka i wsiadł z powrotem do samochodu. Doznał nagłego olśnienia - już wie, co ma zrobić. Wrócił szybko do Covetown, zaparkował samochód obok rezydencji gubernatora i wbiegł na górę, pokonując po dwa schodki naraz. Pamiętał, jak pewnego dnia, gdy przechodzili pod tym wysokim białym portykiem, Will zauważył, że im bardziej sytuacja się zmienia, tym bardziej pozostaje taka sama, mając na myśli, że kolor skóry ludzi, którzy urzędują w rezydencji, nie ma najmniejszego znaczenia.

Wpuszczono go do pięknego gabinetu, który zajmował Nicholas.

- Nicholasie, co się z tobą dzieje? Żądam wyjaśnień!

- Usiądź - rzekł pojednawczo Nicholas. - Nie bardzo wiem, o co ci chodzi. Patrick odsunął krzesło, by nie razіło go światło lampy. Pamiętał, że dygnitarze lubią zbijać z tropu swoich gości, sadzając ich twarzą do światła.

- Co się dzieje z tym rządem? Wszystko się wali.

- Wali się? - Nicholas uniósł brwi ze zdumienia. - Czy zbytnio nie dramatyzujesz?

- Nie zbywaj mnie, Nicholasie. Składasz mi wciąż tylko obietnice, nam wszystkim. Nie dotrzymujesz ich jednak.

- Czego się po mnie spodziewacie? Że wezmę lampę Aladyna i wasze życzenia spełnią się w ciągu jednej nocy? Nie mam czarodziejskiej lampy!

- Powiedziałem, żebyś przestał mnie zwodzić. Coś tu śmierdzi na naszej wyspie. Świat nazywa ten smród faszyzmem.

Nicholas spojrział na Patricka przez biurko. Zatrzymał wzrok na rozpiętej pod szyją koszuli (Patrick wiedział, że Nicholas tego nie lubi), potem przeniósł spojrzenie na kryształowy przycisk, następnie na pęk kluczy, który wyjął z kieszeni, wreszcie na własny palec, na którym lśnił brylant na wąskiej, złotej obrączce.

- Świat, czyli garstka reporterów, nie wie, o czym mówi. Jeśli czujesz tu jakiś smród, to nadlatuje z innej strony. Dobry Boże, czy nie wiesz, co się dzieje? Moskwa eksportuje terroryzm poprzez Kubę na cały nasz obszar. Posłuchaj mnie, przyjacielu.

Stanęliśmy wobec poważnych kłopotów. Może nie zdajesz sobie sprawy, jak poważnych. Wiesz, co przemyca się do naszego kraju? Broń, Patricku, karabiny i granaty. Nie chciałem podawać tego do publicznej wiadomości, ponieważ ludzie, którzy za tym stoją, wykorzystaliby każdy najmniejszy objaw niezadowolenia, jak na przykład strajk nauczycieli, do rozszerzenia niepokoju. Nie możemy pozwolić, by tak się stało, chyba że chcemy się od razu poddać. Musimy siłą zwalczyć siłą. Tylko silny rząd...

Kiedyś Nicholas potrafił go zahipnotyzować, ale te czasy bezpowrotnie minęły.

- To nie jest „silny rząd”. To rząd podupadający.

- Nie podoba mi się to, co mówisz, Patricku.

- Czy myślisz, że mnie się podoba? Och, Nicholasie, co się z nami stało? Od samego początku torpedujesz każdy mój pomysł. Dałeś mi synekurę, by się mnie pozbyć. Dlaczego?

- Dlatego, że zorientowałem się bardzo szybko, już w pierwszych tygodniach, że nie potrafisz wykazać zdecydowania. Jesteś jak dziecko w świecie dorosłych. To jedna z twoich najsympatyczniejszych, a zarazem najbardziej denerwujących cech. Pragniesz utopii. Ale Święty Mikołaj nie istnieje, Patricku.

Przez okno, naprzeciwko którego siedział Patrick, widać było zatokę i wzgórze opadające łagodnie ku bladej zielonej wodzie. „Lunabelle” i stalowy szkielet nowej konstrukcji odcinały się od nieba.

- Rozumiem, że jesteś udziałowcem tego wszystkiego - powiedział, wskazując ręką budynku.

Nicholas drgnął.

- Ja? Kto ci o tym powiedział?

- Najpierw Doris powiedziała Desiree. Ale przypuszczam, że obecnie wie o tym mnóstwo osób.

Nicholas przechylił się przez biurko.

- Babskie gadanie! Cholerne baby!

„Ma oczy niczym kawałki węgla - twarde i matowe. Tylko czasem błysną, gdy padnie na nie promień światła - pomyślał Patrick.

- Doprowadziłem go do wściekłości.”

- Owszem, włożyłem trochę pieniędzy tu i tam. Czy to twoja sprawa, gdzie inwestuję moje pieniądze?

- Tak. Występuje tu bowiem sprzeczność interesów. - Patrick podniósł głos, który załamał mu się nagle, niczym chłopcu w okresie mutacji. Odchrząknął.

- Ty nędzny wszarzu! Kieruję rządem, planuję stabilną przyszłość dla tysięcy ludzi, a ty mi zarzucasz, że przy okazji zarobiłem też coś dla siebie!

- Nie planujesz przyszłości dla nikogo, z wyjątkiem siebie samego. Pragniesz wyłącznie pieniędzy i władzy, by móc je robić! Nie masz ich jeszcze dosyć?

- Przestań być dzieckiem, Patricku. - Gniew Nicholasa ustąpił. - Wycofaj się z polityki. Nie znasz się na niej i nigdy nie będziesz się znał. Wróć lepiej do szkoły, zanim nie będzie za późno.

- Już jest za późno.

- Przestań, Patricku. Nie zmuszaj mnie, bym cię wyrzucił. Pozwól też, że udzielię ci pewnej rady. Każdy rozsądny człowiek na twoim miejscu zrobiłby jedno - wyjechałby do Stanów. Tutaj mogą nastać ciężkie czasy. Wyjedź do Stanów i spasuj. Powinieneś postąpić tak już dawno temu, gdy byliśmy w Anglii.

- To rozwiązanie nie dla mnie.

- Oczywiście, z Desiree byłoby to dość trudne - uśmiechnął się Nicholas. - Przecież możesz się jej pozbyć, jeśli zechcesz. Może Kate Tarbox pojechałaby z tobą.

- Ty draniu! Jeśli ktoś stąd wyjedzie, to z pewnością ty. Kiedy już całkiem doprowadzisz tę wyspę do ruiny przez prostytutkę, hazard i narkotyki, wyjedziesz, by wykorzystać swoje pieniądze złożone w banku szwajcarskim.

„Przebrałem miarę. Przeskoczy przez biurko i rzuci się na mnie.”  
Wściekłość jednak sprawiła, że Nicholas skamieniał.

- Gdyby nasze żony nie były przyjaciółkami i gdyby nie wspomnienia z okresu naszej młodości, zapłaciłbym ci za te słowa.

- Tak, mógłbyś mnie zastrzelić, jak tego nieszczęsnego faceta w hotelu „Cade”.

- Jak sądzisz, co zrobiłby z nim komunistyczny rząd? Także z taką kobietą, jak Kate Tarbox? Myślisz, że nie wiem, co ona wygaduje? Na szczęście jest dość rozsądna, by nie publikować swych rewelacji w gazecie. Poza tym, ma przyjaciół wśród plantatorów, którzy z kolei są moimi przyjaciółmi. Nieważne więc, co sądzę o jej kłamstwach...

- Ona nie kłamie, Nicholasie. Wstali obaj mierząc się wzrokiem.

- Chcę ci coś powiedzieć na inny temat, Patricku. Nie muszę tego robić, ale powiem ci, mimo że przed chwilą odrzuciłeś naszą przyjaźń. Wiemy wszystko o twoim synu Willu, o jego spotkaniach i planach. On i jego kumple są bardzo sprytni, ale nawet śliska ryba ląduje kiedyś w sieci. Przestrzeż go, by o tym pamiętał...

- Nie mam żadnego wpływu na to, co robi Will. - Serce Patricka biło tak mocno, że omal nie wyskoczyło mu z piersi. - To nieszkodliwy chłopak...

Nicholas posłał mu szydercze spojrzenie.

- Nicholasie, zamierzam ubiegać się o ten urząd. Zbliżają się wybory i będziesz musiał udawać, że coś robisz, w przeciwnym razie wybuchną takie zamieszki, że nie pomogą ci nawet twoje Czerwone Oddziały. Mam zamiar być twoim przeciwnikiem w wyborach.

Czarne oczy wciąż patrzyły nań szyderczo.

- Byłem wobec ciebie lojalny - powiedział spokojnie Patrick - ale przeciągnąłeś strunę. Będę więc z tobą walczył.

- Proszę bardzo - uśmiechnął się Nicholas. - Daleko nie zajdziesz.



## Rozdział 21

Francis i Nicholas stali w holu w Eleutherze, prowadząc poufną rozmowę.

- Zdaję sobie sprawę, że nie lubisz takich ludzi, Francisie. To człowiek nieco wulgarny. Powinieneś go jednak wysłuchać ten jeden jedyny raz. Przyleciał ze swym kumplem ze Stanów. Mają naprawdę kupę forsy. Twój wuj Lionel chce z nim ubić interes, wiesz o tym?

- Tak, mówił mi. Lionel tryskał ostatnio energią.

- Pierwsza propozycja, którą otrzymałem, i od razu intratna - powiedział. Cóż, trudno go winić za to, że się tak cieszy. Mógł wyjechać do Anglii i żyć przez resztę życia z procentów od sumy uzyskanej ze sprzedaży ziemi. Ni stąd, ni zowąd Francisowi przyszła na myśl kobieta, którą Lionel kochał przez te wszystkie lata. Z pewnością nie zabierze jej do Anglii! Francis widział ją kiedyś, gdy przyleciał na Barbados, a Lionel właśnie stamtąd odlatywał. Udali obaj, że się nie dostrzegają. Była oszałamiająco piękną kobietą, przypominała mu... tak, żonę Patricka, choć Desiree jest bardzo ciemna, ona zaś miała skórę koloru herbaty z mlekiem...

Nicholas przywołał go do rzeczywistości.

- Wiesz, że właściciele High Winds też są tym zainteresowani? Starszy pan przekroczył już siedemdziesiątkę, a jego synowie nie chcą zarządzać posiadłością.

- Nic mi nie mówili.

- Cóż, ludzie nie rozmawiają o takich sprawach, dopóki nie podpiszą umowy. Posłuchaj, Francisie, ty masz większy kawałek plaży niż właściciele High Winds, a przy budowie takiego hotelu to liczy się najbardziej. Mógłbyś dostać każdą cenę jakiej byś zażądał.

- Nie chcę sprzedawać Eleuthery, Nicholasie.

- Ale odnoszę wrażenie - rzekł uprzejmie Nicholas - że twoja żona tego pragnie. Czy nie jest prawdą, że chce wracać do Nowego Jorku?

A więc „odniósł wrażenie”. Oczywiście, wszyscy o wszystkim wiedzą w takiej dziurze. Zwłaszcza Nicholas ma swoje sposoby dowiadywania się o sprawach, na których mu zależy.

- Mam powody, by sądzić - mówił dalej Nicholas - że dostałbyś za swą posiadłość nawet dwa miliony.

Francis spojrzał na trawnik, gdzie Marjorie, wystrojona już do kolacji, siedziała rozmawiając z dwójką mężczyzn. Zastanawiał się,

jaki też może być temat ich rozmowy. Ciemne okulary Franka Aleppo zasłaniały mu pół twarzy. Francis nie znosił, gdy ludzie ukrywali się za szklami okularów. Przypominali mu czarnych wyrostków z Trenches, którzy włóczyli się po mieście. Aleppo miał na sobie garnitur szyty na miarę. Francis przywykł do mężczyzn noszących drogie garnitury, ci jednak ich nie nosili - paradowali w nich.

- Nie podobają mi się - wyrwało mu się nagle, choć był świadom, że zabrzmiało to opryskliwie.

Nicholas roześmiał się.

- Z całym szacunkiem, Francisie, ale to naprawdę nie ma znaczenia. Interes jest interesem. Ze względu na dobro swej rodziny powinieneś to przynajmniej przemyśleć.

Dlaczego Nicholasowi tak na tym zależało? Ponieważ z pewnością sam był udziałowcem. Francis rozbawiła myśl, że Nicholas sądzi, iż on się tego nie domyśla. Zresztą, czy to grzech lokować pieniądze tam, gdzie się komu podoba? Jak powiedział Nicholas, interes jest interesem! Taki sprytny facet, jak on, nie potrafi sobie wyobrazić, że inni też mają olej w głowie. Był jednak czarujący - cywilizowany człowiek, dżentelmen w każdym calu.

- Zarezerwowałem stolik w „Lunabelle”. Zaprosiłem na kolację jeszcze kilka osób, które prowadzą interesy z panem Aleppo. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Oczywiście, że nie. - Nigdy nie czuł się dobrze w takich miejscach, jak „Lunabelle”, nie mógł tego jednak powiedzieć premierowi.

- Będzie tam senator Madison Hughes, który przyleciał wczoraj z Waszyngtonu, i moi sąsiedzi Jurgenowie. Chyba ich nie znasz, to bardzo bogate szwedzkie małżeństwo. Ale obywatelstwo mają amerykańskie.

Francisa zupełnie nie interesowało ich obywatelstwo, jednakże Nicholas miał w zwyczaju podawać mnóstwo szczegółów, zwłaszcza jeśli sądził, że mogą zrobić wrażenie. Plantatorzy nie lubili emerytowanych cudzoziemców. Interesy obu stron często bywały sprzeczne. Ludzie, uciekający przed zimą na St. Felice, nie troszczyli się wcale o wyspę, wyłącznie na niej mieszkali. Francis jednak i o tym nie miał ochoty rozmawiać z Nicholasem. Marjorie podeszła do drzwi.

- Czy skończyliście już? My jesteśmy gotowi - powiedziała miłym tonem. Choć gardziła Aleppo i jego młodszym przyjacielem Damianem, nikt nie poznałby tego po niej.

- Szkoda, że nie ma z nami twojej żony - rzekła do Nicholasa już w samochodzie.

- Myślę, że jest zadowolona z obecnego miejsca pobytu. - Roześmiał się. - Co roku pozwalam jej wyskoczyć na kilka tygodni do Paryża. Uwielbia to.

Samochód pokonał górską drogę i jechał teraz wzdłuż plaży.

- Niezły kawałek ziemi! - zawołał Aleppo. - Czy możemy zatrzymać się na chwilę?

Mężczyźni wysiedli, Marjorie zaś została w samochodzie, bojąc się zniszczyć swe jedwabne pantofelki. Nicholas i Aleppo poszli naprzód, gestykując żywo. Damian nie przejawiał takiego entuzjazmu. Przysiadł na głazie, Francis zaś stanął obok, czekając.

- Czy jest pan właścicielem tej rzeki? - spytał Damian, przeciągając leniwie słowa.

- To niczyja własność. Po prostu tak się zdarzyło, że tędy przepływa. - Ospałość tego człowieka działała Francisowi na nerwy.

- Jak się nazywa?

- Spratt River. Miejscowi łowią w niej szproty przy ujściu, w pobliżu zatoki.

- A jaką nazwę nosi ta plaża?

- Cała zatoka nosi nazwę Anse Carree. Widzi pan, że ma niemal kwadratowy kształt, i to właśnie oznacza ta nazwa. - Mówiąc to, powiódł wzrokiem po urwistych brzegach.

- Fantastyczne! - powiedział Damian z rosnącym zainteresowaniem. - Miał pan głowę, kupując tę ziemię. Od jak dawna należy do pana?

- Jest własnością mojej rodziny od trzystu lat. Damian milczał, patrząc z ukosa na Francisza.

„Nie wierzy mi” - pomyślał Francis. Stanął tuż nad wodą, wpatrując się w dal. W płytkiej wodzie u jego stóp unosił się ukwiał, poruszając delikatnymi czułkami.

Francis wziął patyczek i dotknął nim lekko stworzenia, które natychmiast zwinęło się w guzłowatą kulkę.

- Co to takiego? - spytał Damian, podchodząc do niego.

- Ukwiał.

- Skąd pan wie? Ależ to dziwacznie wygląda!

Nagle Francis poczuł współczucie dla tego faceta. Nie wiedział, czemu. Może dlatego, że tak bardzo nie pasował do tego miejsca.

- Morze pełne jest dziwnych stworzeń, roślin, które wyglądają jak zwierzęta i zwierząt, które wyglądają jak rośliny. Korale są jamochłonami, ale niektóre przypominają drzewa. Pod wodą można zobaczyć całe ogrody. - Nie wiedział, czemu to mówi, może był to rodzaj współczucia dla tego niskiego mężczyzny o znużonej, nadętej minie.

Wrócili Nicholas i Aleppo, wciąż rozmawiając z ożywieniem.

- To lita skała - powiedział Aleppo. - Można by zbudować na niej dom ośmio - a nawet dziesięciopiętrowy. Z pięćset pokoi, na górze kasyno. Byłby stąd fantastyczny widok. Trudno gdziekolwiek znaleźć piękniejszy.

- Myśli pan o czymś w rodzaju „Lunabelle”? - spytał sucho Francis.

- „Lunabelle” to buda w porównaniu z tym, co postawilibyśmy tutaj.

- A mój dom? Co zrobilibyście z domem? - Czuł ogromne napięcie, jak gdyby w oczekiwaniu na nagły ból.

- Prawdopodobnie zburzylibyśmy go. Chyba że zostałby wykorzystany na lokal klubowy. Musielibyśmy wszystko dobrze rozważyć. Wie pan co? Zainstalowałbym wyciąg, z plaży na górę. Widział pan kiedyś coś takiego? Ludzie mieliby niezłą frajdę! Niech pan spojrzy w górę! Co za lokalizacja!

Francis podążył spojrzeniem za jego wyciągniętą ręką. Ze szczytu wapiennej skały zerwała się para rybołówek i pofrunęła w kierunku rafy koralowej w kształcie rogów łosia, wypatrzywszy tam jakąś zdobycz podczas odpływu.

- Podczas wiatru bywa tu pewnie wysoka fala - powiedział Aleppo. - Ale zawsze można zastosować bagrowanie.

- Tu wszędzie są rafy koralowe.

- To co z tego?

- Bagrowanie zniszczyłoby je. Rafy tworzyły się tysiącami lat.

- Pan Luther jest naturalistą - wyjaśnił Nicholas zdezorientowanemu Aleppo.

- Wielkim miłośnikiem przyrody.

- Wszystko jedno. - Nicholas był zakłopotany. Usprawiedliwiał się. Przed którym z nich?

Francis poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Wiele lat temu na nizinach pomiędzy rzeką a oceanem żyły flamingi.

- Niemożliwe - mruknął Aleppo.

Patrick Courzon powiedział mu o tym w dniu, gdy się poznali. Francis mówił dalej, choć wiedział, że zupełnie ich to nie interesuje.

- Próbuję zasiedlić je tu z powrotem. Kupiłem niedawno dwie parki, które mają teraz młode.

- Moglibyśmy nazwać to miejsce Wzgórzem Flamingów - powiedział Aleppo. - Nie, raczej Plażą Flamingów. Co pan na to? Czy można umieścić je w klatkach? Ozdobnych klatkach na trawniku?

- Nie można umieścić ich w klatkach - rzekł zimno Francis. Czemu pozwolił Nicholasowi przyprowadzić tych ludzi?

- Chodźmy już lepiej. Rezerwacja... - przerwał im Nicholas. Wsiadli do samochodu.

Minąwszy stare kamienne domy w centrum Covetown, z kwitnącymi ogródkami na tyłach, wyjechali na liche drogi, gdzie miasto graniczy ze wsią. Sparszywiałe psy, grzebiące w ziemi kury, zardzewiałe, porzucone samochody, a obok tego wszystkiego coraz większe gromady dzieci na podwórkach. Nagle znaleźli się przed kanciastą bryłą „Lunabelle”, w sąsiedztwie nowo wybudowanych obiektów, rozrzuconych na wzgórzach. Flagi powiewały na wietrze przy końcu długiej alei wysadzonej palmami królewskimi. Przy wejściu powitał ich z uśmiechem czarny portier i polecił drugiemu mężczyźnie zaparkować samochód. Francis doświadczył nagle uczucia déjà vu. Szedł już kiedyś za boyem hotelowym niosącym bagaże przez podobny portyk do pokoju, gdzie poczęstowano go na powitanie rumem. Przez żaluzje wpadał senny powiew wiatru, słychać było huk fal rozbijających się o falochron. Kate miała na sobie żółty kostium kąpielowy, mokre włosy opadały jej na ramiona niczym rusałce, a gdy wracali z plaży, zdejmowała kostium i...

- Często pan tu bywa? - spytał Aleppo, by podtrzymać rozmowę.

- Nie, ale moja żona dużo czasu spędza w mieście.

Pośrodku ogromnego holu znajdowała się fontanna z nagą nimfą. Wokół niej małe sklepiki kuszy francuskimi perfumami, duńskim srebrem, angielską porcelaną i włoskim jedwabiami.

- Och! - wykrzyknęła Marjorie. - Otwarto filię Da Cunha!

- Francisie - powiedział Nicholas - może zerkniesz tutaj. Twoja żona wypatrzyła coś, co pragnęłaby mieć.

Francis spojrział ponad ramieniem Marjorie na bladoniebieski wisiołek zawieszony na skręconym sznurze błękitnożółtych koralików.

- To jest najpiękniejsza biżuteria, jaką widziałam w życiu. - jęknęła Marjorie, wciągając spazmatycznie powietrze - Cudo! Te koraliki są jak szafiry, Francisie.

- Bardzo ładne, ale nie stać mnie na to. Nicholas roześmiał się.

- Jeśli się zdecydujesz, bardzo szybko będzie cię stać.

- Czym mogę służyć? - spytała młoda kobieta, podchodząc do lady. Miała bardzo ciemną skórę, lekko skośne oczy, ciężkie proste włosy. Mężczyźni stracili kontenans, oszołomieni jej urodą.

- Innym razem, dziękuję - odezwali się jednocześnie Nicholas i Francis.

- Pół Murzynka, pół Chinka - wyjaśnił Nicholas po drodze do sali restauracyjnej. - Jej ojciec prowadził sklep spożywczy. Nazywa się - lub nazywał - Ah Sing. Musi być już bardzo stary, a może nie żyje. Jego córce świetnie się wiedzie. Widzisz, że staramy się zapewnić ludziom pracę, stwarzamy możliwości...

- Także mnóstwo powodów do zawiści - dodał Francis.

- Oj, Francisie, czasami widzisz wszystko w ciemnych barwach - powiedziała z niechęcią Marjorie.

Gdy premier wszedł do sali restauracyjnej, wszystkie głowy odwróciły się ku niemu. Nie zareagowali wyłącznie kelnerzy, którzy byli tu jedynymi Murzynami. Nicholas udał, że tego nie zauważa, zadowolony, że wywarł takie wrażenie.

Madison Hughes i Jurgenowie siedzieli już przy stoliku. Senator był przystojnym starszym mężczyzną o zdrowym wyglądzie, który zawdzięczał z pewnością latom spędzonym na świeżym powietrzu gdzieś na zachód od Missisipi. Oboje Jurgenowie byli krępej budowy. Natychmiast wyczuwało się, że mają pieniądze, ogromną, nieprzyzwoitą masę pieniędzy. On był tegim siwiejącym blondynem, ona miała różową sflaczałą skórę, luźny różowy strój, uszyty na wzór wschodniego kaftana, i mnóstwo brylantów. „Wstrętne tłusciochy!” - pomyślał Francis, wściekły jak zwykle, gdy zmuszono go do udziału w spotkaniu, na które kompletnie nie miał ochoty. Wpadał wówczas w

fatalny nastrój, stawał się krytyczny i złośliwy. Nie lubił siebie za to, że nie potrafił się opanować.

Nicholas dokonał wzajemnej prezentacji, po czym rzekł:

- Jurgenowie mają wspaniały dom. Ty ze swoim smakiem - skłonił się Marjorie - z pewnością potrafiłabyś to właściwie ocenić.

- Są twoimi sąsiadami, prawda? - spytała Marjorie.

- Tak, ale mój dom nie wytrzymuje porównania - odrzekł skromnie. - Jako Europejczycy mają szczególny zmysł, jeśli idzie o urządzenie ogrodów. Trawniki, pawilon w stylu włoskim...

- Mimo że jesteśmy Szwedami. Doprawdy, musi nas pani kiedyś odwiedzić pani Luther. Harold jest na emeryturze. Spędzamy tu około trzech miesięcy, potem wracamy do Europy albo jedziemy do rodziny do Stanów. Tutaj jednak podoba nam się najbardziej. Mam dwie służące - zwierzyła się. - Jedna z nich gotuje lepiej od kuchmistrza z tego hotelu, a płacę każdej zaledwie dwadzieścia dolarów tygodniowo!

Francis, czując, jak robi mu się gorąco z zażenowania, spojrział na Nicholasa, który jednak nie zareagował.

- Ludzie nie potrzebują tu zbyt wiele pieniędzy, prawda? - powiedziała wesoło pani Jurgen. - Nie płacą rachunków za ogrzewanie, nie noszą płaszczy ani butów. Wioski są tu takie malownicze, te ich urocze małe chatki - naprawdę zachwycające.

- Zachwycające - wycedził Francis - z wygodkami na podwórku. Marjorie kopnęła go w kostkę. Pani Jurgen roześmiała się, wyraźnie traktując jego słowa jako żart. Aleppo jednak zrozumiał Francis.

- Moglibyśmy wszystko zmienić i sprawić, że ta wyspa zaistniałaby na mapie świata. Mogłaby tu powstać druga Riwiera, wybudowalibyśmy port dla jachtów, lotnisko dla odrzutowców, organizowalibyśmy wycieczki dla Europejczyków z atrakcjami w rodzaju połowów dalekomorskich i tak dalej, i tak dalej. Proszę mi wierzyć, wówczas wszystkie domy na wyspie miałyby łazienki i mnóstwo innych udogodnień.

- Zwłaszcza - wtrącił milczący dotychczas Jurgen - przy tak zdrowym rozsądku, jaki przejawia głowa państwa. - Jego pulchne policzki podjechały do góry w uśmiechu, sprawiając, że małe jasne oczka zrobiły się wąskie jak szparki. - Szczerze mówiąc, to jedyny powód, dla którego chętnie tu inwestuję. Czuję się bezpieczny.

- Muszę zasłużyć na to zaufanie, zapewniając sobie wygraną w wyborach - zażartował Nicholas.

Jurgen machnął cygarem.

- Nie będzie żadnych problemów! Ci inni - Courzon i spółka - to jak brzęczące komary, nic więcej. Nie martwię się ani trochę.

Podano kolację. Tylko francuski lub szwajcarski szef kuchni mógł wyczarować tak wspaniałe suflety i sosy, tak różnorodne płonące desery.

Trzech młodych mężczyzn podeszło do mikrofonu. Byli ubrani tak, jak gdyby przywieziono ich tu prosto z plantacji trzciny cukrowej. Niewyszkolone głosy brzmiały donośnie, ciepło.

Oh, island in the sun, willed to me by my father's hand,

All my days I will sing in praise...

Francis spróbował postawić się na ich miejscu przed wypełnioną salą. Co widzą? Białe twarze, zaczerwienione od opalenizny, obfite biusty wynurzające się z jedwabiów, góry jedzenia, blask drogich kamieni. Zastanawiał się, co też sobie myślą.

Dla otaczających go ludzi wszystko to było całkiem naturalne. Jedząc powoli i nie biorąc prawie wcale udziału w rozmowie toczącej się przy jego stoliku, Francis obserwował salę i słuchał strzępków rozmów.

Nagle został przywrócony do rzeczywistości.

- Byłeś tysiące mil stąd - skarciła go Marjorie.

- Rzeczywiście. Przepraszam bardzo.

- Francisie, proszę. - Jej oczy miały błagalny wyraz. - Bądź choć odrobinę bardziej towarzyski!

Nie chciała obrazić premiera. Nie przeszkadzało jej, że jest Murzynem, ponieważ był premierem. Bawiła się dobrze. Sprawiało jej przyjemność, że ma na sobie piękną suknię, że je kolację w eleganckiej restauracji. Oczy jej błyszczały z podniecenia. Myślała o dwóch milionach dolarów.

Po kolacji wyszli na powietrze. Tarasy schodziły kondygnacjami ku plaży. Odpływ odsłonił korzenie nadmorskich drzew, a oprócz tego butelki, puszki, maziste smugi ropy naftowej, widoczne teraz w świetle reflektorów.

- Co za fatalne zaniedbanie - zauważył Nicholas. - Jestem zaskoczony.



- To jeszcze nic - powiedział Francis. - Spójrz na ten muł unoszący się w wodzie. To z powodu bagrowania. Zabiera światło, głuszy algi, przez co umierają korale. Zniszczyli całkowicie rafy, wydobywając piasek do budowy. Tak, bagrują morze, niwelują wzgórza, i co dalej? To prawdziwie rabunkowa gospodarka!

- Och - rzekł lekkim tonem Nicholas - mówisz jak...

„Jak Patrick Courzon - pomyślał Francis. - To właśnie chciałeś powiedzieć.”

- Nie można powstrzymać dwudziestego wieku - zauważył Jurgen, nieco poirytowany.

- Postęp należy zaplanować, a nie prowadzić rabunkową gospodarkę. Rabunkową - powtórzył gniewnie, albowiem to słowo pasowało jak ulał do jego nastroju.

Gdy wracali do samochodu, pochwycił wściekle spojrzenie Marjorie. Nicholas wszedł do samochodu z Lutherami, którzy podrzucili go do domu. Wsiadając, rzekł:

- Mam nadzieję, że mimo wszystko rozważysz propozycję Aleppo, Francisie. Byłby to nie tylko świetny interes dla ciebie, ale i złota żyła dla wyspy. Masz na to moje słowo.

- Och - wtrąciła ze złością Marjorie - wszyscy wiemy, że plantatorzy nie popierają postępu, ponieważ tracą siłę roboczą do pracy na polach.

- W moim przypadku nie o to chodzi - zaprzeczył gorąco Francis. Nicholas nic na to nie powiedział. Podał rękę Francisowi, żegnając się z nim.

- No cóż, spadło to na ciebie dość nagle i jesteś nieco zdezorientowany, ale obiecuję, że wszystko przemyślisz, dobrze?

- Dobrze - odrzekł Francis, chcąc być grzeczny.

- Dziękuję ci, świetnie się bawiłam - zawołała za Nicholasem Marjorie. - Kolacja była wyśmienita. - Gdy już odjechali, odwróciła się do Francis. - Byłeś doprawdy śmieszny! Ta gadanina o algach i bagrowaniu! Muszą uważać cię za dziwaka i nudziarza. Nie wiem, co chciałeś osiągnąć, plotąc takie bzdury.

- Niczego nie chciałem osiągnąć. To kwestia mojego nastroju. Po prostu musiałem powiedzieć to, co mi leżało na wątrobie. Czy nie mogę mieć złego humoru, jak inni ludzie?

- Zachowałeś się, jak szurnięty ekolog... Jak młodszy z braci Da Cunha, który pisze wciąż artykuły...

- Młodszemu Da Cunha jeszcze o coś chodzi, a starszemu pokoleniu zależy wyłącznie na pieniądzu.

- Wydaje mi się, że ty również lubisz pieniądze!

- Owszem, lubię, ale pracuję na nie uczciwie...

- Praca! Tak, nikt nie zaprzeczy, że to prawda! Wieczne zmartwienie, że banany zgniją, że spadnie za dużo albo za mało deszczu! - Wyrzucała szybko słowa. - Posłuchaj, Francisie, Megan nie może zostać na tej cholerniej wyspie! Musimy stworzyć jej odpowiednie warunki. Gdy będzie nieco starsza, powinna uczyć się w specjalnej szkole, co tutaj, jak wiesz, jest nieosiągalne. Mamy szansę zapewnić jej to wszystko, a poza tym żyć przyzwoicie, bez żadnych zmartwień. Przysięgam, że nigdy ci nie wybaczę, jeśli nie przyjmiesz tej oferty, Francisie. Nigdy.

Ponieważ Francis nadal milczał, powtórzyła ostro:

- Nigdy! Radzę ci potraktować moje słowa poważnie.

Pomyślał, że kiedyś jej głos robił na nim piorunujące wrażenie, brzmiał delikatnie jak kuranty. Bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć, kiedy to było.

Jadąc w ciemności wąską górską drogą, czuł przejmujący smutek. To tak, jak gdyby zapomniał melodię, a nawet tytuł piosenki, którą kiedyś ogromnie lubił.

- Nie chcę już dziś o niczym rozmawiać, bardzo cię proszę - powiedział cicho. - To był długi dzień i jestem strasznie zmęczony.

- Niech cię diabli, Francisie! Nienawidzę, gdy mnie w ten sposób zbywasz.

- Prosiłem cię - wymówił z trudem Francis. - Nie myśl też, że cię zbywam. Marzę po prostu o tym, by znaleźć się w domu i położyć się spać.

- A więc do cholery ze wszystkim! Idź sobie spać!

Trzasnęły drzwiczki samochodu, potem drzwi sypialni. Marjorie wciąż spała po drugiej stronie holu. Przebiegła mu przez głowę niespokojna myśl, czy hałas nie obudził przypadkiem dziecka. Była to jego ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Spało mu się fatalnie, budził się co chwilę. O pierwszym brzasku wstał i wyszedł na spacer.

Ruszył pod górę rzadko używaną stromą ścieżką, która miała swój początek u podnóża Morne, tuż za domem. Wilgotne paprocie ocierały mu się o nogi, las się budził, ptaki rozpoczynały poranne

trele, w zaroślach szeleściły niewidoczne stworzonka. Raz dostrzegł w górze papugę, nagły szmaragdowo - pomarańczowy błysk wśród szarości. Prawdopodobnie była to Amazona arausiaca, niezmiernie w tej chwili rzadka, bowiem z powodu niezwykle wysokiej ceny za jeden okaz - pięć tysięcy dolarów - papugi tego gatunku wyginęły niemal całkowicie.

„To obrzydliwe! - wykrzyknęła kiedyś Kate. - Przemycają je stąd w walizkach, przez co większość zdycha w drodze. Wściekłość mnie ogarnia, gdy o tym pomyślę!” - Przypominała mu jego matkę z jej bezgranicznym współczuciem dla słabszych.

Zawrócił i zaczął schodzić z powrotem stromą ścieżką. Nie chciało mu się brać do codziennej pracy. Wolałby się położyć w paprociach i może wreszcie zasnąć, ale pomysł był raczej dziwaczny. Szedł więc wśród gąszczu bananów, palm, zdziczałej trzciny cukrowej, aż wydostał się wreszcie na otwartą przestrzeń, gdzie pomiędzy kwitnącymi czerwono drzewami stał duży dom, jego dom. Przystanął, by nań popatrzeć, i spostrzegł Marjorie, idącą w jego kierunku przez trawę.

- Zobaczyłam cię na stoku wzgórza. Chciałam cię przeprosić za wczorajszy wieczór, Francisie.

- Nie ma o czym mówić. Ja też nie byłem w najlepszym nastroju. Położyła mu dłoń na ramieniu, on zaś machinalnie przykrył ją swoją dłonią.

Jakże kiedyś kochał tę kobietę!

Stali tak przez chwilę razem w blasku poranka.

- Rzeka wygląda dziś jak srebrna wstążka - zauważył, pragnąc złagodzić nieco napięcie.

- Och, rzeki! Tyle się robi wokół nich hałasu! Błękitny Dunaj naprawdę jest błotnistym strumieniem. Ale ty tego nigdy nie widziałeś, prawda? Nigdzie właściwie nie byłeś.

- Nie miałem czasu.

- Oczywiście, że miałeś. Po prostu przyjechałeś tu i nigdy nie chciało ci się stąd ruszyć. Gdybyś rozstał się ze swoją ukochaną wyspą, mógłbyś podróżować. Aparat fotograficzny wciąż stoi na półce. Zamierzałeś robić zdjęcia do kolejnej książki. Jaki miała mieć tytuł? Człowiek przy pracy w swoim środowisku czy coś w tym rodzaju.

- Chyba tak - odpowiedział z posępną miną.

- Strasznie ci się naprzykrzam z tym wyjazdem, co?

- Nie nazwałbym tego w ten sposób. Po prostu mówisz o tym. - Zawsze byłeś zwolennikiem eufemizmów!

„To prawda - pomyślał zaskoczony. - Nawet w myślach wszystko ukrywam. Tak jak moja matka, jestem zbyt zamknięty. Trudno mi znieść prawdę.”

- Mam już dość przemilczania pewnych spraw. Powiem ci bez owijania w bawełnę - nienawidzę tego miejsca! Zawsze nienawidziłam. Po prostu przedtem niełatwo było stąd wyjechać, a teraz powstała możliwość.

- Czy pomyślałaś o Megan? - spytał. Otworzyła szeroko oczy.

- Nie rozumiem cię! Co za pytanie!

- Źle się wyraziłem, przepraszam. Chodziło mi o to, że Eleuthera jest dla niej schronieniem, azylem.

- Ona nie powinna się tu ukrywać, Francisie! Wymaga specjalnej opieki, nauki, by mogła się choć trochę rozwinąć. To nie są warunki odpowiednie dla niej i ty o tym wiesz! Poza tym nie jesteś w stanie przewidzieć, co się będzie działo na wyspie. - Rozpłakała się na głos. - Och, gdybyśmy mieli normalne dziecko!

- Przestań - powiedział. Nie mógł znieść, gdy płakała nad Megan. To przez niego, przez jego krew, przez jego siostrę, jego geny. To jego wina.

- Dzięki tym pieniądzom będzie miała zabezpieczoną przyszłość do końca życia! Jeśli ją kochasz, jak możesz być takim egoistą?

- Kocham ją - rzekł stłumionym głosem.

- Powiem ci coś, Francisie. Nie powoduję się w tej chwili emocjami. Myślę jasno, jestem absolutnie spokojna, nie złościę się. Ale jeśli nie przyjmiesz tej propozycji, wyjeżdżam. Zabieram Megan, z pewnością ktoś z mojej rodziny przygarnie nas, zanim się jakoś urządzi.

- Tak postanowiłaś?

- Tak.

Ich oczy spotkały się. Surowe i twarde spojrzenie Marjorie mówiło, że naprawdę jest zdecydowana.

- Pozwól mi się zastanowić - powiedział. - O, Boże, pozwól mi się zastanowić. Twarz jej się ściągnęła.

- Dobrze. Tylko nie myśl zbyt długo.

Poszła z powrotem do domu, on zaś dotarł aż nad srebrzystą rzekę i usiadł na skale, podpierając brodę rękami. W pobliskich drzewach żółty ptaszek zbierał gałązki do budowy gniazda. Francis zachowywał się tak cicho, że ptaszek nie zauważył jego obecności. Któregoś dnia, nie tak dawno, siedział w ten sposób z Megan, pokazując jej, jak ptak uwija się, budując gniazdo. Wykorzystał do tego nawet strzęp bawełny z czyjejś koszuli. Francis pomyślał wówczas: „Gdyby nie ten mikroskopijny drobiazg, którego zabrakło w rozwoju embrionalnym Megan, coś nieuchwytnego, jakiś impuls elektryczny, mogłaby być dzisiaj inteligentna, twórcza.”

- O, Boże! - jęknął głośno, aż żółty ptaszek odleciał, przestraszony.

Powietrze nasycone było aromatem dzikiego imbiru, który musiał rosnąć gdzieś w pobliżu. Za ogrodzeniem ze sztachet, które sam pomagał ociosać i ustawić, galopował po łące żreback. Cóż, jeśli będzie zmuszony wyjechać stąd, pozostawi wszystko w zupełnie innym stanie, niż zastał. Wciągnął głęboko słodki zapach imbiru. O, Boże, ta wyspa go zaczarowała! Przyszła mu na myśl matka - czy ona też czuła podobny ból, wyjeżdżając stąd? Czy to był powód, że nigdy nie chciała tu wrócić? Może mylili się ci, którzy twierdzili, że nienawidziła St. Felice? Jak można pojąć motyw ludzkiego postępowania, skoro człowiek nie rozumie siebie samego?

Siedział bardzo długo, dopóki nie usłyszał głosu Megan, dobiegającego gdzieś z góry. Z pewnością szuka go, jego cień, jego Megan, jego biedna, głupiutka córeczka.

Powoli, z ociąganiem, podniósł się i ruszył ścieżką pod górę. Schroniwszy się w starej bibliotece, podniósł słuchawkę telefonu.

- Panie Aleppo - powiedział. Słowa więzły mu w gardle. - Panie Aleppo, przemyślałem pańską propozycję i zdecydowałem się ją przyjąć. Może pan przygotować dokumenty, bym mógł je skonsultować z moim prawnikiem.

Aleppo napomknął coś o konieczności powrotu do Stanów, o tym, że zajmie mu to kilka tygodni, może miesiąc.

- Proszę się nie spieszyć.

- Postąpił pan słusznie, panie Luther. Gdy przyjedzie pan tu z wizytą za parę lat, nie pozna pan tego miejsca.

- Jestem tego pewien.

- Jest pan dżentelmenem, panie Luther. Spotykałem różnych ludzi i potrafię rozpoznać dżentelmena na pierwszy rzut oka.

Francis odwiesił słuchawkę i wyszedł na dwór. Przespacerował się dookoła domu, bez celu, czując po prostu potrzebę ruchu. Z kuchennego skrzydła dobiegały dźwięki piosenki nadawanej przez radio:

Oh, island in the sun, willed to me by my father's hand, All my days I will sing in praise...

Dotarł z powrotem do drzwi frontowych. Gdzieś w środku czekała Marjorie, zdeterminowana i przerażona. Dobrze, wejdzie i zawrze pokój. Mężczyzna musi być wystarczająco silny, by przegrywać z honorem. Zaczął tu wszystko od początku, zacznie jeszcze raz.

Nie opodal drzwi frontowych rósł potężny stary kauczukowiec. Matka powiedziała mu kiedyś: „Mój dziadek dotykał drzewa, jak gdyby mówił do niego.” Może chodziło właśnie o to drzewo? Zanim więc wszedł po schodkach do domu, wyciągnął rękę i dotknąwszy nią kory, przemówił do drzewa czule, bez słów.

## Rozdział 22

W cienistym zagajniku, w pobliżu plaży, zgromadził się tłum. To już drugie spotkanie dzisiejszego dnia, miało się odbyć jeszcze trzecie w innej części wyspy. Transparenty z niebieskiego papieru, ze złotymi napisami: „Głosujcie na Courzona” zwiisały pomiędzy drzewami i zdobiły długie stoły na drewnianych kozłach. Patrick, stojąc w kolejce po zupe calalu i krem z owoców guanabany, uprzytomnił sobie, że jadł ostatnio te przysmaki, gdy gotowała dla niego Agnes. Desiree nie lubiła „wiejskich” - jak je nazywała - potraw. Potem pomyślał sobie, co też powiedziałyby Agnes, gdyby go zobaczyła dzisiejszego dnia.

Jeśli idzie o niego, to po pierwszym tygodniu, pełnym wahania, przyzwyczał się do nowej sytuacji. Ochrypl od ciągłego przemawiania, nie miał czasu na spanie ani jedzenie. Ogólnie jednak biorąc, jego kampania wyborcza postępowała nadspodziewanie dobrze.

Porządkowi biegali tu i tam, próbując uspokoić tłum. Patrick rozejrzał się po zebranych. Jak zwykle, sporo było dziennikarzy, nawet z Europy, ponieważ ten splachetek ziemi przykuwał teraz uwagę całego świata. Wśród tłumy wyróżniały się twarze białych: kilku ciekawskich turystów, plantator Fawcett i bratanek Whittakera, znany jako „liberał”, najmłodszy syn Da Cunha z przyjaciółmi i, oczywiście, Kate oraz jej koledzy z gazety, którzy nie przegapili żadnego z przemówień podczas kampanii - zarówno Nicholasa, jak i Patricka.

Zapadła wreszcie absolutna cisza. Wszyscy czekali, aż przemówi Patrick. Postanowił mówić obrazowym, zrozumiałym językiem. Może nie potrafi oczarować słuchaczy żarliwą elokwencją, ani wywrzeć na nich wrażenia eleganckim ubraniem i manierami, ale z pewnością umie mówić do nich językiem, który rozumieli, mówić o sprawach, które znali. Przypomniła sobie również zasadę, by nigdy nie lekceważyć inteligencji „prostego” człowieka.

Wypunktował wszystko jasno i przejrzyście. Powiedział to, co mówił przedtem i będzie powtarzał zawsze - że są robotnikami rolnymi i nimi pozostaną, toteż przemysł, który mają stworzyć, musi mieć z rolnictwem ścisły związek.

- Mówią nam o rynkach światowych, o bilanse płatniczym, wyjaśniają w zawikłany sposób, dlaczego jesteśmy biedni, dlaczego niektórzy z nas wyjeżdżają na zimną północ, by zbierać jabłka w

obcym kraju, dlaczego buty są takie drogie, podobnie mydło, a nawet cukier, na który - choć sami uprawiamy trzcinę - wielu z nas nie stać. Tak, już to wszystko słyszeliście. Nasi obecni przywódcy chcą, byście na nich głosowali, ponieważ obiecali zrobić coś w tych sprawach. Wszyscy wiemy, że nie da się tego zmienić w jednej chwili. Trzeba jednak zrobić jakiś początek! Wchodzimy w trzeci rok ich rządów, a nie widzę najmniejszych oznak poprawy. A wy?

Rozległy się głośnie okrzyki:

- Nie! Nie!

- Widzę wyłącznie afiszowanie się fantastycznym luksusem. Widzę mężczyzn w czerwonych mundurach, nawiasem mówiąc, bardzo drogich, podobnie jak komfortowe koszary, w których mieszkają, i nowe samochody. Tak, mężczyźni w mundurach, z wielkimi dłońmi w białych rękawiczkach - zrobił przerwę - mężczyźni po cywilnemu, którzy grasują między wami, szpiegują i terroryzują was.

Gdy to mówił, opadły go przykre wspomnienia. Rolnik, który napisał list otwarty, protestując przeciw podatkom, został znaleziony martwy na polu. Syn starego przyjaciela Clarence'a ze związków wrócił po trzech dniach z aresztu z pustym oczodołem zamiast oka. Jego Will przyszedł pewnej nocy w podartym ubraniu i z raną zadaną nożem.

„Pobiłem się o dziewczynę” - wyjaśnił krótko, ale nie opuszczał domu przez tydzień.

- Nawet za kolonializmu nie panował tutaj taki terror. Ludzie nie znikali bez śladu, nie bali się głośno odezwać w miejscach publicznych.

Zapadła tak głęboka cisza, że niemal słyszał ich oddechy. Za nim poruszyli się niespokojnie na swych miejscach faceci z jego obstawy.

- Trochę przesadziłeś, szefie - powiedzieli mu nie dalej, jak wczoraj. - Nie boisz się?

- Korespondenci zagraniczni są moim zabezpieczeniem. Gdyby coś mi się stało, czy nie byłoby to dowodem na to, że miałem rację? - Niemal sam w to wierzył.

W dalszej części swego przemówienia złożył pewne obietnice, nie wygórowane zbyt, przyrzekając, że dołoży wszelkich starań, by zlikwidować terror.



Gdy żegnany burzliwymi oklaskami schodził z trybuny, zaczął padać deszcz. Rzęsiste krople bębniły z furją o ziemię, zagraniczni reporterzy, zdumieni gwałtownością ulewy, chowali się pośpiesznie do samochodów.

Mikrobusem Patricka jechało dziewięć osób, a wśród nich Kate ze swoimi dwoma młodymi kuzynami, którzy pracowali w „Trumpecie”. Franklin Parrish siedział z tyłu z Patrickiem.

- Zanim dojedziemy na następny wiec, przestanie padać - powiedział Franklin. - Twoje przemówienie wywołało duży oddźwięk. Nikt nie protestował. Wiesz, szefie, zaczynam myśleć, że się nam uda.

- Zobaczymy - odrzekł Patrick.

Strona przeciwna dysponowała pieniędzmi i siłą. Lepiej nie budować zamków na lodzie. Był jednak wdzięczny Franklinowi za jego wiarę. Jego inteligencja i entuzjazm podtrzymywały go na duchu. Jeśli zwycięży, powierzy Parrishowi odpowiedzialną funkcję, ponieważ może mu zaufać. Ten młodzieniec nie potrzebował jego opiekuńczych skrzydeł i poparcia, sam pisał się po szczeblach hierarchii partyjnej i zawdzięczał wszystko własnym zdolnościom, energii i ujmującemu uśmiechowi. Był świetnym mówcą o wrodzonym talencie, w przeciwieństwie do Patricka, który uczył się, obserwując wytrwale Nicholasa Mebane'a. Franklin był również dość sprytny, by jednać sobie słuchaczy.

- Spójrzcie na mnie - mówił. - Jestem jednym z was. - Miał, oczywiście, na myśli kolor skóry, równie ciemny, jak wszystkich robotników.

Patrick uśmiechnął się sam do siebie. Było oczywiste, że Parrish miał poważne zamiary wobec Laurine, która również czuła do niego sympatię. Patrick rozmawiał nawet na ten temat z Desiree, która natychmiast wysunęła zastrzeżenia.

- Jest zbyt ciemny - powiedziała. Patrick ujął jej rękę i przyłożył do swojej.

- Zbyt ciemny - powtórzył tak tragicznym tonem, że zaczęła się śmiać. - Dzięki Bogu, że masz poczucie humoru - rzekł z ulgą.

Mikrobus, jadący jako ostatni w kolumnie, skręcił w głąb wyspy, pod górę. Patrick zauważył nie opodal szosy rolnika budującego dom przy pomocy sąsiadów. Wiedział, że po skończonej pracy będą wspólnie jeść i pić. Odchylił głowę na oparcie fotela, myśląc o tym, jakie to wspaniałe, że w czasach tak szybko następujących zmian

kultywowane są dawne tradycje. W ciągu tygodnia swej kampanii dowiedział się więcej o życiu rolników, niż podczas długich lat, które spędził mieszkając w mieście.

Samochód podskoczył na wyboistej drodze i Patrick otworzył oczy.

- Zdrzemnąłeś się trochę? - spytał Franklin, - To dobrze, potrzebowałeś snu Czy mówiłem ci, że młody Da Cunha przysłał nam czek?

- Starszy brat będzie głosował na Mebane'a, prawda? Tak jak ojciec?

- Ojciec z pewnością, a bratu jest chyba wszystko jedno. Będzie głosował na tego, który, jego zdaniem, zagwarantuje mu większe korzyści.

Samochód wzbijał tumany kurzu, ponieważ po tej stronie Morne nie padało. Jechali przez ciąg wiosek, gdzie oczekujący ludzie machali rękami i pozdrawiali ich Patrick pomyślał, że może rzeczywiście uda mu się zwyciężyć w wyborach. Ta perspektywa podniecała go i przerażała zarazem.

- Zrobiłeś ogromne wrażenie - powiedział Franklin. - Chyba większe, niż przypuszczaliśmy.

- Jeszcze przed nami daleka droga.

- To prawda. Jeśli jednak przegramy, będziemy próbowali znowu. Po prostu nie mamy innego wyjścia.

Franklina wyraźnie cieszyła cała kampania, co było zaskakujące, gdyż mogłoby się wydawać, że taki mól książkowy zupełnie się do tego nie nadaje.

- Jeśli przegramy - powiedział Patrick - ty przejmiesz pałeczkę. Ty i twoje pokolenie.

- Przecież jesteś jeszcze młody! - wykrzyknął ze zdumieniem Franklin. - Mówisz, jakbyś miał sto lat!

Kate, która siedziała z przodu, usłyszała, o czym rozmawiają.

- Skończyłeś dopiero czterdzieści jeden lat, Patricku. Dlaczego się postarzasz? Rzecz jasna, mieli rację. Dobrze jednak, że młodzi ludzie gotowi są walczyć o sprawę - na przykład kuzyn Franklina, szczupły młodzieniec o niezwykłych zielonych oczach, student University of West Indies, który przyjechał do domu na wakacje, rozsądny, inteligentny, liberalny, bez cienia fanatyzmu. Potem pomyślał o Willu i natychmiast odsunął od siebie tę myśl.

- Chciałabym mieć odwagę - powiedziała Kate - otwarcie przedstawić swoje poglądy i poprzeć cię. Niedobrze mi się robi, gdy muszę prezentować obie strony.

- Odwalasz w ten sposób kawał dobrej roboty - pocieszył ją Franklin. - Drukujesz wypowiedzi Patricka, a ludzie sami mogą je zinterpretować. Gdybyś opowiedziała się za nim, zamknęliby gazetę. Wiesz o tym.

- Wszyscy bardzo mi pomagacie - rzekł cicho Patrick.

Droga wznosiła się pomiędzy polami trzciny cukrowej coraz wyżej i wyżej. Słońce paliło niemiłosiernie, na trybunie trudno będzie wytrzymać. Oby ten dzień wreszcie się już skończył.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Franklin, gdy zbliżali się do miejsca, w którym miał się odbyć wiec. - Jest ich tu chyba ze dwa tysiące! To największe zgromadzenie do tej pory!

Musieli pokonać wiele mil, by tu przywędrować. W oczekiwaniu na popołudniowy wiec stali teraz ociekając potem i wachlując się słomianymi kapeluszami, pijąc piwo i huśtając niemowlęta.

Patrick wysiadł z samochodu i wszedł na mównicę. Zauważył, że wśród słuchaczy jest dużo młodzieży, zwrócił się więc do niej.

- Dzisiejszy świat jest trudny dla młodzieży. Jest was więcej, macie wyższe aspiracje, co zresztą dobrze o was świadczy. Myślę, że rozumiem młodych ludzi, ponieważ jestem nauczycielem. Wybaczcie mi więc moje zbyt gadulstwo. Na oświacie spoczywa wielka odpowiedzialność... nie chodzi o to, by każdy wdrapał się na sam szczyt, jak głosi propaganda, ponieważ ludzie nie są jednakowo zdolni... nie chodzi też o to, by wszystkich zrównać do najniższego poziomu... niech każdy ma szansę dążyć do tego, co jest w stanie osiągnąć...

Oczy Patricka przesunęły się po zgromadzonych, którzy słuchali z wyraźnym zainteresowaniem. Na drugim końcu pola, gdzie były zaparkowane ciężarówki i motocykle, dostrzegł podjeżdżające samochody. Zapewne spóźnialscy. Upał był wręcz nie do wytrzymania, postanowił więc prędzej zakończyć wiec.

- Zażartowałem sobie na początku na temat mojego gadulstwa, ale naprawdę próbowałem się streszczać. Mam nadzieję, że po powrocie do domu przemyślicie sobie moje słowa i pójdziecie głosować przeciwko obecnemu reżimowi, który - jeśli pozwolimy, by się utrzymał - doprowadzi nas w końcu do komunizmu.

- Sam jesteś pieprzonym komunistą! - zawołał jakiś człowiek. Tu i tam rozległy się gwizdy i krzyki:

- Dołożyć skurwysynowi! Cholerny komunistą!

To wrzeszczeli mężczyźni, przepychający się do przodu od strony dopiero przybyłych samochodów.

- Zamknijcie się! Hańba! Wyrzucić ich!

Ktoś cisnął pierwszy kamień. Jakaś kobieta krzyknęła, gdy upadł trafiony nim mężczyzna. Nagle, całkiem bez ostrzeżenia, rozpętało się istne piekło.

Ze wszystkich stron, jakby nawet z nieba, leciał grad kamieni. W ruch poszły krzesła i stoły. Skądś doleciał fetor zepsutych jajek. Mężczyźni walczyli, a kobiety zawodziły i szamotały się, próbując uciekać. W zamieszaniu nie można było się połapać, kto kogo atakuje. Niektórzy przyłączyli się chyba do napastników. Pękały papierowe torby, rozbryzgując swą niewiarygodną zawartość w postaci mieszanki ekskrementów i śmieci. Policja, która pojawiła się nie wiadomo skąd, wmieszała się w tłum. Niektórzy policjanci usiłowali zaprowadzić porządek inni próbowali atakować, jeszcze inni nie robili po prostu nic, tylko obserwowali.

- Przestańcie! Przestańcie! - Patrick usłyszał własny oszalały głos ginący w ogólnej wrzawie. Gardło miał nadwerężone od krzyku, nie przestał nawet wtedy, gdy został trafiony torebką z jakimś cuchnącym płynem i upadł na chwilę na ziemię. Nie do wiary, najpierw taki świetny kontakt ze słuchaczami, a w chwilę później wściekła bijatyka!

Ktoś pomógł mu wstać. Straż porządkowa odgrodziła go od napastników grubym pierścieniem, popychając w stronę samochodu. Na zewnątrz pierścienia toczyła się zaciekle, krwawa walka. Przeciwnicy nacierali, wymachując kijami i deskami, z których sterczały gwoździe. Patrick dostrzegł Franklina, uchylającego się przed ciosem. Potykając się, przepychali się w stronę samochodu.

„Nie damy rady” - pomyślał Patrick. Dziwne uczucie, ponieść śmierć na otwartym polu, w środku upalnego dnia, z rąk zbirów Mebane'a.

Nagle tłum się cofnął. Kilkunastu młodych mężczyzn, którzy nadbiegli zza samochodów, do których usiłował się dostać Patrick wraz ze swymi ludźmi, wysunęło się naprzód, rzucając coś w tłum.

- Gaz łzawiący! - krzyknął Franklin. - Uciekajcie, uciekajcie!

Za nimi i ponad ich głowami rozprzestrzeniła się chmura gryzącego gazu. W samochodzie Patricka pracował już silnik. Mikrobus ruszył, zanim zdążyli zamknąć drzwi, i po chwili, wzbijając tumany kurzu, znalazł się na drodze. Ostatni kamień roztrzaskał przednią szybę.

- Gaz łzawiący? - spytał Patrick, z trudem łapiąc oddech. - Kto go użył?

- Nasi ludzie. Byliśmy przygotowani na coś takiego. Wiedzieliśmy, że w końcu musi się to zdarzyć - odpowiedział Franklin.

- Mój Boże, mam nadzieję, że nie będzie zbyt wielu rannych!

- Dranie! Nic ci nie jest, Patricku?

- Nie, tylko dostałem kamieniem w ramię. Cuchnę też jak skunks. Poza tym, wszystko w porządku.

Desiree, wściekła jak diabli, zrzędząc i popłakując, przyniosła Patrickowi czyste ubranie.

- Ty idioto, mogli cię przecież zabić!

Stali na ganku Clarence'a. Cierpiący z powodu artretyzmu starszy pan wrócił do dawnego zwyczaju sypiania w hamaku pod gołym niebem.

- Słyszałem, że gdziekolwiek się pojawisz, odnosisz sukcesy - powiedział. - Mówił mi o tym Franklin. Następnym razem sam chciałbym to przeżyć, jeśli znajdę kogoś, kto mnie zawiezie na miejsce spotkania.

- Sukcesy! - wykrzyknęła Desiree. - Tak to nazywasz? Clarence zignorował wybuch córki.

- Mam dla ciebie wiadomość. Po południu, na kongresie związków zawodowych jednomyślnie postanowiono udzielić ci poparcia.

- Hm, zdziwiłbym się, gdyby woleli Mebane'a - powiedział z zadowoleniem Patrick.

- No nie, ale mogliby wybrać kogoś z lewicy. Nie chcą jednak radykałów. Wolą ciebie.

- Wszyscy chcą ciebie. Zniszczą cię w ten sposób - lamentowała Desiree. - Zachowujecie się obaj jak smarkacze. Jesteście naiwni, tak, po prostu naiwni. Szkoda, że nie możecie sami siebie zobaczyć. Żaden z was nie ma pojęcia, czym jest prawdziwe życie!

- No, no - powiedział Clarence. - Może nam wobec tego powiesz.

- Powiem wam, czym nie jest. Nie jest pracą ponad siły, zamartwianiem się, narażaniem zdrowia i życia dla obcych ludzi, których nic a nic nie obchodzicie! Czy doprawdy sądzicie, że ci wszyscy ludzie przywiązują wagę do tego, kto zostanie wybrany?

- Tak, właśnie tak uważam - odrzekł Patrick.

- Wobec tego sam nie wiesz, co mówisz! Oni chcą tylko się najęść, napić rumu i pójść do łóżka w sobotnią noc...

Patrick uśmiechnął się, słysząc to subtelne określenie.

- ... a ty myślisz, że podziękują ci kiedykolwiek za to, że dostaną to, o co im chodziło?

- Nie oczekuję podziękowań.

- Tym większym jesteś głupcem! Idź! Idź! Daj się zabić! Patrick westchnął.

- Chyba nigdy nie przejrzysz na oczy, Desiree. Nie bądź taka melodramatyczna. Nie zamierzam dać się zabić!

- Och, gdybym poślubiła pastora, byłby z pewnością mniej święty od ciebie, Patricku! Nie chcę przez to powiedzieć, że jesteś hipokrytą. Nie, naprawdę jesteś zaangażowany, obchodzi cię to wszystko. Ja natomiast jestem inna. Chciałabym po pierwsze mieć coś dla nas...

- Próbuję ci to zapewnić, robię, co w mojej mocy - powiedział z uporem, zdając sobie równocześnie sprawę, że może trochę się nad sobą użala.

- Wiem, wiem. Tyle, że teraz nie chodzi mi o sprawy materialne, Patricku. Przede wszystkim pragnę spokoju.

- To też próbuję ci zapewnić. Czy nie rozumiesz, że próbuję zapewnić to nam wszystkim?

- Nie jadłeś kolacji - powiedziała z westchnieniem Desiree. - Czy przynieść ci tacę na ganek? Przygotowałam rybę z rusztu z sokiem z limy.

Był zbyt wykończony, by odczuwać głód, mimo to wstał. Jedzenie było najczęściej stosowanym przez nią lekarstwem, najlepszym sposobem okazywania troski i miłości.

- Jestem gotów, chodźmy do środka - powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu. Pochwyciła ją i pocałowała wewnątrz dłoni. Objęła jego głowę, tuląc ją i zawodząc.

- O, mój Boże, co oni z tobą zrobili! Zwierzęta. Co oni zrobili! Nie, zwierzęta tak się nie zachowują! Jestem na ciebie zła, ale też

jestem z ciebie dumna i bardzo się boję. Och, mój kochany, mój najdroższy, tak bardzo się boję.

## Rozdział 23

Czy wiesz, że Rob Fawcett popiera w wyborach twojego starego dobrego przyjaciela Patricka? - spytała Marjorie, gdy jechali do Fawcettów na rocznicowe przyjęcie.

- Nie, nie wiem. Po co ta ironia?

- No więc niegdysiejszego przyjaciela. Przepraszam.

Choć nie chciał rozmawiać o Patricku, równocześnie dręczyła go ciekawość.

- Fawcett nigdy mi o tym nie wspomniał.

- Oczywiście. Przecież jest dżentelmenem. Zdaje sobie sprawę z naszych uczuć. Francis lubił Fawcettów. To ludzie inteligentni, którzy wyróżniali się spośród tej niewielkiej społeczności, gdzie wszelkie kontakty były tak bardzo powierzchowne. W ich domu zawsze była dobra muzyka, radość życia, ciekawe rozmowy. Dzisiejszego wieczoru Whim Longhouse, oświetlony niczym oceaniczny liniowiec, płynął przez mrok.

Francis szedł po schodach za żoną w szeleszczącej sukni z żółtawozielonej tafty. Była w doskonałym nastroju, najlepszym od dnia urodzin Megan, a wszystko z powodu perspektywy „wyjazdu do domu”. Jej coraz większe ożywienie zamknęło mu usta, choć wiedział, że postąpił słusznie, podjął nieuniknioną decyzję. Po prostu nie chciał o tym rozmawiać.

Wszyscy goście zgromadzili się już na trawniku na tyłach domu. Lutherowie spóźnili się nieco. Było to regułą, ponieważ Francis nie opuszczał domu, dopóki Megan nie zasnęła.

- Idź do nich. Ja jeszcze zadzwonię do domu - powiedział.

- Przecież dopiero stamtąd wyszliśmy!

- Czterdzieści minut temu. Chcę się upewnić, że wszystko jest w porządku. Zostawiliśmy ją po raz pierwszy z nową służącą.

Przyjęli zasadę, że podczas ich nieobecności w pobliżu Megan musi być służąca. Był to pomysł Francis'a. Sam uważał, że takie obawy są wręcz neurotyczne, ale wciąż miał w pamięci pożar. Gdy jechał aleją wiodącą do Eleuthery, ciągle widział pogorzelisko i ścisnęło go w dołku z przerażenia.

Skończywszy rozmowę, przeszedł przez jadalnię, gdzie wszystko było już przygotowane do kolacji, następnie przez doży salon, nieco przeładowany eleganckimi meblami. Na ścianach wisiały portrety przodków w szerokich ciężkich ramach.



Był dziś jakiś nadwrażliwy, sam nie wiedział, z jakiego powodu. Zdarzały mu się dni, gdy z powodu gruczołów, hormonów czy Bóg wie czego, dręczyły go obawy. Miał wrażenie, że znajduje się w otchłani, będąc jednocześnie na St. Felice i już tu nie będąc, błądząc myślami wokół jakiegoś nowego miejsca, w którym będzie musiał znów zacząć wszystko od początku. Odczuwał to niemal jako wcielanie się w kogoś innego.

Chodziło przede wszystkim o Megan. Miała już prawie sześć lat i z każdym miesiącem coraz wyraźniej uwidaczniała się różnica pomiędzy tym, czym była, a czym powinna być, gdyby rozwijała się normalnie. Jej przyszłość stawała się coraz okrutniej przesądzona. Francis jęknął cicho, wychodząc na dwór, skąd dobiegały ożywione głosy i dźwięki muzyki.

Przeszedł przez taras, na którym pod naturalnym baldachimem z liści ustawione były małe okrągłe stoliki z zakąskami. Przez chwilę stał, przyglądając się znajomej scenie - pastelowe stroje gości, czarni kelnerzy w białych rękawiczkach, bogactwo kwiatów. Spozrzegł, że mężczyźni i kobiety utworzyli osobne grupy. Zastanawiał się, o czym jeszcze mogą rozmawiać kobiety, które niemal codziennie spotykają się w klubie. Mężczyźni, którzy nie widują się tak często, mają oczywiście dyżurny temat - politykę. Wypatrzywszy w tłumie gospodarza, ruszył ku niemu po schodach.

- Wszystkiego najlepszego z okazji dwudziestej rocznicy - powiedział, ściskając mu dłoń. - Chciałbym móc uczestniczyć w uroczystości z okazji waszego pięćdziesięciolecia.

- Jeśli Bóg da, że go doczekamy - odrzekł Fawcett. - Szkoda, że nie będzie cię wówczas z nami. Będzie nam cię brakowało.

„Naprawdę mówi to, co czuje” - pomyślał Francis, mrużąc pod nosem podziękowania.

- Tak, twój wyjazd jest ogromną stratą dla wyspy.

- Nic takiego nie zrobiłem - wybąkał zażenowany Francis.

- Ostatnio nie - rzekł z powagą Fawcett - ale jeszcze tyle możliwości przed tobą.

- Niech pan mnie posłucha, Luther - wtrącił się stary Whittaker - proszę nie zwracać uwagi na to, co mówią inni. Postępuje pan bardzo mądrze. Połowa tych ludzi - nie mówię o tobie, Fawcett, ponieważ masz własny punkt widzenia - rzuciłaby wszystko choćby jutro, gdyby

trafił im się kupiec. Pozbyliby się swoich włości ot tak - pstryknął palcami. Nie mieli jednak tyle szczęścia, co pan.

Jak na Whittakera, wypowiedź była zadziwiająco długa. Zwykle miał zasznurowane usta, jak gdyby uważał, że ich otwieranie jest zbyt wielkim wysiłkiem. „Jego żona nadrabia to zwykle z nawiązką” - pomyślał Francis z niesmakiem.

- Pańska żona powiedziała mi, że zamierza pan kupić mieszkanie w Nowym Jorku i posiadłość wiejską na Long Island.

- Nie wytrzymałbym w mieście przez okrągły rok.

Odczuwał ogromne przygnębienie, jak gdyby ktoś włożył mu na barki stukilowy ciężar. Tak, znalazł się w matni. W domu wszędzie pełno było kartonów i pudeł. Marjorie zaczęła już wyciągać rzeczy z szaf i strychów, by je posortować i porozdawać. Wiedział, że to idiotyczne, ale odczuwał niemal fizyczny ból, patrząc na swoje szkolne podręczniki lub bezużyteczne już dziecinne łóżeczko Megan czy inne drogie jego sercu drobiazgi, których miał się pozbyć.

- Nie możemy zabierać całego tego śmietnika - oświadczyła Marjorie. - Kosztowałyby to nas fortunę, poza tym, gdzie upchnęlibyśmy to wszystko?

Widocznie był zbyt sentymentalny.

Wziąwszy ze srebrnej tacy drinka i kanapki, usiadł wraz z innymi mężczyznami, pozwalając, by rozmowy toczyły się poza nim i słuchając ich jednym uchem. Temat był od miesięcy taki sam.

- Włamania w Covetown, zwłaszcza w hotelach, są teraz na porządku dziennym, wprost trudno w to uwierzyć. Nie piszą już nawet o nich w gazetach.

- Turyści sami są sobie winni, obnosząc się ze swymi pieniędzmi i biżuterią. „Owszem, to prawda, ale wytłumaczenie nie jest wcale takie proste” - pomyślał Francis.

Potężny łysy mężczyzna po drugiej stronie stołu - nazywał się Barnstable i mieszkał w południowej części wyspy - opowiadał jakąś historię, zarykując się ze śmiechu.

- Gdy umarł ojciec mojej kucharki, wybrałem się, by złożyć jej kondolencje. Mieszka daleko na wsi i droga jest naprawdę okropna, ale przecież Sally służy u nas od osiemnastu lat! Rodzina i sąsiedzi czuwali przy zmarłym przez całą noc, nie miałem jednak pojęcia, jak to wygląda. Opowiadali sobie dowcipy, pili i tańczyli, po prostu

regularne przyjęcie! Wlewali nawet rum do gardła zmarłego. Siedział w fotelu...

- Kto?

- Nieboszczyk.

- Nie wierzę!

- Jednak to prawda, przysięgam! Zresztą, czego się spodziewaliście po tych ludziach?

Podano quiche z grzybami. Francis zerknął z ukosa na kelnera, ale jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. „Ciekawe, co oni o nas mówią?” - pomyślał.

Przeniósł z powrotem wzrok na łysego mężczyznę, który wciąż się zaśmiewał z własnej opowieści, potem na roje ciem, krążących wokół lampionów i przysiadających na krzewach bugenwilli niczym czarne aksamitne kokardy przypięte do welonu.

- Byłeś więc na jednym z mityngów Courzona? - spytał ktoś Roba Fawcetta.

- Tak, chciałem sam go posłuchać. Gazety boją się publikować jego wystąpienia w całości.

- Twoja żona mówiła, że jesteś pod wielkim wrażeniem.

- Tak, to prawda. Więcej już jednak nie pójdę. Z powodu mego wzrostu jestem zbyt dobrym celem, a nie mam ochoty zarobić cegłą lub butelką w głowę.

- Są wściekli, jak diabli. Kilka dni temu zadźgali nożem dzieciaka niedaleko Wharf Street w jakiejś bijatyce na tle politycznym.

- Nie widziałem nigdzie wzmianki o tym.

- Mówiłem ci, że gazety boją się o tym pisać.

- Daję nam jeszcze najwyżej dziesięć lat na tej wyspie.

- Myślę, że jesteś zbyt hojny. Ja dałbym raczej cztery, może pięć.

- Nie, nie, jeśli będzie rządził Mebane, nie ma powodów do takiego pesymizmu.

- W końcu grupa szaleńców obali go i przewróci wszystko do góry nogami. To będzie druga Kuba, wspomnicie moje słowa.

- Za trzy dni wszystko się rozstrzygnie. Jeśli Mebane zwycięży w wyborach, zaprowadzi spokój.

- Wątpię. Sytuacja jest już doprowadzona do stanu wrzenia.

- Trzeba mu dać szansę! Ile miał czasu?

- Wystarczająco dużo, by zapęlić więzienia domniemanymi wrogami. Wyjąwszy gospodarza, była to pierwsza odmienna opinia dzisiejszego wieczoru.

Ponieważ wyraził ją niedawny przybysz na St. Felice, wywołała całą serię okrzyków zdziwienia i spojrzeń pełnych dezaprobaty.

- Czy nie przesadza pan, panie Trumbull?

- Wręcz przeciwnie. To zaledwie ułamek tego, co można powiedzieć.

Trumbull, prawnik znany z liberalnych poglądów, wyglądał na bardzo poruszonego. Był bardzo młody i, kierując się zapewne swoimi liberalnymi sympatiami, otworzył ostatnio kancelarię w Covetown. Jego trochę dziecinne niebieskie oczy miały lekko przestraszony wyraz, jak gdyby nagle uświadomił sobie, że jest w swych przekonaniach odosobniony.

W chwilę później jednak znalazł sprzymierzeńca.

- Mebane to brutal, sprytny, kulturalny brutal.

Głos należał do bratanka Whittakera. Pełne dezaprobaty twarze zwróciły się teraz ku niemu, nikt jednak nie zaprotestował od razu, ponieważ Whittakerowie byli jedną z najbogatszych rodzin na wyspie i chętnie pobłazali swemu „dziwnemu” bratankowi. Jak zapamiętał Francis, rodzina jego matki miała duże pieniądze, pochodzące z eksploatacji ropy naftowej.

- Całkowicie podzielam twoje zdanie - rzekł spokojnie gospodarz. - To, co większość z was nazywa zaprowadzaniem porządku, praworządnością, jest wyłącznie eufemizmem państwa policyjnego.

- Masz prawo do własnego zdania, Rob - powiedział Whittaker - i mój bratanek również, doradzałbym wam jednak ostrożność w ich wypowiedaniu. To nie jest czas na swobodne rozmowy.

- Pan Whittaker ma rację - odezwał się niespodziewanie dla siebie samego Francis. - Nawet wy, którzy jesteście zwolennikami tego rządu, musicie chyba przyznać, że nie czujecie się bezpieczni, prawda?

- Czy mamy wobec tego rozumieć, że głosuje pan na Courzona? - Pytanie było przepełnione złośliwością, gdyż uczucia Francisza do Patricka były ogólnie znane.

- Nie zamierzam w ogóle głosować - odrzekł krótko.

- Cóż, oczywiście, wyjeżdża pan. Jednak dla tych, którzy chcą tu pozostać, którzy muszą pozostać, widoki na przyszłość nie są zbyt pociągające. Osobiście uważam, że Courzon spauperyzuje nas wszystkich. Może mieć najlepsze zamiary, ale w ostatecznym rozrachunku nie pozostanie nam nic.

- A co pan ma teraz? - spytał bratanek Whittakera. Podszedł do nich starszy Da Cunha i usiadł na wolnym krześle. Był wyraźnie podniecony.

- Przyjechałem właśnie z miasta. Spójrzcie na to. - Podniósł do góry gazetę. - Specjalne popołudniowe wydanie „Trumpeta”. Przeczytam wam coś. To artykuł wstępny Kate Tarbox.

„Od wielu miesięcy zbieraliśmy wszelkimi możliwymi sposobami informacje na temat ludzi, którzy są członkami czegoś, co dumnie nazywają naszym rządem. Teraz, w przededniu decydujących wyborów, nadszedł czas, by ujawnić, kto naprawdę wchodzi w skład rządu.

Zacznijmy od tego, że nie jest to w ogóle rząd, lecz prywatna firma kryminalistów dżentelmenów, chronionych przez tajną policję, bandę rozzuchwalonych zbirów, świetnie opłacanych z naszych podatków, z naszej pracy. Nasz kraj stał się bezpiecznym portem dla podejrzanych firm handlujących narkotykami i bronią, piorących brudne pieniądze. Pieniądze państwowe trafiają do kieszeni premiera i jego przyjaciół. Bezpiecznie ukryte, spoczywają w dziewiętnastu różnych bankach szwajcarskich i trzeba będzie pracy legionu prawników przez wiele, wiele lat, by je odzyskać dla ludzi, do których należą.”

- Dobry Boże! - wykrzyknął Whittaker.

- „Ci ludzie plotą niemal codziennie o przewrocie komunistycznym w stylu kubańskim. Tylko nigdy nie wspominają, że komunizm mógł się rozpanoszyć na Kubie, ponieważ wcześniej gangsterzy doprowadzili kraj do ruiny” - zakończył Da Cunha. - Jest tego znacznie więcej, opuściłem całe fragmenty.

- Czyba nie podpisała tego własnym nazwiskiem?

- Oczywiście, że podpisała. Spójrzcie, tutaj, czarno na białym, wielkimi literami. I na zakończenie: „Jeśli troszczycie się o dobro własnego kraju, samych siebie, pójdziecie w czwartek do urn wyborczych i będziecie głosować na Patricka Courzona”.

- Głupia kobieta!

- Dlaczego? Ja nazywam to odwagą!
- Jasne, tylko to odwaga samobójcy!
- Przynajmniej staje w obronie swoich przekonań. Musicie jej to przyznać,
- Obawiam się, że długo już nie będzie. Nie po tym artykule.
- Bardzo niedobrze, że Lionel wyjechał do Anglii. Choć są rozwiedzeni, z pewnością powstrzymałby ją.
- Nie udałoby mu się jej powstrzymać. Nie znacie Kate Tarbox. Zawsze stawia na swoim.
- Może ktoś powinien pojechać do miasta i... - zaczął mówić Rob Fawcett, gdy wbiegła jego żona.
- Rob! Rob! Słyszałam właśnie, to znaczy Emmy miała włączone radio i słyszała, że wybory zostały odwołane!
- Co takiego?!
- Wybory odwołane! Nie ma w czwartek wyborów! W uzasadnieniu podano, że to ze względu na bezpieczeństwo państwa. Bratanek Whittakera walnął pięścią w stół.
- Jasne! Dlatego, że Courzon ma przewagę, czy tego nie widzicie?
- Jeden z kelnerów wrócił właśnie z Covetown, przerażony, mówi, że dzieją się tam straszne rzeczy! Wszędzie pełno policji, aresztują ludzi. Skonfiskowali wszystkie egzemplarze „Trumpeta”, jakie wpadły im w ręce. Widział też - głos pani Fawcett zadrżał - straszliwie pobitego mężczyznę. Zmasakrowali mu głowę, leżał obok budynku centrali telefonicznej, to było...

Prysnął świąteczny nastrój, nawet blask świec nie był już radosny, ledwie migotały w groźnej ciemności. „Wszystko wygląda od razu inaczej - pomyślał Francis. - W jednej krótkiej chwili człowiek traci poczucie bezpieczeństwa, wszystko wydaje się takie kruche, cały dom, z muzyką, kryształami i jedwabiami, zebrani w nim mężczyźni i kobiety - narażeni na atak, bezsilni.”

Rob Fawcett uczynił wysiłek, by jego głos zabrzmiał spokojnie i wesoło:

- Nikt z nas nic już dzisiaj nie zrobi. Równie dobrze możemy zjeść kolację. Moja żona zapewnia, że jest naprawdę smaczna.

Coś tknęło Francis. „Skonfiskowali wszystkie egzemplarze «Trumpeta»... zmasakrowali mu głowę... Czy mogę siedzieć przy stole, jedząc homara i pijąc wino, gdy ona...” Krew uderzyła mu do

głowy, poczuł w sobie nagłą siłę, zerwał się i, chwytając Marjorie za ramię, powiedział, zanim zdążył pomyśleć:

- Wytlumacz mnie. Whittakerowie podrzucają cię po drodze do domu. Muszę jechać do miasta.

- Zwariowałeś? Do Covetown? Teraz?

- Muszę! Proszę cię, bardzo się spieszę.

- Francisie, Francisie! Czyś ty zwariował? - jęknęła Marjorie. - Francisie, wracaj!

On jednak wskoczył już do samochodu i ruszył pełnym gazem aleją podjazdową, znikając z pola widzenia.

W wioskach paliły się światła. Grupy ludzi stały przed sklepami i barami z rumem, jak gdyby w oczekiwaniu na znak, co mają robić. Strach czaił się pomiędzy drzewami, poza zasięgiem reflektorów samochodowych. Groźba zagłady wisiała w nocnym powietrzu. Francis wcisnął gaz do dechy. Myślał wyłącznie o jednym i nic nie było go w stanie powstrzymać. Wiedział, wiedział. Całe szczęście, że nie napotkał policji, gdyby bowiem zagroździ mu drogę, rozjechałby ich. Żałował, że nie potrafi fruwać.

U stóp wzgórza, na którym leżało miasto, skręcił z piskiem hamulców w uliczkę, na której nie był tak dawno. Zahamował gwałtownie przed jej domem i wyskoczył z samochodu.

Dom tonął w ciemnościach, ale drzwi frontowe były otwarte. Wpadł do środka, zapalił światło i przebiegł pędem przez pokoje. Psy Kate leżały na podłodze w kuchni. Pudel był martwy, a żółty kundel brutalnie, bezlitośnie skatowany, dogorywał w kałuży własnej krwi. Otworzył oczy, spojrzał na Francisę, jak gdyby błagając o pomoc, przeniósł wzrok na swoją ukochaną miskę i piłeczkę, po czym głowa mu opadła i zamknął oczy.

Teraz Francis był już całkiem pewny, co zastanie. Wykrzykując, jak oszalały, jej imię, wbiegł po schodach na górę. W rozpacz otwierał gwałtownie wszystkie drzwi. Pokoje były puste. Pod wpływem wewnętrznego impulsu otworzył szafę w holu - i tam ją znalazł.

Naga, związana, zakneblowana, leżała twarzą w dół na stercie butów i zwalonych ubrań. Płacząc, chory z przerażenia, pochwycił ją na rękę.

- O mój Boże, o mój Boże! - powtarzał w kółko.

Leżała na łóżku, nie dając znaku życia. Patrzył na nią zrozpaczony. Nie miał pojęcia, co począć. Na szczęście oddychała... Przecież jednak żaden doktor nie odważy się przyjść dzisiaj w nocy. Co będzie, jeśli Kate umrze? Otrząsnął się. Zbiegł po schodach do saloniku, znalazł brandy. Co będzie lepsze, brandy czy woda? Zmoczył ręcznik, by zwilżyć jej czoło. Przysiadłszy na brzegu łóżka, przykrył ją ostrożnie prześcieradłem i zaczął delikatnie przecierać jej twarz wilgotnym ręcznikiem. W głowie dźwięczała mu jedna jedyna myśl: „Kate, och, moja najdroższa Kate, co oni ci zrobili?”

Otworzyła oczy. Patrzyła nań przez długą chwilę, po czym szepnęła:

- Wiedziałam, że przyjdiesz.

- Skąd mogłaś wiedzieć?

- Miałam przeczucie, że to będzie nasz dzień. Nawet zadzwoniłam do ciebie, zanim to wszystko się wydarzyło, ale cię nie zastałam. Powiedzieli mi, że jesteś na przyjęciu. W jego piersi wezbrał nagły ból, pomieszany z ogromną radością.

- Dzwoniłaś do mnie?

- Tak. Strasznie się bałam. Pomyślałam, że jesteś mi bardzo potrzebny... więc do diabła z moją dumą!

- O Boże! - westchnął Francis.

- Okropnie bolą mnie plecy - wyszeptała.

Gdy odwrócił ją ostrożnie, zobaczył, dlaczego. Przez plecy biegły trzy krwawe pręgi. Skóra była przecięta, krople krwi zaschły na brzegach rany. Zrobiło mu się niedobrze na ten widok.

- Kate, czy oni zrobili ci coś poza tym?

- Tylko to, co widać.

Znalazł w łazience słoik z maścią, która z powodu upału była w stanie płynnym. Delikatnie posmarował nią rany.

- Nie wiem, czy to odpowiednie lekarstwo, ale powinno złagodzić ból, zanim uda nam się wezwać lekarza.

- Zdejmij mi korale. Urażają mnie.

Przesuwał w palcach niebieskie koraliki, które jeszcze zachowały ciepło jej ciała. Były tanie i ładne - przez dziwny kontrast przypomniał sobie wspaniałą szmaragd, który nosiła na placu, gdy ją poznał. Wszystko, co zdarzyło się od tamtych pierwszych dni, przestało się liczyć, odpłynęło nagle, jak zbędny świstek papieru, rzucony na wodę. Liczyło się wyłącznie piękne kolorowe



wspomnienie Kate z rozwianymi włosami na wzgórzu w Eleutherze, w hotelowym ogródku, w tym domu. Nic, co się zdarzyło potem, nie było ważne - gorzki, głupi gniew, dumna uraza - wszystko, wszystko przeminęło bez śladu. Wziął ją za rękę.

- Opowiedz mi, co się stało - powiedział.

- Wyszedł ode mnie Franklin Parrish. Znasz Franklina? Przyniósł mi tekst przemówienia do opublikowania w „Trumpecie”. Dosłownie w kilka minut później wpadli oni - - trzech potężnych zbirów. Drzwi były zamknięte na klucz - zawsze je zamykam - ale wybili okno w kuchni i dostali się tamtędy. Psy... - Kate drgnęła. - Psy! Gdzie one są?

Nie wiedział, jak jej to powiedzieć, ale Kate domyśliła się wszystkiego z jego milczenia. Przytrzymał ją na łóżku.

- Nie, proszę cię, nie schodź na dół, Kate. One nie żyją. Rozpląkała się.

- Jesteś tego pewien? Może są tylko ranne? Przypomniał mu się kundel, któremu Kate nadała imię Beans.

- Zajmę się wszystkim. Nie chcę, żebyś to widziała. Kate, kochanie, masz szczęście, że sama uszłaś z życiem.

- Zabili je? Dlaczego? Minęło tyle miesięcy, zanim udało mi się sprawić, by to biedactwo zaczęło ufać ludziom... a teraz pobito je tak bestialsko...

- Ludzie biją również dzieci. - Okrył ją lekko. - Teraz leż, odpoczywaj. Obiecuj mi, że się stąd nie ruszysz. Idę na dół. Niedługo wrócę.

W kuchni zastał Beansa również martwego. Biedne zwierzęta! Biedna Kate, która płakała nie nad sobą, lecz nad nimi!

Znalazł w spiżarni latarkę i bojąc się włączyć silniejsze światło, by nie zwrócić niczyjej uwagi, wyszedł na podwórko. Bóg jeden wie, jakie jeszcze zbiry mogą się włóczyć po nocy.

Ponieważ padało przez cały tydzień, ziemia była miękka. Wykopał dół w ciągu dziesięciu minut, następnie, odczuwając dojmujący gniew, podniósł z podłogi obydwa martwe pieski, wciąż jeszcze lekko ciepłe i lejące się przez ręce, po czym delikatnie ułożył je w grobie i pogłaskał mięką sierść, zanim sypnął pierwszą łopatę ziemi.

Grzebiąc obydwa psy, poczuł przyptyk gwałtownego wzruszenia, jakiemu nie można się poddawać zbyt często, jeśli człowiek chce

zachować równowagę psychiczną. Uczucia, którymi zawsze się kierował - braterstwo, życzliwość, współczucie - przytłumił w tej chwili żal i wstyd, że zamknął się na długi czas przed tym, co było w nim najprawdziwsze.

Skończywszy, odstawił łopatę i wpatrzył się w niebo. Nie było na nim ani jednej gwiazdy. Na głównej ulicy przy końcu zaułka rozległ się jęk syreny. W chwilę później ryknęły silniki samochodów i zapiszczały na zakręcie opony. „Karetki policyjne” - pomyślał. Potem znów zapanowała cisza, głęboka cisza, jak gdyby nawet noc drżała z trwogi. „Boi się tego, co może przynieść poranek - pomyślał. - Ja także”.

Żałował, że nie ma broni. Jedynym, co udało mu się znaleźć w kuchni, był ostry zakrzywiony nóż. Wyjął z lodówki dzbanek z zimną herbatą i zaniósł go do sypialni Kate, kładąc przedtem nóż na podłodze tak, by go nie mogła zobaczyć.

Oslabiona, wsparła się o niego, pijąc herbatę. W słabej poświacie nocy rozróżnił jasne ubrania wiszące w szafie.

- Ależ wsadziłaś kij w mrowisko, Kate! Nie powinnaś była tego pisać! To czyste szaleństwo!

- Po prostu się wściekłam, miałam już tego dość!

- Czy... czy Patrick wiedział o tym? - spytał.

- Skądże! Nigdy nie pozwoliłby mi na to. Nikt nic nie wiedział... Tak bardzo chciałabym, żebyście znów zostali przyjaciółmi, Francisie.

Nie odpowiedział. Gdy skończyła pić herbatę, ułożył ją z powrotem na poduszkach.

- Tyle razy chciałam do ciebie zadzwonić - szepnęła. - Otwierałam książkę telefoniczną tylko po to, by zobaczyć w niej twoje nazwisko. Czy nie zachowaliśmy się jak głupcy, Francisie? Para upartych, dumnych głupców!

- Tak, tak, kochanie. Ale ja byłem największym głupcem. Spostrzegła nóż leżący na podłodze.

- Czy myślisz, że tu wrócą?

- Nie, nie sądzę. Zrobili już to, po co ich przysłano. - Odpowiadając na jej nieme pytanie, dodał: - Ale nie zostawię cię samej.

Na zewnątrz panowała złowieszcza cisza. Pomyślał z obawą o Marjorie i dziecku. Nie są przynajmniej same. Jest Osborne i lojalni służący. Podniósł słuchawkę telefonu.

„Czy wróciła bez przeszkód z Fawcettami? Czy w domu wszystko w porządku? Tak? To dobrze. Nie ma powodu do obaw, prześpi się w hotelu, a rano będzie w domu, w każdym razie, gdy drogi będą już bezpieczne. Nie, wyjaśni jej później. Chciał się tylko upewnić, że w domu panuje spokój.”

Odwróciwszy narzutę, położył się obok Kate, uważając, by nie dotknąć jej obolałych pleców. Kate zasnęła, on jednak nie mógł zmrużyć oka. W głowie miał straszliwy mętlik, był tak wyczerpany, że sen nie chciał przyjść. Raz obudziła się, wołając jego imię.

- Jestem tutaj - odpowiedział natychmiast. - Nie bój się. Jestem tutaj. - Ponownie zapadła w sen.

W środku nocy uświadomił sobie nagle, że słyszy tykanie zegara, czego, w swym podnieceniu, poprzednio nie zauważył. Miał wrażenie, że w miarę, jak nocy ubywa, zegar tyka coraz szybciej. Pragnął, by trwała jak najdłużej, któż może bowiem wiedzieć, co przyniesie ranek?

Szary świt nadszedł jednak o czasie, wpełzając na sufit sypialni. Nieświadome niczego ptaki rozpoczęły swe poranne trele. Kate poruszyła się.

- Kochanie, jestem przy tobie - powiedział znowu.

Odwracając ją do siebie, ostrożnie, by nawet leciutko nie dotknąć jej pleców, oparł jej głowę na swoim ramieniu. Leżał długo, wtuliwszy policzek w jej włosy i czując bicie jej serca.

Obudził ich na dobre wystrzał armatni.

- Co to było? - wykrzyknęła Kate.

- Nic, nic - uspokajał ją. - Połóż się i śpij.

Ona jednak usiadła na łóżku, czujna i całkiem przytomna.

- Działa. To były działa, prawda?

- Tak. - Podeszedł do okna. Nie było nic widać. Włączył radio.

Cisza.

- Zamknęli radiostację - rzekł ponuro. - Ciekawe, czy działają telefony.

Gdy jednak podniósł słuchawkę, usłyszał sygnał. W jednej chwili podjął decyzję.

- Do kogo dzwonisz? - spytała szeptem Kate.

- Do Nicholasa - odpowiedział z wciąż ponurą miną.

- Nie rób tego! - zawołała. Ale Nicholas odebrał już telefon.

- Mówi Francis Luther. - Jego wściekłość doszła do zenitu. - Jestem z Kate Tarbox w jej domu.

- Ach tak, oczywiście.

- Czy to jedyne, co masz mi do powiedzenia?

- Nie, powiem ci jeszcze, że jest bardzo głupią kobietą i miała szczęście, że ci ludzie jej nie zabili.

- Niemal to zrobili. Jak sądzisz, ile czasu może przeżyć człowiek związany i zamknięty w szafie?

- Bardzo mi przykro. Byłem doprawdy wstrząśnięty.

- Nicholasie, nie rozmawiasz z dzieckiem. „Byłem wstrząśnięty.” Jak gdybyś nic o tym nie wiedział.

- Bo rzeczywiście nic nie wiedziałem. Polityka to osobliwa sprawa, zawsze to mówiłem. Człowiek ma do czynienia również z dość brutalnymi ludźmi. Po prostu niektórzy z tych facetów wściekli się z powodu kłamstw tej pani i postanowili zamknąć jej buzię. To wszystko.

- Nicholasie, powtarzam, że nie rozmawiasz z dzieckiem!

- Naprawdę przypuszczasz, że maczałem w tym palce? O nie, wciąż jestem lojalny wobec przyjaciół - to jedna z moich słabości - nawet jeśli tego nie odwzajemniają. Kate Tarbox, poza tym, że jest głupia, jest również byłą żoną Lionela Tarboxa. Jest też przyjaciółką mego przyjaciela Patricka, któremu, niestety, ostatnio trochę odbiło. Widzę jednak, że bez względu na przeszłość, ciebie przede wszystkim interesuje, czy jej się nic nie stało. Szkoda, że zrobiło się tutaj takie zamieszanie! Moglibyśmy żyć sobie wszyscy miło na tej pięknej wyspie, gdyby tylko uprzykrzone komary w rodzaju tej Tarbox przestały brzęczeć, podkopując zaufanie...

- Zaufanie do twojej policji... - udało się wtrącić Francisowi.

- Policja nie byłaby potrzebna, gdyby obywatele zachowywali się przyzwoicie. A teraz, wybacź, Francisie, ale czeka mnie pracowity dzień. - Odłożył słuchawkę.

Francis, z miną wyrażającą kompletne zniechęcenie, zrobił to samo.

- Pamiętasz, że nigdy mu nie wierzyłam? - spytała cicho. - Od samego początku wyczuwałam... Nigdy nie wiedziałam, po czyjej naprawdę jest stronie. Wolałam już raczej mieć na co dzień do czynienia z kimś takim, jak Lionel. Z nim przynajmniej wszystko było jasne! Francisie - czy nigdy nie zastanowiło cię, czemu Nicholasa nie

było na wyspie pięć lat temu podczas fali strajków? Nie chciał się zdeklarować po żadnej stronie, by nie narobić sobie wrogów. Grał na oba fronty i pozostawił wszystko Patrickowi, żeby na niego spadło całe odium.

Gdy się odwróciła, zobaczył, że paskudne pręgi na jej plecach bardzo nabrzmiały.

- Koniecznie musimy ściągnąć dzisiaj lekarza - powiedział Francis, zastanawiając się, czy zaryzykować przejazd przez ulice, czy też może ktoś zechce przyjechać. Nagle usłyszał uporczywe stukanie do drzwi na dole. Podniósł nóż, czując się głupio, a jednocześnie wiedząc, że postępuje słusznie. Trzymając go tak, by było go widać, uchylił drzwi.

- Czy to ty, Francisie? - spytał Patrick Courzon. Potargany i zmęczony, ledwo się trzymał na nogach. - Właśnie się dowiedziałem. Co z nią?

- Wejdz. Wszystko w porządku, z wyjątkiem pleców... wychłostali ją. Patrick spojrział na niego ponuro.

- Sytuacja jest niewesoła. Toczy się walka o radiostację i lotnisko. Na szczęście mnóstwo ludzi przeszło na naszą stronę. Mniej więcej połowa policjantów przyłączyła się do nas około czwartej nad ranem. Mamy już około piętnastu zabitych. - Zabrakło mu tchu. - Na ulicach panuje krwawy chaos.

Przez chwilę Francis nie był w stanie wykrztusić słowa, nie potrafił wyrazić swego ubolewania czy zakłopotania.

- Byłem tu przez całą noc - powiedział w końcu.

- Wracaj lepiej do Eleuthery, gdy tylko będziesz mógł. W tej dzielnicy panuje na razie spokój. Przyślę ludzi, którzy będą pilnować jej domu. - Patrick odwrócił się.

Francis wyciągnął doń rękę.

- Wiem, że nie czas teraz na rozmowy, ale chciałbym ci tylko powiedzieć, że wczoraj w nocy spotkało mnie coś, co można by nazwać rodzajem objawienia. - Odważywszy się wypowiedzieć te słowa, poczuł nagle, że zakłopotanie ustępuje miejsca przyływowi energii.

Patrick uścisnął mu dłoń.

- Wobec tego życz nam szczęścia - rzekł po prostu i, uśmiechnąwszy się, odszedł.

Francis wrócił do domu około południa. Omijając posterunki policji i wioski, gdzie mógłby trafić na rozruchy, wybrał długą, krętą trasę drogami polnymi, nieco tylko szerszymi od górskich ścieżek. Radio w samochodzie informowało go o biegu wypadków - odbito radiostację. Na całej wyspie toczyły się walki. Zajęto koszary, miały miejsce liczne aresztowania, zamknięto lotnisko. „Nie mogę więc wysłać Marjorie i Megan do Stanów” - pomyślał z przerażeniem. W enklawie domków należących do hotelu „Lunabelle” znaleziono ukryte zapasy broni. W pewnej chwili rozległ się głos Patricka, wzywający turystów do pozostania w hotelach i zapewniający, że nie mają się czego obawiać. „Hm - pomyślał Francis. - To, że radiostacja znajduje się w dyspozycji Patricka, musi chyba coś oznaczać?”

Wczoraj o tej porze był jeszcze po przeciwnej stronie, a raczej po żadnej stronie. Zastanawiał się, jakie dziwne przeczucie, a może podświadoma tęsknota zaprowadziła go wczoraj do domu Kate i przywróciła do sytuacji, w której znajdował się pięć lat temu.

Gdy wszedł do domu, zastał Marjorie również słuchającą radia.

- Byłam na ciebie wściekła - powiedziała. - Postanowiłam jednak nie marnować energii. Jesteś niemożliwym dziwakiem i powinnam się była do tego przyzwyczaić. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dokąd cię poniosło?

- Widziałem się z Patrickiem - powiedział, co przecież nie było kłamstwem.

- Z Patrickiem? Po co, u diabła?

- Myliłem się co do niego. Bardzo się myliłem i przyznałem, że tak było.

- Nie wierzę! Znow ten dawny sentyment! Myślałam, że już pozbyliśmy się tego faceta. Co cię w nim tak fascynuje?

- To absurdalne, Marjorie. To kwestia zasad, nie fascynacji.

- A więc znowu jesteś po jego stronie!

- Po tym wszystkim, co zobaczyłem - tak! Po prostu późno przejrzałem na oczy.

- Nieważne, skoro wyjeżdżamy, nie ma to już znaczenia - westchnęła Marjorie. - Marzę tylko o tym, żeby wynieść się stąd jak najprędzej. Szczerze mówiąc, jestem śmiertelnie przerażona. Mam wrażenie, że ty się nie boisz.

- Zapewniam cię, że bardzo się boję.

Jeśli utrzyma się cała ta banda Nicholasa... Wzdrygnął się na myśl o tym, co może grozić Kate i Patrickowi oraz wielu innym, których nazwisk nie znał. Bóg jeden wie, co ich czeka.

Radio trzeszczało przez całe popołudnie. Słysząc było, że na ulicy przed budynkiem rozgłośni radiowej toczą się walki, aż wreszcie wyraźnie przestraszony spiker poinformował, że napastnicy zostali odparci. Komunikaty podawano do samego wieczora, walki nie przyniosły jednak zdecydowanego rozstrzygnięcia. A udreńczony kraj czekał...

Marjorie położyła się spać, Francis zaś udał się do biblioteki, jedyne go pokoju, który należał wyłącznie do niego. Nie miał tam nic do roboty, po prostu czuł się dobrze w otoczeniu znajomych przedmiotów - chińskich figurynek z kości słoniowej na półkach, książek i pięknego obrazu pędzla Anatole'a Da Cunha, przedstawiającego robotników ścinających trzcinę cukrową, który podarował mu ojciec. Podeszedłszy do okna, rozsunął zasłony. Ktoś, najpewniej Osborne, dopilnował, by na wszelki wypadek włączono oświetlenie. Reflektory, ukryte nisko w zaroślach, wyznaczały srebrzyste ścieżki w gęstym mroku. Noc była tak spokojna i piękna, że wyciągnął do niej ramiona w przypływie nagłej wdzięczności.

Nękały go różne obawy. Jego własne sprawy ciążyły mu straszliwym brzemieniem. Córka, leżąca w łóżeczku na górze, mimo iż jest jego „cieniem”, nigdy nie będzie dzielić się z nim myślami. Żona, związana z nim przez dziecko, lecz nie dzieląca z nim miłości. Mimo to odczuwał ogromną, pełną nabożnego podziwu wdzięczność.

Wypadki następnych trzech dni odbiły się szerokim echem na całym świecie.

„Demonstrując zadziwiającą lojalność i siłę, partia pod przywództwem Patricka Courzona przywróciła porządek na St. Felice. Ponad trzystu żołnierzy i policjantów, wspomaganych przez setki obywateli, w tym młodzież z różnych podziemnych lewicujących ugrupowań, połączyło wysiłki, by wyprzeć siły rządowe. Na wszystkich rządowych punktach oporu wywieszono białe flagi na znak kapitulacji, wszędzie natomiast powiewają dumnie zielono - białe sztandary z emblematami Courzona. Wprowadzono godzinę policyjną... Liczbę zabitych i rannych szacuje się na jakieś siedemdziesiąt - osiemdziesiąt osób. Wybory odbędą się w planowanym uprzednio terminie...”

„Miejsce pobytu premiera nie jest znane. Plotka głosi, że schronił się gdzieś na wsi w oczekiwaniu na wynik wyborów. Minister sprawiedliwości został aresztowany i jest pilnie strzeżony w obawie przed gniewem obywateli...”

„Partia Courzona odniosła przytłaczające zwycięstwo. Ustalono, że ubiegłej nocy, wkrótce po ogłoszeniu wyników wyborów, Nicholas Mebane wraz z dużą grupą swoich ludzi wypłynął jachtem na pełne morze. Sądzi się, że po krótkim pobycie w Nowym Jorku wielu członków poprzedniego rządu wyjedzie do Europy, gdzie mają swoje rezydencje...”

„Nowy premier, obejmując urząd, złożył obietnicę wiwatującym tłumom, że przywróci i utrzyma solidne demokratyczne państwo, w którym będą przestrzegane prawa obywateli.”

Kate pozmywała naczynia po kolacji. Już od miesiąca, odkąd Marjorie wyjechała do Nowego Jorku z Megan, by odwiedzić rodzinę i poszukać dla nich mieszkania, Francis po dniu pracy w Eleutherze, codziennie przyjeżdżał tutaj. Tu był jego prawdziwy dom. Zachodzące słońce rzucało ciemnozłoty odblask na zwisający filodendron, na prostą zastawę z ząbkowanym brązowym ornamentem oraz na białą sukienkę Kate.

- Może napijemy się kawy na powietrzu - powiedziała. - Tam jest już o wiele chłodniej.

Na małym podwórku gęste liście rzucały smutny cień na tacę z filiżankami i dzbanek. Wieczór odcisnął również ponure piętno na duszy Francisca. Za dwa dni wraca Marjorie. Coraz bardziej zbliża się termin wyjazdu. Wszystko toczyło się z coraz większą szybkością, nieuniknione zbliżało się wielkimi krokami.

Kate karmiła kawałkami ciasta dwa czarne kędzierzawe szczeniaki, które wzięła ze schroniska po śmierci swoich ulubieńców.

- Nie powinny jeść słodczy - powiedziała, choć Francis nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. - Ale od czasu do czasu lubię je tak rozpieszczać... Dodała, przeciągając słowa: - John Lamson chce się ze mną ożenić.

Przez chwilę Francis był nie tylko wstrząśnięty, lecz i speszony, bowiem nazwisko to nie było mu znajome. Wreszcie sobie przypomniał. Tak, to czyjś kuzyn, który prowadzi praktykę prawniczą w Curacao i przyleciał tu jako przedstawiciel którejś z dużych firm w celu zawarcia kontraktu... Szerokie ramiona, wysoki, miły w obejściu.



Z zazdrości zabrakło mu tchu. Odczuł ją niemal fizycznie, niczym cios w splot słoneczny. Przez chwilę nie był w stanie wykrztusić słowa. Spojrzał na nią - zamyślona, skubała bezwiednie materiał spódniczki. „Dobrze więc - pomyślał ze złością. - Niech sobie wyjedzie, przynajmniej nie będę zasypiał, wiedząc, że dzieli ją ode mnie niecała godzina drogi, nie będę ciągle rozglądał się na ulicy z nadzieją, że dostrzegę jej twarz.” W tej chwili uprzytomnił sobie, że to przecież on wyjeżdża.

- I co? - spytał cicho. - Wyjdiesz za niego?

- Nie. Już raz poszłam na kompromis. Zdecydowanie nie.

- Może powinnaś - odważył się powiedzieć. - Byłoby to dla ciebie lepsze od samotności.

- Powiedziałam - nie!

Odstawił filiżankę tak energicznie, że łyżeczka podskoczyła na spodeczku.

- Och, tak bardzo chciałbym... - zaczął. Dotknęła dłonią jego warg: - Cśś! Nie mów nic.

Siedzieli w milczeniu. Niebo ciemniało coraz bardziej, aż w końcu pozostał już tylko Pas mlecznego błękitu, daleko, daleko, gdzie słońce kryło się za horyzontem. Spóźniony Ptak, na wpół śpiący, zaczął przestraszony. Pies zaczął się drapać, stukając tylną łapą o płytę chodnika. Znow Francis niemal namacalnie odczuł nieubłagany upływ czasu. Oto już wkrótce utraci ją na zawsze.

Spojrzał na Kate. Siedziała z przechyloną głową, wpatrując się w jakiś nieokreślony punkt. Było to dla niej bardzo nietypowe - wydawała się mała i krucha. Musi zrobić cokolwiek, by znow była jego Kate, pełną życia, mającą mnóstwo do powiedzenia.

- Może pójdziemy jeszcze popływać? Mam godzinę czasu - powiedział, czując się tak, jak gdyby proponował dziecku prezent na otarcie łez.

- Nie możemy. Właśnie przypomniałam sobie, że mają przyjść Patrick i Desiree. Coś kupiła dla mnie we Francji.

- Biedna Desiree. Cieszę się, że wreszcie mogła tam pojechać.

Kate rozpromieniła się.

- Tak, to był urodzinowy podarunek od Patricka. Właściwie nie bardzo go było nań stać z powodu zbliżających się dwóch ślubów, ale strasznie mu na tym zależało.

- Laurine dokonała dobrego wyboru. Franklin Parrish to świetna partia. Dobry człowiek, w dodatku człowiek z przyszłością.

- Wolę go od narzeczonego Maisie, chociaż jej matka nie posiada się z radości.

- Czy ja go znam?

- To rodzina Hammondów. Właściciele Ginevry.

Francis zagwizdał.

- Znając Desiree, wyobrażam sobie, jak jest zachwycona. Nie byłem tam, ale przejeżdżałem obok - rzeczywiście jest tam bardzo ładnie.

- No cóż, inna sfera - powiedziała Kate z nieco wymuszonym uśmiechem. - Ojciec ma chyba tylko jedną ósmą krwi murzyńskiej. Jego maniery nie pozostawiają nic do życzenia.

- Byłaś tam?

- Zostałam zaproszona na lunch z Desiree i panną młodą. Gospodarz opowiadał nam, że jego praprababka była kochanką lorda Whitby. Zabawne, ale będąc tam, przypomniałam sobie, że jeden z moich prapra też nazywał się Whitby. Może mamy więc wspólnych przodków.

- Czy wspomniałaś mu o tym? - spytał Francis. Z jakiegoś powodu był ciekaw.

- Nie. Nie wiem czemu, ale przy całym moim braku uprzedzeń, poczułam się niezręcznie - powiedziała szczerze.

- A więc to tkwi w nas, niezależnie od tego, co mówimy?

- W pewnym stopniu. Nie jesteśmy przecież aniołami. - Uśmiechnęła się. - O, właśnie przyjechali.

Przed domem zatrzymał się samochód i po chwili zza węgła domu wynurzył się Patrick z Desiree. Patrick niósł pod pachą płaską paczkę zawiniętą w papier.

- Czy możemy wejść do środka? Do obejrzenia prezentu potrzebne jest światło Wybory i od dawna upragniona podróż ożywiły Desiree.

Miała na sobie suknię, którą musiała kupić w Paryżu - przecież właśnie po to jeździ się do Paryża! - i była podniecona ceremonią wręczania prezentu.

Patrick rozwiązał sznurek i wyjął z papieru obraz w wąskich złożonych ramach.

- To Anatole Da Cunha - powiedziała Desiree. - Kupiłam dwa obrazy, byś mogła sobie wybrać. Mnie bardziej podoba się tamten drugi, z łodziami rybackimi, naprawdę śliczny, ale Patrick uparł się, że ten jest lepszy i koniecznie powinnaś go mieć.

Pod krzewem winorośli siedziała wśród zwisających niczym stalaktyty kiści winogron młoda, brzemienna kobieta w brązowej sukni. Szczupłe białe dłonie splotła na wypukłym brzuchu.

- Ale to taki zwyczajny obraz. Poza tym, kto chciałby mieć obraz brzemiennej kobiety? - narzekała Desiree. - Oczywiście, to Da Cunha...

- Możesz mi wierzyć, że nie ma porównania - powiedział Patrick. - Kate musi mieć właśnie ten.

- Jest naprawdę piękny - powiedziała wyraźnie poruszona Kate. - Piękny. Taka cierpliwa, oczekująca na dziecko, nie wiedząc, kim ono będzie. Przecież przeżyłaś to, Desiree, musisz znać to uczucie. Po prostu przepiękny - powtórzyła cicho.

- Wobec tego bardzo się cieszę. Wiesz, jak doszło do tego, że kupiłam te obrazy? Przeczytałam w gazecie wzmiankę o śmierci Anatole'a Da Cunha. Nigdy się nie ożenił, ale żył przez wszystkie te lata z jedną kobietą. Potrzebne jej były pieniądze - dziwne, jak często znani ludzie nie zostawiają ani grosza. Sprzedawała jedenaście obrazów, poszłam więc je obejrzeć. Wysłałam nawet telegram do Patricka, by przesłał pieniądze na zakup obrazów dla naszego muzeum, ale on uważał, że kraj bardziej potrzebuje teraz innych rzeczy. Kupiłam więc te dwa dla nas. Zresztą do mojego przyjścia pozostały już tylko te dwa.

- Powieszę go nad fortepianem - powiedziała Kate. - To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Zostańcie chwilę, uczcimy tę okazję.

- Na pewno nie przeszkadzamy?

- Siadajcie - powiedział Francis.

Światło lampy padało na obraz, który Kate oparła o fortepian. Fala gęstych włosów spływała po obu stronach szczupłej twarzy kobiety, ujętej przez malarza en trois quarts. Miała okrągłe oczy i wydatny nos. Francis uderzyło niezwykle podobieństwo do jego matki. „Tak właśnie musiała wyglądać w młodości - pomyślał. - Melancholijna, wrażliwa, zawsze trochę zamknięta w sobie.”

Co chwilę spoglądał na portret, ledwie słuchając rozmowy. Miał uczucie, że potrafi siłą woli zmusić kobietę z obrazu, by odwzajemniła jego spojrzenie. Bzdura! Siedział jednak jak pogrążony w transie. Młoda kobieta o pięknych dłoniach i pochylonej głowie wносиła dziwny spokój do tego pokoju.

- Wyglądasz na zmęczonego, Patricku - zauważyła Kate.

- Bo rzeczywiście jestem ogromnie zmęczony - przyznał. - Właśnie wróciłem z Martyniki, od matki. Jest śmiertelnie chora i to jest przyczyną mego zmartwienia. Muszę jednak wyznać, że najbardziej wykończyła mnie psychicznie cała ta sprawa z Nicholasem. Bardzo to przeżyłem. - Ponieważ nikt się nie odezwał, mówił dalej: - Właściwie ucieszyłem się, że uciekł z kraju razem z całą swoją bandą. Nigdy nie odzyskalibyśmy tego, co nakradli, procesy kosztowałyby majątek i wywołałyby to na nowo gniew i nienawiść, a czeka nas jeszcze długa, długa walka. Mnóstwo ludzi na tej wyspie pragnie wziąć odwet za przeżyte udreki.

Kate wniosła tacę z drinkami. Francis podał je gościom. Podniósł szklaneczkę do góry.

- Za zdrowie nas wszystkich!

- A szczególnie za twoje zdrowie, Patricku - dodała Kate - ponieważ to na twoich barkach spoczęło ogromne brzemię.

- Owszem, jest to brzemię, ale zrobiliśmy już dobry początek. Cieszę się, że mianowałem Franklina ministrem finansów przed jego ślubem z Laurine, w przeciwnym razie oskarżono by mnie o nepotyzm - roześmiał się Patrick. - Może i tak mnie oskarżą, ale mam to w nosie. Nie mógłbym wybrać na to miejsce lepszego człowieka. - Mówił z ożywieniem, najwyraźniej poczuwszy nagłą potrzebę, by się wygadać. - Pracujemy nad likwidacją slumsów. Chcę skasować Trenches, zanim się rozprzestrzenia jeszcze bardziej. Pozyskałem kilku prywatnych inwestorów, pewną firmę kanadyjską, rząd będzie gwarantem pożyczki. Inna firma zgłosiła się do mnie w tym tygodniu w sprawie budowy zakładów przetwórstwa pomidorów. W tym klimacie z pewnością możemy dostarczyć każdą ilość pomidorów! Prowadzę też negocjacje z Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Co jeszcze mam na tapecie w tym tygodniu? Projekt ustawy, żądającej od właścicieli plantacji, by sprzedali wszystkim użytkownikom, którzy tego zechcą, domy wraz z kawałkiem ziemi. Od dawna im się to należy.

- Ja już to zrobiłem - powiedział szybko Francis. - Moje pola trzciny cukrowej po drugiej stronie drogi sprzedaję każdemu użytkownikowi, który wyrazi chęć kupna. Część ziemi podarowałem kilku najstarszym. - Nie potrafił ukryć satysfakcji, że jako pierwszy uczynił z własnej woli to, co na innych rząd chce wymóc za pomocą prawa. Uświadomiwszy sobie nagle, że jego słowa mogły zostać odebrane jako chępczenie się, dodał natychmiast: - Absolutnie nie mówię tego po to, by się wynosić ponad innych. Chciałem po prostu, byś wiedział.

- Naprawdę to doceniam - odrzekł Patrick nieco oficjalnie. Francis widział, że jest wzruszony, a jednocześnie zbyt nieśmiały, by to okazać.

- Cóż, zawsze robiłem, co mogłem. Po prostu chciałem to robić. Niektórzy plantatorzy również.

- Nie było ich wielu - powiedział Patrick wzdychając. - Martwi mnie, że wszystko przebiega zbyt wolno. Mamy niewiele czasu na uporządkowanie sytuacji.

- Chyba zbyttnio się przejmujesz. Sytuacja wcale nie wygląda tak źle. Przede wszystkim nikt nie głoduje. Od czasu wyborów wstąpiła w ludzi nowa nadzieja...

- Czasy są bardzo niebezpieczne. Nicholas miał rację w wielu sprawach, tyle że próbował zło zwalczyć złem.

- Także napchać sobie kieszenie - dodała Kate z gniewem.

- Prawdą jest, że pomogła mi lewica. Nie mam zamiaru oszukiwać sam siebie. Wielu młodych mężczyzn, którzy stoczyli walkę z tajną policją i odbili rozgłośnię radiową, wywodzi się spośród ludzi, z którymi - przykro mi to wyznać - związany jest Will, choć uparcie temu zaprzecza. Tak, to prawda, wspomogli mnie. Kiedy człowiek znajduje się w rozpaczliwej sytuacji, przyjmuje pomoc od każdego. Dobrze jednak pamiętam, że sowieci są na Kubie, a Kuba leży bardzo blisko nas. Obozy szkoleniowe dla terrorystów, sowieckie karabiny AK - 47, eskadry lotnicze, pościgowe łodzie patrolowe, urządzenia portowe dla łodzi podwodnych, samochody terenowe i ciężarówki - wszystko pod naszym bokiem. Gdy dojdą do wniosku, że uda im się usunąć stąd mnie oraz moich zwolenników, znajdą się również na St. Felice.

Jego słowa wciąż rozbrzmiewały groźnym echem w pokoju. „A więc znów ma być tak samo, jak za Nicholasa, albo jeszcze gorzej -

pomyślał Francis. - Czy to się nigdy nie skończy?" Odpowiedział sam sobie: „Nie, trzeba zawsze zachowywać czujność."

- Najgorsze, że przekabacają naszą młodzież - powiedział z bólem Patrick.

- Och, ten Will! - zawołała Desiree. - Tak bardzo przez niego cierpisz.

- Dobrze, dobrze, wszyscy wiedzą, o co ci chodzi - powiedział Patrick. - Szkoda, że w ogóle go wzięliśmy, tak?

- No, cóż - odparła spokojnie - czy ty tego nigdy nie żałujesz? Tylko powiedz prawdę!

- Nie mogłem postąpić inaczej. Gdybym go jeszcze raz spotkał przy drodze w takim stanie, zachowałbym się identycznie. - Uciekł spojrzeniem w bok, a potem przeniósł je na obraz. - Ale pomówmy o miłszych sprawach... Obraz jest po prostu przepiękny. Nie sądzę, by Da Cunha namalował w życiu coś piękniejszego. - Odwrócił się do Francis. - A więc naprawdę wyjeżdżasz?

- Tak.

- Kiedy?

- W przyszłym miesiącu. Za tydzień dokumenty będą gotowe do podpisu, możemy więc wyjechać w czerwcu. - Francis spojrzał Patrickowi prosto w oczy. - Jest mi okropnie wstyd. Nie rozmawialiśmy wcześniej, ale musiałeś z pewnością o tym myśleć. Chodzi mi o to, w jaki sposób opuszczam wyspę. Ci ludzie, kasyno i wszystko, co za sobą pociąga - nienawidzę tego! Nienawidzę z całego serca i cieszę się, że za rządów twojego gabinetu nie będzie miejsca na takie rzeczy. - Francis wyciągnął ręce błagalnym gestem, jak gdyby prosząc o zrozumienie. - Jednakże w mojej sytuacji, przy braku innego kupca... A ja muszę wyjechać. Muszę

- Wiem - powiedział Patrick. Następnie dodał po chwili milczenia: - Przepraszam, czy nie obrazisz się, jeśli spytam cię, co z Kate?

Francis, czując, że pod powiekami zaczynają szczypać go łyzy, straszliwie zakłopotany, zdołał tylko wykrztusić:

- Ona rozumie...

Zrobiło się już całkiem ciemno. Desiree zmieniła taktownie temat, mówiąc o ślubach swoich córek, za co Francis był jej ogromnie wdzięczny. Być może odbędzie się podwójny ślub, bowiem Maisie, choć ma dopiero siedemnaście lat i jest zbyt młoda na małżeństwo,

wybrała sobie takiego wspaniałego chłopca... Plotła tak, dopóki po krótkiej chwili nie pożegnali się i nie wyszli.

Francis został z Kate. Wyjęła swój haft i usiadła z nim, marszcząc brwi. Milczała.

- Wiesz, że gdyby nic chodziło o Megan - powiedział nagle - przecież wiesz, prawda?

- Ależ tak. kochanie.

- Czuję się taki winny. Ja jestem sprawcą tego, że przyszła na świat, choć powinienem był wiedzieć, czym to może grozić. To ja nałożyłem to brzemie na barki Marjorie. - Głos mu drżał.

- Mówiłam ci już tyle razy - odrzekła cierpliwie Kate - że nie wolno tak myśleć. Twoje obnoszenie się z tą winą nikomu nie pomoże.

- Nie mogę zostawić Megan - powtórzył po raz tysięczny. - Ach, jaka szkoda! To ty powinnaś mieć dzieci. Kate.

- Gdybym miała dzieci, prawdopodobnie nigdy nie porzuciłabym Lionela Biedny stary Lionel! Nie mam pojęcia, czemu zawsze mówię o nim „stary”, skoro wcale taki nie jest.

- On chyba się już urodził stary. Zupełnie tak, jak ja - rzekł ponuro Francis. Kate odłożyła robótkę.

- Tak, jak ty! Nigdy nie słyszałam nic głupszego! - Zamyśliła się.

- Wiesz, czasem wydaje mi się, że Lionel nigdy niczego naprawdę nie przeżywał. Może tacy ludzie są w lepszej sytuacji. Kiedy odeszłam od niego, czuł się upokorzony i nic więcej, nie cierpiał, podczas gdy ja...

- Nie dokończyła zdania.

Francis, przypatrując się jej, gdy tak siedziała z głową pochyloną nad materiałem, myślał o tym. Jaka będzie, gdy się zestarzeje, uświadamiając sobie z dojmującym bólem, że on tego nie będzie widział...

- Co poczniesz teraz ze swoim życiem? - spytał nieoczekiwanie.

- Och. dalej będę tu mieszkała i pracowała w redakcji gazety. Tym razem mam zamiar wziąć na widelec lewicowców...

- Na miłość boską! - przerwał jej. - Nie wyskocz znów z jakimś szaleństwem. Uważaj na siebie. Nie zniósłbym, gdyby...

Usiadł na podłodze obok krzesła Kate, opierając głowę o jej kolana. Poglaskała go po głowie. Gdy się nad nim pochyliła, poczuł falę ciepła bijącego od jej ciała, słodki zapach wetiwerii, który zdawał się towarzyszyć jej zawsze i wszędzie.

- Pomyślałam... mimo wszystko lepiej, że wyjeżdżasz. Nie potrafiłabym żyć tak, jak w tej chwili, dzieląc cię z Marjorie i twoim dzieckiem. Wiem, że dzieje się tak od stworzenia świata, ale to nie dla mnie. Gdybyś został, chciałabym być z tobą. Czułabym się straszliwie rozdarta. Ucałował jej palce i przeguby, na których krzyżowały się błękitne żyłki, potem ramiona i szyję.

- Chodźmy na górę - powiedziała.

To była ich pora. W miejscu, gdzie podchodziła do łóżka, całkiem naga, zawsze padała smuga jasnego światła - czasami z holu, a czasem przez okno, podczas księżycowej nocy. Kremowa zjawa materializowała się wśród ciemności, po czym zupełnie nie przypominając już ducha, ciepła i płonąca pożądaniem, kładła się obok niego...

Stary zegar na półpiętrze wybił dziesiątą. Francis usiadł i zapalił lampę.

- Muszę zacząć się zbierać.

Kate wstała i wyjęła z szafy bawełniany kwiecisty szlafroczek. Zeszła bosą na dół, by odprowadzić Francisą do drzwi. Gdy się schylił, by ją pocałować, zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Zaczekaj chwilę, Francisie. Muszę ci coś powiedzieć... nie chciałam mówić przedtem.

Coś w wyrazie jej twarzy zaalarmowało go.

- Co takiego?

- To był nasz ostatni raz. Tylko tyle chciałam ci powiedzieć.

- Co przez to rozumiesz? - wykrzyknął.

- Po raz ostatni byliśmy razem. - W oczach Kate błyszczały łzy.

- Och, nie!

- Tak być musi, Francisie, posłuchaj mnie. Marjorie wraca pojutrze. W przyszłym miesiącu wyjeżdżasz. Po co przedłużać to wszystko? Miesiąc dłużej nic nam nie da. Będzie nam tylko trudniej się rozstać.

- Nie może być trudniej niż w tej chwili.

- Owszem, może. Kochanie, musimy podjąć męską decyzję! Ile razy można przechodzić przez ten... - Nie dokończyła.

Przytulił ją mocniej do siebie.

- Dzielna Kate. Tak bardzo dzielna.

- Mam co do tego duże wątpliwości. Człowiek lubi sobie wmawiać, że ma charakter, godność i zachowałby je, gdyby nawet



powiedziano mu, że umiera na raka. Mam nadzieję, że udałoby mi się...

- Boże uchronij!

- Nie wiem, czy nie byłoby to łatwiejsze.

- Wrócę tu - powiedział z rozpaczą. - Będę wracał co roku na pewien czas... - Nie. To nie jest dobre rozwiązanie. Musimy się rozstać, przeciąć naszą znajomość jednym pociągnięciem skalpela, a potem każde z nas musi się nauczyć z tym żyć. W odpowiedzi przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Tak, teraz jest gorzej. Znacznie gorzej niż wówczas, gdy znajdowaliśmy się po przeciwnych stronach i byliśmy na siebie tacy wściekli. Poza tym jestem teraz o pięć lat starsza. Człowiek się zmienia, te pięć lat odcisnęło swoje piętno. Na tobie również.

- Kocham cię, tak bardzo cię kocham, Kate - powiedział. Przez głowę przelatywały mu myśli, niczym strzępy jasnego papieru unoszonego przez wiatr: Kocham pikowaną kołdrę w ptaki, zastawę z ząbkowanym ornamentem, nawet twoje dwa szczeniaki i skrzypiącą furtkę. Kocham twoje różowe pantofelki pod łóżkiem, twoją szylkretową szczotkę do włosów na toaletce, to, że lubisz śpiewać w kuchni, twój spokój i szparkę między przednimi zębami. Kocham cię, gdy grasz Brahmsa, tańczysz, gdy twoje włosy rozwiewa wiatr, kocham cię, cię, cię... - Łzy płynęły mu strumieniem po twarzy.

Otarła mu oczy rękawem. Otworzyła drzwi. Nocne niebo srebrzyło się ponad czarną strzępiastą linią drzew.

- Francisie, czy pamiętasz, jak kiedyś mówiłam ci, że Inkowie mieli zwyczaj przesyłać pocałunki wschodzącemu słońcu? Uczyń to każdego ranka. Dokądkolwiek pojedziesz, gdziekolwiek będziesz, zawsze pomyślę o tobie rano, gdy zobaczę wschodzące słońce.

Nie pamiętał później, jak wsiadł do samochodu, jak dojechał do domu, trafił do swego pokoju, rzucił się w ubraniu na łóżko i przeleżał na nim z twarzą w poduszkę aż do rana.

## Rozdział 24

Dzień się kończył, gdy Will zbiegał ze wzgórza w kierunku Trenches. W dole lśniły srebrzyście blaszane dachy i porzucone samochody. Byłby to nawet piękny widok, gdyby człowiek nie wiedział, skąd się bierze. Wyżej, po lewej stronie zatoki migotały światła luksusowego osiedla Cap Molineaux. „Trzeba oddać Patrickowi sprawiedliwość, że nigdy nie dał się zwieść takim pokusom - pomyślał Will. - Nawet gdyby było go na nie stać, nie pociągałyby go. Gdy skończy się jego kadencja, z pewnością powróci do starego domu na Library Hill, który obecnie komuś wynajęli.”

Will nie chciał przenieść się do pałacu gubernatora, odrzucił również zaproszenie Clarence'a. Mieszkał to tu, to tam z przyjaciółmi.

Dziś wieczorem udawał się na ważne spotkanie. Stąpając lekko w trampkach, miał wspaniałe uczucie, że płynie unoszony przez czas w kierunku wytkniętego celu. Był tak pogrążony w tych przyjemnych myślach, że prawie nie zauważył mężczyzny, który pozdrowił go, stojąc na skrzyżowaniu ulicy.

- Idziesz w moją stronę, Willu?

- Skręcam w Bay Road. - Nie był w nastroju do rozmowy ani nawet słuchania żadnych pobożnych liberalnych gadek.

- Wracam z odwiedzin u mojej dawnej kucharki, która mieszka na Merrick Road. Jest chora.

Will spojrzał nań z ukosa.

- Nie boi się ojciec chodzić sam po tej dzielnicy?

- Nie. A powinienem?

- Nie sądzę, by to było dla ojca najbezpieczniejsze miejsce.

- Nie można przez cały czas się bać. Wiara zastępuje mi strach.

- Wiara w Boga?

- Oczywiście - rzekł po prostu ojciec Baker.

Rozmowa nagle stała się dla Willa interesująca. Przypominała grę.

- Uważa ojciec, że Bóg wysłuchuje naszych próśb i zaspokaja nasze potrzeby?

- Wysłuchuje, lecz nie zawsze na nie zważa, z przyczyn jemu wiadomych.

- Proszę mi więc powiedzieć, czemu zadał sobie trud, by nas stworzyć, skoro jest wobec nas obojętny.

- Nie powiedziałem, że jest obojętny. Gdyby tak było, nie stworzyłby ziemi ani nas, byśmy na niej żyli.

- Ja doszedłem do wręcz przeciwnego wniosku. Twierdzę, że żaden Bóg, godzien swego imienia, nie stworzyłby tego bałaganu, w którym żyjemy. Dlatego jestem pewien, że go nie stworzył, ponieważ nie istnieje.

Stary człowiek milczał przez chwilę. Z pewnością to okrutne dręczyć go w ten sposób. Will już otwierał usta, by złagodzić swą wypowiedź, stępić nieco żądło, gdy ojciec Baker powiedział:

- Pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Czy wierzysz w człowieka?

- Jasne, że wierzę. Widzę go. Istnieje.

- Wierzysz w jego zdolność rozumowania, walki, czynu?

- Oczywiście.

- To znaczy, że wierzysz w siebie, we własną wolę, by czynić dobro. W ten sposób dojdiesz do wiary, ponieważ dobro jest Bogiem, a Bóg jest dobrem.

Rezygnując z dalszej dyskusji, Will wzruszył ramionami. W geście tym kryła się ironia i odrzucenie racji pastora.

Szli dalej razem. Zmęczony, zdyszany oddech staruszka towarzyszył odgłosowi ich kroków.

- Jak się miewa twój ojciec, Willu? Rzadko go ostatnio widuję.

- Chyba u niego wszystko w porządku. Ja również nie widuję go często.

- Sól ziemi - powiedział ojciec Baker. - Szczęście, że go mamy. Cóż, tu się pożegnamy. Uważaj na siebie, Willu.

Przeszedłszy ponownie na drugą stronę szosy, Will rzucił ostatnie spojrzenie na staruszkę, który szedł przed siebie z twarzą zwróconą ku niebu. „Łatwe słowa bez znaczenia” - pomyślał z pewną pogardą, lecz nie bez zrozumienia. Pastor chciał dobrze, ale zupełnie nic nie wiedział o świecie. Te jego wszystkie dobrotliwe uogólnienia - Will słyszał je zbyt często - na temat braterstwa, Boga i miłości! Ojciec Baker żył przez cały czas w spokojnym schronieniu, jakie dawały mu grube mury szkoły i kościoła, szanowany i nietykalny z powodu szat, które nosił.

„Gaduła, teoretyk, widz, niewiele różniący się pod tymi względami od Patricka - pomyślał Will. - No, może to nie całkiem prawda, ponieważ Patrick włączył się do walki, tego mu nie można

odmówić - ale nawet mimo to jest w nim coś zbyt naiwnego, a w ostatecznym rozrachunku nawet głupiego."

W połowie krótkiej uliczki Will zatrzymał się i zawołał przez drzwi:

- Czy Clifford jest w domu?

- Nie, ale wróci za kilka minut. Wejdź i zaczekaj.

Will wszedł do stojącego na palach domku, zbudowanego z blachy falistej. Z pokoju frontowego, w którym stał stół, krzesła i mały piec olejowy, widać było drugi pokój z dużym łóżkiem i rozpostartymi na podłodze kocami, na których spały dzieci. Ściany były ozdobione wyciętymi z czasopism zdjęciami gwiazd filmowych, zarówno czarnych, jak i białych, kartkami świątecznymi z kolorowymi rysunkami ośnieżonych sosen i zaprzężonych w konie sani. Życzenia pochodziły od licznych dzieci i wnuków, które wyjechały na północ.

- Usiądź - powiedział dziadek Clifforda. - Za chwilę wróci. Poszedł po mleko dla dzieciaków.

Will wiedział, że w domu mieszka około siedmiorga „dzieciaków” - siostrzenic i siostrzeńców, bratanic i bratanków, braci i sióstr Clifforda. Babcia, która dopiero zaczynała siwieć, wciąż tryskała energią, pracowała jako sprzątaczką w „Lunabelle”.

- Idziecie na zebranie? - spytała i nie czekając na odpowiedź Willa, dodała: - Ja chodzę każdego tygodnia na nabożeństwa i dwa razy w miesiącu na zebranie spółdzielni samopomocy. A wy? Clifford nigdy nic nie mówi.

- Też na coś w tym rodzaju. Kobieta przyjrzała mu się badawczo.

- Mam nadzieję, że nie pakujecie się w kłopoty. Nie wciągaj w nic Clifforda. Nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów w rodzinie. Nosimy dobre nazwisko

- Drummond. Wywodzi się od Drummond Hall.

Zamierzał ją uspokoić, gdy wszedł Clifford. Jego pojawienie się nieodmiennie wywoływało wstrząs - miał bardzo jasną skórę, koloru lekkiej opalenizny i kędzierzawe włosy w tym samym odcieniu - wybielony Afrykanin.

Postawił puszki na stole.

- Idziemy?

Will wstał. Przeszedłszy parę ulic, dotarli na miejsce spotkania. Na podwórku zebrało się już kilkadziesiąt osób, sami młodzi ludzie.

Ustawiono krzeselka i niewielkie podium tuż za kręgiem tanecznym pod gołym niebem. Spotkanie było jawne - trzeba oddać Patrickowi sprawiedliwość, że dotrzymał obietnicy o wolności słowa.

Świece, osadzone w butelkach, oświetlały twarze oczekujących słuchaczy, czarne twarze robotników, a pośród nich twarze kilku młodych białych kobiet blade, poważne. „Pozostałości lat sześćdziesiątych - pomyślał Will, patrząc na ich zwisające w strąkach włosy. - Próbują coś udowodnić, poczuć, że należą do nas." Odwrócił wzrok. „A niech tam. Niech przeżyją swoją wielką przygodę."

Mówca wszedł na podium i przedstawił się. Will słyszał go już w innych krajach i wiedział, co powie, a mimo to był pod wrażeniem jego godnego zachowania, podobał mu się oksfordzki akcent.

- Kim jesteście? - zaczął cicho. - Skąd pochodzicie? Dlaczego się tu znaleźliście? Powiedziano mi, że większość z was nie zna własnej historii, choć to nie wasza wina. Posłuchajcie, wiele podróżowałem. Byłem w Afryce i widziałem forty wzdłuż wybrzeży. Tam zbierano waszych przodków, porywano ich z lasów, z własnego plemienia, i zakuwano w łańcuchy. Tam zaczynała się ich długa podróż do takich miejsc, jak ta wyspa. W ciągu trzystu lat taką podróż odbyło około piętnastu milionów mężczyzn i kobiet. Wielu z nich, oszalałych, zrozpaczonych, wyskakiwało w kajdanach za burtę, pociągając za sobą innych. Z pewnością słyszeliście o tym.

Rzeczywiście, słyszeli o tym wielokrotnie, mimo to słuchali zafascynowani. W bezruchu, z otwartymi ustami, chłonęli każde jego słowo. Mówca podniósł do góry kartkę papieru.

- Posłuchajcie. Przeczytam wam cytaty z pewnego historycznego dokumentu, który znalazłem w bibliotece w Coventown. To ostatnia wola, testament plantatora, który mieszkał tu w czasach, gdy wyspa należała do Francuzów. Określa w nim wartość tego, co posiadał, między innymi wartość niewolników. Posłuchajcie! Pierre, dwadzieścia osiem lat, wart cztery tysiące liwrów. Silny mężczyzna. Dalej, Georgette, siedemnaście lat, również cztery tysiące liwrów. Silna młoda dziewczyna. Następnie, Marnie, sześćdziesiąt osiem lat, stara kobieta. Warta zaledwie dwieście liwrów, nie na wiele się już bowiem przyda. Nie wiecie, oczywiście, jaką wartość miały wówczas te pieniądze. Mogę wam powiedzieć. Za cenę oferowaną za tę starą kobietę nie kupilibyście dzisiaj srebrnego półmiska w sklepie Da

Cunha, zresztą wówczas też nie. - Wyciągnął rękę, jak gdyby coś ważył na szali. - Kobieta. Srebrny półmisek.

„Podgrzewa ich” - pomyślał Will. Wszystkie te fakty były prawdziwe, ale tak bardzo odległe w czasie, że nie miały żadnego związku z teraźniejszością. Miały służyć wyłącznie do wzbudzania w ludziach gniewu. Prawdziwe zadania ruchu realizowane były po cichu za kulisami, nie przez mówców takich, jak ten, bystrych, elokwentnych, lecz przez anonimowych zimnych facetów, wykonujących swe zadania w małych grupach, pracujących na Kubie i poza nią, w całym tym regionie. Will poczuł pełną dumy radość, że choć jest jeszcze bardzo młody, ufają mu ludzie tacy, jak Cortada, który sprawuje nadzór nad akcjami partyzanckimi dla Partii Komunistycznej w Ameryce Łacińskiej i na Karaibach. Nikt nie drgnął, nie zaskrzypiało nawet krzesło, gdy mówca podniósł głos:

- Czy teraz wiecie wam się dużo lepiej? Czy nie jesteście obcymi na tej wyspie? Spójrzcie na te wytworne domy na wzgórzach, na eleganckie hotele czy posiadłości plantatorów... Ach tak, macie teraz własny rząd, tak wam mówią! To banda niekompetentnych facetów, którzy małpując Europejczyków, zastąpili waszych poprzednich panów. Nic się nie zmieniło, z wyjątkiem koloru skóry.

Dwóch mężczyzn, stojących nieco z tyłu, wymieniło z Willem spojrzenia. Skinęli głowami. Spojrzał na zegarek. Czas na niego. Idąc wzdłuż plaży, będzie miał dłuższą trasę do przejścia, musi się więc pośpieszyć. Wyszedł dyskretnie w towarzystwie Clifforda.

- Świetny facet! Świetne przemówienie! - szepnął Clifford.

- Tak - powiedział Will. Trudno się będzie od Clifforda odczepić, a sprawy, które go dziś czekały, musi załatwić sam.

- Dokąd teraz idziesz, Willu?

- Do dziadka. Obiecałem staruszkowi, że wpadnę.

- Musisz? Na pewno nie chcesz poderwać dziewczyny? Przechodzili właśnie obok baru, w którym siedziały dziewczyny. Przez wahadłowe szklane drzwi dobiegały dźwięki muzyki z szafy grającej.

- Powiedziałem ci, że nie mogę. - I tak by nie poszedł. Nie interesowały go w tej chwili dziewczyny. Nie miał po prostu na nie czasu.

- Wobec tego chyba pójdę do domu.

Wrócili pod dom Clifforda. Na niebie świecił księżyc wąski jak maczeta, w dodatku bez przerwy przesłaniały go chmury. Dobrze wybrali noc. Clifford zamyślił się.

- Wiesz, gdy mi kiedyś opowiedziałeś o podłożeniu ognia w Eleutherze, nie uwierzyłem. Myślałem, że się przechwalasz, ale teraz ci wierzę. - W jego głosie brzmiał nabożny podziw. - Nie martw się. Możesz mi zaufać.

Popełnił błąd, zdradzając tajemnicę Cliffordowi, choć naprawdę był przyjacielem godnym zaufania. Popełnił błąd, mówiąc o tym komukolwiek. Zawsze lepiej zachować coś takiego wyłącznie dla siebie.

- Postąpiłem głupio. Po dziecinnemu. Jednak byłem wówczas dzieckiem. Pożegnawszy się z Cliffordem, Will doszedł do rogu ulicy, po czym, zniknąwszy z pola widzenia, skręcił w kierunku wybrzeża.

Miał do przejścia trzy mile do samotnej zatoki, gdzie wysoka trzcina schodziła niemal nad samą wodę. Tam mieli oczekiwać na łódź, wyładować z niej karabiny i granaty. Plaża była teraz całkiem pusta, ponieważ morze w okresie pomiędzy Bożym Narodzeniem a marcem było zbyt wzburzone na połowy. Martwy sezon rybacki stanowił jeszcze jeden czynnik sprzyjający.

Za kolejnym zakrętem Will zobaczył mężczyznę naprawiającego łódź. Cały jej bok był podziurawiony jak sito.

Will przystanął.

- Co się stało? Mężczyzna spojrzał na niego.

- Och, po prostu ludzka zawiść.

- Zawiść? - Will nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

- No wiesz, kiedy ktoś zazdrości, że masz lepszą łódź, więcej szczęścia czy coś w tym rodzaju, potrafi, na przykład, pociąć twoje sieci.

- Okropne - powiedział Will.

Ruszył w dalszą drogę. A więc biedacy niszczą się nawzajem. Do tego prowadzi nędza!

Fala przyływu zmoczyła mu trampki. Zdjął je i szedł dalej boso. Niedaleko brzegu unosił się na falach niewielki jacht. Przepływał tak blisko, że widać było stół ustawiony na pokładzie i siedzących przy nim ludzi, słyhać było ich głosy. „Pewnie jedzą homary, popijając je winem - pomyślał Will. - Powinno się wysadzić ich w powietrze!”

Handryczenie się o wybory, związki, ustawodawstwo, arbitraż! Zamiast zachować się po męsku i zawładnąć wszystkim! Ludzie w rodzaju Patricka z całym ich gadaniem, gadaniem bez końca!

Ludzie w rodzaju Patricka. Nagle w jego pamięci obudziło się pewne wspomnienie. Poczul w ustach smak czekolady i bananów, poczul dotyk życzliwych rąk. „Nie, ja nie biję małych dzieci.” Poważna twarz, pochylona nad książką lub wyjaśniająca coś, pouczająca, strofująca. Poniekąd to smutne, że go stracił. Łącząca ich cieniutka nić została zerwana tamtego dnia, gdy Patrick spytał go o pożar w Eleutherze, on zaś zaprzeczył, że ma z tym cokolwiek wspólnego. Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że Patrick nigdy w pełni mu nie uwierzył. Smutne.

Jednak ten człowiek jest głupcem! Will kopnął ze złością piasek. Nie wolno sobie pozwalać na sentymenty, gdy się przygotowuje rewolucję.

Mógł już rozróżnić z daleka sylwetki samochodów i małej półciężarówki z wyłączonymi światłami, zaparkowanych pod osłoną wysokiego krzewu. Łódź unosiła się na wodzie blisko brzegu. Migwały słabe światła latarek. Ruszył w kierunku przywołujących go głosów.

Nie, stanowczo nie wolno sobie pozwolić na sentymenty, gdy przygotowuje się rewolucję.



CZEŚĆ PIĄTA  
ROZSTANIA I SPOTKANIA

## Rozdział 25

Wychudzone dłonie zaciskały się spazmatycznie na kocu. Gdy atak bólu ustąpił, Agnes położyła się na plecach, odwróciwszy głowę.

- Może troszkę się zdrzemnę - powiedziała.

Patrick wstał i wyszedł na podwórko. Chciałby móc zwymiotować i zrzucić z siebie całe to plugastwo. Nie miał całkowitej pewności, czy Agnes jest przy zdrowych zmysłach i czy może uwierzyć w to, co mu powiedziała.

Kobieta, której płacił za opiekę nad matką, siedziała na ławce, łuskając fasolę do miski. Wstała, gdy podszedł do niej. Żywiła nabożny podziw dla jego tytułu, a jeszcze większy dla eleganckiego samochodu z kierowcą, choć wynajął go wyłącznie na przejazd z lotniska w Martynice.

- Proszę usiąść - powiedział.

Wstrząsany dreszczami, przeszedł w drugi koniec podwórka. Podwójny rząd bambusa ocieniał równe grządki jarzyn. Wzdłuż nowego, mocnego płotu piał się ignam. Patrick spojrzął na dom, który kupił dla matki, gdy nie zgodziła się wrócić na St. Felice. („Wypada umrzeć tam, gdzie człowiek się urodził” - powiedziała.) Był to wygodny, ładny dom z dachem krytym blachą oraz z bieżącą wodą. Pozbierał się jakoś, podszedł do kobiety i usiadł na ławce obok.

- Jak ona się czuje? - spytał.

- Umiera. Rak ją zabija - powiedziała z wyrzutem, że nie zauważył rzeczy tak oczywistej.

- Nie w tym rzecz. Chodzi mi o stan jej umysłu. Czy mówi rozsądnie? Czy można wierzyć w to, co mówi?

- Oczywiście! Z jej głową wszystko w porządku.

- Nie bredzi? Nie fantazjuje?

- Ona? - Kobieta była wyraźnie oburzona. - Ma umysł całkowicie jasny, może mi pan wierzyć!

Wrócił do pokoju i usiadł przy łóżku.

- Czy obudziłem cię, mamo?

- Nie, nie spałam. Wiesz, to nawet dość przyjemne, tak tu leżeć i nie robić nic poza wspomnianiem. Wszystko jest takie wyraźne, pamiętam nawet kolory. Czy opowiadałam ci kiedyś o domu Maurierów? Och, na pewno! Trzy tysiące akrów i ogrody, o jakich ci się nawet nie śniło. Mówili zawsze, że są takie, jak we Francji. Gdy pojechałam do Francji, stwierdziłam naocznie, że to prawda. - Mówiła

bardzo cicho, Patrick musiał wyęźać słuch, by ją zrozumieć. - Jeździli co roku do Paryża, wraz ze służbą. Nigdy z nimi nie pojechałam, byłam zbyt młoda. Sądzę, że jeździli, by odwiedzić swoje pieniądze w banku, ludzie plotkowali, że mieli tam dziesięć milionów dolarów. Może i mieli, wiem, że rodzina Francisów nie śmierdziała groszem.

- Chciałem pomówić o tym, co mi wyznałaś - nalegał. Jego głos zabrzmiał chrapliwie.

- Tak. Powiedziała, że wróci na St. Felice, by umrzeć. Omal tak się nie stało. Słyszałam o pożarze. Dlaczego nigdy mi o nim nie powiedziałaś?

- Po co? Nie lubię mówić o rzeczach strasznych, zwłaszcza tobie. Poza tym nie wiedziałem, że dotyczy to w pewien sposób i ciebie, i mnie.

Kwaśny odór choroby sprawił, że zamilkł. Ponure zielonkawe światło, przesączaające się przez zaciągnięte zasłony, wywoływało zawrót głowy. Przesunął dłonią po mokrym od potu czole.

- Tak, tak, mówiła mi. Pamiętam dobrze - powtórzyła Agnes.

- Mówiła ci o pożarze?

- Ależ nie, nie! - zirytowała się. - O tym, że nie wróci na wyspę, a jednak wróciła. Ciekawe, czemu? Ach, tak, tak, syn... Ciągłe o czymś teraz zapominam. Patricku - to z powodu tego środka przeciwbólowego - ale doskonale pamiętam to, co zdarzyło się dawno temu. Wszystko.

- Jesteś pewna, że się nie mylisz? W żadnej sprawie?

- Czy uważasz mnie za idiotkę? Że wymyślam bajkę dla dziecka?

- rozżłościła się jak za dawnych czasów.

- Dlaczego nigdy przedtem mi o tym nie powiedziałaś? - spytał.

- Nie chciałam jej skrzywdzić. Nie powinnam była ci mówić nawet teraz. Jutro będę żałowała mojej decyzji. Już żałuję.

Lojalność! Lojalność wobec starej rodziny, wobec pewnych zasad, do samego końca!

- Patricku! Nie powiesz o tym nikomu?

- Nie powiem, skoro nie chcesz, bym to zrobił, mamo.

- Przez całe życie ukrywałam to tutaj - dotknęła zapadniętej klatki piersiowej: - tutaj! Nie dlatego, bym chciała dochować jej tajemnicy, w każdym razie nie tylko dlatego. Po prostu chciałam mieć cię dla siebie... Ach, teraz jesteś znaną osobistością. Słyszałam, że podróżujesz po całym świecie.

- To przesada. Odbyłem kilka podróży, by zgromadzić trochę pieniędzy na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb.

- Wciąż nie wierzysz w to, co ci powiedziałam, prawda?

- Ja...

- Podaj mi rękę. Ja umieram, Patricku.

- Wiem, mamó.

- Nie zobaczysz mnie już.

- O tym wiem także.

- Czy mogłabym cię okłamać? Przysięgam, że wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. Przysięgam!

Trzymał jej ręce - stare, spracowane, wychudzone - które obrębiały sztywną odzież roboczą, gotowały strawę dla dziecka, huśtały je, które polerowały srebra bogatej kobiety. To ona, ona była jego matką, nie ta druga, ta blada kobieta z północy, zimna jak śnieg. Ukląkszy, przytulił do twarzy dwie dobre dłonie i trwał tak, póki nie zapadła znowu w sen.

Przepełniony smutkiem, podniósł się i wyszedł na dwór, na rozgrzane powietrze. Miało kolor ochry. Nagle zrobiło mu się zimno, wstrząsnęły nim dreszcze. Podniósł płaski kamień i cisnął go do rowu po drugiej stronie drogi. Kamień wpadł do wody z cichym pluskiem. Podniósł następny, potem jeszcze kilka, rzucając je z całej siły, tymczasem kierowca czekał, przyglądając mu się ciekawie.

Ruszyli z powrotem na lotnisko. Kierowca, przedtem bardzo rozmowny, nie odzywał się słowem. Od czasu do czasu Patrick napotykał jego wzrok we wstecznym lusterku. „Muszę wyglądać okropnie - pomyślał. - Znieważony. Zniszczony.”

Serce mu waliło, w głowie kłębiły się bolesne myśli. Ta kobieta - ta dziewczyna - wydała go na świat i porzuciła. Była jednak wówczas bardzo młoda, młodsza od jego Laurine i Maisie! Pomyślał o podwójnej hańbie towarzyszącej jego poczęciu - wstydzie dziewczyny i śmierci chłopca. Czy zginąłby również, gdyby był biały? Tak, tak, prawdopodobnie tak, a może nie? Przy ocenie przestępstwa odegrałby z pewnością rolę status ekonomiczny i społeczny, jeśli w ogóle było to przestępstwo. Trzeba mieć ogromne doświadczenie życiowe, by zdecydować sprawiedliwie, po której stronie leży wina.

„Tak mi żal, ogromnie żal przerażonej dziewczyny, która mnie urodziła!”

Potem pomyślał o młodym „kolorowym” chłopcu w konfrontacji z zakazanym, drżącym wdziękiem, delikatną kruchością, być może ze sznurkiem pereł na szyi, takich, jak te, które nosiła Kate Tarbox, niedbale, niczym pospolite paciorki... „Kwieciste spódniczki Kate muskały jej ponętne nogi i w marzeniach rozbierałem ją, dotykałem jej sprężystego, różowego ciała, choć wiedziałem z całą pewnością, że dla niej jestem wyłącznie przyjacielem, a moje ciało znaczy dla niej tyle samo, co ciało siedemdziesięcioletniej staruszki czy dziesięcioletniego chłopca”.

Wyobraźnia podsuwała mu obrazy, wyobraźnia, dzięki której widział naraz wiele stron jednej sprawy. Tamten chłopiec, inteligentny i żądny życia, tak jak kiedyś on sam („Bez przerwy czytasz, za dużo chcesz wiedzieć!” - skarżyła się Agnes), czy nie był kimś znajomym? Iluż jemu podobnych widywał w ławkach szkolnych, odważnych marzycieli pośród apatycznego, prymitywnego tłumu!

Ach, życie, zwariowana karuzela! Jego umysł pracował znów na przyspieszonych obrotach: Teresa Francis w Eleutherze. Virgil, prawy, twardy starzec. Drummond Hall. Wspaniałe dumne posiadłości. Francis. Francis i ja.

Pochyliwszy się do przodu, poklepał kierowcę po ramieniu.

- Muszę się napić.

- Tak, szefie. Niedaleko, po prawej stronie szosy, jest bar.

- Nie o to mi chodzi. Zatrzymaj się tam i przynieś mi wody.

Gdy zaspokoił pragnienie, ruszyli w kierunku miasta, mijając niebieskie i żółte niszczące domki o spadzistych dachach, niczym te z bajek, które czytał na głos swoim małym córeczkom, następnie przejechali przez całe miasto i dotarli na lotnisko. Podróż samolotem trwała zaledwie godzinę. Przypomniawszy mu się szkuner, kursujący pomiędzy wyspami, na którym przespał całą noc z matką pośród skrzynek z orzechami kokosowymi i gdakającymi kurami.

Desiree czekała na niego w domu.

- Jak się czuje twoja matka? Czy smakowały jej ciasteczka? Jak jej się podobał sweter?

- Prosiła, żeby ci podziękować za wszystko. - Odwrócił się, pragnąc ukryć się w mysiej dziurze. Ponieważ jednak Desiree czekała na dalsze informacje, dodał: - Ona umiera. To już długo nie potrwa.

- Och, Patricku, tak mi przykro! - Nigdy tak naprawdę nie wybaczyła Agnes była jednak wrażliwa i jej słowa płynęły ze szczerego serca.

Zjedli kolację. Patrick nie przywykł jeszcze do chłodnego wysokiego pokoju jadalnego z kręcącymi się skrzydłami wentylatorów i służbą. Zwłaszcza dziś wieczorem najchętniej zjadłby kolację przygotowaną przez żonę w ich własnym starym domu. Gdy skończyli jeść, poszedł na górę i usiadł z książką, której jednak nie był w stanie czytać.

Myślał wciąż o tym, co wyjawiała mu dziś Agnes. Miał uczucie, że jeśli komuś o tym nie powie, wybuchnie niczym przed laty Mount Pelee. Narastające w nim napięcie było nie do wytrzymania. Usłyszał, jak bezwiednie wypowiada na głos słowa: „Czy wiesz, kim jestem?”

- Patricku - powiedziała Desiree, wchodząc do pokoju - co ci jest?

- Boli mnie głowa - odpowiedział. - To pewnie z powodu słońca. Nie martw się, pewnie niedługo mi przejdzie.

Dotknęła delikatnymi palcami jego czoła.

- Nie wierzę ci. Coś cię zasmuciło, coś innego poza matką. O co chodzi? Pokręcił głową.

- Nic, naprawdę nic.

Cofnęła rękę, zmartwiona, aż zadzwoniły bransoletki.

- Czy kochasz mnie jeszcze, Patricku? Uśmiechnął się.

- Szaleję za tobą od chwili, gdy cię ujrzałem po raz pierwszy.

- To nie to samo. Nie mówię wyłącznie o łóżku.

- Ani ja, kochanie.

- Myślę... chcesz wiedzieć, co myślę? Gdyby twoje życie ułożyło się inaczej, z pewnością poślubiłbyś bardziej wykształconą kobietę.

Spojrzał na nią, poruszony do głębi. Że też mogła żywić takie wątpliwości Nikt z nas nie zna do końca drugiego człowieka.

- Ale ułożyło się tak, nie inaczej, i mam ciebie, pragnę ciebie i tylko ciebie. Słodka, kochana Desiree, jedyna ostoja w tym szalonym kołowrocie dzisiejszego nieprawdopodobnego dnia. Przyciągnąwszy jej dłoń, przytulił mocno do policzka.

- Tak się o ciebie martwię - powiedziała.

- Nie masz powodu. Czuję się dobrze.

- Żyjesz w zbyt dużym napięciu.

Przez chwilę stała obok niego. Gdy puścił jej dłoń, wyszła z pokoju, on zaś siedział jeszcze długo, przyglądając się, jak łagodny wieczór powoli spływa nad zatokę. Zastała go tam noc, która opadła na miasto niczym fioletowa zasłona.

Rozmyślał o wielu, wielu sprawach - o tym, jak kamień uderza w wodę i marszczy się powierzchnia stawu, jak padają słowa i drżą mury. Myślał o swoich ciemnych córkach z domieszką krwi karaibskiej i o kobietach arawackich, które zniewolili Karaibowie. Teraz do tego wszystkiego doszła krew panów Eleuthery!

Z jego piersi wydobył się głęboki jęk. Wszystko to takie dziwne, dziwne i smutne!

Nagle na jego usta wypłynął lekki, nieco wymuszony uśmiech. Jak zachowałaby się opanowana Marjorie, gdyby wiedziała? Podejrzewał, że Francis miałby z nią ciężkie życie. W przeczuciu ogromnej straty i samotności pomyślał o wyjeździe Francisa. Może to jest powód, by mu powiedzieć?

„Napięcie” - powiedziała Desiree, nie zdając sobie nawet sprawy, jak wielkie jest, jak bolesne!

Kiedyś z pewnością powinien powiedzieć mu o tym, czego się dziś dowiedział. Nie ma zamiaru żyć do końca swych dni z tą tajemnicą, nie wyjawwszy mu prawdy. Bez względu na to, kogo może zranić, musi wyjawić prawdę.

Mijały godziny, on zaś po namyśle doszedł do wniosku, że w tej chwili nie pora na to. W życiu każdego z nich i tak zbyt dużo jest napięcia i zamieszania. Po co jeszcze dolewać oliwy do ognia? Po co raz jeszcze wzniecać pożar w Eleutherze?

Nie, niech trochę odpoczną, zarówno żywi, jak i martwi. Niech odpoczną.

## Rozdział 26

Patrick przysunął krzesło bliżej do biurka i ustawił telefony po jednej stronie. Wciąż uważał, że to śmieszne mieć trzy telefony. Może były niezbędnym dodatkiem do stanowiska Nicholasa, potęgując jego poczucie władzy, ale Patrickowi zupełnie nie były potrzebne.

Wziął ponownie do ręki pióro, wracając do swej „mowy tronowej”.

„... negocjacje z firmami chętnymi do współpracy - napisał. - Dwóch Kanadyjczyków i jeden Amerykanin, przeświadczeni o sprzyjającym klimacie gospodarczym w naszym kraju, chcą produkować lekkie tkaniny bawełniane o charakterystycznym wzornictwie, wykorzystując nasze miejscowe talenty. Producent mebli...”

Wstał i podszedł do wysokich okien, z których widać było port i stare budynki przy Wharf Street. „To tam, w bankach z mosiężnymi tabliczkami, kryje się potęga. Jeśli udziela nam pożyczek, będziemy mogli...” Podliczał w myślach długie kolumny liczb.

Równocześnie obserwował życie, pulsujące w mieście. W porcie ładowano banany na statek. Kobiety kursowały długim szeregiem od ciężarówek do ładowni, niosąc na głowach kosze pełne owoców. Nic się pod tym względem nie zmieniło.

Powędrował wzrokiem ku niskiemu budynkowi z cegły, gdzie prawdopodobnie Kate pracowała do późna nad jakimś artykułem. Rozstanie z Francisem zносиła z godnością i wdziękiem. To właśnie ta jej godność smuciła go najbardziej. Łzy byłyby mniej bolesne. A jednak rozumiał Francisca, wiedział, że musiał postąpić tak, jak postąpił.

Na Wharf Street wyrósł rząd nowych butików, ale królem sklepów był w dalszym ciągu Da Cunha. Jakże Desiree zachwycała się sprzedawanymi tam sukniami, szalami i przeróżnymi ślicznymi fatałaszczkami! Nagle przypomniał sobie - musiało to być jeszcze przed urodzeniem dziewczynek - jak wirowała w białej sukni, którą jej tam kupił. Tę suknię pamiętał doskonale - krótka, falująca, drukowana w czerwone maki. „Strasznie drogo - pomyślał wtedy - za parę metrów materiału!” Roześmiała się i powiedziała mu, że się w ogóle na tym nie zna, co zresztą było prawdą. Wyglądała tak prześlicznie, ciągle wygląda. Da Cunha, po wygraniu przez Patricka wyborów, zaoferował



jej rabat przy zakupach, ale on, oczywiście, nie pozwolił jej z niego korzystać. Była to kwestia zasad.

Wiedział, że zrobił dobry początek. Nawet po tak krótkim czasie czuł, że plantatorzy, którzy mieli do niego raczej oziębły stosunek, zaczynają go popierać z całym przekonaniem. Zobaczyli, że próbuje znaleźć przyzwoity kompromis. W ostatnią sobotę wezwał, by każdy obywatel oddał krajowi dzień pracy, sadząc drzewa, dokonując napraw w szkołach, porządkując teren szpitala. Odzew był ogromny. Komentarze entuzjastyczne. Patrick sam wziął udział w pracy społecznej, co działo cuda dla podniesienia morale. Tak, zapał rósł.

Rzecz jasna, nie wszystko szło tak gładko. Ludzie, zbijający fortuny na handlu narkotykami, nie byli zachwyceni nowym rządem. Znalazszy się pomiędzy nimi a lewicowcami, ekipa Patricka miała wiele powodów do zmartwienia.

Rosjanie umocnili się na Kubie i zalewali cały teren nie tylko fachowcami i doradcami, lecz również bronią. Sytuacja była naprawdę bardzo trudna. Nie można patrolować każdej odległej zatoki przez całą noc.

Wiedział, był niemal pewny, że Will jest wplątany w te sprawy. Nie mógł tego udowodnić, podobnie jak nie mógł udowodnić, że jego wychowanek, będąc jeszcze dzieckiem, podłożył ogień w Eleutherze, choć zawsze miał przeczucie, że to prawda. Ostatnimi czasy prawie się z nim nie widywał, ich drogi rozeszły się. Pamiętał ostatnią rozmowę w kuchni, w dawnym domu. Pokłócili się wówczas o wojska kubańskie stacjonujące w Afryce.

Usiadł z powrotem przy biurku. Tak, nie ma sensu pisanie półprawd i komunałów. Musi wywalić kawę na ławę, ostrzec przed kolejnymi aktami przemocy. Musi zakończyć apelem, by ludzie uwierzyli w siebie, w swą odwagę i zdolności. Musi to zabrzmieć przekonująco.

Może powinien zasięgnąć rady Francisa? Przecież to bardzo ważne przemówienie. Tak naprawdę jednak chciał się z nim po prostu zobaczyć. Teraz. Dziś wieczorem. Wiele razy od czasu powrotu z Martyniki wsiadał do samochodu i wyruszał w stronę Eleuthery, po czym nagle zawracał, jak gdyby bał się stanąć twarzą w twarz z Francisem, bał się, że nie uda mu się ukryć swego podniecenia i swej miłości. Dziś wieczorem się nie zawaha. Przemówienie to świetny pretekst.

Żółty dwuosobowy samochód sportowy, kosztowna zabawka, był kiedyś własnością Doris Mebane. Uciekając w pośpiechu, zostawili go, stał się więc własnością publiczną i postanowiono wystawić go na licytację. Gdy nikt nie chciał go kupić, sprzedano go Desiree za symboliczną sumę.

- To już zbyt grubymi nićmi szyte - utrzymywał Patrick, ale Desiree miała trochę własnych oszczędności i uwielbiała ten samochód. Patrick nigdy nim nie jechał.

- „Cóż za głupi impuls skłonił mnie do wypróbowania tego cacka?” - zastanawiał się Patrick, jadąc nadbrzeżną drogą. Może przeblysłk utraconej młodości? Nigdy nie podobały mu się luksusowe przedmioty, nie pragnął ich, jednakże prowadzenie tego samochodu sprawiało mu przyjemność. Silnik pracował równo, wydając głębokie gardłowe dźwięki niczym namiętna kobieta.

Przy Point zatrzymał samochód. Tego widoku nie wolno przegapić. Słońce zaczynało już pogrążyć się w morzu, rozświetlając niebo fioletoworóżowym i turkusowym blaskiem. Och, jak życie nam ucieka! Najpierw szkoła, potem praca, polityka, pieniądze i Bóg wie co. A przecież istnieją też inne rzeczy.

Po plaży, tuż nad samą wodą, biegało dwóch małych chłopców na cienkich nóżkach. Zatrzymywali się nagle, stając przodem do nacierającej fali. Połknąwszy ich, uderzała o brzeg, rozbryzgując się na strzępy piany, po czym odpływała, wypływając ich z powrotem na piasek. Radosny piskliwy śmiech chłopców niósł się po całej plaży.

Esencja życia! Dwa żywioły - woda i ogień. Morze i słońce. Gdyby odrzucić wszystko to, co stworzył człowiek, pozostałyby właśnie one. Z jaką przyjemnością i radością przyglądał się dwóm beztróskim chłopcom, wynurzającym się z fal! Życie z morza! Misterium. Wszystko, wszystko jest misterium...

Przepełniała go miłość do świata. Żyjemy w nim, a w chwili naszej najgłębszej miłości i zrozumienia - odchodzimy. Prawdziwa rozkosz! Wyciągnij rękę, by pochwycić promień słońca lub księżyca! Dotknij go! Już ci umknął. Możesz trzymać go zaledwie przez chwilę.

Zwolniejszy hamulec, ruszył z powrotem ku wzgórzom.

Ponad drzewami ukazała się Eleuthera niczym starożytna świątynia z kolumnami. „Dobrze byłoby zobaczyć kiedyś Grecję - pomyślał - pojechać tam z Desiree, gdy zakończy swoją misję na wyspie. Jakżeby się cieszyła!”

Lutherowie siedzieli na werandzie, czytając. Francis wstał.

- Pan premier - powiedział z uśmiechem.

- Przywiozłem moje przemówienie - powiedział Patrick, czując nagłe skrępowanie. - Pomyślałem, że może będziesz tak dobry i rzucisz na nie okiem.

- Chętnie. Jestem zaszczycony.

Marjorie, mruknąwszy jakieś słowa przywitania, wstała.

- Chcę się dzisiaj wcześniej położyć, będziecie mogli swobodnie, porozmawiać.

Przeszła przez hol, stukając głośno obcasami, i wbiegła po schodach na górę.

- Moja żona nie tryska dziś humorem - powiedział Francis po chwili milczenia.

- Może przyszedłem nie w porę?

- Ależ nie - odrzekł Francis z przekonaniem.

Znów zapanowało milczenie. Noc była tak spokojna, że słychać było rżenie konia na dalekim polu.

- Dziewięć lat! - powiedział cicho Francis. - Tyle już czasu upłynęło, odkąd spotkałem cię po raz pierwszy w twojej szkole. Ależ była wtedy burza!

- Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa ten czas, jak mówią starzy ludzie. Przeważnie czuję się bardzo młodo. Pewnie powiesz mi, że wciąż jestem młody, czasami jednak zaczynam liczyć lata, które mi jeszcze pozostały.

- Tak. Wszystko staje się wyraźniejsze, kiedy człowiek zastanowi się nad upływem czasu. Wychodzisz rano na dwór i stwierdzasz, że nigdy nie widziałeś świeższej zieleni. Nigdy nie czuleś zapachu tak aromatycznej kawy.

Siedzieli przez pewien czas, gawędząc o wszystkim i o niczym, gdy nagle zapadła ciemność. Patrick pamiętał, że na północy ciemność skrada się powoli, inaczej niż tu.

W pobliskiej oborze zamuczało cielę.

- Nie pamiętałem, że zabudowania gospodarcze są tak blisko domu - zauważył Patrick.

- Nie zawsze tak było. To chyba jedyna posiadłość z takim usytuowaniem obór i stajni. Zawsze lubiłem głosy zwierząt. Gdy odbudowywano po pożarze nowe skrzydło, kazałem od razu postawić pomieszczenia dla zwierząt.

„Może już o tym mówić - pomyślał Patrick. - Przestało nas już to dzielić.”

- Jako dziecko lubiłem słuchać, jak kury sadowią się na noc na grzędzie. Brakuje mi czasem ich zadowolonego gdakania.

- Czy nigdy nie przeszło ci przez myśl, że pod pewnymi względami jesteśmy do siebie bardzo podobni?

- Podobni?

- Tak mi się wydaje. Kate również tak uważa... uważała.

Przez chwilę Patrick miał wrażenie, że Francis chce jeszcze coś powiedzieć. Bębnił w zamyśleniu palcami po oparciu krzesła, potem jednak zrezygnował. Milczenie przedłużało się.

- Ale ty nie jesteś politykiem - postanowił przerwać milczenie Patrick.

- Wiesz co? Myślę, że i ty nim nie jesteś. Owszem, odwaliłeś kawałek świetnej roboty, ale chodzi mi o to, że nie był to twój pierwszy wybór, że wolałbyś stać w klasie pełnej dzieciaków i uczyć.

- Tak, ale muszę przyznać, że zdarzają się chwile, gdy lubię to, co robię. Burzliwe oklaski, pochwały. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, a to są nasze wielkie dni, jak wtedy, gdy wciągnięto naszą flagę na maszt i staliśmy się niepodległym państwem.

- Jak na kraj, który można przejechać od krańca do krańca w ciągu godziny, ma on sporo całkiem poważnych problemów.

Patrick nic na to nie odpowiedział.

- Przepraszam - usprawiedliwił się Francis. - Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.

- Rozumiem i masz rację. Znajdujemy się w strategicznym punkcie, na granicy ścierania się wpływów politycznych. Wystarczy czytać gazety i spojrzeć na mapę. Rosja ładuje w Kubę milion dolarów dziennie w ramach pomocy. Cały świat jest terroryzowany.

- Tak. Krecia robota. Celem jest spowodowanie chaosu. Przekreślenie wszystkiego, co robimy.

„Jakbym słyszał Kate” - pomyślał Patrick.

- Powinieneś spotkać się z moim przyszłym zięciem. To jedna z najlepszych rzeczy, jakie przytrafiły mi się w życiu. Nie tylko dlatego, że poślubia Laurine, ale wiem, że w razie potrzeby mnie zastąpi.

- Już raz powiedziałeś coś podobnego. O co ci chodzi?

- Nie martw się. Mam zamiar działać jeszcze długo! Jestem jednak z niego dumny. Za to rozczarował mnie przyszły zięć, chłopak

Maisie. Wyjeżdża do Kanady. Oczywiście, zabiera Maisie. - Ponieważ Francis nie uczynił żadnego komentarza, Patrick mówił dalej z irytacją: - Wyjeżdża wielu naszych najzdolniejszych ludzi. Wyjechał doktor Sparrow, ma zamiar wyjechać doktor Maynard. Zwyczajny drenaż mózgow! A my potrzebujemy, żeby tacy ludzie przyjeżdżali do nas, a nie uciekali stąd.

- Cóż, widzą za granicą większe możliwości. Trudno ich winić.

- Właśnie, że tak! Czy nie wiedzą, że budowanie państwa musi potrwać? Jak mamy to robić, skoro nas opuszczają, a wróg czyha niemal u bram? Leżę, nie mogąc zasnąć, i myślę, myślę. Czasami ogarnia mnie taka wściekłość, że tracę jasność umysłu.

- Przecież zrobiłeś świetny początek, Patricku, i to w tak krótkim czasie.

- Zrobiłem, co mogłem. Najważniejsze, że nikt nie musi obawiać się rządu. Nie mamy więźniów politycznych. Można myśleć i mówić, co się komu żywnie podoba.. Nikogo nie katuje się w więzieniach.

Francis wahał się przez chwilę, po czym, nie patrząc na Patricka, rzekł:

- Nigdy ci o tym nie mówiłem... Wstyd mi było za siebie. Jeszcze za rządów Nicholasa krążyły różne plotki o tym, co się dzieje, między innymi o wąwozie, do którego wrzucano ciała. Nie wierzyłem w nie, nawet gdy Osborne powiedział mi, gdzie znajduje się to miejsce.

- Trzeba było pójść zobaczyć samemu.

- Nie potraktowałem tego serio.

- Rozumiem.

- Chyba czułem, że jeśli stwierdzę, iż to prawda, będę musiał się zaangażować...

- Czy jesteś tam jeszcze, Francisie? - spytała Marjorie od drzwi, po czym, zauważywszy Patricka, zacisnęła pod szyją falbanki szlafroka. - Och, przepraszam, nie wiedziałam, że jeszcze pan tu jest.

Patrick wstał.

- To moja wina. Zagadałem go.

- Ależ, proszę, rozmawiajcie sobie, jak długo macie ochotę. Mężczyźni zeszli po schodach do samochodu.

- Bardzo mi przykro, że wyjeżdżasz, Francisie - powiedział Patrick. Francis skinął głową. Światło padające z werandy wydobyło z mroku jego arystokratyczne rysy. „Francis jest arystokratą nie w

wąskim rozumieniu tego słowa - pomyślał Patrick - lecz jako spadkobierca doskonałego ciała, inteligencji i godności."

- Mam nadzieję, że nie będzie to zbyt trudne - powiedział - ani dla ciebie, ani dla nikogo.

Francis zrozumiał, o co mu chodzi.

- Opiekuj się nią, dobrze? Nie pozwól, żeby popełniła jakieś głupstwo.

- Nie pozwolę. - Nie pamiętał, kiedy był tak bardzo wzruszony. Przyłożył ręce do ust, jak gdyby chcąc powstrzymać cisnące się słowa: „Zaufaj mi, Francisie, przecież ty i ja jesteśmy...”

Francis wyciągnął doń rękę, żegnając się. Wyraźnie chciał pozostać sam ze swymi myślami, uwolnić się od napięcia.

- Wiążemy z tobą nasze nadzieje, premierze. Także z ludźmi twojego pokroju - powiedział dość oficjalnie.

- Dziękuję, Francisie. Czasami myślę... jest coś, co chciałbym ci powiedzieć... - Przerwał. Nie teraz! Słowa wyrwały mu się mimo woli.

- Co takiego?

- Nic. Nic ważnego. Jest już zbyt późno. Co sądzisz o tym samochodzie? Czy to nie bezwstydne?

- Wcale nie. To cacko. Odwiedzisz mnie przed naszym wyjazdem? - Tak.

Znalazłszy się przy końcu podjazdu, spojrzął we wsteczne lusterko. Francis stał wciąż z ręką uniesioną w pożegnalnym geście. Pod wpływem nagłego impulsu Patrick omal nie zawrócił. Opanował się jednak i wyjechał na szosę, kierując się w stronę domu.

Francis obserwował tylne światła samochodu, póki nie zniknęły za zakrętem.

Ileż to rzeczy zdarzyło się od chwili, gdy pewnego burzowego popołudnia dziewięć lat temu poznał tego z gruntu dobrego i przyzwoitego człowieka! Niech Bóg go prowadzi. Stoczył walkę w słusznej sprawie. Boże, zmiłuj się nad nami wszystkimi. Ochroniaj bezbronną Megan. Spraw, by Kate znowu się śmiała, by była szczęśliwa i kochana. Poczul dławienie w gardle.

Od Morne Bleue ciągnął lekki powiew, wprawiając w ruch malutkie dzwoneczki, które dźwięczały melodyjnie. Francis stał na schodach jak zahipnotyzowany, nie mając ochoty wejść do domu, wsłuchując się w ich granie, własne uczucia i cudowną noc.

Och, z pewnością jest to jedno z najpiękniejszych miejsc na ziemi! Tak bardzo nie pasuje do niego ludzkie cierpienie! Bardziej nadają się do tego niegościnnie pustynie czy surowe północne tundry, ale tu, w tym łagodnym powietrzu, pod świetlistym księżycem, w słodkim aromacie traw...

W końcu wszedł do środka, nalał sobie szklanekę ciepłego mleka i wziął garść ciasteczek, ponieważ sypiał ostatnio bardzo źle. Poprawił kołderkę Megan i zabrał pluszowego misia, który zsunął się na nią. Wsłuchał się w jej równomierny oddech. Co też może jej się śnić, co dzieje się w tym biednym mózdzku? Znowu poczuł bolesne dławienie w gardle.

Wziął do ręki czasopismo leżące na szafce nocnej w jego sypialni. Może ciepłe mleko oraz chwila lektury uspokoją jego galopujące serce i ześlą błogosławiony sen?

Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał jedenastą, gdy mały samochód Patricka skręcił w szpaler pachnących krzewów ku potężnej bramie.

Pocisk strzaskał przednią szybę i trafił Patricka prosto w czoło. Samochód rozbił się o granitowy filar, po czym stanął w płomieniach i w ciągu kilku chwil spłonął doszczętnie na trawniku przed pałacem gubernatora.

## Rozdział 27

Znów przez wyspę przetoczyła się fala wstrząsów i zamieszek. Przez trzy dni trwały walki i lała się krew.

Międzynarodowe służby informacyjne podawały kolejne komunikaty.

„Grupy lewicowców i prawicowych popleczników dawnego reżimu Mebane'a obwiniają się wzajemnie o zabójstwo premiera Patricka Courzona. St. Felice raz jeszcze stanęła w ogniu walk. Wczoraj została udaremniona przez siły lojalne wobec rządu próba zawładnięcia stacją radiową, natomiast inne kluczowe obiekty trzykrotnie lub czterokrotnie przechodziły z rąk do rąk w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Spłonęły dwa budynki koszar. Siły rządowe odkryły duże ilości broni należącej do elementów dysydenckich różnych orientacji.”

„Grabieże i wandalizm w Covetown stopniowo są opanowywane. Banki oraz sklepy wciąż są zabite deskami, Franklin Parrish, tymczasowo pełniący obowiązki premiera, wprowadził godzinę policyjną od szóstej wieczorem do szóstej rano.

Trzeciej nocy po zabójstwie Courzona spokój na St. Felice został przywrócony. Liczbę zabitych szacuje się na piętnaście - dwadzieścia osób, tyle też jest rannych. Dokonano aresztowań ponad stu osób, urządzono obławę na przywódców i zniesiono godzinę policyjną. Korespondenci podkreślają wydatną współpracę społeczeństwa zmęczonego konfliktem i wstrząśniętego tragedią.”

Czwartego dnia rano odbył się pogrzeb Patricka Courzona. Katedra w Covetown była wypełniona po brzegi, ludzie tłoczyli się też na stopniach i sąsiednich ulicach.

- Był człowiekiem kompromisu, nie kierował się nienawiścią - przemówił ojciec Baker drżącym, napiętym głosem. - Miał niewielkie ambicje polityczne. Mógłbym wymienić wielu innych znacznie ambitniejszych i zręczniejszych polityków. Jednakże posiadał niezwykle cenną i rzadką cechę - wrodzoną dobroć i wolę, by wytrwać przy rozsądnej linii postępowania. - Głos mu się załamał. - Kto go zamordował? To pytanie, które nas dręczy i na które musimy znaleźć odpowiedź.

„W istocie - pomyślał Francis - winę za jego śmierć ponoszą ludzie, których kochał najbardziej - Nicholas i Will.” Spojrzał na ławkę kościelną w pierwszym rzędzie, w której siedział Will (kilka



godzin temu przyleciał skądś, gdzie znajdował się w chwili śmierci Patricka) wraz z Desiree i jej córkami, całymi w czerni, oraz płaczącym Clarencem.

- Obie strony miały powody, by wyeliminować człowieka, który tak nieugięcie, tak godnie zmierzał ku urzeczywistnieniu ich pragnień, człowieka, który tak żarliwie wierzył w wartość jednostki i w pokojowe rozwiązania.

- Dzięki Bogu wyjeżdżamy z tej zwariowanej wyspy - szepnęła Marjorie do ucha Francisowi.

Nie odpowiedział. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Jego własne emocje, w połączeniu z ciepłem bijącym od ciasno stłoczonych ludzi, przytłaczały go. Na kolanach tańczyły mu plamki światła wpadającego przez kolorowe witraże, kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że upał się potęguje. Zdawało mu się, że czuje bliskość ognia, tak jak, budząc się nagle, wyobrażał sobie kłęby gryzącego dymu tamtej nocy. Teraz płonął już nie tylko dom, płonęła cała planeta. Niebo gorzało złowieszczym blaskiem nad wszystkimi kontynentami, paliło się powietrze, kwiaty.

Musiał jęknąć, bowiem Marjorie odwróciła się doń zaniepokojona.

- Źle się czujesz?

- Strasznie tu gorąco.

- Dzięki Bogu, już się kończy. Spójrz, spójrz, kto tam siedzi.

Kilka rzędów przed nimi, po drugiej stronie przejścia, siedziała Kate w małym, okrągłym, słomkowym kapeluszu. Nazywała go „żałobnym”, ponieważ pasował do wszystkiego i miał odpowiednie przybranie. Trzymała go w plastikowym pudełku na najwyższej półce w szafie razem z rakietą tenisową i swetrem w czerwone paski. Nie widział jej od dwóch tygodni i nigdy jej już nie zobaczy. Nie będzie miał czasu, by poznać ją do końca. Dziwnie było pomyśleć, że Marjorie zna o wiele lepiej. Marjorie istniała na znanym mu terytorium. Na jej terytorium czuł się wprawdzie obco, ale przynajmniej umiał się tam poruszać. Można było z łatwością przewidzieć jej zachowanie, natomiast Kate była nieobliczalna. Jedną rzecz można jednak o niej powiedzieć bez obawy popełnienia pomyłki. W głowie wciąż dźwięczała mu łacińska sentencja sprzed lat: Homo sum, humani nihil a me alienum puto. Jestem człowiekiem i nic co ludzkie nie jest mi obce. Ani co zwierzęce. Uśmiechnął się.

patrząc na słomkowy kapelusik i przypominając sobie jej psy, ptaki i bezpieczeństwa koty.

Wszyscy wstali i Francis znów poczuł przyływ mdłości. Zagrzmiały organy, wyniesiono z kościoła trumnę. Tłum na ulicy musiał się cofnąć, by ją przepuścić. Francis popatrzył z góry na - jak się to zwykle mówi - morze twarzy. Jest to dość trafny opis, który w tym wypadku należałoby nieco zmodyfikować na „morze młodych twarzy”. Jakże dużo ich było! Wyspa, cała ziemia, pełne były niecierpliwiej, niespokojnej młodzieży.

Ktoś dotknął jego ramienia. Tym razem wzrok jego padł na starą, pomarszczoną twarz o skośnych oczach.

- Czy pan go znał?

- Tak, bardzo dobrze. A pan?

Staruszek wyraźnie chciał z kimś porozmawiać.

- Tylko wówczas, gdy był chłopcem, ale pamiętam go bardzo dobrze. Miałem w Sweet Apple sklep spożywczy, do którego lubił przychodzić. Nazywam się Ah Sing. To człowiek, którego się nie zapomina.

- Tak, ma pan rację - skinął głową Francis.

- Nie idę na cmentarz - powiedziała Marjorie. - Ty pewnie masz zamiar iść. - Tak, a potem do domu. Desiree prosiła, by rodzina i przyjaciele spotkali się u Clarence'a.

- Dobrze, wobec tego idź. Nigdy nie byłem z nimi na bliskiej stopie. Ktoś mnie podrzuci do domu.

Sąsiadka Desiree zajęła się wszystkim. Wysłała wdowę na górę, by trochę odpoczęła, pozostawiając frontowy pokój mężczyznom. Gdy Francis wszedł do niego, zastał tam Clarence'a, Franklina i Willa.

- Mógł to być człowiek Mebane'a - dowodził Will. - To najbardziej prawdopodobne. Zawsze zrzucacie winę na lewicę!

- Wcale nie twierdzą, że to nie któryś z nich - odparował Clarence. Cierpienie sprawiło, że jeszcze bardziej się postarzał. Jego ciemna twarz była szara jak popiół. - Ale też nie musi tak być. Chyba nie będziesz mi wmawiał, że twoi bohaterowie nie zabijają? Rosjanie, Kubańczycy i inni, którzy chcą wybawić świat od wszelkiego zła - nie zabijają?

- Nie rozumiesz - odparł Will. - Nigdy nie rozumiałeś i nigdy nie zrozumiesz.

- Rozumiem, że nic cię to nie obchodzi, że ta śmierć nic dla ciebie nie znaczy.

Clarence wstał z krzesła, poruszony i rozgniewany.

- Nie sądzę, by miał na myśli... - zaczął Franklin tonem, który przestrzegał: „Nie bądź dla niego zbyt surowy”, ale Will mu przerwał.

- Uważasz, że jestem obojętny, ponieważ patrzę na to szerzej! Przykro mi, jasne, że mi przykro! Ale jak długo mam boleć z powodu jednego człowieka, gdy cierpią miliony?

Clarence rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Ciągłe ta sama historia. Ściskanie sobie dłoni w imieniu mas. Gdzie miejsce na ludzkie uczucia dla rodziny czy przyjaciół? Abstrakcyjne współczucie dla mas, owszem, ale dla jednostki żadnej litości! Dla jednostki tortury, a nawet gułag!

- Bardzo go żałuję - nie ustępował Will. - Patrick obrał jednak złą drogę. Był nieudolny. Wszystkie te jego ładnie brzmiące słowa, jego prawa i normy do niczego nie prowadzą.

- Tak - wybuchnął z wściekłością Clarence - jeśli ty i tobie podobni będą mieli cokolwiek do powiedzenia! Zrobicie wszystko, żeby do niczego nie doprowadziły.

Will wstał. „Ma oczy fanatyka - pomyślał Francis. - Nie chciałbym być zdanym na jego łaskę. Taki młody, taki inteligentny i taki... zepsuty!”

- Dokąd idziesz? - spytał Clarence.

- Do Trenches. Mam tam przyjaciół.

- Przyjaciół! Tu też jesteś mile widziany.

- Nie, pójdę już. W każdym razie dziękuję.

- Dokąd potem jedziesz?

- Chyba na Grenadę.

- A z Grenady?

- To zależy.

- Na Kubę? - nie ustępował Clarence.

- Nie wiem. Może. Wpadnę jeszcze przed wyjazdem. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Francis powiedział:

- Pochwycony w szczęki imadła. - Była to pierwsza rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Tak, to bardzo smutne - rzekł cicho Franklin. - Takich, jak on, jest wielu. Czeka nas mnóstwo roboty.

- Dziwne. Patrick zawsze mówił, że przejmiesz po nim pałeczkę, i tak też się stało. Franklin skinął smutno głową.

- Wiem. Spróbuję robić to samo, co on. To znaczy, jeśli zostanie wybrany po upływie kadencji Patricka.

- Jestem tego pewien - powiedział Francis. Franklin złożył ręce, wpatrując się w nie w zamyśleniu.

- Tyle jest do zrobienia. Uporać się z terroryzmem. Powstrzymać drenaż mózgow. Mam nadzieję, że Stany Zjednoczone udzielą nam pomocy gospodarczej...

- Dobrze, że Will nie słyszy tego, co mówisz o Stanach - wpadł mu w słowo Clarence. Wciąż kipiał gniewem.

Franklin uśmiechnął się.

- Cóż, młodzi nabierają się na marksizm. To wszystko brzmi tak obiecująco, prawda? Szkoda, że nie zadadzą sobie pytania, dlaczego ponad sześć milionów ludzi uciekło z państw komunistycznych. Oni po prostu chcą wierzyć w te hasła. Ale powracając do tematu: Stany Zjednoczone są moją ostatnią deską ratunku.

Jego głos brzmiał zdecydowanie, twardo. Francis doszedł do wniosku, że Patrick miał rację. Franklin może okazać się silniejszy od Patricka. Po pierwsze, jest młodszy, a co najważniejsze, nie zżera go konflikt wewnętrzny co do własnej tożsamości i miejsca na świecie.

- Podczas pogrzebu ogarnęło mnie dziwne uczucie - powiedział Francis. - Miałem złudzenie, że cały świat stanął w płomieniach! Było mi niedobrze, czułem się chory. Teraz, gdy cię posłuchałem, czuję się znacznie lepiej.

- Pożary można ugasić - odrzekł cicho Franklin, zobaczył bowiem Desiree, schodzącą po schodach.

Miała na sobie czarną matową suknię. Długie lśniące włosy opadały jej ciężką falą na ramiona. Nawet w tym dniu była piękna. Słyszając jej kroki, kobiety wyszły z kuchni.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała któraś. Inna upomniała łagodnie:

- Nie musisz podejmować decyzji w tej chwili, kochanie. Jest na to zbyt wcześnie. Nie spiesz się.

- Nie wiem - powiedziała cicho Desiree. - Nie wiem.

- Możesz jechać z nami, mamó - zaproponowała Maisie. - Zamieszkaż u nas, w Chicago. Przecież zawsze chciałaś stąd wyjechać.

- Ja tak. ale twój ojciec nie.

- Jeśli zostaniesz, mamó - powiedział Franklin - mogłabyś nam pomoc w realizacji dzieła, które rozpoczął Patrick.

Duże smutne oczy Desiree prześlizgnęły się po pokoju, holu, ganku, kuchni wszystkich kątach tak dobrze znanych od dzieciństwa. Przez kilka minut panowało absolutne milczenie.

- Zostaję - powiedziała wreszcie. - Tak, zostaję. Będę żyła tak... jak on zaplanował. Jak żyłabym, gdyby... - nie dokończyła zdania.

„Rodzina z pewnością chciałaby pozostać teraz we własnym gronie” - pomyślał Francis i zaczął się żegnać. Franklin Parrish odprowadził go na ganek.

- Wierzę - powiedział - wciąż wierzę, że potrafimy zaprowadzić na tej wyspie ład, zrobić z niej coś pięknego... - Wyciągnął ręce w geście tak wzruszającym, tak wdzięcznym, jak błogosławieństwo.

Francis wprowadził samochód do garażu i ruszył na spacer w kierunku rzeki, przeszedł przez kładkę i odnalazł na plaży znajomy płaski głaz. Usiadł na nim, płosząc parę ptaków trzepoczących się w zaroślach tuż za skałą. Siedział zupełnie bez ruchu przez długi czas, aż ptaki odważyły się powrócić, podszedłszy tak blisko na swych patykowatych nóżkach, że widział ich żółte, zimne oczka. Francis nadal nawet nie drgnął.

Nie poruszył się też, gdy ptaki wreszcie odfrunęły. Cisza spowijała półksiężycowaty spłachetek plaży, uspokoił się nawet słaby wiatr. Fale bezgłośnie lizały brzeg.

Bardzo niedawno, a jednocześnie całe wieki temu, siedział, bijąc się z myślami, na tym samym miejscu, po czym, wróciwszy do domu, ogłosił kapitulację.

Wstał i zaczął przechadzać się po plaży, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

„Nie możesz żyć w osamotnieniu - słyszał własne myśli. - Nie możesz żyć bez... nie możesz żyć...”

Nagle z przeraźliwą jasnością uświadomił sobie, że wbrew wszystkiemu, w co wierzył, wbrew swoim zasadom po prostu nie może żyć bez niej!

Ogarnęło go przemożne pragnienie, straszliwy głód, nie zaspokojona tęsknota za nią. Spojrzał na ukochane wzgórze, na którym stała wtedy, pierwszego dnia. i wydało mu się, że stoi tam również w tej chwili z wyciągniętymi doń ramionami, błagając, by nie

wyjeżdżał. Kate! Poczul taki ogromny przyływ miłości do niej, do tej ziemi, do wszystkiego, co żywe. Gąsienica, pełzająca tuż obok jego stopy, osobliwe stworzonko w czarno - żółte paski, z czerwoną główką, też pragnie żyć, spędzić przeznaczone jej krótkie chwile w słońcu. Uczynił ostrożny krok, by jej nie rozdeptać. Ile jej życia pozostało, ile życia pozostało każdemu z nas, gdy wszystko zostało powiedziane i zrobione?

Tak mało! Kate!

Nagle zaczął biec, przeskoczył wąską rzeczulkę i ruszył pędem w stronę domu.

Marjorie siedziała na tarasie. Przed nią, na stoliku, stała srebrna taca z zastawą do herbaty. Przebrała się już w suknię w pastelowych kolorach, na pogrzebie w mieście nie wypadało mieć na sobie jasnego ubrania. Ujrawszy Francisca, odstawiła filiżankę.

- Wyglądasz jak zdjęty z krzyża.
- Nie był to najszczęśliwszy dzień w moim życiu.
- Hm! Powinniśmy się cieszyć, że nie przyjechali tutaj za twoim drogim przyjacielem. Mogliby przy okazji wszystkich nas powystrzelać.

Francis usiadł. Zwilżył wargi. Przypomniało mu się nagle, jak całe wieki temu był wściekły na rodziców za to, że popełnili głupstwo, pobierając się, skoro nawet dziecko widziało, że nie są i nigdy nie mogli być dobraną parą.

- Chcę, żebyś odeszła - powiedział. - Zabierz Megan. Wyjedź stąd. Beze mnie.

- Co takiego? - roześmiała się histerycznie. - Chcesz, bym odeszła?

- Tak. Położmy wreszcie kres temu marnotrawstwu.
- Marnotrawstwu? O czym ty mówisz?
- O marnotrawieniu naszego czasu. Życie nie jest długie. Co chcemy udowodnić, zostając ze sobą? Nic już nie pozostało i ty o tym wiesz. Ty chcesz wyjechać, a ja chcę zostać. Wszystko sprowadza się do tego.

Zerwała się z krzesła, aż zabrzączały filiżanki.

- Chcesz się ożenić z Kate Tarbox, o to ci chodzi!
- Tak - odrzekł po prostu.
- Wiedziałam, że poszedłeś do niej z przyjęcia tamtej nocy, gdy odwołano wybory. Wiedziałam! Nie chciałam wyjść na idiotkę,

oskarżając cię, gdybym przypadkiem się myliła. Och, przeklęta dziwka! Kurwa!

- Nie chcę tego słuchać, Marjorie.

- Tamtego pierwszego dnia w Eleutherze też wiedziałam! Dostrzegłam to od razu!

- Wobec tego wiedziałaś więcej ode mnie.

- Powinnaś była tak przefasonować jej gębę, żebyś więcej na nią nie spojrział. Oblać ją ługiem, tak jak to robią tubylcy.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Czemu? Przecież ci na mnie nie zależy, i to już od dawna.

Nie odpowiedziała. Łzy wściekłości płynęły jej po twarzy. Sięgnęła po chusteczkę, ale nie znalazła jej. Podał swoją.

- Nie zależy ci na mnie - powtórzył. - Prawie ze sobą nie śpimy.

- Doprawdy? - spytała szyderczo. - Dla tak namiętnego kochanka...

- Wiem, że od bardzo, bardzo dawna nie jestem nim - przerwał jej. - Czy nic ci to nie mówi? Jestem młody, zdrowy. - Podniósł głos. - Co to za życie, dwa oddzielne łóżka...

- Och, na litość boską! Mówże ciszej, idioto! Chcesz, żeby wszystko usłyszała służba?

- Służba! Służba! To ludzkie istoty, tak jak ty i ja. Uważasz, że nie mają oczu? Mam zupełnie inne zdanie na temat tego, co wypada, a co nie...

- Mów ciszej, powiedziałam! Megan śpi. Czy chcesz ją przestraszyć? Francis natychmiast zniżył głos.

- Gdyby nie Megan, rozstalibyśmy się już dawno, Marjorie. Obie strony wykorzystywały ją jako pretekst. Poza tym nigdy nie powinienem był przywozić cię tutaj. To był mój błąd, postąpiłem wobec ciebie nie fair.

- Wiesz cholernie dobrze, że próbowałam jakoś się przystosować. Prowadziłam ci dom, zabawiałam gości i przynosiłam ci chlubę.

- Tak, tak, to wszystko prawda. - „Ale przepaść między nami jest szersza niż cała St. Felice - pomyślał. - Powstałaby nawet wówczas, gdybyśmy w ogóle nie słyszeli o wyspie.”

- Staralam się też ze wszystkich sił zajmować się najlepiej, jak potrafię, upośledzonym dzieckiem, które mam dzięki tobie.

Okrucieństwo jej słów zamknęło mu usta. Pochylił tylko głowę, ona zaś mówiła dalej.

- Moje dziecko nie byłoby takie, odziedziczyło upośledzenie po twojej rodzinie.

- Nie musisz mi o tym przypominać - rzekł ponuro.

- Widocznie muszę, skoro tak chętnie nas porzucasz. Wymieniasz na kawałek ziemi i nową kobietę.

Podniósł głowę. Wiedział, że chciała sponiewierać jego uczucia. Nie miał zamiaru jej na to pozwolić.

- Nie „porzucam cię” - powiedział gniewnie. - Będę się troszczyć o ciebie i Megan. Zawsze, nawet gdybyś... się urządziła. Zawsze.

- Urządziła się! W jaki sposób, może mi powiesz? Jaką miałam szansę, by się czegoś nauczyć? Poświęciłam życie tobie!

Pomyślał złośliwie, czego też by się nauczyła i czego dokonała, gdyby nie „poświęciła” mu życia. Skarcił się natychmiast za tę myśl. Była przecież inteligentną kobietą, w innych okolicznościach zajęłaby się czymś.

- Może miałeś na myśli ponowne zamążpójście? Złapanie bogatego męża?

- Czy to zrobisz, czy nie, nie ma to dla mnie znaczenia. Ja jestem odpowiedzialny za Megan. Mam jednak nadzieję, że rzeczywiście znajdziesz sobie męża, kogoś bardziej odpowiedniego dla ciebie niż ja - dodał z goryczą.

- A co z Megan? Nagle tak chętnie się z nią rozstajesz? To coś nowego.

- I tak by nas to czekało. Będzie musiała pójść do specjalnej szkoły. Dobrze o tym wiesz. - Odczuwał ból serca. - Och, czy nie widzisz, jak jest to przykre dla nas wszystkich? Dla ciebie, dla mnie, dla Megan? Ale od dnia jej urodzin żyjemy, jakbyśmy porzucili wszelką nadzieję dla nas samych, a to nie jest w porządku! Nie wolno tego wymagać od nikogo. Będziemy robili dla niej, co tylko się da, przez całe życie, ale...

- Ty draniu!

- Dlaczego? Czy dlatego, że teraz to ja pragnę zakończyć tę szaradę? Gdy w zeszłym miesiącu ty zagroziłaś, że odejdziesz z dzieckiem, jeśli nie spełnię twego żądania, wtedy wszystko było w porządku? Tak, wtedy wszystko było w porządku! W tej chwili cierpi



wyłącznie twoja zraniona duma! „Co powiedzą na to ludzie?” Nie musisz się o to martwić. Będę rycerski. Nie będę o tym rozmawiał.

- Ty draniu!

- Jeśli powtarzanie tego epitetu przynosi ci ulgę, proszę bardzo.

- Och, idź do diabła! - wykrzyknęła, zatykając dłonią usta.

Wiedział, że wstydzi się przy nim płakać, odwrócił więc wzrok.

- Idź do diabła! - wykrzyknęła jeszcze raz. Trzasnęły drzwi, na schodach zastukały jej obcasy.

Kiedy kilka dni później wstał wcześniej rano i spojrzął w lustro, stwierdził, że twarz ma wymizerowaną, jest wyczerpany z powodu całego tego zamieszania i braku snu.

- Tak, lepiej stawiać sprawy uczciwie - powiedział na głos do swego odbicia w lustrze - i nawet przejść przez całe to cierpienie. Rozwód jest rzeczą okropną. To rozdarcie, rozpad, destrukcja. Kiedy człowiek zawiera małżeństwo, wierzy, że będzie trwało wiecznie. Ale co ja wtedy wiedziałem? Nic. Ani ona. Hormony, to wszystko. Hormony i złudzenia. Dziwne, jak wszystko przerodziło się w nienawiść. Nie, to nie nienawiść. Gniew. W niej jednak jest więcej złości. Kobieca duma. Musi istnieć ktoś, kto do niej pasuje. Jakiś facet z Wall Street. Ktoś mniej uczuciowy ode mnie. Ona jest w lepszej sytuacji niż ludzie w rodzaju Kate i mnie. My zagłębiliśmy sobie wzajemnie w dusze, chcemy dawać i brać wszystko. Taką już mamy naturę.

Na skraju tarasu zbudował kiedyś karmnik. Sypał do niego okruchy dla małych ptaszków, by zabawić Megan, ale ją to interesowało zaledwie przez pół minuty. Gdy zszedł na dół, stały przy nim obie, Marjorie pokazywała małej ptaki, a Megan patrzyła w innym kierunku bez śladu zainteresowania na twarzy. Uderzyło go że Marjorie wygląda już jak gość, jak ktoś obcy.

Słyszając jego kroki, odwróciła się. Miała podkrążone oczy. Poczuli nagły przypływ współczucia.

- Tak? - powiedziała. Słowo było zimne niczym kawałek lodu. Jeszcze raz spróbował wyciągnąć rękę na zgodę.

- Po prostu mam nadzieję, że czujesz się lepiej, to wszystko.

- Dajmy na to, że cię obchodzi moje samopoczucie!

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale właśnie mnie obchodzi.

- Najbardziej ze wszystkiego nie znoszę hipokryzji!

- Możesz przypisać mi różne wady, z wyjątkiem hipokryzji. Zagryzła dolną wargę.

- Marjorie, skoro już zdecydowaliśmy się rozwieść, może załatwimy to kulturalnie i spokojnie?

- Kulturalnie i spokojnie! Kolejnym określeniem powinno być pewnie: „w cywilizowany sposób”. „Cywilizowany rozwód.”

- Czemu nie? Dlaczego nie mamy rozstać się po przyjacielsku?

- Po przyjacielsku! Gdy inna kobieta czeka, by zająć moje ciepłe jeszcze łóżko. Megan gapiła się na nich błękitnymi oczami o apatycznym wyrazie. „Ciekawe, czy dociera do niej cokolwiek z tego, co się dzieje między nami?” - pomyślał Francis.

- Gdybyś miała jakieś... wątpliwości co do siebie - powiedział cicho - to coś ci powiem. Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą, Marjorie. Nie przegrywasz z ładniejszą. Ludzie się za tobą oglądają...

- Cholernie dużo z tego mam!

Ukryła twarz w dłoniach. Przeszła w drugi koniec tarasu i usiadła tyłem do Francisa. Duma nie pozwalała jej okazać uczuć, Marjorie toczyła ze sobą wewnętrzną walkę. Widział to u niej wiele razy. Odwrócił ze smutkiem twarz ku porannemu słońcu.

Słyszając skrzypnięcie krzesła, obejrzał się.

- Dobrze, Francisie. Zakończmy raz tę sprawę - powiedziała szybko. - Pojadę do Meksyku czy gdziekolwiek, gdzie załatwia się rozwód niemal od ręki. Nie chcę żadnych komplikacji. - Dodała z pewną goryczą: - Jestem pewna, że bardzo się z tego cieszysz.

- To nieprawda, Marjorie.

- Będziesz musiał zająć się Megan, póki się to wszystko nie skończy.

Skinął głową, w gardle dławilo go tak, że nie był w stanie wykrztusić słowa. Wziął Megan na ręce, przytulając policzek do jej włosów.

- Tata - powiedziała, po czym zaczęła się wyrywać. Postawił ją na posadzce.

- Przepraszam za to, co ci nagadałam, Francisie. Naprawdę tak nie myślałam. No, tego o oblewaniu ługiem i pozbywaniu się Megan.

- Wiem. Ludzie mówią różne rzeczy, gdy są źli. Ja również.

- Nie, ty nie. Nie sądzę, byś kiedykolwiek powiedział mi coś naprawdę przykrego. - Po raz pierwszy od wybuchu konfliktu spojrzała mu w oczy.

- Cieszę się, że tak mnie zapamiętałaś - powiedział wzruszony.

Konie, wypuszczone na pastwisko, rżały za ogrodzeniem. Słysząc było wesołe okrzyki jakiegoś dziecka, prawdopodobnie jednego z synów Osborne'a.

- Jeśli mam być całkiem szczerą, Francisie, to nie było tutaj tak całkiem źle. Jedną rzecz trzeba było przyznać Marjorie - niezależnie od swej gniewnej dumy, po namyśle potrafiła zachować się uczciwie. Poza tym była realistką i wiedziała, kiedy się wycofać.

- Pragnę, żebyś była szczęśliwa, Marjorie - powiedział. - Naprawdę. Zacisnęła pięści.

- Nienawidzę przegrywać. Zadaję sobie pytanie, czy to wszystko mogło się potoczyć inaczej. Nie wyobrażasz sobie, jak nienawidzę przegrywać! Nie - na - wi - dzę!

Nie był zaskoczony jej porywcznością.

- Wiem o tym. Nie możesz znieść, gdy sprawy nie układają się po twojej myśli, a byłoby lepiej dla ciebie - rzekł cicho - gdybyś się tego nauczyła. Mam tylko nadzieję, że znajdziesz...

- Masz nadzieję, że znajdę kogoś, kto mnie pokocha? Coś ci powiem. Wydaje mi się, że nie wszystkie kobiety koniecznie muszą być kochane, a przynajmniej w takim sensie, o jaki ci chodzi. Samotność nigdy mnie nie unieszczęśliwiała. Ty myślisz o przyjęciach i tego rodzaju rzeczach. Ja zaś o sprawach psychiki. Być może naprawdę nie potrzebuję nikogo i dlatego nie potrafiłam dać ci tego, czego pragnęłaś.

Może mówiła szczerze, a może przemawiała przez nią gorycz. Miał nadzieję, że to tylko gorycz, ponieważ wówczas z pewnością z czasem przeminie. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Powiedziałem ci, że zawsze będę się o ciebie troszczył. Nie musisz się o nic martwić.

- Nigdy w to nie wątpiłam, Francisie. Myślałam jednak o tym, by otworzyć sklep z antykami czy coś w tym rodzaju. Przyszło mi to do głowy dzisiaj w nocy. Będę po prostu robiła to, na co będę miała ochotę.

- Na pewno ci się uda.

- Tak, z dala od zwariowanego tłumu. W otoczeniu pięknych przedmiotów. Z pewnością nie nadaję się do polityki ani do naprawiania świata, wiesz o tym dobrze. - Roześmiała się krótko.

Megan usiłowała jeść trawę.

- Nie, nie! - zawołała Marjorie, otrzepując jej rączki. Dziecko rozplakało się, ona zaś wzięła je z wysiłkiem na ręce, tuląc i pocieszając.

Przyglądając się im, Francis zdał sobie sprawę, że przez dziecko związany jest z matką, i to na zawsze.

- Nie chcieliśmy, żeby tak się to wszystko skończyło, prawda? Ale nie ma tu niczyjej winy. Pamiętaj o tym, Marjorie.

Skinęła głową.

- Pójdę przejść się z Megan po plaży.

- Będę w gabinecie, gdybyś mnie potrzebowała. Rozeszli się w przeciwne strony.

## Rozdział 28

Francis i Kate mieli się pobrać w starym kościółku pod wezwaniem Niebiańskiego Spokoju, stojącym na tle lasu na urwistym brzegu. Wczesnym popołudniem Francis i Tee jechali tam krętą drogą przez wyspę.

Odkąd matka przyjechała dwa dni temu, rozmawiali bez przerwy o Kate i Margaret, o Marjorie i Megan, o polityce i prowadzeniu gospodarstwa rolnego, rozmawiali tak, jak kiedyś, dawno, dawno temu, gdy jako dziecko wracał ze szkoły, wbiegał po schodach na górę do małej bawialni i opowiadał jej o całym dniu.

Nagle umilkli oboje. Zbyt wiele przeżyli emocji. Nawet cudowne spełnienie tego uroczystego dnia sprawiało niemal ból. Radość zawsze graniczy ze smutkiem.

Wczoraj wysłał Megan samolotem do Nowego Jorku, gdzie czekała na nią Marjorie. Dzięki Bogu rozstanie nie było bolesne dla dziecka, w przeciwnym razie chyba nie zniósłby tego. Po prostu odeszła, ssąc lizaka, nie oglądając się. Och, przecież ją zobaczy, oczywiście że tak, ale nie będzie to już to samo. Coś się skończyło, paczka została starannie zapakowana i wysłana. Koniec rozdziału.

Matka dotknęła jego ramienia.

- Myślisz o Megan?

- Tak.

- Będzie jej lepiej z Marjorie. Dobra szkoła, dom przystosowany do jej specjalnych potrzeb...

- Ale ty... Ty mi to mówisz, ty, która nigdy... - Przerwał. To było jedyne pytanie, które zawsze zadawał na próżno. Ku jego zdziwieniu, tym razem matka odpowiedziała.

- Nie istnieją reguły jednakowe dla wszystkich. Postępowanie człowieka wynika z sumy jego doświadczeń.

Spojrzał na nią z ciekawością, Tee miała jednak twarz odwróconą i zobaczył tylko ciemne włosy na tle srebrzystozielonej trzciny cukrowej.

- Można wiedzieć, jak należy postąpić, a jednocześnie nie móc się na to zdobyć - Mówiła szeptem, tak że ledwie ją słyszał. - Nie myśl jednak o mnie jak o sentymentalnej męczennicy. Naprawdę żyje mi się nieźle...

- Ależ wiem o tym! - przerwał jej. - Wiem. A jednak, muszę ci to powiedzieć, choć byliśmy tak bardzo sobie bliscy, zawsze wyczuwałem, że coś ukrywasz. Myślę, że ojciec też to wyczuwał.

Nie odpowiedziała, lecz odwróciła się do niego, rzucając mu nieodgadnione spojrzenie, po czym spuściła wzrok.

- Cóż, wiedziałem, wszyscy wiedzieliśmy, że nie byliście dobraną parą. Wciąż milczała.

- Zdaję sobie sprawę, że w tamtych czasach rozwód nie wchodził raczej w grę. W dodatku miałaś czworo dzieci.

Tee znów uciekła spojrzeniem, utkwivszy je w falującej na wietrze trzcinie, szepcząc coś, co ledwie udało mu się zrozumieć: „Nigdy nie rozbiłabym mu rodziny”. Wydało mu się, że powiedziała też: „Zawdzięczałam mu wszystko”, ale nie był pewien i nie zdążył już zapytać, ponieważ potrząsnawszy nagle głową, upomniała go:

- No, dość już o mnie. Przyjechałam na ślub i chcę słuchać o nim.

- Przecież wiesz, że będzie to tylko skromna uroczystość, skoro natychmiast po niej musisz wracać do domu.

- Przyjadę znowu w zimie, obiecuję.

- Cieszę się. Pokochasz Kate, gdy poznasz ją lepiej. Ona też z pewnością cię pokocha. Ma niewielką rodzinę. Przyjadą dzisiaj. Będzie też nasz nowy premier wraz z teściową, wdową po Patricku. Pamiętasz, opowiadałem ci o nim.

- Pamiętam.

- Brakuje mi go. - Przypomniał sobie, jak ostatniej nocy, tuż przed śmiercią, Patrick stał obok swego samochodu z włączonymi już światłami, zaczynając i nie kończąc, wahając się, czy mu powiedzieć, czy też nie powiedzieć... Ale co? Zamrugnął powiekami, wracając do teraźniejszości. - Jego umysł, och, może to zabrzmie głupio lub pompatycznie, ale zdawało mi się, że jego umysł jest idealnym odzwierciedleniem mojego. Wspaniale się rozumieliśmy.

- Potrafię to sobie wyobrazić. Czy miał udane życie?

„Dziwne pytanie - pomyślał Francis. - Co to znaczy udane życie”?

- Nie jestem pewien, o co ci chodzi?

- Czy była to ciężka walka, czy pasował tutaj ze swym angielskim wykształceniem, czy miał dość pieniędzy?

- Nigdy nie miał wielkich wymagań. Tak, myślę, że nieźle mu się wiodło. Poza tym kochał tę wyspę, naprawdę bardzo kochał. Myślę,

że dzieciństwo spędził tu w dobrych warunkach i bardzo był przywiązany do swojej matki. Niektóre z tutejszych kobiet mają w sobie tyle ciepła, są wyjątkowymi matkami. Małżeństwo też miało udane. Desiree jest urocza, sama zobaczysz.

Po drugiej stronie wyspy musiało przed chwilą padać. Na liściach drżały jeszcze krople wilgoci, wilgotne też były kamienne mury. Kate, cała na różowo, w różowym kapeluszu na jasnych włosach, już na nich czekała. Ucałowała serdecznie Tee.

- Tak się cieszę, że pani przyjechała. Wiem, że niełatwo było pani wrócić na St. Felice.

- Chciałam przyjechać - roześmiała się Tee. - Poza tym nie potrafię odmówić Francisowi.

- Ani ja.

Obie kobiety stały przez chwilę, przyglądając się sobie nawzajem, po czym - najwyraźniej zadowolone, że ich wcześniejsza ocena była słuszna - skierowały się ku drzwiom.

Desiree, jej córki z narzeczonymi oraz rodzina Kate weszli za nimi do środka. Desiree przyniosła bukiet różowych kwiatów, który postawiła na ołtarzu. Poza tym kościół był pusty.

- Jesteśmy za wcześnie - powiedziała Kate. - Ojca Bakera jeszcze nie ma. Czuję się jak Julia, która uciekła z ukochanym do celi mnicha.

- Gdy Patrick i ja braliśmy tutaj ślub, dzień był wietrzny, podobnie jak dzisiaj - zauważyła Desiree.

Kate drgnęła zaskoczona.

- Nigdy nie zrobiłabym ci tego, gdybym wiedziała! Byłam pewna, że wzięliście ślub w katedrze w Covetown.

- To nie ma znaczenia. Spójrz, jak tu pięknie!

Przez otwarte drzwi widać było ocean i grzywiaste fale przybrzeżne.

- Czy to nie fascynujące? - wykrzyknęła Laurine. - „Tutaj spoczywają doczesne szczątki Pere'a i Eleuthere'a Francois, synów Eleuthere'a i Angeliqve Francois, którzy zmarli i wstąpili do raju... roku pańskiego tysiąc siedemset drugiego, przeżywszy osiem miesięcy. Nasze łzy będą zraszać ich grób." Fascynujące! Nie zauważyli, że podszedł do nich cichutko ojciec Baker.

- Jeśli sięgniemy w głąb naszej historii, odkryjemy, że praktycznie w żyłach każdego mieszkańca tej wyspy płynie krew Da Cunha lub Francois.

- Chciałabym umieścić tutaj płytę kamienną ku pamięci Patricka  
- powiedziała Desiree. - Nie wiem, czyja krew płynęła w jego żyłach,  
ale... - Głos jej się załamał.

Tee położyła dłoń na jej ramieniu.

- Zasługuje na pamięć swoich ziomków - powiedziała cicho. -  
Czy zechce pani porozumieć się w tej sprawie z ojcem Bakerem i  
pozwoli mi wnieść mój mały wkład?

- Nie rozumiem... - zaczęła Desiree.

- Był, jak mi powiedziano, niezwykłym człowiekiem.  
Chciałabym więc uczynić coś dla jego pamięci. Czy mogę?

- Dziękuję bardzo - odrzekła po prostu Desiree. Uśmiechnęła się,  
ale w jej oczach błyszczały łzy i - ku zdumieniu Francisa - w oczach  
jego matki również.

- Tu jest płyta pamiątkowa, którą ufundował Francis. - Ojciec  
Baker doprowadził całą grupę ku zachodniej ścianie kościoła, po  
czym odczytał słowa wyryte w białym kamieniu.

- „Pamięci mego kochającego ojca, Richarda Luthera...” Druga  
połowa płyty była pusta.

- To dla mnie, kiedy nadejdzie mój czas - powiedziała Tee.

- Naprawdę? - spytała z ciekawością Kate.

- A czemu nie? Nie mogę tu mieszkać, ale chciałabym spocząć  
na wieki wśród moich bliskich.

Francis spojrział na matkę, jego wrażliwe ucho wychwyciło  
pewien niuans. „Nie mogę mieszkać.” Nie powiedziała: „nie chcę” czy  
„nie chciałabym”, lecz „nie mogę”. Po raz tysięczny przyszło mu na  
myśl, że znając ją tak dobrze, będąc z nią tak blisko, tylu rzeczy o niej  
nie wie i nie będzie wiedział.

Laurine przerwała milczenie. Miała ładny głos, wesoły i nieco  
ochryply.

- Dość już o tablicach pamiątkowych. Przyjechaliśmy tu na ślub!

- Masz rację - powiedział ojciec Baker. - Chodźmy. - Otworzył  
swoją czarną książkę.

- Kochani, zebraliśmy się tutaj...

Stare słowa brzmiały jak muzyka w uszach Francisa, ale w głowie  
miał taki natłok myśli, że nie rozumiał, co mówi pastor. Nigdy nie  
uważał się za specjalnie religijnego, a jednak w tej chwili przyszło mu  
do głowy, że jeśli człowiek chce przetrwać, musi mieć coś pewnego,  
czego mógłby się trzymać. Musisz wierzyć, że dajesz z siebie



wszystko, niezależnie od tego, czy jest to koniec małżeństwa, które nigdy nie powinno zostać zawarte, czy też początek małżeństwa, które powinno być zawarte dawno temu. Czy troszczysz się o wymagające opieki dziecko (a zresztą, które dziecko nie wymaga opieki?), czy walczysz ze złym człowiekiem. Zwycięzysz, jeśli słusność leży po twojej stronie. Trzeba w to wierzyć. Być może jest jednak religijny.

Ceremonia skończyła się, pocałował pannę młodą, po czym wszyscy wyszli z kościoła i stanęli, patrząc na ocean, jak gdyby chcieli przedłużyć czar tej chwili.

- Jakże szczęśliwy byłby Patrick, gdyby dożył dzisiejszego dnia!  
- zawołała Desiree. - Kochał was tak bardzo!

- My też go kochaliśmy - odpowiedziała Kate. - Wszyscy, którzy go znali, kochali go. Szkoda, że nie poznała go pani - zwróciła się do Tee.

- Ja również żałuję - powiedziała Tee.

Zaczęli się już ze sobą żegnać, gdy nagle Kate wykrzyknęła, wskazując ręką na niebo:

- Spójrzcie! Spójrzcie tam, w górze!

Nad palmowym zagajnikiem wzbiło się w powietrze stado barwnych ptaków i zniknęło tak szybko, jak się pojawiło.

- Papugi - powiedział ojciec Baker. - To taki odludny zakątek, że czują się tu bezpieczne.

- Śliczne! Prześliczne! - zachwycała się Desiree. - Czy wiecie, że urodziłam się na tej wyspie, przeżyłam na niej tyle lat, a nigdy nie spotkałam papug na wolności? A pani? - spytała Teresę.

- Owszem, widziałam kiedyś. Bardzo dawno temu.

Tee podeszła do samego skraju urwistego brzegu. Oczy wszystkich, jak na komendę, powędrowały za nią. Pełna gracji, wciąż młoda, stała patrząc na morze, przysłoniwszy oczy dłonią. Z podniesioną wysoko głową, sprężysta i silna, stawiała dzielnie czoło podmuchom wiatru, igrającego z jej spódnicą, niczym rzeźba na dziobie dumnego statku.

- To chyba najpiękniejsze miejsce na ziemi - powiedziała w końcu. - Czy nie to zawsze mi powtarzasz, Francisie?

- Ale pani stąd wyjeżdża - rzekła z wyrzutem Kate.

- Tak, tak, po prostu muszę. - Tee znów uśmiechnęła się smutno. Spojrzała na zegarek. - Została mi zaledwie godzina do odlotu.

Laurine i Franklin zaofiarowali się, że podwiozą ją na lotnisko, Kate i Francis mogli zatem wrócić prosto do domu.

- Bądź szczęśliwy - życzyła Tee, całując Francisa na pożegnanie.  
- Wiem, że tym razem będziesz. Wiedziałam od pierwszej chwili, gdy na nią spojrzałam.

Tak wiele słów cisnęło mu się na usta, chciał powiedzieć: „Może jeszcze nie jest za późno, może i ty znajdziesz tego kogoś?”, ale rzekł tylko:

- Niech cię Bóg błogosławi, dziękuję, że przyjechałaś i życzę ci szczęśliwej podróży. Uniosła rękę w geście pożegnania i odjechała.

Gdy ujął kierownicę, Kate nakryła jego dłoń swoją dłonią.

- Twoja matka to wyjątkowa kobieta. Był tak wzruszony, że ledwie skinął głową.

- Ty też jesteś wyjątkowa - powiedział.

Była to sobota, zwykły dzień targowy w Covetown. Na straganach piętrzyły się stosy srebrzystych ryb. Drużyna harcerek w brązowych mundurkach stała w kolejce, by obejrzeć obrazy pędzla Anatole'a Da Cunha.

- Niewiele się tu zmieniło - zauważył Francis.

- Naprawdę?

- Och, nie udawaj, że nie rozumiesz, o co mi chodzi. - Pochylił się, by ją pocałować. - Jasne, że wszystko się zmieniło niecałe pół godziny temu.

Wjechali wreszcie w aleję prowadzącą do Eleuthery.

- Wreszcie w domu - powiedział. Osborne czekał, by ich powitać.

- Nie ma pan pojęcia, jak się cieszę, że jesteśmy tu wszyscy razem, że pan zostaje! - wykrzyknął, ściskając dłoń Francisa. W ciągu całej ich znajomości dopiero po raz drugi zdarzyło mu się tak spontanicznie ujawnić swe uczucia.

Francis i Kate ruszyli ku werandzie, żwir chrzęścił im pod nogami.

- Ach, te obcasy - powiedziała Kate. Spojrzał w dół.

- Masz piękne stopy, kochanie.

- Piękne stopy? Czy to właśnie moje stopy masz zamiar podziwiać w dniu ślubu?

- Resztę zostawiam na później - roześmiał się.

- O, spójrz, właśnie wystartował samolot. Może to ten, którym leci Tee? Samolot znajdował się wciąż na tyle nisko, że widać było z ziemi jego okna.

Francis zastanawiał się, czy Tee wygląda przez okno i czy widzi na werandzie Pere'a, a na wygonie swojego białego konia.

- Czy pamiętasz ten dzień, gdy mnie tu przywiozłaś? - spytał nagle.

- Pamiętam wszystko. Jaszczurki, kozy, ciszę i twoją twarz.

- Ach, moja ty poetycka duszo!

Spojrzeni na siebie. Patrzyli długo, długo, aż poczuli ogarniające ich drżenie. Kate odwróciła się, mówiąc coś, by przerwać napięcie.

- Pójdę na chwilę zobaczyć, jak tam moje psy. Roześmiał się serdecznie.

- Nie śmieję się! Na pewno trudno im przywyknąć do nowego miejsca.

- Dobrze, zaraz do ciebie przyjdę.

Patrzył za nią, jak wchodzi do ich domu.

Sam jednak chciał pozostać jeszcze chwilę na otwartej przestrzeni. Czuł się jak nowo narodzony. Był Eleuthere'em Francois, postawił po raz pierwszy stopę na tej ziemi. Był człowiekiem przyszłości.

Mój Boże, miał ochotę odrzucić głowę do tyłu i krzyczeć, krzyczeć z radości, przekrzykując wiatr i huk fal, rozbijających się o skalisty brzeg. Wykrzyczeć swą radość zielonemu masywowi Morne, chmurom wędrującym po niebie nad wyspą i lśniącym srebrzyście oceanem, tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem.